

PRZEGLĄD POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO
Ps. 143.

ROK DZIEWIĄTY. — TOM XXXVI.

PAŹDZIERNIK, LISTOPAD, GRUDZIEŃ.

1892.

KRAKÓW.
DRUK WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI,
pod zarządem Jana Gadowskiego.
1892.

Z ŻYCIA CHRZEŚCJAŃSKIEGO ŻOŁNIERZA.

(LE GÉNÉRAL DE SONIS, par *Mgr. Baunard*, Recteur des facultés catholiques de Lille. 13^{me} édition. Paris 1890).

I.

Miles Christi — w tych słowach streszcza się charakter i żywot człowieka, którego czci i pamięci znakomity rektor uniwersytetu w Lille, jeden z najwytworniejszych pisarzy francuskich obecnej doby, poświęcił najpiękniejszą ze swych książek. Żołnierstwo Chrystusowe — pojęcie to odnoszono dawniej zarówno do rycerza, jak do kapłana; a jak sztucznym jest konflikt zachodzący w mniemaniu niektórych między obydwoma składowymi czynnikami tego pojęcia, między obowiązkami żołnierza i obowiązkami chrześcijanina, o tem niezbyt jeszcze dawno i w naszej już epoce świadczyli tacy ludzie, jak Skrzynecki i Władysław Zamojski u nas, jak Radecki i Huyn świeżo zgasły w szeregach armii austriackiej, Charette i Lamoricière u Francuzów — żeby o wielu niemniej szlachetnych i wielkich duchem, choć mniej głośnych, zamilczeć. Świadczyło wielu i świadczyło dobrze — nie świadczył nikt lepiej, świetniej od generała Ludwika de Sonis.

Co było w życiu tego człowieka, co stanowi jego interes i znaczenie dla najszerszych warstw, dla całego chrześcijańskiego świata? Co ten charakter podnosi nad inne i sprawia, że im bardziej wpatrywać się w jego posągowe rysy, tem bardziej rosną, olbrzymieją, zakrywają wszystko prawie co wkoło niego

się widzi, co ponad nim los postawił? Jako żołnierz, Ludwik de Sonis przechodził z pewnością zwykłą miarę, i w szeregach armii francuskiej należy mu się słusznie jedno z pierwszych miejsc. Jeden z najświetniejszych kawalerzystów, jeden z najzdolniejszych i najbardziej walecznych oficerów, jeden z najuczeńszych i najgruntowniej wykształconych strategików, był zarazem szczególnie i zawsze zwyciężskim dowódcą, popularnym i czczonym, mimo niepopularnych przekonań, i tylko tym przekonaniom miał do zawdzięczenia, że go ominęła marszałkowska buława. Ale choć jeden z najlepszych, miał przecież Sonis w tem wojску francuskim, świetnem mimo jego stron ujemnych, równych sobie, miał może i większych. Wzorowy mąż, ojciec, obywatel — nie miałby z tego tytułu prawa do rozgłosu i chwały. Ponad tem wszystkim, generał de Sonis był czemś większem i wyższem. To było osią środkową jego życia, to powodem, dlaczego życie jego dobrem się stało i bez skazy, to wreszcie życia tego chwałą a rozgłosu i czci jego imienia wytłumaczeniem. Sonis był chrześcijaninem, chrześcijaninem w pełnem, doskonałem słowa tego znaczeniu.

Chrześcijanami jesteśmy wszyscy. Jesteśmy nimi rozmaicie — ale prawo do tej nazwy i pretensję do noszenia jej dobrze rości sobie każdy z nas, bodaj bez wyjątku. Dla jednych — mówię tu oczywiście tylko o inteligentnych sferach, to jest o tych, które wiarę rozumieją mniej i gorzej od prostego ludu — dla jednych nazwa ta nie wiąże się wcale z pojęciem o jakimś obowiązku, o prawie, którego należy słuchać, jeśli się chce naprawdę być chrześcijaninem. Dla innych obowiązek ten ogranicza się do pewnych form i formułek, religia jest jednym z czynników składowych życia bez wpływu na inne — szufladką, którą w danej chwili wysuwa się z biurka gdy potrzeba, na tak długo jak potrzeba, aby ją później znów zamknąć i klucz schować do kieszeni. Są wreszcie i tacy, którzy prawo Boże głoszą publicznie prawem swego życia i godłem swych zasad i uważają się w najlepszej wierze za filary Kościoła, dlatego, że są filarami stronnictwa. Pan Bóg w ich mniemaniu ma wobec nich tak wielki dług wdzięczności do spłacenia za zaszczyt jaki Mu czynią pu-

blicznem swem wyznawstwem i należeniem do Jego obozu, że nie już więcej wymagać od nich nie powinien, i o dalszych obowiązkach, o uważaniu religii za normę życia, nie może być mowy.

Jenerał de Sonis obowiązek ten pojmował inaczej. Była to natura o szerokim zakresie i hartownej woli, umysł jasny, trzeźwy, podnoszący się wysoko, zdolny prawdę poznać w całej pełni. Było to zarazem wielkie serce, zdolne prawdę raz poznana ukochać wszystkimi swemi siłami, niezdolne cofnąć się przed żadną konsekwencją w jej zastosowaniu do życia, przed żadną trudnością i ofiarą. Nie stał się on od razu tym wielkim chrześcijaninem, jakim go widziało lat jego południe i godzina zachodu. Wychowanie dało mu zewnętrzne formy wiary bez jej treści i ducha. Ale do tego prosto patrzącego umysłu nie znalazły przystępu tendencyjne uprzedzenia i liberalne zabobony, bałamućące tylu innych, tak samo jak nie zbrukało tego prawego serca zepsucie. Wcześniej też porzucił wolnomularstwo, o którym nie miał pojęcia, gdy się do niego dał wciągnąć, zaczął się zbliżać do Kościoła Chrystusowego i do ruchu katolickiego. Ożeniony młodo z kobietą dobrą i zacną, ale z której chrześcijankę prawdziwą on sam dopiero urobił swoim wpływem i wzorem, stacyonowany przez szereg lat po małomiasteczkowych garnizonach, Sonis przed trzydziestym rokiem doszedł pracą wewnętrzną, mozolną i sumienną, przewyciężaniem siebie i światowych względów, do tej wyżyny duchowej, z której nigdy już zejść nie miał.

Jaką drogą doszedł? Ani korespondencya jenerała, ani ks. Baunard nie jest w stanie dać na to wystarczającej odpowiedzi. Biografia, choćby najlepsza, część tylko człowieka odsłania. Poznać z niej możemy zewnętrzną stronę życia: o wewnętrznym człowieku dowiadujemy się tyle tylko, ile on sam chciał i mógł zdradzić się choćby przed najbliższymi. Dzieje ludzkiej duszy są wogóle tajemnicą między nią a Bogiem, a tajemnicę tę tem trudniej przeniknąć, im głębszą jest dusza, z im szlachetniejszego metalu ulany charakter.

Co było najwyższem i najlepszem w tem życiu — historya odrywania się tego wielkiego serca od ziemi i jednoczenia coraz doskonalszego z Bogiem — biograf generała de Sonis pozwala się tego domyślać, nie ośmiela się tego opisywać szczegółowo. Zdaje się, że z dwóch stron działały na młodego oficera wpływy, które mu dopomogły do utrwalenia się w chrześcijańskim kierunku. Z jednej strony w Limoges zwłaszcza napotkał kilku ludzi gorącej wiary i wyższej myśli, z którymi zawarł jedną z tych przyjaźni dożgonnych, w Bogu mających cel ostateczny i źródło, których tak piękne przykłady spotykamy w żywotach Świętych Bożych. Takimi byli: Ludwik de Sèze i Lamy de la Chapelle, jego pierwsi przewodnicy w dziełach chrześcijańskiego miłosierdzia. Później znajdzie on innych przyjaciół, którzy wkoło niego będą się skupiać, ale dla tych on będzie dźwignią, światłem, mocą. Drugi wpływ, mniej widoczny dla świata, silniejszym być musiał. Była to jedna z tych nici tajemnych, jakimi serca Bogu oddane wiążą ziemię z niebem i dusze drogie sobie — z Bogiem. Dwie siostry generała zamknęły się w Karmelu w Poitiers, aby błagalną ofiarą swego życia wyprosić łaskę Bożą dla swoich. Ich modlitwie zwykł był później generał przypisywać wszystko dobre, czego dusza jego doświadczała w ciągu życia, a korespondencya z niemi stanowi najpiękniejszą część pozostałych po nim pamiątek i najlepiej oświeca tę wielką, chrześcijańską duszę.

Konferencye św. Wincentego były pierwszym polem, na którem młody oficer zaczął swoją publiczną działalność w służbie Kościoła. Było to w początkach Cesarstwa. Potężne tchnienie chrześcijańskiego odrodzenia ogarniało całą Francję. Z gruzów powstawały zniszczone świątynie, stare opactwa, klasztory, kolegia zakonne, instytucye religijne. Mnożyły się chrześcijańskie stowarzyszenia. Praca w duchu Bożym wrzała na wszystkich polach. Tłumy bez różnicy przekonań cisnęły się w kościołach, wsłuchane w głos natchnionych kaznodziei. Prasa katolicka, mimo swych rozterek, zaczynała rozbijać przesady i złą wiarę opinii publicznej. Chrześcijańskie piśmiennictwo, szkolnictwo, sztuka, stawały powoli na pierwszorzędnym stanowiskach w kraju.

Towarzystwo św. Wincentego, przed dziesiętkiem lat założone w Paryżu, siecią swych konferencyj i instytucyj miłosiernych otoczyło już Francję. Skupiali się w niem ludzie dobrej woli i ciepłego, chrześcijańskiego serca. Porucznik de Sonis znalazł w tem gronie przyjęcie braterskie, pracę pełną pociech i podniecie do dalszej działalności w szerszym zakresie.

Oficer kawaleryi, odwiedzający ubogich dla miłości Jezusa, przystępujący publicznie ze współbraćmi do Stołu Pańskiego, czytający na walnych zgromadzeniach referaty — była to rzecz niewidziana przedtem. Potrzeba było odwagi cywilnej — więcej, odwagi chrześcijańskiej, dlatego Sonis nie skąpił jej. Z żelazną siłą woli stłumił od razu to wszystko, co mogło być bojaźnią świata. Zdarzyło się raz, że poczuł w sobie wstyd oczu ludzkich, wychodząc z kościoła po niesporach. Nie namysławiając się ani chwili, wobec tych wszystkich ciekawych, zdziwionych samą obecnością młodego wojskowego na popołudniowym nabożeństwie, zaczął odbywać drogę krzyżową, upadając na kolana przy każdej stacyi. Nie dziw, że człowiek w ten sposób zwalczający siebie w początkach nawrócenia, dojść musiał w życiu wewnętrznym wysoko.

Dzieła miłosierdzia, wykonywane w Towarzystwie św. Wincentego, nie wystarczyły wkrótce temu gorącemu sercu, pełnemu miłości Bożej. Od dawna już miał on zwyczaj nawiedzać codziennie Przenajświętszy Sakrament. Wzbudziła się w nim teraz myśl, a w ślad za myślą gorące pragnienie oddawania Zbawicielowi hołdu w ciszy nocnej, gdy prócz kilku zakonników za kratą, nikt nie zbliża się z modlitwą do Przen. Sakramentu. W tym samym czasie, gdy w Tours czcigodny sługa Boży Dupont rozpoczynał z gronem przyjaciół nocną adoracyę Przenajświętszego Sakramentu, w Limoges myśl tę samą podnosił, urzeczywistniał Ludwik de Sonis. W kaplicy Oblatów N. P. Maryi będzie się odtąd zbierać pod jego wpływem i przewodnictwem, w regularnych odstępach, zwłaszcza w wigilie świąt, grono mężów wybranych, i wzniesie się ku niebu z głębi sere oddanych Jezusowi nieustanna, przebłagalna i zadość czyniąca modlitwa.

II.

Chrześcijanin całą duszą, był nim Sonis nietylko w sercu, ale na zewnątrz, w życiu; nietylko w salonie i kościele, ale w obozie i koszarach. Zbyt rozumny, aby zdanie swe narzucać, nie cofał się z niem, nie ukrywał go nigdy i przed nikim. Każdy, poznawszy go raz, wiedział, że człowiek ten porąbać się da raczej, niżby się dopuścił, lub dopuścił przy sobie obrazy tego, co za święte uważał.

Jeżeli gdzie, to w wojsku cenią charakter i siłę woli. Porucznik de Sonis nie wszystkich nawracał i przekonywał, choć o to się starał i wciąż myślał o szerzeniu uczuć chrześcijańskich wśród kolegów i podwładnych; ale szacunek dla swych przekonań i dla swej osoby uzyskał u wszystkich i do końca życia zachował. Wiedziano w szeregach armii, że wobec tego człowieka nie wolno lekceważąco wyrażać się o rzeczach wiary i lekkomyślnie deptać moralność — nie próbowano też tego. A jednak wejście jego do oficerskiego klubu lub maneżu nie ziębiło rozmowy, choć ją nieraz zwracało na inne tory, nie wywoływało przymusu i niechęci. Było w tej duszy tyle zasobów wewnętrznej pogody i wesela cechującego przyjaciół Bożych, tyle powagi, rozumu i serdeczności zarazem, że jej urokowi nikt oprzeć się nie umiał; ani oficerowie zepsuci liberalnem wychowaniem i garnizonową rozpustą, ani żołnierze wyrosli w tradycyjnej odradzie francuskiego gminu do piuski i sutanny.

Książka Baunarda podaje rozrzucające szczegóły o wpływie tego człowieka na żołnierzy i oficerów, o opiece jaką otaczał młodszych zwłaszcza, wtedy nawet, gdy opuszczali jego pułk, gdy ich musiał troskliwoci przyjaciół w nowem miejscu pobytu oddawać. Jest coś kobiecego w delikatności uczucia, jakim takie biedne chwiejące się dusze ogarnia, próbuje najprzód pozyskać je dla Boga, a potem w służbie Bożej utrwalić. W tej naturze męskiej i pełnej hartu uderza to tem mocniej i tem większy ma urok. To apostołstwo w obozie, będące wielką chwałą generała de Sonis i najpiękniejszą kartą jego życia, we

Francyi rozpoczęte, rozwinęło się w całej pełni w Algierze, gdzie dwadzieścia lat życia przepędził.

Sonis awansował powoli. Nietylko religijne zasady stały mu na przeszkodzie; więcej od nich może nieugiętość charakteru, który cienia płaszczenia się i oportunistu znać nie chciał. Przy plebiscycie, sam jeden wbrew wszystkim głosował przeciw księciu Prezydentowi, choć wiedział, że tem karierę sobie zamykał na długo. Powiedziano mu przy tej sposobności, że nie jest człowiekiem swego czasu. Nie był nim; był człowiekiem Bożym.

I dlatego też, gdy na innych sypały się zaszczyty, przed nim otwierała się praca twarda, krwawa, w pustyniach, wśród wrogów. Wygnanie na przednich placówkach armii afrykańskiej tem cięższe, że połączone z koniecznością oddalenia od ukochanej rodziny lub narażania jej na prywatę i niebezpieczeństwa obozowego życia podczas wojny. Łączyła się z tem inna troska: ciągły niedostatek, trudność utrzymania licznej rodziny ze skromnego żołdu oficerskiego, zwłaszcza przy szerokim miejscu, jakie w budżecie rodzinnym zajmowała czynna miłość bliźniego. Żeby się utrzymać, wyrzekał się palenia, kawy, gazety ulubionej — nie wyrzekał się tylko jednego: miłosierdzia. Trudności finansowe, trudności ze strony władz, gorycze wszelkiego rodzaju od losu i ludzi — to miał być odtąd chleb powszedni chrześcijańskiego żołnierza. Wynagradzała mu to miłość Boża, miłość i cześć ludzka, spokój i pogoda u rodzinnego ogniska.

Osamotniony w obozie w Mustafą, stęskniony za ojczyzną i rodziną, Sonis po chrześcijańsku słodzi wygnanieczną tęsknotę. W świeżo utworzonym opactwie Trapistów w Staueli oczyszcza duszę i głosów Bożych słucha, odbywając rekolekcyę. W klasztorze jezuickim w Algierze i w towarzystwie paru Lazarystów, sprawujących duszpasterstwo po stacyach wojskowych, znajduje pocieszenie i najmiłą rozrywkę. Świątobliwy ks. Pavy, pierwszy biskup i organizator algierskiego kościoła, później zaś wielki apostoł Afryki i pierwszy jej prymas, niezrównany kardynał Lavigerie, znajdują w kapitanie i jenerale de Sonis posłusznego syna, oddanego sercem całemu przyjacielu,

doświadczonego doradcę i pomocnika w świętem dziele odrodzenia chrześcijańskiego tej ziemi. Towarzystwo św. Wincentego będzie w nim miało najdzielniejszego współpracownika. Nie dość na tem. Jak w Limoges tak i tu gorące serce wielkiego chrześcijanina będzie umiało skupić wkoło siebie gromadkę innych chrześcijan, aby kadzidłem modlitwy nieustannej w ciszy nocnej otoczyły przybytek Jezusa w ołtarzu.

Pierwszorzędny talent oficera, a przedewszystkiem dowódcy, miał sposobność rozwinać się w całej pełni w ciągu tych lat dwudziestu i okrył imię znakomitego żołnierza blaskiem, którego nie szukał i nie pragnął. Wyprawa przeciw pokoleniom rozbójniczym w Maroku uwydatniła przymioty Sonisa w trudnych okolicznościach. Cholera, wybuchła w wojsku, porwała kolejno dwóch przywódców, pułkowników Fenin'a i Montalemberta. Obaj zgasli w Bogu, chrześcijańską śmiercią; Sonis był tak szczęśliwy, że mógł do nich sprowadzić z najbliższego oddziału armii kapłana, którego przy korpusie wysłanym do Maroku brakło. Pobożny kapitan stał się teraz duszą oddziału. Bronił go od choroby i wrogów, pomagał dotkniętym chorobą dobrze umierać. Po powrocie, jako komendant wojskowy okręgu w Tenez, w Saïda, w Laghuat, Sonis żelazną ręką organizował napół dzikie okolice i stosunki. Był to czas wojny nieustannej z Arabami i Kabylami. Zaledwie poskromiono jednych, burzyli się, napadali drudzy. Nikt ich dzielniej, prędzej nie umiał przytłumiać od komendanta de Sonis. Zgniótł w ten sposób powstanie w Dżelfie, odniósł świetne zwycięstwa nad najoporniejszymi i najwaleczniejszymi Arabami z pokolenia Uled-Sidi-Szeików pod Metlili i pod Ain-Mahdi, zwycięstwa, z których każde rozstrzygało o losie całej kampanii. Imię jego stało się postrachem pokoleń południowych i zwycięską tarczą dla Francuzów.

Z łatwo zrozumiałych względów książka ks. Baunard dotyka ogólnie tej epoki życia generała de Sonis i nie dotyka w niej wszystkiego. Francuzowi mówić o błędach narodowych, zawsze trudno i boleśnie, a dopieroż w dziele przeznaczonem w znacznej części dla cudzoziemców. Polski czytelnik, oznajomiony trochę ze stosunkami we francuskich koloniach, a specyjalnie

w Algierze, musi niejedno w myśli uzupełniać, ażeby wytworzyć sobie obraz trudności, z jakimi miał do walczenia Sonis, oraz żeby ocenić ogrom jego zasługi.

Niema narodu, któryby miał mniej zmysłu kolonizacyjnego od Francuzów. Żaden też nie ma na sumieniu wobec podbitej ludności równie nieporadnej i niezręcznej polityki. Zwracano na to uwagę w ostatnich czasach z okazji rozruchów w Kochinchinie — dotknął tego w tem samem piśmie bardzo kompetentny znawca tych stosunków. O Algierze nie wspomina się, bo tam na teraz cisza; nie znaczy to jednak, aby polityka francuska była tam lepszą niż w Kochinchinie, a przyszłość — jaśniejszą.

Nieszczęściem Francuzów było i jest, że od najdawniejszych czasów doktryneryzm polityczny i religijny obojętność przenosili z bulwarów paryskich do kolonij. Tego rozumu politycznego, który kazał Gambecie powiedzieć, że antyklerykalizm nie jest artykułem eksportowym, nie było niestety nigdy u mężów stanu we Francyi, nawet u daleko życzliwszych dla Kościoła od Gambetty. Dlatego też ksiądz katolicki musiał się wślizgać niejako do kolonii śladem armii, nie wchodził z nią razem, nie zajmował należnego mu miejsca. Pod pretekstem niedrażnienia fanatyzmu miejscowej ludności, zostawiano mahometanizmowi stanowisko panującego wyznania w Algierze, podobnie jak pogaństwu w Saigonie. Kościoły katolickie były liche, prowizoryczne, ze składek wznoszone — kosztem rządu budowano wspaniałe meczety, tak samo jak w Annamie nad zwłokami bezwyznaniowych gubernatorów zamiast księdza dopuszczano bonzom odbywać pogańskie ceremonie i zapalać kadzidła na cześć Buddy. Posunięto się tak daleko, że zakazano muzułmanom przyjmować chrześcijańską wiarę, że jeszcze przed kasatą zakonów wypędzano jezuickich misjonarzy z Kabylii za przeciwną prawu propagandę chrystyanizmu. Co stąd wynikło? Czy ludność muzułmańska została zjednaną? Nie, bo na to musieliby chyba władcy Algieryi zatknąć półksiężyc na trójkolorowej chorągwi. Stało się co innego. Lekceważenie religii wyznawanej przez większość Europejczyków pozbawiło ich najlepszego i jedynego środka dla asymilacji ludności miejscowej. Ludność mu-

żułmańska w Algierze, jak pogańska w Annamie, będzie zawsze patrzyła na Francuzów jako na wrogów i najeźdźców. Polityką mądrą i praktyczną było z jednej strony podniesienie wysoko powagi i przewagi chrystyanizmu wobec tych ludów wschodnich, na które tylko działać można urokiem zmysłów i siły; z drugiej, wytworzenie obok i przeciw muzułmańskiej ludności — chrześcijańskiej, osiadłej, miejscowej. Do tego ostatniego wystarczyłoby dać wolne pole pracy misyonarzom i zakonnikom, wspierać katolickie szkoły, szpitale, ochrony, a przynajmniej nie stawiać im przeszkód. A tymczasem historia biskupów w Algierze, jak później ich sufraganów w Oranie i Konstantynie, to jeden konflikt ciągły z władzami francuskimi, zarówno za Ludwika Filipa jak za Cesarstwa, tem bardziej za obecnych rządów. Dzięki temu też, panowanie francuskie w Algierze jak i w Annamie nie ma gruntu pod sobą. Oparte tylko na wojsku i nielicznej, z najgorszych żywiołów złożonej ludności napływowej, ma przeciw sobie wszystkich tuziemców, którzy skorzystają z pierwszej sposobności, aby jarzma obcego się pozbyć.

Hiszpania na Filipinach ma miliony, Portugalia w Goa setki tysięcy tuziemców oddanych metropolii całą duszą, bo złączonych z nią węzłem wiary. I dlatego wolnomularskie ministerya w Lizbonie protegują Jezuitów w południowym Mozambiku, a w Madrycie przy wszystkich kasatach zakonów wyjmowano zawsze od zagłady klasztory posyłające misyonarzy *oltramar*. Wiadomo, jaką opieką i przywilejami otaczają misyonarzy nie tylko protestanckich, ale i katolickich, kolonialne rządy angielskie i niemieckie. Tylko w koloniach francuskich misyonarz jest naturalnym wrogiem, z którego fanatyzmem każdy urzędnik, każdy Francuz wogóle uważa za obowiązek patryotyczny walczyć.

Jest w tem nienawiść do Kościoła, ale więcej jeszcze głupoty i politycznej niezręczności. Ostatnie te cechy ujawniają się w administracyi najniezdarniejszej, pełnej nadużyć, nie rozumiejącej miejscowych warunków i stosującej do nich formułki teoretyczne, wzięte z Paryża.

Z tym rakiem toczącym francuskie kolonie, a w szczególności Algier, miał do walczenia generał de Sonis przez lat dwa-

dzieścią. Próbował krzyż zatknąć na trójkolorowym sztandarze, zrobić zeń godło zwycięstw i kolonialnej polityki swego narodu. Sprowadzał misjonarzy, rozwijał katolickie instytucje, wznosił krzyże ku publicznej czci; postarał się o osiedlenie Jezuitów w Laghuat. Sprzeciwiał się zarówno słabości względem zbuntowanych i rozbójniczych plemion arabskich, jak i wyzykiwaniu ich i prześladowaniu przez francuskich urzędników cywilnych i wojskowych. Za energię w karceniu winowajców zdarzało mu się otrzymywać niesprawiedliwie karę; za energię w karceniu podwładnych, narażał się na niepopularność. Spokojnie znosił jedno i drugie. Oprócz własnego sumienia nagrodę miał w bezgranicznej czci i dziecięcym zaufaniu, jakiego doznawał od Arabów. Z wrodzonym instynktem tego co proste i szlachetne, dzicy synowie pustyni lgnęli całym sercem do tego, który najbezwzględniej ich gromił i w żelaznej dłoni trzymał — wyzywali go na sędziego w swoich sporach — słowo jego mieli za święte, uważali go za najpewniejszego obrońcę w każdej potrzebie i krzywdzie.

III.

Złożywszy u stóp Najśw. Panny Afrykańskiej w Algierze krzyż komandorski legii honorowej, jak przedtem w Paryżu kawalerską odznakę legii u Najśw. Panny Zwycięskiej, Sonis opuścił Afrykę w roku 1870. Przedtem tylko raz oddalił się stamtąd na dłużej, aby odbyć kampanię włoską. Towarzysze broni zachowali o nim z tych czasów to wspomnienie, że ile razy pułk stawał na dłuższym etapie, widziano pułkownika kierującego się w stronę kościelnej wieżyczki, aby sumienie oczyścić przed bitwą i „zameldować się najwyższemu swemu Komendantowi“. W Montebello, w Magencie, w Solferino był Sonis w największym ogniu, a wśród gradu kul i kartaczów nie tracił ani na chwilę, jak sam przyznawał, Bożej obecności z oczu i myśli. Życie tego chrześcijanina było jedną nieprzerwaną modlitwą.

Teraz ten długoletni obrońca kresowy wracał do ojczyzny w ciężkiej i krwawej dobie, wracał, aby pól ojczystych bronić przed najeźdźcą. Trzech synów przedtem już zaciągnęło się

w szeregi jako ochotnicy, ojciec jako generał brygady spieszył za nimi do Francji, i zaczął swą służbę od szukania swojej brygady, o której nikt w ministerjum wojny nie wiedział gdzie jest. Była to pierwsza próbka nieładu i rozstroju, które miały kraj nieszczęsny postawić na krańcu przepaści. Początek wojny zapowiadał się smutno. Opuszczenie Rzymu, będące w oczach Sonisa zdradą wobec Stolicy św. i Boga, przerwanie Soboru, uważanego przez generała za największy wypadek XIX. wieku, nie zapowiadały błogosławieństwa Bożego. Upadek Cesarstwa podniósł w górę mętły społeczne, żywioły będące dotąd niebezpieczeństwem i zakałą kraju. Sonis był legitymistą całe życie. Odmówił głosu, odmówił okrzyku: Niech żyje cesarz! prezydentowi Bonapartemu; odmówił cesarzowi należenia do jego przybocznej służby, i progów Tuileryów nie przekroczył nigdy. Ale odstępstwo ogólne i płaskie zniewagi, jakimi obrzucono wczorajsze bożyszcze po Sedanie, raziły i raniły to proste, szlachetne serce. Oburzał się na podłość płaszcących się niedawno oskarżycieli Cesarstwa, stawał się obrońcą, sługą zwyciężonego, przed którym nie schylił głowy w epoce jego potęgi.

W czasach klęsk i potrzeb narodu, w czasach, gdy opuszczają się dłonie i słabną serca, ocenić można wartość mężów tej miary, jakim był Sonis. Podczas pokoju i zwycięstw zostawiano go na pustyni; teraz, gdy wróg pół Francji zagarnął, wyciągano dłonie do chrześcijańskiego dowódcy, wzywano go zewsząd, oczekiwano odeń ratunku. Wszyscy to czuli dobrze, że ludzie o szumnych frazesach liberalnych dobrzy są do walki na kieliszki i języki, odważni wobec takich, którzy się nie bronią; ale do obrony ojczyzny, do wyparcia wroga, lepsi są inni. Ci, których wczoraj obracano w śmieszność, ci, których spartańska prostota, a raczej chrześcijańska skromność raziła kontrastem z ogólną miękkością, ci, których nazywano średniowiecznymi mumiami z archeologicznego muzeum — ci teraz stawali się ucieczką, nadzieją; w ich zaparciu się siebie, w ich harcie, w ich męstwie wspartem mocą z góry, widzieli ocalenie wczorajsi ich wrogowie.

I dlatego nikt tym razem nie śmiał się ani dziwić, widząc generała de Sonis przystępującego codziennie do Komunii św.

w mroku nocnym, w kościołach zajętych na żołnierskie legowiska. Nikt nie protestował przeciw wcieleniu do jego dywizyi żuawów papieskich, doborowej, bohaterskiej drużyny, pod wodzą innego chrześcijanina starej daty, pułkownika de Charette; nikt się nie przeraził, gdy na czele korpusu armii, której dowództwo objął generał de Sonis, roziała się w słońcu, wobec wrogów, złocista, promienna, jak sztandar Archaniola w walce przeciw zbuntowanym zastępom piekielnym, chorągiew Najśw. Serca Jezusowego. Wyszyta przez Wizytki z Paray-le-Monial, dla przesłania obrońcom obleżonego Paryża, złożona przez miesiąc na grobie bł. Maryi Małgorzaty, w miejscu gdzie jej Zbawiciel tajemnie Boskiego swego Serca otworzył, przeszła przez święte ręce sługi Bożego Duponta, zanim dostała się wojskom Charette'a i Sonisa, zanim w ogniu bitwy roztoczyła przed ich oczyma napis dokoła gorejącego symbolu miłości Bożej: Serce Jezusa, zbaw Francję!

Miała to być owa bitwa pod Patay i Loigny, w której generał po raz ostatni krew swą wylał za ojczyznę.

Poprzedziły ją ciężkie krzyże i zawody. Rząd obrony narodowej, a raczej bezrząd w Tours, powierzył mu zadanie olbrzymie, nad siły, bez żadnych środków pomocniczych: uorganizowanie z rozpieczonych szczątków całej prawie armii zachodniej. Gdy genialnym wysiłkiem i energią niezrównaną generał zadania dokonał, gdy zorganizował obronę i chciał wyprzeć wrogów z ich pozycji, przygotowawszy wszystko do zwycięstwa, kazano mu się cofnąć. Potem, w rozstrzygającej chwili, gdy przyszło do walnej rozprawy z Prusakami, opuszczono go; ten sam korpus generała Chanzy, dla którego obrony Sonis rzucił się na nieprzyjaciela, odstąpił go, oddał na pastwę.

Rozegrała się wtedy na polach między Patay i Loigny jedna z tych bitew, będących odbiciem wielkich walk życia i większej od nich — rozprawy o wieczność; jedna z przegranych, świetniejszych i piękniejszych od zwycięstwa. Otoczony przeważnemi o wiele siłami nieprzyjaciela, w gorszej od niego postawiony pozycji, Sonis miał nadzieję jeszcze powodzenia, choć z wysiłkiem największym. Ogół wojska walczył po bohatersku, szalał przechy-

łała się na stronę Francuzów. Ale stał się wtedy jeden z charakterystycznych wypadków czasu zaczynającego smutną a nieskończoną dotąd epokę rozstroju i moralnego upadku we Francyi. Jeden z pułków, złożony z żołnierzy nowozacieżnych, pochodzących z okolic najludniejszych, najbardziej zamożnych i bezwyznaniowych, odmówił posłuszeństwa, zaczął się cofać. Wiadomo, czem bywa fakt podobny podczas bitwy. Panika nie stała się ogólną wprawdzie, ale ogień, zapal, pewność zwycięstwa — znikły. Jenerał de Sonis zrozumiał, że los bitwy rozstrzygnął się w tej chwili. I wówczas ten wielki żołnierz miał jeden z porywów, do jakich są zdolne tylko serca bohaterów. Zwyciężyć — zapóźno, ale nie zapóźno ocalić honor armii, honor sztandaru, nie zapóźno pokazać wrogom i tchórzom z własnych szeregów, jak żołnierz francuski bić się potrafi, jak żołnierz chrześcijański potrafi umierać. Dalej więc naprzód! Jenerał de Sonis spojrzał wkoło siebie. Kto pójdzie za nim? Oto oddział żuawów papieskich; teraz pod wodzą pułkownika Charette oni stanowią w tym korpusie oddział ochotników, czoło wojska. Ci nie zawiodą, ci się nie cofną! Dalej!

I oto na pruskie kartacze, na śmierć pewną rzuca się garstka walecznych. Dwa bataliony żuawów papieskich — legia obrońców Piotrowej Stolicy — na ich czele wódz chrześcijański, blaskiem zwycięstw afrykańskich okryty. „Rozwinąć sztandar Boskiego Serca Jezusa!” Boskie Serce Jezusa poprowadzi swych walecznych, Boskie Serce Jezusa naznaczy im promienną drogę swym śladem.

Zwycięstwa Boże odmiennemi są od ludzkich zwycięstw, jak drogi Boże nie są ludzkiemi drogami. Na świecie, w czasie przemijającym i zmiennym jak fale morza, sprawa dobra zdaje się nieraz przegrana, złe święci pozorne tryumfy. Umysł nasz całości zdarzeń ogarnąć niezdolny, niezdolny przeniknąć zagadek przyszłego życia i tajemnic wieczności, tego wszystkiego co życie obecne uzupełnia i tłumaczy. Oko patrzy na to, jak „giną święci, giną mili, żyją niecierpiani” — serce przeciw temu się burzy. Nieśluszenie. My na ziemi widzimy pierwsze ogniwa wielkiego łańcucha — rozwija się on cały dopiero poza granicami naszego

wzroku, poza granicami tej ziemi. Tak akord pojedynczy, z symfonii wyrwany, sam przez się nie jest zrozumiały; ocenia go się dopiero gdy się słyszy całość. Tak i te przegrane ziemskie w walce odwiecznej, której kres daleki. Kryje się w nich przed oczyma naszymi jedno z tych zwycięstw, w których zwycięża się na wieki.

Oddział walecznych, którzy pod wodzą generała de Sonis i pod Chrystusowym sztandarem szli na pruskie armaty, aby bohaterką śmiercią honor ojczyzny ratować, legł pod ogniem tych armat cały prawie, jak pokosy zboża na łanie. Niebieski żniwiarz dojrzałymi snąć uznał tych żołnierzy chrześcijańskich. Legł między nimi i dowódca. Ze strzaskaną nogą obalony na ziemię, generał de Sonis nie pozwolił podnieść się z pola walki, i ostatnim katagorycznym rozkazem oddalił od siebie, ku ustępującym szeregom francuskim, adjutanta i drugiego oficera, którzy chcieli go ratować lub z nim na pobojowisku zostać. Było to skazanie się na powolną śmierć. Generał wiedział o tem. Ale wkoło niego przy setkach trupów inne setki rannych konały. Ocalić wszystkich, a choćby tylko część, nie było możliwe wobec cofania się wojska. Generał dla siebie wyjątku robić nie chciał. Wolał z innymi umierać, opuszczony jak oni.

Zaczęła się więc owa straszna noc na pobojowisku, doba cała pragnienia, opuszczenia, konania. Po ciele generała przeszły pruskie zastępy, pijane zwycięstwem. W oczach Ludwika de Sonis jeden z żołdaków rozbił kolbą głowę rannego oficera. Był to jego przyjaciel, jak on waleczny, jak on czciciel gorący Boskiego Serca, komendant de Troussures. On sam czekał podobnego losu; tymczasem inny żołnierz podniósł go, okrył, wlał wódki z własnej flaszki do ust spalonych gorączką. Serca chrześcijańskie są we wszystkich obozach. Zaledwie przyszedł do siebie, generał kazał za nieznanego przyjaciela Prusaka odprawić Mszę świętą, dług wdzięczności spłacając w ten sposób.

Nieprzyjaciele przeszli. Została cisza nocna, a w niej mróz i śnieg zimowy, ból, głód i pragnienie gorączkowe, jęki i wołania daremne o pomoc, opuszczenie. Opuszczenie od ludzi, nie od Boga. Przez tych dwadzieścia cztery godzin, które generał de

Sonis spędził na pobożowisku, okryty śnieżnym całunem, w agonii gorączkowej, dusza jego była spokojną i szczęśliwą. Podniósł ją Bóg ku sobie w jednym z tych widzeń, jakie bywają udziałem wybranych, napełnił ją sobą w tej chwili najzupełniejszego oderwania od świata, przeszył grotem miłości seraficznej to serce, jak serca wielkich sług swoich, Franciszka i Teresy i innych. Te godziny straszne, po ziemsku sądząc, stały się godzinami nadziemskich rozkoszy dla generała, godzinami zespolenia z Bogiem i Bogarodzą. Cierpienia nie czuł wcale, choć przytomności nie stracił ani na chwilę i nie przestał modlić się i innych wkoło siebie na śmierć gotować. Cierpieć zaczął wtedy dopiero, gdy przyszedł ziemski ratunek i ludzie zajęli się nim, zajmując miejsce Boga.

IV.

Kalectwo, znoszone po chrześcijańsku, jak wszystko; parę lat szerszego działania i wpływu w duchu chrześcijańskim; potem jeden wielki łańcuch prześladowań, upokorzeń i zniewag, cierpienie ciała i cierpienie duszy — to historia reszty życia generała de Sonis.

Jako generał dywizyi, komenderujący w Rennes, stał się ogniskiem katolickiego ruchu na zachodzie Francyi. Była to piękna chwila, która zdawała się rokować lepsze i piękniejsze, a bodaj czy nie trzeba jej uważać za ostatni błysk dawnej, chrześcijańskiej Francyi przed zgaśnięciem. Życie chrześcijańskie płynęło szeroką falą, rzucało odblask na całą Europę. W pielgrzymce do Paray-le-Monial brała udział znaczna część mężów politycznych, rządzących krajem. Lourdes ściągało setki tysięcy pielgrzymów, świat zdumiewało nowymi cudami. Na Montmartre Francya pokutująca wznosiła przybytek zadośćuczynny Sercu Jezusowemu. Duch nowy, lepszy, zdawał się ogarniać ojczyznę rewolucyjnych przewrotów.

Sonis był na czele, gdziekolwiek chodziło o to, by hołd złożyć Bogu i dla czi Jego ponieść ofiarę; czy to w pielgrzymkach publicznych, czy w demonstracyach chrześcijańskich, czy w surowem przestrzeganiu obowiązków chrześcijanina w domu,

w armii, w społeczeństwie. Stanowisko miał pierwszorzędne; korzystał z niego, aby cześć Bożą szerzyć, aby prowadzić dalej na większą skalę to samo apostołstwo, które było celem i treścią życia skromnego oficera w afrykańskich stepach. Głos jego teraz miał zbyt rozgłosu i powagi, aby go nie uszanowali nawet przeciwnicy. Podnosił go na to, aby piętnować nadużycia tak rozszerzone, że w armii nikt może inny prócz niego nie byłby w stanie publicznie ich zwalczać. Takim nadużyciem, napiętnowaniem i ukaranem przez generała, był pojedynek, przeciw któremu nikt przed nim nie odważył się wystąpić w wojsku, a przynajmniej nikt z zasadniczego, chrześcijańskiego stanowiska. Reformował w duchu chrześcijańskim życie oficerów i żołnierzy, oczyszczał ze złych książek pułkowe biblioteki, zaprowadzał święcenie niedzieli i świąt, nawracał obojętnych w wierze, wzmacniał słabych i chwiejnych, spieszył do umierających, aby ich jednać z Bogiem. Bóg wciąż nowych ofiar od niego żądał. Odeszły odeń jedne za drugimi, gotując mu drogę do nieba, najbliższe, najdroższe dlań dusze: siostry obie świątobliwie zgasłe w Karmelu, przyjaciele Lamy i de Sèze. Chętnem sercem oddał za życia już Bogu dziecko swoje, córkę, która oblekła suknię zakonną Sióstr Najśw. Serca Pana Jezusa. Sam on coraz bardziej cierpieniami dręczony, coraz zupełnie Bogu się oddawał i oddalał od świata.

Nic cudowniejszego nad listy jego z tej zwłaszcza epoki. Zawsze korespondencya jego jest klasycznie piękną pod względem formy, pełną uroku dla głębokości i delikatności uczucia, a jako obraz zasad chrześcijańskich jest prawdziwym pomnikiem tej duszy bohaterskiej w enocie i ofierze. Czy w listach do dzieci i o dzieciach, pełnych hartu i mądrości a po macierzyńsku czułych; czy w korespondencyi z siostrami i córką, odchylającej zasłonę z tych więzów tajemnych i z tych światel niebieskich, jakie duszę tę łączyły z Bogiem; czy w stosunku z kolegami i przyjaciółmi, — generał był zawsze mędrceem wedle świata, ale przede wszystkim wedle Serca Bożego; nigdy jednak nie był nim tak zupełnie i doskonale, jak w tych latach. Każde

jego słowo, jak każdy uczynek w tych czasach, to już nie słowo i czyn wzorowego chrześcijanina, tylko to karta z żywota świętego.

Ale święci nie są dziś popularni, zwłaszcza w radykalnych państwach i rządach. Rzeczpospolita francuska ludzi podobnych do jenerała usuwała z ich stanowisk, kiedy tylko mogła. Z bohaterem z pod Ain-Mahdi i Loigny nie można było tego zrobić od razu. Imię jego opromieniała w oczach wszystkich zbyt jasna aureola. Postarano się, aby go zrobić nieszkodliwym, aby goryczami i szykanami zmusić go do dobrowolnego odwrotu.

Jenerał zresztą nie kazał na to czekać zbyt długo. Wypędzanie zakonników, zamykanie ich kaplic i kościołów, dopełniło miary wstrętu, jakim szlachetne serce jego było przejęte dla tych panów Francyi, gotowych na wszystkie podłości. Cofnął się z szeregów. Zostawiono mu stanowisko honorowe w wojskowym Komitecie. I z tego miejsca nowi władcy, czując się dość na siłach aby precz rzucić wszelki wzgląd i wszelki wstyd, usunęli go później.

Nie go już nie oddzielało od Boga, nie nie wiązało do ziemi. Serce coraz gorętszą miłością Bożą rozpalone wołało o nowe wciąż krzyże, o coraz większą boleść doczesną, aby stać się podobnym do Boskiego Mistrza na Golgocie. „Jezu mój, niech będę ukrzyżowany przez Ciebie!“ — to było stałe jego westchnienie w tych latach. Krzyżował go Zbawiciel długo, aż wreszcie dopełniła się miara zasługi. Czciociela wiernego Marya zabrała do nieba w wigilię święta swego Wniebowzięcia w r. 1887.

Nad trumną jenerała w Paryżu i w Loigny, gdzie spoczął, nie zagrzmiały działa, nie rozległy się dźwięki bębnów i wojskowego hymnu, nie pochyliły się z pożegnaniem ostatniem sztandary francuskie, które chwałą nieśmiertelną okrył, ani obie zdobyte na wrogu chorągwie. Ukaz wolnomularskiego ministra zabrania wojsku francuskiemu przekraczać próg świątyni — bezwyznaniowego hołdu na ulicy jenerał sam mieć nie chciał po zgonie. Francya urzędowa, loża panująca odwracała się od trumny, w której spoczęła część wojennej chwały narodu i jedna z pięknych kart jego dziejów. Ale szczątki śmiertelne świętego żołnierza otoczyły tłumnie wierne, Boga i ojczyznę kochające

serca. Szeregi żołnierzy i oficerów nie obawiały się kompromitacyi, spiesząc na pogrzeb w tej bazylice w Loigny, zrestaurowanej kosztem całej Francyi na chrześcijański panteon dla bohaterów z pod Loigny i na przybytek ofiarny ku czci Boskiego Serca Jezusa, pod którego chorągwią szedł walczyć i ginąć zastęp walecznych. Ostatnią swą wolą nakazał generał, aby zwłokom jego pogrzeb sprawiono ubogich. Wolę spełniono — ale dookoła drewnianej trumny, zawierającej ciało bohatera, jaśniały na tarczach, promienne chwałą, imiona: Solferino, Maroko, Ain-Mahdi, Metlili, Loigny — a nad trumną krzyż białe swe ramiona wyciągał do wiernego sługi, który ojczyznę dlatego tak gorąco ukochał i dlatego służył jej tak świetnie, bo kochał ją i służył jej w Bogu.

Wojsko francuskie przez usta generała Lhotte, przedstawiciela ministra wojny na żałobnej uroczystości, nazwało generała de Sonis „Bayardem bez bojaźni i skazy“, a życie jego — wielkim wzorem dla żołnierzy i narodu. Francya chrześcijańska, żegnając się z nim wymownemi słowy ks. biskupa Freppela, żegnała go z weselem i nadzieją, jak się żegna błogosławionych. „Nie wiem, — wołał w uniesieniu słów ostatnich pobożny pasterz z Angers — nie wiem, czy na błagania wiernych Bóg cudami zechce uświęcić to miejsce błogosławione; nie wiem, czy Kościół policzy między Świętych człowieka, którego cnoty doszły aż do bohaterstwa. Ale to wiem, że Loigny stanie się celem pielgrzymki dla tych, którzy zechcą się podnieść wzorem poświęcenia i żołnierskiej cnoty, i że pamięć zmarłego przejdzie pokolenia, otoczona czcią ogólną i uwielbieniem — albowiem człowiek ten wielkim był przed ludźmi i wielkim przed Bogiem“.

In spem vitae hic depositus est et requiescit miles Christi.

Te skromne słowa wyryto na grobowcu generała de Sonis. „Ten, który żył na ziemi nadzieją nieprzemijającego żywota, odpoczywa dziś w spokoju — dobry żołnierz Chrystusowy“.

Ks. Jan Gnatowski.

DZISIEJSZY SOCYALIZM WOBEC ŚWIATŁA ROZUMU.

VI. Socjalistyczna teoria wartości.

Drugi czynnik, który ma pozór naukowości i stanowi podstawę socjalizmu — to swego rodzaju teoria wartości. Jak kuglarz kulkami, tak Marx igra tu ideami. Przypatrzmy się tej manipulacyi. Cel, do którego zmierza, jest przewrót istniejących stosunków własnościowych: precz z kapitalistami, a zatem i z własnością prywatną! Czyje mają być dobra, tak natury jak produkcyi? — ludu roboczego! Więc pracę należy przedstawić jako jedyne źródło własności. W jakiż tedy sposób dochodzi Marx do tego rezultatu? Za pierwszy stopień służy mu twierdzenie: „Tylko praca ludzka wytwarza wartości wymienne“. Choć to zdanie brzmi bardzo niewinnie, chociaż nie zdaje się dotyczyć interesów społeczeństwa, jednak Marx podminowuje niem obecny ustrój społeczny. By jednak dobrze zrozumieć powyższe zdanie, trzeba najprzód przypatrzeć się bliżej pojęciom w skład jego wchodzącym. Co to jest wartość wymienna? Wartość wymienna jakiejś rzeczy, jest to jej przydatność do zamiany na inną, do nabywania za nią rzeczy potrzebnych, jednym słowem do płacenia. Ponieważ zaś w życiu codziennem pieniądz jest zwykłym środkiem wymiany, przeto wartość wymienna równa się cenie, za którą się towar sprzedaje lub kupuje. Uważając znów wartość wymienną abstrakcyjnie — jest to możebność zamiany jednego artykułu za drugi, czyli wyraża równość

wartości dwóch towarów. Surdut np. wymienia krawiec za 20 złr.; przeto 20 złr. stanowi jego wartość wymienną.

Lecz skąd towar nabywa tej wartości wymiennej, cóż mu ją nadaje? Marx odpowiada: Tylko praca weń włożona; to znaczy przy surducie np. praca potrzebna do przygotowania wełny, zrobienia sukna, a nareszcie do uszycia samego surduta. Ta praca jedynie wytwarza wartość; ona tylko stanowi istotę wartości. I ta też praca tylko, skryształizowana niejako w towarze, może być uważana za kosztą produkcyi. Czy to prawda? Że praca użyta do produkcyi jakiegoś towaru należy w pewnej mierze do istoty wartości, to jest niezaprzeczalnym pewnikiem, lecz że nic innego w jej skład nie wchodzi, to gołosłowne i fałszywe twierdzenie. Wełna, z której się produkuje sukno, nie jest dziełem ręki ludzkiej; wełnę tę daje owca, a i ona nie jest wyłącznie rezultatem pracy ludzkiej; pasza, którą się żywi owca, wymaga również nie samej tylko pracy ludzkiej, ale i roli; maszyna, w której się wełna przerabia na sukno, wymaga nie tylko ludzkiej pracy, ale także kopalni żelaza i węgla, tego ostatniego potrzeba i do zrobienia samej maszyny i do jej ruchu.

Zatem do uszycia surduta potrzeba czegoś więcej, niż samej tylko pracy ludzkiej, gdyż ta właśnie praca wymaga koniecznie jakiejś materyi powstałej poza nią, czyli mnóstwa rzeczy, których dostarcza przyroda, które przeto wraz z ludzką pracą w towarze się zawierają. Marx to wszystko przyznaje, ale odpowiada, że to wszystko, czego przyroda dostarcza, nie ma wartości wymiennej; ziemia, wiatr, woda, ruda żelazna, drzewo, mogą być wprowadzone przez nas użyte, ale nie mają takiej wartości, któraby się dała na inną wymienić; wtedy jej tylko nabywają, gdy ludzie włożą w nie swą pracę¹. Lecz to jest właśnie twierdzenie, którego Marx nie udowadnia, a którego dowieść był powinien. Gdyby wszystek tak różnorodny surowy materiał sam w sobie żadnej nie miał wartości, to słusznie można powiedzieć, że wartość polega jedynie na pracy złożonej

¹ Marx, *Kapitał*, p. 193.

w towarze. Zamiast dowodów, Marx podaje niektóre przykłady. Najprzód: Spekulant sprowadza drzewo z dziewiczych lasów Ameryki, by je spieniężyć na targu europejskim. Tam drzewo to żadnej nie ma wartości wymiennej, gdyż nikt za nie nie daje. Zatem nie ma jej także na targu europejskim; stąd wartość, jaką w Europie otrzymuje, może tylko być z pracy, która była potrzebna, by je sprowadzić do Europy. Więc praca, i to wyłącznie praca w drzewie złożona, stanowi jego wartość wymienną. Cóżby na to powiedzieli nasi właściciele lasów, jak niemniej i nasi właściciele kopalń lub gruntów? Lasy dziewicze, być może, że nie mają pana; ale inaczej rzecz się ma z naszymi lasami, z naszymi kopalniami i polami. My zamieniamy nasze produkta naturalne nie tylko za wartość kosztów naszej pracy, lecz i za to, co nam przyroda na naszym gruncie wydaje. Na to odpowiada Marx: robicie źle, gdyż tylko wartość wymienną, na pracy polegającą, można uważać za swą własność. Cały ten wrzekomy dowód Marxa jaśniej można przedstawić w następujący sposób: Jedynie praca daje wartość wymienną; albowiem produkta naturalne, które w połączeniu z pracą stanowią pewną całość, same przez się żadnej nie mają wartości wymiennej; nie mają jej zaś dlatego, że w gruncie rzeczy nie są niczyją własnością, a to znów z tej przyczyny, że same w sobie nie są rezultatem pracy, a tylko praca daje tytuł własności, gdyż własność nie jest niczem innym, jak wartością wymienną, wynikającą z pracy w towarze zawartej. Takie dowodzenie w zwykłej logice nazywa się „błędem kołem“ (*circulus vitiosus*). Drugi przykład, na którym chce pokazać, że wszystka wartość wyłącznie polega na pracy, da się w taki sposób sformułować: Maszyna przez dzienną swą pracę traci część swej wartości. Czy wartość ta całkiem ginie? Nie, bynajmniej! Wartość, którą traci maszyna, przechodzi na wykonaną pracę. Ile maszyna traci na wartości, tyle zyskuje towar; a to, co maszyna traci, jest złożoną w niej wartością pracy ludzkiej. Tak samo rzecz się ma z wszystkimi środkami produkcyjnymi, z wszystkimi narzędziami; wszystkie one właśnie tyle wartości przenoszą na towar, ile same jej tracą w tym procesie produkowania; ta

strata z jednej, a zysk z drugiej strony stanowi wartość wymienną towaru. Jeżeli przeto środek produkcyjny nic nie traci na wartości, to i nic jej nie oddaje towarowi; a jeżeli na wartości nic nie traci, to też nie ma jej wcale. Tak rozumuje Marx, nie widząc jaki fatalny skok zrobiła jego logika.

Co powiedział o narzędziach, to stosuje także do środków produkcyjnych, które istnieją bez współdziałania ludzkiego, jakimi są np. ziemia, wiatr, woda, ruda żelazna, drzewo w dziewiczych lasach i t. p. Powiada więc Marx, że te środki produkcyjne w procesie produkowania nic z wartości nie tracą, a tem samem i nic wartości nie przenoszą na towar; a więc: wartość towaru stanowi jedynie wartość pracy włożonej w towar. Wiatr, którego potrzebuje młynarz do obracania swego wiatraka, przy tej pracy nic ze swej wartości nie traci, jeszcze tysiąc innych wiatraków równie dobrze może obracać; wiatr nie ma przeto żadnej wartości, którąby mógł przenieść na mąkę, stąd i młynarz nie może przenieść wartości wiatru na mąkę, lecz tylko wartość własnej swej pracy. Jak z wiatrem, tak samo się rzecz ma ze wszystkimi naturalnymi środkami produkcji: „żadnej nie mają wartości, ponieważ nie są wynikiem pracy ludzkiej“. Ależ tego właśnie należało dowieść, „że tylko to ma wartość, czyli może być sprzedanem, co jest produktem pracy ludzkiej!“; więc p. Marx popełnia tu znowu błąd, zwany *petitio principii*, w którym to, co dopiero ma być dowiedzione, bierze się za podstawę dowodu, a który prowadzi do błędnego koła.

Prócz tego właściciel kopalni lub roli wątpię bardzo, żeby się zgodził na to porównanie z właścicielem wiatraka. Wiatr nie może przejść na jego własność, stąd też młynarz nie może go sprzedać i nie może ceny mąki o tyle podwyższyć; ale posiadacz kopalni może nabyć szyb kruszcowy na własność, i cała ruda, jaka się w nim zawiera, którą wyprodukowała natura, ma dla niego wartość wymienną. Rolnik może nabyć kawałek gruntu, a wskutek tego wegetacya na nim nabędzie wartości zupełnie tak samo, jak własna praca rolnika. A więc jedno i drugie razem wzięte stanowi wartość wymienną płodów rolnych. Oczywiście i tu twierdzi Marx, że to prawo własności, które sobie

przypisuje właściciel kopalni lub roli, jest niesprawiedliwością. Lecz tego nigdzie nie dowodzi; a jeśli to gdzie uczynić się stara, wpada zaraz we wspomniany sofizmat: *petitionis principii*. A zatem produkt natury ma także wartość, która może być spieniężoną, i to bez względu na łączącą się z nim pracę ludzką.

Lecz nie tylko produkt naturalny wywiera wraz z pracą wpływ stanowczy na wartość wymienną towaru, ale nadto jego użyteczność. Komu towar jakiś jest nieprzydatny, ten go nie nabywa drogą wymiany. Krawiec nie kupi sobie pługa ani lokomotywy, ale żelazko, nożyczki, igły. Lecz powie może Marx: przydatność jest tylko koniecznym warunkiem wymiany, nie zaś jej wartością. Przypatrzmy się temu bliżej. Kupiec sukna jeden gatunek sprzedaje po 5 złr., drugi po 3 złr. za metr. Skąd ta różnica? Koszta roboty mogą być w obu razach bezwzględnie te same, ale jedno sukno, z lepszej wełny, jest trwalsze, niż drugie, zrobione z gorszego materiału, czyli jednym słowem: jest przydatniejsze, ponieważ lepiej odpowiada potrzebie. Stąd też ta różnica ceny skutkiem rozmaitego stopnia użyteczności. Takie obliczanie ceny jest faktem naszego życia codziennego, w czym nikt nie dopatry się jakiegoś wyzyskiwania lub czegoś nierozumnego. Przeciwnie każdy sukiennik wysmiałby p. Marxa, gdyby mu tenże zaczął rozwijać swą teorię o równych kosztach roboty i chciał mu tę samą płacić cenę za gorsze, co i za lepsze sukno.

Równie jasną jest rzeczą, że wielka lub mała ilość towaru, czy on jest produktem natury czy też przemysłu, w pewnych razach także oddziaływa na jego wartość wymienną. Jeśli np. ilość zboża wystawionego na sprzedaż jest daleko mniejsza od potrzeby, a zatem i od popytu, rośnie jego wartość wymienna, czyli cena idzie w górę; a jednak nie tylko koszta roboty są te same, ale i jakość towaru się nie zmienia. Jeśli znowu ilość zboża jest znacznie większa od potrzeby i popytu, ceny spadają. Nikt przeciw temu nie występuje, każdy to znajduje zupełnie naturalnem, choć nie zawsze wygodnem. Tak samo rzecz się ma z wyrobami przemysłu: przy zbyt małej produkcji ceny idą w górę, przy zbyt wielkiej, spadają; jest to fakt, wobec którego

Marxowska teoria wartości ostać się nie może. Któż tu ma słuszość: czy filozofowie *à la* Marx, czy też zdrowy rozum ludu, godzący się na to prawidło?

Mamy nadzieję, że w państwie socjalistycznym nie będzie ani za małej ani za wielkiej produkcji, ponieważ wszystko tak będzie mądrze urządzone, że równowaga między produkcją a konsumpcją zawsze się utrzyma. Ale czy potrafią stworzyć też samą równowagę i w produktach natury?

Zdaje mi się, iż z tego, cośmy dotąd powiedzieli, jasno się okazuje, że wartość wymienna nie zależy jedynie od pracy i kosztów roboty. A więc Marx i starsi jego mistrzowie, Adam Smith i Ricardo ze szkoły manczesterskiej, są co do tej teorii w błędzie; a szantaż Marxa zależy na tem, że słowu wartość wymienna mogą dwa odmienne odpowiadać pojęcia, które Marx ustawicznie według potrzeby z sobą miesza — świadomie czy nie, w to nie wchodzę. Wartość wymienna może najprzód oznaczać, że przedmiot jakiś jest odpowiedni do wymiany za inny przedmiot równej wartości; powtórę wyrażać może wartość realną, czyli substancję wartościową, dającą podstawę i miarę wartości wymiennej. Jeżeli Marx powiada, że wartość wymienna zupełnie jest niezależna od użyteczności i przydatności, to ma rację w pierwszym znaczeniu tego słowa. Gdy się bowiem pytam kupca, ile surdut kosztuje, a on mi odpowiada: 20 złr., to nie pytam się o jego przydatność, ani też o pracę w tym surducie zawartą, lecz tylko o równoważnik pieniężny, czyli o cenę, za którą surdut mogę nabyć. Skoro się jednak pytam dalej, czy surdut rzeczywiście jest wart 20 złr., to oczywiście chcę wiedzieć, czy ta wartość wymienna słusznie jest oznaczona, tj. czy odpowiada rzeczywistej i istotnej wartości przedmiotu. I dlatego też kupiec dowodzi mi tej wartości nie tylko pracą w ten surdut włożoną i kosztami roboty, lecz nadto zwraca moją uwagę na jakość i trwałość sukna, czyli długoletnią użyteczność surduta, a może jeszcze będzie mi mówił o wysokich cenach targowych wełny, tj. że mały jest jej dowóz w stosunku do popytu; wreszcie w duchu doda jeszcze swój zysk, którego słusznie i sprawiedliwie może wymagać, by

miał z czego żyć. Z wszystkich więc tych czynników razem wziętych wynika i sama wartość wymienna i jej pewna oznaczona wysokość.

Ale idźmy dalej za Marxem. Dla niego jest rzeczą pewną, że wszelka wartość wynika jedynie z pracy. Lecz jakże powstaje kapitał, czyli nagromadzenie ilości wartościowych w jednym ręku, i to nieraz w ręku człowieka, który sam nie pracuje wcale? To jest drugie pytanie, a pytanie zasadnicze w całej teorii Marxa. Odpowiada on na nie, że sama zasada tworzenia kapitałów jest niesprawiedliwością, wyrządzaną robotnikowi przez kapitalistę. Praktyczne zastosowanie tej odpowiedzi, tj. przewrót obecnych stosunków społecznych, wynika już potem samo z siebie jako prosta konsekwencja.

Że przy tworzeniu kapitału, czyli przy gromadzeniu wartości, uzyskanych z produkowanych towarów, może się nieraz wcisnąć niesprawiedliwość, tego nikt nie zaprzecza. Ale żeby samo produkowanie kapitału było z istoty swej niesprawiedliwym, to jest twierdzenie gołosłowne Marxa, którego nie dowiódł. Weźmy prosty przykład. Dwóch rolników posiada równe obszary roli, obaj uprawiają je przy pomocy swej rodziny i żywego inwentarza. Rola jednego wydaje mimo wszelkich starań tyle tylko, ile potrzeba do utrzymania rodziny; rola drugiego przy równej pracy wydaje dwa razy tyle; na utrzymanie rodziny wystarcza mu więc połowa dochodu, drugą odkłada. I tak postępując z roku na rok, staje się kapitalistą, gdy tymczasem pierwszy zaledwie potrzeby swoje opędzić potrafi. Komuż tu kapitalista czyni krzywdę? Marxowi o odpowiedź nie trudno; powiada on, że samo posiadanie własności, z której bez pracy zbijać można kapitał, już jest niesprawiedliwością. Ależ cóż po takiej odpowiedzi, kiedy tego właśnie trzeba było dowieść. Wychodzi tu znów na wierzch ów nieszczęsny błąd logiczny, tj. że się bierze za pewnik to co dopiero ma być dowiedzionem, czyli owo nieszczęsne wyłudzenie zasady (*petitio principii*), na które ta logika choruje. Ród ludzki od wieków ma to przekonanie, że prawo własności odnosi się i do takich rzeczy, które więcej przynoszą dochodu, niż tego wymaga utrzymanie życia właściciela;

prawo to polega na niezbitej prawdzie, że posiadanie ma za cel korzyść z posiadanej rzeczy; tymczasem pewnego pięknego poranku p. Marx i jego przyjaciele powiadają, że ród ludzki od wieków był w błędzie, kradzież brał za sprawiedliwość! Takie twierdzenie wymaga przynajmniej jak najściślejszego dowodu, zupełnego obalenia wszystkich racyj, podawanych na obronę własności zyskowej.

Cośmy powiedzieli o składaniu kapitału zapomocą własności ziemskiej, rozumieć trzeba i o każdym innem odkładaniu. Weźmy np. dwóch rzemieślników, pracujących w tym samym zawodzie. Jeden jest zdatniejszy i pilniejszy, i dlatego produkuje w tym samym czasie towar lepszy i w większej ilości; drugi pracuje mniej pilnie i mniej zręcznie, i przeto wyrabia przedmiotów mniej i w gorszym gatunku. Tamten ma dochody większe, o wiele przewyższające jego wydatki, ten zaś ledwie tyle zarabia, ile mu na pokrycie ich potrzeba. Pierwszy z czasem stanie się kapitalistą, gdy drugi zawsze będzie musiał walczyć z niedostatkiem. Tamten pozostawi dzieciom swoim majątek, do którego one nie przyłożyły ręki; po drugim dzieci nie otrzymają nic. Tu widzimy nagromadzenie kapitału wyłącznie skutkiem zręczności, pracy i pilności. Gdzież tu jest niesprawiedliwość? Prawda, że dzieci posiadają kapitał bez pracy; ale czyż ojciec postąpił niesprawiedliwie, że pozostawił dzieciom zapracowany przez siebie majątek!?

Przysłuchajmy się teraz Marxowi, który z całym arsenałem uczoności zabiera się do udowodnienia swej tezy. Prowadzi on nas do właściciela przędzalni, który kupił za 10.000 złr. bawełny (liczby bierzemy tu dowolne), drugie 10.000 złr. poszło na płacę robotników, a jeszcze 10.000 złr. na koszt urządzenia fabryki. Przeto nici wyprzędzone kosztują go tylko 30 tysięcy złr.; on jednak je sprzedaje za 40 tysięcy złr. Czy ta nadwyżka 10 tysięcy odpowiada może własnej jego pracy? Bynajmniej, gdyż on sam wcale przy tem nie pracował; nawet nadzór nie jest jego pracą, lecz dyrektora i dozorców, których pensya już wliczoną została do płacy robotników. Tak więc ów fabrykant bez najmniejszego prawa przywłaszcza sobie

tę nadwyżkę i usprawiedliwia jeszcze takie swoje postępowanie „czczemi frazesami umyślnie na to płatnych profesorów ekonomii społecznej“. Taki mniej więcej jest wywód Marxa¹. Gdyby ta argumentacja była słuszną, jakież uczciwy człowiek chciałby zakładać przedsiębiorstwo? Właściciel fabryki sądzi, że ma prawo do zysku ponad kosztą roboty. Już to samo, że fabrykę buduje i utrzymuje, że szuka dla niej odpowiednich robotników i urzędników, że jako znawca oblicza rozmaite szanse, które mieć będzie produkcyą, że wyszukuje odpowiednie rynki zbytu i przewiduje jego możliwą ilość, że bierze na siebie niebezpieczeństwa i ryzyko połączone z fabrykacyą — te i tym podobne rzeczy są w rozumieniu ekonomicznem rzeczywistą pracą umysłową, za którą można słusznie żądać wynagrodzenia, tem większego, im doskonalej wszystko to się odbywa. Krótko bardzo widzi, kto tylko temu pracę przyznaje, który stoi przy wrzecionie i przędzie. I przedsiębiorca fabryczny pracuje na swój sposób, a ten zysk, jaki otrzymuje przy sprzedaży, może z czystem sumieniem schować jako swój zarobek, bez odwoływania się do „czczych frazesów ekonomistów społecznych“. Niekoniecznie też czczym frazesem jest wszystko, co oni mówią.

Ale Marx tłumaczy nam tajemnicę „robienia kapitałów“ w inny sposób. Posłuchajmy go. W pracy dziennego robotnika należy zwrócić uwagę na dwie odrębne ilości: 1) na pracę potrzebną do utrzymania siły roboczej, tj. do uzyskania środków na całodzienne utrzymanie robotnika; na to wystarczy może 6 godzin pracy. Drugą ilość stanowi żywa praca, tj. rzeczywista praca dzienna, która jest dwa razy tak wielka, jak praca potrzebna do utrzymania robotnika lub do produkcyi siły roboczej. Jak się zachowuje pracodawca wobec dwóch tych ilości? Kupuje albo wynajmuje siłę roboczą robotnika na cały dzień pracy, wynoszący 12 godzin; płaci natomiast za cały ten dzień pracy tyle tylko, ile robotnik potrzebuje na utrzymanie życia, i co zarabia rzeczywiście w ciągu 6 godzin; za drugie 6 godzin pracy nie otrzymuje robotnik nic, pracodawca zaś i za te dru-

¹ Str. 178 i nast.

gie 6 godzin otrzymuje zapłatę, sprzedając towar przy 12-godzinnej pracy wyprodukowany. Zatem robotnik w dziennej swej pracy daje 6-godzinną niepłatną robotę; pracodawca zaś otrzymuje zapłatę za tę robotę, której sam nie płaci, i ta zapłata jest właśnie owem *plus*, „mającym dla kapitalisty cały urok stworzenia czegoś z niczego“ (str. 206 i nast.). W taki sposób dodają się codziennie plusy do plusów, a przy setkach i tysiącach robotników szalenie prędko dochodzi się do Rotszyldowskiego majątku — a cały ten majątek, to niewynagrodzona praca robotników... Oczywiście na robotnikach rachunek ten wywrze wrażenie, tem więcej, że nie poznają się na sztuczках w nim ukrytych. Robotnik z tego rachunku bardzo łatwo praktyczną wyciągnie konkluzję, mniej więcej taką: „Kto ma pieniądze, może sobie sprawić maszyny i zakładać fabryki; kto posiada fabryki, musi mieć robotników; robotnicy pracują cały dzień, a otrzymują zapłatę tylko za pół dnia; druga połowa tej zapłaty idzie na kapitał pracodawcy, a robotnik tymczasem musi żyć w biedzie i niedostatku. A więc przyczyną tej nędzy nie jest ani chciwość tego lub owego pracodawcy, ani zbyt wielka ilość sił roboczych, w stosunku do potrzeby produkcji — ale jest nią własność prywatna wogóle, bo kto ma swoje pieniądze, ten może sobie trzymać robotników i wyzyskiwać ich — więc precz z prywatną własnością! Ona to rozdziela ludzkość na dwa obozy: posiadaczy i robotników, ciemiejących i ciemieźzonych. By nędzy tej zapobiedz, nie pomogą żadne reformy; dawny porządek własności musi być z gruntu zmieniony — a zatem rewolucja socyalna“. Oto ostateczna konsekwencya naukowego socyalizmu Marxa i jego towarzyszków.

Ale wróćmy jeszcze na chwilę do ich rachunków. Najprzód to ogólne zdanie, że każdy zysk i każde nagromadzenie kapitału pochodzi z niewynagrodzonej pracy robotnika, jest fałszywe. Już wyżej widzieliśmy, że rzemieślnik przy większej pilności i zręczności więcej towaru produkuje i w lepszym gatunku, niż inny mniej pilny i zręczny, a skutkiem tego i wyższe otrzymuje ceny; dodajmy do tego, że i w wydatkach swoich może jest oszczędniejszym. Zarabia więc więcej, niż potrzebuje do

utrzymania swej siły roboczej, i z tego codziennego *plus* rośnie w jego rękę kapitał, gdy tymczasem drugi z ciągłym walczy niedostatkiem. Gdzież tu jest niewynagrodzona praca robotnika?

Tak samo rzecz się ma z rolnikiem, zarabiającym koniem. Każdy koń 6-godzinną pracą zarobi na swe utrzymanie, jednak pracować może i pracuje godzin 12; a właściciel konia bierze zysk i z tych drugich 6-ciu godzin pracy. Gdzież tu jest niewynagrodzona praca robotnika? Dalej — ktoś nabywa młody las za prawdziwą wartość wymienną, czyli za słuszną cenę; po 20-tu latach sprzedaje go za cenę dziesięćkroć wyższą, a w tym czasie — przypuśćmy — nikt inny w nim nie pracował, tylko natura swą siłą wegetacyjną: jakże tu może być mowa o niewynagrodzonej pracy robotnika? I tak samo dzieje się w tysiącnych innych przypadkach. Więc powyższe ogólne twierdzenie, że kapitał powstaje z niewynagrodzonej pracy ludzkiej, jest fałszywe.

Oczywiście i tu znowu powiedzą nam socjaliści, że rośnięcie kapitału bez ludzkiej pracy jest tylko wynikiem własności, własność zaś bez pracy ludzkiej jest kradzieżą; ale to jest znów sofizmat zwany *petitio principii*, tak częsty w nauce socjalistycznej.

Lecz przypatrzmy się jeszcze owej niewynagrodzonej pracy robotnika. Zapewne, że niesumienne i bezbożne wyzyskiwanie biednego człowieka, przykutego do maszyny, jest najważniejszym powodem jego niedoli i goryczy; ale pojedyncze nadużycia złych ludzi wystawiać jako system społeczny, to jest po prostu oszczerstwo rzucone na przedstawicieli tegoż systemu. Jakże się zwyczajnie dzieje z wynajmem sił ludzkich? Robotnik ofiaruje pod pewnemi warunkami swą siłę roboczą, a pracodawca ją nabywa. Rozróżnić w niej należy trojaką wartość, którą zna równie dobrze robotnik, jak pracodawca. Najprzód należy wziąć na uwagę kosztu produkcji tej siły roboczej, czyli wartość wszystkich środków potrzebnych robotnikowi do utrzymania życia. Powtóre wartość wydajną pracy czyli użyteczność pracy, tj. wartość, którą pracodawca osiąga, sprzedając towar, przez pracę uzyskany. Trzecią nareszcie wartością jest sama wymienna wartość pracy,

czyli zapłata, za którą robotnik pracę swoją wynajmuje. Ta zwykle mieści się pomiędzy dwiema pierwszemi, raz do jednej, to znowu do drugiej więcej się przybliżając, stosownie do rozmaitych okoliczności.

Robotnik, wiedząc z jednej strony ile potrzebuje do utrzymania swego życia, z drugiej ile pracodawca z jego pracy będzie miał zysku — nie zadowolni się tem, co do utrzymania życia dlań jest niezbędnem, ale będzie żądał większej płacy dziennej, aniżeli potrzebuje naienne swoje utrzymanie. Tę nadwyżkę obróci na utrzymanie rodziny, na wychowanie dzieci, na nieprzewidziane wypadki, na chorobę i starość. Wartość ta wymienna czyli płaca za robotę może wprawdzie z wielu powodów i okoliczności być zniżoną. Jeżeli za wielka jest podaż siły roboczej, czyli za wielu robotników przy zbyt małym popycie na wyrabiany towar, wtedy obniża się wartość wymienna, czyli płaca za dokonaną robotę. W takich okolicznościach wartość wymienna może spaść aż do wartości produkeyi siły roboczej, w którym to razie robotnik od biedy jeszcze może wyżyć; ale może też spaść jeszcze niżej, a wtedy bieda obiera sobie w jego chacie mieszkanie. Jeżeli zaś, wskutek popytu na towar, duży jest popyt na siłę roboczą, wtedy na korzyść robotnika wzrasta wartość wymienna jego pracy, czyli płaca za łożoną robotę.

Najważniejszy powód ustawicznie popełnianego przez Marxa błędu jest, że jako prawo dzisiejszej kapitalistycznej produkeyi stawia wymienną wartość pracy, czyli płacę robotnika, równą wartości produkcyjnej jego siły roboczej, czyli że płaca równa się środkom codziennego utrzymania, tj. że nigdy większej płacy, aniżeli wymagają jego potrzeby, nie otrzymuje.

Dalej, czy może rozumny robotnik żądać całej wartości, jaką pracodawca może uzyskać ze sprzedaży towaru? Bynajmniej! pracodawca chce również wynagrodzić sobie wszystkie kłopoty, troski i niebezpieczeństwa w interes włożone; gdyby tego nie miał nadziei uzyskać, nie zakładałby przedsiębiorstwa, nie najmowałby robotników, a ci nie zarabialiby w fabrykach nawet na utrzymanie życia. A więc to *plus*, jakie pracodawca zarabia przy sprzedaży towaru, a które przewyższa pracę ro-

robotnika, nie jest niezapłaconą jego pracą, ale zapłatą za własną pracę pracodawcy; i tu zawiera się drugi powód błędnego zapatrywania się Marxa, gdy wyższą płacę pracodawcy wystawia jako niezapłaconą pracę robotnika, a tem samem każdego pracodawcę jako upiora wysysającego krew robotnika.

Taką więc jest okrzyczana naukowość socyalizmu. Kłamstwo i sofistyka podają sobie ręce, aby podżęgać robotników przeciw pracodawcom; bo stąd łatwy już krok do rewolucyi, do przewrotu stosunków własnościowych, do przewrotu całego ustroju społecznego.

Ze wszystkiego, cośmy w tym artykule powiedzieli, okazuje się dostatecznie, gdzie trzeba szukać środków do usunięcia obecnych przykrych stosunków socyalnych. Nie własność znosić należy, ale jej nadużycie czyli przewagę kapitału, a robotnikowi, jęczącemu pod jej jarzmem, trzeba przyjść w pomoc, chroniąc go materyalnie i moralnie przed nadużyciami złych kapitalistów. Oto obowiązek dzisiejszego społeczeństwa, jeżeli nie chce być zniszczonem przez nadechodzącą burzę socyalną. Lecz o tem później.

Ks. Antoni Langer.

NA SŁOWACZYŹNIE.

WRAŻENIA Z PODRÓŻY.

I.

Kilkanaście miesięcy temu, w mroźny, lutowy wieczór przywiózł mię do Zwardonia węgierski pociąg; biała, gęsta płachta śniegu pokrywała sąsiednie góry i lasy; niewielka stacyjka kolejowa sama w śniegu się nurzała; kilku kolejowych, różnego stopnia i urzędu, posługaczów, kilku górali, tuliło się w idealnie brudnej izbie, „czekalnią“ urzędowo zamianowanej, zacierało ręce, grzało się na wyścigi piwem i „palenką“. Obecnie, gdy w prześliczny majowy wieczór, galicyjski pociąg przed zwardońską stacyę zajechał, wierzyć się w pierwszej chwili nie chce, że to ta sama, śniegiem, wichrem, zimnem, sybiryjsko-kamczadałskim jakimś kolorytem pamiętna ci miejscowość: góry, otaczające wiankiem kolejowe zabudowania, mieniają się w oświetleniu ostatnich promieni zachodzącego słońca we wszystkie tony zieleni; z daleka, na stokach gór, błyszczą tu i ówdzie rozpalone przez pasterzów ognie; bliżej, w zakrytym krzakami parowie, górski potok odgrywa smętne swe melodye. Czy to ten sam Zwardoń? „Hej! palenki! palenki!“ — miesza się z poetycznym szmerem strumyków prozaiczny odgłos, dochodzący przez otwarte okna z karczmy-czekalni; balsamiczne górskie wonie ustępują ze wstydem przed barbarzyńskim wojskiem wyziewów z alkoholu, starego masła i ludzkiego potu. Witaj Zwardoniu! teraz doskonale cię już sobie przypominam.

W karczemnej izbie — chciałem powiedzieć: w poczekalni trzeciej klasy — pełno i gwarno. Przy osobnym stoliku zasiadła arystokracja, złożona z paru kolejowych konduktorów i palaczków, tak zwanych po galicyjsku „hajcerów“; piją zwolna piwo, a jeden opowiada o zaszłej niedawno temu tragicznej śmierci znanego wszystkim „dobrego kolegi Józka“, którego lokomotywa w kawałki rozszarpała. Inną gromadkę zebrał koło siebie rymarz z Jabłonkowa, i z zacięciem, którego niejeden nowelista mógłby mu pozazdrościć, tworzy formalną epopeję o wybuchających przed paru laty w rodzinnej swej siedzibie z dnia na dzień pożarach; opiewa swe czyny, swą śmiałość, roztropność. Pocięwy rymarz snuł swą epopeję po polsku; dopiero ujrawszy czarny strój w kółku słuchaczów, zwrócił się nagle w naszą stronę z językiem niemieckim, i choć wszelkimi sposobami usiłowałem go znowu sprowadzić na polskie tory, nie chciał sobie dać wyperswadować i wciąż popisywał się swą znajomością, a raczej nieznajomością, niemieckiej gramatyki. W głębi izby koło wielkiego pieca, niemniej gwarno: tu rozłożyło się taborem kilkunastu górali, od czasu do czasu „palenki“ próbują, ćmią bezustannie fajeczki i papierosy, a jeden, od natury czy od palenki największą zdolnością obdarzony, zabawia towarzyszków swemi dowcipami i błazeństwami.

— Skądże to jesteście, dokąd jedziecie?

Górale spojrzeli po sobie; widać było, że mi nie ufali, że bali się, czy nie jestem jakim przebranyim urzędnikiem, żandarmem; czy z drogi ich zawrócić nie myślę? Chwilę trwało milczenie; wreszcie błaznujący dopiero co góralski aktor, któremu rzucone znienacka zapytanie przerwało humor do dalszego ciągnięcia rozpoczętego właśnie przedstawienia, zdjął czapkę, poskrobał się w głowę i zamruczał:

— A my od Odelgowic.

Powoli, nie nalegając zbyt, dowiedziałem się nietylko skąd, ale i dokąd ta wyprawa ciągnęła. Jedni do Pesztu, do murarki; byli tam przeszłego, byli zaprzeszłego roku, niektórzy poznali się z Pesztem od długiego szeregu lat i regularnie każdej wiosny jadą na zarobek do węgierskiej stolicy. Drudzy aż hen

za Peszt, „na pulsztę, paść wieprzki, z przeproszeniem“. Czy dobrze im tam będzie, czy przyniosą do domu porządnie wypchaną sakiewkę? Odpowiedzi brzmią dość melancholicznie. Dobrze? — naturalnie, że dobrze nie będzie, że trzeba będzie i chłodu i głodu zażyć, a co najgorsza, kto wie jeszcze, czy znajdzie się, czy zaraz się znajdzie choć jakikolwiek zarobek. Ale co tu począć? „Człowiek pracować chce i musi, a w domu pracy niema, w domu chleba niema; trzeba pracy i chleba gdzieindziej szukać“.

Z identycznie tą samą odpowiedzią spotkał się przed kilku godzinami gorliwy, służbisty żandarm w Suchej, kiedy indagał słowacką jakąś rodzinę, czemu własny kraj i wieś porzuca, czego w Ameryce szuka? Biedni polscy górale, równie biedni węgierscy Słowacy, puszczają się z nastaniem wiosny wezbraną falą w różnych kierunkach, za Dunaj, za Wisłę, za Atlantyk, z kosą lub drutem, z kielnią lub kilofem; ale w jednym celu, w ścisłym, w najściślejszym słowa znaczeniu: za chlebem. Jadąc w tym czasie górnemi Węgrami, możesz do syta napatrzeć się temu pospolitemu ruszeniu, tej prawdziwej wędrówce narodów. Na każdej niemal stacyi cisną się tłumy Słowaków; gra muzyka obstalowana przez peszteńskich przedsiębiorców, przez sprytnych agentów; rozlegają się z dworców, z wagonów słowackie pieśni; przygłuszają je śmiechy dziewcząt, okrzyki ściskających pięści i walczących ze sobą na żarty, a przez pół na prawdę, dziarskich „šuhaj'ów“. W nocy znowu dworce kolejowe, na większych stacyach, w Żylinie np. lub Ruttee, zmieniają się w olbrzymie obozowisko; przez salę trzeciej klasy próżno przecisnąćbyś się próbował, tak cała szczelnie wypełniona wędrowcami rozciągniętymi na pierzynach, kto je z sobą wiezie; w znaczniejszej części na gołej ziemi, na błotem i prochem obmalowanej guni, z węzłkiem z chlebem i serem pod głową. Naraz odzywa się dzwonek, świszcze zajeżdżająca lokomotywa, portyer węgierskie nazwy stacyj chrapliwie wygłasza. Nagle rozbudzeni biedacy, snem pijani, chwytają gorączkowo za swe tobołki i pędzą naoslep, roztrącając się i wzajemnie sobie przeszkadzając; pędzi za nimi konduktor i z niemałym swem utrapieniem z wagonów wypędza,

klnąc i tłumacząc, że pociąg ten idzie do Osacsy, do Wiednia, a do Pesztu wyruszy nie prędzej, jak za dwie godziny...

W Żylinie — niemieckiem *Sillein*, węgierskiem *Zsólna* — jesteśmy już na gruncie czysto słowackim, między słowackim ludem, choć żaden z wybitniejszych słowackich przewodców nie rozbił tu swego namiotu. Minęły czasy, kiedy w Żylinie toczyły się zacięte spory między katolikami, a wciskającym się gwałtownie protestantyzmem; kiedy wódz węgierskich protestantów, Szczepan Illésházy, zwoływał tu ewangelicki synod, zakładał drukarnię i szkoły; dziś odgłos już nie wyznaniowych, ale i tak potężnych, na górnych i nietylko na górnych Węgrzech, narodowościowych walk przytłumionem echem odbija się o to ciche, górskie miasteczko. Główny plac przedstawia oryginalny widok, jakby żywcem przeniesiony z jakiegoś średniowiecznego niemieckiego grodu. W pośrodku figura Matki Boskiej; wokoło całego placu — z którego, mówiąc nawiasowo, mogą sobie żylińscy gimnazyści wybornie uzmysłować falujące morze — biegną obszerne podcienia, wygodny przybytek miejskiego handlu i przemysłu. Rannemi godzinami wrze tutaj życie; przecisnąć się niełatwo przez gęste szeregi modrych spódnic, białych płacht, bosych nóg, zawzięcie się targujących i odpowiednio giętykujących i krzyczących Słowaczek. Bo i czegoż dostać, czegoż utargować nie można pod cudownymi temi podcieniami? Obok szybko malejącej, niknącej piramidy z kolosalnych, prawdziwie węgierskich polciów słoniny, wznosi się kolumna z marchwi i kapusty; na jej wierzchu powiewa ogłoszenie o „cudownym Zachérlinie“; w dalszem sąsiedztwie przemysłny szewc rozłożył wszelkiej miary i kalibru buty, chodaki, pantofle; różnobarwne chusty, płótna, perkale, perkaliki ocierają się o zbliżone nieraz do nich purpurową barwą cielece i wołowe ćwiartki; a pomiędzy słoniną a perkalem, w szczupłym przesmyku, oddzielającym szewca od rzeźnika, wtłaczają się „księgarskie“ stragany.

Interesujące zawsze tego rodzaju ludowe, „popularne księgarnie“, bo rozpatrując się w nich, poznać bodaj jeszcze najłatwiej, co lud najchętniej kupuje, najpilniej czyta. Lwią część

stanowią, jak z góry dorozumieć się łatwo, książki do nabożeń-
stwa, gockiem i wogóle czcionkami wytłaczane, kuse a pękate,
w strasznie brzydkich oprawach, „ozdobione“ jeszcze brzyd-
szemi — jeśli to możliwa — obrazkami. Niewiele piękniejsze
osobne, wielkie i małe, w ramach i bez ramek, ale tak czy owak
zawsze krzyczącymi farbami zamalowane — o włos nie powie-
działem: zawałane — pobożne obrazki. Nad i pod niemi rozlewa
się niby morze i główne tło straganu stanowi mnóstwo drobnych,
bibulastych świstków, z *krásnymi obrazmi*, jak same na tytule się
zachwalają i jak przekupka poważnie zaręcza. Świstki te, wyno-
szące od 4 do najwyżej 16 stronnice, nieraz mikroskopijnego for-
matu, nie są oczywiście zbyt drogie i stąd znajdują licznych
i chętnych amatorów, zadowolonych, że za kilkadziesiąt centów
znaleść się mogą w posiadaniu całej, ilustrowanej w dodatku,
ascetycznej, beletrystycznej i poetycznej biblioteki. Asceza, co
prawda, nie zawsze wytrzymuje najpobłażliwszą nawet krytykę.
Ujdzie jeszcze np.: *Veliká pobožnost aneb: pět radosti a žalosti
svaté Anny*; ujdzie: *Testament Pána Ježíše Krista při poslední we-
děři*; ale inne, jak opatrzone bardzo pobożnie wyglądającym
obrazkiem P. Jezusa: *Svatý list, který nás pán Ježíš Kristus
s nebe nám přikazuje*, lub: *Sedm svatých Nebe-Zámkův, které jeden
nábožný poustevník od svého anděla strážce obdržel* — mogą mieć
prawo tylko i wyłącznie do pieca. O powieściopisarskim i świecko-
poetycznym dziele nietrudno powziąć wyobrażenie z samychże
tytułów: „Oczarowana sarenka“, „Król żabi, czyli Królewskiej
córy złote jabłko“, „Pokutnik, czyli do skały przykowany wino-
wajca“ i t. d., i t. d. Najmilsze wrażenie robią pobożne pieśni,
proste, serdeczne, nieraz do naszych i z nuty i ze słów bardzo
zbliżone. Trzeba słyszeć te liczne gromadki Słowaków, dążących
w pobożnej pielgrzymce do głośnego z łask kościoła, do cudo-
wnego jakiego obrazu Najśw. Panny, jak niewprawnym, zmę-
czonym, a pomimo tego mile w serca wpadającym głosem za-
wodzą, co sił im starczy:

Pozdrawená bud Kráľovno
Panno Maria,

Nebe, země Cjsařowno,

Matičko milá!

O Maria, Maria, Ty gsi milosti plná,

Prímlouweg se, a pros za nás u Twého Syna¹.

Matičko milá! — powtarza zachrypnięty przewodnik; *Matičko milá!* — odpowiada niestrudzona, choć również zachrypnięta gro-madka; pochód zniknął już z przed oczu na skrócie ulicy, ale ucho łowi jeszcze tony powtarzającej się zwrotki:

O Maria, Maria, Ty gsi milosti plná...

— Kupują też u was te pieśni, te książki? — pytam przekupki, podsuwającej, wydobywającej coraz nowe, coraz niemożliwszymi figurami zamalowane arkusze.

— O kupują, kupują! — odpowiada z pewnego rodzaju zawodową dumą — wszyscy kupują; a z czegożby śpiewali, z czegożby się modlili?

Ósma dopiero rano, ale parafialny kościół już zamknięty; otwiera mi go proboszcz, proboszczowi asystuje młody, niedawno z rzymskich studyów przybyły katecheta; obaj bardzo przyjacielscy i serdeczni, zwłaszcza od chwili, gdyśmy niemiecką pogawędkę zmienili na łacińską. Niegdyś miały być w tym kościele piękne pamiątki; dziś po dwóch pożarach próżno za cześm ciekawszem, bardziej w oczy wpadającym się oglądać. Koło kościoła katolickie gimnazjum; dalej drukarnia: *knihlaciareň* — *könyvnyomda*, jak słowackie i na pierwszym zawsze i wszędzie miejscu stojące, ale ciekawa rzecz, przez wielu mieszkańców czytane i rozumiane węgierskie napisy tłumaczą; jeszcze dalej miły i schludny kościół i klasztor Szarytek; a za nim — jeśli silne masz nerwy, silne nogi, wytrzymałe powonienie — możesz podróżniku odważny przedsięwziąć nie daleką, lecz pełną wrażeń

¹ Pozdrowiona bądź Królowo,

Panno Maryo,

Nieba, ziemi Cesarzowo,

Mateczko miła!

O Maryo, Maryo, Tyś jest miłości pełna,

Pośrednic-że nam, a prosz za nas Twojego Syna.

wyprawę na Wschód daleki, zapoznać się z wierną fotografią najbardziej okrzyczanych stambułskich zaułków; a jeśliś Krakowianin, dumnie czoło podniesiesz i powiesz sobie ze zdziwieniem i radością: Jest przecież na świecie miasteczko, są w tem miasteczku uliczki, na których błoto wszelkiego rodzaju, rumowiska, od wielu, wielu lat gromadzone nieczystości, w większej ilości, mniej symetrycznie ułożone się piętrzą, większe zmysłom i nogom zadają tortury, niż na naszych „Kazimierzowskich“ placach, niż nawet na ulicy „Estery“, na ulicy „Kupa“!

Dziarskie, tęgie bułanki uniosły mię już kawał drogi za Żylinę; aromatyczne, górskie wonie owiewają dokoła; rozmowny góral-woźnica ciągle coś pokazuje i opowiada — a jeszcze z wyobraźni, jeszcze z płuc wydobyć się nie mogą wstrętne wspomnienia tego jakby kawalka Azyi, przesadzonego żywcem na grunt europejskich Węgier. Szczęściem kraj tak piękny, widoki tak urocze, powietrze tak balsamiczne, że wreszcie odnieść muszą stanowcze zwycięstwo. Nie pytasz już nawet, czemu miejscowość, do której zdążasz, o której w Żylinie cuda ci opowiadano, nosi nadaną sobie przez lud nazwę: *Rajecz*, wiernie na polskie tłumacząc: „Raik“; zdaje ci się, że gdybyś sam całej tej drodze, całej okolicy miał nazwę jaką „oktrojować“, lepszej, stosowniejszej z pewnością byś nie wynalazł. I oto już z poza gęstych ruin starych zamków, z poza skał i lasów wynurza się, koroną zielonych gór opasany, ów „Raik“, z roku na rok, zwłaszcza od czasu przeprowadzenia kolei żelaznej z Trenczyna do Żyliny, coraz bardziej znane i uczęszczane kąpielowe miejsce. „Tu *szumno*, *szumno*!“ — powtarza woźnica, i trudno mu nie przyznać, że istotnie bardzo tu pięknie, i dziwić się nie można, że nie sami tylko istotnie cierpiący na nerwy i przeróżne katary do *Rajecz* ściągają, ale i wielu takich, którzy lękają się tylko, aby kiedyś nie zachorowali na katar, których nerwy po całorocznem wyprężeniu jeszcze nie chore, lecz zaczynają już dawać znać o swem istnieniu!

Kuracyuszów dotąd mało, bo właściwy „sezon“ ma się rozpocząć dopiero pojutrze: pierwszego czerwca. We wszystkich domach, domkach przygotowania na gwałt, czyszczenia, wietrze-

nia; Słowaczki w swych biało-modrych strojach pędzą na wszystkie strony z miotłami i konewkami; chłopaki, dziewczęta gracują ulice; przed paru domkami stoją już wozy naładowane tłumokami i pierzynami świeżo przybyłych gości; z łazienek dochodzą głucho uderzenia siekier, które mieszając się ze zgrzytem pił, z nawoływaniem majstrów, dowodzą, że robota wrze; inne pytanie, czy uszom zdenerwowanych gości miła to muzyka? Wchodzę do nieco prymitywnie zbudowanych łazienek. Z obszernego basenu, w którym, jak zaręcza oprowadzający dozorca, stu gości wygodnie razem kąpać się może, bucha para; wystarcza minutę wpatrywać się w zdradliwe te tonie, aby skąpać się we własnym pocie.

— Obfite mamy źródła i bardzo silne — zachwala mój przewodnik. — Doktorzy nachwalić się ich nie mogą i przysyłaliby nam tu z pewnością masę chorych, gdyby więcej było mieszkań i trochę więcej komfortu. Teraz, kiedy mamy stu gości, to już ciasno. Prawda, że młody pan Szmialovsky robi co może, i od czasu jak on kąpielami zarządza, więcej się tu zrobiło, niż dawniej od stu lat, od czasu jak *Rajecz* znany ze swojej cudownej wody; lecz to wszystko kropla w morzu! *Rajecz*, panie, ma wielką przyszłość przed sobą; niechby tu kto włożył odpowiednie pieniądze, niechby pobudował wille, pałacyki, piękne, wygodne łazienki, to z taką wodą, z taką okolicą, jaką my mamy, w kącie *Mehadia* panie!

„Pan Szmialovsky“, „pan poseł Szmialovsky“, „młody pan Szmialovsky“ — od Żyliny ciągle Szmialovsky i Szmialovsky, z rozmaitemi epitetami, o uszy mi się obija, a nikomu na myśl nawet nie przychodzi, aby mógł być na świecie ignorant, nie wiedzący, jaką właściwie ideę do dźwięku tego nazwiska stosować.

— Jakto, ksiądz nie znasz naszego pana Posła? — pyta ze zdziwieniem restauratorka.

— My tu wszyscy znamy młodego p. Szmialovskiego — zapewnia patrząc na mnie z politowaniem korpulentny właściciel żylińskiego hotelu. — To prawdziwy dobroczyńca tych okolic; stara się o budowę nowych kolei, wprowadza przemysł, broni

biedny lud tutejszy i praktycznie przeszkadza emigracyi do Ameryki, dając mu na miejscu sposobność do zarobku.

— Jakżeby to było, — dziwi się nawet kąpielowy dozorca — żebyś pan miał być w *Rajecz* i nie poznał p. Posła! On panu najlepiej sam wszystko pokaże i opowie, bo on tu prawie wszystko sam zrobił.

Wymowniej, bardziej przekonywająco od tych wymownych i przekonywających przedstawień, przemawia szybko nadbiegający, zdyszany trochę restaurator:

— Pan Poseł dowiedział się o przybyciu polskiego gościa do *Rajecz*, a ponieważ tu dziś jeszcze niezupełnie wszystko urządzone, pyta się przeto, czybyś ksiądz nie był łaskaw zjeść z nim razem obiadu?

Jakże odmówić można tak grzecznemu, tak prawdziwie „staropolskiemu“ zaproszeniu? W osobnym saloniku, do którego usłużny restaurator prowadzi, wesoło i gwarno: na progu przyjuje „pan Poseł“, mężczyzna w sile wieku, z energicznym wyrazem twarzy, znać tylko, że zbytkiem różnorodnej pracy nieco przemęczony.

— Przecież rodzina nasza z Polski pochodzi — mówi z uśmiechem, jakby tłumacząc się ze swej gościnności — właściwie Śmiałowskimi się nazywamy, a ot mój ojciec ledwie parę słów węgierskich rozumie.

Rozpoczęła się biesiada — a mam tu na myśli biesiadę nie tylko i nietyle w dzisiejszem, materyalnym, ile w dawniejszem, duchowem znaczeniu — nie wiem, bardziej miłą, większą dawką polsko-węgierskiego humoru nasyconą, czy bardziej dla pragnącego obeznać się z tutejszemi stosunkami pouczającą. Obok gospodarza zasiadł jego szwagier, Węgier osiadły w dolnych Węgrzech, między Serbami; dalej — o jednym czy dwóch dyplomatyczne milczenie zachowujących panach nie wspominając — czternastoletni może synek p. Posła; na krańcu stołu, jego ojciec, krzepki, po wojskowemu wyglądający i trzymający się żołnierz raczej, niż starzec: siódmy krzyżyk włos mu ubielił, ale rycerskiej postawy nagiąć, sprężystości i giętkości ruchów odjąć nie potrafił. Pan Aleksander, „stary pan“, jak go tu wszyscy

nazywają, mówi po polsku i po niemiecku; „młody“ po polsku już niewiele słów rozumie, kilka zaledwie od ojca przejętych krótkich piosenek, kilka przysłów sobie zapamiętał, za domowy, właściwy swój język, uważa węgierski; najmłodszy o polskim języku nie ma wyobrażenia, co więcej, po niemiecku nawet dotąd nie rozmawia, aby sobie nie popsuć czystego węgierskiego akcentu: później dopiero ma się na seryo do niemieczyny zabrać. W „ludowej, słowackiej gwarze“ muszą wszyscy, chcą czy niechcą, móżdż się porozumieć, bo bez niej w północnych Węgrzech niesposób kroku postąpić. „Stary pan“, stęskniony snąc za rodzimemi, drogiemi dźwiękami, raz po raz niemiecką rozmowę polskim frazesem okrasza, wiersze polskie cytuje, pyta się z nie-tajoną trwogą, czy po polsku poprawnie się jeszcze wyraża. Mogę na szczęście, w żadne komplementa się nie wdając, złożyć mu w tym względzie wszelkie możliwe zapewnienia; a zapewnienia te, z upajającym dźwiękiem ojczystej mowy, z rubinowym własnego chowu, nektarem łącząc się i mieszając, podniecają humor, dawne wspomnienia wskrzeszają i zachęcają do ciekawych opowieści z lat młodościowych we Lwowie, w polskiej wsi rodzinnej spędzonych, do przeróżnych, żołnierskim sosem zaprawnych anegdotek z musztr i wypraw w 1848 r. Opowiadania przeplata to poważna patryotyczna pieśń, to znów wesola ułańska piosenka; pieśni te i piosenki nie pierwszy snąc raz tu się rozlegają, bo i sam śpiewak żadnego tonu, żadnego słowa nie zmyli, i inni biesiadnicy to ciszej, to głośniejsz wtórują i przypominają: Zaśpiewaj teraz: „Jeszcze Polska nie zginęła!“... zaśpiewaj: o ułanie i dziewczynie...

Pomiędzy pieśnią a anegdotką toczy się poważny rozhowor o niewesołym, ale najaktualniejszym, ciągle w oczy, w uszy cisnącym się tu przedmiocie: o walkach między madziarskim a słowiańskim żywiołem. Jak aktualny to przedmiot, tego dowodem choćby tylko rozlepione na łazienkach w Rajecz odezwy, w których „Zarząd kąpielowy“ w dobitnych słowach uprasza gości, aby „bądź co bądź i pod wszelkimi warunkami wystrzegali się sporów narodowościowych i wyznaniowych“. Pan Poseł i wogóle wszyscy obecni są Węgrami, jeśli nie wszyscy z krwi,

to z przekonañ; na kwestyę słowacką patrzą też z węgierskiego, co nie zawsze i niekoniecznie ma jeszcze oznaczać: ultra-madziarystycznego stanowiska. Najzażartsi Słowacy mówili mi później o młodszym Śmiałowskim: „Madziar to jawny i otwarty, ale przyznać trzeba: człowiek szlachetny i przedsiębiorczy“. Nie-mała to pochwała w kraju, w którym narodowościowe właśnie tak strasznym, nieprzytłumionym ogniem wciąż buchają; pochwała tem większa, że Śmiałowski jest sekretarzem, czyli, co na jedno wychodzi, właściwym zarządcą znienawidzonego przez Słowaków peszteńskiego „Związku dla szerzenia oświaty między węgierskimi Słowakami“¹; że jest przeto zarazem właściwym wydawcą równie znienawidzonych, „na węgierskim żołdzie stojących“, *Slovenskích Novin*. Jak to szczęśliwie, że tak od razu udało mi się wpaść w samo niejako centrum madziarsko-słowackiego stronnictwa, jeśli *notabene* o stronnictwie mowa tu po dziś dzień być może; że najruchliwszy, najbardziej bodaj wpływowy jego przedstawiciel sam mi objaśni, jakie są tego stronnictwa dążności i zapatrywania; mówiąc dokładniej, przez jakie szkiełko samiż rozumniejsi przynajmniej i spokojniejsi Węgrzy zapatrują się na lud słowacki, na jego przyszłość, na dziś nurtujące w nim prądy.

Spróbuję powtórzyć w głównych rysach, co mi w tym względzie mówili węgierscy patryoci, nietylko w Rajecz, lecz wogóle wszędzie, gdzie w czasie mej słowackiej wędrówki miałem sposobność zawiązać z nimi dłuższą, poufniejszą rozmowę:

„Lud słowacki w gruncie dobry i pocziwy; może trochę miękki, nie dość przemyślny, lecz gdy ma zwłaszcza kogoś, coby mu rozkazywać i prowadzić go potrafił, pracować umie i dobrze pracuje. Bieda w górach dość częstym gościem — to prawda; lecz znowu nie trzeba przedstawiać sobie tej biedy w zbyt czarnych kolorach, nie trzeba myśleć, że u nas rokrocznie taka nędza i głód, jaki teraz np. panuje w Rosyi. Roboty tu nie brak, i komu prawdziwie na tem zależy, aby sobie zarobić na kawałek chleba, ten do Ameryki nie ma racyi wędrować. Rząd tłumnej tej amerykańskiej emigracyi sprzeciwia

¹ O związku tym przyjdzie nam jeszcze następnie obszerniej pomówić.

się i stara się ją utrudnić; sprzeciwia się w interesie samychże nieraz Słowaków, dających się lekkomyślnie werbować przez sprytnych oszustów; w interesie Węgier, na których wyludnienie nie może przecież pozwolić. Być może, że dzieją się czasem w tym kierunku nadużycia; ale my pierwsi takie nadużycia potępiamy: nie można jeszcze robić wszystkich Węgrów odpowiedzialnymi za zbytek gorliwości jednego, lub dajmy na to że kilku urzędników czy żandarmów.

„Podobnie rzecz się ma z madyaryzacją Słowaków. Nie tajmy wcale, ani nie myślimy tać, że dążymy do tego, aby wszyscy węgierscy obywatele nie tylko Węgrami się czuli, nie tylko myśleli, lecz i mówili po węgiersku; dążymy do tego, staramy się o to — znowu dla dobra nawet samychże Słowaków — w szkole i poza szkołą, ale czemużby Słowacy nie mogli być zarazem dobrymi Węgrami i dobrymi Słowakami, czemuż nie mogliby mówić ze sobą po słowacku — czego im oczywiście, dokąd sami zechcą, nikt zakazać ani nie myśli — a jednocześnie, gdy potrzeba, móż się rozmówić po węgiersku, co w Węgrzech dla zrobienia jakiegobądź karyery jest i musi być niezbędnem. Madyaryzacja! madyaryzacja! Kto tak woła, kto się skarży, kto na nas wzywa piorunów niebieskich? Czy lud? Gdzie tam! szczupła garstka niepoprawnych panslawistów, wyciągających ramiona do Rosyi i wyczekujących stamtąd pomocy przeciw ‚madyarskim gwałtom‘, zaręczających i przysięgających bałamuconemu ludowi, że Węgry to piekło, a Rosya to niebo! I później dziwią się, że nie mamy do nich zaufania, że staramy się lud słowacki obronić przed ich intrygami! Ciekawa rzecz, jakby też rząd rosyjski postąpił sobie w takich warunkach na naszym miejscu? Podobno wszyscy ci krzyczący, lamentujący dziennikarze, pastory, eks-nauczyciele, dawno rozpamiętywaliby i porównywali wśród sybirskich lodów, gdzie lepiej i gdzie większa tolerancja: w Rosyi czy w Węgrzech?“

Madziar, madyaryzacja; pansław, pansławizm, pansławizacja!... — te naprzemian wojenne hasła i w twarz rzucone obelgi krzyżują się tu ciągle, odbijają stokrotnem echem, od każdego,

rzekłbyś, domku, od każdej góry i skały. Formalnie powietrze niemi, jak gęstą parą, przesycone, a kto niedość uważny, niedość ze stosunkami obeznany, ten mimowoli raz po raz w dusznej tej i mrocznej atmosferze naraża się na poślizgnięcie, które znowu w mig doprowadzić go może do złamania ręki, nogi, dobrze jeśli nie karku.

Szedłem właśnie z niedawno poznanym, ale nadzwyczaj dla mnie uprzejmym, członkiem węgierskiej kolonii w Rajecz i wspólnie z nim podziwiałem prześliczne, wonne, leśne drożyny, otwierające się co chwila przez okna w lesie i w skałach wyrąbane, romantyczne widoki — gdy wtem przypadkiem wymknęło mi się arcyniepotrzebne wyznanie:

— Jutro, lub pojutrze będę w „Św. Marcinie“.

Śmiejący się, żartujący dotąd mój towarzysz zmienił się w jednej chwili nie do poznania:

— Co!? W tem gnieździe panslawistów, w tej stolicy naszych wrogów? I to Polak tam się wybiera? Jeśli mamy zostać przyjaciółmi, to mi ksiądz obiecaj, że do „Św. Marcina“ nie pojedziesz!

Próżno starałem się wytłumaczyć, że choć poznać Słowaków, nie mogę przecież „Św. Marcina“ ominąć, bo byłoby to gorzej, niż być w Rzymie, a papieża nie widzieć; próżno perswadowałem i żartowałem, że niema niebezpieczeństwa, aby mię kto na panslawistę przerobił; z twarzy, z gestów tak łaskawego dotąd na mnie przewodnika, było widać aż nadto wyraźnie, że mu te racje do przekonania nie trafiają, a jeśli dłużej i ostrzej nie naciera, to tylko w dani niosąc ciężką ofiarę grzeczności.

W Św. Marcinie, w Trenczynie, Tyrnawie, ta sama, to na węgierską, to znów na słowacką nutę wygłaszana śpiewka. Madziar dłoń ci ściska i woła: „Węgier, Polak, dwa bratanki“, lecz pod warunkiem, że do tego naszego braterstwa słowackich panslawistów, sojuszników azyatyckiego barbarzyństwa, nie przyjmujemy; Słowak, w pierwszej chwili niedowierzający, ożywia się, wznosi kielich na słowiańskie braterstwo i zaklina: Węgrów się strzeżcie, wyrzeknijcie się — jeśli słowiańska krew w was płynie — tych waszych azyatyckich „bratanków!“ ... I bądź tu

mądry: gdybyś chciał wszystkich zadowolnić, musiałbyś chyba usta zasznurować, oczy zawiązać, uszy watą wypchać; musiałbyś ograniczyć się na rozmowie z Żydami i cyganami, a i wtedy pytanie, czy przez otwarte okna żydowskiej karczmy, przez otwór zostawiony w cygańskiej szatrze, nie doleciałyby cię echa dwóch owych chórów, z których jeden ostrzega: „Z wrogami Polski się nie wdawaj!"; drugi odpowiada: „Z wrogami Słowiańszczyzny się nie brataj!"

Wyznaję z pokorą, i dziś jeszcze tego się wstydzę, że nie bez uczucia pewnej, nieokreślonej trwogi zbliżałem się do „Turczańskiego św. Marcina“, do *Turóczt. Márton*, jak brzmi urzędowa węgierska nazwa; do *Martina*, jak zwykli się samiż Słowacy wyrażać w potocznym języku o swej, nie mocą urzędowego patentu, ale siłą rzeczy, wolą ludu utworzonej i powszechnie uznanej stolicy. Czegóż-bo, ileż sprzecznych zdań i sądów, o tem miasteczku się nie nasłuchiwałem w przeciągu kilku dni dotychczasowego pobytu w północnych Węgrzech! Jeden bardzo na seryo ostrzegał: „Węgrzy cię przyaresztują i do granicy odstawiają!"; drugi: „Uważaj bacznie na każde słowo, bo ani wiedzieć nie będziesz, jak pójdą o tobie dwa raporta: jeden do Pesztu, drugi do Petersburga"; ktoś trzeci znowu ramionami z politowaniem wzruszał i użalał się nad naiwnością Polaka, sądzącego, że mu „martińscy panslawiści“ swe myśli, swe nadzieje odkrywają, że prócz grzecznych słówek potrafi coś więcej od nich wydobyć. Był to zapewne skutek źle przespanej nocy, dość że na całej, szczęściem kwadransowej zaledwie drodze z Ruttki do Martina majaczyło mi się, jakby konduktor, jakby każdy z podróżnych na czole mi czytał: „Jedzie do panslawistycznego gniazda"; jakby z oburzeniem powtarzał: „Panslawista, panslawistyczny agitator; zrewidować, czy ma ruble w kieszeni!"

Nikt nie rewiduje; miły, od gór płynący poranny wietrzyk otrzeźwia i orzeźwia; przez pola, skacząc przez bruzdy, przez mniejsze i większe kałuże, podążam za przewodnikiem, który obiecał doprowadzić mię do najlepszego hotelu. Otóż i rząd domów i domków, przedstawiający ulicę; środkiem jej płynie

od niepamiętnych snuć czasów błotnisty potok; po bokach spaceruje sobie właśnie, wymijając starannie dziury i kamienne góry, kilkanaście krówek. Jeszcze krok, a jesteśmy na rynku i stajemy przed brudną, bardzo brudną i obszarpaną kamieniczką, o której jednak źle mówić nie wypada, ale raczej — nakazawszy milczenie zmysłom wzroku i powonienia — kapelusz z uszanowaniem zdjąć, bo od szarego jej frontu odbijają wielkie, czarne litery, składające się w wyraźny napis: *Grand-Hôtel*. Później przekonałem się, że w Martinie *Grand-Hôtel* nie jest jeszcze wcale synonimem najporządniejszego hotelu; żałowałem i żalowali martinscy moi przyjaciele, że przewodnik-zdrajca nie zaprowadził mnie do wiele bliższego, a o całe niebo porządniejszego, nie względnie tylko, ale i absolutnie, z wszystkimi wymaganiem czystości i nawet pewnego komfortu liczącego się *Dom'u*, z którym i tak koniecznie — o materyjalnej stronie życia już nie mówiąc — jako z *centrum* słowackiego życia w Martinie, musiałem się zapoznać. Żałowałem, i kto wie, czy po pierwszym dniu nie byłbym się zdecydował przenieść się do *Dom'u*, gdyby jeden z świeżo poznanych słowackich literatów nie odwiódł mnie od tego zamiaru, pocieszając i zaręczając: „Nie nie szkodzi, żeś do *Dom'u* nie zajechał, bo właścicielem *Grand-Hôtelu* jest także Słowak, i to dość dobry Słowak“...

Dość wyjść z hotelu, dość zwolna przejść się po ulicy, aby sobie powiedzieć: istotnie! czysto to słowackie miasteczko! bo miasteczkiem jest, bo jest, co więcej, siedzibą różnych węgierskich urzędników i dostojników, choć czasem ludząco do wielkiej wsi podobne. Wszędzie słychać słowacki język, na sklepach słowackie napisy, parę dziewczyn wracających z kościoła słowacką piosnkę nuci, parę innych w podnieconym tonie poucza żadnego wiedzy cudzoziemca, jak brzmią słowackie przekleństwa. Okazalszy jakiś od innych dom zwraca mą uwagę; na nim czerni się dobrze mi z Krakowa znany napis: *Národné Noviny*, brama otwarta; uprzejmość, gościnność słowiańskich redaktorów nie od dziś znana: więc wejdźmy, aby tu w jednym z najgłówniejszych źródeł słowackiego życia zaczerpnąć potrzebnych informacji, o stosunkach na Słowaczyźnie się rozgadać!

Dobrze trafiłem! Głównego redaktora *Novin*, a zarazem najslawniejszego może w tej chwili słowackiego poety: Svetozara Hurbana, znanego szerzej pod pseudonimem: Vajanský'ego, nie było wprawdzie w tej chwili w redakcyjnym biurze; ale natomiast przyjął mię jego pomocnik i redaktor miesięcznika: *Slovenské Pohľady* (Słowackie Przeglądy), bardzo również znany i ceniony pisarz: Józef Škultety. Po chwili rozmowy, po bliższem wyłuszczeniu narodowości mej, i celu podjętej za Karpaty wycieczki, sztywny, miałbym prawie ochotę powiedzieć: niegrzeczny, redaktor zmienił się do niepoznania: twarz z początku groźna i pomarszczona wyjaśniła się; nastąpiła propozycja, którą każdy słowacki patriota niechybnie po kilku wstępnych frazesach Polakowi uczyni: „Po co mówić mamy po niemiecku, rozmawiajmy po naszymu“; a wspólnie z tą propozycją, wspólnie z powtórkiem, nie lodowatą już teraz, ściśnięciem dłoni, pękły i wewnętrzne lody — jeszcze chwila, a rozpułną się bez śladu.

— Pięknie to, bardzo pięknie, żeś do nas przyjechał — chwalił i cieszył się p. Škultety, dość wysoki, chudy mężczyzna, a choć w sile wieku, młody raczej niż stary, dziwnie jakoś i w głosie i w całym wyrazie twarzy nastrojony melancholicznie, także zbytnią zdawałoby się mogło pracą przemęczony. — O miedzę od siebie mieszkamy i znałbyśmy się wzajemnie powinni; gdybyśmy się znali, gdybyśmy wszyscy Słowianie razem się ręką w rękę trzymali, to wiele, wiele wtedy zmienićby się musiało na lepsze. Nas tu Węgrzy strasznie cisną. Chcą nas wynarodowić, chcą w Madziarów przemienić, bo mówią: Wy panslawiści! Jesteście panslawiści, więc wam żyć nie wolno, więc wam wasze szkoły zabieramy i przemieniamy w madziarskie; mozolnie zebrane na oświatę ludową pieniądze konfiskujemy; więc nikt, kto się uznaje za Słowaka, nie zostanie ani urzędnikiem, ani sędzią, ani niezem — bo wy panslawiści! A co to panslawizm? To głupstwo, to broń tylko na nas ukuta; jak się kto lub co któremu z panów w Peszcie nie spodoba, powie: otóż panslawista, otóż panslawistyczna agitacja, i — proces skończony. Wszystko co chroni w nas i strzeże narodowego ducha: dziennik słowacki, pieśń słowacka, książka do nabożeństwa, wszystko

to panslawizm, a co panslawizmem trąci, na to wszystkie środki dobre; gdyby można, to najlepiejby było wszystkich panslawistów na jednej gałęzi obwiesić. Niechżeby przynajmniej, jak Bismark szczerze mówił: „Chcę i muszę Polaków germanizować” — tak oni po prostu, pocziwie powiedzieli: „Musimy Słowaków wytępić, zmadyaryzować”. Nie! oni jeszcze przechwalają się, że mają najliberalniejsze w świecie prawo o narodowościach, a tylko przeciw panslawizmowi walczyć muszą. Na papierze pięknie, liberalnie to prawo może sobie wyglądać; w rzeczywistości wy tam w Rosyi macie, a w każdym razie moglibyście mieć, raj w porównaniu do naszego piekła.

Zaprotestowałem uśmiechem i dwoma słowami: „To jeszcze kwestya”; w dłuższe wywody i protesty się wdawać, do niczegoby nie doprowadziło, wobec straszego rozgoryczenia gniewającego się w sercu każdego patryoty słowackiego, wobec złudnych wyobrażeń „o potężnem, bratniem słowiańskim państwie”, których trzyma się rozpaczliwie i puścić ich nie chce, prawdziwie „jak pijany płotu”, bo pozwalają mu przynajmniej marzyć o zmianie dzisiejszego losu. Znajdując się w redakcyi *Národních Novín*, rozmawiając z p. Škultety’em, rozmawiając za chwilę potem na ulicach Św.-Martińskich, w „Dom’u”, w „Hostincu”, z jego kolegami i przyjaciółmi, trudno mi było nie pamiętać o entuzjastycznych artykułach, umieszczanych przez nich na cześć Rosyi; niepodobna zapomnieć o uprzedzeniach, jakie przeciw nam żywią; lecz jakież skutek odnieśćby mogło, wytaczać przeciw tym entuzjazmom i uprzedzeniom działa grubego kalibru; cóż pomoże, czy raczej nie szkodzi, parę kropel deszczu, gdy dom od fundamentów do kominów od dawna w płomieniach? Zresztą byłem tu gościem, a martińscy redaktorzy, na pierwszym miejscu Škultety i Hurban Vajanský, byli dla mnie nad wyraz uprzejmi, wzięli mię pod formalną swą opiekę w czasie całego pobytu w swem mieście, i z niemałym taktem starali się ile mogli nie wprowadzać do rozmowy swych zapatrywań i uczuć odnośnie do Rosyi a do Polski.

A trzeba było niemałego taktu i wzajemnej chętnej wyrozumiałości, aby gęsto nieraz padające iskry nie natrafiły na

proch i nie doprowadziły do szkodliwych wybuchów, lecz to-
nęły w zimnej wodzie. Raz np. w liczniejszym dziennikarsko-
literackim towarzystwie, zwraca się nagle ku mnie pewien ró-
wnie podróżujący po Słowiańszczyźnie Młodoczech — młody nie-
tylko zasadami lecz i wiekiem — i nie wiedzieć skąd i dlaczego,
wnosząc w górę szklanicę z piwem, wykrzykuje na całe gardło:

— Ja na Polaków pluje!

Po ogólnem „pluciu“ (*sic!*) na Polaków, nastąpiło szcze-
gółowe: na Koło Polskie, na galicyjskiego Namiestnika (z grze-
cznem zastrzeżeniem, że plucie odnosi się do polityka, nie
do człowieka), na „Stańczykowców“, na wszystkich tych, co
stoją w środku, co farby jasno nie pokazują. Nie trzeba było
być ani Salonem, ani Salomonem, aby się domyślić, że ostatni
frazes był tylko dyplomatycznym, uprzejmem omówieniem mniej
uprzejmego: „Specyalnie na Waszmościa pluje!“ Co tu robić,
jak odpowiedzieć na te odrębnego rodzaju toasty? Rozglądam
się po współbiesiadnikach. Biedacy! cali w pąsach, nie wiedzą
jak ognistego Młodoczeka powstrzymać w zapale i dać mu
do zrozumienia, że nie należy wszystkich swych aspiracyj za-
wsze i wszędzie głośno wypowiadać; próbują zwrócić pogawędkę
na inne tory; śmiechem, żywym opowiadaniem zatrzeć co pręd-
zej nie miłsze z pewnością dla nich niż dla mnie wrażenie.
Jakże nie uwzględnić tak dobrych chęci, nie rozśmiać się sa-
memu i nie zaręczyć, że o gniewie i o jakiejś urazie mowy być
nie może, bo dla podróżnika, badającego słowiańskie stosunki,
cały ten epizod tak zajmujący i charakterystyczny, że gdyby
było potrzeba, wartoby zań drogo zapłacić!..

P. Škultety, p. Vajanský, a przekonany jestem, że i wszy-
scy inni Słowacy, z którymi miałem sposobność w Martinie się
zetknąć, zanadto są cywilizowani i dobrze wychowani, aby komu-
bądź — niechby i największym wrogiem był — mieli o „pluciu“
wspominać. Swoją drogą, jeśli w rozmowie z Polakiem omijają
całą tę kwestyę dyskretnem milczeniem z poczucia grzeczności,
jeśli protestują przeciw ciąglemu, niekoniecznie taktownemu
i politycznemu wyzywaniu: „Wy panslawiści!“ i towarzyszą-
cemu nieraz tym wyzywaniom hasłu: „Przeciw pansławistom

wszelkie środki dobre!“ — to z drugiej strony w pismach swych nie tają: „Do Rosyi lgniemy, od Rosyi spodziewamy się pomocy; ona jedna dość potężna, aby ożywiająca nas wszechsłowiańską ideę w czyn przemienić, a wszystkich wrogów naszych w pył zetrzeć. Polacy na tej drodze są przeszkodą, mniejsza o to, prawdziwemi, czy urojonemi krzywdami, o których wciąż głoszą; oni jedni dysharmonię wprowadzają w wszechsłowiańskim koncercie, a więc niech zginą, a więc przymusowo rozplynać się muszą w słowiańskim morzu, kiedy dobrowolnie dla dobra Słowiańszczyzny na jej ołtarzu poświęcić się nie chcą, złożyć nie chcą, dajmy na to, że najoczywistszych nawet swych krzywd, najślusznieszych żalów“. Niewielu — choć i z takimi się spotkałem — wyraża tę myśl w całej swej nagości tak brutalnie, lub powiedziałbym raczej, niewielu może reflektuje, że tak brutalnie ją pojmuje i wyraża; na dnie, w gruncie rzeczy, z pewnemi dla zaspokojenia sumienia postanowionemi omówieniami i zastrzeżeniami, stanowi ona część dzisiejszego *Credo* „martińskich“, aby nie powiedzieć: „słowackich“ prowodyrów. Dowodów nie trzeba daleko szukać; dość wziąć do ręki parę roczników *Národních Novin*, z umysłu nieco dawniejszych, aby zbyt świeże, a tem samem i żywe wspomnienia i uczucia za silnie nerwów nie targały i nie mąciły spokojnego, przedmiotowego sądu.

„Polacy są przyczyną wielu nieszczęść w Słowiańszczyźnie — pisze p. Škultety w opisie swej wycieczki do Kijowa, podjętej (czyż to samo za tomy wywodów nie starczy?) na „świato-metodyjski“ jubileusz¹. — W sercu czuć musisz przeciw nim pewną cierpkość... W Wołoczyskach dopiero, na pierwszej rosyjskiej stacyi, przebrzmiały i zniknęły cudze dźwięki; wszędzie rozlega się nasz rodzimy język... Tu wszystko już wielkie: wielkie wagony, wielkie samowary, wielkie rzeki, wielkie i serca“... (Wybornie!).

Silniejszym echem odzywają się te same uczucia gorącej miłości dla słowiańskiej Rosyi, niechęci dla Polski, stojącej na poprzek wszechsłowiańskiej idei, we wspomnieniach Vajansky'ego

¹ *Od Martina po Kiev.* (*Národnie Noviny* 16 maja 1885).

o pobycie w Kijowie¹: „R. 1569 Kijów z całym województwem włączony został do Polski, a na biedne miasto spadło podwójne nieszczęście, bo i „litewski statut“, który w tym samym prawie stopniu sprzeciwiał się obyczajom i zwyczajom ludowym, jak poprzednio zaprowadzone „magdeburskie prawo“. Wszystkie te machinacje zaszkodziły rozwojowi miasta. Przyszła Unia. Metropolita Michał Rohoza odpadł od prawosławia, został złożony, nastały czasy religijnych walk, które zakończyły się zwycięstwem zaporozkiego hetmana Sahajdacznego nad Unią. Cerkiew św. Zofii zabrano Unitom. Wreszcie w r. 1620 kijowska metropolia została wskrzeszoną, Chmielnicki oswobodził Kijów od polskiego jarzma i ograniczył wpływ polski“...

Słowa te, acz tak dziwnie brzmiące; niczem niepomiarowany entuzjazm wiejący dla Rosyi ze sprawozdań kijowskich pielgrzymów, dajmy na to, wytłumaczyć można uczciami i owacyami, których im nie szczędzono. W Warszawie², na uczcie urządzonej na cześć słowackich i galicyjskich gości przez rosyjskich profesorów uniwersytetu, jenerałów, popów, urzędników, śpiewano po rosyjsku narodowy hymn słowacki: *Hej Slováci*: wznoszono toasty i wylewano łzy nad „narodem najbardziej na świecie całym uciśnionym“, po toastach ściskano się i wołano Turgeniewowemi słowami: „O wy Rosyanie, o wy Słowacy, złote u was serca!“ W takiej serdecznej atmosferze niepodobna ważyć słów i frazesów; żądać trudno, aby słowaccy pisarze, wychodząc „po szampańskim“ z rosyjskiego klubu, mieli chęć i możliwość rozglądać się trochę po właściwej Warszawie; co do wytłumaczenia trudniejsze, to że cały ton *Novin* na tę samą, rzekłbyś podchmieloną, nastrojony nutę. Parę fejletonów o smutnej pamięci powieściopisarzu naszym Czajkowskim³, wysławia jego podwójną apostazyę: religijną i narodową, i dawniejsze polskopatriotyczne zdania, i we wszystkich jakiegokolwiek wartości powieściach szerzone zasady piętnuje na samym wstępie nazwą

¹ *Kiev. (N. Noviny* 30 maja 1885).

² *N. Noviny*. 7 maja 1885. Korespondencya z Warszawy.

³ *Czajkowski o polskiej otóżce* (Czajkowski o polskiej kwestyi). *N. Noviny* z 14 lipca i nast. 1883.

„błędu i ciężkiego grzechu“, a jako harmonijny finał do tego preludyum, dodaje: „Polacy, odprowadzeni przez latynizm od wielkiej słowiańskiej rodziny, pozostawali i stale pozostają w służbie katolickiego Zachodu... Polacy pod rosyjskim rządem carów Aleksandra I. i Mikołaja I. cieszyli się niemal zupełną polityczną niezawisłością; mieli konstytucyę, którą sami z własnej swej winy stracili; dzisiejsze ich położenie jest tylko następstwem własnych ich przewinień“... Jakie to położenie, o tem *Noviny* dyskretnie milczą; natomiast spotykamy obszerne i bardzo nawet dla nas sympatyczne opisy poznańskich rugów. Zabawniejsza jeszcze, że prawie wszystkie wiadomości o Polsce i Polakach, i to nie tylko o zabranych prowincyach, o Królestwie, ale i o znajdującej się w najbliższym sąsiedztwie Galicyi, o Lwowie i Krakowie, czerpane są, a zazwyczaj dosłownie przepisywane, z gazet rosyjskich, na pierwszym miejscu z *Nowoje Wremia*. Tak np. relacya o kongresie polskich literatów w Krakowie dosłownie z tego dziennika przetłumaczona; relacya o galicyjskich Żydach, znowu jak pacierz za panią matką, powtórzona za *N. Wremia*; o stosunku Polaków do Rusinów w Galicyi, o osądzeniu Kraszewskiego i t. d., i t. d., najwyższą i jedyną powagą dla *Novin* jest *N. Wremia*. Ciekawa rzecz, coby też redakcyja słowackiego dziennika pomyślała i napisała, gdybyśmy np. w niniejszem naszym sprawozdaniu opierali się wyłącznie na *Pester Lloydzie*, lub chcąc za jednym zamachem przeciąć wszelkie trudności i wątpliwości, ogłosili bez zająknięcia: Słowacy oczywiście racyi nie mają, żale ich i skargi są nieuzasadnione, bo tak uroczyście zapewniają „poważne i dobrze poinformowane węgierskie dzienniki: *Nemzet* i *Pester Lloyd*?!“...

— A polskiego dziennika żadnego nie macie? — pytam w redakcyi *Novin*, przeglądając rozrzucone gęsto dzienniki, książki, na których grzbiecie połyskuje to moskiewska, kijowska, petersburska, to pragska, czasem białogrodzka lub lublańska firma.

— Mamy, naturalnie! — woła ktoś z obecnych i okazuje z tryumfem świeżo właśnie z poczty nadeszły numer *Kuryera Lwowskiego*.

Nie najświetniejszy wybór, lecz cóż robić? Na delikatne me

przedstawienie otrzymuję szereg uspokajających zaręczeń: *Kuryera* polecił jakiś przejeżdżający tędy polski dziennikarz; *Kuryer* nie jest „stańczykowski“; *Kuryer* stoi stosunkowo w najmniej jeszcze rażącej sprzeczności z innemi „słowiańskimi“ pismami. „Oh! ci Stańczycy, ci wasi Stańczycy!“ — słyszę ze zdziwieniem pełne oburzenia wykrzykniki i oczy przecieram, czy istotnie jestem po węgierskiej stronie Karpat; pytam pół żartem, pół na prawdę, czem właściwie są straszni owi Stańczycy i jakiej specjalnie zbrodni się dopuścili? Ambarasujące to nieco pytanie zostało bez właściwej odpowiedzi; tylko goręcej od innych kapany Młodoczech rzucił parę strzał o „nie-braciach a Tatarach“; ale czy owymi „Tatarami“ mieli być Stańczycy, czy wogóle Polacy, czy może Jezuici, którzy również „moc złego narobili“ — tego już dociec i odgadnąć w żaden sposób nie mogłem. Natomiast wiszący tuż nad nieszczęśliwym *Kuryerem*, rosyjskim podpisem opatrzoney wizerunek głośnego panslawisty i „hofratha“, Adolfa Iwanowicza Dobrjańskiego, długich komentarzy nie potrzebował; przeciwnie, mógł sam posłużyć za niewesoły komentarz, jakie tu prądy nurtują, jacy uznawani i czczeni wodzowie, bohaterzy. W madziarskich redakcyach, kasynach, restauracyach wisi na honorowem miejscu, sąsiadując zazwyczaj z portretami króla i królowej, wspaniały wizerunek rewolucjonisty Kossutha; w słowackich znowu, obok tych samych portretów, preziera za za opylonego szkła litografia, przedstawiająca poważną, dobroliwie uśmiechniętą postać Dobrjańskiego. Wart Pac pałaca...; madziarscy i słowaccy ultra-patryoci nie powinni sobie zaprawdę wytaczać procesów o nielojalne usposobienie!

Ks. Jan Badeni.

SEKCIARSTWO W ROSYI.

(Dokończenie).

Sekty grupy bezpopowskiej rosły nadzwyczaj szybko, zyskując prozelitów wśród ludności prawosławnej. I tak miały one w Moskwie w r. 1772 tylko 2 domy modlitwy; w r. 1812 było już 46, wskutek tolerancyi Aleksandra I.; a w r. 1848 aż 145, pomimo ucisku rządów Mikołajowskich!¹ Odtąd nauczyli się bezpopowcy lepiej się ukrywać i chyba oni sami tylko wiedzą dokładnie o liczbie swych domów modlitwy, na które zwykle rzuca się policya z wielką chciwością. Surowo dotąd prześladowe rząd propagatorów i apostołów bezpopowskich, a najsurowiej karze konwertytów. Zanim bezpopowcy zdecydują się przyjąć prawosławnego do swej sekty, długo go badają, każą mu pościć przez dni czterdzieści, a potem chrzczą go na nowo, według różnorodnych swych obrzędów.

Mają sekciarze swych ludzi na różnych stanowiskach, we wszystkich częściach państwa, a głównie w samym jego sercu, Moskwie, i w środkowych guberniach wielko-rosyjskich. Poza obrębem Wielkorosyi mieszkają licznie w Inflantach szwedzkich, a głównie w Rydze. Pewna część *razkolników*, mieszkających w ziemiach dawniej polskich, należy również do grupy bezpopowskiej. Do nich przystąpiło także wielu byłych unitów na Białorusi, po zniesieniu tam unii w r. 1839². Nawróconych wspierają ich współwyznawcy wszelkimi możebnymi sposobami. Po wsiach ułatwiają im nabywanie ziemi i urządzenie gospodarstw.

¹ Liprandi, str. 18.

² Tamże, str. 23.

Bogaci kupcy i fabrykanci nie tylko nadają wszelkie posady swym współwiercom, ale dopomagają im do otwierania własnych zakładów przemysłowych, magazynów i warsztatów rękodzielniczych. Prześladowany konwertyta znajduje przytułek i zatrudnienie u rodzin sekciarskich, zaczynając od granicy austriackiej i pruskiej po Tiumeń i Irkuck w Syberyi, a od morza Białego aż poza Kaukaz. Za czasów istnienia poddaństwa bogatsi sekciarze wykupowali skłonnych do nawrócenia się od panów prawosławnych, żądając następnie od nich tylko przyjęcia swej wiary. Propagandą zasad sekciarskich, dostarczaniem ikon, starych druków cerkiewnych, przenoszeniem wieści i ostrzeżeń zajmują się przedewszystkiem domokrażcy, znani w całej Rosyi pod nazwą *afenie*. Wędrują oni po Rosyi europejskiej, udają się na Syberyę, na Kaukaz i do Królestwa Polskiego. Niektórzy z nich przychodzą do znacznego majątku, zajmują się potem hurtownym handlem lub otwierają magazyny wyrobów złotniczych i jubilerskich. Kolebką tego domokrażstwa jest miasto Galicz, w gubernii kostromskiej, którego mieszkańcy posiadają odrębny język kupiecki, używany i przez domokrażców.

Pomimo najgwałtowniejszych środków, używanych przez rząd, ujęcie *razkolników*, a zwłaszcza złapanie na gorącym uczynku wspólnych modlitw, przedstawia niezwykle trudności. Gdy np. policya wpadnie na ślad domu modlitwy we wsi, to *filipowcy* gromadzą się w lesie; *fieodosiejewcy* wybijają setki błagalnych i dziękczynnych pokłonów u siebie w domu; *pomorcy* nie potrzebują się zgromadzać, bo u nich każdy ojciec rodziny jest zarazem kapłanem i ma prawo odbywania wszelkich obrzędów; *nietowcy* na wszystkich indagacyach przeczą, aby należeli do sekty i uczęszczają regularnie do cerkwi, ale z uczuciem nienawiści do prawosławia, co okazują swem zachowaniem się podczas nabożeństwa¹. Wspólność wiary i interesów wymaga niekiedy wspólnych zjazdów. Odbywają się one dla zachodniej połaci państwa w Moskwie i skitach (monasterach sekciarskich) gubernii czerniowskiej; dla wschodniej — w Ekatirinburgu, na stokach Uralu.

¹ Tamże, str. 63.

Zgromadzenia zaś walne, dla obu połów państwa, mają miejsce na słynnych jarmarkach: w Niżnym Nowogrodzie i w Irbicie. Najwięcej trudności napotykali bezpopowcy w stosunkach ze swymi współwyznawcami w Prusach wschodnich. Odbywały się one za pośrednictwem razkolników z gubernii suwałskiej¹. Przed kilkunastu jednak laty przeważna część bezpopowców wróciła z Prus w granice Rosyi i rozproszyła się po wschodnich guberniach Królestwa Polskiego.

Liprandi, wyborny znawca stosunków sekciarskich, a ze stanowiska swego nienawidzący *razkolników*, może w tym względzie służyć za wiarogodnego świadka, gdy mówi coś na ich korzyść. Oto, w jaki sposób tłumaczy różnicę w bycie materyalnym prawosławnych i razkolników: „Razkolnik — pisze na str. 69 — zawsze trzeźwy, codziennie przy robocie, a prawosławny zawsze pijany. Żona razkolnika, jadąc do miasta, wcale się nie stroi, a prawosławny ubiera ją w co tylko może, wysyłając do miasta, z wizytą do sąsiadów, do cerkwi, na wesele, chrzciny i t. p.“. Prawosławni chłopci i małomieszczenie patrzają z zawiścią na dobrobyt materyalny sekciarzy i przypisują to skutkom ich wiary, przez co stają się pochopniejszymi do jej przyjęcia. Zresztą bezpopowcy sami powiadają, że należy się starać o pieniądze, aby było czem się „wykupić od sług Antychrysta“ (tj. urzędników administracyjnych i policyjnych).

Przejdźmy teraz pokrótce historię najcharakterystyczniejszych sekt rosyjskich, aby odsłonić, choć w części, co się tam kryje w głębiach ducha narodu, zalegającego nizinne obszary wschodniej Europy.

Pierwsze miejsce w grupie bezpopowców należy się sekcie skopców (rzezańców), najosobliwszej zapewne z istniejących na kuli ziemskiej, nie mającej nietylko z prawosławiem, ale i z chrześcijaństwem nic wspólnego. Wiadomość urzędową o jej istnieniu mamy z r. 1770; najsilniej jednak rozwinęła się ona w pierwszej połowie naszego wieku. Rozwój swój i organizację zawdzięcza Kondratowi Seliwanowi, który zaczął głosić najpierw

¹ Tamże, str. 55.

swą naukę w guberniach: tulskiej i orłowskiej. Pochwycono go wówczas i wysłano na Sybir, gdzie wystąpił jako car Piotr III¹. Paweł kazał go przywieźć do Petersburga i osadzić w domu waryatów, w sekretnym numerze. Za staraniem bogatych skopców, a głównie szambelana Jelańskiego, należącego również do tej sekty, Aleksander I. pozwolił mu mieszkać w prywatnem mieszkaniu. Mieszkał on w Petersburgu i swobodnie szerzył swą naukę pomiędzy ludźmi różnych stanów, nawet czynownikami i popami, do r. 1820, kiedy go wysłano na wygnanie do Suzdału, gdzie i umarł w r. 1832. Skopcy zresztą nie wierzą, aby Seliwanów umarł. Nazywają go swym „Bogiem żywym“, swym „Jezusem Chrystusem“ i zarazem „carem Piotrem III.“, a powiadają, że przebywa dotąd w okolicach Irkucka na Syberyi. Przygody jego życia opisane w księgach zwanych *Strady* („Cierpienia“), a odczytywane codziennie przez skopców z głęboką wiarą i wielkiem nabożeństwem, jak Ewangelia u chrześcijan.

Trudno doprawdy pojąć, do jakiego stopnia dochodziła cześć dla żyjącego Seliwanowa, a okazuje się obecnie wszelkim po nim pamiątkom. Do Petersburga i do Suzdału gromadzili się jego czciciele ze wszystkich stron Rosyi; obcięte paznogie, jeden włos z jego głowy, mydliny po obmyciu się — wszystko to rozwoziło się jeszcze za życia po wszystkich gminach tej sekty, a przechowuje się dotąd, jako relikwie. Przed portretami jego płoną świece i lampki i odbywa się przed niemi nabożeństwo. Przyjścia jego „z góry irkuckiej“ oczekują z niecierpliwością, albowiem przybędzie do Moskwy — jak powiadają skopcy — z wielką siłą zbrojną, uderzy w dzwony cerkwi *Uszenia*, a na ich dźwięk zgromadzą się koło niego pułki, które mu dopomogą do dokonania „wielkiego dzieła“, do stworzenia „nowego porządku rzeczy“. Wówczas to — obiecują sobie skopcy — wilki nie będą obdzierać jagniąt, a wybranym przybywać będą ze stron dalekich okręty, naładowane złotem i drogimi kamieniami.

Mają skopcy swą Bogarodzącę, Akulinę Iwanownę, towa-

¹ Tamże, str. 25—36.

rzyszkę wędrowek Seliwanowa. Był i swego rodzaju Jan Chrzciel, niejakiś Aleksander Szilow, trzymany w twierdzy schlüsselburgskiej za jakieś przestępstwo, w której i żywota dokonał. Wystawiono na jego grobie okazały pomnik, z otworem w płycie, przez który skopcy wpuszczają do grobu swą pseudo-komunię pod postacią obwarzanków, rozsyłanych następnie, również jak i piasek z jego mogiły, pomiędzy wszystkich współwyznawców. Na mogile jego wystawili byli skopcy nawet wspaniałą cerkiew, ale w r. 1844 kazano ją zburzyć. Mają oni jeszcze i innych swych świętych, przed portretami których palą świece i odbywają różne obrzędy; duchowni ich kierownicy noszą nazwę „apostolów“ i „proroków“. Proroctwa odgrywają w ich życiu powszedniem i religijnem nadzwyczaj ważną rolę. Skopcy mięsa wcale nie jadają, a pozorami swej pobożności wprowadzają zwykle w błąd popów prawosławnych. Jest to swego rodzaju wyższa polityka, zalecona przez Seliwanowa, celem uniknięcia prześladowania. Nad nieboszczykiem najpierw ich „prorocy“ czy też „apostolowie“ odczytują modlitwy, a potem wzywają popów prawosławnych do odbywania uroczystości pogrzebowych. Mają również bogaty zbiór pieśni religijno-moralnej treści i hymnów. Gminy skopce, t. zw. *korabie*, istnieją w całej Rosyi, a najznacniejsza z nich, „carski korab“, istniała niegdyś w Petersburgu.

Sekta ta rosła, rzec można, w oczach wszystkich do połowy piątego dziesięciolecia naszego wieku. Wówczas rozpoczęto gwałtowne prześladowanie skopców. Z samego Petersburga wysłano przeszło 300 wyznawców tej sekty, a w ich liczbie najbogatszych kupców i czynowników¹. Żadna przebiegłość i wykręty sekciarzy na nic się nie zdały, skoro znane barbarzyńskie kalectwo, zastępujące u nich miejsce chrztu, było najlepszym dowodem przynależności do sekty. Okoliczność ta wpłynęła zapewne na powstanie nowego jej odłamu, pod nazwą *skopców duchownych*, to jest w duchu oskopionych, a nie fizycznie. Założycielem tego odłamu był Andrzej Nikonow, pensyonowany żołnierz z r. 1812. Zetknął się on z Seliwanowem w Petersburgu

¹ Tamże, str. 30.

i przejął się jego zasadami. Zresztą w nauce i zasadach niczem skopcy duchowni nie różnią się od swej starszej gałęzi. Raport administratora kraju Noworosyjskiego, przesłany do ministerium spraw wewnętrznych w r. 1844, pozwolił rządowi skonstatować istnienie i nader szybki rozrost duchownych skopców w gubernii taurydzkiej. Jako objaw niezwykle charakterystyczny zasługuje na uwagę okoliczność, że pomiędzy luteranami w Rydze było w swoim czasie wielu skopców rzeczywistych¹. Po srogich prześladowaniach w drugiej połowie rządów cara Mikołaja I., mniemano powszechnie, że sekta skopców powoli wymiera, nie znajdując prozelitów. Piszący te słowa przypomina sobie, że w roku 1865 odkryto w Tule gminę czyli „korab“ skopczy, wraz z domem modlitwy i kasą, o czem wówczas wiele mówiono i pisano w dziennikach rosyjskich. Skarb tulskich skopców liczono na miliony w złocie i srebrze. Nie pisano jednak tego, że skarb ten nie dostał się wcale rządowi, albowiem znikł z pod rąk urzędnika, wysłanego umyślnie z Petersburga, w celu wzięcia go w posiadanie i zabezpieczenia przed chciwością miejscowego czynownictwa.

Skopcy duchowni stanowią przejście od skopców rzeczywistych do sekty *chrystów* czyli *chłystów*, liczniejszej nawet, niż skopceza, a jednakowo wrogiej państwu i Cerkwi prawosławnej. *Chrysty* czyli *chłysty* zwać się przy różnych okazjach: „ludźmi Bożymi“, „pokoleniem Izraela“, czezącem „Boga żywego“, „bogomódlcami“, „braćmi i siostrami“ i t. p.

Genezę swej sekty tłumaczą chłysty w ten sposób. Za panowania cara Aleksego Michajłowicza zstąpić miał na ziemię Bóg-Ojciec, w wielkiej glori, na ognistych obłokach, na górę Horodynę, w powiecie muromskim, w gubernii włodzimierskiej. Siły niebieskie wróciły wprawdzie potem na niebiosa, ale na owej górze pozostał Bóg Najwyższy w postaci człowieczej Daniela Filipowicza. Jest to — zdaniem chłystów — drugie z rzędu zstąpienie Boga-Ojca na ziemię. Po raz pierwszy Bóg-Ojciec wywyższył Jeruzalem, a Daniel Filipowicz, posiadający również

¹ Tamże, str. 30.

istotę Bożą, oświecił Rosyę, zaczynając od gubernii kostromskiej, którą wyznawcy tej sekty zwą krainą wybraną. Ponieważ Daniel Filipowicz nie miał w sobie pierwiastku ziemskiego, przeto utrzymywał stosunki bezpośrednie z Duchem Św. Na 15 lat przed powtórnem zstąpieniem na ziemię, narodził się Bogu-Ojcu, stosownie do przepowiedni proroków, syn, Jezus Chrystus, noszący na ziemi imię Iwana Timofiejewicza. Narodził się on we wsi Maksakowie ze stuletniej baby. Gdy już miał lat 33, wezwał go do siebie, do wsi Starej, w gubernii kostromskiej, Bóg-Ojciec, Daniel Filipowicz, i technął weń ducha Bożego, poczem obaj w ciągu dni trzech, w obecności świadków, wznosili się na niebiosy. Powróciwszy do domu, zaczął dopiero Iwan Timofiejewicz głosić 12 przykazań swego boskiego ojca, Daniela Filipowicza. Z nim mieszkała razem dziewczyna, zwana przez chłystów „Córka Boga“. Ukrzyżowano go wkońcu trzykrotnie — za każdym razem bowiem zmartwychwstawał — w Moskwie, za cara Aleksego Michajłowicza, a wyrok wykonywał kniaź Odojewskij. Dajemy tutaj tylko próbkę z licznych mitów, jakimi chłysty otoczyli pamięć twórców własnej sekty. Jądro ich nie jest oczywiście oryginalnem, lecz bluźnierczą parafrazą Ewangelii św. Mity te mnożą się do nieskończoności, albowiem u chłystów wszystko polega na ustnej tradycyi, a nie wolno im ani ksiąg, ani rękopisów posiadać. Każdy zwербowany do sekty, po odbyciu ciężkich prób i różnych obrzędów, składa wkońcu uroczystą przysięgę, iż zachowa w tajemnicy wszystko, co ujrzy lub usłyszy na zgromadzeniach chłystowskich, „nie szczędząc swej osoby, nie bojąc się ani knuta, ani ognia, ani miecza, ani żadnego gwałtu“¹.

Niepodobna prawie uwierzyć, aby brednie tego rodzaju znajdowały wierzących wśród wyższej klasy społeczeństwa rosyjskiego i to za panowania Anny, około połowy wieku XVIII., a więc wieku Bolingbroke'go i Humego i francuskich *ésprits forts*. „Do sekty chłystów należeli — jak pisze Liprandi² — kniaziowie i kniahinie, bojarowie i ich żony, i wogóle różnych sta-

¹ Tamże, str. 45.² Tamże, str. 39.

nowisk obywatele i obywatelki wiejskie; z osób duchownych archimandryci i inni przełożeni monasterów, a nawet całe monastera płci obojej; dalej wszystkie prawie monastera w Moskwie, a przedewszystkiem dziewiczy i iwanowski, a w tym ostatnim, pod osobnemi kaplicami, pochowano uroczyscie zwłoki głównych założycieli sekty, które następnie, wskutek najwyższego ukazu carowej Anny, wydobyto z grobów i spalono na stosie ręką kata¹.

Herezya chłystowska, jak i skopca, nie ma prawie w sobie pierwiastków chrześcijańskich, a przynajmniej nikną one całkowicie wśród mitów i legend szczególniejszej natury¹. Obrzędy Cerkwi prawosławnej, jeżeli chodzi im o uniknięcie prześladowania, o uspienie lub omylenie czujności władz cywilnych i duchownych, chętnie wypełniają. Zanim przystąpią do komunii prawosławnej, przyjmują swą własną pseudo-komunię; mają swój osobny obrządek chrztu przez Ducha Św.; swego Boga-Ojca, Boga-Syna i jego Matkę przedstawiają w sposób podobny, jak chrześcijanie; oprócz Matki Boskiej, mają jeszcze osobną boginię i liczny poczet świętych i proroków. W domach modlitwy zawieszają portrety całego swego olimpu, któremu cześć oddają i do którego się modlą. Ich pietyzm względem wszystkiego, co przypomina Daniela Filipowicza i Iwana Timofiejewicza, zatem ich Boga-Ojca i Boga-Syna, przechodzi wszelkie granice. Oddają nawet cześć prawosławnej cerkwi św. Mikołaja (na Graczach) w Moskwie dlatego, że ich Chrystus miał być tam pochowany i stamtąd wzniósł się ku niebu.

Śluby kościelne i chrzty, według rytuałów chrześcijańskich, uważają za wielkie bluźnierstwo; wstępujących w związki małżeńskie mają za zgubionych, za takich, którzy oddają duszę swą na zatracenie. Z tego powodu żonatych popów prawosławnych nienawidzą z całej duszy i zwą ich: „żydowskimi wyrodkami“, „poganami“, „lubieżnikami“ i „gniazdownikami“. Pomimo całej nienawiści do instytucji małżeństwa, pozwalają jednemu z najbliższych krewnych Daniela Filipowicza i Iwana Timofiejewicza wstępować w związki małżeńskie, aby ród ich nie wygasł.

¹ Tamże, str. 36—46.

Wodę ze studni we wsi Starej (gub. kostromska), gdzie Bóg-Ojciec, Daniel Filipowicz, tchnął ducha boskiego w swego syna, rozwożą w zimie kawałkami, w postaci lodu, po całej Rosyi; chleb na tej wodzie pieczony służy im za komunię. Do roku 1847 żyła jeszcze we wsi Starej (30 wiorst od Kostromy) włościanka Ułana Wasiliewa, ubóstwiana przez chłystów z tego powodu, że była ostatnią z rodu Daniela Filipowicza. Ze wszech stron zjeżdżali się do niej chłysty dla oddania czci i zwozili jej bogate dary; przybycie Ułany Wasiliewej na synody chłystowskie do Moskwy lub do innej jakiej miejscowości uważane było za wielkie szczęście. Miała ona w gubernialnej Kostromie i w innych miastach rozległe znajomości i stosunki ze szlachtą i kupcami, dlatego potrafiła przez czas długi unikać ramienia sprawiedliwości. Gdy w r. 1847 wpływ jej stał się głośnym, zamknięto Ulanę Wasiliewą w monasterze. Ale sekciarze i tam zdołali ją odszukać i pielgrzymowali do niej coraz liczniej.

Kult chłystowski podobny do kultu skopców. Zbierają się oni w pewne dni na wspólne modlitwy i odbywają je od wczesnego rana do późnego wieczora. Siadają zwykle wokoło izby, przyczem starsi wiekiem zajmują kąty. Prorok czy też nauczyciel duchowny czyta najpierw głośno modlitwę. Następnie przystępują wszyscy do ucałowania krzyża. Każdy z nich trzyma w rękach jeden ręcznik płócienny, a niektórzy nawet po dwa, które oni zwą swemi sztandarami, i białe długie koszule, jako pamiątkę po tej, którą przykryto Iwana Timofiejewicza, gdy mu kat carski zdarł żywcem skórę. Potem śpiewają pieśni religijne, zaczynając od powszechnie znanej: „Daj nam, o Panie, Jezusa Chrystusa!“ Po śpiewach zdejmują z siebie ubrania i kręcą się w kółko do utraty przytomności, w tem mniemaniu, że przy pomocy różnych udręczeń ciała, jak biczowanie, skakanie i kręcenie się w kółko, osiąga się dar proroczy i niebiańską doskonałość. W takim dopiero stanie upojenia i całkowitego zawrotu głowy rozpoczynają się prorocтва ogólnej i prywatnej natury. Wkońcu następuje uczta, trwająca zwykle cztery godziny; po niej jedni rozechodzą się na noc do domów, a drudzy — kładą się razem w jednym lub kilku pokojach, stosownie do liczby

zgromadzonych. Na zgromadzeniach tych bywają chłysty różnych stanów, różnej płci i różnego wieku. Obok rzeczywistych tajnych radców i wojskowych różnych stopni, znajdowali się tam lokaje, furmani, stróże, pokojówki i t. p. Różnice stanów i rangi hierarchii urzędniczej we wzajemnem obcowaniu sekciarzy zacierają się zwykle całkowicie.

Użycia mięsa u chłystów nie zakazuje się całkowicie; gorących napojów i tytoniu bezwarunkowo używać nie wolno; małżeństwo u nich nie istnieje, a stan poważny kobiety uchodzi za naruszenie przykazań sekty. Jeżeli taki wypadek zajdzie, starają się albo płód zniszczyć, albo po urodzeniu dziecię wyrzucają. Kobieta w takim stanie wyjeżdża gdzieś w obce strony, a po chorobie wraca dopiero do domu. Wiele innych szczegółów z życia tej sekty musimy na tem miejscu ze względów moralnych pominąć.

Z mieszaniny rozmaitych odmian bezpopowców i chłystów wyłoniła się osobliwsza sekta — czcicieli Napoleona I. Pojawiła się ona po raz pierwszy w r. 1820 w Pskowie i podobno w Białymstoku, a zorganizowała się w odrębną tajną gminę kościelną w Moskwie, w r. 1844. Czcciele Napoleona zgromadzali się w samem śródmieściu, w pewnej kamienicy, należącej do jednego z sekciarzy. Dwaj przełożeni gminy, po wykonaniu pewnych obrzędów i wygłoszeniu prorocत्व, bili pokłony przed biustem cesarza Francuzów. Oprócz biustu czciciele Napoleona I. w Moskwie posiadali jeszcze sztychy, przedstawiające cesarza Francuzów w chwili wznoszenia się na niebiosy. Sztych zamówili za granicą, a reprodukcye jego, na cienkim papierze, otrzymywali stamtąd pomiędzy kartkami książek lub atlasów, sprowadzanych przez księgarnie. Zresztą nietylko wyznawcy tej sekty, ale i skopcy rzeczywiście i duchowni — jak się o tem Liprandi z aktów i przeprowadzonych śledztw miał sposobność przekonać¹ — trwają w mocnej wierze, że Napoleon I., również jak i Piotr III., żyją dotąd jeszcze, i wkrótce przybędą z Irkucka, z których ostatni obejmie rządy państwa, a pierwszy dowodzić

¹ Tamże, str. 47.

będzie prawowiernemi pułkami, celem „wskrzeszenia zburzonego porządku“. I chłysty żywią podobne nadzieje, ale tylko w stosunku do Napoleona I.

Niezmiernie charakterystyczną cechą niektórych sekt rosyjskich jest właśnie apoteoza największych wrogów Rosyi. Sekty dawniejszego autoramentu, jak wyżej wymienione, ubóstwiały lub co najmniej oczekiwały wybawienia od Napoleona I. Dziwnie, zaprawdę, wygląda ta apoteoza zwycięzcy z pod Smoleńska i Borodina w starej stolicy carów, w świętej Moskwie, spalonej, w przekonaniu ludności rosyjskiej, przez najeźdźnika francuskiego! Obecnie, kiedy konstelacya polityczna w Europie ulega zmianie, prześladowana sztunda południowo-rosyjska oczekuje lepszej przyszłości od cesarza „sztundowego“, „niemieckiego“.

W Syberyi powstała sekta „poszukiwaczy Chrystusa“ (*Iskaticli Christa*), którzy popów nie uznają, a włócząc się po górach i lasach syberyjskich, szukają Chrystusa Pana w tem mocnem przekonaniu, że go znajdą i usłyszą słowa pociechy z ust boskich. Kto go pierwszy odnajdzie, dozna niezwyklej szczęśliwości. Sekta ta liczy w Syberyi wielu wyznawców, albowiem przystępują do niej wygnani razkolnicy i ci wszyscy, którzy mają szczególniejszy pociąg do włóczęgi. Skonstatowano istnienie „poszukiwaczy Chrystusa“ i z tej strony Uralu, w powiecie werchoturskim, w gubernii permskiej. Każdy z sekciarzy nabywa kawałek nowego płótna. Wszedłszy w głąb lasu, rozpościera go na ziemi, kładzie się nań i pełźnie po nim przy akompaniamencie śpiewu¹

Polzu, polzu,
Po nowomu cholstu,
K' istinnomu Christu;
Kto pierwiy pripolz,
Toho i cholst².

Do głośniejszych sekt grupy bezpopowców należą jeszcze: *duchoborcy, ikonoborcy, mołokanie, subotniki, skakuny, pieczarnicy*

¹ Tamże, str. 49.

² Pełzną, pełzną, — po nowem płótnie, — do prawdziwego Chrystusa; kto pierwszy dopełźnie, — tego i płótno.

(szczelniki) i t. p. Z rojowiska tych mnogich sekt powstają nieustannie coraz to nowsze, zwłaszcza ostatniemi czasy w tych stronach, gdzie ludność prawosławna styka się z osadnikami niemieckimi lub z Żydami.

W zeszycie listopadowym *Nabludatiela* („Obserwatora“) z roku 1891 umieszczono artykuł p. Krasnopierowa, pod tytułem: „Prądy współczesne w duchowym życiu narodu rosyjskiego“, opisujący życie razkolników w gubernii samarskiej, zasady różnych sekt tamecznych i historię ich upowszechnienia w tej gubernii. Opierając się na danych statystycznych, wziętych z *Samarских Eparchialnych Wiedomosti*, autor podnosi fakt zdumiewający, że w ciągu ostatnich lat 12 liczba razkolników i sekcjarzy wzrosła w gubernii samarskiej o 50%. Inny podobny objaw notuje korespondent *Nowoje Wremia* z Guślic, gdzie spoczywają zwłoki Leoneyusza, czczonego jako święty przez starowierców. Od pierwszych dni czerwca (r. 1891) — pisze korespondent tego dziennika — liczba pielgrzymów rosła z dniem każdym. W dniach 23 i 24 czerwca st. st. ilość pielgrzymów, napływających z różnych stron, wzrosła do 10.000. Duchowieństwo starowiercze odbywało nieustanne modlitwy, otrzymując za to przyzwoite honorarium. Grobowiec pokutnika cały stoczony: jedni zabierają do domów okruszyny proszku z kamienia grobowego, a drudzy nabierają do dzbanków wodę z sąsiedniej studni, wykopanej niegdyś przez Leoneyusza. Rozchodząca się do domów ludność opowiada o cudownych uzdrowieniach, wskutek czego wielu słabych i chorych wiozą do Guślic. Pielgrzymki trwają do św. Piotra włącznie.

Znany powieściopisarz rosyjski, p. Wszewołod Krestowski, odbywający w ostatnich latach liczne podróże po swej ojczyźnie, donosi o silnie rozgałęzionej na Kaukazie, a zwłaszcza na pograniczu perskiem, sekcie *judiejstwujuuszczich* (żydziących). Wyznawcy jej w kraju Zakaukaskim nie uważają się nawet za Rosyan i unikają wszelkich stosunków z należącymi do Kościoła urzędowego. O istnieniu podobnejże sekty w gubernii woroneżskiej zdawał niedawno sprawę, na posiedzeniu etnograficznego oddziału „Towarzystwa geograficznego“ w Petersburgu, pan

L. Weinberg, członek woroneżskiego Komitetu statystycznego. Według jego badań i spostrzeżeń, w gubernii woroneżskiej nadzwyczaj liczne są sekty *subotników* i *żydytających*. Rzecz również godna uwagi, że *subotnicy* tameczni nie uważają siebie za Rosyan, którego to objawu nie dostrzegamy u tej sekty w innych miejscowościach Rosyi europejskiej. *Subotnicy*, „napęlniający dwa powiaty gubernii woroneżskiej“, jak się wyraża p. L. Weinberg, mają swe ogniska życia religijnego w dwóch wsiach powiatu bobrowskiego: Nowe Czigły i Buturlinówka. Liczba ich w tej gubernii — według komunikatu p. Weinberga — wynosi 60—70 tysięcy, aczkolwiek w urzędowych sprawozdaniach ich daleko mniej podają.

Dziennik *Donskoje Pole*, wychodzący w Woroneżu, opowiada o powstaniu nowej sekty pod nazwą *atetujew*, we wsi Rżawiec, w powiecie nowochoperskim gubernii woroneżskiej. Wieś ta liczy 812 mieszkańców. Wieśniacy wsi okolicznych nazywają (mylnie zresztą) sekciarzy rżawieckich *skopcami*, *chłystami* albo *pierewiertyszami*. Nauka ich zbliża się najbardziej do sekty *chłystów*. Między wyznawcami tej nowej sekty istnieje jak najściślejsza przyjaźń, a żonami swemi często się mieniają tak, że rozpoznać nie można, kto w danej chwili czyją żonę posiada. Obcą własność uważają za swoje; pracują mało; środków do życia mają pod dostatkiem; jedzą dobrze, a piją wyśmienicie; mieszkają porządniej od swych prawosławnych sąsiadów. Punktem zbornym dla wyznawców tej sekty jest dom włościanina D. D—wa, gdzie gromadzą się o różnym czasie, zarówno we dnie jak i w nocy. Gdy się odbywają ich zgromadzenia, to zamykają wrota i okiennice, do domu i na podwórze obcych nie wpuszczają, a u wrót stawiają strażę. Głównym kierownikiem i duszą sekty jest pan M. Sz., pisarz gminny. On w domu prawie nigdy nie siedzi — zawsze gdzieś jeździ; *atetuje* nazywają go swoim Bogiem. Zarząd gminny już po kilka razy odbywał rewizye w domu D—wa, gdzie znajdował jakichś ludzi bez paszportów, których odstawiał natychmiast do policyjnego *uradnika*. Za miarę bezsilności władz rządowych w miejscowościach Wielkiej-Rosyi, zamieszkałych przez sekciarzy, można uważać okoliczność, że widoma głowa tej sekty,

pan M. Sz., mógł współcześnie zajmować stanowisko pisarza gminnego!

Niezmiernie ciekawych rzeczy dowiadujemy się z gazety *Kaukaz*, wychodzącej w Tyflisie, o współczesnych fazach rozwoju dawnej sekty *mołokanów*, w prowincyi karskiej, zdobytej po ostatniej wojnie rosyjsko-tureckiej, dokąd od tego czasu napływa różnorodna ludność rosyjska. Tameczni *mołokanie* dzielą się na dwa odłamy: „stałych“ (*postojannyh*) i „duchownych“. Mołokanie pierwszej kategorii opierają swe religijne wierzenia wyłącznie tylko na Nowym Testamencie, lecz nie uznają ani tajemnic wiary św., ani czci obrazów; „duchowni“ zaś mołokanie, zwani tam *prygunami* („skaczącymi“), oprócz Nowego Testamentu, trzymają się niektórych obrzędów religijnych wyznania Mojżeszowego. „Stali“ mołokanie obchodzą dzień Zmartwychwstania Pańskiego wspólnie z prawosławnymi, przeciwnie *pryguny* — chociaż i wierzą w dogmat Zmartwychwstania — święcą paschę wspólnie z Żydami. Oprócz paschy obchodzą wiele innych świąt żydowskich, a głównie dzień pięćdziesiąty po niej, czyli święto „kuczek“. Powołując się na słowa Pisma św.: „Dawid i wszystek Izrael grali przed Bogiem ze wszystkiej mocy, i pieśniami, i na harfach, i na cytrach, i na bębnach, i na cymbałach, i na trąbach“¹, mołokanie duchowni twierdzą, iż Duch Św. zstępuje na ludzi wybranych tylko w czasie skakania i podczas śpiewów pobożnych, a tylko modły śpiewane mogą dojść do Stwórcy. To też całe ich nabożeństwo polega na skakaniu. „Stali“ mołokanie mają swych lektorów, posiadających wielkie poważanie i wywierających znaczny wpływ dla swej biegłości w Piśmie św. Mniejszego poważania doznają lektorowie u mołokanów „duchownych“. Obowiązkiem takiego lektora jest odczytywanie i wyjaśnianie Biblii w niedziele i dni świąteczne, według, oczywiście, własnego rozumienia. Do nich również należy udzielanie błogosławieństwa nowożeńcom i nadawanie imion nowo narodzonym.

Kierownikiem wszelkich ćwiczeń i obrzędów religijnych

¹ *Paralipomena*, XIII, 8.

u „duchownych“ czyli „skaczących“ mołokanów jest prorok, obierany w każdej gminie przez pełnoletnich sekciarzy. Na tę godność wybierają zwyczajnie ludzi młodych, przystojnych, sprytnych, umiejących tańczyć i śpiewać niezmordowanie. Do pomocy takiemu prorokowi powołuje gmina dwie lub trzy „prorokinie“, również z pośród młodych i przystojnych mężatek. W wyborze „prorokiń“ gmina idzie za wskazówkami proroka; na które on wskaże, na takie zwykle i pada wybór gminy, w zamiarze utrzymania harmonii wśród swej hierarchii kościelnej.

Podczas gdy sztunda robi w Rosyi południowej ogromne postępy wśród ludności włościańskiej, zwłaszcza pochodzenia małoruskiego, propaganda protestantyzmu w stolicy państwa i w Rosyi środkowej, wśród średnich i wyższych warstw społeczeństwa, przybrała nazwę *paszkowszczyzny*, od założyciela tej sekty Paszkowa. *Paszkowcy*, czyli zwolennicy Paszkowa, chcą się całkowicie oprzeć na Piśmie św. i wrócić do pierwotnego chrześcijaństwa, odrzucając historyczny rozwój Kościoła, a przede wszystkim jego formy zewnętrzne, obrzędowe. Przystąpienie do *paszkowszczyzny* objawia się zwykle gwałtowną nienawiścią do ikon świętych: ich profanacją, usuwaniem z domów, niszczeniem. Ponieważ pomiędzy sztundą a *paszkowszczyzną* zachodzi wielkie podobieństwo w zasadach, przeto zlanie się tych dwóch sekt stanie się faktem dokonany, skoro nie będzie przeszkód geograficznych; skoro dwa te prądy religijne: jeden idący od północy, a drugi od południa, zetkną się ze sobą gdzieś w środkowej Rosyi. Na tajnym zjeździe sekciarzy zasad pokrewnych, zwołanym przez Paszkowa do Petersburga w r. 1883, przedstawiciele obu tych sekt radzili zgodnie i rozeszli się w pokoju.

Głównem ogniskiem propagandy paszkowców był i jest dotąd Petersburg, gdzie tak wielu mieszka wyznawców różnych sekt protestanckich. Stwierdzono już urzędownie, iż w guberniach, położonych nad górnym biegiem Wołgi, zwłaszcza w jarosławskiej, sekta Paszkowa liczy także wielu adherentów. Rozszerza się ona przede wszystkim wśród ludności robotniczej, w wojsku i między uczącą się młodzieżą. Pop W. M., opierając się na relacyi jakiegoś włościanina, który w r. 1890/1 zajmował

się furmanką w Petersburgu, opowiada w *Cerkownych Wiedomościach*, wychodzących w Petersburgu, w jaki to sposób prowadzi się tam propaganda *paszkowszczyzny*. Pewnego razu do niego i jego towarzyszy-furmanów — opowiadał ów włościanin popowi W. M. — podjechał jakiś pan i spytał, kto z nich piśmienny. Na to odezwało się twierdząco sześciu z liczby obecnych. Wówczas ten pan wyjął tyleż egzemplarzy Nowego Testamentu w języku rosyjskim, rozdał je pomiędzy piśmiennych i polecił odczytywać uważnie tylko podkreślone ustępy, a wszystkie inne pomijać. Podkreślono tam ustępy o wierze, jako głównym warunku zbawienia, o zbawczej ofercie Chrystusa Pana, o modlitwie i t. d., które należyście pojęte i wyjaśnione, stanowią podstawę i najważniejszą część nauki samegoż Kościoła. Przeciwnie, odczytane bez należytego przygotowania i odpowiedniego wykształcenia, bez związku z innymi ustępami, są punktem wyjścia dla błędnej nauki Paszkowa.

Sekcie paszkowców, podobnież jak i sztundzie, Cerkiew panująca poświęca daleko więcej uwagi, niż innym sektom, uważając jej pierwiastek racjonalistyczny za zbyt dla siebie niebezpieczny. Istnieje już cały zastęp osób duchownych, różnych stopni w hierarchii kościelnej, i świeckich, które poświęciły się specjalnie badaniu i walce z *paszkowszczyzną*. Do takich należał np. niedawno zmarły archiepiskop chersoński Nikanor, dalej archimandryta Antoniusz, obecnie rektor moskiewskiej Akademii duchownej, literat J. Nikołajew, profesor A. Gusiew, nareszcie niektórzy członkowie moskiew. Towarzystwa psychologicznego.

A. Szarlowski.

W OBRONIE WOLNEJ WOLI.

(L. Proal: LE CRIME ET LA PEINE. Paris. F. Alcan, editeur. 1892).

*Aie toujours présent à l'esprit, que la nature n'est pas Dieu, qu'un homme n'est pas une machine, qu'une hypothèse n'est pas un fait!*¹ Taką cytataę z Diderota kładzie na czele swego dzieła Ludwik Proal, a dodaje do niej drugą z J. Simona: *Otez la liberté et la société s'écroule*².

Do napisania tej książki zachęcił Proala konkurs Akademii nauk moralnych i politycznych, ogłoszony w r. 1886 na temat: Zbadać i ocenić podstawy, na jakich najnowsze teorye opierają karygodność. Gdy z końcem r. 1888 upłynął termin nadsyłania prac, okazało się, że z sześciu nadesłanych dwie najlepsze rozprawy wyszły z pod pióra L. Proala i J. Vidala.

Uwzględniając nader cenne i trafne uwagi sprawozdawcy Akademii p. Martha, zabrał się Proal do ponownego opracowania tej samej kwestyi, a po czterech latach ukazało się na półkach księgarskich obszerne dzieło „O zbrodni i karze“.

Autor — jak sam w krótkiej powiada przedmowie — pracował przez długie lata na polu sądownictwa karnego, z kolei jako sędzia śledczy, prokurator, a wkońcu radca sądowy. Z tej wieloletniej a rozległej praktyki wyniósł on przekonanie, że jedy-

¹ Miej ciągle w pamięci, że natura nie jest Bogiem, że człowiek nie jest maszyną, a hipoteza nie jest faktem.

² Znieście wolność, a społeczeństwo runie.

nie, na teorii wolnej woli oparta odpowiedzialność moralna jest rozumną i zdrową podstawą odpowiedzialności prawnej. Książka jego jest jednak nie tylko wynikiem wytrawnego sędziowskiego doświadczenia, ale zarazem owocem równie ścisłego, jak wszechstronnego wykształcenia.

To też nie powinien bez głębokiego wrażenia przebrzmieć ten głos poważny, podniesiony przeciw tym wszystkim, którzy bezwzględnością i zuchwalstwem wypowiedianych kategorycznie twierdzeń imponować chcą światu; lekkomyślnie przyjmują hipotezy za udowodnione fakta, przeczą istnieniu Boga, działaniem sił przyrody tłumaczą przyczynę nie tylko materyalnych ale i psychicznych zjawisk, a człowieka uważają za bezduszną i bezwłasnowolną maszynę, której obroty i ruchy zależą wyłącznie od lepszej lub gorszej konstrukcji kół, kółek i śrubek.

Wszystkie, tak dziś rozmnożone i rozpowszechnione teorie materyalistyczne i pozytywistyczne, deterministyczne i alienistyczne, dobrze są Proalowi znane. Przejrzał je na wskrós i zawsze umie trafić w ich słabą stronę, wykazując im z dziwną bystrością brak ścisłości i konsekwencji.

Kierunki te zrobiły jednak swoje: wysuszyły dusze ludzkie, zatarły w umysłach różnicę między dobrem a złem, negując wolność woli, wykoszlawiły i wypaczyły sumienia. W najnowszej nauce coraz mniej znajdują one poparcia: zestarzały się i przeżyły i nie mogą nadażyć ostatnim postępom wiedzy. Reakcyja przeciwko nim występuje z dwóch stron. Z jednej, najmłodsze pokolenie pisarzy francuskich, jak Desjardins, de Vogüé, Rod, pod wodzą sędziwego idealisty Sécretana, uderza, w imię dobra społecznego, na destruktywne działanie tych naukowych prądów i wykazuje spustoszenie, jakie w dzisiejszych społeczeństwach sprawiły; z drugiej strony odzywają się wśród starszego pokolenia najlepsze i najtęższe głosy, dawniej systematycznie zagłuszane zwycięskimi fanfarami materyalizmu, a dziś zbijające go w imię naukowej prawdy. Do tych ostatnich należy Ludwik Proal.

Żeby zwalczyć przeciwnika, chwyta on za własną jego broń, pobija go na własnym polu wywodów i dowodów umie-

jętnych, argumentuje jego własną metodą. Tem tłumaczy się olbrzymi materiałem naukowy, nagromadzony tak skrzętnie a zużytkowany tak obficie, że musiałby prowadzić do zatarcia, a przynajmniej zaciemnienia zasadniczych rysów dzieła, gdyby nie dzieła tego prosty, jasny i przejrzysty rozkład.

Składa się ono z dwóch części głównych, już samym tytułem wskazanych. Pierwsza obejmuje rzecz „o zbrodni” — druga „o karze”. W obrębie pierwszej części rozróżnić dadzą się cztery działy: pierwszy zawiera refutację teoryj deterministycznych, uważających zbrodnię za wytwór wadliwej organizacyi cielesnej (Rozdział I.—V.); drugi walczy z determinizmem, tłumaczącym zbrodnię, jako nieubłagany skutek wadliwej organizacyi społecznej (Rozdział V.—XI.); w trzecim dziale zajmuje się autor wskazaniem środków prewencyjnych przeciw zbrodni i roztrząsa okoliczności, które jej powstanie wywołują lub ułatwiają, jak: warunki społeczne i cywilizacyjne, namiętności osobiste lub polityczne (Rozdział XI.—XIV.); w końcu zaś dowodzi, że właściwą, najgłębszą przyczyną zbrodni jest skażenie wolnej woli (Rozdział XIV.).

Część druga „o karze” dzieli się na trzy działy. Pierwszy z nich, obejmujący rozdziały XV. i XVI., poświęcony jest kwestyi powstania prawa karnego (przyczem polemika z teorią Littrégo) i dowodowi, że jedyną rozumną podstawą kary jest odpowiedzialność; dział drugi jest krytycznym rozbiorem pojęcia kary według teoryj deterministycznych i utylitarystycznych (Rozdział XVII.—XXI.); w ostatnim wyklada Proal swoje poglądy na podstawę prawa karnego (Rozdział XXI.).

Nadto, jak na początku książki, we „wstępie”, autor kwestyę nawiązał i postawił, tak na końcu w „zamknięciu” reasumuje całą treść swego dzieła.

Mysł główna wyrażona w dewizie: *Otez la liberté et la société s'écroule* wybija się z każdej stronicy, z każdego niemal zdania. Do jej udowodnienia, a pokonania zapatrywań przeciwnych, korzysta uczony pisarz z najnowszych badań na polu wszystkich nauk: filozofia, archeologia, antropologia i psychiatrya, medycyna sądowa i statystyka kryminalna, lingwistyka i filo-

logia porównawcza; jednym słowem, wszystkie gałęzie wiedzy znalazły w dziele Proala uwzględnienie i zastosowanie.

* *

Od najdawniejszych czasów, jak o tem świadczą hieratyczne księgi rozmaitych ras i plemion, wolna wola uważaną była za pewnik niezachwiany i służyła wszystkim prawodawstwom za podstawę i punkt wyjścia. Odpowiedzialność prawna zawsze opierała się na moralnej. Dopiero nowsze szkoły przyrodniczo-filozoficzne oddzielają jedną od drugiej, a raczej obalają jedną i drugą. Wprawdzie i dawniej pojawiały się prądy filozoficzne w tym samym idące kierunku, ruch ten przybrał jednak dopiero w naszych czasach naprawdę poważne rozmiary. Okazyę do tego dał zdumiewający postęp nauk przyrodniczych, jaki odbył się i jeszcze odbywa w tym wieku. Świeżo na tem polu osiągnięte olbrzymie rezultaty chcieli zastosować jak najszerzej, nawet i tam, gdzie zastosowanie to jest wprost niewłaściwe. Stąd pochop tak powszechny do tłumaczenia zbrodni chorobliwą organizacją zbrodniarza. Śledząc związek, jaki niewątpliwie zachodzi między duszą a ciałem, ale śledząc go jednostronnie, z fizyologicznego stanowiska, doszli przyrodnicy do zupełnego zaprzeczenia duszy i Boga. W doktrynach ich moralność, pozbawiona wszelkiego nadprzyrodzonego punktu oparcia, gdy jej odcięto wszelki związek z niebem, przyrosła zupełnie do ziemi i oparła się wyłącznie na utylitaryzmie (Bentham, Mill, Spencer). Pochodzenie jej wytłumaczono drogą doświadczeń i przyzwyczajęń, przechodzących w spadku z pokolenia na pokolenie. W ten sam sposób dzie dziecznie przechodzi normalna lub anormalna budowa cielesna, która niezależnie od woli obdarzonego nią indywiduum, prowadzi je koniecznie do zgodnego lub niezgodnego z ustrojem społecznym działania: do cnoty lub zbrodni.

Walka pomiędzy spirytualistycznym a materyalistycznym pojęciem człowieka i świata jest tak dawna jak ludzkie dzieje, a historia tej walki jest właściwie historią cywilizacji. Rozrost materyalizmu w naszym wieku jest tylko jedną więcej falą tego samego oddechu, który od wieków rozbija się o opokę spirytua-

lizmu. Przedostatni przypływ tego morza miał miejsce w XVIII. w., a materjalizm sformułował się w teoriach Holbacha, La Mettrie, Helvetiusa, Naigeona. W bieżącym stuleciu podjęli te teorie na nowo i rozwinęli je obszernie więksi i mniejsi uczeni angielscy, niemieccy, francuscy i włoscy. Bezpośrednio do prawa karnego zastosował je kryminalista - antropolog włoski, dr. Lombroso, w książce swej *L'uomo delinquente*. Krytyce tej teorii poświęca Proal I-szy i najdłuższy rozdział swego dzieła.

„Możliwą jest rzeczą, że złe popędy, objawiające się w niektórych rodzinach, i to bez przyczyn wyraźnie wskazać się dających, są prawdopodobnie powrotem do stanu dzikiego, od którego oddziela nas nie tak zbyt wielka ilość generacyj“, pisze z wielką rezerwą Darwin w dziele „O pochodzeniu człowieka“. Lombroso przyjął w lot tę hipotezę za fakt i zbudował na niej całą swoją teorię. Z założenia tego wypływają wnioski, które konsekwencya przyjąć każe, które jednak wytrzymać nie mogą krytyki. Teoria Lombrosa ostać się nie może, jeśli się nie da udowodnić:

- 1) że człowiek pierwotny był doprawdy dzikim, tj. bez moralności, czyli że zbrodnia była regułą a cnota wyjątkiem;
- 2) że człowiek pierwotny różnił się fizyologicznymi (cerebralnymi) cechami od dzisiejszego;
- 3) że u dzisiejszych zbrodniarzy występują te same cechy, któremi różnił się człowiek pierwotny od dzisiejszego;
- 4) że atawizm istnieje i odbija się po tysiącach lat;
- 5) że niekiedy, jak chce Lombroso, sięga wstecz do zwierzęcia i zwierzęcych instynktów;
- 6) że zbrodnia nie da się wytłumaczyć prościej, skłonnościami czysto ludzkimi, moralno-psychicznej natury.

Na te tak konsekwentne, z założenia wynikające pytania, teoria Lombrosa odpowiada twierdząco bądź wyraźnie, bądź *implicite*; najnowsze jednak i najpoważniejsze badania archeologiczne, fizyologiczne i etnograficzne świadczą przeciwnie. Nie będziemy tu przytaczali zacytowanych u Proala całych ustępów z dzieł Quatrefages'a, Lartet'a, Cartheilhac'a, Magnan'a i Broc'a, ustępów, które przeczą twierdzeniom wynikającym z teorii Lom-

brosa; pobieżnie tylko wspomnimy o cytatach z najstarszych pomników prawodawczo-religijnych, jak Manu, Vendidad-Sade, dzieła Konfucjusza, Genesis i t. d., z których okazuje się dowodnie, jak wysokie pojęcia moralne, jak surowe nawet przepisy obowiązywały u prastarych ludów i to z wszelkich ras: u starożytnych Aryów i Egipcyan, u Hindów, Chińczyków i Izraelitów, u Greków i Rzymian. U najdawniejszych ludów historycznych niema więc tak nizkiego stanu pojęć moralnych, któryby upoważniał do przypuszczenia, że ludy przedhistoryczne nie posiadały żadnej nocy moralnej, jak twierdzi Lombroso. Owszem, wykopaliska dokonane przez wyżej wspomnianych archeologów wskazują, że ludy przedhistoryczne miały świadomość życia pozagrobowego i pośmiertnej odpowiedzialności, a co za tem idzie, nie mogły być bez moralności.

Również nie wytrzymują ścisłej krytyki dalsze wywody Lombrosa. Twierdzi on, że kobiety i dzieci przedstawiają większą od mężczyzn analogię z człowiekiem pierwotnym, a więc ze zbrodniarzem; a to z powodu wspólnego im braku zmysłu moralnego: u dziecka jest on jeszcze nierozwinięty, u kobiety zaś przytłumiony zbyt wielką nerwową i zmysłową wrażliwością. Statystyka kryminalna dostarcza przeciw temu na pozór tak trafnemu twierdzeniu krzyczących dowodów.

Więc może prawdziwą okaże się ta sławna fizyognomika zbrodniarzy? Poparta tyloma sensacyjnymi historyjkami, objaśniona tyloma ciekawymi rysunkami, stanowi ona prawdziwą *great-attraction* książki Lombrosa, przynajmniej dla najszerszej, niekrytycznej, a chciwej wrażeń publiczności. Jeśli jednak idzie o ściśle naukową jej wartość, to wygląda ona mniej szczęśliwie.

Lombroso badał setki — przez ręce sędziego śledczego i prokuratora Proala przeszły tysiące zbrodniarzy. To też nie trudno mu przychodzi wykazać, że i tym razem uczoney determinista przyjmuje za fakt śmiałą hipotezę. Znowu niesposób wdawać się w rozbiór wszystkich argumentów, jakie Proal wytacza. Wystarczy wspomnieć, że w tej walce z antropologicznym determinizmem towarzysząmi bronii Proala są takie powagi, jak Manouvrier, Bordier, Flourence i Broca z francuskich; Charlton Ba-

stian z angielskich, a Hoeger i Dallemagne z belgijskich uczonych. Nie zadawalnia się on przecież przytaczaniem zdań cudzych, acz najznakomitszych, i zwalcza Lombrosa zarzutami czerpanymi z własnego kryminalistycznego doświadczenia. Przechodząc kolejno owe wrzekomo dziedziczne i stałe cechy typu zbrodniczego, udowadnia całą bezpodstawność i płytkość obserwacyi fizyognomistycznej przeciwnika. I tak zauważył Lombroso, że czarny lub ciemny kolor włosów jest u zbrodniarzy pospoliczszym od jasnego. Gdyby jednak badał nie samych Włochów, ale i ludność angielską, norweską, lub duńską, byłby musiał dojść do wprost przeciwnego rezultatu. Oto jeden szczegół na próbkę; a teraz jeszcze drugi. Waga mózgu zbrodniarza ma być według Lombrosa mniejszą od wagi mózgu uczciwego, normalnego człowieka. Tymczasem mózg słynnego mordercy Pranzoniego ważył znacznie więcej od średniej wagi normalnych mózgów Paryżan, podczas gdy mózgowi Gambetty brakowało 63 gramy do tej średniej wagi. Jak często fakta płatają uczonym doktrynerom nader dotkliwe figle! Dr. Lombroso widocznie nie ma cywilnej odwagi, skoro nie odstrasza go smutny przykład Towarzystwa Antropologów, którym dr. Foissac przedstawił swego czasu niezwykle asymetryczną czaszkę. Orzekli oni zgodnie, że musiała ona należeć do jakiegoś potwornego zbrodniarza. Jakież było zdziwienie, gdy dr. Foissac udowodnił, że jest to czaszka Bichata, który, jak wiadomo, był ojcem nowożytnej medycyny, zresztą jednak bardzo uczciwym człowiekiem.

Mimo to dr. Lombroso puszcza się na niemniej daleko idące wnioski z kranioskopii, niepamiętny na fatalne *fiasco* swych na tej drodze poprzedników, ani na wytrawne zdania dwóch znakomitych współczesnych antropologów: Brouardela, który pisze, że „dopatrywanie się anomalij zbrodniczych jest iluzją“, i Manouvrier'a, który dowcipnie się wyraża, iż „najnienormalniej w świecie zbudowanym byłby człowiek, któryby nie miał ani jednej z anomalij, jakie Lombroso wskazuje u zbrodniarzy“.

Co prawda, zdarzają się pewne znamiona w samej powierzchowności, odróżniające zbrodniarza od innych ludzi, są one przecież nie przyczyną, ale skutkiem występnego trybu życia.

Jeśli nieco przydługo zastanawialiśmy się nad krytyką dzieła Lombrosa, to tylko dlatego, że w książce Proala zajmuje ona cały nader obszerny I. rozdział. W II. rozdziale jest ocena teorii dziedziczności d-ra Maudsley'a. Od atawizmu Lombrosa dziedziczność różni się tem, że gdy tamten jest spuścizną po pierwotnym człowieku, a nawet po zwierzętach, to dziedziczność jest spadkiem, przechodzącym z ojca na syna, i to w obrębie jednej rodziny. Dziedziczność bywa trojaka: fizyologiczna, intelektualna i moralna. Pierwszych dwóch Proal bynajmniej nie przeczy: z tego jednak, że człowiek dziedziczy po rodzicach pewne właściwości fizyczne i skłonności intelektualne, nie wynika bynajmniej, by w czynach swoich musiał podlegać tym skłonnościom i usposobieniom. Wola jest zdolną zapanować nad niemi. Nikt nie dziedziczy pewnej cnoty lub występku, ale jedynie skłonność do tej cnoty lub występku. P. Roux, prowadzący spisy przestępców w departamencie Rhodanu, znalazł w lyońskim domu poprawy na 365 małoletnich przestępców, zaledwo 12% takich, w których rodzinie trafiały się wypadki zbrodni. Cyfry mówią!

Cała kwestya dziedziczności, z punktu prawnego, redukuje się po prostu do pytania, czy jest w człowieku jaka siła, pozwalająca mu zwalczyć dziedziczne złe popędy. „Jest nią wola“, odpowiada Proal, a z nim d-rowie: Delasiauve, Legrand du Saulle, Fouillé, Morel, Dagonet, Magnan i wielu innych. Dr. Lucas, autor słynnego dzieła „O dziedziczności“, słusznie powiada: „Zapomina się często, że człowiek jest także istotą duchową, uposażoną wewnętrznem władztwem nad samym sobą i zdolną oprzeć się swym własnym popędom“. Tam też, gdzie niema władztwa nad samym sobą i nad podnietami zmysłowemi z zewnątrz płynącemi, tam nie może być mowy o odpowiedzialności karnej zbrodniarza — tam jest tylko obłąd szaleńca.

Nietylko jednak fizyczne anomalie uchodzą za fatalną i nieubłaganą przyczynę zbrodni. Dr. Despines postawił teorię, według której „zbrodniarz od urodzenia“ podlega zupełnemu zanikowi zmysłu moralnego. Skutkiem czego stan jego psychologiczny jest zupełnie zbliżony do obłąkania (Rozdział III.). Nie

jest więc przestępca ani wolnym, ani odpowiedzialnym, bo nie posiada władzy umysłowej, będącej kryterium złego i dobrego. Szkoła kryminalistów włoskich, z Lombrosem na czele, pochwyciła skwapliwie tę teorię i skombinowała ją ze swoją atawistyczną. W walce z tą hipotezą, tak bez skrupułu za pewnik przyjętą, znajduje Proal i tym razem licznych a znakomitych sojuszników, w badaczach tej miary, jak Flemming i Dagonet. Odniosłby zwycięstwo nawet i bez nich. Tam gdzie z jednej strony, jak u d-ra Despines, materiał badany czerpano wyłącznie prawie z gazet kryminalistycznych: *Le Droit*, *La Gazette des Tribunaux* (Despines sam się do tego przyznaje) — a z drugiej, jak u Proala, oparto się na długoletniej żywej obserwacji: tam zwycięstwo nie może być wątpliwe.

Prawdą jest, że u zbrodniarzy spotkać się można, i to dość często, z zanikiem zmysłu moralnego; niemniej przecież i to jest prawdą, że niektórzy teoretyczni doktrynerowie — co zdarza się nierównie częściej — biorą skutek za przyczynę, a hipotezę za fakt. Tak ma się rzecz i w tym przypadku.

Widocznie też ani *Gazette des Tribunaux*, ani *Le Droit* nie podały recenzji z wybornej książki Appert'a „O więzieniach“. Autor jej, który całe życie strawił na zwiedzaniu zakładów karnych i badaniu złoczyńców, pisze w jednym miejscu: „Nie będę taił uczucia radości, jakiego doznałem wśród tych wszystkich zbrodniarzy: widziałem bowiem dusze ich otwierające się na przyjęcie skruchy. Przekonałem się, że ludzie ci posiadają często przymioty, rzadkie nawet pomiędzy najuczciwszymi. Nabrałem otuchy i pewności, że płonną była moja obawa, bym ich nie znalazł niezdolnymi do poprawy — i że zawsze ostoi się gdzieś w sercu zbrodniarza jakieś dobre uczucie“. Nie musiały też widocznie te pisma kryminalistyczne zamieszczać bardzo ciekawych, autentycznych listów, jakie nieraz wychodziły z pod pióra skazanych na śmierć złoczyńców. Listów takich przytacza Proal kilka. Despines, znając je, nie mógłby chyba posądzać tych ludzi o brak zmysłu moralnego. „Czyż trzeba dowodzić, że nie przy zielonym stoliku, ani przez wyłączone czytanie gazet dojdzie się do dokładnej znajomości obojścia, charakteru, wartości

umysłowej i moralnej warstw zapelniających więzienia? — pyta autor naszej książki, zwracając się do d-ra Despines.

Jako objawy anomalii moralnej, przytacza Despines brak walki wewnętrznej przed powzięciem zbrodniczego postanowienia, brak ostrożności, i wszelkiej litości dla ofiary przy dokonaniu, a brak wyrzutów sumienia po dokonaniu zbrodni! Przytoczone w dziele *Proala facta loquuntur*, i w rezultacie okazuje się, iż fikcją jest, jakoby istnieli ludzie nieobłąkani, a od urodzenia pozbawieni zmysłu moralnego. Jakżeż wtedy wytłumaczyćby można skrucę i poprawę najzatarczywszych nieraz przestępców? Zagadką zostałyby wyznania wiarogodne, bo na śmierć skazanych, świadczące o straszliwych walkach sumienia przed, a równie okropnych wyrzutach po spełnieniu zbrodni. „Zły i dobry człowiek, mimo wszelkich różnic, mają przecie wspólną, ludzką naturę“ (Stuart Mill: *Philosophie of Hamilton*, p. 560), a zmysł moralny jest jedną z zasadniczych właściwości tej natury ludzkiej.

Pojawiły się jednak jeszcze skrajniejsze teorie; identyfikują one zupełnie zbrodnicę z obłąkaniem. Büchner, w *Kraft und Stoff*, dr. Le Bon, w artykule ogłoszonym w *Revue philosophique*, uzasadniają tę tezę. W IV. rozdziale rozprawia się i z niemi nasz autor.

Statystyczne dane, zbierane przez wybitnych psychiatrów francuskich: Casudet'a, Lelut'a, Sauz'a, w zestawieniu dokonaniem przez d-ra Jacoby'ego, wykazują, że pomiędzy więźniami zdarza się mniej niż 1% obłąkanych. Psychiatra dr. Hurel znalazł w przeciągu lat siedmiu na 5570 więźniów zaledwo 12 wypadków obłąkania, więc nie całe 2‰. Gdyby zbrodnia była niższym stopniem, czy odmiennym rodzajem szaleństwa, to przejście od zbrodni do szaleństwa zdarzałoby się musiało o wiele częściej. Wobec przytoczonych cyfr, zbytby było rozbieranie innych argumentów przeciw teorii obłąkania. Sprawdza się na niej zdanie Getego: *grau ist jede Theorie — grün ist nur des Lebens gold'ner Baum*. Życie całą siłą stwierdzonych faktów zaprzecza pomysłom pp. Le Bon i Büchnera.

Szarych teoryj jest jednak więcej niż liści *auf dem grünen*

Baume des Lebens. Dr. Maudsley, Bruce, Thompson, Feré, są zwolennikami innej znowu, t. zw. teorii zwyrodnienia fizycznego. Występuje ono często wskutek nadużycia opium, alkoholu, żywienia się zepsutymi artykułami pokarmowymi, wdychania bagiennych miazmatów i t. d., a w następstwie przynosi przytępienie władz umysłowych, które u dotkniętej w ten sposób jednostki niweczy jej odporność przeciw złym popędom. Tylko, jak w takim razie wytłumaczyć potworne częstokroć zbrodnie ludzi prawidłowo zbudowanych, dobrze odżywianych, otoczonych najkorzystniejszymi warunkami bytu, wykształconych i inteligentnych? Owszem, dzieje się nieraz przeciwnie: *souvent la simplicité est cause de la bonté*, jak powiada Descartes. Zwolennicy teorii zwyrodnienia posunęli się w skrajności tak daleko, że sam dr. Lombroso w *L'uomo delinquente* protestuje przeciw zbyt fantastycznemu wymysłom w tym kierunku: „Szkoła ta — pisze on — tak przesadne wysnuwa wnioski ze swego założenia, że jeden tylko, nawet nieznaczny, objaw zwyrodnienia wystarcza jej, by w danym wypadku zwyrodnienie stwierdziła“.

Że zwyrodnienie istnieje, i nie tylko u przestępców, temu zaprzeczać nikt nie myśli. U zbrodniarzy występne i hulaszce życie bywa bardzo często bezpośrednim powodem zmian organicznych i intelektualnych, znamionujących zwyrodnienie. I znowu, po raz niewiedzieć który, skonstatować można pomieszanie przyczyny ze skutkiem. Nie zwyrodnienie fizyczne, ale próżniactwo, rozpusta, chciwość, nienawiść, chęć używania, są istotnymi przyczynami zbrodni.

Rozprawiwszy się z najważniejszymi teoryjami determinizmu fizyologicznego, przechodzi Proal do krytyki determinizmu socyologicznego. Tu już nie wadliwa organizacja fizyczna przestępcy, ale niekorzystne warunki społecznego ustroju mają być nieuniknioną przyczyną zbrodni.

W teoriach tych, obok zasadniczego fałszu, jest dużo szczegółów prawdziwych. Prawdą jest, że zbrodniarz podlega działaniu stosunków, wpływów i warunków zewnętrznych, w których żyje; fałszem jest, jakoby był istotą bezwłasnowolną, niezdolną oprzeć się działaniu społecznych czynników. Zbrodnia nie jest „feno-

menem społecznym“ — społeczeństwo wytwarza jednak skutkiem wad swego ustroju przychylne dla zbrodni warunki. Tu należą wpływy temperamentu narodowego (rasy) i indywidualnego, warunki, w jakich żyje w danem społeczeństwie jednostka ludzka, stosownie do swej płci (np. praca mężczyzn i praca kobiet) (Rozdział VI.). Klimat i rodzaj pożywienia są również poważnemi czynnikami (Rozdział VII.). Nic jednak nie przyczynia się tak dalece do wytworzenia lub podsycenia zbrodniczych instynktów, jak gruba ciemnota niższych warstw ludności i przerażająca nędza, na którą skazane są całe miliony ludzi (Rozdziały VIII. i IX.). Niemniejsze znaczenie mają również wpływy otoczenia, miejsca pobytu i zawodu. Dzieci, chowane wśród niskiej moralnie atmosfery, brudzą sobie zawczasu duszę codziennym widokiem wszelkich bezceństw. Wielkie miasta są gniazdem zepsucia dla tysięcy i tysięcy, ściągających się zewsząd po zarobek. Niektóre zawody specjalne przedstawiają niebezpieczeństwo dla pewnych stron duszy (Rozdział X.). Doniosłość tego rodzaju okoliczności bardzo szerokie znajduje uwzględnienie w książce Proala. Organa sprawiedliwości, chcąc rzetelnie na tę zaszczytną nazwę zasłużyć, mają święty a trudny obowiązek: winny one rozpatrzyć za każdym razem wszelkie towarzyszące zbrodni okoliczności, liczyć się, o ile to w ludzkiej jest mocy, z warunkami w jakich dotychczas obracał się zbrodniarz, aby nie pominąć żadnej łagodzącej okoliczności. Błędem i fałszem byłoby jednak upatrywać w społecznych warunkach główną przyczynę zbrodni; leży ona głębiej: w skażeniu i zepsuciu wolnej woli.

Spółeczeństwo, mając prawo karania przestępstw, ma też i obowiązek zapobiegania wszystkiemu, co do rozkrzewienia się ich prowadzi. Z jednej strony konieczną jest działalność prewencyjna i policyjna państwa, również jak przedsięwzięcie środków wiodących do podniesienia oświaty i dobrobytu, a tem samem zwiększenia odporności przeciwko złemu. Z drugiej, niezbędną jest także inicjatywa prywatna ludzi dobrej woli, zdążająca do usunięcia szkodliwych dla moralności, a rozwinięcia przychylnych jej rozwojowi wpływów. Rozdział XI.: *Le crime et la société*, określa obszernie te obowiązki społeczeństwa:

Powinno ono zmniejszyć liczbę konsensów na wyszynk napojów gorących, a zarazem podnieść podatek od alkoholu;

aresztem karać nałogowe żebractwo i włóczęgostwo (we Francyi jest już tego rodzaju dekret z d. 5 lipca 1808, tylko niewykonywany);

po miastach i wsiach otworzyć przytulki dla ubogich chorych i nieuleczalnych;

szkołom elementarnym nadać praktyczny zawodowy kierunek i zwrócić większą uwagę na samo wychowanie, szczególnie zaś na religijne, ono bowiem jest najpotężniejszym hamulcem zbrodni;

starać się o powiększenie ludności wiejskiej, wstrzymując jej imigrację do miast, przez obniżenie podatków i ciężarów gruntowych;

przedłużyć opiekę prawną nad dziećmi do 14-go przynajmniej roku życia, a to w celu ochronienia ich przed zamachami na ich niewinność, choćby zamachy te nie miały cechy zgwałcenia;

przedłużyć, aż do 17-go roku życia, okres poczytności warunkowej¹;

położyć tamę wszelkim wybrykom pornograficznym, produkowanym publicznie, czy to w formie sprośnych śpiewek po kawiarniach i restauracyach, czy to w formie książek, fotografii gorszących², czy wreszcie w formie przedstawień nieprzyzwoitych po drugorzędnych teatrzykach;

ukrócić uliczny bezwstyd i swawolę prostytuttek.

¹ *Code civil* nie zna niepoczytności małoletnich, właściwej Kodeksowi austriackiemu. Odróżnia on tylko:

a) okres poczytności warunkowej do lat 16,

β) okres poczytności bezwarunkowej od lat 16.

W pierwszym jednak okresie małoletni, choćby niżej lat 7, może odpowiadać kryminalnie, jeśli sędzia uzna, że działał z należytem rozeznaniem (*discernement*); w przeciwnym razie małoletni, choćby kończył już 15-ty rok życia, nie odpowiada kryminalnie. W okresie drugim, małoletni odpowiada bezwarunkowo.

² *Przegląd Powszechny* zamieścił niedawno artykuł, rzucający wiele światła na miejscowe, krakowskie, pod tym względem stosunki. (Por. *Przegl. Powsz.* luty 1892: „Prawdziwe tajemnice Krakowa“).

Najinteligentniejsze warstwy społeczeństwa powinny użyć poparcia tym zabiegom, dążącym do podniesienia moralnego poziomu szerokich mas ludności. Obowiązek ten leży na sumieniu artystów, mowców, literatów i publicystów;

prasa powinna być oględniejszą w podawaniu sensacyjnych wiadomości o zbrodniach i skandalach. Dzienniki są w rękę wszystkich, a wpływ ich olbrzymi nie zawsze działa dodatnio.

Rozumie się, że Proal, człowiek takiej miary wykształcenia i rozsądku, nie wymaga małostkowej pruderyi, lecz przyzna każdy, komu na sercu leży dobro publiczne, że godzi się kres położyć szerzącej się na wszystkie strony i ze wszystkich stron deprawacyi.

Jeśli zewnętrzne, społeczne warunki i stosunki, aczkolwiek ważnym są czynnikiem, nie mogą być poczytane za właściwe źródło zbrodni, jeśli skrzywienie i spaczenie wolnej woli ku złemu jest wszystkich przestępstw ostateczną przyczyną — to pytanie, jakie zewnętrzne, psychologiczne sprężyny tę wolną wolę skrzywiają i paczą? Odpowiedź na to pytanie jest jedna: namiętności. Prywatne, indywidualne (Rozdział XII.), polityczne i publiczne namiętności (Rozdział XIII.).

Na dnie każdej zbrodni jest namiętność, na dnie każdej namiętności jest egoizm. Od egoizmu jednak do namiętności tak wielkiej, żeby aż zbrodnię spowodowała, jest cała skala nieznacznych przejść i odcieni, następujących po sobie kolejno. Egoizm, rozwijając się nadmiernie, staje się brutalną bezwzględnością, która dla dogodzenia swemu zachceniu poświęca spokój i szczęście drugih; a potem, popychając człowieka od zachcenia do rozkielznanej chuci, przytłumia sprzeciwiające jej się władze duszy, obalamuca rozum, ujarzmia i na swoje usługi obraca wolę; a w tym stanie umysłu drobna nawet pokusa, czyli okoliczność zachęcająca lub ułatwiająca zbrodnię, wiedzie prosto do jej spełnienia.

Tu przechodzi Proal jedną po drugiej najczęstsze sprężyny zbrodni, więc kolejno: próżniactwo, niepohamowaną niczem chęć używania, chciwość i rozpustę, zamięłowanie zbytków i strojów, pijaństwo, nienawiść, zemstę. Łączą się one i kombinują po kilka

i przedstawiają rozmaitość przyczyn, która tłumaczy rozmaitość przekroczeń i zbrodni. Wola raz ku złemu nagięta, staje się giętką i podatną; krzywi się stopniowo coraz łatwiej pod ładą podmuchem złych skłonności — stąd tak częste recydywy.

Obok czysto osobistych złych popędów, poważną rolę odgrywają namiętności polityczne i pełne sofistyki paradoksa nihilistycznych, anarchistycznych i socjalno-demokratycznych partyj i autorów (Rozdział XIII.). Przewrotowe te dążności, zmierzające gwałtowną drogą do zmian ustroju społecznego, walczą zajadłe ze wszystkim, co jest społecznego ładu podporą: z wszelką świecką czy duchowną władzą; podkopują znaczenie rodziny, tej podwaliny dzisiejszych społeczeństw, atakują pojęcie własności, na którym opiera się prawny porządek świata. Pisarze, publicyści i mowcy, wojujący w imię tych prądów, nie zdają sobie często kroć sprawy, że teoretyczne zwycięstwo ich naukowych i filozoficznych doktryn byłoby, w praktyce, upadkiem wszelkiej moralności. Wszakże, choć zwycięstwa jeszcze nie odnieśli, ileż już przyczynili się do zdemoralizowania ludzkości!

„Cel uświęca środki“ — ta najfałszywsza z fałszywych zasad przyświeca szermierzom idei przewrotu. Prawda, że dzisiejszy porządek, jak zresztą każdy, dużo pozostawia do życzenia, i że daleko w tyle pozostał za ideałem; zamiast jednak do ideału tego dążyć drogą udoskonalenia ludzkości, chwytają się fanatycy najniezgodniejszych z wszelką etyką środków. Stąd tysiące i tysiące przestępstw i zbrodni.

Dążenie do sprawiedliwszego wynagrodzenia pracy, do poskromienia wyzysku, a do podniesienia dobrobytu najniższych warstw społecznych, jest z pewnością jednym z najszlachetniejszych ale i najtrudniejszych do spełnienia celów. Sam Chrystus postawił ten ideał przed oczyma ludzkości, dając swe dwa najświętsze przykazania miłości: Boskiej i bliźniego. Tylko ludzie wypaczyli po swojemu Bożą ideę. Zapominają aż nazbyt często o pierwszym przykazaniu miłości, a drugie tylko przez pół rozumieją: dać ludziom dobrobyt, nie znaczy jeszcze dać im szczęście, bo do tego potrzeba przede wszystkim zaspokojenia głodu

duszy. O klasach robotniczych wyraża się Henry Maret: *on leur a enlevé le ciel, sans leur donner la terre.*

A polityka? Ta może niemniej od wywrotowych doktryn demoralizuje społeczeństwo. Znowu piękna dążność wykrzywiona do niepoznania. Poczucie obywatelskich obowiązków powołuje człowieka do udziału w życiu publicznem. Ile jednak namiętności, ile partyjnego fanatyzmu rozbudza to życie publiczne! Przekupstwo i fałszerstwo przy wyborach, schlebienie najniższym namiętnościom tłumów i jednostek, potwarze rzucane na przeciwników, fałszywe świadectwa i krzywoprzysięstwa, pijatyki i bójki uliczne, intrygi i knowania podstępne, nadużycia władzy urzędowej, brutalne, z niczem się nie liczące i niczego nie szanujące ambicje: oto złe strony i złe skutki politycznego życia.

Jeśli więc tyle tak różnorodnych a niekorzystnych wpływów i warunków działa demoralizująco na wolę ludzką, to здаwałby się mogło, że jej znaczenie jest chyba żadne, bo nie może się ona ostać pod parciem, ze wszech stron nacierającego na nią złego. A jednak nasze uczynki tylko od nas samych zależą: zbrodnia jest wynikiem skażenia wolnej woli (Rozdział XIV.). Zbrodniarze sami, jak o tem przekonał się Proal w swej długoletniej praktyce sądowo-karnej, zdają sobie dobrze sprawę z istnienia moralnej odpowiedzialności, wbrew wszelkim deterministycznym doktrynom. Używają oni na swoją obronę częstokroć najdziwaczniejszych wymówek i wybiegów, a tej jednej, że niema wolnej woli, żaden z nich się nie chwyta. Przez nieświadomość? Nie, bo zdarzają się inteligentniejsi, którzy przynajmniej ze słuchu wiedzą coś o determinizmie. Tak samo u ludzi zajmujących się praktyką kryminalistyczną teorye deterministów przechodzą bez echa. Żaden adwokat ani obrońca nie użył ich na obronę swego klienta. Dlaczego? Bo w ludziach jest instynktowne poczucie wolnej woli i odpowiedzialności moralnej.

„Sumienie nie jest złudą wyobraźni, ani obawą przed karą z ręki ludzkiej. Przestępstwo nie jest wpływem fizycznej naszej organizacyi, bo gdyby tak było, skądżeby się wzięły wyrzuty sumienia?“ Oto wyjątek z listu słynnego Toledana, który zamordował swego przyjaciela. Widocznie znał on teorye deter-

ministyczne, a jednak głos sumienia był silniejszy, choć tak bolesny. Abel Charon, skazany na śmierć za swą potworną zbrodnię, rzekł, gdy mu odczytano wyrok: „Zasłużyłem na to!” (*Gazette des Tribunaux* z 21 i 22 lipca 1888). Morderca Piroteau, gdy miał iść na szafot, rzekł do otaczających: „Spełniłem zbrodnię, trzeba mieć odwagę znieść i karę, na którą zasłużyłem“. Jakżeż błahem wydaje się wobec tych faktów zdanie Levy-Bruhla, że przestępca poczuwa się do winy, bo wie, że zgwałcił pozytywne obowiązujące prawo, ustawę! W przytoczonych wyznaniach winy jest wyraźne poczucie się do odpowiedzialności moralnej. Tem też tłumaczy się, zresztą niczem niewytłumaczone, dobrowolną oddawanie się złoczyńców w ręce sprawiedliwości. Popycha ich do tego kroku sumienie i przeświadczenie o winie. Tem również tłumaczy się dość zwykły objaw: pewne uspokojenie, tak często widziane u skazańców po ogłoszeniu wyroku (*Le crime* Joly, p. 226, *Journal des Savants* 1889, p. 735, artykuł Francka). Gdyby zbrodniarze poczuwali się jedynie do odpowiedzialności prawnej, czy doznawaliby upokorzenia i wstydu? „Przebaczcie mi, bo potrzebuję odpuszczenia winy. Jestem bardzo nieszczęśliwy i błagam o listosć, choć wiem jak bardzo zasłużyłem na wzgardę!“ pisze do rodziców ten sam Toledano. Skazany na śmierć Baillet, po odczytaniu wyroku zawołał: „Nie szafot, ale zbrodnia jest moją hańbą“ (*La Loi* z 8 lipca 1891).

Lombroso i Ferri używają na poparcie swych teoryj jeszcze dwóch argumentów: 1) uporne wypieranie się zbrodni, tak częste u zbrodniarzy podczas rozprawy, ma według nich dowodzić braku zmysłu moralnego; 2) wyrzuty sumienia i wyznania winy mają być, ich zdaniem, nieszczerze i służyć do wzbudzenia litości w sędziach, a spowodowane są obawą kary.

Pierwszy fakt tłumaczy się po prostu zachowawczym instynktem. Co zaś do drugiego, to zdarza się i on czasem, lecz cóż poczną ci panowie z nierównie częstszem oddawaniem się zbrodniarza w ręce sprawiedliwości, a to wskutek wyrzutów sumienia, jak to sam zeznaje? Nietylko zbrodniarze przecież mają poczucie swej winy; jest ono wspólne wszystkim ludziom, nawet członkom rodziny przestępców, dzielają je wszyscy, prócz... de-

terministów. Wstyd i upokorzenie zbrodniarza i jego rodziny, oburzenie przeciw niemu całego społeczeństwa, to wszystko nie przemawia do nich przekonywająco!

Quetelet i Buckle zrobili spostrzeżenie, że ilość wypadków danej zbrodni jest z roku na rok mniej więcej stała i waha się tylko w granicach maksymalno-minimalnych. Maury, Lombroso, Büchner i wielu innych uważają to za argument świadczący przeciw istnieniu wolnej woli.

Granice te maksymalno-minimalne są jednak bardzo rozległe i niepewne. Gdyby nawet i cyfry rokrocznie były zupełnie niezmiennie, czy to dawałoby jakikolwiek dowód przeciw wolności woli? Trafnie wyraża się Fonsgrive: *de ce que le crime est déterminé, il ne le suit pas que le criminel le soit*; a Candolle, autor dzieła *L'histoire des sciences et des savants*, niemniej trafnie ilustruje tę prawdę analogicznym faktem: „Z tego, że stała mniej więcej jest roczna ilość niezaadresowanych listów, nie wynika dla żadnej jednostki konieczność nieadresowania listów“. Ten sam przykład cytował Ampère na dowód, że stałość dat statystycznych, jaką wykazują ludzkie uczynki, nie sprzeciwia się istnieniu wolnej woli. Ostatnim przeciw jej istnieniu wymierzonym strzałem jest zdanie, jakoby wolna wola nie dała się wytłumaczyć filozoficznie, a nawet w sprzeczności stała z teoryami naukowymi. Jak z jakimi teoryami — z materyalistycznymi pewnie pogodzić się nie da, bo o wolności duszy mowy być nie może tam, gdzie się duszy nie uznaje. Że zaś niektóre filozoficzne szkoły wytłumaczyć wolnej woli nie umieją, to nie o niej, ale o nich źle świadczy, a niczego więcej nie dowodzi. Czyż naukowe stanowisko wymaga, by zaprzeczać każdemu faktowi, którego się nie rozumie? Istnieje wiele zjawisk niewytłumaczonych, a może niewytłumaczalnych. Dajmy na to, że wola jest faktem zagadkowym, niemniej przeto faktem być nie przestaje.

(Dok. nast.).

L. Rydel.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Bibliografia historii polskiej. Wspólnie z *d-r-em Henrykiem Sawczyńskim* i Członkami Kółka historycznego uczniów Uniwersytetu lwow. zebrał i ułożył *dr. Ludwik Finkel*. Część I. We Lwowie. Nakładem Komisji historycznej Akademii Umiejętności w Krakowie. 1891. (Wielka 8-ka, str. XVI i 527).

Czem bibliografia Estreichera dla polskiego piśmiennictwa w ogólności, tem dla dziejopisarstwa naszego jest wyżej zacytowane dzieło. Rzecz ciekawa, że właśnie w tej gałęzi naszego piśmiennictwa uczuć się dawał brak podobnego dzieła, że ta bibliografia historii polskiej tak poważne posiada rozmiary! Czy to tęsknota za minioną przeszłością kazała tem skwapliwiej zbierać jej ślady, czy niewola i niedola społeczeństwa kazała mu się głębiej zastanawiać nad przyczynami upadku ojczyzny? Zapewne jedna i druga przyczyna spotęgowała ruch umysłowy na tem polu, tak iż zdobycze poczynione u nas na innych polach nie mogą iść w zawody z tem, czem właśnie dziejopisarstwo nasze pochwilić się może.

Lecz nie tylko dowodem świetnego rozwoju naszej historyografii jest ta świeża publikacja Akademii Umiejętności, ale zarazem znacznym krokiem naprzód i ułatwieniem badań nad przeszłością Polski. Jeżeli zważywszy, iż tylko gruntowne wyczerpanie źródeł i wszechstronna znajomość wszystkich poprzednich wyników, dotyczących danej kwestyi, jest nieodzowną podstawą każdej krytycznej i prawdziwie naukowej pracy, jeżeli zważywszy dalej, ile czasu i trudu bez takiego przewodnika potrzeba było, by materyał źródłowy do jakiejś sprawy zebrać

i literaturę odnośną poznać: pojmimy, jak wielce ułatwia bibliografia taka historykowi z zawodu zadanie, jak go niejako zniewalać będzie, wszystko, co się obranego tematu tyczy, sumiennie zbadać.

Z drugiej strony i szerszej publiczności, wszystkim miłośnikom dziejów ojczystych, dzieło to odda usługę niemałą, stając się dla nich prawdziwą nicią Aryadny w coraz zawilszym labiryncie naszego dziejopisarstwa.

Pierwsza myśl do tej pożytecznej publikacji wyszła już w r. 1878 z Kółka historycznego, istniejącego w Czytelnii akademickiej lwowskiej, wyszła od uczniów ś. p. Ksaw. Liskego. W nim pierwszym znalazła ona poparcie, a słowa zachęty w ś. p. Szujskim. Tak więc i to dzieło, choć pośrednio, łączy się z pamięcią tych mężów, którzy byli twórcami i kierownikami nowego ruchu historycznego.

Nagromadzenie tak licznych materyału przekraczało oczywiście siły jednostki, prócz bowiem wielkiej bibliografii p. Estreichera i *Przewodnika bibliograficznego* p. Wisłockiego i licznych bibliografij obcych, wszystkie czasopisma naukowe, prawie wszystkie literackie i większą część politycznych trzeba było przejrzeć; to też zbiorowemi siłami młodzi inicjatorowie starają się swój pomysł w czyn zamienić. Praca ta jednak doznaje przerwy i dopiero w roku 1886 podjęta na nowo przez d-ra Finkla, zyskuje opiekę profesorów d-ra W. Zakrzewskiego i d-ra St. Smolki. Za ich to staraniem Akademia Umiejętności przyjęła ją w poczet swoich, ograniczywszy pierwotny plan wydawcy ze względu na koszta prawie do połowy.

Główna zasługa w wykonaniu dzieła należy się świeżo mianowanemu profesorowi Uniwersytetu lwowskiego, d-rowi Finklowi. Od niego pochodzi układ bibliografii, od niego zestawienie wszystkich źródeł, dotyczących historii powszechnej. Wspierali go w tej zmuśnej pracy, prócz innych, mianowicie dr. Henryk Sawczyński i prof. Ferdynand Bostel.

Z pierwotnego projektu odpadł jeden dział, obejmujący wszelkie objawy opinii publicznej, jak broszury, manifesty, poematy, panegiryki i t. d. Ze względów na objętość nie można było drukować oddzielnie tytułu każdej pracy, lecz musiano tytuły o ile możliwości skracać i łączyć razem pod jednym numerem. Dla większej przejrzystości odmiennym drukiem zaznaczono rzeczy mniej ważne od ważnych. Z tych względów użyto trzech rodzajów druku; dzieła najważniejsze oznaczono drukiem tłustym, inne petitem lub nonpareillem.

W ugrupowaniu kierował autorem nie szablonowy szematyzm,

lecz przedewszystkiem względy praktyczne. Chodzi mu o jak największe ułatwienie w wyszukaniu źródeł do danej kwestyi się odnoszących. Dlatego też podany jest niejednokrotnie jeden i ten sam tytuł w różnych działach, liczne odsyłacze zwracają baczność czytelnika, w którym dziale bliżej się o pewnem dziele poinformować może.

Rozkład pierwszego tomu bibliografii obejmuje: A) Wiadomości wstępne, B) Źródła. Pierwsze zawierają: I) dzieła traktujące o archiwach i bibliotekach, znajdujących się czy to na obszarze dawnej Polski, czy to zagranicznych; II) dzieła odnoszące się do nauk pomocniczych historyi, jak chronologii, dyplomatyki, sfragistyki, heraldyki i genealogii, numizmatyki i epigrafiki. — Źródła zaś rozpadają się na dwa główne działy: I) Dokumenty, akty, mowy, relacye, listy, ulotne pisma i t. d.; II) Kroniki, roczniki, żywoty, pamiętniki, pisma polityczne. — W dziale dokumentów rozróżnione są 4 poddziały: 1) Zbiory dokumentów, 2) zbiory praw i pomniki sądowe, 3) zbiory aktów, i wreszcie najważniejszy 4) układ chronologiczny, gdzie prócz wielkich zbiorów, uwzględnionych na początku każdego wieku, mamy w chronologicznym porządku dokumenty, drukowane luźno w różnych czasopismach, lub ukryte w różnych opracowaniach, czy to w tekście, czy też jako dodatki. Że dział ten nie jest wyczerpujący, przyznaje sam autor, ale bo też zadanie to przekracza na razie granice możliwości. Dał nam jednak wydawca podstawę do tego rodzaju spisu bardzo obszerną, która dla badacza jest nieocenioną. Zważywszy, że dział ten obejmuje 277 stronnic, zatem przeszło połowę całego dzieła, że znaleźć w nim można bez trudności wszystko, co się pewnej kwestyi dotyczy, pojmiemy, że ten dział właśnie stanowi główną wartość całej pracy. — W dziale kronik rozróżnia autor 3 poddziały: 1) Zbiory kronik, 2) zbiory pamiętników i 3) układ chronologiczny kronik, pamiętników i wogóle współczesne opisy wypadków; przyczem nietylko uwzględniono rok śmierci autora kroniki lub pamiętnika, lecz także okresy czasu, jakie dane dzieło obejmuje, lub rok wyjścia książki, bo chronologiczne następstwo faktów i wypadków jest i w dziale kronik kierującą zasadą układu. Dla uniknięcia zamieszania dodano i tu odsyłacze pod rokiem śmierci wybitnych pisarzy i przy wypadkach przez nich opisywanych. Rozprawy krytyczne lub objaśniające kroniki, lubo że należą do opracowań, już i w tej części podane są po dziełach danego autora.

Bibliografia cała obejmuje 9946 numerów; ponieważ jednak pod jednym numerem mamy kilka, kilkanaście, czasami kilkadziesiąt, ba nawet kilkaset tytułów pomieszczonych, zwłaszcza w XVII. i XVIII. wieku, cyfrę tę przynajmniej dziesięć razy pomnożyć trzeba.

Wykonaniem dzieła tak zmuǳnego i trudnego położył autor nieocenioną zasługę około naszego piśmiennictwa i wystawił sobie zarazem pomnik, który przetrwa długie lata. Oby tylko drugi tom Bibliografii, obejmujący opracowania, jak najrychlej ujrzał światło ǳienne dla większej korzyści polskiej nauki i społeczeństwa polskiego.

Dr. K. Krotoski.

Wizerunek rzeczypospolitej polskiej. *Eu... Heleniusz.* Kraków 1891.

Druk Wł. Anczyca i Sp. Tom I. str. 490, tom II. str. 426.

Nową książkę o Polsce wydał znany pisarz: znów z niewygasłym zapałem prowadzi czytelnika w krainę przeszłości ojczyźnej, gawęǳi o dawnym stanie naszego społeczeństwa, z niewyczerpaną cierpliwością gromadzi szczegóły o prawodawstwie i wewnętrznym ustroju rzeczypospolitej, śǳdzi krok za krokiem pochód naszych praoców po torze państwowego rozwoju i nie pomija żadnego wawrzynu, zdobytego przez nich na tej drodze sławy. Komu sumienie wyrzuca, że nie zna szczegółowo ustaw i zasad, które rząǳiły naszą ojczyźną, ten z korzyścią zaczerpnie cennych wiadomości z najnowszego dzieła Heleniusza; ze wstydem zobaczy może, że równo z wrogami ojczyźny lekceważył przeszłość narodową; ani nie przypuszczał, jakie zasoby głębokich myśli, nieraz nawet perły rzadkiej mądrości tkwią w księgach starych praw polskich, nie rozumiał, jaki ǳuch wyciskał na ǳielach naszych przodków piętno, niepojęte przez umysły pospolite, jak ten ǳuch wiał w poglądach naszych mężów stanu, przenikał zwyczaj narodu i przyświecał jego życiu ǳodziennemu.

Piękny wizerunek rzeczypospolitej polskiej wyszedł z pod pióra Heleniusza i rozpala nasze serca miłością ojczyźny: tę zaletę posiada najnowsza praca szanownego autora w wyższym stopniu, aniżeli poprzednie; ale jak dawniej, tak i teraz nie można autora zupełnie pochwalić za język i układ ǳieła. Ogół czytelników niechętnie czyta książkę, w której z pod ciężkich zwrotów myśli i rozwlekłego toku pogadanki mozolnie trzeba wydobywać obfite bogactwo treści. Poważny czytelnik nie zaspokoi naukowych wymagań wiedzą nabytą z ǳieła, które nie przytacza źródeł, i bez wielkiego wyboru spleta razem skarby rozległej wiedzy z opisami wypadków mniej ciekawych, czasem wątpliwych, albo z osobistymi uczuciami autora, które, choć zawsze zacne, ale nie zawsze wyrażone odpowiednio i umiejętnie uzasadnione, zaciemniają główny przebieg dowodów i zdrowych myśli pożytecznego ǳieła.

Ks. K. C.

„Biblioteka pisarzy polskich“:

1. *Postępek prawa czartowskiego przeciw narodowi ludzkiemu*. 1570. Wydał dr. Artur Benis. 1892.
2. *Jakóba Górskiego: Rada Pańska*. Wydał dr. Wiktor Czermak. 1892.

Wydawnictwo Biblioteki pisarzy polskich postępuje ciągle naprzód. Mamy właśnie przed sobą dwa tego roku wydane tomiki.

Pierwszy: „*Postępek prawa czartowskiego...*“ jest przedrukiem jedynego egzemplarza, znalezionego w Muzeum XX. Czartoryskich, a drukowanego u Bazylika w r. 1570. Dziełko to należy poniekąd do odłamu prawniczego piśmiennictwa, któremu Stinzing nadał nazwę popularnej literatury rzymsko-kanonicznego prawa. Literatura ta była na owe czasy bardzo rozkrzewioną; bibliografia wykazuje do r. 1500 blisko 50 najrozmaitszych łacińskich i niemieckich wydań *Processus sathanae*. Nieznany autor polskiego „*Postętku*“ przerobił cały ten materiał w ten sposób, iż stronę prawniczą usunął na ostatni plan, rozprawie nadał charakter dysputy o treści etycznej, a rzecz całą ożywił formą dramatyczną.

Początkowe rozdziały „*Postętku*“ zajmuje opowiadanie o Adamie i Ewie; w następnych rozstrzuwa się właściwy postępek czyli proces czartów przeciw rodzajowi ludzkiemu. Wartość dziełka polega głównie na wspaniałym języku i trafnej obserwacji polskiego życia.

Drugie dziełko: „*Rada Pańska*“, jest jedynym pismem polkiem sławnego księdza Górskiego. Jest ono rozszerzonym opracowaniem hiszpańskiego traktatu „*O radzie i doradcach*“ Cerioli. Górski żąda najpierw ustanowienia siedmiu rad przy boku królewskim, z których każda miałaby pod swym zarządem część spraw państwowych. W drugiej części przechodzi przymioty duszy i ciała, jakimi członkowie rady obdarzeni być powinni; w końcu daje przestrogi królom, przydatne do odpowiedniego wyboru członków.

Słusznie przyrównywa prof. Morawski „*Radę Pańską*“ do „*Dworzanina*“ Górnickiego, bo obydwa te dzieła, stosując do polskich potrzeb owoce zachodniej cywilizacji, dopełniają się wzajemnie.

Obydwa dziełka, jak zresztą wszystkie wychodzące w „*Bibliotece pisarzy polskich*“, wydane bardzo starannie. J. P.

Życie św. Alojzego Gonzagi T. J. Według najdawniejszej włoskiej biografii O. W. Cepari T. J., opracowane przez ks. Fr. Schroedera S. J. Mikołów 1891. (Str. XXXII i 462).

Trzechsetletnia pamiątka chwalebnego zgonu św. Alojzego, jaką zaly świat katolicki, zachęcony wezwaniem Ojca chrześcijaństwa, z nie-

bywałą obchodził uroczystością, pozostawiła po sobie wiele okolicznościowych pism i książek, poświęconych wspomnieniom i czci św. Młodzieniaszka. Nie ustąpił na tym punkcie naród polski innym katolickim krajom, ukazało się i u nas wiele mniejszych i poważniejszych prac, których celem było rozszerzyć cześć tego Patrona młodzieży i z jego życiem zaznajomić polską publiczność czytającą. Między temi wszystkimi jednak publikacyami, i rozmiarem i wyczerpującą biografią i wspianiem, ilustrowaniem, iście pomnikowem wydaniem, celuje w nagłówku wymienione życie Świętego. Tłumacz nasz przyswoił polskiej literaturze żywot św. Alojzego, wyszły ongi z pod pióra ks. Wirgilego Cepari T. J., a uzupełniony obecnie i rozszerzony przez O. Schroedera i ogłoszony równocześnie katolickiemu światu aż w pięciu językach, tj. w polskim, niemieckim, francuskim, angielskim i hiszpańskim. Jest to biografia może najlepsza, jaka dotąd o Świętym się pojawiła, bo ks. Cepari to szkolny kolega Alojzego, towarzysz jego życia i prac z lat 1588—1591 w rzymskim Kolegium. Jako naoczny świadek, począł zaraz spisywać szczegóły i wypadki dotyczące jego życia, później na wyraźne zlecenie generała zakonu ks. Akwawiiwy, osobiście zwiedzał wsławione pobytem Alojzego miejscowości, a uzbierane tak z mozołem szczegóły zebrał w całość i dał światu obraz żywotu anielskiego Młodzienca. Dodajmy na pochwałę dzieła, że je nietylko wiele wymagający cenzorowie zakonni za dobre uznali, ale sami kardynałowie i papież Paweł V. pochwalili takowe. Dzieło to w polskim tłumaczeniu wielu pewno czytelnikom było już znane choćby z wydania pelplińskiego, ale obecne wydanie pod niejednym względem stoi wyżej od dawniejszych.

A najprzód czwarta część (str. 358—421), dzieje czci św. Alojzego, pod piórem niemieckiego wydawcy i polskiego tłumacza znacznie została rozszerzoną. Ks. Schroeder zebrał wiele pism i listów, malujących nam usilne zabiegi i starania papieży, dostojników Kościoła i książąt świeckich, podjęte celem podniesienia i rozszerzenia czci Świętego, a jako najświeższy dokument figuruje odezwa Ojca św. Leona XIII. do katolickiego świata, zachęcająca do świetnego obchodzenia trzechsetletniej rocznicy zgonu św. Alojzego.

Druga zaleta tego wydania, to dokładne i krytyczne zestawienie wszelkich szczegółów do życia Świętego się odnoszących, których już po śmierci ks. Ceparego przybyło bardzo wiele i dotąd przybywa. Te drobne i na pozór nic nie mówiące fakty, te luźne zapiski i szczegóły razem zebrane, pozwalają nam oznaczyć dokładnie niektóre dawniej

nieznane daty z życia Świętego, dają nam poznać jego ród, rozległe stosunki z wysoko postawionemi rodzinami i osobami, przynoszą kilka nieznanych szczegółów do jego biografii. Dodajmy, że właśnie niemieckiemu wydawcy skrzętnemi poszukiwaniami udało się tę część zbogacić jeszcze kilku nowemi zdobyczami.

Wreszcie specjalną uwagę w niniejszem wydaniu zwracają liczne, wogóle udatne ilustracye. Portrety i obrazy, reprodukcye współczesnych malowideł, przedstawiają nam nietylko Świętego w różnych epokach jego życia, ale i jego rodzinę, rozmaite osobistości, z któremi Alojzy obcował i żył, które nad podniesieniem jego czci pracowały. Mamy nawet *facsimilia* pism Świętego. Wszystkich ilustracyj jest przeszło sto.

Polskie tłumaczenie zadowolnić może nawet wybrednego czytelnika, język wszędzie poprawny, jasny i płynny; techniczna strona wydawnictwa słuszną chlubę przynosi zasłużonej drukarni p. Karola Miarki.

Ks. Antoni Boc.

Błogosławiona Kinga, Jej żywot i dzieła. W sześćsetną rocznicę śmierci, skreślił *O. Czesław Bogdalski*, Bernardyn. Z ośmnastu rycinami. Kraków. Nakładem autora. 1892.

Między licznemi wydawnictwami, spowodowanemi sześćsetletnim jubileuszem bł. Kingi, książka O. Bogdalskiego zajmuje bez wątpienia nietylko obszernością, nietylko zewnętrzną szatą, ale i wewnętrzną wartością, najpierwsze miejsce.

Prześliczna postać polskiej księżnej występuje tu czarem świętości otoczona na tle współczesnych dziejów, na tle uroczej, dobrze snąć przez autora znanej i gorąco kochanej, górskiej, podkarpackiej przyrody; — a postać ta tak piękna i zarazem tak wielka, że mimowoli wyobraźnię i serce ku sobie ciągnie. Wbrew skromnemu zaręczeniu w przedmowie: „Piszę dla pocziwego, a biednego ludu; piszę dla maluczkich“, dość parę kartek przerzucić, aby przekonać się, że książka ta raczej właśnie przeznaczona dla klas wykształceńszych. Autor zaglądał i korzystał sumiennie z nowszych i dawniejszych źródeł; czasami cytuje z nich nawet dłuższe ustępy; nieraz zwłaszcza odwołuje się na Szajnochę, którego barwnym, jakby powieściowym sposobem opowiadania sam poniekąd przypomina. Parę bardzo drobnych i do drobnych kwestyj odnoszących się omyłek niczem całości nie szkodzą, bo spostrzedz je zdoła tylko bardzo uważny specjalista.

Pobożny czciciel bł. Kingi wydał pamiątkową swą książkę w dwóch wydaniach: jedno skromniejsze, w mniejszym formacie; drugie bardzo bogate, trzema kolorami drukowane, z winietami i symbolicznymi ozdobami na każdej stronnicy. Szkoda, że delikatne desenie, rzucone tu i ówdzie na druk, któreby miały być przeźrocyste, są czasem za tłusto drukowane i aż czytanie utrudniają.

Chronologico-historica introductio in novum Testamentum, exarata et edito a *D-re Tito Myszkowski*. Leopoli 1892. (Str. VIII, 180).

Szanowny Prelegent na teologicznym wydziale Wszechnicy Lwowskiej wydał rozprawkę o najważniejszych latach ery chrześcijańskiej i stanie społeczeństwa w chwili, w której przyszedł na świat „Upragniony przez narody“. Tę treść ciekawą dla każdego teologa opracował autor samodzielnie na podstawie najpoważniejszych źródeł starożytniejszych, a zarazem uwzględnił najznakomitsze zdobycie nauki współczesnych egzegetów i dziejopisów. Skrzętną pracą dał dowód nowy, że i na lwowskiej uczelni zasiadają badacze chronologii i historii, którzy nie ustępują w niczem znanym z dokładności i wytrwałej pracy profesorom niemieckich wszechnic. Uniknął przytem zbyt drobiazgowych wywodów, choć nie pominął szczegółów, na pozór mniej ważnych, na których opiera własne zdanie w pytaniach spornych. Można by czasem nie zupełnie przystać na zdanie autora, np. o tem, że Zbawiciel dopiero w początku trzydziestego trzeciego roku życia przyjął chrzest Janowy, w roku 29 ery chrześcijańskiej, a w półczwarta roku potem poniósł śmierć, więc w połowie trzydziestego szóstego roku życia na ziemi. Jednak trzeba przyznać, że autor dostatecznie wyjaśnia powody, dla których odstępuje od przyjętego wogóle podania. Jego praca zasługuje na pochwałę także z tego względu, że bez rozwlekłych wycieczek na pokrewne pytania prosto zmierza do kresu badań i choć może nuży łaciną trochę pretensjonalną, jednak zmusza czytelnika jasnym i ścisłym tokiem myśli do tego, żeby z przyjemnością skupił uwagę na przebieg dowodów i zamknął książkę z temi słowami na ustach: tak pisze, kto głębiej zbadał i dobrze posiada swój przedmiot.

----->X<-----

Z piśmiennictwa zagranicznego.

La Débâcle. Par *Emile Zola*. 1892.

Gdyby mi kto był powiedział przed 9-cioma laty, kiedy się zakładał *Przegląd Powszechny*, że będzie w nim kiedyś recenzja Zoli — i to jeszcze z mego pióra — byłbym się za głowę wziął i protestował, że to być nie może!

Otóż nie pod słońcem stałego; i ludzie się zmieniają — tym razem zmienił się pan Zola. Pod wpływem tego powiewu umoralnienia, który dziś wieje po Francyi, może i pod wpływem dojrzalszego wieku, wytrzeźwienia, a może i pod ciśnieniem wawrzynu akademickiego, który dziś wiąże jego skronie, autor *Assomoiru* i *Nany* widocznie nowych szuka torów. Przeszłoroczna jego powieść *l'Argent* już tylko parę kartek zolizmu zawierała, tegoroczna — bo płodny pisarz co roku spory tom na świat wydaje — *La Débâcle*, już ani jednej stronnicy nieprzyzwoitej nie ma. Można więc bez powalania się wziąć tę książkę do ręki i przypatrzeć się temu ciekawemu zwrotowi autora, który tyle miejsca zajmuje na półkach po księgarniach, dworcach, wypożyczalniach, a często i domowych bibliotekach — ile żaden inny nowożytny pisarz.

Żeby sobie zdać sprawę z tego zwrotu, trzeba najprzód uprzytomnić sobie, czym był Zola. Imię to stało się, i zapewne zostanie, synonimem bezwstydu w literaturze. Nie wątpię, że sam ten jego cynizm, a więcej jeszcze reputacya cynizmu, jaką mu czynili nawet jego przeciwnicy w celu odstręczenia od niego, przyczyniły się niemało do niesłychanego odbytu jego książek po obu półkulach. *Mes livres puent le peuple*¹, powiedział on z chępliwością o swoich dziełach — otóż wiele jest takich much, które zła woń przyciąga. Dodać jednak trzeba, że są i inne własności, tak dodatnie jak i ujemne strony talentu tego pisarza, które się przyczyniają do szczególnej jego popularności w szerokich warstwach.

Nie będę się rozpisywał o jego plastyczności. Ten przymiot, tak ceniony dzisiaj w malarstwie: aby przedmiot występował z płótna — znajduje się, jak wiadomo, u Zoli w wysokim stopniu. Obejrzał on swoją rzecz dokładnie, pracowicie, do najdrobniejszych szczegółów, a maluje wypukle, aż do złudzenia. Czy się obraca w rzeźalni, czy do

¹ „Moje książki śmierzdzą ludem“.

zakrystyi zagląda, wszędzie jest u siebie, zna każdą szufladkę, słów fachowych używa, jak gdyby był całe życie rzeźnikiem lub całe życie kościelnym. — Przytem, nadzwyczajny, potężny talent do poruszania mas ludzi i rzeczy. Masy te — jak kopalnia węgla w *Germinal*, wielki magazyn w *Bonheur des Dames*, kolej żelazna w *Bête humaine*, giełda w *Argent* i t. p. — w epicznej fantazyi Zoli ruszają się, żyją, czują nawet i współczucie wywołują — nieznacznie przedzierzgają się w osoby, które całe zajęcie pisarza i czytelnika pochłaniają, i wobec których jednostki ludzkie wyglądają jak mrówki, jak ziarenka piasku. Takie działanie masami z natury rzeczy silne czyni wrażenie na wyobraźnię. Jest to, jak już zauważono, efekt epiczny.

Ale gdy się bliżej przypatrujemy jednostkom ludzkim, które nam Zola pokazuje, spostrzegamy, że ta cała jego obserwacya ogranicza się na powierzchowności, jest czysto zewnętrzna. Przedstawia się on jako skrajne przeciwieństwo do wielkich powieściopisarzy rosyjskich, którzy są przedewszystkiem realistami duszy. Dwa wielkie braki uderzają w jego kreacyach: brak moralności i brak psychologii — a te dwa braki zlewają się u niego w jedno. Wielu innych powieściopisarzy jest niemoralniejszych od Zoli — on jest właściwie amoralnym; w jego poglądzie na świat moralność wcale nie egzystuje: nietylko sam nie wstrzymuje się nigdy względami etycznymi od kroczenia przez środek kałuży, którą każdy człowiek choć trochę wymija, ale też jego bohaterowie żadnego zgoła zmysłu moralnego nie posiadają: jedni źle robią, bo taki mają instynkt, odziedziczony czy skądinąd narzucony; źle robią machinalnie, bez żadnej walki ani wyrzutu; drudzy robią dobrze, zarówno instynktowo i amoralnie, jak pierwsi. Ci ostatni nie są wcale lepsi od pierwszych, ani pierwsi gorsi od ostatnich. Czy dziewczyna obyczajna opiera się zwycięsko kusicielowi, czy druga rzuca się na przód, czy subjekt sklepowy kradnie, czy mrze z głodu raczej niż grosz naruszyć — czuć najwyraźniej w opowiadaniu Zoli, że coś fatalnego ślepo pcha te istoty: tak czynią, bo są takie, bo inaczej jakoś nie mogą. Gdyby na jakiejś planecie były istoty inteligentne, a nie mające wolnej woli, zatem ani sumienia ani moralności, ich świat wyglądałby właśnie tak, jak świat Zoli. Tymczasem świat rzeczywisty wygląda zupełnie inaczej; moralność gra w nim rolę dominującą; wszyscy ludzie — z wyjątkiem rzadkich okazów patologicznych — są pod jej wpływem: dobrzy za nią idą, źli się jej opierają, ale zawsze z jakimś, większym czy mniejszym, wysiłkiem — wysiłkiem, który stanowi główny czynnik w wewnętrznym dramacie życia ludzkiego.

Co więcej, te figury Zoli pozbawione są zupełnie tej mnogości i zawilosci uczuć i motywów, tej głębi duszom ludzkim właściwej. Każda z nich ma co najwięcej dwa lub trzy proste popędy, instynkta czy namiętności, czasem tylko jeden popęd, który w każdej okoliczności jednakowo reaguje. Są to pajace bardzo prostej konstrukcyi, kilkoma tylko sznurkami w ruch wprowadzane. A te sznurki instynktów są na wierzchu, widoczne od pierwszych kartek powieści; pod spodem zaś nic niema, tylko ciemne tło zwierzęcości, jednakowe u wszystkich, które w nadzwyczajnych okolicznościach odzywa się zupełnie zwierzęcemi podrzutami.

Jest to, jak każdy widzi, psychologia niezmiernie uproszczona. Ale wara powiedzieć, że nie jest naukową. Ponad całą literacką twórczością Zoli wznosi się jakaś „teorya naukowa“, jakaś metafizyka, z której wspomniana psychologia logicznie się dedukuje i do której stwierdzenia jest powołana. Temu ówierz wieku, kiedy Zola pisać zaczynał, nauka pozytywna nie była jeszcze jak dziś wytrzeźwiała, zdawało się jej, — co już dziś tylko warszawskim pozytywistom się zdaje — że wszelkie zagadnienia, nawet z duchowej i moralnej sfery, z punktu umiejętności przyrodniczych rozwiązać może. Rozprawiała o nich, jak mówi Rod¹, z tą łatwością i pewnością siebie, z jaką komiwojażer rozmowę prowadzi przy *table d'hôtes*. Młody literat, olśniony urokiem tej nauki w materializm udrapowanej (tem bardziej olśniony, że sam uczonym nie był), umyślił z niej zrobić granitową podstawę swych literackich plodów. W szczególności upodobał sobie teorię dziedziczności, która była wówczas na porządku dziennym, a którą pojął prościej i bezwzględniej niż którykolwiek uczony: „byle jaka leżja organiczna u rodziców determinuje cały szereg nerwowych zająć w całym rodzie, te znów determinują w jednostkach tego rodu, według warunków otoczenia, uczucia, żądze, namiętności i inne zjawiska instynktowe, których wynikiem dajemy konwencyonalne nazwy cnót i występków“. Wyszedłszy z tego założenia, wypisanego we Wstępie powieści *La fortune des Rougon*, autor „studjuje“ tę dziedziczność w rodzinie Rougon'ów-Macquart'ów, i to studyum ciągnie przez dwadzieścia kilka lat i dwadzieścia powieści. Zapyta może ktoś naiwnie: czy ta rodzina egzystowała kiedykolwiek? czy ją Zola osobiście obserwował? a jeżeli nie, to co on tu właściwie „studjuje“? co to wszystko ma dowodzić, i wogóle co to ma wspólnego z nauką? Otóż autor jest tak dalece nienaukowym,

¹ *Les idées morales du temps présent*, par Edouard Rod. 1892.

że jest w stanie wziąć tę robotę swej fantazyi za studyum naukowe jest w stanie wyobrazić sobie, że to co sam wysnuwa z materyalistycznej teorii, jest eksperymentalnem tej teorii potwierdzeniem!

Przy takich brakach nauki, psychologii i moralności, skądże takie szalone powodzenie? Braki te ściągnęły na Zolę tak silne i tak powszechne potępienie literackiej i umiejętnej krytyki i wogóle świata delikatniej wykształconego, że nie wiem, czy podobna nagana drugiego autora spotkała. Ale klientela czytelników, licząca się na krocie tysięcy, nie składa się z literatów; składa się ona z warstw niższego poziomu, dla których same te niedostatki Zoli mają pociągającą stronę. Dla tych szerokich kół publiczności „nauka“ jest bożkiem, ale nie potrzeba wcale dla zaimponowania im, żeby to była prawdziwa nauka; owszem daleko lepiej, kiedy jest jej pozór, kiedy zamiast nauki trudnej i wątpliwej, występują frazesy ogólnikowo jasne i kategorycznie rozstrzygające. Otóż ta nędzna psychologia Zoli — jak zauważył słusznie de Vogüé¹ — jest właśnie taką, jakiej wymagają tacy czytelnicy. Owa psychologia subtelna, skomplikowana, snująca się przez labirynty delikatnych uczuć i zawiłych sytuacji, na jaką się sady nowożytna powieść, bardzo interesuje ludzi z wyższem wykształceniem, ale dla szerokich warstw musi być nieprzystępna i zabijająco nudna. U Zoli zaś mają bohaterów, których mechanizm wewnętrzny jest im od razu zrozumiały; każdy z nich jest typem: jeden typem obżarstwa, drugi chciwości, trzeci innego z grzechów głównych... Jest to literacki proceder prymitywny, który dla prostych umysłów ma coś pociągającego; i słusznie de Vogüé widzi w nim podobieństwo ze sposobem, jakim Homer swoich bohaterów charakteryzuje.

Wreszcie Zola jest też swoim sposobem moralistą — i sam to przekonanie wiele razy w swych polemikach wypowiedział — ale moralistą jest równie prymitywnym, jak psychologiem. W przeciwieństwie do pewnych powieściopisarzy, którzy mają pasyę systematycznie unieszczęśliwiać cnotę, on systematycznie łączy z występkiem zgubne wyniki, a z dobrmi postępками pomyślność. Pijak u niego normalnie kończy na *delirium tremens*, wszetecznicą na chorobę zakaźną, spekulant się rujnuje; dziewczyna dobrego prowadzenia wychodzi dobrze zamąż i t. d., i t. d. Jest to etyka *sui generis*, zależąca po prostu na fizycznej przyczynowości między czynem a jego następstwami — a więc etyka dopasowana do materyalizmu — czego filozofowie wymyślić nie

¹ *Revue des deux mondes*, 15 Juillet.

potrafili! Jedna tylko bagatela szwankuje w tej etyce: tj. że w rzeczywistym świecie niekoniecznie tak się dzieje: żeby za występkiem zawsze szła kara, a nagroda i pomyślność za cnotą. — Sekowałby jeszcze można autora pytaniem: jak prawidła takiej etyki (przypuściwszy nawet, że fizyczna kara, którą ona grozi, jest nieuchronną) wpłynąć mogą na nasze postępowanie, kiedy ono zdeterminowane jest od początku do końca instynktami odziedziczonemi? — Ale na takie trudnostki Zola i rzesza jego czytelników nie zwracają uwagi. W gruncie taki sposób pojęcia etycznego dramatu życia jest pewnem uproszczeniem, w guście już wspomnianego uproszczenia charakterów; a nadaje on dziełom Zoli pewną cechę moralu (jak w bajkach dla dzieci). Sam autor mocno wierzy w ich moralną doniosłość, a prawdopodobnie i czytelnicy niższego poziomu znajdują w nich zadowolenie dla swego mało wyrobionego etycznego pocucia. To zawsze głaszcze po sercu, kiedy się widzi, że gałgana spotyka kara, a poczciwemu człowiekowi dobrze się powodzi.

Takimi to środkami Zola ściągnął sobie całą armię czytelników i prowadził ich przez długi cykl swych powieści, pokazując im, nie wyniki dziedziczności w jednej rodzinie, jak to było w założeniu, ale różne części składowe i warstwy dzisiejszego społeczeństwa francuskiego, kreśląc w ten sposób obraz tego społeczeństwa, ciemny, fantastyczny, powierzchownie wierny, podobny do rzeczywistości, jak te czarne rysunki, cieniami chińskimi zwane.

A na czem teraz zależy obecna ewolucja Zoli?

Już *le Rève* był zdaje się próbą podniesienia się do wyższej, czystszej atmosfery; ale próbą wielce nieudaną. Bohaterka jest sztucznym produktem, wytworzonym w naukowej retorcie Zoli, jak *homuncio* Getego, ze strzępów pergaminów średniowiecznych i źle pokostowanej zmysłowości. Lecz przeszłoroczna powieść *l'Argent* jest już prawdziwym i znacznym postępem. Odróżnia się ona od poprzednich nietylko tem, że wydarłszy dwie lub trzy kartki można ją każdemu dać do ręki — ale jeszcze bardziej tem, że zaczyna być istotnie psychologiczną i wchodzi nieco głębiej, niekiedy dość prawdziwie, w dusze. Przedmiotem jest, jak zwykle u Zoli, ogromna rzecz: giełda, żarząca się szalonym ruchem interesów i namiętności, wśród wielkiej stolicy; a dokoła tego ogniska wirują dusze, różnego koloru, piękne i brzydkie, finansistów i lokajów, kobiet szlachetnych i podłych, urzędników i prostodusznej zubożałej arystokracji. Ognisko je fatalnie przyciąga; i jest to ciekawy

i przejmujący widok, jak każda z tych dusz, w miarę jak się zbliża, w pewien sposób się odmienia, a wkońcu wpada i ginie.

Po takim dziele, kiedy Zola zapowiedział powieść o wojnie francusko-pruskiej i rozgromie tego cesarstwa, które cykl jego powieści opiewał — spodziewałem się bardzo wiele. Był to przedmiot bardzo odpowiedni talentowi Zoli: ruchy olbrzymich mas, ścieranie się brutalnych sił, ludzka rzeźnia (*Assomoir*) na wielkie rozmiary. Spodziewałem się, że autor, nie tracąc stanowiska psychologicznego, które zdobył w *Argent*, rozwinie i spotęguje jeszcze całą siłę swej realistycznej plastyki i przedstawi nam niewidziany dotychczas i niedościgniony grozą i prawdą — obraz wojny.

Tymczasem wyznać muszę, że pod każdym z tych względów doznałem pewnego zawodu. Pamiętać trzeba, że wojna w 1870 r. była sama przez się wysokim dramatem, w którym wszystkie możliwe czynniki dramatyczności — od wstępu złowrogiego pod nieuchronną chłostą wyższej sprawiedliwości, aż do tragicznego rozegrania w bratobójczej walce przy świetle pożaru Paryża i pod okiem wzdurliwym wrogów — wszystkie mówię czynniki złożyły się na całość (jeżeli godzi się tak powiedzieć) artystycznie tak doskonałą, że najprostsze, najnieudolniejsze tej wojny opowiadanie, byle tylko wierne, silne sprawić musi wrażenie tragiczności. Złożywszy więc ile należy na karb tematu, uważać trzeba, co ze swego włożył artysta. Według zwyczajnej manieri Zoli, mamy na pierwszym planie małą grupę aktorów, zwykle najordynaryjniejszego gatunku, a na dalszym planie, w głębi, widzimy ruchy ogromnych mas i rozgrywanie się wielkich wypadków. Aktorami pierwszego planu są tym razem żołnierze jednego plutonu pod jednym kapralem, w których charakteryzowaniu autor wrócił do swej dawnej manieri: jeden z nich jest typem obżarstwa, o niczem nie myśli ani nie mówi tylko o jadle, drugi tak samo typem lenistwa, trzeci typem głupiej dewocyi; kapral, ostatni z Macquart'ów, jest typem chłopskiego przywiązania do roli. Jeden między nimi znajduje się młody literat paryski, Maurycy, który w chwili wydania wojny wstąpił w szeregi, i ten jest lepiej psychologicznie obrobiony. Naokoło tych żołnierzy grupuje się kilka osób niewojskowych: chłop skąpy i bez serca, przemysłowiec chciwy; na szczęście dwie kobiety, szlachetnie i z prawdą narysowane, dają pewien wypoczynek sercu. Oficerów widzimy bardzo mało i bardzo powierzchownie — a to jest wielkie uchybienie, bo przecież dusza wojska jest głównie w oficerach — tylko sylwetki ich ukazują się na widnokręgu, lub przelatują, rzucając pojedyncze słowa, wiecznie tę samą zdradza-

jące bezmyślność. Tych głębszych słów, łączących humor i prostotę z heroizmem, które żołnierz francuski, wśród trudów i wobec śmierci, tak często ma na ustach, tu nigdy nie słyszymy.

Że w wojsku francuskim znajdowały się okazy podobne do tych kreatur Zoli, o tem nie wątpię, w jakimże wojsku ich niema? — ale nie fałszywszego jak przypuszczenie, że one są ogólnym lub przeciętnym tego wojska typem. A przecież to przypuszczenie Zola ciągle narzuca, wyraźnie dąży do przedstawienia typów ogólnych. Uderzyła go w żołnierzu bydlęcość, więc ciągle aż do znużenia powtarza nam: „żołnierz bydlę“. Uderzyła go bezmyślność w oficerach, więc ciągle powtarza i wbija to jedno: „oficer bezmyślny“. Jest to jego sposób, działający na nerwy, ale z prawdą niezgodny. Gdyby z takimi marynetkami albo bydlętami Niemcy mieli do czynienia, to skądżeby tak wielkie ponieśli straty i całe pół roku strawili na pokonanie Francyi? Jeżeli cywilna ludność, jeszcze po sedańskim pogromie, zdobyła się na stworzenie kilku wielkich armij w południowych prowincjach, na stoczenie krwawych bitew, odebranie Orleanu, to jakżeby armia regularna, z żołnierką oswojona, nie miała mieć więcej rycerskości? Widziałem z bliska tych żołnierzy z pod Sedanu jeńcami w Poznaniu; zastałem ich w stanie strasznego przygnębienia, fizycznego i moralnego; ale typów tak płaskich, podłych, bezmyślnych, jak towarzysze broni Maurycego, nie znalazłem. Tlił się w nich jeszcze niespożyty zapal i *entrein* francuskiego wiarusa, i kochali Francję — czego u bohaterów Zoli istotnie nie widać.

Najładniejszy jeszcze punkt w grze aktorów Zoli, to stosunek między kapralem Macquartem, który wyobraża lud wiejski Francyi, a Maurycym, który przedstawia inteligencję. Z początku nie rozumieją się i wstręt do siebie czują; potem cierpienia i walki za ojczyznę zbliżają ich i łączą serdeczną przyjaźnią; wkońcu Maurycy znajdzie się na barykadach, kapral stanie w obronie porządku, i bezwiednie zabije przyjaciela. Szkoda tylko, że wewnętrzne przejścia, które przeobrazić mają Maurycego w komunistę, naszkicowane są zbyt pobieżnie i nieściśle — i szkoda, że autor nie pozwala nam się domyśleć symbolicznego znaczenia tych dwóch ludzi, ale tłumaczy nam je jak dzieciom i raz po raz powtarza.

Nierównie lepszy i świetniejszy jest drugi plan obrazu autora, czyli opis wypadków. Zaczyna się rzecz w Alzacyi, wśród zamieszki źle prowadzonej koncentracji. Pułk 113-ty, do którego grupa aktorów Zoli należy, posuwa się naprzód i cofa się w tył bez racyi, na pod-

stawie fałszywych pogłosek; rozkazy i odwołania rozkazów krzyżują się nieustannie; głuche wieści o klęskach innych korpusów dolatują żołnierzom. Z początku dokuczają upały; potem deszcze i deszcze; biwaki bezsenne w błocie; głód, bo dostawy żywności, zmylone temi ciągłymi zmianami, nie dochodzą na miejsce. Animusz żołnierzy opada, znużenie straszne zaciąga, instynkta zwierzęce biorą górę, niekarność się wzmacnia. Wszystko to jest w powieści wybornie, z wielką siłą i prawdą odmalowane. Patrząc na tę armię, błakającą się jak trzoda pod chmurnem niebem, czuje się coraz boleśniej, niemal fizycznie, jej rozstrój, nędzę, bezradność, i przeczuwa się okropną rzeź, na którą idzie fatalnie.

Nareszcie po nieskończonych trudach i cierpieniach, a nie spotkawszy ani razu nieprzyjaciela, pułk nasz dochodzi do Sedanu, gdzie punkt kulminacyjny wojny i oraz powieści. Tu, jeżeli gdzie, pole dla Zoli. Nie wychodząc z grona tych kilku prostych żołnierzy i kilku osób cywilnych, z którymi nas autor zapoznał, widzimy jednak całą bitwę. Widzimy, jak zbrojne masy posuwają się, skupiają, nacierają na siebie; odczuwamy te psychiczne stany, jakie żołnierz przechodzi, od początkowego przestachu aż do wściekłości walki. Sama walka jednak nie jest tak z bliska, tak realistycznie i przerażająco przedstawiona, jak się można było spodziewać po piórze Zoli. W jednym tylko epizodzie bronienia jakiejś wioski znajdujemy się wśród walczących; szarże i ataki tylko z daleka oglądamy. Doprawdy, jedna kartka Sienkiewicza w „Bartku Zwykłym“, opisująca skrawek bitwy pod Gravelotte, więcej dała mi uczuć grozy chwili przed bitwą i okropność bitwy, niż długie opowiadanie Zoli. Za to, straszny ruch okrężny wojsk niemieckich, które powoli, z niepokohamowaną siłą żywiołu, otaczają i zamykają w kleszczach armię francuską, skreślony jest potężnie — aż przeraża.

Po bitwie, to co jeszcze od bitwy tragiczniejsze — pobojowisko. Zola oczywiście nie puścił mimo tego przedmiotu, ale i tu jakoś mu nie sprostał. Prowadzi on nas bez końca przez to pobojowisko: wszędzie krew i krew, trupy i trupy i jeszcze trupy. Nawet drzewa poszarpane rozczulić nas próbują. Jest tego aż do znużenia, a zbiorowy efekt grozy nieszczególnie udany. Słyszałem lekarza, słyszałem Siostrę Miłosierdzia, opowiadających o tem piekle pobojowiska — a inaczej zdrząłem, inaczej zrozumiałem okropną jego prawdę.

Sedan był naturalnym końcem powieści; tam pułk opiewany skończył swój zawód. Lecz Zola nie wytrzymał, żeby nie opisać katastrofy Paryża; miał też pretensję, by jego powieść była historią, nie kilku żołnierzy ani jednego pułku, ale całej armii i całej Francji w tym

„strasznym roku“. A że jako mądry literat nie chciał rozwlekać powieści na kilka tomów, więc przebiegł sumarycznie i z pośpiechem, jak w szkolnem kompendyum historii, wypadki od Sedanu aż do Komuny. Wadliwość i sztuczność tego nawiązania każdego czytającego uderzyć musi. Kiedy już koniecznie chciał pożar Paryża objąć, byłby powinien raczej zrobić przeskok, jaki Sienkiewicz zrobił z oblężenia Zbaraża do bitwy pod Beresteczkiem.

Przynajmniej sam koniec — zwyciężenie Komuny, wkroczenie Wersalczyków i płonienie pysznej stolicy — zrobiony jest po mistrzowsku, z nieźrównaną siłą i prawie majestatyczną grozą. Jest to przepyszny fajerwerk, który świetnie kończy powieść, względnie tylko udaną.

Myliłem się, wiele oczekując od Zoli w tym przedmiocie. By opisać taką tragedję całego narodu, trzeba mieć iskrę Szekspirowską, trzeba rozumieć i kochać człowieka — a Zola stoi za nisko, on nie dosięga do poziomu tego, co najistotniej ludzkie.

Ks. M. Morawski.

Fasti Mariani Sive Calendarium festorum Sanctae Mariae Virginis Deiparae Memoriis historicis illustratum. Auctore F. G. Holweck Sacerdote Archidioecesis S. Ludovici Americanae. Cum approbatione Revmi Archiep. Friburg. Friburgi Brisgoviae. Sumptibus Herder 1892. (W 8-ce. Str. XXIV, 378. Cena nieopr. m. 4.80, opr. w pł. 5.80).

Zdawałoby się, że o Matce Boskiej nic już nowego, a zwłaszcza zajmującego, napisać nie można. Otóż *Fasti Mariani* dowodzą za pierwszym już niemal otworzeniem książki, że tak nie jest; są one zupełnie nowym a pięknym hołdem złożonym Najświętszej Pannie. Rozwija się tu przed oczami czytelnika barwny szereg przeszło 460 świąt Matki Boskiej, we wszystkich krajach świata obchodzonych. Mnóstwo najrozmaitszych cudów i zdarzeń, uwiecznionych odrębnymi świętami, przesuwają się tu z kolei; a każde opisane krótko, po prostu, a każde mające za sobą autentyczność corocznego obchodu, we Mszy św. i pacyficznych kapłańskich. Czytając ten cudny szereg pochwał Najśw. Panny, z pośród tak rozmaitych narodów w niebo idący, mimowoli ciśnie się na myśl tekst: *Stanieła Królowa... otoczona rozmaitością*¹, i ten drugi: *oto odtąd błogostawioną mię zwać będą wszystkie narody*.

¹ Ps. XLIV., 10.

Jest tam święto „Pokory Matki Boskiej“, Jej „łez“, „cudów“, „powrotu z domu Zacharyaszowego do Nazaretu“, „Zstąpienia“ (tj. cudownego zjawienia się w kościele), i to w trzech różnych miejscach i czasach i t. d., a o każdym święcie krótsza lub dłuższa wiadomość historyczna z przytoczeniem źródła.

Z polskich świąt są tylko dwa. Przyczyną tego jest, że Polacy jak i wszystkie narody nie-romańskie, a używające liturgii łacińskiej, nie zaznaczały liturgicznie swego nabożeństwa do Najśw. Maryi Panny. Wyjątkowo tylko w Rokitnie w kościele Cystersów obchodzi się: *Festum Translationis Imaginis B. M. Virginis de Rokitten, Dominica IV. post Pascha*. W roku bowiem 1672 nastąpiło przeniesienie cudownego obrazu Matki Boskiej z obozu polskiego do kościoła Rokickiego. „Decretem biskupa Gnieźnieńskiego, potwierdzonym później przez Stolicę Apostolską, pamiątka tego zdarzenia corocznie się obchodzi“ (zob. pag. 331). Drugie święto polskie, to Matki Boskiej Żyrowieckiej, dnia 7 maja. Ale i to święto nie do łacińskiej, lecz do ruskiej liturgii należy, obraz bowiem cudowny był w posiadaniu OO. Bazylianów. Historię obrazu patrz na str. 69. Kopia tego samego obrazu zasłynęła cudami w Rzymie pod tytułem *B. Mariae V. del Pascolo* (tak przetłumaczono Żyrowice [od żer]). Pamiątka tego faktu obchodzi się tam 7 września (str. 209).

Jednem słowem, nowa ta książka jest zupełnie nowem źródłem najpiękniejszych i najprawdziwszych przykładów o Matce Boskiej.

Dwa indeksy alfabetyczne: świąt i miejscowości, służą wybornie do oryentowania się. Sama zaś książka ułożona jest podług dni miesięcy.

H. P.

Le devoir présent. Par *Paul Desjardins*. Paris. Armand Colin. 1892.

Wiosenny poszyt *Revue des deux mondes* przyniósł nam wytwornie napisane, acz dość chłodno odczute orędzie, o zbliżającej się innej wiosnie ducha, wiosnie świata. Śledząc bystrem okiem „lotne powietrza bociany“, gońce odrodzenia i rozpogodzenia dusznego, jeden z najpierwszych naszych współczesnych publicystów, Eugeniusz Melchior de Vogüé, wskazał i zastanowił się nad dziwnym ruchem zwrotnym, który się dziś przejawia na wszystkich naraz szlakach ludzkiej myśli, na wszystkich drogach ducha. Minał okres bezwarunkowego zwątpienia i przeczenia, ludzkość się z trwogą zatrzymała nad brzegiem przepaści znicestwienia, i oto w następstwie pokolenia, które samemuż istnieniu

nadprzyrodzonych i nieśmiertelnych w człowieku pierwiastków bezwzględnie zaprzeczyło, idzie już drugie, „szukające usilnie, straconej, zgubionej przez swych poprzedników duszy“. Ta żądza odzyskania własnej duszy, stwierdzenia jej istoty, uświadomienia jej objawów, znaczy się dziś wszędzie, posuwa się aż do mrzonek i chęci przekroczenia granic doczesnego, materialnego świata. Wszakże zawiązało się już w Anglii stowarzyszenie *for Psychical research*, które świeżo rozsyłało szematowy kwestyionaryusz, podpisany głośnie i poważnem nazwiskiem profesora Henryka Sidgwick, a żądający, aby, ktokolwiek w życiu doznał jakiegobądź nadprzyrodzonego wrażenia, przecucia, złudzenia czy zjawiska, raczył swe doświadczenia opisać i przesłać do głównego biura poszukiwań psychicznych. Mści się ślepe wczorajsze przeczenie, dzisiejszą skłonnością do chwytania się nawet ulud i mamideł, byle się unieść ponad granice skończoności i materii.

Czy te wszystkie wiosenne ptaki, czy te ducha bociany, rzeczywiście rozwiośnienie duchowe przyniosą? orzec dziś trudno. Idą oni wprost ku tej prawdzie, która jedna świat wyswobodzić zdoła, ale zanadto są synami wieku, aby się do tego przyznawać, aby dumne czoła ukorzyć przed prostotą katechizmu i starych Bożych przykazań. Zaczem siłą się jak mogą, aby wytworzyć niby nowy i nowoczesny kodeks wyższej moralności i doskonałości, a niemal im wstyd wciąż się schodzić z odwiecznemi przepisami chrześcijańskiego zakonu; chcieliby coś oryginalnego wymyśleć, nie dać się porwać fatalności, która ich prędzej czy później doprowadzić musi do przyjęcia przedziwnej i nieomyłnej doktryny i praktyki chrześcijańskiej.

Das ist alles recht schön und gut,
Ungefähr sagt das der Pfarrer auch,
Nur mit ein bischen andern Worten...

Naiwna odpowiedź Gretchen na sztuczne i głębokie wywody Fausta wciąż pobrzmiwa w duszy i pamięci czytelnika, wsłuchującego się w szmery i szepty nadlatującego z wieścią pomyślną wiosennego ptactwa. Z pośród owych „bocianów“ czy zórawi, wyprzedzających zbawienia słońce i rozpogodzenie mrocznych dni dzisiejszych, żaden się tak pięknie i szlachetnie nie odzywa, żaden bodaj nie zawodzi pewniejszej pieśni nadziei, jak p. Paweł Desjardins, w rozprawce o powinnościach obecnych, która zrazu ukazała się w Debatach, jako odpowiedź na książkę Edwarda Roda: *Les idées morales du temps present*. Ten genewski profesor należy też niewątpliwie do gońców wiosnianych.

Dzieli on ludzkość na dwie grupy odrębne: negatywnych, czyli tych co chcą burzyć i niszczyć, i pozytywnych, którzy naodwrot, pragną budować i naprawiać. Podział ten przyjmuje p. Desjardins, dodając, iż od jakich lat dziesięciu, pozytywnych zastępy rosną niezawodnie w moc i liczbę, a szeregi negatywnych przerzedzają się coraz widoczniej. Do rzędu tych ostatnich autor zalicza rozkołysanych duchów przeczenia ze szkoły Renana, buddystów, których wieszczem cymbał brzącający poety Leconte de Lisle, sceptyków jak Szerer, artystów jak Zola, ideologów jak Taine, empiryków jak zapóźnione francuskie darwinistów szeregi. Armia pozytywnych obejmuje wszystkich tych, których życie, czyny, pisma służą dobrej sprawie. Upojeni prawdą, daleko bardziej aniżeli widokami powodzenia, owi „pozytywni“ tworzą osobną społeczność, jakby kościół jeden, mimo różnolitości wyznań, „mający za mistrzów i doktorów — filozofów i poetów obowiązku, za uczniów zaś — bohaterów spełnionej powinności“. Własne słowa p. Desjardins popiera zdaniem wymownego Channinga, który w Filadelfii, mówiąc o kościele powszechnym, powtarzał, iż „czysta dusza swobodnie wśród ludzi się obraca i obcuje; należy bowiem do kościoła, do wielkiej rodziny czystych dusz wszechświata, a z tego to kościoła, z tej społeczności nikt wykluczonym być nie może, chyba że źródło cnoty w własnej wygasi duszy“. Nie inną doktrynę głosi katolicka nauka, wyrok stanowczy, że poza Kościołem niema zbawienia, łagodząc zasadą, iż nawet ci, którzy nie mają szczęścia do widomego ciała Kościoła należeć, mogą być częstką onego duszy, byle ukochali prawdę, całem szukali jej sercem i dobrze czynić usiłowali.

Dzielną otucha co do lepszej przyszłości jędrną pobudką brzmi w toku rozprawki p. Desjardins. Wierzy on niezłomnie w postęp, w naprawę, w odrodzenie świata i ludzkości. Zna wady i winy swego czasu i epoki, ale przeto nie rozpacza, czerpiąc nadzieję z samegoż smutku, który dziś ludzkość toczy. Nigdy świat nie był smutniejszym, nie tą melancholią rozczarowania pierwszych romantyków, lecz jakimś rozgoryczeniem i rozstrojem, wzgardą własną i osobistem upokorzeniem. Że zaś tylko o uśpionych sumieniach rozpaczać należy, ów smutek powszechny jest już zadatkiem poprawy. Chodzi tylko o rozbudzenie przekonania, iż każdy z nas ma sobie zakreślone obowiązki i przeznaczenie, i że wspólną dobrą wolą świat naprawić, świat w górę dźwignąć można i trzeba. Ludzkość z natury swej potrzebuje iść naprzód, postęp warunkiem życia, chorobą naszą to zatrzymanie przyrostu sił i męskości, ubytek ideału, ubytek duszy. Ale historia nas

uczy, że bywały w dziejach takie momenta, i że po nich następuje zawsze jakiś przypływ duszny, podnoszą się hasła szlachetne, wielkie sprawy pobudzają wielkie też zapaly i poświęcenia, i znów chwila zastoju przemija, a postęp ogólny znaczy się zwycięsko. W przepysnej karcie p. Desjardins wspomina krucjaty, Dziewicę Orleańską, wojny napoleońskie, i owe prądy bohaterstwa, galwanizujące raz po raz senną ludzkość, aby w niej zbudzić duszę. Wielkie nadzieje, nieraz niewyraźnie określone, pociągają zwykły za sobą wielkie też wspólności i solidarności, wielką jedynomyślność, piękniej jeszcze wyrażoną francuskim, z łaciny zapożyczonym wyrazem *unanimité*. Byłe jedną tchnąć duszą, czegoż ludzkość nie dokáže, co nie zdobędzie, czego nie dobije się zwycięsko? Byłe nie brakło pola ćwiczenia się w wyrzeczeniu i poświęceniu, nie zwątpić o społeczeństwie ludzkim, nie zwątpić o Francji. Konwencję, przypisującą część niezbadanego lona Afryki na własność Rzpltej, Desjardins uważa za istny dar Boży i zadatek przyszłości. To barbarzyńskie pustkowia, te dzikie strefy przedstawiają co najmniej dwieście lat trudu, zacem i dwieście lat bytu i życia. Rana krwawiąca się wciąż utraconej Alzacji, nie jestże też ciągłym bodźcem ku lepszemu, ustawicznem zadaniem i pobudzającą nadzieją?

Oceniając powody i cechy ogólnego zesmětnienia, Desjardins przypisuje tę chorobę wieku zbyt niemu zajęciu się sobą i zatopieniu w sobie. Otóż i tutaj znaczy się zmiana, postęp, naprawa. Od czasów wielkich prądów zakonnego braterstwa, nigdy świat nie widział podobnej potrzeby i chęci łączności. Wszędzie powstają związki, spółki, stowarzyszenia, syndykaty, nikt już sobie nie wystarcza, a ta wspólność usiłowań już jest dodatnim objawem idącej, doskonalącej się jednodusznosci, zapowiadającego się już na ziemi „Świątych obcowania“, bo mimo ciągłych zastrzeżeń, neo-chrześcijaństwo ostatecznie muszą używać samychże nawet wyrażań starochrześcijańskich, i oraz zasługują sobie na wymówkę ze strony przeciwników, iż wszystko co głoszą, co opowiadają o moralnem przebudzeniu i moralnych zobowiązaniach ludzkości, jest sobie po prostu dawnym jak świat katechizmem. I tutaj się zaczynają bałamuctwa ludzi, chcących w nowe kształty stare ubrać prawidła i najprostsze prawdy katechizmowe za własne bodaj głosić odkrycia i wynalazki. Hasłem ich, że łączność duchowa ludzi, niedośćigła na podstawie wyznaniowej, odtąd powinna się gruntować na wspólności działania i czynu. Piękne wywody p. Desjardins zaciemniają się i zamacają samochwalczą dumą. Programat swój stawia ponad wszystkie religie, jako szerszy od nich i lepszy. „Kaźda religia

daży do wewnętrznego tylko zbudowania nas; wytłumaczeniem tajemnic życia i śmierci, my zaś chcemy przeprowadzić udoskonalenie i pokój powszechny, rozwijaniem woli i miłości“. Urzeczywistnienie szlachetnego ideału, spełnienie dobrego, walka ze złem, oto zadanie ludzkości i przyszłości; ale zarazem neo-chrześcijanie tak się upajają dumnym przekonaniem, iż daleko poza sobą zostawili stare Boże przykazania, że przekleństwo pychy i nad końcowym, ślicznie jednak wystylizowanym ustępem rozprawy p. Desjardins zaciężyło. Pięknie to wszystko powiedziane, pięknie nawet pomyślane, ale w samychże rezolucjach i wnioskach niema prostoty, ani jasnej praktyczności. Szum słów, a raczej słów muzyka, rzuca czar na duszę zamiast jej dodać bodźca i ostrogi. I oto nasamprzód otrzymujemy dłuższą wycieczkę przeciw jałmużnie, przeciw zabiegom miłosierdzia, które istotnie praw ubóstwa i liczby nie zmienia. Ale czy się uda jałmużnę zastąpić „ogólnem przebudzeniem“, czy „pomoc pracy“ i „wspólność zarobkowania“ zdoła dokonać zadania miłosierdzia? Pięknie się odzywa p. Desjardins, iż dając robotę ubogim, wraz w ich duszy budzi się ideał, w życiu poczucie obowiązku i odpowiedzialności, tego hartującego barki ludzkie brzemienia. Trudno lepiej mówić, a jednak swoją drogą, do uszlachetniającej jałmużny pracy, wypadnie zawsze dołączać i jałmużnę grosza, rozdawaną tylko ubogim, „których wiecznie wśród siebie mieć będziemy“.

Zacne i uczciwe są rezolucyje, zamykające drobną a głęboką książeczkę, ale nas uderzają charakterem przeważnie... literackim. Autor główny kładzie nacisk na oryentowanie opinii, na sądy krytyki, na walkę ze złem książkami i pismami. I znów snuje się tu jakaś mrzonka „wewnętrznego chrystyanizmu“, któryby się bez różnicy wyznał w duszach urabiał, a dalej i związku moralnej pomocy i ukrzepienia, jakby wiara prosta i korna nie dostarczała onych dźwigni lepiej od wszelkich ludzkich systematów. Tu już spotykamy się z fantazją płodnego ideologa, który snuje paradoks za paradoksem, o gimnastyce energii moralnej, o szkołach wolności, o walce z niedołęstwem i sennością woli. Z tych wszystkich recept ku poprawie ludzkości, misternie napisanych, najlepiej nam się podoba rada, aby część studyów młodzieńczych odbywać nie na książkach, lecz na ludziach, na blizkich i bliźnich stosunkach, w miejsce podróży za wiedzą, kilka miesięcy spędzając na poddaszach lub w podziemiach przedmiejskich, zamieszkałych przez ubogich robotników stolicy.

Rozprawa o powinności obecnej kończy się prostym pacierzem i słowem modlitwy Pańskiej: „Przyjdź królestwo Twoje!“ która jest

prośbą dawnych chrześcijan i hasłem nowych. Ale ażeby i tu coś odmienić, coś przerobić, Desjardins zaleca powtarzać one święte słowa nie na klęczkach, jako prośbę zanoszoną w niebo, lecz raczej stojąc i nakazując sobie samemu przybliżanie onego królestwa na ziemi. Niniejsza książeczka jest niezawodnie jednym z najprzedniejszych objawów nowych, nowochrześcijańskich prądów. Nie wiadomo, czy p. Desjardins, czy inni jego towarzysze osiągną całą prawdę i w idącą wiosnę ducha osobiście wkroczą. Ale niezawodnie odgrywają tu oni rolę przesłańców i dzwonów wzywających wiernych do kościoła, choćby nawet sami, aby wstąpić doń, nie mieli dość siły, i więcej niż siły, bo dość pokory.

N.

La Russie, Impressions — Portraits — Paysages. Par *Armand Silvestre*. Illustrations de Henri Lanos. Paris 1892.

Biorąc do ręki książkę napisaną dziś — po Kronsztadzie — przez Francuza o Rosyi, nie trudno domyśleć się, na jaką nutę nastrojona, nie trudno z góry wyśpiewać sobie hymn uwielbienia i miłości na cześć wielkiego, północnego sprzymierzenia. Czem innem oczywiście nie może być i nie jest też świeżo wyszły opis Rosyi, naszkicowany z osobistych wrażeń przez znanego, nie zawsze co prawda z dobrej i pochlebnej strony, p. Armanda Silvestre; jest, w danych okolicznościach musi niejako być, pochwalną pieśnią, sławiącą wszystko co rosyjskie. Swoją drogą — i w tem książka ta najwięcej bodaj przedstawia interesu dla bacznego czytelnika — mnóstwo rzeczy, mnóstwo najrozmaitszych stosunków w Rosyi do żywego razi i dziwi francuskiego turystę. Chciwi, brudni mieszkańcy Troickiego monasteru napawają go odrazą; bajeczne ceny, zręcznie wyciągane z kieszeni, pobudzają do protestów; przejmowanie listów prywatnych — czego sam na sobie doświadczył — do szczególnych przyjemności zaliczyć nie może. Co tu robić? Biedak nie wie, czy oczom wierzyć, radby im nie wierzył, a nie mogąc wreszcie oczywistości kłamu zadać, ucieka się do najzgrabniejszych kuglarskich sztuczek, byle ostatecznie z właściwym sądem się nie zdradzić. To ciągle naciąganie i prostowanie swych spostrzeżeń i sądów kategorycznym imperatywem: „Sprzymierzenia Francyi chwalić masz!"; ta ciągła walka między faktami a z góry powziętą tendencją, przeglądająca z każdej niemal stronnicy, aż zabawnąby była, gdyby nie była tak smutną; w każdym razie bardzo jest charakterystyczną.

Berlin, zaręcza p. Silvestre, jest miastem najnudniejszym, najbrzydszym, najmniej sympatycznym na świecie, i inaczej być nie może, bo jest przecież stolicą Niemiec, które Francję pobiły w roku 1870. Jakże różną od tego „miasta parweniuszów“ jest wielka, święta Moskwa; wielki, carski Petersburg! Tu wszystko piękne, cudowne, olbrzymie: wspaniałe konie; szybkie, lotem błyskawicy mknące doróżki; poetyczne, „srebrem przesiane“ noce letnie; muzea, wobec których paryskie ze wstydem bledną; cerkwie złotem kapiące; pałace, kryjące w swych wnętrzach bajeczne skarby. „Witaj Moskwu!“ woła rozentuzyzmowany Francuz, i cały rozdział tym wykrzyknikiem zatytułowuje. „Witaj rosyjskie, niezmierzone miłosierdzie!“ woła gdzieindziej, i w opisach swych i porównaniach najwyraźniej zdradza, że cudze chwając, swego nie zna: o miłosierdziu katolickim, działającym cuda, choćby tylko w jednym Paryżu, nie ma wyobrażenia, a nad prawosławnem, nie dlatego, że prawosławne, ale dlatego, że rosyjskie, rzewne łyzy roni. Czasem, jak np. gdy nasz podróżnik z Niżnego Nowogrodu do Moskwy powtórnie powraca, fale entuzjazmu jego wznoszą się do takiej niebotycznej wysokości, że aż mimowoli podejrzenie nasuwa się: czy to przypadkiem nie kpiny? Nie! p. Silvestre kpić nie chciał; on tylko bał się i drżał, aby przypadkiem zapалу swego, swej miłości, dość wyraźnie nie podkreślić: tak podkreślał, tak farb dodawał i dodawał, aż miejscami wypadł — bohomaz.

Z samej natury podjętej wyprawy musiał francuski turysta nieraz o Polaków się otrzeć i słowo im jakieś poświęcić. Twardy to był orzech do zgryzienia; na tem większą pochwałę p. Silvestre zasługuje, że nie cofnął się przed ciężkim obowiązkiem i pisze o nas lojalnie, nawet przychylnie. Wspomnienia dawnej przyjaźni, dawnych francuskich entuzjazmów dla „uciśnionych Francuzów północy“, korać go i gryzą; z pewnym wstydem, półgębkiem stara się wytłumaczyć tak zupełną, sam wyzuaje, że nie z każdego punktu widzenia honorową zmianę frontu, nieubłaganą dziejową koniecznością; wreszcie dla odpełnienia dręczących wyrzutów, rzuca polskiej Warszawie, polskiej sztuce garść zdawkowych komplementów. Gdyby to można było o Polsce zupełnie nie pisać!... Bieda prawdziwa, że wszędzie tak natrętnie ze swemi skargami się wciska i mąci koncert z góry ułożonych pochwał!

Trudno naturalnie żądać, aby do książki tego rodzaju, *notabene* pisanej przez Francuza, o kraju do ostatnich czasów bardzo mało znanym, nie wkradło się kilka niedokładności. Tak np. Szewczenkę wywołał energiczny Francuz z liczby umarłych i kazał mu dotąd żyć

i wiersze pisać; o małżeństwach popów, o przyczynach zwłaszcza sympatyi, ciągnącej, dobrze że nie od stworzenia świata, Rosyan do Francuzów, plecie niestworzone duby i t. d., i t. d.... Ale to drobnostki; mniej samemu autorowi chodziło, mniej i nam chodzi o to, czy wszystkie podane szczegóły są prawdziwe i akuratne, jak raczej o ogólną symptomatyczną tendencyę, o ogólne tło tego najnowszego, inne pytanie czy najwierniejszego, obrazu Rosyi, wyszłego świeżo z paryskich warsztatów.



SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Głosy z Hiszpanii i Nowego Świata

w 400-letnią rocznicę Krzysztofa Kolumba.

W Hiszpanii, podobnie jak w Genui, nie czekano na rocznicę odkrycia Ameryki z rozpoczęciem pamiątkowych uroczystości. Dnia 3-go sierpnia, pół godziny przed wschodem słońca, statek *Santa Maria*, zdobny w obraz Najświętszej Panny, rozwinął żagle w małym porcie Palos, skąd przed czterystu laty podobna łódź uniosła Kolumba w nieznane a przeczuwane światy. My Polacy, którzy żyjemy jedynie wspomnieniem, możemy najlepiej odczuć, czym są dla wielkiego niegdyś ludu pamiątki dawnej chwały, dawnej, na zawsze straconej przeszłości. O ile my jednak biedniejsi! W sieroctwie naszym wszystkie pamiątki nasze musimy święcić sami, zawsze i wszędzie sami, gdyż nikt na całym, wielkim świecie, ani odblasku naszych tryumfów, ani naszych łez nie podzieli; a zaprawdę — „nie dobrze jest człowiekowi być samemu“... Z Hiszpanią, dzisiaj, dzieje się inaczej. Ze wszystkich części olbrzymiego niegdyś jej obszaru wznoszą się ku niej głosy pełne miłości, głosy marnotrawnych dzieci, które się jej same wyrzekły, same zerwały węzły łączące je ze starą macierzą, a dziś ku tej opuszczonej matce wyciągają ramiona, zwa ją najczulszemi imionami, chlubią się tem, że do niej należą, że nie zapomnieli ojczystego języka.

Świąteczny numer dziennika *El Liberal*, wyszły pod tytułem *Colon* (Kolumb) *America y el Centenario*, podaje nam cały chór, śpiewany na

część Hiszpanii i Kolumba przez wszystkie dawne kolonie hiszpańskie, a dziś mniej lub więcej burzliwe rzeczywospolite południowej i środkowej Ameryki. U dołu każdego listu stoi nazwisko posła jakiegoś amerykańskiego państwa, posła wprowadzie bawiącego przy hiszpańskim dworze, a więc mogącego być posądzonym o niejaką przesadę w wyrazach entuzjazmu, choćby dla prostej grzeczności. U niektórych wszakże znać uczucie prawdziwe, wzbudzone zapewne tajonym żalem; łatwo zrozumiałym dla każdego, kto choć pobieżnie zna nowsze dzieje owych dawnych kolonij, ustawiczne przewroty, wojny domowe, krótkie a krwawe rządy domorosłych tyranów... „Nikt u was nie ma wyobrażenia co się tutaj dzieje — pisał nam przed dwoma laty znajomy z Meksyku — wszystko co było podłem, nizkiem, brudnem wyszło na wierzch i rządzi nami“... Był to zapewne głos stronnicy, a zatem może niezupełnie prawdziwy, ale świadczący o nienawiści dzielącej owe stronnictwa, z których jedno musi być zawsze u steru. Najgorętsze uczucia względem Hiszpanii wyrażają obecnie rzplta Argentyńska i Peruwia: Poseł argentyński Dominguez tytułuje po prostu swój artykuł *La Madre Patria*; poseł peruwiański Alejandrino del Solar pisze, iż „dla narodu, który zdołał odkryć Nowy świat i uczynić go swoją własnością, nie jest i nie może być rzeczą trudną i ciężką odzyskanie dawnej wielkości, a przytem i wzniesienie tych, którzy pragną razem z nim stać się wielkimi. Dla Peruwii, która z niewymowną rozkoszą nazywa Hiszpanię swoją matką ojczyzną, nie mogłoby nic być miłszego nad przyczynienie się mocą swych bogactw i swoich sił do wspólnego wzrostu ich obu“. Niestety, mówiąc o bogactwach swego kraju, p. Alejandrino del Solar zapomina, że złoto i srebro, niegdyś potokami z kopalń peruwiańskich płynące, już w ośm lat po ogłoszeniu niepodległości zamieniło się dzięki zaniedbaniu i wojennym zgiełkom w skromny zaledwie strumyczek...

Obok tych, chwalaących raczej Hiszpanię aniżeli Kolumba, wznosi się dość poważnie głos p. Francis Mac Nutt, posła Stanów Zjednoczonych, przemawiający w imieniu całej Ameryki północnej, a zwłaszcza jej mieszkańców pochodzenia hiszpańskiego, „w imieniu rozsianych po całej przestrzeni tej bogatej i wybujałej ziemi misyj hiszpańskich i hiszpańskich wiosek. Zaledwie znajdzie się tu jedna dzielnica, na której zielonych dolinach lub dumnych szczytach gór, nie rozbrzmiewają melodyjne dźwięki starożytnej hiszpańskiej mowy“. Tenże sam Mac Nutt, mówiąc o tych, którzy obecnie głoszą chwałę Kolumba, nazywa Papię następcą św. Piotra i Aleksandra VI.

Oto co pisze Ameryka — a co na to Hiszpania? Wiadomo, że ludom pochodzenia łacińskiego żadna pochwała nie zda się dostateczną, żadne ich pochlebstwo nie nasyci, żadna hiperbola nie zdziwi... Wobec nich, jak niegdyś wobec Rzymian, wszystkie narody ziemi są barbarzyńcami, istniejącymi o tyle tylko, o ile im mogą zaszkodzić lub służyć. Dla wielu Hiszpanów Szekspir prawie nie istnieje, a uczeni francuscy sprzecząją się nad wielką zagadką, czy *Die Braut von Korinth* (sic) jest utworem Getego czy Szylera! Kiedy już komu lub czemu nie mogą odmówić wielkości, konfiskują go na własny użytek: ktoby np. nie słyszał poprzednio o bitwie pod Lepantą, a zwiedzał arsenał wenecki, nauczylby się tam jako faktu niezbitego, że w walce tej zwyciężyli tylko Wenecyanie, a bohaterem dnia był broń Boże! nie Don Juan d'Austria, ale admirał Venier lub *proveditor* Barbarigo... Obecnie Hiszpanie zadowoleni są z płynącej ku nim fali komplementów; krzywią się tylko trochę na wystawę w Chicago, „mieście wyrosłem z niczego, a które staje się ogniskiem, centrem, świecznikiem Nowego świata, obchodzącego pamiątkowe święto swego odkrycia. Miasto, gdzie nikt po hiszpańsku nie mówi, ma być przedstawicielem największego czynu hiszpańskiego narodu. Państwo potężne (Stany Zjednoczone), pracujące nad zniszczeniem poza morzami ostatnich szczątków hiszpańskiej potęgi, powita łódź starożytną Kolumba!“... Winę tego składa autor na cały lud hiszpański, uczonych i prostaczków, którzy w wielkim fackie odkrycia Ameryki widzą tylko szczęśliwy przypadek, udaną awanturę, a zapoznają zasługi poprzedników i współczesnych Kolumba, którzy ojczyznę wzniesli na takie wyżyny, iż mogła się ważyć na wszelkie przedsięwzięcia i sięgnąć po wszystkie chwały.

Dość oryginalną przygrywką do tych patryotycznych żalów jest artykuł słynnego politycznego mowcy Castelara, kryjącego chwilowo narodową dumę pod przezroczystą zasłoną sceptycyzmu, widocznie na to tylko, aby wkońcu jej wyraz stokroć silniejszym uczynić. Jest w tem pewna oratorska sztuczka, *une ficelle*, która w sali Kortezów może wielkie wywołać oklaski, ale w druku występuje zbyt czarno na białem, aby nie uderzyć uwagi czytelnika. Tytuł artykułu jest: „Geniusz i dzieło Kolumba“.

„Ze wszystkich umysłów — pisze Castelar — najtrudniejszymi do oceny są umysły niejednolite, skomplikowane, które jedną stroną sięgają szczytów ideału, a drugą nizin powszedniego życia. Takie zostaną dla krytyki historycznej wieczną zagadką i ściągają na siebie

najróżnorodniejsze sądy, dla sprzeczności swej natury złożonej i swych niekonsekwentnych czynów. Kolumb, zarazem prorok i kupiec, jasnowidzący i ściśle naprzód wszystko obliczający, krzyżowiec i matematyk, niby Izajasz w swych wróżbach a bankier w swoich obliczeniach, myślą równocześnie zatopiony w religii i w swoim handlu; wzniosły wieszcz, z którego ust potokiem płyną przepowiednie, i najgorszy administrator ustanawiający nierzetelne miary; ofiarujący się odzyskać Grób Zbawiciela jedynie siłą swej pobożnej woli, a równocześnie dotrzeć do kopalń Golkondy drogą krótszą niż szlaki używane dotychczas, aby dojść do Indyj; wiecznie zawieszony między swemi ideałami i rachunkowością, zdolny stworzyć świat potęgą wzroku swego ducha, aby natychmiast go zniszczyć swą nieroztropnością i bezrządem; posiadający oczy nakształt teleskopu, pozwalające mu dosięgnąć i objąć to co jest największego i najwyższego, a oczy mikroskopu do poznawania i analizowania rzeczy nieskończenie drobnych. Matematyk i wieszcz, teolog i naturalista, mistyk i astronom, ukazuje się tak różnym, odmiennym i wielostronnym, że go zaledwie zdołamy objąć ogniwami naszej żelaznej loiki i naszych, regułą systemu zacieśnionych, pojęć.

„Jakże łatwo wydać sąd o człowieku, oddanemu całkiem poezji jak Wirgiliusz, malarstwu jak Murillo, nauce jak Newton, sztuce teatralnej jak Racine, lub enocie i religii jak św. Franciszek — ale jakże trudno osądzić człowieka, zarazem sternika, kartografa, matematyka, handlarza, dworzanina, artystę, proroka, polityka, administratora, pokutnika, który jak nurek zatapia się w morskie głębiny dla złowienia muszel perłowych, to znów wznosi się w górę jak anioł, aby rozsiewać światy po niebiańskich przestworzach! Namiętna żądza, stwarzania myślą jak Bóg, i żądza wzbogacania się handlem jak Shylock, nie mieszczą się na dnie jednego worka¹, a mieszczą się w głowie Krzysztofa Kolumba.

„I dobrze zrobiła natura, czyniąc go takim, z tak sprzecznymi usposobieniami, ustawicznie zwalczającemi się wzajem w głębi jego ducha. Musiał (tu już wpada Castelar w zapal ekstre-oratorski i przesadę) olśnić ascetę swemi objawieniami; wierzącego, swemi prorocztwami; potężnego, swemi zdobyczami; przygnębitego bolesnym widokiem złego, nadzieją znalezienia nowego raju bez plamy — nowego życia bez grzechu; zasmuconego upadkiem Konstantynopola, nadzieją odzyskania Jerozolimy; egoistę i epikurejczyka, przedsmakiem rozkoszy nieznanych dotąd

¹ Wyrażenie czysto hiszpańskie.

nikomu; chciwych, których wszędzie pełno, ukazaniem skarbców złota bajecznej, Mongolii i indyjskich rubinów sypanych korcami. Musiał rozszerzyć morza, przekształcić naturę, dopełnić naszą planetę; nowymi tworamizasiać przestrzenie, wyciągnąć na powierzchnię niezведzonych dotąd oceanów niezliczone mnóstwo wysp i lądów nie widzianych nigdy i ledwie wymarzonych; powiększyć liczbę konstelacyi gwiazd na niebie, zmienić warunki własności, dotąd niemal feudalne, a obecnie zniszczone nowym duchem pracy i awanturniczej przedsiębiorczości; ochrzcić niezliczone ludy, przerwać ich pogańskie ofiary, aby ich podnieść do poznania Boga-Ducha“ i t. d., i t. d.

Castelar przyrównywa dzieło Kolumba do dzieła Buddy, Zoroastra i Mahometa. Zapoznać według niego stronę mistyczno-fantastyczną Kolumba, jest to zapoznać całą połowę znaczenia jego dzieła. Artykuł zbyt długi, aby go podać w całości, a właściwie w dalszym ciągu nie zawierający nic nowego: widzimy tylko wciąż postać biednego Kolumba, obracaną przed nami jakoby na osi i oświecaną tysiącem różnobarwnych a migotliwych blasków. Nie Guttenberg — pisze w końcu Castelar — nie Luter, nie Kopernik, nie Leon X. zamknęli starą epokę średniowiecza, „ale Kolumb, który przez odkrycie Ameryki odmlodził niebo i ziemię!“

Aż oczy bolą od tego jaskrawego stylu, pełnego porównań i przesadnych obrazów, pod któremi znika posągowa a prosta, genialna ale arcyłudzka osobistość wielkiego męża. Że w nim był zarazem krzyżowy rycerz i handlarz — to rzecz niewątpliwa, i dziwić jej się nie można, boć przecie ludzie zawsze potrzebowali jeść, pić, sprawiać sobie odzienie, a panowanie złota rozpoczęło się pono w krótkim czasie po wypędzeniu z raju Adama i Ewy...

Jakiemi były żądania, stawiane przez Kolumba w przeddzień rozpoczęcia wiekopomnej wyprawy, świadczy najlepiej dokument zachowany w archiwach jego rodziny, a który dzięki uprzejmości potomka jego, księcia de Veraguas, dostał się do wiadomości publicznej:

*Uгода między Ich Królewskimi, Katolickimi Mościami,
i Krzysztofem Kolumbem.*

Łaski uproszone, a przez WW. Kr. M. udzielone Don Krzysztofowi Kolumbowi w niejaką nagrodę za odkrycia, które tenże ma poczynić na morzach Oceanu, oraz za podróż, którą z pomocą Bożą ma obecnie w tym celu rozpocząć dla służby WW. Kr. M. — są następujące:

1. Aby WW. Kr. M., jako władcy rzeczonych mórz Oceanu, mianować raczyły rzeczonego Don Krzysztofa Kolumba Admirałem na wszystkich wyspach i stałych lądach, jakie za jego sprawą będą odkryte lub pozyskane wśród rzeczonych mórz Oceanu, która to godność ma mu służyć przez całe życie, a po śmierci przejść na jego dziedziców i potomków, przechodząc kolejno z jednego na drugiego na wieczne czasy i to ze wszelkimi przywilejami i honorami przywiazanemi do tego urzędu, podobnie jak ich używa w obrębie swojego zarządu Don Alonso Henriquez, Wielki Admirał Kastylji i tegoż poprzednicy.

Podoba się Ich Kr. M.

(podpis) Juan de Coloma.

2. Aby WW. Kr. M. mianować raczyły rzeczonego Don Krzysztofa Kolumba swym Wicekrólem i Wielkorządcą wszystkich rzeczonych wysp i lądów, odkryć lub pozyskać się mających na morzach Oceanu; następnie aby tenże dla zarządu każdej z nich wyznaczył do każdego urzędu trzy osoby, z pomiędzy których WW. Kr. M. wybiorą jedną, najodpowiedniejszą do swojej służby, tak bowiem będą najlepiej rządzone wyspy lub ziemie, które mu Pan Bóg w służbie WW. Kr. M. odkryć lub pozyskać pozwoli.

Podoba się Ich Kr. M.

Juan de Coloma.

3. Aby wszelkie towary, czy to perły, drogie kamienie, złoto, srebro, korzenie, czy też inny towar jakiegokolwiek rodzaju, nazwiska i gatunku, który się zakupi, zamieni, znajdzie, pozyska lub posiędzie w granicach rzeczonej Admiralicji, nadanym był łaskawie przez WW. Kr. M. Don Krzysztofowi tak, aby mu wolno było wziąć dla siebie dziesiątą część po odtrąceniu wszelkich kosztów. Tym sposobem z tego co zostanie czystego, weźmie dla siebie dziesiątą część lub nią rozporządzi do woli, a dziewięć części dla WW. Kr. M. zostawi.

Podoba się Ich Kr. M.

Juan de Coloma.

4. Gdyby z powodu owych towarów, przywiezionych przezeń z rzeczonych wysp lub lądów (które jako się rzekło mają być odkryte lub pozyskane), lub z powodu innych, w zamian za tamte wziętych towarów wypadł proces na miejscu, w którym się odbył handel lub zamiana — aby, jeśli to jest zgodnem z dostojęństwem urzędu Admirała, tylko on sam lub jego namiestnik, a nie inny sędzia, miał za pozwoleniem WW. Kr. M. prawo rozsądzania sprawy.

Podoba się Ich Kr. M., jeśli przynależy do rzeczonego urzędu Admirała, takiego, jaki dzierży Don Alonso Henriquez i jego poprzednicy, i jeśli jest słuszne.

Juan de Coloma.

5. Aby, skoro się będą budować statki, mające być użytymi do rzeczonoego handlu, ilekroć i wiele ich się budować będzie, wolno było Don Krzysztofowi Kolumbowi wziąć na siebie ósmą część kosztów budowy statków, poczem ósma część zysku, wynikłego z przedsięwzięcia, będzie do niego należeć.

Podoba się Ich Kr. M.

Juan de Coloma.

Nadane i na każdym punkcie opatrzone odpowiedzią W. Kr. Mości w Villa de Sancta Fe de la Vega de Granada, siedmnastego kwietnia, roku urodzenia Pana naszego Jezusa Chrystusa tysięcznego i czterechsetnego i dziewięćdziesiątego i drugiego.

Ja Król

Ja Królowa.

Na rozkaz Króla i Królowej

Juan de Coloma.

Nadanie podobnego przywileju zdaje się świadczyć albo o wielkiej ufności, pokładanej w nowo kreowanym Admirale, lub też przeciwnie, o zupełnem niedowierzaniu jego przepowiedniom, skutkiem którego nie żałowano mu warunkowych, a nie kosztujących obietnic. „Królowa Izabella — pisze jednak William Prescott, najświetniejszy może historyograf hiszpańsko-amerykańskich zapasów — jęła ze zwykłą energią czynić przygotowania, aby doprowadzić wyprawę do skutku, sama wybierając ku temu najodpowiedniejsze środki; wysłano rozkazy do Sewilli i innych portów Andaluzji, aby żywność i inne zapasy do podróży potrzebne zostały z całą sumiennością wydane i uwolniono je od wszelkich cel i opłat. Flota, złożona z trzech okrętów, miała wyruszyć z Palos, małego portu w Andaluzji, którego mieszkańcy za jakiś rozruch skazani byli na utrzymywanie przez rok jeden dwóch statków rządowych, trzeciego zaś dostarczył sam Admirał, wspomagany zdaje się pieniężnie przez gwardyana monasteru Rábeda, oraz przez Pinzonów, rodzinę z Palos, wyróżniającą się swym duchem przedsiębiorczym z pomiędzy nadmorskich mieszkańców tej okolicy.

„Z ich poparciem zdołał Kolumb przemódz niechęć i jawny opór, stawiany przez hiszpańskich marynarzy jego zamiarom niebezpiecznej podróży — tak iż w niespełna trzy miesiące drużyna jego była gotową puścić się na morze. Jak niepopularną była wyprawa, dowodzi dostatecznie uniwersał królewski z 30 kwietnia, zapewniający bezpieczeństwo wszystkim w niej udział biorącym, choćby najgorszym zbrodniarzom, na czas podróży i dwa miesiące po jej ukończeniu“.

Widzimy stąd, jakim musiał być skład załogi, mającej dzielić losy i chwałę Kolumba. On sam całą wyższością swojego natchnienia górował nad zgrają owych towarzyszy, podobnie jak i w historii góruje nad wiecznie głodnym a krwawym rojem późniejszych *conquistadorów*. Jeden z tychże, chociaż *minorum gentium*, Gonzalvo de Oviedo y Valdez, który będąc zarządcą wyspy Haiti, miał od r. 1535 do 1545 odznaczać się jako mistrz w wyzyskiwaniu i uciemiężaniu powierzonej sobie krainy, zostawił w swojej „Ogólnej Historii Indyj“, napisanej dla własnej obrony, opis wyjazdu Kolumba, faktu, który mógł sam z młodych lat zapamiętać. Tu jednak ów zbój i zdzierca obleka się wobec czytelnika w sukienkę pobożności. Opowiada z rozczuleniem, jak przed samym wyjazdem „Kolumb udał się do monasteru, gdzie przestawał z mnichem (Fray Juan Pérez), układając swą podróż, porządkując swą duszę i życie, i godząc się nasamprzód z Panem Bogiem, oddając w Jego ręce swoją wyprawę, jako katolik i wierny chrześcijanin, i jako sprawę, z której Bóg spodziewał się pożytku (*sic*) przez rozszerzenie granic rzeczypospolitej Chrześcijańskiej. A po spowiedzi i przyjęciu Najświętszego Sakramentu Eucharystyi, w sam dzień, w który miał wyruszyć na morze, kazał w imię Pana Jezusa rozpiąć żagle i wypłynął z portu Palos przez rzekę Saltes na morza Oceanu“...

A teraz słuchajmy, co sam Kolumb pisze na pierwszej stronie swego okrętowego dziennika, w przedmowie, zawierającej dedykację owego dziennika: „Ich najbardziej Chrześcijańskim (*Christianissimis*) Najwyższym, Najdoskonalszym i Najpotężniejszym Królewskim Mościom, Królowi i Królowej Hiszpanii“. Po wstępie, kędy swoje domysły o Indyach Zachodnich miesza z dosłyszczanemi wieściami o stolicy Wielkiego Chana, „który już nieraz, podobnie jak i jego poprzednicy, słał do Rzymu z prośbą o nauczycieli, mogących go oświecić w naszej świętej wierze“ — wylicza on zasługi i tryumfy Ferdynanda i Izabelli, jak np. wygnanie Maurów, zdobycie Grenady (czego sam był świadkiem), wypędzenie Żydów z całego państwa, a wkońcu i wysłanie jego samego drogą morską ku tej stolicy Wielkiego Chana, do której „po wsze czasy poganie posłom Ojca św. tamowali przystęp“; dziękuje zarazem za wyświadczone mu łaski, między innemi za nadanie szlachectwa, dzięki któremu „odtąd może się tytułować *Don*“. Nareszcie dodaje:

„Wyjechałem dnia 3-go sierpnia, rzeczonego roku Pańskiego, w piątek, pół godziny przed wschodem słońca, kierując się ku wyspom Kanaryjskim WW. Kr. M., położonym wśród tych mórz Oceanu, skąd dopiero obiorę drogę i będę płynąć tak długo, aż dopłynę do

Indyj, aby tam u owych Książąt sprawić poselstwo W. Kr. M. i spełnić co mi jest polecane. Z tej przyczyny postanowiłem zapisywać bardzo dokładnie, dzień po dniu, wszystko co w tej podróży zobaczę, zdziałam, lub co się wydarzy, jako się to w dalszym ciągu okaże“.

Byłoby arcyciekawem módz choć przerzucić owe naiwne, autentyczne zapiski; tymczasem jednak mamy tylko pod ręką kopię pierwszego listu Kolumba, którym pospieszamy podzielić się z czytelnikiem.

List Krzysztofa Kolumba

pisany na morzu w czasie powrotu z pierwszej podróży i wysłany z Lizbony w marcu 1493 do Barcelony, gdzie przebywali Królestwo hiszpańscy (*los reyes Catolicos*)¹.

Señor!

Wiedząc, iż Wam miłym będzie wielkie zwycięstwo, które mi Pan Jezus dał w tej podróży osiągnąć, piszę Wam ten list, przez który dowiecie się, jako w trzydzieści trzy dni dojechałem do Indyj z flotą, którą mi dali Najjaśniejsi Król i Królowa; że tam znalazłem bardzo dużo wysp zamieszkałych niezliczonym ludem, i że wziąłem je wszystkie w posiadanie w imieniu Waszych Królewskich Mości, głośno przy rozwiniętych sztandarach, bez doznania oporu.

Pierwszej, którą odkryłem, dałem nazwę *San Salvador*, na cześć Najwyższego Pana, który to wszystko cudownie sprawił: Indyanie ją zowią *Guanayani*. Drugą nazwałem *Maria de Concepcion*, trzecią *la Fernandina*, czwartą *la Isabela*, piątą *Juana*, i tak każdej dałem imię nowe.

Skoro przybyłem do wyspy *Juana*, płynąłem wzdłuż jej brzegów ku zachodowi i znalazłem ją tak wielką, że myślałem iż to stały ląd: prowincya *Catayo*; że zaś na wybrzeżu morskiem nie widziałem miast ani wsi, tylko małeńkie osady, z których mieszkańcami niepodobna było się rozmówić, gdyż uciekali natychmiast, posuwałem się wciąż naprzód tą samą drogą, sądząc, że przecież trafię na wielkie miasta lub wioski; dopiero ujechawszy wiele mil bez ujżenia czego nowego, a miarkując, że wybrzeże prowadzi mnie ku północy, dokąd jechać nie chciałem, gdyż zima już się była zaczęła, a ja zamierzałem skrócić na wschód — do tego mając wiatr przeciwny, postanowiłem nie czekać na lepszą pogodę i wróciłem do portu, którym był wpierw zauważył. Stąd posłałem dwóch ludzi w głąb lądu, aby się dowiedzieć, czy tam

¹ Jest to pierwszy list, w którym Kolumb zdaje sprawę ze swej pierwszej podróży.

się znajduje król lub jakie wielkie miasto. Szli trzy dni i znaleźli nieskończoną ilość małych osad i niezliczoną ludność, ale żadnego rządowego budynku; z czem powrócili.

Posłyszałem od innych Indyan, których już byłem wziął, jako ta ziemia była wyspą, to też płynąłem wzdłuż jej brzegu sto sześć mil, aż do jej końca, skąd ujrzałem na zachód drugą wyspę, oddaloną o mil osiemnaście, którą zaraz nazwałem *Espanola*, i pojechałem ku niej, i płynąłem wzdłuż części północnej, również jak i wzdłuż wyspy *Juana*, na zachód sto osmdziesiąt ośm wielkich mil, która to wyspa, jako i wszystkie inne, jest niesłychanie żyzna i najżyźniejsza ze wszystkich. Dużo w niej portów na morskiem wybrzeżu, nie mogących się porównać z żadnymi, jakie znam w krajach chrześcijańskich, a tyle tam rzek i dobrych i wielkich, że aż dziwnie patrzeć; ziemie tu położone są wysoko, a dużo na niej bardzo wysokich gór, daleko wyższych niż na wyspie *Teneriffe*. Wszystkie góry są bardzo żyzne, najróżniejszych kształtów i wszystkie dostępne, pokryte są drzewami najróżniejszych gatunków, a tak wysokimi, iż zda się, że nieba sięgają; mówiono mi, że nigdy nie tracą liści, czemu łatwo mogę uwierzyć, gdyż je widziałem tak zielone i piękne, jak w maju bywają w Hiszpanii. Niektóre z nich miały kwiaty, inne owoce, inne znów znajdowały się w różnych stopniach rozkwitu, według gatunku; i słowik śpiewał i innych ptaszków tysiące, w miesiącu listopadzie, śpiewały wszędzie gdzie szedłem.

Jest tam palm sześć czy ośm rodzajów, ciekawych do oglądania dla pięknej dziwaczności ich kształtów, a podobnie jak inne drzewa noszących to owoc, to kwiaty; są przepyszne lasy sosnowe i ogromne żyzne doliny, jest miód i wiele różnych gatunków ptactwa i owoców. Ludu jest tam moc niezliczona, a w ziemi dużo kopalń różnych metali. Wyspa *Espanola* jest prawdziwie dziwem: góry, doliny i pola, i ziemia tak piękna i żyzna do sadzenia i siania, sposobna do chowu bydła wszelkiego rodzaju, do budowania na niej miast i wsi. Trzeba widzieć, aby uwierzyć jakie są porty morskie i liczne rzeki i dobre obfite wody: większa z nich część zawiera złoto. Drzewa, owoce i trawy różne są bardzo od tych, jakie się znajdują na wyspie *Juana*: na tej dużo jest korzeni i wielkie kopalnie złota, oraz innych metali.

Na tej wyspie i na innych ludzie, których widziałem, lub mogłem wziąć, lub o których słyszałem, chodzą, tak mężczyźni jak kobiety, zupełnie nago, jak ich matka zrodziła; niektóre kobiety jednak używają do odziania liści lub umyślnie przyrządzonego kawałka bawełnianej tkaniny. Nie znają żelaza ani stali, ani broni żadnej, i nie są do niej

zdatni, nie dlatego, iżby nie byli dość silnej budowy ciała i dość pięknego wzrostu, ale że są nad wyraz bojaźliwi. Za całą broń mają trzcinę, braną w czasie gdy nosi nasienie, a do której końca przywiązują spiczasty kijek; lecz i tych nie śmia używać. Zdarzyło mi się nieraz wysłać dwóch lub trzech ludzi na ląd dla zasiągnięcia języka w pobliskiej wiosce; tu wprawdzie cały tłum krajowców wylegał na ich spotkanie, za ich zbliżeniem jednak wszystko umykało co tchu, nie oglądając się ani brat za bratem, ani syn za ojcem. Nigdy przecież od nas nie doznali nic złego; owszem za każdym razem, gdy z nimi mógł zetknąć, obdarzałem ich wszystkim co miałem, i sukniem i wielu innemi rzeczami, nigdy nic w zamian nie biorąc — ale na tę ich bojaźliwość niema rady. Za to kiedy się ośmiela i zupełnie onego strachu pozbędą, okazują się szczerymi, uczciwymi i szczodrymi nie do uwierzenia. Nigdy niczego nie odmówią, a raczej częstują wszystkim co posiadają, tak są serdeczni, że daliby własne serce i cokolwiekby wielkiej czy małej wartości za lada drobnostkę, nie zważając na sposób, w jaki im kto ją daje — i zawsze są ze wszystkiego kontenci. Zakazałem, aby nie dawano rzeczy takich, jak np. skorupy stłuczonych misek lub szkła, albo też złamane igły, pomimo, iż krajowcy cieszą się niemi jakby najpyszniejszymi klejnotami; zdarzyło się, że jeden z majtków dostał za jedną iglicę złota wagi $2\frac{1}{2}$ *castellanos*, a inni jeszcze więcej podostawali za rzeczy mniejszej wartości. Za nowe srebrne pieniądze (*blancas*) dają wszystko co mają, choćby dwa lub trzy *castellanos* złota, lub wielką ilość przedzonej bawełny.

Nawet połamane obręcze od beczek biorą, i głupi płacą czem mają — dlatego zdało mi się, że to źle, i zakazałem. Za to dawałem mnóstwo innych ładnych i dobrych rzeczy które wiozłem, aby ich sobie przywiązać i aby w skutku tego zostali chrześcijanami, i powzięli miłość dla Waszej Królewskiej Mości i całego narodu kastylskiego, a także, aby się z nami łączyli i dawali nam to czego nam potrzeba, a co oni posiadają w wielkiej obfitości.

I nie znają żadnej sekty ani bałwochwalstwa, tylko wierzą, że wszystka siła i dobro jest w niebie, i wierzą najmocniej, że ja z moimi okrętami i ludźmi przybyłem z nieba, i w tym charakterze przyjmują mnie wszędzie tam, gdzie się przestali mnie bać. I to nie pochodzi z głupoty, owszem mają bardzo bystre pojęcie, gdyż jak na ludzi, którzy nie jeżdżą daleko po morzu, dziwnie dobrze ze wszystkiego zdają sobie sprawę; tylko, że nigdy nie widzieli ludzi ubranych ani takich okrętów.

Skoro tylko dojechałem do Indyj, na pierwszej wyspie, którą odkryłem, kazałem kilku pojmać siłą, aby od nich zasięgnąć języka, i jakoś zrozumieliśmy się od razu, potrosze mową, a potrosze znakami. Ci wielce mi się przysłużyli i dziś ich z sobą wiozę, a dotąd są przekonani, że przybyłem z nieba, pomimo że z nimi długo i często rozmawiał.

Pierwsi oni ogłaszali to wszędzie gdzie przybywał, a drudzy biegali z domu do domu i do wiosek pobliskich, wołając: „Chodźcie, chodźcie zobaczyć ludzi z nieba!” I wszyscy mężczyźni i kobiety, ukoiszyi trwogę w sercach, przybiegali ku nam, tak że nie zostawało za nimi nikogo, i wszyscy przynosili coś do jedzenia i picia i podawali nam z serdecznością przedziwną. Na wszystkich tych wyspach mają dużo łódek, podobnych do naszych *fustas*, z wiosłami; są duże i małe, a bywają i większe od naszych łodzi, o ośmnastu wiosłach; nie są tak szerokie, gdyż robią je z jednego drzewa, ale żadna nasza łódź nie wydoła im w szybkości, gdyż lecą prędko nie do uwierzenia. Na tych opływają wszystkie te wyspy, których jest moc wielka, i prowadzą swój handel. Niektóre z tych łodzi widziałem z 70 czy 80 ludźmi, a każdy miał swoje wiosło.

Na wszystkich tych wyspach nie zauważyłem różnicy typu ani obyczajów, ani mowy między ludnością; wszyscy mają dar bardzo bystrego i szybkiego pojęcia, z czego wnoszę, że Wasze Królewskie Moście przywiodą ich do naszej św. wiary, do której okazują najlepsze skłonności.

Mówiłem już, jakom jechał 107 mil wzdłuż wybrzeży wyspy *Juana* z zachodu na wschód, po czem obliczyć mogę, że ta wyspa jest większa od Anglii i Szkocyi; prócz tych 107 mil bowiem istnieją jeszcze na zachodzie dwie prowincye, z których jedną nazywają *Aaan*: na tej rodzą się ludzie z ogonami. Prowincye owe nie mogą mieć długości mniej niż 50 czy 60 mil, o ile mogłem się dowiedzieć od Indyan, których mam u siebie, a którzy wszystkie te wyspy dokładnie znają.

Tamta *Espanola* jest z pewnością większa niż cała Hiszpania, od Katalonii (biorąc ze strony morza) aż do *Fuente-Rabia* w Biskai, skoro jechałem sto ośmdziesiąt ośm wielkich mil w prostej linii od zachodu na wschód.

Tej należy pożądać i z rąk jej nie puszczać, to też, podobnie jak inne, wziąłem je w posiadanie w imieniu WW. Kr. M.; wszystkie są bogato opatrzone, jako wiem i powiedzieć mogę, i wszystkie uważam

za własność WW. Kr. M., które niemi mogą rozrządzać w zupełności, tak jak królestwami Kastylli.

Na tej wyspie *Espanoli*, w miejscu najlepszym, najodpowiedniejszym i najdostępniejszym tak ze stałego łądu jak i z wyspy Wielkiego Chana, z którą może być częsty stosunek i wielki zysk handlowy, wzięłem w posiadanie wielką wieś, której dałem nazwę *Navidad*, i z tej uczyniłem warownię, która w tym czasie jest już zupełnie skończona i obsadzona dostateczną liczbą ludzi z bronią i artylerią, i żywnością na więcej jak na rok, oraz i łodzią.

Zostawiłem tam również marynarza, umiającego budować łodzie, ażeby inne porobił, i zawarłem wielką przyjaźń z królem tej ziemi, do tego stopnia, że mnie bratem swoim nazywa. A choćby zmienił myśli i chciał ludzi moich zaczepić, ani on ani jego poddani nie wiedzą co to jest broń, i chodzą nadzy, jakom już powiedział; trwożliwszych od nich niema na świecie. Moi ludzie, którzy tam zostali, wystarczyliby, aby zniszczyć całą tę wyspę, i żadne niebezpieczeństwo im nie grozi, jeżeli tylko będą umieli zachować się jak należy.

O ile wiem, na wszystkich tych wyspach mężczyźni zadawalniali się jedną żoną, a swemu dowódcy czy królowi dają ich aż dwadzieścia. Zdaje mi się, że kobiety pracują więcej, niż mężczyźni; nie mogłem się jednak zapewnić, czy każdy posiada własność osobistą, zdawało mi się bowiem, iż to co jeden ma, jest wspólne wszystkim, zwłaszcza rzeczy, służące do żywności. Dotąd nie spotkałem tu ludzi potwornych, jako wielu myślało że są, ale raczej ludność bardzo pięknego typu; ani nie są czarni jako w Gwinei. Włosy noszą rozwiane i nie znają po nich skutków żaru promieni słonecznych. Wprawdzie słońce jest tam bardzo silne, gdyż jest oddalone od równika o 26 stopni, ale na wyspach górzystych zimno było wielkie tej zimy; mieszkańcy jednak znoszą je, dzięki przyzwyczajeniu i potrawom, które jedzą z wielką przyprawą korzeni i nadzwyczajnie gorące.

A zatem nie znalazłem potworów, ani też o nich słyszałem, chyba w jednej wyspie *Carribes* (druga wyspa przy wstępie do Indyj), gdzie żyje lud, uważany przez mieszkańców innych wysp za strasznie dziki i żywiący się mięsem ludzkim. Ci mają dużo łodzi, na których obiegają wszystkie wyspy Indyj i łupią co mogą.

Nie są oni bardziej potworni od innych, tylko mają zwyczaj nosić włosy długie jak kobiety i używają łuków i strzał zrobionych z trzciny, z kijkiem uwiązany u końca, a to dla braku żelaza. Są uważani za bardzo strasznych w tych stronach, gdzie ludzie są tacy

trwożliwi, ale ja ich nie mam za groźniejszych od innych. Oni to mają stosunki z kobietami wyspy *Matinino*, która jest pierwszą wyspą po drodze z Hiszpanii do Indyj, a na niej nie masz żadnego mężczyzny. Nie mają one żadnego zajęcia kobiecego, tylko łuki i strzały z trzciny podobne tamtym. Zbroją się i osłaniają blachą z miedzi, której mają dużo. Jest inna wyspa, większa od *Espanoli*, na której mnie zapewniają, że ludzie nie mają włosów. Na tej jest złota bez liku, na świadectwo czego przywożę Indian z tej wyspy i z innych.

Nakoniec, mówiąc tylko o tem co się działo w tej podróży dokonanej tak pobieżnie, mogą się Wasze Królewskie Moście przekonać, że im dam tyle złota wiele będą potrzebować, jeżeli tylko od Waszych Król. Mości jakkolwiek pomoc otrzymam; również dostarczę bawełny i korzeni, wiele WW. Kr. M. każą naładować — i tego co się dotąd tylko w Grecyi na wyspie Chios znajduje, a co rząd miejscowy sprzedaje jak mu się podoba, i aloesu i niewolników wiele WW. Kr. M. każą naładować, i to pogan; zdaje mi się, że znalazł również rumbarbarum, oraz cynamon i tysiąc innych rzeczy, które dotąd zapewne odkryli ludzie, których tam zostawiłem; ja bowiem nie zatrzymywałem się wcale, skoro tylko wiatr pozwalał mi jeździć; zatrzymałem się tylko w *Navidad*, które zostawiłem zupełnie bezpieczne i zaopatrzone. A doprawdy byłbym daleko więcej działał, gdyby okręty były mi służyły jak się należy.

Na tem kończę, i chwała wszechmogącemu Bogu i Panu naszemu, który wszystkim, kroczącym ścieżkami Jego, daje zwycięstwo w sprawach, które wydają się niemożliwemi; a ten mój tryumf był oczywistym, gdyż choć mówiono i pisano o tych ziemiach, wszystko było tylko przypuszczeniem i nikt nie mógł widzieć tego własnymi oczami, a ci którzy słuchali, mogli tylko sądzić według tego co tamci mówili.

A zatem ponieważ Zbawiciel nasz dał Najjaśniejszemu Królowi, Królowej i Sławnym Królestwom naszym zwycięstwo w tak wielkiej sprawie, przeto całe Chrześcijaństwo winno mieć radość i wielkie obchodzić uroczystości i składać uroczyste dzięki Trójcy Świętej z publicznymi modłami za tę wielką chwałę, którą osiągają przez to, że tyle ludów nawróci się na naszą świętą wiarę, a następnie za wszystkie dobra doczesne; nie tylko bowiem Hiszpania, ale wszyscy chrześcijanie znajdą tu zysk i pożytek. — Oto w krótkości wszystko co się stało.

Dan na statku (Caravela) w pobliżu wysp Kanaryjskich 15 lutego 1493.

Na rozkazy

Admirał.

	.S.	
.S.	A	.S.
X	M	Y
Xpo Ferens.		

P. S. (Na osobnej kartce).

Po napisaniu tego, gdym był w morzu Kastylskiem, zerwał się taki wiatr południowy i południowo-wschodni, że musiałem wyładować okręty, ażeby się schronić do tego portu w Lizbonie, gdzie ocalałem największym cudem w świecie, i skąd powziąłem zamiar napisania do WW. Kr. M.

W Indyach wszędzie znalazłem pogodę jak w maju. Dojechałem tam w 33 dni a wróciłem w 48, gdyż mnie te burze trzymały 14 dni dłużej na morzu.

Tutaj wszyscy marynarze mówią, że nigdy nie było takiej zimy ani tyle okrętów straconych.

Dan IIII dnia marca.

* * *

Usiłowaliśmy w tłumaczeniu listu Kolumba zachować według możliwości naiwność stylu, jaką posiada w oryginale. Szczegółów w nim nowych wprawdzie niewiele, ale jest za to cała świeżość pierwszego wrażenia, której w żadnych późniejszych opisach znaleźć nie można. Czytanie tego listu wszakże wzbudza myśl smutną: gdzież się podziały owe „nieprzeliczone ludy“, zapełniające niegdyś wielkie przestrzenie Nowego świata? Tu i ówdzie napotkać można zaledwie nędzne ich szczątki; w tak zwanych kreolach płynie nieco krwi indyjskiej, i na tem koniec. Biały człowiek, o którym biedacy myśleli, że z nieba przychodzi, zniszczył i zdeptał wszystko: a potem wszystko posiadał i na modłę swoją przekształcił. Wprawdzie ochrzcił on pogan tysiące, ale tak ich, jak i miliony nieochrzczonych, czem prędzej na tamten świat wyprawił, i zdawałoby się, że przed trującym tchnieniem Europejczyka żadna inna rasa ostać się nie może. Europie potrzeba było Ameryki, aby pochłonąć jej bogactwa, aby mieć gdzie wyrzucać nad-

miar, a z nim i szumowiny swego społeczeństwa; zapomniała jednak, że dzieło rozpoczęte zniszczeniem prędkiej czy później przeciwko swemu twórcy się obróci, stanie się nań biczem Bożym, mścicielem zapomnianych dziś łez i potoków krwi dla żądz złota przelanych. Żądza złota skałała dłonie epigonów Kolumba, żądza złota zalała Amerykę falą europejskich wychodźców — ale dziś, w chwili kiedy święcimy czterechsetną rocznicę odkrycia tej drugiej półkuli, już kara Boża widocznie się zaczyna. Kara ta sprawiedliwie dosięga człowieka w tem, czem zawinił: dziś Ameryka oderwana od Europy, samodzielna i silna, urąga jej starym pojęciom, zagraża jej ekonomicznym stosunkom, podnosi się z głębi fal jak widmo, przed którem należy się bronić i strzedz, aby z wychudzonych już europejskich kieszeni nie wyssało napowrót resztek tego złota, którego mu niegdyś całe ogromy wydarto. Bywają i zemsty inne; — gdy Juarez, z pochodzenia Indyanin, mordował w Meksyku cesarza Maksymiliana, ktoś głęboko myślący wskazał nam w tem palec Boży: śnać potrzeba było, aby potomek Ferdynanda i Karola V., w których imieniu — chociaż nie z rozkazu — tyle krwi na tę ziemię spłynęło, przyszedł jako niewinna ofiara własną krwią zmazać i okupić zbrodnię, przed trzema wiekami na zamordowanym ludzie spełnioną.

Bodajby owo niknięcie ras słabszych, ginących w miarę postępu Europejczyków, było ich przeznaczeniem, nieuniknioną koniecznością, zakreśloną w zamiarach Bożych, kierujących losami świata! Bodajby człowiek biały nie był nigdy pociągniętym do odpowiedzialności za zniszczenie swych młodszych braci, mniej obdarzonych może, ale jak on stworzonych na obraz i podobieństwo Boże! Wtedy moglibyśmy ze spokojnem sumieniem rozbierać wszystkie następstwa, cieszyć się korzyściami i chlubić ogromem dzieła Krzysztofa Kolumba; wtedy moglibyśmy święcić jego rocznicę jako jednego z największych dobrodziejów ludzkości.

T. W.

Sprawy Kościoła.

Kongresy katolickie w Moguncyi i Lublanie. — Węgiersko-kalwińskie hece.
Rozwój Kościoła w Norwegii. — Encyklika o Różańcu.

KONGRES
KATOLICKI
W MOGUNCYI.

Jednocześnie — w ostatnich dniach sierpnia — obradowały dwa katolickie kongresy: XXXIX. kongres katolików niemieckich w Moguncyi, i pierwszy kongres katolików słoweńskich w Lublanie. Przypadkowe to było bez wątpienia, z góry nieobrachowane zejście, ale w każdym razie bardzo pocieszające i pouczające, bo dawało w oczy bijący dowód, jak katolicy na wszystkich punktach, wszelkiej narodowości, łączą się i organizują; jak — mniejsza o to Słowianie, czy Niemcy — jednym ożywieni są duchem, jeden i tenże sam mają przed oczami ogólny program, do jednych dążą celów. Oba wiece wymieniły ze sobą powitalne telegramy; dobitniej od tych telegramów świadczył sam przebieg rozpraw o wspólności dążeń, zazwyczaj i środków.

Na wiecu mogunckim na pierwszy plan wystąpiła kwestya gruntownej reformy szkoły wedle zasad chrześcijańskich, i kwestya rozszerzenia bardzo jeszcze dziś ściśniętej działalności zakonów w Niemczech, w szczególności powrotu Jezuitów. „Smutny los — mówił dr. Siben — jaki spotkał wniosek szkolny w sejmie pruskim, bynajmniej nas nie zniechęca do dalszej, do ciągłej walki na tem polu; wszyscy, przeciwnicy równie jak zwolennicy nasi, mogą być o tem przekonani, że oręża nie złożymy, dopóki nie wywalczymy sobie wyznaniowej szkoły. Obecnie, głównie starać się nam należy o rozszerzenie naszych właściwych przekonań w obozie protestanckim; nie wątpić, że gdy się dowiedzą, o co nam idzie, przestaną drżeć i krzyczeć w niebogłosy, jakby skórę z nich darto. Bezwyznaniowa szkoła, to fabryka religijnej obojętności i ateizmu. Nie może też wystarczyć nauka katechizmu poza szkołą, pozostawiona dobrej woli rodziców; kto chce o tem się przekonać, niech na Francję popatrzy. Jedynie szkoła w ścisłym słowa znaczeniu wyznaniowa zdolna jest

położyć tamę rosnącej niewierze, gwałtownym dążeniom do radykalnych przewrotów; ale musi to być szkoła istotnie wyznaniowa, religia musi być w niej centrem i osią całej nauki“.

Posel do parlamentu: Groeber, nakreślił ciemny obraz trudności bez miary i liczby, z którymi walczyć muszą męskie zakony w Niemczech. „Dwa tylko państwa nie dopuściły dotąd w zasadzie żadnego zakonu męskiego: Królestwo Wirtemberskie i W. Księstwo Badeńskie. Ostatecznie najznośniejsze stosunki panują w Prusach, najnieznośniejsze w Badeńskim. Klasztor Beuron w Hohenzollern wciśnięty jest między dwoma państwami, obdarzonymi niezwykle twardem sercem. Prawodawstwo wirtemberskie pozwala wprawdzie odprawiać misye, ale po ukończonej pracy muszą misyonarze co prędzej uciekać poza czarno-czerwone słupy graniczne. W Badeńskim, i misyj odprawiać nie wolno. Barbarzyńskie to prawo dopuszcza jedyny wyjątek w nagłych wypadkach choroby, w których wolno zakonnikom udzielać Sakramentów św. Ale wielkomyślne Wielkie Księstwo niezbyt wielkomyślnie tłumaczyć zwykło prawne to zastrzeżenie. Kiedy bawarska jakaś procesya, prowadzona przez okazałego kapucyna, przeszła przez badeńską granicę, zdecydowano po wszechstronnym namyśle, że wolno owemu kapucynowi słuchać Bawarczyków spowiedzi. Ale broń Boże Badeńczyków! sprzeciwiałoby się to prawom specjalnie W. Księstwu zagwarantowanym! Badeńscy sternicy państwowej nawy konsekwentni są, przyznać to im należy, aż do *absurdum*, aż do śmieszności... W Wielkim Księstwie Hesskiem z taką żelazną konsekwencyą się nie spotkasz. W zasadzie przypuszczono tu tylko zakonników pielęgnujących chorych, bo bez wątpienia w razie wybuchu cholery na niejedno przydać się mogą; w praktyce przecież nie taki straszny djabeł, jak go malują: pozwolono i innym zakonom pracować... Czemuż zasady do praktyki nie zastosować? Bądź co bądź, mamy z pewnością prawo żądać powrotu naszych zakonów i prawa tego za nic się nie rzeczymy. Ufność mamy w Bogu, w słusznym naszym prawie; ufność mamy w słowach, które cesarz nasz szczęśliwie natchniony wypowiedział: „Prawo musi prawem pozostać!“

Na bojowy plan Centrum w przyszłej kampanii parlamentarnej rzucił jasny promień poseł do sejmu i do parlamentu, dr. Lieber. Wy tłumaczywszy, dla jakich i jak ważnych powodów Centrum zdecydowało się na chwilowe cofnięcie wniosku, domagającego się zniesienia banicyi ciążącej na Jezuitach, mówca wystąpił energicznie przeciw szerzonym przez liberalną prasę pogłoskom, jakoby przywódcy Centrum postanowili na dłuższe lata pogrzebać całą tę bardzo niewygodną i arcyniepopularną sprawę; jakoby, co najwięcej, wysuwać ją od czasu do czasu zamierzali na ludowych zgromadzeniach, dla podniecenia gasnącego entuzjazmu. „Wobec tego rodzaju pogłosek, oświadczam stanowczo z polecenia prezydium stronnictwa Centrum: Stronnictwo nasze podejmie ponownie wniosek Windthorsta, jako wniosek hr. Ballestrema. (Głośnie, przeciągle oklaski). Wniosku tego nie zrzekniemy się na przyszłość za żadną cenę, nie ustępując przed żadnemi politycznemi następstwami. (Burmliwe oklaski). Oświadczam wreszcie: że Centrum potrafi obronić swoich Jezuitów przeciw wszystkim, choćby najpodlejszym potwarzom. Mówię wprost o Jezuitach, ale na myśli mam zarówno Redemptorystów, Lazarystów, Ojców z kongregacyi Św. Ducha i nasze pocziwe Sercanki. Czy to po prostu nie śmieszna, dozwałać takiemu Beblowi, Liebknechtowi krzyczeć i piorunować na istniejący porządek, a niewinne te kobiety piętnować jako niebezpieczne dla państwa i trzymać je na wygnaniu? Żądamy zniesienia banicyi Jezuitów, jako słuszenie należącego nam się prawa...; nie przestaniemy głosu naszego podnosić, dopóki do wytkniętego celu nie dojdziemy. A choćby wiosna długo jeszcze kazała na siebie czekać, choćby zima, ciążąca obecnie na naszych Jezuitach, długo jeszcze dzierżyć miała srogie swe berło, to my niemieccy katolicy powtarzać nie przestaniemy: „A jednak wiosna nadejdzie!“

Śladem Windthorsta, którego mowy, przypieczętowujące regularnie od wielu lat katolickie kongresy, tak głośnie echem się rozchodziły i tak wielką, nietylko teoretyczną miały wagę, zamknął więc moguncki, dzisiejszy wódz Centrum, hr. Ballestrem, streszczając prace i walki minionego roku, kreśląc krótki plan przyszłych prac i walk. Pierwsze wyrazy poświęcone były smut-

nemu położeniu Ojca św., odparciu zarzutów, rzucanych na Centrum z powodu kwestyi rzymskiej, z najróżniejszych, wręcz sobie przeciwnych stron. „Niektórzy dowodzić nam chcieli, że protesty nasze przeciw zaborowi Rzymu pogodzić się nie dadzą z uznaniem potrójnego przymierza. *Koelnische Zeitung* ogłosiła nawet artykuł pod tytułem dowodzącym wielce wykwintnego jej smaku: „Papież zawadą dla Centrum“. Tego rodzaju zdanie jest obrazą, katolikom wyrządzoną. Papież nie może nam nigdy w niczem być zawadą; podobnie jak i Centrum nigdy nie będzie zawadą dla Papieża, lecz zawsze otwarcie i po rycersku stać będzie przy Papieżu. Jesteśmy od Papieża nierozłączni, uważamy się za straż Jego Świątobliwości. Nie wyklucza to wszakże, abyśmy państwowym układów, zawartych z innemi mocarstwami, przez powołane do tego czynniki, nie mieli uważać za ważne, a w obecnym czasie konieczne“.

„Łudziliśmy się nadzieją — mówił dalej hr. Ballestrem — że rząd zdecydowany jest zorganizować szkolnictwo na podstawach chrześcijańsko - konserwatywnych; nadzieje nasze pokryły się niestety! marcowym śniegiem. W każdym razie nie zapomnimy na zawsze pamiętnego hasła, rzuconego przez hr. Caprivi: „Walka między ateizmem a chrześcijaństwem“; nie wyjdzie nam z pamięci, kto je rzucił. A czyż potrzebuję przypominać wam tutaj tego rycerskiego ministra wyznań, prawdziwego szlachcica od stóp do głów, który właśnie tą swą szlachetną rycerskością imponował wszystkim swym wrogom najniższego nawet rodzaju? Kiedy wojska królewskie i chrześcijańskie musiały się cofnąć, chrześcijaństwo porażki nie poniósł, ale idea monarchiczna poniosła porażkę. Zniknęło zaufanie w stałość kierunku, w którym łódź państwowa się porusza, zniknęło nie u nas tylko, ale u wszystkich. Być może, że cała historia z prawem szkolnem była tylko przejściowym symptomatem; wątpię jednak, czy minister Bosse, bez wątpienia wierzący chrześcijanin, potrafi przeprowadzić, czego hr. Zedlitz nie był w stanie przeprowadzić“...

„Socjaliści zachowują się od paru lat bardzo cicho. Raz pokłócili się ze sobą, później nie uważali prawdopodobnie za potrzebne zbytnio własną skórę nadstawiać, widząc jak inni gor-

liwie pracują za nich i w ich interesie. Kto uwierzyłby był przed kilkoma jeszcze latami, aby ojciec praw wyjątkowych, wydanych przeciw socyalistom, aby Bismark przeciągać miał przez Niemcy jako *commis-voyageur* wszystkich niezadowolonych, od miasta do miasta rozstawiać na rynku swą budę i z jarmarcznym zapędem sprzedawać *en detail* tajemnice sztuki rządzenia państwem. Bardzo poważna to sprawa! Kiedy człowiek tak znaczący jak Bismark, stawia się na czele całej rzeszy niezadowolonych i prowadzi ją do antymonarchicznych demonstracyj, natenczas socyalna demokracja słuszne ma prawo do tryumfowania“...

KONGRES
W LUBLANIE.

Wiec lublański, o wiele oczywiście od mogunckiego skromniejszy, bez porównania mniej rozgłosny, nową przecież i piękną dla katolickiego życia w słoweńskich krajach rozpoczyna erę. Wbrew zbyt lękliwym przewidywaniom, zgromadziło się na pierwszy ten słoweński kongres około 1200 uczestników; z wybitniejszych katolików słoweńskich nie brakowało ani jednego, nie brakowało też ani krajowych, ani miejskich dostojników. Kwestya szkolna i tu pierwsze zajmowała miejsce; równie poseł Kluni, jak bardzo znany i ceniony zwłaszcza w Karyntyi proboszcz Einspieler, przemawiali w gorących słowach za koniecznością zaprowadzenia szkół wyznaniowych. O katolickiej prasie mówił bardzo przekonywająco lublański lekarz dr. Gregoric; o kwestyi włosciańskiej prezes kongresu, poseł Fr. Povse. Z prawdziwą przyjemnością wyczytaliśmy w sprawozdaniach kongresu i imię Polaka, znanego i czytelnikom *Przeglądu* z wiedeńskich swych listów, p. Józefa Glinkiewicza; witał on zgromadzonych w polskiej przemowie.

WĘGIERSKO-KAL-
WIŃSKIE HECE.

Węgiersko-kalwiński *kulturkampf* od dawna pod węglami żarzący się, buchnął nagle jasnym płomieniem na konwencie kalwińskim w Komornie; dobrze, że płomieniem tak jasnym, tak gwałtownym, bo teraz już nikt przeczyć nie może dawnym, wysmiewanym nieraz nawoływaniom: „Pali się!“, nikt od gaszenia pożaru wymawiać się. Do Komorna, na zapowiedziany od dłuższego czasu na pierwsze dni września kalwiński konwent, zjechało się wyjątkowo wielu uczestników i gości,

ponieważ święcić miano zarazem 25-letni jubileusz wyboru Kolomana Tiszy na nadkuratora kalwińskich kościelnych obwodów, rozłożonych poza Dunajem. Zebranie to przekształcili kalwini w formalną a obrzydliwą hecę przeciw katolickiemu Kościołowi. Już w rocznem sprawozdaniu, przedłożonem konwentowi przez superintendenta Gabryela Papa, odezwały się aż nadto głośno i buńczucznie wojenne hasła. Źle i coraz gorzej, skarżył się awanturniczo usposobiony superintendent, ponieważ obecnie nie samo tylko niższe katolickie duchowieństwo maści pokój, lecz wespół z niem i wyższy kler, owszem i sam prymas. Sądziłszy z początku, że prymas zgodzi się z koniecznością i powstrzyma agitację nurtującą w szeregach niższego kleru w kwestyi t. zw. „powtórnych chrztów“; niestety! ciężki spotkał nas zawód: prymas nie tylko agitatorom nie postawił żadnej zapory, ale sam stanął na ich czele... Jezuiści, bez względu na istniejące prawa(?) napowrót do Węgier wprowadzeni, rozwijają żywą działalność; przyszłe katolickie matki otrzymują wychowanie od klerykalnych zakonnic; hr. Ferdynand Zichy, a za nim gęsty zastęp katolickich magnatów, grożą zmianą, w klerykalno-katolickim kierunku, obowiązującego dziś prawa małżeńskiego. Wobec takich zakusów, wobec takich niebezpieczeństw, bronić się nam trzeba; stanąć trzeba, jak jeden mąż, przeciw smutnym tym, jezuickim, klerykalnym prądom, tem smutniejszym, że objawiają się one nie tylko w naszej ojczyźnie, lecz i w całej Europie. „Ludzkość nie może dać spętać wolności sumienia i myślenia; nie może unieść się do roli ślepego narzędzia owego Kościoła, którego najwyższa Głowa rzuca klątwy na zapatrywanie, że w każdym kościele zbawić się można, że państwo ma prawo ograniczać kościelną władzę, ma prawo wydawać ustawy odnoszące się do szkoły, do niezależności nauki od religijnych dogmatów, do cywilnych małżeństw, do religii dzieci pochodzących z małżeństw mieszanych...; owego Kościoła, którego Głowa przeklina tolerancję wszelkich wyznań, krom katolickiego; przeklina wszystkich, którzy nie tracą nadziei, że Kościół katolicki i jego naczelnik, za nieomylnego uznany, pogodzić się kiedyś potrafi z wolnością, z postępem, z nowoczesną cywilizacją“.

Zdawałoby się, że Tisza oblać winien i obleje zimną wodą niewczesne te zapaly; tymczasem miasto lać wodę, dolał oliwy. My chcemy pokoju, wołał i zaklinał się, ale katolicy, jak dawniej tak teraz, wypowiadają nam wojnę; jeśli chcą wojny, walczyć potrafimy, wszelkie zewnętrzne wpływy odeprzeć potrafimy orężem ducha, rozumu, prawdy. Entuzyastyczne *Eljen!* rozlegające się po każdym słowie Tiszy, podnieciło i innych uczestników, między innymi nadrabina z Komorna, do kopnięcia „starych, zrujnowanych twierdz fanatyzmu i nietolerancji“, do wzniesienia gromkiego okrzyku na cześć świecącej dzięki pracom jubilata „jutrzienki lepszych czasów“, na cześć wprowadzonej przezeń do Węgier „wolności myśli, wolności słowa“.

Echo hajdamackich tych jakichś mów i okrzyków, odnawiających niespodzianie, nie wiedzieć dobrze skąd i dlaczego, jakby czasy trzydziestoletniej wojny, rozległo się donośnie po całych Węgrzech, i wzbudziło — przyznać należy — powszechny niesmak, głośnie oburzenie. Węgierska prasa najróżniejszych odcieni wydała na komornskie hece jednomyślny wyrok potępienia. „Wypowiedzenie wojny w Komornie, pisze *Pesti Naplo*, jest po prostu śmieszne; tem śmieszniejsze, że ostatecznie do żadnego rezultatu nie może doprowadzić. Jedynym rezultatem będzie powiększenie jeszcze i tak niemałego zamętu w sprawie „powtórnych chrztów“. „Więc gdyby rozporządzenie Csakego, pyta ironicznie *Budapesti Hirlap*, nie było nigdy oglądało dziennego światła, to protestantyzm w Węgrzech byłby już dotychczas zniknął z powierzchni ziemi? Śmieszna przesada! Protestantyzmowi nieby się było nie stało, ale natomiast mielibyśmy byli niezakłócony pokój. Tisza przez 15 lat nie wydał tego rozporządzenia, a gdyby dziś był ministrem, równieżby go nie wydał. Czemuż więc tak za nim gardłuje? Bo nie on jest odpowiedzialnym ministrem, ale Csaky i Szapary. Ministerium robi co może od dwóch lat, aby ogień ugasić; tymczasem Pap dolewa do niego oleju, a Tisza dmucha co sił. Panowie ci radziby pół Węgier ze sobą pokłócić, a potem w mętnej wodzie ryby łowić. Patryotyczna to zaiste, szlachetna, chrześcijańska polityka!“

Wprost a brutalnie zaczepiony prymas Vaszary również nie zamilkł. W pierwszej zaraz chwili po otrzymaniu autentycznych wiadomości z Komorna, odbył Prymas konferencję z hr. Csakym, a bezpośrednio potem przyjął redaktorów dwóch opozycyjnych dzienników: *Egyetertes* i *Budapesti Hírlap*, i wyraził swój żal i oburzenie z powodu niehonorowej tej napaści na katolików, której następstw dziś jeszcze przewidzieć niepodobna. „Pierwszy to wypadek w historii węgierskiej, aby protestantyzm urzędowo, w kościele, przez swych urzędników, napadł się odważył na Kościół katolicki i na katolików... Lękam się, i niestety! lękać się muszę, czy w Komornie nie zadano ojczyźnie głębokiej rany, czy boleśnie nie osłabiono siły węgierskiego państwa... Od nadzwyczaj wielu księży odbieram niezliczone pisma i listy w tej sprawie; a z listów tych widać jasno, jaką wciąż rosnącą burzę wywołały komornskie wypadki. Właśnie, kiedy dokładaliśmy wszelkich starań, aby przytłumić żarzącą się iskrę, w Komornie rozniecono wielki ogień. Zobaczymy, kto teraz potrafi ogień ten ugasić“.

Dla uspokojenia umysłów, zwłaszcza w szeregach duchowieństwa, i powstrzymania od nierozważnych jakich kroków, wydał Prymas do kleru archidiecezyi ostrzyhomskiej osobny okólnik w tej sprawie: „O Kościół, przez Chrystusa na opoce niezłomnej założony, nie utrzymywany żadną zewnętrzną, materialną, ludzką, państwową siłą, o Kościół się nie boję; lecz boję się o naród mój, któremu Bóg nie dał, tak jak Kościołowi, boskiej swej obietnicy, że istnieć będzie do skończenia świata. Przemawiając tonem tak szorstkim, w jakim do nas przemawiają; napadając tak namiętnie, jak na nas temi dniami napadnięto, rozdrażnilibyśmy jeszcze bardziej i tak wzburzone umysły, a ojczyznę postawilibyśmy nad brzegiem przepaści... Dlatego błagam was, zapanujcie nad uczuciami serca; niechaj pokój Chrystusowy i w tych czasach walki dusz waszych nie opuszcza! Z drugiej strony przekonani być możecie, że milczeć nie będę tam, gdzie mam nie tylko prawo, ale i obowiązek przemawiać w obronie naszego Kościoła i naszej ojczyzny!“

ROZWÓJ
KOŚCIOŁA
W NORWEGII.

Ostatnie sprawozdania misyonarskie, nadeszłe z Norwegii, przynoszą wiązkę bardzo pocieszających wiadomości. W r. 1875 liczba katolików w całej Norwegii wynosiła zaledwie kilkuset; wedle ostatnich dat statystycznych, dochodzi do stu tysięcy. Szybki ten rozwój zawdzięcza Kościół na pierwszym miejscu roztropnej a niezmordowanej działalności wikaryusza apostołskiego, biskupa Fallize; choć niemniej w bardzo znacznej mierze przyczynił się doń duch szczerej tolerancji, panujący obecnie w norweskim parlamencie. Przeszłego roku przyznał parlament katolikom zupełną religijną wolność; przed kilku miesiącami zniósł ustawę, wzbraniającą katolikom przystępu do pewnych wysokich urzędów i godności; wreszcie na najbliższej sesji ma gabinet Steena przedłożyć izbom projekt do prawa, pozwalającego osiedlać się i pracować w Norwegii wszystkim katolickim zakonem, nie wyjmując i Jezuitów. Sądząc ze składu i usposobienia parlamentu, sądząc z odgłosów prawdziwie, a nie dla żartu, dla wszystkich, a nie dla pewnego tylko kółka „liberalnej“ prasy chrystyańskiej, projekt ten nie napotkna na poważniejsze jakieś przeszkody.

ENCYKLIKA
O RÓŻAŃCU.

W uroczystość Narodzenia N. Panny podpisał Ojciec św. nie pierwszą już z rzędu encyklikę: „O Różańcu“, pragnąc ponownie, jak na wstępie wyraża się: „wzniecić i wzmocnić wśród ludu chrześcijańskiego cześć i miłość wielkiej Bogarodzicy“. Nowa encyklika, prawdziwie z synowskim uczuciem spisana, obszernie wyjaśnia, czym jest różaniec, jakie jego znaczenie i rola w dawnych wiekach i w dzisiejszym czasie; zachęca do częstego wychwalania Maryi tą Jej nad wyraz miłą, a samym modlącym się pożyteczną modlitwą; kończy wreszcie serdeczną prośbą: „Módlcie się u stóp ołtarzów Maryi i za Nas, którzy w sędziwym wieku, pracą umęczeni, ściśnięci zewsząd nader trudnemi okolicznościami, na żadną pomoc ludzką nie mogąc rachować, ster Kościoła dzierżyć musimy“.

Ks. Jan Badeni.

Z pod gór Kruszcowych.

Wrażenia z podróży.

III.

Po krótkim wypoczynku wśród malowniczych zwałisk Supahorskich, podążyłem do pobliskiej Krupki (Graupen). Jest to miasteczko rozrzucone u stóp gór Kruszcowych w głębokim wąwozie. Właśnie wtedy z jednej z jego ulic wysuwał się orszak pogrzebowy, który odprowadzał zwłoki jakiegoś wyrobnika na miejsce wiecznego spoczynku. Stanowili go przeważnie robotnicy — koledzy zmarłego, każdy zaś z nich miał czerwony gwoździk w dziurce od guzika. Trumnę zdobił wieniec z purpurowych kwiatów, związany czerwoną wstęgą, na której mieściły się słowa:

Letzter Gruss zum letzten Gang
 Von vielen Gleichgesinnten,
 Dein Geist ist frei, nicht mehr den Zwang
 Fühlst du, den wir empfinden.

Po dopełnieniu religijnego obrzędu jeden z obecnych przemówił nad grobem, poczem wszyscy robotnicy rzucili na trumnę swoje gwoździki. Na tem zakończyła się ceremonia, nie potrzebująca, jak mi się zdaje, komentarza, ponieważ sama świadczy wymownie o nastroju tamtejszej niemieckiej pracującej ludności.

Kaplica cmentarna, wzniesiona pod wezwaniem św. Anny, została rozpoczęta w r. 1516, ale z powodu rozruchów, wynikłych z reformacyi, jakich wówczas północne Czechy były widownią, dopiero po upływie całego stulecia zdołano ukończyć jej budowę. W roku 1576 znaczna część mieszkańców Krupki przyjęła luteranizm, a wkrótce pastor protestancki, Krzysztof Walter von Kamnitz, przywłaszczył sobie kościółek św. Anny i wygłosił w nim pierwsze sekciarskie kazanie. Dopiero w r. 1628 katolicy zdołali odzyskać tę świątynię. Podczas wojny trzydziestoletniej z pięciu kościołów w Krupce jedna tylko kaplica cmentarna ocalała od pożogi¹. W r. 1851 przerobiono ją całkowicie, ale zarazem uprzątnięto wiele cennych dzieł sztuki, jak np. śliczny

¹ W. Krondorf, *Bilder aus dem nördlichen Böhmen*: xxxviii. Die St. Annakirche in Graupen. *N. T.-Z.* 1888, str. 185—189.

starożytny ołtarz, rzeźbiony z drzewa. Dziś świątynia ta niczem szczególnem, się nie odznacza; nader rzadko odprawia się w niej nabożeństwo, i tylko od czasu do czasu na przyjęcie zmarłych otwierają bramę cmentarną, będącą jednym z bardzo rzadkich okazów prześlicznego odlewu z żelaza. Na szczycie jej dokoła herbu fundatora mieści się napis:

CHRISTUS PORTA COELI. — GEORGIUS KLIPPEL, HUIUS
PORTAE FUNDATOR. ANNO MDCXV.

Oprócz kościółka św. Anny, Krupka posiada obecnie kościół parafialny, który zawiera nader ciekawy zabytek średniowieczny. Na lewej stronie nawy kościelnej ciągnie się potrójny szereg schodów, wiodących do pasyjnej kaplicy. Nad schodami temi na krużganku stoi figura Chrystusa w cierniowej koronie, naturalnej prawie wielkości, z pobliskich zaś okien wyglądają wykrzywione twarze żydów, prawdziwie szatańskim napiętnowane wyrazem. Środek kaplicy zajmuje grób Pana Jezusa, po bokach zaś w zagłębieniach daje się dostrzedz Chrystus upadający pod krzyżem i św. Weronika. Wreszcie w samym kościele mieszczą się dwie zakratowane celki, z których jedna przedstawia ciennicę, w jakiej zamknięto Pana Jezusa, druga zaś czyściec. Ta ostatnia zwłaszcza z całym szeregiem wychudłych, kłęczących postaci, oblanых czerwonaświatłem, dochodzącem z kościoła przez kolorowe szyby, nader silnie uderza wyobraźnię. Jakże potężne wrażenie musi wywierać ta świątynia podczas pasyjnych nabożeństw! Nikt, niestety, nie mógł mi udzielić wskazówek co do nazwiska artysty, który z tak głębokiem zrozumieniem rzeczy wykonał piękne te rzeźby. Podczas pożaru większej połowy kościoła, archiwum także spłonęło, i z dokumentów dotyczących pierwotnych dziejów tej świątyni nie pozostało ani śladu. To tylko nie da się zaprzeczyć, że pochodzi ona z epoki daleko dawniejszej, niż „nowinki“ Husa i Lutra, o niej więc możnaby powiedzieć to samo, co niegdyś o kościele słuckim mówiono, iż „starsza ta fara, niż luterska wiara“.

Zresztą i samo miasteczko nosi niezaprzeczoną cechę średniowieczny. Domki jego przyparte do ścian wąwozu, pokrywa stara, czerwona dachówka, kształt zaś okien i ścian zdradza również niezbyt świeże pochodzenie. Cała miejscina składa się właściwie z jednej tylko ulicy, wiodącej pod górę. Poza miastem występuje na tle zieleni góra Kalwaryjska, z krzyżem, oraz statuami Matki Boskiej i św. Jana. Dalej szeroka, wygodna droga wiedzie niemal niespostrzeżenie na szczyt Mückenbergu. Jest to jeden ze szczytów gór Kruszcowych, które się

ciągną na przestrzeni 150 kilometrów, w kierunku z południo-zachodu na północo-wschód. Jak to widać z dwóch dokumentów z roku 974 i 1034, zwano je pierwotnie *Miriquidui*, co w języku tubylców oznaczało Czarny las, a to z powodu gęstych borów, jakie je dotąd jeszcze pokrywają. W średnich wiekach upowszechniło się miano Lasu Czeskiego (*Šumava*), pod które góry Kruszcowe także podciągano. Nazwa *Rudny hory* sięga zaledwie połowy XVI. w. i początkowo służyła nie dla całego łańcucha, ale dla tych jego odnóg, w których najczęściej znajdowano kruszców. Na mapach nazwy tej brakło aż do roku 1815, gdy po raz pierwszy ukazała się na mapie Królestwa Sakskiego, wydanej przez pułkownika Becker'a ¹, a jednak jest ona, a przynajmniej była, całkowicie zasłużoną; góry te bowiem za dawnych czasów obfitowały w niewyczerpane żyły różnorodnych kruszców. Teraz bogate pokłady srebra są już wyeksploatowane i rzadko zdarza się szczęśliwemu górnikowi natrafić na ten kruszec. Kopalnia srebra w Joachimsthalu opłaca zaledwie łożone na nią koszta, pomimo, iż wszystkie podrzędne produkta mineralne są tam również zużytkowane. Wprawdzie obfite pokłady ołowiu, cyny i żelaza leżą do dzisiaj w łonie gór Kruszcowych, ale wobec konkurencyi z innemi krajami eksploatacyja ich nader małe przynosi zyski. Wiele dawnych kopalń stoi obecnie pustkami, i tylko długie podziemne korytarze świadczą, że tu kiedyś rozlegał się odgłos górniczego kilofu. Tak np. do niedawna jeszcze eksploatowano pod Goldenhöhe czyste magnesowe żelazo, lub w krystalicznem połączeniu z błyszczem ołowiu i siarczikiem cynku. Kopalnie piroluzytu i błyszczu żelaza pod Zinngangiem zostały także opuszczone przed kilkoma laty i tylko pod Aberthamem kopią jeszcze cynę, znajduwaną tam w granicie w cieniutkich płateczkach. Nadto w Dürnbergu istnieje kopalnia uranu i bizmutu, będąca własnością jakiegoś Szlązaka.

W danej chwili główne bogactwo gór Kruszcowych stanowią piękne lasy, niestety, coraz bardziej niszczone. Corocznie znaczna ilość budulca, jak również tysiące drzew, mających przeciętnie od 3—4 metrów wysokości, a od 6—15 centymetrów średnicy, wywożone bywają do Saksonii nie tylko z lasów prywatnych, ale nawet z rządowych. Wielkim nawet popytem cieszą się w Saksonii deski, drzewo opałowe i tyczki do chmielu, sprowadzane z Czech.

¹ Dr. Th., *Der Name des Erzgebirges*, N. T.-Z. 1890, str. 62.

Lecz wróćmy do Mückenbergu. Na połowie jego wysokości, wynoszącej 868 metrów, leży niewielka wieś Horna Krupka (Obergrauhen), której domki po większej części drewniane, wiszą nad przepaścią, przyczepione do skał jak gniazda. Od wsi tej do samego szczytu droga wiedzie przez śliczny las świerkowy, na wierzchołku zaś góry, na wielkiej polance, stoi kościółek św. Wolfganga. Podanie głosi, że ten Święty mieszkał przez lat kilka w jaskini w pobliżu tego miejsca, wiodąc pustelnicze życie. Następnie został mianowany biskupem ratybońskim, ulubioną zaś jego górę ozdobiono kaplicą pod wezwaniem jego imienia ¹.

O parę set kroków od kaplicy wznosi się posępny budynek, zakończony również nieestetyczną wieżą obserwacyjną. Z wieży tej, zwanej *Mückenthürmchen*, widok jest bardzo rozległy na północne Czechy i Saksonię. Z jednej strony dolina Bilska, najeżona tu i ówdzie odnogami Šředohorza, z drugiej ogromna równina Saska, przywodząca na myśl nasze Mazowsze, gdzie, jak mówi poeta: „Za laskiem piasek, a za piaskiem lasek“.

W najbliższej perspektywie od strony Saksonii ukazuje się wieś Voigtsdorf, dalej nieco mury Altenburga, a niekiedy, jak mi zaręczano, można stąd nawet dostrzedz Drezno, mnie się jednak zdaje, że chyba okiem wyobraźni.

Po nocy spędzonej na Mückenbergu, tą samą drogą co w dniu poprzednim, to jest *via* Górna i Dolna Krupka, dotarłem do bohusdowskiego dworca, skąd błyskawiczny pociąg uniósł mię do Teplic.

Z wagonu raz jeszcze rzucam okiem na ciemne pasmo gór Kruszcowych, przysłonięte mgłą poranną, jakby lekką gazą. Tu i ówdzie z pomiędzy skał wydobywają się słupy gęstej pary, rozplywają się w powietrzu, poczem na pewnej wysokości tworzą jakby baldachim, który niebawem gnany podmuchami wiatru, zaczyna się kłębić i nieznacznie przekształcać w chmury. Zjawisko to, dość pospolite w tych górach, wynika z licznych gorących źródeł, zawartych w ich łonie, z których przez rozpadliny skał wulkanicznej formacji wydziela się para. Wogóle w okolicy Teplic rzadko można się napawać czystym błękitem niebios; góry upowite są zwykle w szarą powłokę oparów, nad dolinami zaś wisi zawsze posępny obłok dymu, którym kominy licznych fabryk i kopalń nasycają atmosferę.

Lecz oto i Teplice. Z toru kolejowego ten prawdziwy raj zreu-

¹ Theodor Hutter, *Ruine Geiersburg*. Aussig 1890. N. T.-Z., str. 17.

matyzmowanych dość okazałe się przedstawia; nad lasem czerwonych dachów smukła gotycka wieżyca kościoła św. Elżbiety zdaje się błogosławić całemu miastu; dalej strzela ku górze bardziej jeszcze wysmukłą wieżą, podobną do egipskiego obelisku, protestancki dom modlitwy, a poza nim rozpostarł się wśród zieleni rozległy jakiś gmach z kilkoma bizantyńskimi kopułami — to żydowska synagoga. Ta ostatnia nie robi wcale wrażenia budynku, w którym się wielbi Boga; świątynia protestancka wygląda sztywnie, zimno, posepnie; jeden tylko kościół katolicki spogląda ku niebu z tym spokojem i szlachetną dumą, jaką jedynie prawda dać może.

Z dworca piękna, szeroka, wysadzana drzewami ulica wiedzie do miasteczka Szanowa (Schönau), oddzielonego tylko parkiem od właściwych Teplic.

Szanów, to jakby rodzona siostra starego kąpielowego miasta, tylko daleko od niego młodsza, i co za tem idzie, ładniejsza. Niewielka to miejscina, ma zupełnie odrębną i niezależną od Teplic administrację, a nawet własne *body*. Niektóre jej ulice, ciągnące się wśród prześlicznych ogrodów, w głębi których kryją się uroczne wille, nie przyniosłyby bynajmniej wstydu najpiękniejszym miastom Europy.

Tego dnia oba miasta odświętną przybrały postać. Na wszystkich domach powiewały chorągwie, ozdobione tu i ówdzie wieńcami z kwiatów i zieleni. Zaledwie wjechał na terytoryum Szanowa, gdy fale muzykalnych dźwięków słuch mój uderzyły. Po chwili z sąsiedniej ulicy wyłonił się uroczysty pochód. W powietrzu, z dźwiękami wojskowej orkiestry łączył się szmer niezliczonych chorągwi rozmaitych korporacyj i cechów. Co przewodniczyło temu pochodowi, tego się czytelnicy z pewnością nie domyślą. Oto niesiono transparent, na którym było wymalowane olejno pewne nieestetyczne zwierzę, z ryjem dumnie podniesionym w górę, stojące nad źródłem, z którego wydobywała się para, pod spodem zaś mieścił się napis:

Teplitz hätte nicht die Ehre,
Wenn ich nicht gewesen wäre!

Zapytuję jednego z przechodniów, co to ma znaczyć, i dowiaduję się, iż to jest obchód na pamiątkę odkrycia źródeł. Podług podania, utrzymującego się dotychczas, za panowania księcia czeskiego Nezamyśla około r. 762 właścicielem Teplic, wówczas nędznej jeszcze wioski, był niejaki Kolostug. Pewnego dnia wieprze jego natrafiły przypadkiem na ciepłe źródła i wkrótce w pobliżu tego miejsca powstała dość znaczna osada, której mieszkańcy mogli korzystać z mi-

neralnych kapieli, nie płacąc taksy kuracyjnej¹. Późniejsze dzieje miasteczka o Teplicach aż do r. 1156, w którym Judyta, żona Władysława II., założyła w tej osadzie klasztor Benedyktynek i hojnie go uposażyła. Około roku 1200 przybyła do północnych Czech znaczna ilość niemieckich wychodźców i pewien ich kontyngens osiedlił się w Teplicach. Za rządów króla Ottokara II., to jest około r. 1278, już Teplice za miasto były uważane, w dokumencie zaś z r. 1365, przełożona Benedyktynek zowie je wyraźnie *nostra civitas*².

Wiek XIV. był dla miast czeskich epoką najpomyślniejszego rozwoju. Przemysł i handel kwitnęły, dobrobyt mieszkańców wzrastał, gdy nagle na początku następnego stulecia krwawe wojny husyckie zniszczyły w przeciągu lat 17 (1419—1436) dzieło całych dwóch wieków.

W czerwcu r. 1431 husyci podpalili Teplice, chociaż miasto najmniejszego nie stawiało oporu, klasztor zaś dobrowolnie otworzył im bramy. Wkrótce potem Bilin, Duchów, Osek i kilka innych miast sąsiednich stało się pastwą płomieni, a po bitwie pod Ustiem dnia 16 czerwca 1436 r., husyci powtórnie uderzyli na Teplice i klasztor zrównali z ziemią tak, że tylko opasujące go mury pozostały. Odtąd miasto przeszło na własność jednego z najzagorzalszych sekciarzy, Jakuba Wrzesowica. Po obiorze Jerzego Podjebrada na króla czeskiego w r. 1458, znajdujemy Teplice w posiadaniu żony jego Joanny z Rożmitalu, która się zajęła gorliwie odbudowaniem miasta i zaludnieniem go przez Czechów. Od niej też w r. 1467 otrzymało ono pierwszy przywilej królewski³.

Nie długo jednak Teplice cieszyły się spokojem. Rozruchy, z reformacyi wynikłe, ściągnęły na nie mnóstwo nieszczęść i do ostatecznej niemal doprowadziły ruiny. Ówczesny właściciel tego miasta z przyległościami, Wilhelm Kinsky, został w r. 1633 wraz z Wallensteinem zamordowany w Chebie (Eger), a dnia 29 lipca roku następnego Teplice wpadły w ręce Szwedów, którzy złupili do szczytu parafialny kościół i zamek. Znaczna ilość mieszkańców ukryła się w lasach i po większej części wymarła z głodu. Wkrótce potem cesarz w nagrodę zasług odniesionych na polu walki darował Teplice Janowi hrabiemu von Aldringen, który poległ niebawem pod Landshutem w bitwie ze Szwedami. Spad-

¹ Schaller, *Topographie des Königreiches Böhmen*. 1787. V. Theil, str. 101.

² Dr. Hallwich, *Geschichte Böhmens*, str. 37.

³ Dr. Schlesinger, *Geschichte Böhmens*, str. 216.

kobierczyni jego Anna zaślubiła w roku 1637 Hieronima Clary, którego potomkowie otrzymali później tytuł książąt Clary-Aldringen, i od tam Teplice pozostają w rękach tej rodziny.

Zdawało się, że po objęciu Teplic przez nowych właścicieli, mieszkańcy ich wolniejszą odetchną piersią. Oczekiwania te jednak nierzadko się sprawdziły. W r. 1635 wojsko cesarskie spustoszyło w tem mieście wszystko, co uszło rąk Szwedów, szkody zaś przez nie wyrządzone wynosiły 20.000 fl., to jest ogromną na owe czasy kwotę. W tym okresie trwogi i nędzy przybyła do Teplic misya OO. Jezuitów, aby przynajmniej uratować dusze biednej ludności, ogołoconej z całego ziemskiego mienia. W parę lat później Szwedzi pod dowództwem Banner'a powtórnie spustoszyli Teplice, a po bitwie pod Breitenfeldem w r. 1642 wojsko cesarskie dokonało dzieła zniszczenia. W r. 1655 miasto to, nawpół zniszczone i całkowicie zubożone, liczyło zaledwie 500 mieszkańców katolików i 230 żydów¹.

Wreszcie po kilkudziesięciu latach jaśniejsza dla Teplic zabłysła gwiazda. Niektórzy właściciele miasta ozdobili je okazałemi łazienkami i gmachami, oraz w najrozmaitszy sposób starali mu się dopomóc do jak najszybszego odrodzenia się i rozwoju. Dzięki tym usiłowaniom Teplice niebawem dźwignęły się z upadku, głównem zaś źródłem ich dobrobytu, obok dość ożywionego przemysłu i handlu, stały się mineralne wody.

Ciepłe teplickie źródła, o temperaturze 29,5—39° R., czyli tak zwane akrototermie, nasycone przeważnie kwasem siarczanym, oraz przeróżnemi kombinacyami kwasu węglowego, oddziałują cudownie niemal na cierpienia artrytyczne, reumatyczne, podagryczne, i z tego względu sława ich jest najzupełniej zasłużona. Mogłyby też istotnie stać się dla mieszkańców Teplic złotodajną krynica, gdyby były należycie wyzyskane i ochraniane, ale, niestety, tak nie jest. Śmieją się Niemcy z naszej *polnische Wirtschaft*, a jednak przypatrzwszy się lepiej ich własnej gospodarce, dochodzi się do przekonania, że i ona tylko z daleka ponętnie się przedstawia, z bliska zaś wygląda o wiele gorzej.

W Teplicach wraz z Szanowem liczą obecnie sześć łazienek, których budowa i umeblowanie kosztowały kilka milionów złotych reń. Na koszt te oba miasta musiały zaciągnąć pożyczki, a nadto ciąży na nich 300.000 zfr. rocznego podatku. Wszystkie te wydatki, jak również

¹ Dr. Hallwich, *Geschichte Böhmens*, str. 360, 361 i 376.

utrzymanie licznej służby łaźniakowej, musi pokryć taksa kuracyjna, która corocznie traci na swej objętości. Z powodu coraz liczniejszych fabryk i kopalń w okolicach Teplic, atmosfera przesiąkała najzupełniej dymem, powietrze coraz bardziej staje się mgliste, a w miarę obniżenia się zdrowotności tego miasta, zmniejsza się też ilość kuracjuszków. Tak na przykład, gdy w r. 1879 przybyło do Teplic na sezon kąpielowy 7012 rodzin, w r. 1887 było ich zaledwie 4990, i z każdym rokiem ilość ta się zniża. Nie dziw też, że nad gminami teplicką i szanowską deficyt wisi ciągle, jak miecz Damoklesa. Stosunki prywatne nie o wiele są lepsze. Oba miasta posiadają przeszło 200 *kurhausów*, to jest domów z mieszkaniami dla gości kąpielowych. Wartość każdego z nich wynosi przeciętnie 10.000 złr., każdy zaś — jak to wiem z wiarogodnego źródła — ma przynajmniej 7000 długu.

Zresztą od lat kilku grozi Teplicom straszna katastrofa, to jest zupełne wyschnięcie źródeł mineralnych. Cała niemal dolina Bilska, na której leży to miasto, podminowana jest przez kopalnie węgla. Wprawdzie oznaczono pewien teren ochronny, poza który górnikom nie wolno przekraczać, ale właściciele kopalń nie bardzo się troszczą o jego nietykalność, policya zaś górnicza nader niedbałą wykonywa kontrolę. Dlatego też w r. 1879 w kopalniach Dollinger'a pomiędzy Teplicami a Duchowem (Dux) woda przedarła się do szybu Wiktorya, w którym straciło życie 23 górników, a chociaż postarano się zatkać tę szczelinę, poziom jednak źródeł obniżył się o 40 do 50 metrów. Przedtem woda ciepła wypływała sama na powierzchnię gruntu, teraz zaś muszą ją pompować do łaźniak, co kosztuje rocznie 20.000 złr. Po tej katastrofie komisya górnicza orzekła, iż nie należy przebijać wału ochronnego z porfiru, bo w takim razie woda zaleje kopalnię. Nie usłuchano wszakże tej rady, przewiercono porfir, a chociaż znaleziono węgiel, ale i woda zaczęła się sączyć. Najprzód ją pompowano, potem starano się zatamować, stawiając ścianę z cementu, wszystko to jednak napróżno. Kopalnię zalało, a poziom wód teplickich jeszcze bardziej się obniżył. Nadto na przestrzeni jednej mili kwadratowej od Teplic aż do Oseku wszystkie źródła wody słodkiej wyschły w tej katastrofie.

W samem sercu Teplic, na głównym miejskim placu, wznosi się kościół parafialny, zewnątrz ubogi i nieładny, wewnątrz dość piękny, chociaż niezbyt wielki. Sąsiednia kaplica zamkowa, podobnie jak kościół św. Elżbiety w Szanowie, odznacza się niezwykłą prostotą i brakiem wszelkich ozdób. Odnosi się stamtąd wrażenie pewnego chłodu, obojętności, czegoś, co protestantyzmem trąci, bo wszak duch katolicki

dąży zawsze do jak najwspanialszego przyozdobienia Bożego przybytku. Nadto w Teplicach znajduje się jeszcze kościółek Sióstr Miłosierdzia, lecz prawie zawsze zamknięty.

Za kaplicą i tak zwanym, choć na tę nazwę niezasługującym, zamkiem, ciągnie się ogród księcia Clary, otwarty dla kuracuszów. Ogród ten, oświetlony starymi drzewami i upstrzony gdzieś kłombami kwiatów, byłby wcale przyjemnem miejscem do przechadzki, gdyby nie wilgoć, jaka w nim panuje. Wielką jego ozdobę stanowią dwie sadzawki, po których pływają białe i czarne łabędzie. Pewnego dnia nad brzegiem jednej z nich spotkałem jakąś rosyjską rodzinę, złożoną z ojca, matki i dorosłej już prawie córki w czerwonej męskiej czapce. Całe to grono przypatrywało się ciekawie łabędom, które wyciągały szyję, oczekując pożywienia, ojciec zaś zawołał:

— *Wot kakaja prekrásnaja paròda ùtok! W Rusii-to takich niet!*¹

— *Da rázwie èto ùtki?* — zaprzeczyła żona — *mnie kàžètsa, szto aisty*².

— *Kak tiebiè nie stýjno, Màsza, nie uznàt' dàžè ùtok*³ — wygłosił małżonek tonem apodyktycznym, nie znoszącym opozycji.

— *Pasmatri, papàsza, kakija asòbiennijja gruszy*⁴ — przerwała spór rodzicielski córka, wskazując ogromne orzechy, rosnące w pobliżu i pokryte zielonemi owocami.

— *Niet, eto nie gruszy, u nich sawsièm drugija lišt'ja, no prawo nie znaju, szto eto takaje*⁵.

Rozmowa powyższa jest autentyczną, a nawet mógłbym przytoczyć nazwisko tej rodziny, z którą potem dość często się spotykałem. Nazajutrz nawet zeszliśmy się razem u zdrojowego lekarza i tam byłem mimowolnym świadkiem również zabawnej sceny.

— *Majà Katia zabalèta*⁶ — odzywa się matka.

Panna niziutko się kłania.

— *Gorło jejò balit*⁷ — ciągnie dalej jejmość.

Nowy ukłon ze strony panny.

¹ Co za prześliczny gatunek kaczek! w Rosyi takich niema!

² Alboż to kaczkę, mnie się zdaje, że bociany.

³ Jakże ci nie wstyd, Maniu, nie rozpoznać nawet kaczek.

⁴ Patrz, ojczy, co za niepospolite gruszki.

⁵ Nie, to nie gruszki, bo mają zupełnie odrębne liście, ale co to takiego, tego doprawdy nie wiem.

⁶ Moja Kasia zachorowała.

⁷ Gardło ją boli.

— *Ja apasataś, szto by anà nie pałuczyla waspalenija*¹.

Panna dyga znowu, i tak ciągle za każdym słowem mamy.

Wogóle Rosyanie na sezonie teplickim w niezbyt korzystnem przedstawiają się świetle. Pozowanie na wielkich panów i arogancya, mająca zastąpić arystokratyczną dystynkcyę, czynią ich prawdziwie śmiesznymi. Dla Tepliczan jednak, jako ludzie bogaci, są oni *persona grata*, dlatego Niemcy, szydząc z nich ukradkiem, starają się w najrozmaitszy sposób pozyskać ich względy, choćby nawet napisami na szyldach: *Zdieś gawarjåt pa ruski* (tu mówią po rosyjsku).

Z wyjątkiem kilku ładnych łazienek, wcale okazałego teatru i góry Königshöhe z pięknym pałacem, oraz monumentem króla pruskiego Wilhelma, Teplice niczem wybitniejszym poszczycić się nie mogą. Jest to miasteczko ze wszystkimi zaletami, wadami i pretensjami miast wielkich w miniaturowem naśladowaniu. Nie braknie tam nawet wązkich, obrzydliwych uliczek, zamieszkałych wyłącznie przez ludność semicką. Wszedłszy na nie, zdaje się mimowoli, żeśmy zostali przeniesieni na Kazimierz krakowski; też same brudy, tenże sam zgiełk i szwargot, brak tylko sobolowych czapek i atlasowych chałatów.

Przeszłość Żydów, osiadłych w Teplicach, niewielki przynosi im zaszczyt. Osiedlenie się ich w Czechach datuje niemal od chwili pierwotnego założenia miast czeskich, i z początku nawet królowie otaczali ich swoją opieką. Dzięki ogromnym kapitałom, jakimi rozporządzali i których w każdym wypadku dostarczali monarchom, Żydzi zdobyli sobie wiele przywilejów, jak np. prawo pobierania podwójnych procentów w stosunku do tych, jakie otrzymywać mogli chrześcijanie, to jest 20% od sta. Wkrótce jednak różnorodne oszustwa i nadużycia uczyniły ich tak nienawistnymi dla chrześcijańskiej ludności, że w r. 1541 mieszkańcy Lutomerzyc i Žatca (Saaz) wypędzili Żydów ze swych miast i zrabowali ich domy, Pilzno zaś i Budziejowice zyskały sobie przywilej, wzbraniający Żydom osiedlać się w tych grodach².

Jednakże potomkowie Izraela potrafili dać sobie radę, i za pośrednictwem szlachty, siedzącej po większej części w ich kieszeniach, odzyskali stopniowo utracone swobody. Pozwolono im więc wrócić do miast pod warunkiem noszenia płaszczy kobiecych z kawałkiem żółtego sukna, naszytym na lewej stronie, aby na pierwszy rzut oka można ich było odróżnić od chrześcijan. Ustawa ta została potwierdzoną przez

¹ Bałam się, aby nie dostała zapalenia.

² Dr. Czepelak, *Teplitz — einst und jetzt*. Rozdz. VII. 1891.

cesarza Ferdynanda III. dnia 1 stycznia 1618 roku, i odtąd Żydzi z nadzwyczajną szybkością zaczęli mnożyć się w Czechach¹.

Niejednokrotne prześladowanie nie zdołało wszakże poprawić semickiej ludności, która mieszkańcom Teplic tak dalece dała się we znaki, że w r. 1667 zanieśli petycję do cesarza, prosząc o wydalenie Żydów z tego miasta, ponieważ „skupili oni w swem ręku cały handel, a wyzyskiwaniem i lichwą doprowadzili wielu obywateli do żebraczego kija, tak, że jeżeli dłużej będą cierpieni, to Teplice, już i tak zubożone przez wojny, zupełnej ulegną ruinie“. Prośba Tepliczan została spełnioną, i dnia 5 kwietnia 1668 roku² wydano przemocą z miasta 21 żydowskich rodzin, złożonych ze 124 osób. Takież sam proceder powtórzył się w październiku tegoż roku, Żydzi bowiem w większej niż poprzednio ilości rozgościli się znowu w Teplicach. Ośmiu zaledwie żydowskim rodzinom pozwolono pozostać w mieście pod warunkiem zamieszkiwania wyłącznie przeznaczonej dla siebie ulicy (Judengasse) i niewydalania się z niej ani na krok w dnie świąt chrześcijańskich. Jako zewnętrzną oznakę musieli Żydzi nosić na szyi szerokie płócienne krezy. Że antysemicka ta reakcja nie na wiele się zdała, o tem przekonywał spis ludności z r. 1680, w którym już 25 rodzin żydowskich, złożonych ze 154 głów, zamieszkiwało Teplice.

W sześćdziesiąt pięć lat później wyszedł edykt Maryi Teresy, nakazujący wszystkim bez wyjątku Żydom opuścić Czechy do dnia 31 lipca 1745 r. Edykt ten jednak wkrótce cofnięto, i obłożono ich tylko dość znacznym podatkiem, oraz kazano nosić długie brody i żółte łaty na sukniach. Niebawem cesarz Józef II. uwolnił ich i od tego obowiązku, odtąd też Żydzi zaczęli w miastach czeskich coraz większą zdobywać przewagę³.

Oprócz Żydów, stanowiących wcale pokątną część ludności, Teplice zamieszkiwane są głównie przez Niemców. Czesi niezbyt są liczni, a i ci nawet, którzy tam mieszkają, wstydzą się rodowitego języka i chcą uchodzić za Niemców. Smutny ten objaw niejednokrotnie miałem sposobność zauważyć. Są wprawdzie w tej mierze wyjątki, ale, niestety, niemal wyłącznie w klasach pracujących, wśród inteligencji zaś czeskiej niezmiernie rzadko się zdarzają. Zastrzegam się jednak, że

¹ Dr. Schlesinger, *Geschichte Böhmens*.

² Dr. Hallwich, *Geschichte Böhmens*, str. 412.

³ Dr. Czepelak, *Teplitz — einst und jetzt*. Rozdz. VII., 1891 — i Dr. Hallwich, *Gesch. Böhmens*, str. 412.

stosuje się to niemal wyłącznie do Teplic, w innych bowiem zakątkach północnych Czech nieco lepiej się dzieje. Zresztą Teplice nie tylko zupełnie niemiecki noszą charakter, ale nawet zdradzają daleko silniejsze ciążenie ku Prusom, niż ku Austrii. Dzienniki miejscowe, redagowane przeważnie przez przybyszów z Niemiec, niekiedy w zupełnie protestanckim duchu, troszczą się daleko bardziej o Berlin, niż o Wiedeń. Ukochanym przez Teplice bohaterem jest Fryderyk Wilhelm, który nader często gościł w tem mieście i po którym tam wiele pozostało pamiątek.

Mówiąc o ludności Teplic, nie możemy pominąć milczeniem, iż znaleźliśmy tam także kilka rodzin emigrantów polskich, od lat kilkudziesięciu już osiadłych. Jedne z nich są więcej, drugie mniej zamożne; w pierwszych język i zwyczaje narodowe dotychczas się przechowują, w drugich zaś, chociaż pokolenie młodsze nie mówi już biegle po polsku, rozumie jednak mowę ojczystą i poczuwa się do polskiego pochodzenia.

Zbytecznem byłoby mówić, że wszystkie nazwy w tem mieście są niemieckie; *Stephanshöhe, Königshöhe, Kaiserbad, Schlangenbad* i rozmaite *gassy* ciągle objają się o uszy. Natychmiast poza Teplicami postać rzeczy się zmienia, coraz częściej dają się słyszeć nazwiska całkowicie słowiańskie, jak: Prasedica, Cwetnica i t. p. W ostatniej z tych wsi dotąd jeszcze pokazują kupę kamieni, na której podczas zarazy w r. 1681 Tepliczanie składali jałmużny dla dotkniętych nią czeskich wieśniaków.

Ulubionym celem przechadzek kuracyuszów jest *Doubrawska Hora*, do której napróżno Niemcy starają się przyczepić miano *Schlossbergu*. U podnóża tej góry, niezbyt wysokiej, bo zaledwie 390 metrów dochodzącej, rozciągają się plantacye drzew orzechowych (*Juglans regia*), stoki jej zaś zielenią się pięknym lasem, któremu nazwę swą zawdzięcza. Wreszcie na samym szczycie las się przerzedza, a z pomiędzy drzew wyłaniają się ruiny zamku. Zamek ten został zbudowany na początku XIV. w., lecz w sto lat później husyci obrócili go w perzynę. Wkrótce potem Dubrawska Hora dostała się w ręce Wrzesowiców, a w roku 1536 wcielono ją do obrębu Teplic, których odtąd dzieliła losy. Jeden z późniejszych właścicieli, Wilhelm Kinsky, odrestaurował zamek w stylu gotyckim i założył przy nim bogaty zwierzyniec, ale niebawem wojna trzydziestoletnia przeszła przez kraj cały jak nawałnica, niszcząc wszystko, co spotkała na drodze. I dubrawski zamek, zajmowany kolejno przez wojska szwedzkie lub cesarskie, wiele

podówczas ucierpiał, a w r. 1655 całkowicie niemal został zniszczony. Dopiero przed kilkunastu laty jakiś przemysłowiec odnowił jedno skrzydło, założył w niem restaurację, basztę zaś zamienił na wieżę obserwacyjną, czyli t. zw. *Aussichtsturm*. Na obszernym zamkowym dziedzińcu, gdzie dawniej może odbywały się rycerskie turnieje, dziś wśród mnóstwa krzeseł i stolików uwijają się wyfrakowani kelnerzy. Tu gromada turystów raczy się piwem, tam rozchodzi się zapach kawy, gdzieindziej znowu jakiś fotograf-dyletant stara się uchwycić na płytę choć kawałek krajobrazu, który rzeczywiście jest przepysznym.

Piękność okolicy i interes spekulanta, to, zdaje się, dwie zupełnie odrębne rzeczy, najmniejszego ze sobą nie mające związku. A jednak pomysłowy Niemiec potrafił wybornie zużytkować pierwszą na korzyść drugiego. U wejścia do restauracji sprzedają się bilety, nie drogie wprawdzie, bo dziesięciocentowe, uzbroiwszy się zaś w nie, zdobywa się prawo wejścia na szczyt wieży. Wieża ta zawiera niewielki pokój, ze wszech stron oszklony, w pośrodku zaś stoi ogromna luneta, strzeżona przez również ogromnego Argusa, który wskazując kolejno obecnym rysując się w oddali szczyty, recytuje jak żak przed nauczycielem:

— *Geltschberg, Schneeberg, Borschen, Mileschauer, Keilberg, Jungfernstein* i t. p.

Ciekawi podróżni, a zwłaszcza panie, zarzucają go pytaniami o poszczególne nazwy rozmaitych gór i miasteczek, ale biedny, niepowołany zastępca Baedeker'a nie może się z tem jakoś połapać, radzi więc sobie, jak umie, rozpoczynając na nowo swoją tyradę:

— *Geltschberg, Schneeberg* i t. d.

Takie obserwacyjne wieże, dzięki utworzonemu od lat kilku stowarzyszeniu górskiemu, spotykają się obecnie w górach na każdym wynioślejszym szczycie. W Teplicach projektują zbudować wieżę całą z żelaza w stylu *à la Eiffel*, na górze Stephanshöhe, gdzie jakoby niegdyś jakaś ludzka wznosiła się siedziba. Tepliczanie utrzymują, że tam się błąka duch ostatniej właścicielki dawnej osady, skazany na tułactwo dopóty, dopóki na tem miejscu nowy nie stanie budynek. Pokuta jej rychło się już skończy, bo najdalej za lat parę ma stanąć projektowana wieża. Dobrze, iż z wodociągami krakowskimi lub pomnikiem Mickiewicza nie łączy się żadna podobna historia, bo wówczas biedna pokutująca dusza długoby musiała czekać swego wyzwolenia.

Z Teplic wyjechałem do Oseku (Osseg) w towarzystwie pewnej polskiej rodziny, przybyłej z Królestwa. Po dwóch godzinach jazdy

w wagonie stajemy u celu. Ale od dworca do miasteczka spory jeszcze kawał, a w dodatku droga rozchodzi się w dwóch kierunkach przeciwnych, jedna do miasteczka Osek, druga do Duchowa (Dux). Nadmiar nieszczęścia słup przydrożny znajduje się jeszcze *en voie de construction*. Kroczymy więc na chybił-trafił, zakurzeni, spoceni, źli. Wreszcie spotykamy jakiegoś chłopaka o sympatycznej powierzchowności i zapytujemy o drogę po niemiecku:

— *Ne rozumi nemecki* — odpowiada zagadnięty.

Wówczas jeden z nas powtórzył zapytanie po polsku i rozmowa poszła dość gładko, a poczciwy Czech ofiarował się nawet doprowadzić nas do opactwa Cystersów, głównego celu naszej wycieczki.

— Czy to już klasztor? — zapytuje jedna z pań, spostrzegłszy rozległe jakieś mury.

— *Ano, ano, slečno* — była odpowiedź.

Panna zarumieniła się jak wiśnia i szepnęła swej matce:

— Czy słyszałaś, mamó, nazwał mię śliczną.

Jakże się rozczarowała biedaczka, dowiedziawszy się potem, że *slečna* oznacza pannę.

Lecz oto i kościół cysterski, ogromna, wspaniała świątynia, której jak wewnątrz, tak zewnątrz nawet najbardziej wybredny znawca architektury kościelnej nie miałby chyba nic do zarzucenia. Wysoka żelazna krata, ponad nią zaś prześliczna gipsowa firanka, dzielą kościół na dwie połowy. O ogromie jego świadczy najlepiej to, że organy na trzech chórach, głównym i dwóch bocznych, mogą grać jednocześnie, nie przeszkadzając sobie wcale. Prześliczne freski, nadzwyczaj kunsztownie rzeźbione stalle i ławki z orzechowego drzewa, które kosztowały dziesięć lat pracy jednego zakonnego braciszka, oraz wspaniałe marmurowe nagrobki fundatorów świątyni, przykuwają do siebie uwagę. Kościół ten wraz z klasztorem został założony w 1191, dlatego też pod przewodnictwem lutomerzyckiego biskupa obchodzono tam właśnie nader uroczyście siedmsetletnią rocznicę jego istnienia.

W samem opactwie mieści się bogata biblioteka, zawierająca między innymi wiele cennych rękopisów i cały prawie księgozbiór pojezuicki z Chomutowa (Komotau), jak również galeria obrazów, w której głównie są reprezentowane szkoły włoska i flamandzka. Wreszcie poza opactwem ciągnie się przepyszny ogród z wodotryskami, posągami satyrów, hippokampów i innych mitologicznych postaci; słowem, Osek to prawdziwie książęca rezydencya.

Na stacyi Riesenburg, leżącej poza miasteczkiem u podnóża ogromnej góry Strobnicy, powierzam się znowu skrzydłom pary, które mię mają unieść do Saksonii. Przed oczyma przesuwiają się jak w kalejdoskopie mury miejskie i klasztorne, tor kolejowy coraz wyżej się podnosi, i niebawem u stóp naszych rozściela się wcale wesoła, choć smutną nazwę nosząca miejscina Hroby (Klostergrab). Łączy się z nią wiele wspomnień dziejowych, nieraz bowiem podczas wojen domowych mury jej krwią się zbraczały. Pierwszy w całych Czechach protestancki dom modlitwy, wzniesiony w tem mieście, stał się przyczyną wyrzucenia rajców z okien praskiego magistratu, a następnie wojny trzydziestoletniej¹. Od Hrobów aż do stacyi Dubowa (Eichwald) jedziemy wśród pięknego świerkowego lasu, za Dubowem zaś tor kolejowy ciągnie się po stoku górkim amfiteatralnie, że się tak wyrazimy, a lokomotywa, która dotychczas kroczyła jako straż przednia, popycha pociąg przed sobą i całą siłą pary winduje go w górę. Mijamy Mikułów (Niklasberg), leżący w przecudownej okolicy, w Hirschbergu przebiegamy tunel na 300 metrów długi, i zbliżamy się do Mołdawy, ostatniej czeskiej pogranicznej placówki od strony Saksonii. Jeszcze jeden rzut oka na Bilską dolinę, przerzniętą srebrzystą siecią Bili i jej dopływów, przetykaną tu i ówdzie, jak drogiemi kamieniami, błyszczącemi wieżyczkami świątyń — i żegnajcie mi, piękne Czechy, żegnaj, bratnia ziemię Kroków, Przemysławów, Wacławów!

Tytus Sopotzko.

¹ W. Krondorf, *Bilder aus dem nördlichen Böhmen*. Aussig 1886. N. T.-Z., str. 137.

Po sprawie Medweya.

Publikowanie w gazetach procesów skandalicznych jest z natury rzeczy publicznym skandalem.

Skandalicznymi są w pewnej mierze wszystkie procesa kryminalne, bo we wszystkich zbrodni roztacza się w całej swej nagości, ohydnej, a jednak tajemniczo pociągającej, budzącej jakieś echa w ciemnych zakątkach natury ludzkiej; odsłaniają się wszystkie jej pobudki, środki, fortele, walki, nieraz dramatyczne, z przeszkodami, jakie nagromadziło społeczeństwo dla obrony porządku. Trzeba widzieć po więzieniach, kiedy dochodzi gazeta z opisem głośnego procesu, z jaką gorączkową chciwością rzucają się na nią tameczni goście; z jakim znawstwem i powagą weterani zbrodni oceniają, krytykują środki przez zbrodniarza użyte, pomyłki wytykają; i z jaką ciekawością wytrzeszczają oczy i słuchają młodzi. A czy tylko po więzieniach, u skończonych zbrodniarzy ten oddźwięk się objawia? Najpoważniejsi kryminaliści, którzy genezę zbrodni na podstawie wieloletnich osobistych obserwacji badali, jak Joly, Haussonville i inni, twierdzą, że znaczna większość dzisiejszych zbrodniarzy nie skądinąd tylko ze sprawozdań sądowych gazet nabrała najpierw pociągu, potem nauki zbrodni. I kto wie, czy to dziwne, a jednak w wielu krajach skonstatowane zjawisko: że w miarę rozpowszechniania szkół ludowych, liczba zbrodni rosła, i to drugie: że poczet zbrodniarzy rekrutuje się w większej stosunkowo liczbie z umiejących czytać, aniżeli z nieumiejących — kto wie, mówię, czy te zjawiska nie stoją w związku z czytaniem sprawozdań sądowych po gazetach?

Jeszcze bardziej skandalicznymi od innych są procesy w sprawach niemoralnych, bo kontakt z temi występkami jeszcze bardziej od innych jest zakaźny. Wywlekają się przytem najskrytsze tajniki rodzin, ciekawe oczy publiczności lustrują wszystkie zakątki domów — i nawet serc — i to nie samych winowajców, ale osób wolnych od winy, jedynie pokrewieństwem lub przypadkowym zbiciem okoliczności do sprawy przyplątanych; szarga się po ulicy godność kobiety, świętość małżeństwa... Ile bólów, ile krzywd i szkód niepowetowanych zadaje ten brutalny proceder osobom najniewinniejszym, któż policzy! Tortury w wiekach średnich nie zadawano, jak tylko osobom o zbro-

dnież silnie podejrzanym. A pamiętać trzeba, że publiczność, wobec której to wszystko się wywleka i roztacza, to nie grono dojrzałych ludzi; ale wszystko co czyta lub słucha czytania gazet w całym kraju, wszystko co się gromadzi w kawiarniach i szynkach — i sługi co przeglądają dzienniki w przedpokojach, i panienki i dzieci co je znajdują w salonach. Zwłaszcza kiedy jest jakiś głośny proces, kto o nim nie wie?

A po co to wszystko? Czy to jest *malum necessarium*? Czy może opinia publiczna powołana jest do wpływania na zdanie sędziów? Ale przeciwnie, prawo usiłuje sędziów od tego wpływu uwolnić, i dlatego zabrania dziennikom sprawy przesądzać. Czy może tego skandalu potrzeba, aby sądy przysięgłych nie były tajnymi? Ale i tracenie zbrodniarzy tajemnym być nie powinno; do niedawna zdawało się, że z tego powodu musi się odbywać na placu publicznym, wobec tłumów; dzisiaj odbywa się ono w podwórzu więziennym, przy bardzo ograniczonej liczbie świadków. Dlaczegoż i sądy wogóle nie mogłyby się odbywać przy również ograniczonej liczbie słuchaczy, i dlaczegoż nie wzbronąć prasie roznoszenia po kraju tej strawy pieprznej a niezdrowej i często trującej? Interes moralności publicznej tego żąda, kryminalistyka dosyć naukowej podstawy do takiego zakazu dostarcza. Powinniśmy więc dążyć na legalnej drodze do ustawodawstwa w tym kierunku, a tymczasem przewodniczący sądów powinnyby korzystać w jak najszerszej mierze z prawa ogłaszania tajności rozpraw, jakie im dzisiejsza ustawa przyznaje.

Niema jednakże złego na świecie, coby nie miało w pewnych razach jakichś dobrych skutków. Sprawa Medweya, która w ciągu ubiegłego miesiąca tak żywo opinię kraju zajęła, ma niewątpliwie też dodatnią i moralną stronę.

Kiedy ta sprawa wytaczać się poczęła w dziennikach, drżałem z obawy, żeby opinia naszego kraju nie dała się porwać tym prądom idącym z Francyi i Włoch, a odbijającym się i w naszej literaturze — według których wszelkie występki przeciwko obyczajom, a zwłaszcza przeciw świętości małżeństwa, z góry są uniewinnione, zapomocą osobliwej teorii o wolności uczuć, o względności i zmienności praw moralnych — takiej mniej więcej, jaką p. Grek sformułował w swej obronie. Bałem się, żeby opinia wiedziona sofizmatami, nie zapaliła się do bohaterów tej smutnej tragedji życiowej. Szczęściem inaczej się stało. Jest to pocieszający dowód, że jasne zasady moralne, jakie w naszym spo-

leczeństwie zaszczerpił chrystyanizm, tkwią w jego gruncie, mimo przeciwnych, czasem pozorów. Opinia kraju potępiła tego człowieka; prasa różnych odcieni jednomyślną była w piętnowaniu jego niecných postępów (*Kuryera Lwowskiego* przecież do prasy polskiej nie zaliczymy); głosy, jakie się słyszało w kołach towarzyskich, w ogromnej większości oburzenie wyrażały. Sąd ten opinii tak był widoczny, że i Prokurator się nań powołał, żeby przysięgłych pociągnąć, i obrońca go przytoczył, żeby ich rozczulić, aby nie zgnębiali do reszty człowieka, którego potępienie opinii kraju już ukarało. Karnawałowy korowód, jaki mu wrękom „panie“ lwowskie wyprawiły, wywołał tylko gorący „protest Polek“, pełen szlachetnego oburzenia; a w rzeczy samej więcej zasługiwał na uśmiech, niż na protest, bo „panie“ tak pojmujące godność kobiecą, uprawniając do przypuszczenia, że chyba do niecałego świata należą.

Pan Prokurator zasłużył się społeczeństwu, wnosząc to oskarżenie, wbrew panującym przesądom, w obronie małżeństwa i przeciwko pojedynkowi. Nie zapuścił się on może dosyć głęboko, do dna tego gniazda przewrotności, — z przyczyn nam niewiadomych — ale w tem co wytoczył i w całym sposobie prowadzenia sprawy, nietylko wielki talent okazał, co powszechnie prasa uznała, ale stanął prawdziwie na wyżynie obrońcy moralności, najwyższego dobra społecznego. Przyklasnęliśmy mu, gdy surowo skarcił owacę owych „pań“; przyklasnęliśmy mu, gdy napiętnował oratorską sztukę p. Greka. Choć przegrał — i może przewidywał, że przegra — odniósł on moralny tryumf, i cześć moralnego porządku w społeczeństwie podniósł.

Inna jeszcze moralna lekcyja z tego procesu wypłynęła — z przykładu pani Brodzkiej. Młoda kobieta, wychowana od dzieciństwa bez Boga i wiary, nie znajduje w chwili potrzeby tej siły odpornej, tej jasności sumienia, jaką przywykliśmy u Polek inaczej wychowanych znajdować. Mały doprawdy kamyk wystarcza, aby ją z drogi obowiązku wykoleić. Zaczem skandal publiczny, i śmierć zacnego męża, na jej sumieniu kamieniem ciężająca. Rodzice jej, na których sędziwe głowy pada to nieszczęście, przypisać je muszą swemu dziełu wychowania. — Ale ta sama kobieta, zamknięta na chwilę w celi klasztornej, odnajduje Boga, i od razu przejmując się taką skrucą, takim zrozumieniem niegodziwości swego postępowania, że gdy ją potem stawiają przed sądem, nic innego wypowiedzieć nie może, tylko krystaliczną prawdę i skruszone uznanie swych win... I opinia kraju, która stanęła, jak widzieliśmy, po stronie zabitego, która potępiła cały ten spiszek przeciw

niemu uknowany — opinia tej kobiecie przebacza; chcąc niechcąc czuje, że łyzy Magdalenowe u stóp Chrystusa przelane, przeobraziły wewnętrznie tę istotę, więc ją oczyścili. Nie jestże to śliczny objaw wielkiej potrzeby i wielkiej dzielności wiary w sercu kobiecem?

Jest więc dobra strona w wyniku tego procesu.

Z drugiej strony ten wynik pokazuje, jak wiele jeszcze niedostaje naszym społecznym ustrojom, kiedy takie czyny jak Medweya bezkarnie ujść mogą. Nie sądzę na tem miejscu wyroku przysięgłych. Może też oni słusznie uwolnili Medweya od kary, podług pewnych praw, interpretowanych podług pewnych teoryj; ale sądzę te teorye i ich życiowe wyniki podług zdrowego rozsądku i wieczystych praw moralności — co niezawodnie do zakresu naszego pisma należy. Chłopiek przyciśnięty biedą ukradnie kilką złotych, i skazujemy go na więzienie, które nie tylko na razie ciężki mu cios zadaje, ale rujnuje jego przyszłość. A oto człowiek przewrotny, który napada szczęśliwą rodzinę i rabuje ją ze skarbów nieskończenie droższych niż pieniądź. Ma on do pomocy familijną szajkę, z którą spisek knowa. A do jakiegoż celu on dąży? Miłość w wyjawieniach rozprawy została wykluczona; zostaje tylko okropne przypuszczenie, że jedynym celem tych machinacyj jest pieniężny interes szajki. Stadło, intrygą rozerwane, czepia się rozpaczliwie wspomnień dawnego szczęścia i niewygasłej miłości, próbuje się zbliżyć, darować sobie... Ale demoniczna machinacya co je oplata, fatalnie przeszkadza. Medwey udaje miłość, o której mu się nie śniło; siostra jego z drugiej strony buntuje przeciwko myśli darowania urojonej obelgi; nawet stary ojciec pomaga w niecnym uczynku ukrywania cudzej żony. Biedna istota, jak sarna szczwana tą zgrają, wpada w matnię, gdzie traci honor i szczęście całego życia. Mąż nieszczęśliwy zagnany jest w sytuację, z której niema innego wyjścia po światowemu, tylko przez pojedynek. Medwey, obiecawszy nieszczęśliwej że męża nie zabije, machinuje, aby nie wyzwąć, ale być wyzwanym i wybrać rodzaj broni, w której jest mistrzem; a mając ostatni strzał w rękę, długo mierzy i kładzie swą ofiarę na miejscu. — I ten człowiek, uniewinniony przez sąd, idzie dalej w świat, mając prawo sądzić, że mu wolno dalej inne żony uwodzić i innych mężów zabijać...

Kto przecież winniejszyszy: czy ów chłopiek co ukradł, czy ten tu człowiek?

Dlaczegoż więc nad tamtym więzieniem się zamyka, tego wolno puszcza? Czy litera prawa jest podstawą takiego wyroku, czy moralna

ocena winy i krzywdy ludziom wyrządzonej? Co do tej oceny moralnej, nikt, sędzę, o tem nie wątpi, że wina uwolnionego ma się do winy skazanego, jak góra do ziarnka piasku — i zapewne żaden nawet z sędziów przysięgłych innego nie był zdania. Co się zaś tyczy litery prawa, rozumiem, że mogą być zbrodnie najohydniejsze, których prawa osiągnąć nie mogą; ale w tym przypadku, jak Prokurator na dłoni wykazał, litera paragrafów niewątpliwie potępiała Medweya, tak co do uwiedzenia jak co do pojedynku; obrońca nawet tego przeczyć nie próbował, tylko dowieść chciał, że wobec dzisiejszych pojęć moralnych te stare paragrafy literalnie stosowane być nie mogą.

Czemże więc są te „pojęcia moralne“, które ani z literą prawa ani z sumieniem społeczeństwa się nie zgadzają? gdzież one się nie mieszczą? Otóż są to po prostu wydzieliny przeróżnych teoryj filozoficznych, które w naszym wieku po sobie następowały: formalistycznej doktryny Kanta, i materyalizmu, liberalizmu szkoły francuskiej, i systemu państwowej omnipotencji Hegla. A choć te teorye wzajemnie się wykluczały, i dziś już żadna z nich afirmować się nie waży, jednak rozmaite z nich urywki, zwłaszcza etyczne i prawne wyobrażenia, pozostały w powietrzu, pomieszały się między sobą, i tworzą tę mgławicę, którą „nowszemi pojęciami etycznymi“ nazywają. Dostały się te nowsze pojęcia do lżejszej literatury, skąd je szersza publiczność bezmyślnie przyjmuje; dostały się i do książek prawniczych, gdzie autorowie dziwią się naiwnie trudności pogodzenia ich w logiczną całość; wkroczyły nawet w austriackie prawodawstwo w feralnych latach 1868 i 1873, i wprowadziły w nie taki zamęt, że dziś stoją obok siebie najsprzeczniesze paragrafy: według jednych karać należy, co według drugich trzeba pochwalać; i w rzeczy samej interpretując starsze według ducha nowszych, można całą etyczną stronę austriackiego prawodawstwa zamącić i obalić.

Rezultat tego całego zamętu jest taki, jaki być musiał: sceptycyzm w etyce, pojęcie całej moralności jako względnej — więc konwencyonalnej — więc żadnej. Pojęcie to mieści się w rozumach (*spekulative Vernunft*); w sumieniach zaś, gdzie doktryneryzm niełatwo dosięga, tkwi i pono tkwić będzie stara chrześcijańska moralność. I stąd możliwą jest ta sprzeczność, że chociaż wie się i czuje się doskonale, że uwodzić cudzą żonę jest występkiem, to jednak frazesy o dzisiejszem usamowolnieniu kobiety, o względności praw małżeńskich i t. p. zamącić mogą tę jasność; chociaż wie się doskonale, że człowiek, jak długo jest przytomny, jest odpowiedzialny, i że za żadną w świecie

cenę nieprawości dopuścić się nie powinien, jednak wzmianka o „przymusie moralnym“ tę pewność rozbroić może. Powstaje obawa, czy sądzenie podług sumienia i podług litery prawa nie skrzywdzi obwinionego wobec „nowszych pojęć etycznych“ — i nie przeczę, że ta obawa jest z tego punktu słuszną; stawiam sobie tylko pytanie: jaka też jest zbrodnia na kuli ziemskiej, któraby nie dała się uniewinnić według tych „nowszych etycznych pojęć“ — kiedy i sama zasada odpowiedzialności jest wobec tych pojęć zakwestyonowaną?

I pojedynek, chociaż nowością nie jest, ma przecież z powyższemi nowościami ten wspólny charakter, że ani z sumieniem ani z ustawą pogodzić się nie zdołał, a jednak usprawiedliwia się sofizmatami. Któż nie czuje np. w danym przypadku, że to doprowadzenie do pojedynku człowieka, któremu się już honor i szczęście domowe odebrało, wybranie na niego broni, której się jest pewnym, przy ostatnim strzale, kiedy przeciwnik już rozbrojony, celowanie dłuższe i strzelenie w piersi — któż nie czuje, że to jest po prostu zabójstwem? — A jednak według tak zwanych „praw pojedynku“ żadnego istotnego przekroczenia zabójcy zarzucić nie można, i skoro się te niby „prawa“ uznaje, trzeba ten czyn osądzić, przeciwko sumieniu i przeciwko ustawie, jako godziwy, i pozwolić zabójcy iść w świat i dalej tak samo postępować... Przyjąwszy powyższe etyczne stanowisko, do takich konsekwencji logicznie się idzie.

Obronca p. Grek doskonale tę sytuację wyzyskał; mówił szumnie o nowszych pojęciach co do małżeństwa, o zmianie sytuacji kobiety, o prawach pojedynku; rzucił frazesy, jak te: „dawniej kobieta w niższych klasach była bydłem, w wyższych aniołem, dziś jest kobietą“ — (w czem niema ani prawdy historycznej ani sensu, ale tem skuteczniejszy argument w takiej obronie); albo: „historja mówi o człowieku który był, polityka mówi o człowieku który jest, a moralność o człowieku który będzie“ — (co jeżeli ma jakiś sens, to jedno znaczyć może, że w terażniejszości moralności wymagać nie należy); przedstawiał obwinionego jako nie zbrodniarza, ale grzesznika, któremu z ewangelicznym miłosierdziem darować należy (jakoby sędziowie przysięgli mieli prawo darowania czegokolwiek)... I, rzecz naturalna, część przysięgłych poszła za nim, przekonana, że skrzywdziłaby Medweya, gdyby go podług tych nowszych pojęć nie sądziła. Takich sposobów obrony, jakkolwiek zręcznych i, jak się pokazuje, skutecznych, używać się nie godzi — bo są niemoralne, i podstawy moralnego porządku w przekonaniach podko-

pują. Wyrokowi zaś sędziów przysięgłych, przy obecnym zamęcie pojęć, dziwić się nie można; ale ten praktyczny wniosek z niego wyprowadzić trzeba: że pracować powinniśmy, każdy w swoim zakresie, w literaturze, w prawodawstwie, w kółkach towarzyskich, nad pokonaniem tego zamętu i wydobyciem na jaw prostych, jasnych, chrześcijańskich pojęć moralnych — które w głębi sumienia każdego się znajdują.

Ks. M. Morawski.



Z ŻYCIA SYBIRSKIEGO PROBOSZCZA.

Coraz częściej w ostatnich latach słyszeć nam przychodzi o zagranicznych podróżnikach, którzy nowych wciąż szukając wrażeń, objechawszy świat dokoła, sybirskim wracają szlakiem, i pewni, że nieznaną część ziemi odkryli, skwapliwie kreślą dla ziomków jaskrawe opisy przebieżonej krainy. Jedni widzieli ją w bujnej krasie sybirskiej wiosny, drudzy pod śnieżnym zimy całunem; ci w urzędowych obracali się kołach, tamci wdzierali się do więzień i mieszkań posieleńców; ci Za-uralską przestrzeń mieniać być nową Kalifornią, z niewyczerpanemi dla międzynarodowego handlu skarbami, tamci upatrują w niej raczej i wyłączenie dantejskie piekło, „martwy dom“ Dostojewskiego, ziemie ucisku i wygnania. Mnożą się różnostronne opisy i odgłosy sybirskie, w angielskim, francuskim, niemieckim języku. Odważni wędrowcy spieszą po żniwo świeżych, niewyczerpanych, oryginalnych wrażeń, dopokąd droga żelazna, wytknięta od Tiumeniu do Władywostoku, nie zbliży tych kresów do Europy, nie zrówna ich jednaką konwencyonalną a zewnętrzną cywilizacją z resztą świata, nie zetrze z nich cechy odrębności właściwej.

Zanim to nastąpi, zanim mechaniczna, nowoczesna oświata nie zaleje tych przestrzeni, nie zmieni ich dotychczasowego ustroju, wartoby zużytkować olbrzymi zasób korespondencyj i pamiątek sybirskich, w każdym niemal polskim zaskarbionym domu. Tymczasem dziwną sprzecznością, w stosunku do zagranicy, najmniej dziś u nas słyhać o Syberyi. Zobojętnieliśmy

dla niej, odkąd dawne pokolenia wygnańcze przerzedziły się lub wymarły, nie zdajemy sobie sprawy, że tam po dziś dzień nie brak polskiego żywiołu, sprawdzającego orzeczenie rosyjskiego pisarza, Maksymowa, który rad nazywał Polaków pierwszymi pionierami cywilizacji na Syberji. Nie samej oświaty są oni tam przesłańcami, lecz wraz i rozsadnikami wiary, niosąc pochodnię prawdy katolickiej aż ku wybrzeżom Oceanu Spokojnego, i spełniając rodzaj apostołstwa, które na osobną zasługuje cześć i uwagę. Siew Boży na różne przerzuca się grunta, wypłeniony uciskiem w jednych stronach, gdzieindziej się przyjmuje i nowe gotuje żniwo.

Słyszymy o powstających wikaryatach apostołskich w środkowej Afryce, na dalekim Wschodzie, wśród dzikich plemion Australii. Kiedyż danem nam będzie usłyszeć, że i sybirska część winnicy Pańskiej podobnego doczekała unormowania stosunków, i otrzymała bodaj własnego biskupa, lub koadjutora na Syberję metropolity mohylewskiego, którego olbrzymia jurysdykcya sięga po Kamczatkę, z niezmiernym uszczerbkiem dla dobra dusz, pozbawionych bliższej opieki i posługi duchownej.

Przedewszystkiem uprzytomnić sobie należy rozmiary tej bezbrzeżnej krainy, w której możnaby dogodnie, nie tykając się granic, pomieścić całą Europę bez Rosyi, lub Stany Zjednoczone z ich ostatnimi nabytkami w Alasce. Pojedyncze prowincye są tu wiele większe od największych państw europejskich. Jakucka np. gubernia trzynastą razy przerasta rozmiarami Wielką Brytanię, tobolska dwa razy większa jest od Francyi, tomska blisko dwa razy większa od Niemiec. Na tej niezmiernej przestrzeni, przeważnie przez schyzmatyków lub pogan zamieszkałej, znajduje się około trzydziestu tysięcy katolików, bądź skupionych w większej ilości po znaczniejszych miastach Syberji, bądź rozproszonych pojedynczo w odległych siolach i osadach tej bezludnej krainy.

Pasterstwo dusz w początkach bieżącego wieku sprawowali w tej olbrzymiej parafii misyonarze Towarzystwa Jezusowego. Po zniesieniu zakonu i kasacie ostatniej onego odrosli, zachowanej pod panowaniem rosyjskiem, a więc od r. 1820, posługę

duchowną w spadku po Ojcach Jezuitach objęli zakonnicy lub świeccy kapłani, których dobrze zasłużone nazwiska utrwaliły się we wdzięcznej ziemiaków pamięci i pięknie się zapisały w rocznikach tej ziemi, którą Bohdan Zaleski nazywał „Tebajdą Polski“, kędy Pan na pustyni wychowuje sobie, „niezbędnych snąć do liczby, męźów boleści“.

Z początkiem r. 1891, katolicy sybirscy nie posiadali i nie posiadają dotąd więcej nad dziewięć kościołów i kaplic na całej przestrzeni, dzielącej Ural od Kameczatki, a mianowicie w Permie (2577 katolików), Jekaterynburgu (550 kat.), Tobolsku (4521 kat.), Tomsku (10.000 kat.), Omsku (2660 kat.), Krasnojarsku (4183 kat.), Irkucku (2867 kat.), Nerczyńsku (1348 kat.), Władywostoku (1116 kat.). Kapłanów katolickich na cały obszar sybirski jest zaledwie jedenastu. Podlegają oni jurysdykcji metropolity mohylewskiego, który stale przebywa w Petersburgu. Pamiętać zaś należy, iż np. Władywostok, wschodni kres Syberyi, znajduje się w odległości 1355 mil geograficznych od Petersburga. Pojedyncze parafie sybirskie obejmują całe ogromne prowincje. Wystarczy wspomnieć, iż parafia tomska, z filią swą w Omsku, rozciąga się na przestrzeni 38.186 mil kwadratowych, że krasnojarska dochodzi do 46.708 mil kwadratowych i t. p. Wnosić stąd można, jak trudna musi być posługa duchowna na takich obszarach, niesiona przez małą garstkę kapłanów, jak utrudnione bywają stosunki z władzą biskupią. Z konieczności rozluźnia się węzeł hierarchiczny, doczekać się nie można dyspens lub upoważnień, wierni żyją i umierają bez Sakramentów św., nikt Bierzmowaniem nie bywa uzbrojony na życie wśród innowierców, słowem wytwarzają się stosunki bardzo trudne i ciężkie — ciężkie dla wiernych, cięższe stokroć dla kapłanów, dźwigających całe brzemie odpowiedzialności, bez żadnej pomocy ni oparcia.

Kwestya ta katolicyzmu na Syberyi, ważna dla Kościoła powszechnego, tem ważniejszą i bliższą nam być powinna. Domowa to bowiem, rodzinna dla nas sprawa. Sami bo prawie Polacy, wygnańcy, czy wychodźcy, składają się na tę poważną cyfrę trzydziestu tysięcy katolików. Ich niedostatki duchowne, ich potrzeby i życzenia w sercach naszych życzliwy odgłos

bratniego współczucia znaleźć powinny. Lecz aby jaką sprawę ukochać, należy ją poznać i zbadać, należy o niej zaczerpnąć wiadomości i pilnie chwycić płynące z dala odgłosy. Jak raz nam się ku temu nadarza sposobność.

Znalazł kościół sybirski dobrego pasterza, żarliwego orędownika, w osobie ks. Waleryana Gromadzkiego, który ustnie i listownie nie przestaje katolickiemu światu polecać i przypominać powierzonej swej pieczy trzody. Gościł on wśród nas w ciągu minionej zimy i wszystkich sobie jednał prostotą, dzielnością i wytrwałem poświęceniem dla umiłowanej sprawy. Już to sybirska szkoła twardym jest nowicyatem, w którym niezwykle kształtują się charaktery. Ale dzisiejszy proboszcz tomski z natury musiał już posiadać zasób niewyczerpany cierpliwej tęgości i żaru ducha apostolskiego. Żar ten nie wystudził się wśród lodów Północy, tęgość się nie złamała wygnańczą tęsknotą. Owszem, widok otaczającej go niedoli i ubóstwa duchowego, spotęgował w nim chęć poświęcenia się i umiłowania bliźnich, a trudne życia warunki zahartowały go i dodały mu krzepkości niezłomnej.

* * *

Dzieje ks. Waleryana Gromadzkiego w kilku dadzą się streścić słowach: zaledwie wyświęcony, w mieście Żytomierzu, gdzie dotąd matka jego żyje, naznaczony został wikaryuszem w Horochowie, na Wołyniu. Wtem, już w roku 1861, młody kapłan wysłany został na Sybir, a wyrok umotywowano obecnością dziecka prawosławnego w katolickiej szkółce miejscowej. Jadąc ku miejscu przeznaczenia, bardzo posuniętemu w głąb Syberyi, wygnaniec po drodze mógł się zatrzymać w Omsku, gdzie garstka kilkuset katolików powitała go z uniesieniem. Przez jakiś czas pozwolono mu nieść im pociechy religijne, których tak bardzo łaknęli, krzepić ich udziałem w świętych obrządkach; a gdy wybiła godzina rozłączenia, wierni otoczyli go ze łzami, błagając, aby wśród nich pozostał. Nie rozporządzał sobą biedny wygnaniec, nie mógł więc na razie odpowiedzieć rzewnym zaklęciom, które usiłowano go zatrzymać. Wtem powołał go przed

siebie gubernator Omska. Był to katolik, Francuz Duhamel. Oświadczył on z góry ks. Gromadzkiemu, iż ma rozkaz wysłać go dalej, że zresztą w Omsku nie mógłby mu żadnego zapewnić utrzymania, podczas gdy na miejscu urzędowego przeznaczenia „kazonną“ otrzymywać będzie pensję; że jednak nie sprzeciwiłby się jego pozostaniu w Omsku, gdyby się na to zdecydował. Ks. Gromadzki odrzekł, iż nie wątpi, że każdy z czterechset katolickich Omska mieszkańców, choć po okruszynie, gotów się z nim własnym dzielić chlebem, zaczem radby i nadal wśród nich pracować, nie troszcząc się o materyalny niedostatek. Gubernator, który zrazu dyplomatycznie go badał, na te słowa po- dał mu rękę i nie przestał odtąd mu udzielać we wszystkim gotowego poparcia.

W Omsku tedy ks. Gromadzki pracował aż do końca r. 1869, i uwiecznił swój tam pobyt wystawieniem schludnego murowanego kościółka. Z Omska przeniesiony został na wikaryusza do Tomsku, a w dwanaście lat później, w 1882 r., postąpił na probostwo tegoż miasta i parafii. Zamianowany proboszczem tomskim przez metropolitę Gintowta, dotąd nie otrzymał rządowego zatwierdzenia, ale też nie zaprzeczono mu ani tytułu, ani jurydykcyi pasterza olbrzymiej parafii. I w Tomsku zastał gubernatora katolika, gotowego nieść pomoc współwyznawcom. Był nim Polak, zacny Despoth-Zenowicz. Gdyby nie on i nie Duhamel, dużo naszych biedaków byłoby marnie zginęło na ziemi wygnania.

Takie są tedy w ogólnym zarysie dzieje ks. Waleryana Gromadzkiego. Czemuż nie rozporządzamy dość znacznym materyałem jego listów, zapisków i opowiadań, aby po szczególe kreślić doświadczenia z przeszło trzydziestoletniego pasterzowania największej może parafii w świecie! Z naiwną prostotą tłumaczył się, bawiąc między nami, dlaczego nigdy jeszcze w jednym roku nie udało mu się objechać wszystkich swoich owieczek; „bo przecież, powiada, więcej jak 10.000 wiorst rocznie zrobić nie mogę!“ To jedno słowo wymownie cały jego maluje zawód. Pielgrzym to apostołski, nigdy nie udaje się na odpoczynek, nie zna zadowolenia w stałej siedzibie. Na większe

święta do Tomska powraca, zresztą wciąż krąży po olbrzymiej swej parafii. Te nieustanne wędrówki nadweryżyły wprawdzie, ale nie potrafiły jeszcze złamać twardego i wytrzymałego organizmu. Acz już szósty krzyżyk na barkach swych dźwiga, ks. Gromadzki krzepkim jest i zdrowym, a hart duszy przejawia się zewnętrzną swobodą i wesołością wywalczoną raczej aniżeli przyrodzoną. Dzielnym bowiem apostołem sybirski w każdym niemal liście przyznaje się do chwil znękania, oskarża o słabość woli i zwątlenie duszy stęsknionej, osmuconej ciągłymi wrażeniami niedoli. Mężnie jednak zwalczając owe przemijające momenta zniechęcenia i smutku, nigdy się w nich nie pograża, lecz odważnie dalsze podejmuje trudy. Zaledwie wyrwanych kilka kartek posiadamy z tego pełnego zasług i pracy kresowego posterunku wiary.

Nim spróbujemy czytelnikom naszym przedstawić kilka charakterystycznych epizodów apostołskiego zawodu ks. Gromadzkiego, luźne z jego korespondencji przytaczając ustępy, wypada nam jeszcze opisać jego kościół i cofnąć się w przeszłość parafii, której tak wiernie i gorliwie służy.

* * *

Parafia, jak to wspomnieliśmy już wyżej, sięga początków bieżącego wieku. Gdy żałobny pochód z Polski, od czasów rozbioru, i wcześniej nawet, od uwiezienia biskupa Sołtyka i towarzyszków jego, począł zaludniać Syberję coraz to liczniejszymi katolikami, rząd rosyjski w r. 1806 na liczne prośby upoważnił gubernatora zachodnich prowincji sybirskich, aby pozwolił założyć tamże misję katolicką. Zrazu dwa tylko miasta na całej przestrzeni Syberji posiadały księży katolickich, a mianowicie Tomsk i Irkuck. Pierwszym proboszczem tomskim był ojciec Marceł Kamiński Tow. Jez., przełożony misyi miejscowej. Dzielny miał on współpracownika w osobie ojca Teodora Waluzyńnicza, podobnież Jezuitę. Po wypędzeniu zakonu z Rosyi r. 1820, kierunek parafii, obejmującej wówczas nietylko gubernię tomską, lecz i tobolską i jeniisejską, a wraz i stepy Kirgizów, powierzonym został OO. Bernardynom mohylewskiego nad Dnieprem klasztoru. Władza duchowna zamianowała proboszczem

w Tomsku ojca Jakuba Jurewicza, wikaryuszem zaś ojca Remigiusza Apanasewicza, który niebawem stanął sam na czele ogromnej parafii i prowizoryczną kaplicę zastąpił kościołkiem, zbudowanym, pod wezwaniem Najświętszej Panny Różańcowej, ze składek wiernych. Warto przypomnieć, w jaki sposób zacny ojciec Remigiusz zabrał się do dzieła, bo chyba żaden Boży przybytek na ziemi w podobnych nie powstał okolicznościach i warunkach.

Było to w r. 1833, kiedy przyływ wygnańców z Polski, po upadku wojny o niepodległość, rósł nieustannie mnóstwem skazanych na posilenie lub do katorgi nieszczęśliwych. Przybywali oni najczęściej pieszo, nie posiadając żadnych środków ni zasobów, tak iż rozpoczynając budowę świątyni, na żadne datki ni ofiary, okrom pracy rąk własnych, z ich strony liczyć nie było podobna. Nie zniechęcony trudnościami przedsięwzięcia ani ubóstwem swych owieczek, ojciec Remigiusz sprzedał całą szczupłą swą chudobę, w zamian kupił wózek i konie, i puścił się na objazdżkę całej Syberyi. Jeździł od wioski do wioski, od miasta do miasta, pukał do wszystkich drzwi i do wszystkich serc, przemawiając w imieniu Chrystusa Pana i przyjmując wszystko co mu dać raczyli, chleb czy mięso, płótno czy mąkę. Niedgdyś ludność sybirska słynęła z gościnności i miłosierdzia. Można było cały jej obszar przebiegać, nie troszcząc się o własne i koni swych wyżywienie, tak chętnie podejmowano podróży. Nikt też ubogiemu synowi św. Franciszka nie odmawiał jałmużny. Napelniwszy wóz swój przeróżnemi zapasami, ojciec Remigiusz nawracał do Tomsku, zwoływał swe owieczki i zaprzęgał do roboty około budowy kościoła. Sam mieszał glinę, wypalał cegłę, gasił wapno, kierował wszystkim, rozdzielał zapasy ubieranej żywności między rzemieślników. Skoro się takowe wyczerpały, odsyłał ich do domów i powszedniego zarobku, sam zaś na nową puszczał się wycieczkę. Ukwestowane przedmioty, które się przydać nie mogły, sprzedawano na targu. Dla przyspieszenia budowy, wyrabiano cegły niebывałych rozmiarów. Dzięki tylu zabiegom i za pomocą większych ofiar kilku wspaniałomyślnych dobroczyńców stanął nareszcie kościół w Tomsku, o trzech ołta-

rzach, z których główny mieści w sobie kopię Rafaelowskiej Transfiguracji, dokonaną przez malarza Biedrońskiego. Obraz Przemienienia Pańskiego w świątyni, przeznaczonej dla użytku wygnańczej drużyny, osobne a rzewne zda się mieć znaczenie, a wraz stawają na myśli wszystkie brzemiona tęsknoty, rozpacz, niedostatku i nieprzeliczonych udręczeń sybirskich, które tu bywają składane z korną prośbą, aby ten sam Jezus, który się przemienił na górze Tabor, raczył przemienić wszystkie smutki, cierpienia i dolegliwości swych wiernych, na pożądane i zbawienne pociechy. W bocznych ołtarzach znajduje się obraz św. Jana według Ary Scheffera, skopiowany przez p. Buchbindera, i Matka Boska Różańcowa, podług Murilla. Nie brak i innych pobożnych obrazów, zdobiących ściany świątyni. Ojcowie Jezuici zostawili tu osobną po sobie pamiątkę w małym wizerunku św. Alojzego, ojciec Apanasewicz złożył tu obrazy Matki Boskiej Częstochowskiej i św. Antoniego, nareszcie Dominikanin, ojciec Hrynczel, umieścił wizerunek świętego założyciela kaznodziejskiego zakonu.

Drewnianą dzwonnice, wzniesioną w r. 1837, zastąpiono mурowaną w r. 1856, i w niej zawieszono trzy dzwony wzywające wiernych na nabożeństwo. Kościół tomski, zbudowany na wysokiej górze, nad całem panuje miastem. Prześliczny stamtąd rozwija się widok na rzekę Tom, na łąki i lasy po drugim rozciągające się wybrzeżu.

Ojciec Remigiusz zabrał się i do budowania plebanii, gdy mu się udało dokończyć kościół. Zaledwie wymurował pierwsze piętro, aliści go powołano napowrót do mohylewskiego klasztoru, i był zmuszony opuścić Tomsk, gdzie trwał po sobie zostawił pomniki.

Nastąpił po nim jako rządcą parafii tomskiej ojciec Hrynczel, Dominikanin, który do r. 1862 na tem stanowisku pozostał, przekazując pasterstwo ks. kanonikowi Engelhardtowi, po upływie lat pięciu powołanemu z kolei na kapelana kazańskiego garnizonu. Od r. 1867 do 1883 był proboszczem w Tomsku ks. Justyn Zacharewicz, magister św. teologii, stamtąd wezwany na parafię Najświętszej Panny Wniebowziętej do Petersburga.

Opuszczając Tomsk, ks. Zacharewicz zostawił w swoim miejscu ks. Waleryana Gromadzkiego, któremu jako wikaryusz dopomaga w trudach pasterskich ks. Michał Olechnowicz, ze Zgromadzenia Kanoników Regularnych wileńskich.

Dziś już kościółek ojca Remigiusza nie wystarcza potrzebom wiernych. Wciąż bowiem przybywają ludzie, zdążający na Wschód za chlebem; ciągle emigracya dobrowolna kolonizuje te kresowe przestrzenie. Idą ze środkowej Rosyi partye po tyśiąc osób, zmierzając nad Amur lub wybrzeża Oceanu Spokojnego. Ale nie brak i Łotyszów i Żmudzinów, których bieda gna dalej i dalej, choćby na sybirskie stepy. W tomskiej np. gubernii, o sześćset wiorst od tego miasta, powstały tak dwie wioski litewskie, Nowa Bejsagoła i Nowa Szadowa, a znów Łotysze założyli sobie Nowy Witebsk i Nową Landskoronę. Wypadło utworzyć osobne biuro, któreby się zajmowało sprawami wychodźców włościańskich z Polski i Litwy. Rośnie parafia tomskiego proboszcza, i kościółek coraz ciśniejszym się okazuje, gdy w samem mieście doliczyć się można przeszło półtora tysiąca katolików. To też przedstawiono ministerstwu prośbę o rozszerzenie świątyni, a ks. Gromadzki na nowo podjął zachody dobrego ojca Remigiusza, chodząc za sprawą, która mu do tyła na sercu leży. Krzątał się, jeździł, orędował, zbierał składki, urządzał nawet koncerty na ten cel, w których i Rosyanie chętny udział brali; i dziś cieszy się już pomyślnym skutkiem swych zabiegów.

Nie zapomniał dobry pasterz i o cmentarzu dla pomarłych swych owieczek. A jest to jedno z najstarszych miejsc wiecznego spoczynku na ziemi sybirskiej, o czem świadczą dwa pomniki: jeden Francuza de Villeneuve, komendanta Tomska, może przygnanego burzą rewolucyjną, który tu umarł w r. 1794, drugi Zygmunta Zenowicza, urodzonego na Litwie w r. 1742, zmarłego w r. 1830. Obecnie zdołał już z Bożą pomocą zacny proboszcz urządzić tę część swojej parafii, gdzie tylu naszych biedaków legło od wieku i spoczęło po tęsknotach wygnańczego żywota. Podzielił cmentarz na kwatery, posadził drzewa, otoczył murem; to też ślicznie teraz wygląda, tak, iż sami innowiercy umyślnie przychodzą, aby się popatrzeć i pochwalić. Ale oto żywych potrzeby, jeszcze

większe niż umarłych, szarpia jego ojcowskie serce. Trzeba urządzić przytułek dla dzieci, których rodzice-więźniowie umierają w zarażonym tyfusem centralnem więzieniu. A dziwna rzecz, iż dzieci więcej mają odporności przeciw tej chorobie niż dorośli. Otóż takie „okrągłe sieroty“, jak mówią Rosyanie, zostają same, wśród ogromnej Syberyi. Gdyby je ktoś chciał wziąć — zarząd więzienny chętnieby je oddał; gdy niema takiego, bierze je miejscowy przytułek prawosławny i naturalnie według swej wiary i narodowości wychowuje. Ks. Gromadzki krząta się jak może za odpowiednim funduszem, krzątają się i jego owieczki, w nadziei, że z kraju pomoc nadejdzie; a wtedy, ileż błogosławieństw i modłów wzniesie się za tych dobrodziejów, którzy o potrzebach tomskiej parafii nie zapomnieli. Przodowała im dotąd ś. p. hr. Augustowa Potocka, której pełna zawsze darów ręka sięgała aż po Sybir daleki. Co chwila w korespondencyi ks. Gromadzkiego spotykamy się z rzewnem tej Pani wspomnieniem. Ona to dostarczyła chorągwi parafianom tomskim, ona zaopatrzyła proboszcza olbrzymiej części winnicy Pańskiej w ołtarzyk misyonarski składany, który mu towarzyszy w objazdach parafii, lub w wyjazdach o setki wiorst do chorych majątnych, gdy telegrafują do Tomska lub tam gdzie w tej chwili jest. „Zawsze westchnę za p. Augustową, pisze w jednym liście, która przysłała ołtarz misyjny podróżny z Wiednia. Na wieść mego przyjazdu, uprzątniona chata wieśniacza zamienia się w kościół“.

A tymczasem w Tomsku samym uroczyscie obchodzone bywają katolickie święta. Ks. Gromadzki wraca np. z swej pasterskiej podróży na Boże Ciało, procesyę odkłada do niedzieli, aby w niej udział wziąć mogli urzędnicy i subjekci handlowi. Rzadkim na Syberyi wypadkiem, aż pięciu księży jednego roku uczestniczy w uroczystym pochodzie; obok ks. Gromadzkiego postępowali księża: Olechnowicz, Witkowski, Skibniewski, Stefanowicz. Panienki rzucały kwiatki, uczniowie gimnazjalni oddali się na usługę nabożeństwa. Powiewały chorągwie, niesiono feretron z wizerunkiem „Panny świętej co w Ostrej świeci Bramie“, wystąpiły piękne aparata przysłane z kraju przez matkę kardynała Czackiego, hr. Grocholską, synową i spadkobierczynię

hr. Ksawery Grocholskiej, osobliwej opiekunki wygnańców, i inne szlachetne Polki. Pogoda przesłiczna towarzyszyła świętym obrędom, w których uczestniczyły z niewymownem wzruszeniem liczne gromadki Polaków i Polek, udających się dalej ku Wschodowi, w niepewności kiedy się znów z księdzem, kiedy z kościołem i ofiarą Mszy św. spotkają...

Tomsk przoduje Syberji pod względem ruchliwości umysłowej, a choć uważanym jest za drugie miasto w kraju, z wielu względów pierwsze miejsce przyznać mu należy. Gdyby przyszło do pożądanego utworzenia wikaryatu apostolskiego na Syberję, niewątpliwie biskup sybirski musiałby zamieszkać w Tomsku. Jest tu uniwersytet z świeżo otwartym fakultetem medycznym, na który od razu zapisało się do siedmdziesięciu słuchaczy, wśród których kilku znalazło się Polaków. Jest i dwóch naszych rodaków w poczcie profesorów, a mianowicie pp. Dogiel i Zaleski. Prócz uniwersytetu, Tomsk posiada gimnazjum filologiczne, szkołę realną, szkołę powiatową i gimnazjum żeńskie. Jest i biblioteczka przy katolickim kościele, a najgorętszem życzeniem proboszcza jest założyć i szkółkę dla dzieci, przytułek dla owych sierot po skazańcach i dla starców, a nareszcie szpital. Że i ten jest na równi z ochronką potrzebny, dowiodą nam zaraz miejscowe stosunki:

Wspomnieliśmy już, ilu to polskich wychodźców zaludnia dziś te same strefy, kędy niegdyś wygnańcy poniewolnie musieli się osiedlać. Początki bywają zawsze ciężkie dla przesiedleńców, a nieurodzaj lat ostatnich potęguje biedę. Z braku mieszkań, wielu emigrantów zimuje w norach od ziemniaków. Później dopiero budują sobie domki, a księża namawiają ich do rolnych zajęć, bo choć nie tak szybko z nich się wzbogacają jak z handlu, ale zajęcie to trwalsze i od pokus bezpieczniejsze. Otóż w takich warunkach o chorobę nie trudno. Tymczasem gminy sybirskie, mające obowiązek utrzymywać swych chorych w szpitalach miejskich, robią na tem oszczędności w ten sposób, że mieszkańcy rozbierają pomiędzy siebie ciężar wspólny po kolei, tj. żywią i pielęgnują chorego, co dnia do innej przenosząc go chaty, co oczywiście zwiększa cierpienia i koniec przyspiesza nieszczęśliwego.

Zresztą pewien fatalizm obojętny cechuje te północne strony i ich mieszkańców. Śmierć w pojęciach Sybiraka jest czemś żyjącem, indywidualnem, co przychodzi i porywa nie mogące ująć niebezpieczeństwu ofiary. Wyradza się stąd ślepe poddanie i obojętność na wszelkie wypadki. Nie brak też i przesądów. Tak np. w czasie posuchy polewają wodą mogiły topielców, co ma deszcz niechybny sprowadzić. Opowiadała o tem księdzu Gromadzkemu z boleścią i żalem pewna matka utopionej przypadkiem dziewczyny, której grób w tym zabobonnym celu ustawicznie polewano.

Opisaliśmy za ks. Gromadzkim uroczystości Bożego Ciała. Radują serce owe wspaniałe wiary św. obrzędy, jednakie na całym obszarze katolickiego świata, i wracają na chwilę zgromadzonym w przybytku Bożym wygnańcom poczucie ojczyzny. *Ubi crux, ibi patria*, tak opiewa napis grobowy jednego zmarłego na obczyźnie tułacza; i w istocie, tylko u stóp ołtarzy, za pomocą kojącej rany serca i znoszącej przestrzeń modlitwy, ustawać zwykła morząca dusze tęsknota... Zna tę chorobę ks. Gromadzki, i znaki jej nieraz się w jego listach przejawiają. W jednym z dawniejszych, pisanym z Kainśka pod datą 1875 r., skarży się matce, iż tak był stęskniony, przybity jakimś smutkiem, że prawdziwie nie mógł sobie dać rady, ani pocieszyć, słowa zamierały na ustach; „często - bo ze mną bywają takie chwile, pisze dalej, chwile ciężkie i straszne; lecz we wszystkim niech się dzieje wola Boża a nie nasza, tak nam najlepiej, tak nam najzbawienniej“. Jednaką skargą pobrzmiewa i w ostatnich z bieżącej zimy listach, choć zawsze gorącą wiarą stłumiona. „Dziś byłem przygnębiony, smutny; patrząc na krzyż z Rzymu przywieziony, ofiarowałem Panu Jezusowi moją tęsknotę, moje opuszczenie; a oto wieczorem pan K. mi zakomunikował list pocieszający; Pan Bóg zasmucił, Pan Bóg pocieszył, niech Imię Jego święte na wieki błogosławionem będzie!“ A jakiegoż rodzaju była ona pociecha? — oto przynosiła zaręczenie, iż w dalekim kraju modlą się i pamiętają o potrzebach kresowej parafii, że nie brak osób szlachetnych, które sprawę kościoła tomskiego i zamiary dobroczynne ks. Gromadzkiego wzięły do serca i ca-

łem też sercem dopomódz mu pragną. Ale nad pomoc materialną, więcej sobie pleban sybirski modlitewną waży dźwignię. Wciąż też jej żebra: „Proście o szczerą, gorącą modlitwę za mną, bo tego tak potrzebuję! nie zapominajcie o naszym biednym kościele i o pobycie moim w Stolicy, toć to sprawa kościoła! Niech podwoją gorliwości w błaganiach za nami pobożne Matki Karmelitanki. Nam jest bardzo ciężko, a modlitwa ich dodaje nam siły, otuchy. Polecam waszej modlitwie także Włodzimierza Sołowiewa, który potrzebuje pomocy Boskiej, łaski Ducha Św. Sołowiew miał niedawno odczyt w Moskwie, w auli akademickiej, z czego się strasznie gorszą *Moskiewskie Wiadomości*; piszą, iż prelegent w całym odczycie tylko bluźnił prawosławie, i twierdzą, że Sołowiew, Grott i Tołstoj są tyralierami papizmu. Sołowiewa jeszcze nie widziałem“.

* *

Cofnijmy się teraz w dawniejsze lata apostolskich pielgrzymek ks. Gromadzkiego: oto np. list pisany w listopadzie 1871 r. z nad Kamy: „Bogu dzięki jestem dotąd zdrow, pracuję ile mogę, ile sił starczy, w tej winnicy Pańskiej, między tymi nieborakami. Jaki bywa rozrzewniający widok, kiedy gromadka wiernych zbierze się na nabożeństwo do izby. Wstrzymać się od łez nie można, bo po kilka lat ani kapłana nie widzieli, ani spowiedzi nie odprawili, ani Mszy św. nie słuchali. Jak się gorąco z nimi modlisz, kiedy łkania i łzy głęboko zasięda w duszy, i zamiast organu i śpiewu towarzyszą Ofierze św.; czasem znów śpiew ich tak jest rzewny, tak rozdzierający duszę, tak wyraziły, że prawdziwie przy najsilniejszej woli, aby powstrzymać uczucie, zrosić mi się zdarza łzami ołtarz. Żał mi tego ludu, bo od wielu lat nie pożywali Chleba Anielskiego; lecz z drugiej strony daleko większej doznajesz boleści, skoro spostrzeżesz tę zlodowaciałą obojętność i zmateryalizowanie aż do szpiku kości, zupełne zapomnienie tego, co się wyssało z piersi matki, co się wyniosło z pod rodzinnej strzechy; o wówczas jak trudno znaleźć pociechę! Wiele i wiele się cierpi, wszędzie znachodząc łzy tylko i płacz. Taką drogę muszę długo i długo odbywać

po lasach i stepach jeździć, dopóki choć w części nie zaspokoję religijnych potrzeb tych biedaków. Czasem chrzczę dzieci, mające po cztery i pięć lat wieku, czasem błogosławię śluby małżeńskie, od dawna skojarzonych. Ha! mają do tego prawo, bo tu nigdy nie było ogłoszone *Tridentinum*. Wy życia naszego nie rozumiecie i nie możecie pojąć, z jaką ono różnorodnością połączone, która i łzy i smutek i radość naprzemian budzi⁴.

I oto znów mamy przed sobą list z Tomska, pisany w kwietniu 1872 r.: „Tylko co z długiej wróciłem podróży, jak raz udało mi się dobiec do Tomska przed samymi roztopami. W tym roku u nas nadspodziewanie długa zima, bo 25 marca mróz dochodził do 30 stopni, a 4 kwietnia do 25 stopni. Śniegi były okropne, z drogi ani podobna zjechać, konie zapadały się z uszami w zaspach na dwa arszyny i więcej głębokich. Nieraz, sunąc po stepach i lasach, wśród głuchej nocy i śnieżnej zamieci, mówiłem modlitwy i zwracałem się do was, a dzwonek pocztowy jakby wtórował mojej prośbie i westchnieniom. Bóg miłosierny zachował mnie zdrowo, i szczęśliwie na miejsce odprowadził; niech Mu będą dzięki i chwała po wszystkie wieki.

„W tym czasie zrobiłem do dziewięciu tysięcy wiorst, bawiłem w drodze pół roku, ochrzciłem sto dzieci, dałem dwadzieścia ślubów, kilka tysięcy dusz wyspowiadałem. Byli tacy, co po kilkanaście lat nie spowiadawszy się, po spowiedzi zaraz umierali, jakby na mnie czekali. Byli i tacy, co po przyjęciu ostatnich Sakramentów św. przychodzili do zdrowia. Różnorodnych w tej drodze doznawałem wrażeń i uczuć. Z początku nie czułem żadnego znużenia, lecz pod koniec tylko siłą woli zmuszałem się do ukończenia objazdu, tak byłem zdenerwowany. W czasie podróży prawie przerobiłem się na Żmudzina; teraz już spowiadam po żmudzku, chrzczę dzieci, daję śluby po żmudzku, a jak wybierałem się na objazd, jeszcze ani jednego nie umiałem słowa. Potrzeba i bieda wszystkiego nauczą. Po tych osadach liczba Żmudzinów bywa przemagająca; jest to naród bardzo uczciwy, religijny i pracowity; księża witają z wielką czcią i nie radzi go od siebie puszczać. Są tacy, którzy ani jednego wyrazu po polsku nie umieją; ta to potrzeba kazała mi się wy-

uczyć po żmudzku. Dostałem książkę do nabożeństwa, która przy mojej usilności tyle mnie nauczyła, że mogłem spowiadać i inne spełniać obowiązki religijne po żmudzku. Prawie wszyscy oni nieźle się mają, wprawdzie tylko żonaci, bo żona główną osiłą gospodarstwa. Dziewek wielki niedostatek, i dlatego wiele młodzieży się marnuje, a szkoda! W r. 1871 był dobry urodzaj, ziemia wydała 22 ziarn, przy pracy tedy i porządku żyć tu można. Żeby tu z dwieście dziewcząt zjechało, wielkiem byłoby dobrodziejstwem dla tej marnującej się młodzieży. Życie rodzinne jest podstawą moralności; więcejby przyniosły korzyści niż w klasztorze, bo zmoralizowałyby wiele ginącej młodzi, zajęłyby się wychowaniem dzieci i gospodarstwem.

„Niejedną rozrzewniającą scenę mógłbym z ostatniej opowiedzieć podróży. Oto jedna z nich: przerysując się przez dziki *urmu* do jednej osady, gdzie były dwie rodziny katolickie i kilku bezżennych (tedy jechać było mi bliżej, naokoło bowiem trzeba było zrobić do trzystu wiorst), po wielu trudach i niewygodach, nakoniec wyrznięliśmy się przy schyłku dnia na pola przyległe do osady owej, zwanej Wiesioła. Właśnie jeden z osadników wioził słomę do domu. Ujrawszy niezwykły fenomen, to jest powózkę wysuwającą się z lasu — boć od założenia osady nie widziano, aby ktokolwiek z tej strony nadjechał — zdjęty ciekawością, zatrzymuje się, podchodzi do moich przewodników i pyta: ktoby to tedy jechał? — ci odpowiadają, że ksiądz katolicki. Ten, jakby osłupiały, z niedowierzaniem i nieśmiałością, prawie machinalnie zdejmuje czapkę i trzyma w jednej ręce, a rękawice w drugiej, i przybliżając się do mojej budki, wita mnie dla przekonania się, po żmudzku: *Teguł bus pagarbintas Jezus Chrystus* (Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus). A ja na to mu odpowiadam z budki: *Ir antanisiu amžynuju, amen* (tj. na wieki wieków). Na te słowa biedakowi czapka i rękawice z rąk wyleciały. Po chwili jakby opamiętania się — nie zapłakał, lecz jak nie ryknie jak niedźwiedź z tej radości i żalu, to aż i ja się rozplakałem, a moi przewodnicy omal co się nie przestraszyli jego łkania. Uspokoiwszy się cokolwiek, rzucił się do swego konia, wyprzągł go z wozu, i pospieszył czwałem do osady

oznajmić braciom ich szczęście. Podjeżdżając pod wieś, ujrzałem gromadkę ludzi, spieszącą z dziećmi naprzeciw mnie, Matki podnosiły dzieci, żebym je błogosławił, drudzy szarpali mnie za ręce, aby je ucałować, inni znów chwyтали moją odzież i takową całowali; zupełnie sądna wybiła godzina — aż przewodnicy moi do łez się rozczulili, a i ja sam dobrze się spłakałem. Później zaczęto mnie fetować, kto czem mógł. Musiałem u nich kilka dni przesiedzieć; ochrzciłem dwoje dzieci, poświęciłem im izby, założyłem i poświęciłem cmentarz, odprawiłem na śniegu pogrzeb pewnego nieboszczyka, przed kilkoma laty zmarłego i pochowanego; i tak zaspokoiwszy cokolwiek ich potrzeby religijne, bo odkąd wyszli z kraju, nie byli u spowiedzi, ani księdza nie widzieli, po kilku dniach puściłem się dalej. Te same sceny powtórzyły się i przy pożegnaniu.

„*Progonów* na drogę rząd nam nie wydaje. Część kosztów podróży powrócili mi potrzebujący mojej usługi, a część dołożyłem ze swojej kieszeni. Rząd udziela nam w takich okolicznościach *podorożną kazonną*, na mocy której płacimy tylko 3 kop. na wiorstę za parę koni. Oprócz tego dają nam przepustkę, aby nas nigdzie nie zatrzymywano, odprowadzano do skarbowej gospody dla spełnienia religijnych obowiązków, okazywano w razie potrzeby wszelką pomoc i spełniano nasze rozporządzenia; mamy też prawo zarekwirować starszyńę, sotników i dziesiętników, dla wykonania naszych zleceń. Progony zaś wydają się tylko do wojska, gdzie są katolicy. Ja jeździłem po tych miejscach, gdzie ani jednego nie było żołnierza, zaczęm i *progonów* nie wziąłem.

„Powróciwszy do Tomska, wszystko zastałem na swoim miejscu; proboszcz powitał mnie z otwartem sercem i rękoma; pomieszkamie moje w jak najlepszym stanie, czyste, suche i ciepłe, i kwiaty zdrowo wyglądające. Zastałem dwadzieścia siedm listów, na które muszę odpowiedzieć. Niniejszy zacząłem 12 kwietnia, a kończę na trzeci dzień Wielkiejnocy, zajęcia nasze nie pozwoliły mi w tym samym dniu zakończyć. U nas obecnie jeszcze leżą śniegi i za miastem saniami jeżdżą, jednakże droga okropna“.

I znów w maju 1875 r. pisze ks. Gromadzki, iż za parę dni wybiera się na objazd ku granicom wschodniej Syberyi, a później w góry Altajskie; kazał już przygotować siodła i juki, choć ze skorbutu co dopiero powstał. „O mojej podróży szerokoby można pisać; ale w tem pisaniu jednostajność powtarzać się musi, bo zawsze te same przykrości i ta sama moralna radość, ilokroć cokolwiek w imię Boga uczynimy; lecz pamiętać nam należy, iż nieużyteczni śludzy jesteście, bo często to co świat uwielbia, to Bogu się nie podoba, więc nie dla świata, tylko dla Boga pracować powinniśmy, i kto sięgnie tej doskonałości, ten tylko szczęśliwym nazwać się może. Książki wszystkie otrzymałem; *La croix et l'autel* biorę w drogę, i parę polskich ze swojej biblioteki. Nie wiem czy pisałem, że z Kainśka posłałem na imię proboszcza z Ostrej Bramy w Wilnie 5 rubli na Mszę św. za duszę Ojca w rocznicę jego śmierci. Otrzymałem od Kajetana Podhorodeńskiego z Hołób wiadomość, że krzyż na mogile ś. p. Ojca naszego już postawiony, malowany olejno na czarno, z białym napisem imienia, nazwiska i daty śmierci“.

Pisząc do jednej z dobrodziejek tomskiego kościoła, aby za przysłanie kapy fioletowej złożyć jej dzięki, ks. Gromadzki dodaje nieco szczegółów, rzucających jaskrawe światło na trudy sybirskiego pasterstwa: „Niezaługo muszę odjechać do gór Altajskich, celem niesienia posługi kościelnej swoim współwyznawcom; lecz w górach ogromne jeszcze śniegi, przejazd prawie niemożliwy, czekam aż trochę wody opadną i śniegi stopnieją. W tym roku Pan Bóg dotknął nas ogromnymi klęskami, zima tak niespokojna, jakiej najstarsi nie pamiętają ludzie. W czasie mojej podróży, 2-go lutego, spiesząc do chorego, całą noc błądziliśmy po bagnach i lasach; ledwie wybrnęliśmy do jakichś chat, cudownym, jak twierdzą, sposobem ocaleni, bo na drugi dzień do ośmdziesięciu ofiar w ludziach i koniach znaleziono zmarzniętych. I wiosna chłodna, 14 kwietnia mieliśmy 14^o mrozu, a w maju takie były chłody i śniegi jakby koło Bożego Narodzenia; trawy jeszcze niema, siano i słoma dawno zjedzone, więc głód dla bydła, głód i ludziom, a do tych wszystkich nieszczęść dodać jeszcze należy straszną powódź. Do pięciuset domów zalanych wodą, kilka

nieszczęśliwych i z ludźmi było wypadków; pewna matka ratując dziecko, które wypadło z łódki, wypuściła to, które na rękę trzymała; biedna, dwoje dzieci naraz straciła i z żalu pomieszania zmysłów dostała“. Straszne bo bywają owe przewozy przez rzeki sybirskie, nieraz tak szeroko rozlane, że przeprawa trwa sześć do siedmiu godzin. Rzeki te płyną przeważnie z południa na północ, zaczynają się u podnóża gór Altajskich; w lecie można je przejść w bród, na wiosnę, po stopnięciu śniegów, rosną szalenie, spienione tocząc fale, i tworząc wiry niebezpieczne. Ks. Gromadzki widział, jak te wzburzone nurty pochłaniały w czasie przewozu człowieka siedzącego na koniu. I koń i jeździec znikali, unoszeni żartką falą, a wszelka pomoc okazywała się niepodobną.

Każdy list wspomina naprzemian to wyjazd, to powrót z apostołskiej wędrówki. To 500, to 800 wiorst przychodzi dobremu pasterzowi odbyć saniami lub wozem; ludzie płaczą witając go, płaczą składając w jego ręce ciężar grzechów i smutków swoich, ale najczęściej płaczą przy rozstaniu, w słusznej obawie, iż już więcej księdza nie zobaczą. Emigranci dobrowolni równie smutni i biedni, jak poniewolni osadnicy Syberyi i wygnańcy. Tłumaczą swe wychodźstwo naciskiem żywiołu niemieckiego i żydowskiego, który ich wypiera z ojczyzny i zniewala szukać chleba w dalekiej obczyźnie.

Z różnych stron sybirskich głos ks. Gromadzkiego do nas przybywa. Jeździ on do Barnaułu, do Semipalatyńska, wysuniętej wśród stepów i pustyni osady; do Wiernego, miasta o istic amerykańskim wzroście. Temu ćwierć wieku, była to jeszcze niemal licha wioszczyna, dziś śliczne miasto, gdzie pełno Polaków, którzy szczerlnie wypełnili improwizowaną w czasie pobytu ks. Gromadzkiego świątynię. Jest tam gimnazjum, z dyrektorem Nowakiem na czele. Tak on jak i katolicycy profesorowie i studenci, wspólnie przystępowali do Sakramentów, korzystając z odwiedzin kapłańskich, i wedle miejscowego obyczaju winszując sobie nawzajem tego szczęścia. Ogrodnictwo w Wiernym wysoko jest rozwinięte; ks. Gromadzki wspomina półfuntowe jabłka, czterofuntowe winogrona, smaczne melony, czter-

dziestofuntowe kawony. Miasto, topolami kaukaskimi wysadzone, malowniczo się przedstawia, w oddali śnieżne widnieją góry, zamykając uroczy krajobraz. Niestety! takim ono było — dziś trzęsieniem ziemi zamienione w gruzy.

Owoce do niedawna zupełnie były nieznane w Syberyi. Hodowanie ich z coraz lepszym powodzeniem wyłącznie przypisać należy Polakom. Oni to też wprowadzili pszczoły do tej wydzielonej krainy, i nierzadko przy osadzie tułaczey widzieć się daje Piastowska pasieka. Chętną się nasi biedacy, gdy im się uda, jak np. p. Wasiewickiemu w Altajskiem Siole, założyć sad owocowy, i po upływie lat kilku własne zrywać wiśnie. Jak raz przypomina się tu radosna duma, z jaką ś. p. biskup Krasieński wspominał truskawki, przez się w Wiatce wyhodowane; chlubił się tem zwycięstwem nad nielitościwą przyrodą stokroć więcej, aniżeli literackimi swojemi powodzeniami i pracą.

Nie brak oczywiście ciekawych etnograficznych wiadomości w opowiadaniach i korespondencyach sybirskiego plebana. Niestety! w pobieżnej pracy naszej, bogatego w tym względzie materiału zużytkować całkowicie nie będzie nam podobna. Następującej wszakże ciekawej wiadomości pominąć nie możemy.

* * *

Osobne zajęcie wzbudza w papierach ks. Gromadzkiego częste wspomnianie Moskali zwanych Polakami. Cóż znaczyć może tak szczególne miano? Wyjaśnia nam to ks. Gromadzki, dziwną opowiadając przygodę. Wypadło mu w swych peregrynacyach dotrzeć aż do Siola Altajskiego. Wieś to mieszana, częścią złożona z t. zw. mirskich czyli właściwych prawosławnych, częścią z byłych rozkolewników, obecnie na pozór pogodzonych z cerkwią rządową, ale zachowujących swoje własne tradycje w obrządkach i liturgii. W każdej wsi sybirskiej bywa osobna chata przeznaczona na ugoszczenie osób urzędowych. Gdy tedy o nią zapytał ks. Gromadzki, odpowiedziano mu, iż znajduje się obok domu polskiego księdza. Zdziwił się niemało nasz podróżny, ale jednak za tą wskazówką ów dom odszukał i zajął się w nim około przygotowania herbaty. Gość

we wsi sybirskiej bywa niemalej doniosłości wypadkiem. Gospodarz domu nie omieszkiał też zjawić się u ks. Gromadzkiego, rozpytując się o jego tytuł i urząd. Intrygował go mianowicie ubiór podróżnika. Po kilku wstępnych powitaniach odważył się wprost zapytać: co zacz jest? — Jestem polskim księdzem (świaszczennikiem) — odrzekł zagadnięty. Na to gospodarz nie odpowiedział, tylko wyszedł pospiesznie, aby sąsiadowi tyle ważnej udzielić wiadomości. Ten słysząc, iż przybył gość mianujący się polskim świaszczennikiem, czem prędzej w swoją księżą ubiera się suknię, i nuż ks. Gromadzkiemu tłumaczyć, że jest jego kolegą, także polskim księdzem, ale starszym, czyli dawniejszym. Darmo mu ks. Gromadzki tłumaczy, iż ten tylko jest Polakiem, co po polsku mówi, a po katolicku wierzy; on zaniepokojony, iż się może zjawia współzawodnik na jego benefycjum, wciąż swoje powtarza, że tylko sam i jego owieczki są najdawniejszymi Polakami. To zdarzenie tak zaintrygowało naszego misyonarza, że znalazł czas wyszukać w archiwum w Bijsku dokumenta wyjaśniające, za co i my mu niezmiernie wdzięczni jesteśmy. Otóż za panowania cara Aleksego Michajłowicza, w r. 1682, powstał w Rosyi bunt rozkolek, nie chcących przyjąć ksiąg liturgicznych, poprawionych przez patriarchę Nikona, ani się zgodzić na reformę przez niego narzuconą. Niektórzy z nich, prześladowaniem z ojczyzny wyparci, uciekli do Polski, gdzie swoboda i tolerancya wszystkim zarówno przyświecała. Tam też na Białorusi osiadłszy, ci starowiercy rosyjscy dawnego trzymali się obrządku i zażywali przygodnej wolności. Podczas rozbiorów Polski rząd rosyjski większą ich część wysłał do Syberyi i osiedlił w bijskim okręgu, u podnóża gór Altajskich. Ponieważ kiedyś znajdowali się pod panowaniem polskim i korzystali z gościnności Rzpltej, więc i dotąd nazywają się Polakami, i państwowego prawosławia nie uznają. Mają własnych z pośród siebie popów, ledwie cokolwiek piśmiennych, wyświęcanych wszakże przez prawosławnego archiereja. Pod względem religii nazywają się oni Jedynowiercami (unitami). Inni znowu nie uznają archierejów rosyjskich, ale należą do episkopa mieszkającego w Austryi, i stąd się nazywają Austrokatolikami. Jedni zaś i drudzy mieniają się być Polakami,

choć ani jednego wyrazu po polsku nie umieją. Materyalnie są oni zamożni, niekiedy nawet bogaci. Zajmują się rolnictwem, hodują wiele bydła, z niemałą dla siebie korzyścią, sieją dużo jarej pszenicy, bo inna w Syberyi się nie rodzi, tam też tylko hreczanej dostać można kaszy. Strojem różnią się dotąd od Moskali, nosząc się raczej z litewska. Są gościnni, trzeźwi, wódki nie piją, odznaczają się pracowitością. Tytoń i herbatę za szatańskie mają rośliny i nigdy ich nie używają. Ludzi też pijących herbatę, palących tytoń lub zażywających tabakę, unikają jako heretyków i żadnych z nimi stosunków mieć nie chcą. Dla urzędników i przejeżdżających, wogóle dla obcych gości, osobne mają stancye i naczynia. Jeśli np. urzędnik, któremu wzbronie wstępu do własnych izb nie śmieją, przyjdzie i posiedzi między nimi, to zaraz po jego wyjściu to miejsce starannie skrobia, myją i wykadzają. Gdyby przypadkiem zapalił jeszcze papierosa, zatykają nosy, zasłaniają obrazy, i uciekają; zwłaszcza czynią to kobiety — choć przytem są bardzo gościnni. Nie pozwalają też prawosławnym przeżegnać się, gdy wchodzą do ich domów. Bogaci chleba żytniego nie jedzą, a chociaż żyto sieją, uważają sobie za ułudzenie jeść zeń chleb. W ostatnich dopiero latach nieurodzaj na pszenicę zmusił tych pocziwców do zapoznania się z żytnią mąką i chlebem.

Kiedy pewnego razu, podróżując w tych stronach, uprzykrzył się ks. Gromadzkiemu chleb pszenny i zapytał gospodarza czy żytniego nigdy nie jedzą, odpowiedział, że nigdy. „Ja już mam lat 57 — powiedział gospodarz — a nie wiem jeszcze, jaki on ma smak“. Na co tedy go pieczenie? spytał ksiądz. „Bo psy i panowie go jedzą, my nim tylko bydło swoje karmimy“. Gdy ks. Gromadzki kazał sobie podać kawałek owego chleba i jeść go począł, gospodarz na to z politowaniem spoglądał. Mnóstwo zresztą między tymi rozkolenikami jest różnie wyznaniowych, co wieś to sekta, nierzadko nawet w jednym domu, ojciec do jednej, matka do drugiej, a dzieci jeszcze do innych sekt należą, każdy zaś ma swe osobne naczynia, miski i łyżki, każdy osobno też gotuje i jada. Oczytani są w Piśmie św. i teksty dobrze pamiętają, cytując je na poparcie swych błędów. Czują jednak

ubóstwo swego ducha i religii. Często jeżdżą po świecie, szukając „prawdy“.

„Razu jednego, pisze ks. Gromadzki, przybyłem na pewną stację w gubernii tomskiej dla zmiany koni. Gospodyni, dowiedziawszy się, że jestem kapłanem, przystępuje do mnie i pyta: Jaką jest religia, którą wyznajesz? — Chrześcijańska, odpowiadam, i to jedynie prawdziwa, rzymsko-katolicka. — I nasi pojechali szukać prawdy, odparła owa sybirska Samarytanka. — Prawda tak jest jasna, tak bliska, tak widoczna, i jeśli tylko szczerą mają po temu wolę, prędko ją odnajdą, jeżeli zaś jej nie mają, to z jednego błędu w drugi wpadną i nakoniec w błędach życie zakończą. — Wtem jamszczyk zawołał, że konie gotowe, i pożegnawszy gospodynię, musiałem dalej pojechać“.

Gdy tak ks. Gromadzki niespodzianie na stoku gór sybirskich spotkał muiemanego kolegę, znalazł się wnet wśród onych „Moskali zwanych Polakami“ i prawdziwy Polak z krwi i kości, wspomniany już p. Tytus Wasiewicki, który zabrał księdza do swego domu, i współbraciom zapowiedział, żeby się przygotowali nazajutrz do Mszy św. i spowiedzi.

„Sioło Altajskie, u samego podnóża gór położone, jest ogromną wsią o dwóch cerkwiach, jednej prawosławnej, drugiej jedynowierców, *jedinowiërczeskaja, pòlskaja*. Około dwóch tysięcy mieszkańców obojej płci zaludnia osadę. Jest tam *zasiedatel i wołost'*, czyli urzędnik policyjny i zarząd gminny. Położenie malownicze, klimat łagodniejszy niż gdzieindziej, rosną tu bowiem dzikie jabłka, co dało p. Wasiewickiemu pochop do założenia ogródka.

„Do niedawna, w wioskach tych sekciarzy, patryarchalne panowały stosunki. O reszcie świata mało co wiedzieli. Kto do ich wyznania nie należał, uchodził w ich oczach za kacerza. Unikano go jak zapowietrzonego, stosując w tem źle zrozumiane słowa Pisma św. Dopóki pośród nich nie osiedli rosyjscy koloniści, nie znano tam kradzieży, nie znano też zamków ni rygli. We dnie i w nocy stało wszystko otworem¹. Bratnia solidarność

¹ I tu wspomnieć przychodzi opowiadania ks. biskupa Krasieńskiego o wielkiej poczciwości ludu z okolic Wiatki. Jeśli co zginie, mówią stale, że musiał chyba tędy przejechać Moskal. (Przyp. autora).

do wysokiego bywała posunięta stopnia. Sąsiad szedł do sąsiada gdy czego zapotrzebował, i brał, pytając czy nie pytając, topór, pilę, łopatę i t. p. rzeczy. Właściciela to nie dziwiło zgola. Niema tego lub owego sprzętu, musiał go ktoś zabrać! a gdy kto nadmienił, że może nie odniesie: Ej, gdzieby tam! odpowiadał drugi, alboż swego dosyć nie mają! Wracając z pola, zostawiali na roli bronę, sochę, siermięgę, nie lękając się złodzieja. Kto znalazł rzecz jaką zgubioną, obowiązany był chodzić od chaty do chaty i odszukać właściciela. Gdy nie udało się go znaleźć, należało ów przedmiot złożyć u starszego gminy. Nie było wypadku, aby się ktokolwiek chciał z pod tego zwyczaju wyłamywać. Smutny jednak jest poziom moralności pomiędzy tymi ludźmi. Wchodzą oni bardzo młodo w związki małżeńskie, co bywa powodem, że silny jeszcze i krzepki ojciec rodziny, gdy się jego żona zestarzeje, wchodzi w grzeszne stosunki z własną synową. Morderstwa w sprawach miłosnych, duszenie niemowląt, żadną tam nie bywa rzadkością“.

(Dok. nast.).

M.

NA SŁOWACZYŹNIE.

WRAŻENIA Z PODRÓŻY.

II.

W redakcyi *Novin*, w słowackiem kasynie, w eleganckich salonikach państwa Škultetých i Hurbanów, przeglądam słowackie pisma peryodyczne; staram się zaznajomić z dziennikarskim, a wogóle z literackim ruchem słowackim, z panującemi w nim głównemi kierunkami, z warunkami, w których się obraca. Jak cała „czysto słowacka“ literatura, tak specyalnie słowacka prasa, niewiele jeszcze lat sobie liczy; pierwsze dwa słowackie pisma: polityczne *Slovenské Národné Noviny* i beletrystyczny dodatek: *Orol tatránsky*, powołał do życia w połowie 1845 r. pierwszy wódz i właściwy twórca słowackiego piśmiennictwa: Ludovit Štúr. Założenie tych czasopism, lub mówiąc dokładniej, wystąpienie Štúra ze śmiałym programem: „Wykształciliśmy się na czeskim języku, jak Serbowie i Rosyanie wykształcili się na starosłowiańskim; teraz czas nam zrzucić ze siebie te niepotrzebne już pieluchy i po naszemu pisać!“ — stanowi epokę, jest niejako źródłem słowackiej literatury. Dotąd każdy Słowak, który chwycił pióro w rękę, każdy, kto nieco wyżej się wybił, używał w piśmie, jeśli nie w mowie, języka czeskiego, okraszono tylko zazwyczaj pewnemi zwrotami i wyrażeniami słowacko-

ludowemi; pierwszy Štúr rzucił hasło: „Piszmy jak mówimy!“ a hasło to znalazło głośny oddźwięk w licznym zastępie wier-nych druhów, uczniów i naśladowców. Napróżno czescy uczeni i literaci, czując, że cały, blisko trzechmilionowy naród z pod bezpośredniego wpływu im się wymyka, usiłowali powstrzymać ten ruch i prośbą i groźbą i szyderstwem; napróżno słynny Šafárik i niemniej słynny Jan Kollár, „ojcowie literatury słowackiej“, wystąpili przeciw niemu i zaklinali „w imię słowiańskiej wzajemności“: „Nie zwiększać, lecz zmniejszać trzeba i tak za liczny już szereg słowiańskich dyalektów. Słowaków w Węgrzech za mało, aby opłacało się osobno dla nich pisać i drukować książki. I to w jakim języku? — grubym, nieokrzesanym, pasterskim, druciarskim, furmańskim, kuchennym, nieumytym, nieuczesanym...“ Gorące te protesty i istotnie niekoniecznie „uczesane“ wyzywania, z których najdosadniejszych powtarzać nam tu nawet nie wypadało, pomnożyły zamieszanie, zwolniły nieco bieg przedsięwziętej przez Štúra reformy, lecz wstrzymać jej nie zdołały.

Najgorętszymi zwolennikami i pomocnikami Štúra byli dwaj ewangeliccy pastorowie: Józef Ludwik Hurban i Michał Miloslav Hodža. W jesieni 1846 rozpoczął Hurban wydawnictwo czasopisma: *Slovenské Pohľady na vedy, umenia a literatúru* (Słowackie Poglądy na wiedzę, umiejętność i literaturę), i w pierwszym zaraz zeszycie wstępnym bojem uderzył na Kollára. „Słowacki język — odkrywał Hodža gorące nadzieje i marzenia, i swoje i swych towarzyszków — daje mi do ręki klucz do skarbów nie tylko czeskiej, ale i polskiej i rosyjskiej i serbskiej i illyryjskiej literatury. Na wszystkie cztery strony szerokiego słowiańskiego świata może Słowak okiem swego niemal wyłącznie języka się oglądać, wpatrywać się we wszystkie objawy duchowego, słowiańskiego życia“... Jak Hodža, tak Hurban, tak za nimi cały, w zwartych szeregach postępujący hufiec młodszych pisarzy i pieśniarzy słowackich, podpisywali oburącz i powtarzali z zapalem, niewiedzieć, hymn czy manifest swego wodza Štúra, głoszący chwałę całej rodziny słowiańskich języków, a w ich rządzie

i najmłodszego, nie dziw, że najbardziej umiłowanego Benjamina — słowackiego ¹:

„Kto w starosłowiańskiej mowie nie dojrzy pełności, jędrności, samej z siebie płynącej twórczości staroindyjskiego języka? Kto nie dopatrzy w rosyjskiem dokładności i ścisłości, którą łacina się chlubi? Kto w polskim języku nie uzna lekkości i akuracności francuskiej mowy; kto nadto nie rozmiłuje się w malowniczości, z jaką zwłaszcza zabawne sceny tak naturalnie przedstawia? Komu do oczu nie wpadnie niemiecka głębokość, z którą bogaty czeski język idee oddaje; głębokość, jaśniejąca najwyraźniej w prawniczem słownictwie? A jakże nie pokochać śpiewności i słodyczy włoskiej w serbskiem, w słoweńskiem narzeczu dalmatyńskiem? Nasz słowacki, tatrzański język mało jeszcze znany, ale kiedy w całej swej świetności zabłyśnie, każdy przekonać się będzie mógł o jego bogactwie, różności, gębkości z obrazowością złączonej, w czem między siostrami swemi najbardziej do greckiego się zbliża. Małoruskie narzecze odznacza się również różnością, barwnością i wielką akuracnością wyrażen; z tego też powodu najpodobniejsze jest do naszego słowackiego“.

Sam Štúr, choć wiersze składał, poetą w wyższem tego słowa znaczeniu nie urodził się; główna jego zasługa w tem, że zdolny był siłę i żar swych przekonań w innych przelewać; rozumiał cenę i znaczenie gminnej pieśni, mającej na Słowaczyźnie raczej budować dopiero, niż stać na straży narodowego pamiątek kościoła; umiał gminnych piosnek słuchać, umiał mnogich słuchaczów im jednać. Prawdziwym wieszczem, „niższym zapewne — jak wyraża się historyk słowackiej literatury — od Puszkina, niższym od polskiego Homera i Byrona w jednej osobie, od Mickiewicza, ale który tu u nas, na zachodnich kresach, niepodzielnie króluje, to miodousty Jędrzej Sládkovič“. Właściwe jego rodowe

¹ W książce: *Nauka reči slovenskej*. Odnosny ustęp, jak i wiele innych szczegółów, mających związek z literaturą słowacką, zaczerpnięte z dzieła: *Dejiny literatury slovenskej*, napisał Jaroslav Vlček. V Turč. Sv. Martine. 1889 i 1890.

nazwisko: *Braxatoris*, mniej znane; lecz spytaj o Sládkoviča, okaż zainteresowanie się jego pieśniami, a przekonasz się, jak głęboko żyje w sercu swego narodu, jaki nań wpływ wywarł. *Sladky naš Sládkovič!* zachwala mi z entuzjazmem ulubionego swego poetę martinśki literat i prosty wiejski proboszcz; obaj nie kryją zdziwienia, raczej politowania, że dotąd Sládkoviča nie znam; tem jednym mię chyba wymawiają, że zbiorowe wydanie dzieł poetę od dawna w handlu księgarskim wyczerpnięte, a na drugie słowaccy patryoci i księgarze zebrać się dotąd nie mogli. Szczęściem udało mi się znaleźć w *Šw. Mikulaszu*, czego w *Martinie* napróżno szukałem; pocziwy księgarz-antykwarz, i w jednej osobie handlarz „piśmiennych materyałów“, odnalazł i odstąpił za kilkadziesiąt centów trochę podarte i zbrukane: *Spisy Básnické Andreja Sládkoviča*. Ściskam w ręku rozpadające się kartki i mimowoli przypominają się słowa, które sam Sládkovič wyrzec miał do jakiegoś węgierskiego poetę: *Slovenský básnik* (poeta) *slávy nemá*; przerzucam te kartki, tak nie dla słowackiego już, lecz i dla polskiego nawet ucha dźwięczne i wdzięczne, tak prawdziwie „słodkie“, melodyjne, i przywłóżyć muszę bez zastrzeżeń skreślonym na cześć Sládkoviča, za *motto* zbiorowego wydania słusznie użytym wyrazom:

Lecz przyjdą czasy, a sławę Twoją
Wspominać wieki będą!

Dla Polaka szczególnie miły i interesujący w poezjach Sládkoviča, wyraźny nieraz wpływ polskich wieszczów: Mickiewicza, czasami Słowackiego, Zaleskiego. W prześlicznych, tryskających fantazją, dziwiących świeżością i żywością *Sóvety v rodine Dušanovej*, słyhać raz po raz jakby jakieś to słabsze, to głośniejsze oddźwięki z „Dziadów“, odzywają się Skierki, Goplany, Chochliki, śpiewają hymny chóry kwiatów, gwiazd, iskier i wiochrów; kilka ustępów — jak sam poeta lojalnie zaznacza — dosłownie z polskich poetów przetłumaczone¹. *Marina*, idealnemi

¹ Np. *Spisy*, str. 396:

V tomto svete keď sa kýchne,
Hneď sa na zdravie voláva... i t. d.

farbami wymalowany typ słowackiej dziewczyny, przypomina żywo w paru scenach, zwłaszcza w pięknej scenie w ogrodzie, Mickiewiczowską Zosię. I w tem jeszcze pieśni słowackiego wieszczą — mówiąc ogólniej, pieśni słowackich wieszczów — do utworów naszych poetów zbliżone, że serdeczna, nieraz aż w dźwięki nienawiści dla wrogów przechodząca miłość ojczy-stego, słowackiego kraju, tłem i źródłem poetycznego jego na-technienia; że miłość ta w każdym, rzec można, utworze drga, w każdym to sączy się cichym i spokojnym, to znów pędzi jak lawa gorącym, wszystkie przeszkody łamiącym strumieniem. Z tego uczucia popłynęła długa, a przecież nie nużąca, w tak ponętnych barwach przedstawiająca rodzinny kraj, sielski oby-czaj, sielanka: *Detvan*; popłynęła narodowa epopeja: *Svätomartiniada*, słowiańska epopeja: *Gróf Mikuláš Šubić Zrínski na Sihoti*. Myśl przewodnia ostatniego tego poematu występuje już jasno w twardych słowach wstępnej przegrywki:

My Węgrom gośmy nie dali; patrz, bezstronne dzieje
To nam wracają, co wzięli złodzieje!
Hej! uczyć idzie lud swój wojewoda:
Gdzie żyć nie wolno, tam umrzeć swoboda!

Na „odrodilców“ — na renegatów słowiańskiej idei, padają pioruny oburzenia i szyderstwa:

Polak Francuzem jest, Słowak jest Madziarem,
Serb z Chorwatem się stali plemieniem Arpada,
Słoweniec nie Słoweńcem, Bułgar nie Bułgarem,
Czech, Szlązak, Morawianin, dmie się Niemca mianem...

Liczna, bardzo liczna drużyna drugorzędnych poetów ude-rza w te same struny; czerpie pełnemi dłońmi z Puszkiniow-skich, znacznie mniej obficie z Mickiewiczowskich źródeł; zwraca się z kłatwą i gorzką skargą ku Węgrom; z otwartemi ramionami ku „Wszechsłowiaństwu“, ku wielbionej, w pomoc przyzywanej i przez Sládkoviča, choć jeszcze z taktem, z zachowaniem pewnej miary, „matuszce-Moskwie“¹. Samo Chalupka

¹ Por. *Spisy básnické*, wiersz *Pozdrav*, str. 590; *Zbit — lebo mriet!* str. 598, i t. d.

walczy w młodych latach w polskich szeregach w powstaniu z 1830 r.; w późniejszych wierszach i pismach „niechętnie wspomina o udziale swym w bojach braci przeciw braciom“. Bohdan Hroboň w energicznej odzie *Mládeži* współzawodniczy z Mickiewiczowską „Odą do młodości“; Dobšinský przekłada na język słowacki piękniejsze utwory Puszkina, Lermontowa, Mickiewicza; Kubáni — szczery i prawdziwy przyjaciel Polaków, wielbiciel ich dziejów — snuje poetyczną powieść: *Radzivillovna, královna poľská*; nowelista Janko Kalinčák zapożycza bardzo wyraźnie farb od Chodźki, Rzewuskiego; kilku innych powieściopisarzy tłumaczy, naśladuje, przerabia Czajkowskiego; komedyjka Palárika: „Pojednanie czyli obżynkowe cuda“, naśladuje wiernie Korzeniowskiego „Okreźne“.

Wywieramy zatem pewien wpływ na pobratymczą, słowacką literaturę; czemu tak stosunkowo niewielki, gdy czeski, gdy zwłaszcza rosyjski rwiącym potokiem naprzód się wali, przez wszystkie pory się sący — tak że chcąc go dokładnie określić i zrejestrować, trzeba by się chyba zdecydować na napisanie całej historii literatury słowackiej? Ważne to bądź co bądź pytanie, i wartoby się może kiedy nad niem gruntownie zastanowić, tem bardziej, że mało tu tylko zaważyć może na szali wymówka, którą wobec tego rodzaju pytań zwykliśmy się zasłaniać: „Bezsilni jesteśmy, bo nie mamy narodowej samoistości!“

Czysto narodowych, czysto słowackich bohaterów, dwóch zna przed innymi słowacka poezya: ginącego w pomroku wieków Matuša Trenčianskiego, potężnego księcia Wagu i Tatr, i herszta tatrzańskich opryszków z początku zeszłego wieku: Jánošíka. Dla Matuša mają słowaccy wieszcze cześć głęboką, odtwarzają z pewnym żalem i dumą narodową, to legendową tę postać, to w chwili jednej mocą oręża jego do życia przywołane, aby w tejże samej niemal chwili bezpowrotnie zagaść i zniknąć, słowackie królestwo; dla Jánošíka cześć mieć nie mogą, ale mają dlań wielką słabość, urobili sobie z tatrzańskiego zbója typ miłości swobody i wolności, groźnego pogromcę uciskających, a bohaterskiego obrońcę uciśnionych. Założyć się można o sto przeciw dziesięciu, że nie znajdziesz ani jednego obszerniejszego

zbioru słowackich wierszów, w którym dobrze poszukawszy nie odkryłbyś nazwiska Jánošika; ody, sonetu, elegii, trioletu, opiewającego, idealizującego jego czyny. „Z Jánošikiem naszym — śpiewa Chalupka — z Jánošikiem, przykutym do muru w podziemiach likawskiego zamczyska, przykuty geniusz narodu“...

Te nasze nadzieje, jako ranna rosa,
Słońko je przygrzeje, wiatr je owieje:
Takeście nam znikły, o nasze nadzieje!...
Ale przyjdzie wiosna, da więźniowi siłę:
I wieże wylamie i straże okłamie...
W tej kosodrzewinie płomienie roznieci,
Słowiańskiej rodzinie swobodą zaświeci...

Jan Botto opiewa również w „Jánošikowej pieśni“, w „Jánošikowej śmierci“, „swobodę, przemiał swobodę, która nam uciekła, niby z kosza woda“. Na śmierć skazany, bohaterski zbój tatrzański odzywa się w słowach, w których trudno nie dopatrzyć gryzącej alegorii bolesnych wspomnień z 1848 r.:

Umrzeć — taki wyrok! Prawda, jam urządził zbójceckie wyprawy; ale kto większym zbrojem: ja, czy kaci moi? Jam chodził rozbijać po szerokim polu, ażebym zapomniał o ciężkiej niewoli. Jam chodził rozbijać po bezdrożnym stepie — ażebym nauczył prawdy nikczemników. Jam chodził na rozbój za swobodą złotą — aby stargać więzy ukochanych braci... Wolności, wolności, o wolności moja! dla ciebie mi pany szubienicę stawia!...

— Tak, — tłumaczy mi jeden ze słowackich literatów — Jánošik, to narodowy nasz bohater... Prawda, że zbój, lecz czyż ostatecznie opiewani przez średniowiecznych bardów rycerze, byli w gruncie rzeczy czemś innem; czy ich wyprawy nie były najczęściej podjęte w chęci łupu, a więc, jak dziśbyśmy się wyrazili: zbójceckie?... Nasz Jánošik odważniejszy, szlachetniejszy od wielu z tych dawnych rzymskich, greckich, z tych średniowiecznych francuskich, niemieckich rycerzów, nad którymi przecież po dziś dzień historycy literatury, profesorowie, w szkole każą nam się entuzjazmować!...

— A obecnie — pytam w ciągu długich, częstych pogawędek o słowackiej literaturze — kogo uważacie za największego między żyjącymi, tworzącymi po dziś dzień poetami?

Odpowiedź wszędzie i zawsze jednakowa. Dwóch zwłaszcza przerosło wszystkich swych kolegów po lutni o całą głowę:

Hviedoslav i Vajanský. Pierwszy (Paweł Országh) „stoi sam, stoi wielki jak tatrzańska jodła wśród kosodrzewiny“; wódz w licznem gronie uczniów Sládkoviča, a uczeń w niejednym jeszcze względzie przewyższył mistrza. Czem w polskiej literaturze „Pan Tadeusz“, tem w słowackiej liryczno-epiczna powieść *Hájnikova žena* (Żona leśniczego); czem dla nas swojskie opowiadanie Pola, tem za Tatrami poetyczne — bardziej od Polowych poetyczne — powieści: *Bitora a Čutora*, *Na obnócke*, *Ežo Vlkolinsky*. Z drugim, z Vajanským (Svetozar Hurban), znałem się już od kilku godzin, jako z redaktorem *Novin*; kielichy nasze, w szczyrze słowiańskim, a zatem po słowiańsku gościnnym jego domu, kilkakrotnie o siebie uderzyły; zamieniłem z nim, z żoną jego, z podrastającymi dziećmi, raz po raz wracające tu ciągle i wszędzie westchnienie: „Czemu my wzajemnie tak mało ze sobą się znamy?“ a nie wiedziałem jeszcze, — ze wstydem wyznaję — że redaktor ów, że ów uprzejmy gospodarz należy do owego *duumviratu*, który bezsprzecznie, niepodzielnie panuje dziś w słowackiem królestwie poetycznem. Prawda! Vajanský na wieszczą, jak poetę fantazyja, nie słuchając wskazówek rozsądku i rozumu, malować nam zwykła, nie bardzo wygląda: ani wysmukły, ani bladły, ani włosów nie ma rozczochranych; ani nawet — w tem już może większa wina obserwującego, niż obserwowanego — oczów przymglonych, rozmarzonych, w nieokreśloną dal zapatrzonych, w żaden sposób dopatrzyć się w nim nie mogłem. Prawda i to, że niedomyślający się niczego poeta pozował mi do naszkicowanego powyżej portretu w fatalnej chwili: przy kręglach, bez surduta, zrzuconego w zapale gry, z kuflem piwa w rękę; chciałbym wiedzieć, czy i Byron w takich okolicznościach i w takiej pozycji „po byronowsku“ by wyglądał? Zresztą nie chodzi o to, jak poeta wygląda, lecz co i jak pisze; więc precz z prozaicznym obrazem, tak nie w porę wciskającym się przed oczy; zniżmy czoło przed długim szeregiem wierszy, pieśni, tercyn, sonetów; długim, w piękniejsze, żywsze jeszcze barwy strojnym szeregiem, pisanych prozą, lecz nigdy nie prozaicznych, noweli, powieści.

Barwy śliczne, ciągną ucho, fantazyę; czemuż na idee w te cudne barwy przybrane nie zawsze i nie bez zastrzeżeń

zgodzić się można? Jeśli nienawiść gniotących Madziarów, miłość potężnych braci Rosyan, zaciemnia nieraz jasny wzrok i sąd Vajanskiemu - redaktorowi, to Vajanskiego - poetę wzięły wręcz w niewolę, ciskają, miotają nim z ślepą jakąś siłą. W wierszu: „Na śmierć Aleksandra II. Oswobodziciela“, poeta, wysławiawszy wielkie czyny, wielkie cnoty świętego męczennika, woła i zaklina: Wieleś dokonał, wiele plemion oswobodziłeś; ale nie spełnione twe dzieło:

Przedwcześnie umarłeś carze,
 Pojrzyj z niebieskiej jasności:
 Niewolników jeszcze dość!

Strasznie piekącą rozpaczą, żrącą nienawiścią, są zwrotki zatytułowane: *Pax detestata*:

To nie tragedia: nasz ból szalony,
 W tragedyi walka i dumna śmierć,
 Nie mieczem, kaźnią, torturą, hakiem,
 Nie bożych gniewów jawnym piorunem
 Śmierć na nas idzie, lecz jakby żyły
 Kto popodcinał, krew cieknie, cieknie,
 Z krwią cieknie życie.

Gdyby chcieć cytować nie takie już, lecz bez porównania gwałtowniejsze zwrotki, trzeba by wydać chyba kompletne tłumaczenie wszystkich poezyj Vajanskiego. „Węgrzy duszą bez miłosierdzia — mówił mi, nie pamiętam sam Vajanský, czy który z druhów jego i kolegów — duszą, gniotą, lecz przyznać im należy, że wolność prasy — w najobszerniejszem słowa tego znaczeniu — umieją uszanować. Co w waszej Cislitawii spotkałoby się ze stu konfiskatami i stu procesami, to u nas nie zwróci nawet na siebie uwagi żadnego prokuratora. Tak! pisać nam wolno co chcemy. Madziarzy chełpią się: Nigdzie niema takiej wolności prasy, jak u nas. Prawda to, lecz czemuż nie dodają: Pozwalamy prasie taką swobodę, bo ostatecznie mało sobie znaczenie jej i wpływ ważymy, a cudzoziemców łudzimy tanim kosztem, rzucamy im piasek w oczy. Niechaj sobie Słowacy krzyczą i lamentują w swych dziennikach; cóż nam to może zaszkodzić, jeśli będą musieli swe dzieci posyłać do madziarskich szkół; jeżeli w walce o byt zawsze ten zwycięży, kto w Madziara się

przekształci; a kto uporeczywie przekształcić się nie chce, temu karyera zamknięta, a otwarta niezawodna bieda; tego czeka głód i chłód, nieraz czekają po prostu — baty...”

Słuchasz; pytasz się: wierzyć, nie wierzyć, co i o ile wierzyć? Nie wierzyć z góry i z zasady, bardzo łatwo i wygodnie; tylko czy taki system, stosowany tak często i bezwzględnie za granicą do relacyj i opowiadań o naszych polskich biedach i nieszczęściach, przyczynia się do poznania prawdy, do wyjaśnienia istotnego stanu rzeczy? Gdyby ci jeden tylko zapalony Słowak zaręczał: „Madyaryzują nas bez litości!” mógłbyś może wstrząsnąć ramionami; ale gdy na każdym kroku, w każdym domu, nie od samych tylko Słowaków, lecz od osiadłych tu Polaków, Niemców, tę samą piosnkę słyszysz, gdy na poparcie rzuconego oskarżenia tyle cytują i wskazują faktów, że wszystkich zanotować i zebrać niesposób: to jakże przejść nad temi skargami, popartemi tak obfitym dowodowym materiałem, do porządku dziennego?

Madziarzy — mieliśmy o tem sposobność powyżej się przekonać — nie łają, raczej z tego się chępią, że pragną zmadyaryzować Słowian, zamieszkałych w krajach podległych koronie św. Szczepana; utrzymują tylko, jak utrzymywał już dawno temu Pulszky w głośnej swego czasu korespondencji z Leonem Thunem¹: „W publicznem życiu musi wyłącznie panować język węgierski, i wszyscy, którzy w Węgrzech mieszkają, muszą się za Węgrów uznawać; natomiast w życiu prywatnem, domowem, wolno każdemu mówić, jakim chce językiem; wolno mu pielęgnować, jakie żywnie mu się podoba, uczucia i ideały“. Słowacy naturalnie na tę teorię zgodzić się w zasadzie nie mogą; lecz czy i ta przynajmniej teoria wszędzie i szkrupulatnie w praktyce jest przeprowadzoną? Paru Niemców w Wiedniu, znających dobrze z kilkuletniego pobytu w północnych Węgrzech słowacko-węgierskie stosunki, wyrażało się o tem nad wyraz sceptycznie; opowiadali mi bardzo smutne szczegóły o t. zw.

¹ *Die Stellung der Slovaken in Ungarn*, beleuchtet von Leo Grafen von Thun. Prag 1843.

pospolicie *Stockungarn*: Słowakach, którzy wprost pod wpływem kija przyszli do przekonania, że lepiej być Węgrem i nosić węgierskie nazwisko. Pewien Polak znowu, osiadły od długich lat w Węgrzech, zostawił mi notatkę, zawierającą prawdziwie oburzające szczegóły o biciu, znęcaniu się kilku wiejskich węgierskich despotów nad biednymi Słowakami; o niemożności, w jakiej znajduje się Słowak, dlatego że Słowakiem jest i po węgiersku nie rozumie, otrzymania sprawiedliwości. A cóż dopiero sami Słowacy opowiadają!?...

Najbardziej oburza i dopieka madyaryzacya słowackich dzieci, „kupowanych“ od ubogich, głodem czasem przymierających rodziców, i wywożonych całemi taborami do południowych Węgier, na dziką „pusztę“, gdzie zmieniają im nazwiska, wlewają w serca niechęć dla Słowaczyny, a dodając w ten sposób nowych soków żywotnych usychającemu węgierskiemu plemieniu, wyrabiają najzaciętszych Madziarów z synów słowackiej ziemi. O tych wywożeniach, przypominających żywo podobne wywożenia polskich dzieci za czasów Mikołajowskich, opowiadało mi kilku Słowaków różnego stanu, różnego wieku; każdy, na pozór przynajmniej i w innych kwestyach najspokojniejszy, w tej jednej tracił zimną krew, pięści zaciskał i wręcz trząsł się ze wzruszenia i oburzenia przeciw „nowym Herodom“.

— Gdzie są moje dziatki? — pyta w jednym z dramatycznych utworów lamentująca dusza wdowy po nauczycielu¹:

Nade mną zwiędły kwiatki,
Gdzie są moje dziatki?
Na Pustkę je zagnali,
Oj!... rodzcie mój!...
Z grobu nie śmiem się ruszyć
Ni stanąć przed Bożym sądem,
Póki z Pustky nie powrócą,
Oj!... rodzcie mój!...
Dziewiectwo — stracone,
Narodowość — wzięta,
Nigdy się już nie powrócą,
Oj!... rodzcie mój!...

¹ *Zlomky ze smutnohry: Slovenské millenium*, od Jozeta Podhradského. — *Slovenské Pohľady*. Luty 1892.

— Czy wy rzeczywiście wywozicie na pusztę słowackie dzieci? — zagaduję jakby od niechcenia jakiegoś wybornie wyglądającego węgierskiego obywatela, który jechał właśnie sprzedawać ostatnią swą wioskę „parchowi-żydowi“; a nie wiedząc co zrobić ze sobą i z powoli płynącym czasem, na małej kolejowej stacyi zabawiał siebie, a przy tej sposobności zabawiał i mnie, entuzyastycznem wychwalaniem węgierskiej wolności, węgierskiego dobrobytu, węgierskiego wina, węgierskiej słoniny, kojarzącej się tak idealnie z węgierską śliwowicą.

— Oczywiście wywozimy — odpowiada Węgier z najnaturalniejszą w świecie miną. — To także niemale dobrodziejstwo dla biednych Słowaków, którzy na jałowych swych, górskich gruntach nie mogliby dzieci dostatecznie wyżywić, a tak ani myśleć, ani starać się o nie nie potrzebują. I co niemniej ważna, wszystkie te dzieci, sieroty, wyuczają się węgierskiego języka, pozbywają się panslawistycznych idei, a zatem mają przed sobą otwartą karierę, dorabiają się później wpływu, majątku, urzędów.

— I stają się z kolei — dośpiewałem sobie w duszy — najzazartszymi madyaryzatorami. Ich nieszczęśliwych, nie z własnej swej winy odstępców narodowego języka i idei, miał bez wątpienia poeta w pierwszym szeregu na myśli, gdy pendzlem w żółci, w patryotycznem obrzydzeniu zmaczanym, kreślił następny obraz karyerowiczów-renegatów¹:

Wierny jest jako gad,
Jako księżyc stały,
Litościw jako kat,
Jako fala pewny,
Jak hyena łagodny,
Odważny jak zając,
Jak echo sam sobą,
Poważny jak pajac,
Czysty jako smród,
Wrzący jako lód —
Oh! o tę laleczkę
Nie masz się co bać.

¹ *Verše*, Sv. Hurbana Vajanského. — Turč. Sv. Martin. 1890. — *Istá kariéra*. Str. 67.

Wszystkie słowackie dzieci na pusztę zagnać, oczywiście niepodobna; chodzi o to, aby i te dzieci, które na Słowaczyźnie pozostają, o ile można, w Madziarów przerobić. Dla osiągnięcia tego celu zniesiono (w 1874 i 1875) bez długich korowodów trzy istniejące dotąd słowackie gimnazya: w Wielkiej Revúci, w Klasztorze pod Žniowem i w Turč. Sv. Martynie. Był to dla Słowaków cios straszny; boleśniejszą bodaj jeszcze, wciąż jątrzącą się raną, jest zadekretowane w tymże samym czasie „zawieszenie“, mówiąc bez ogródek, zniesienie słowackiej „Maticy“. Trzeba na Słowaczyźnie czas pewien побыć, trzeba rozczytać się w słowackich pismach, poezyach, powieściach, czem „Matica“ była, jaką grała rolę w myślach i nadziejach słowackich patryotów, jakimi powstała ofiarami, aby zrozumieć wielkość żrącego bólu, który przenika serce każdego Słowaka, gdy pomyśli, że wszystkie te nadzieje rozplynęły się w nicosć, wszystkie ofiary i prawdziwie heroiczne wysiłki — daremne.

„Matica“ koncentrowała naukowy i literacki ruch narodowy, podsycala go peryodycznie wydawanymi dziełami, słowem zastępowała — o ile to możliwa — i uniwersytet i akademię umiejętności, i nawet pewnego rodzaju, przez rząd oczywiście nie uznana, ale niemniej faktycznie istniejącą, narodowo-polityczną komisję, przypominającą poniekąd warszawskie „Towarzystwo rolnicze“ w świetnych chwilach swego rozwoju. O założeniu takiego narodowego Centrum myślano i marzono od dawna; marzenia zbliżyły się do rzeczywistości na słynnym w słowackich rocznikach narodowym zjeździe w Sv. Martinie, 6 i 7 czerwca 1861 r.; w dwa lata później — w sierpniu 1863 — odbyło się w Martinie pierwsze walne zgromadzenie „Maticy“. Prezesem „Maticy“ został jednomyślnie obwołany, wielki patryota, hojny mecenas słowacki, biskup bańsko-bystrzycki: Stefan Moyses; wiceprezesem ewangelicki superintendent dr. Kuzmány. Ze wszech stron posypały się obfite składki; wzięli w nich udział: sam cesarz, biskup Strossmayer, parę słowackich rad miejskich, a przede wszystkim równie katolickie duchowieństwo, jak ewangeliccy pastorowie. W pierwszym roku istnienia liczyła „Matica“ 984 członków; cyfra ta wzrastała z roku na rok, a wespół z liczbą człon-

ków rosły fundusze, zwiększały się muzealne zbiory, literacka i naukowa działalność coraz szersze zataczała kręgi. W przeciągu trzech lat (1864—67) wydała „Matica“ na druk słowackich książek około 10.000 złr.; w następnym, 1868 r., cyfra ta podwoiła się, choć jednocześnie rozpisano składki na budowę „Domu“, mającego być w ścisłym słowa znaczeniu „domem“ nie tylko „Maticy“, ale całej Słowaczyny, ogniskiem narodowego i naukowego jej życia.

Tymczasem rząd węgierski, dotąd jeśli nie sympatycznie, to obojętnie przypatrujący się tym pracom i wysiłkom, zaczął na nie spoglądać krzywym okiem, mnożyć trudności, podejrzawać i oskarżać „Maticę“ o panslawistyczne agitacje, rozdmuchiwanie panslawistycznego ducha. Czy w oskarżeniach tych nie było pewnej racji; czy przewodcy „Maticy“, lub, co na jedno wychodzi, przewodcy słowaccy postępowali sobie zawsze dość ostrożnie, czy ostentacyjnymi czułościami dla „bratniego, słowiańskiego cesarstwa“, nader niepotrzebnie Węgrów nie drażnili? Trudno — sądząc jak z ówczesnych, tak z dzisiejszych pism, dzienników — odpowiedzieć na te pytania wręcz przecząco; w każdym razie, zgodziwszy się nawet na uznanie winy, to kara za nią, dotycząca nie samych winnych, lecz cały naród, nie była — aby najdelikatniej się wyrazić — proporcjonalną; zbyt żywo i dotkliwie cały naród dotykając, nie była bodaj i roztropną. Dekret ministerjalny, podpisany przez Kolomana Tiszę 12 listopada 1875 r., zawiesił po prostu i bez dalszych ceremonij „Maticę“, zamknął zbiory jej i bibliotekę, a majątek, wynoszący w tym czasie przeszło 95.000 złr., oddał pod rządową straż i opiekę. Przez całe dziesięć lat rząd zastanawiał się, jak funduszy tych użyć; wreszcie r. 1885 zdecydował się ustanowić na swoją rękę instytucję, mającą zastąpić „w zdrowym, czysto węgierskim duchu“, zniesioną panslawistyczną „Maticę“, i istotnie założył w Peszcie „Związek dla szerzenia oświaty między węgierskimi Słowakami“, przelewając do jego kasy kapitały zabrane „Maticy“. Słowacy o nowym „Związku“ nie wiedzieć nie chcieli; oburzali się, protestowali i pytali: Skąd nagle założyciele i pierwsi członkowie nowego „Związku“: Radvanszky, Császka, Zsilinsky, Bacsák,

Baross, Lehoczky, Grünwald, Rakovszky, Sczitovszky, Rudnyan-szky — nabrali znajomości i miłości słowackiego narodu, gdy niejedyn z nich nawet słowackiego języka nie rozumie; jakim prawem oni — Madziarzy z krwi i kości — mają rozporządzać słowackim groszem, tak ciężko, z tyłu ofiarami zebranych? Protesty płynęły swoją drogą i tonęły bez śladu; na pytania peszteńskie dzienniki odpowiadać wogóle nie raczyły; przedłożona cesarzowi prośba odesłana została bez żadnego dopisku do węgierskiego ministryum spraw wewnętrznych; natomiast prze-myślny Katkow nie zaniechał skorzystać z tak pięknej sposobności i w grzmiącym artykule, umieszczonym w *Moskiewskich Wiadomościach*, ujął się za sponiewieraną przez Węgrów wolnością (*sic!*), za biednym słowackim językiem, którego po szkołach w Węgrzech uczyć nie wolno. Czyż pod piórem Katkova nie zabawne to lamenty? Co, niewiedzieć smutniejsza, czy śmieszniejsza, słowackie organa wzięły te wyrzekania za najlepszą monetę; na myśl im nawet nie przyszło zapytać, co się np. dzieje ze szkołami w Polsce, co z polskim językiem, co ze zbiorami, z bibliotekami w Wilnie, w Warszawie?...¹.

Wchodzimy w kilku do „Domu“ oglądnąć nagromadzone tu zbiory, bo chociaż „Macierz“ urzędowo nie istnieje, a zbiory jej pod rządową kuratelą, to przecież nie na tyle znów kluczków zamknięte, aby przejezdny za zamki te i rygle nie mógł się przedostać. Lecz nietylko dla samych zbiorów „Dom“ zwiedzić trzeba koniecznie. Czegóż-bo niema w „Domu“ — mówiąc nawiasem, obszernym, najobszerniejszym bodaj w całym Martinie budynku, przypominającym może nie najpierwszy, lecz w każdym razie bardzo przyzwoity, dopiero co z pod kielni wyszły wiedeński jakiś lub peszteński hotel; — jakichże potrzeb, nietylko rozumu, wyobraźni, lecz i ciała, zaspokoićby w „Domu“ nie można? W dolnych salach: restauracya dość wielka, z pewnym nawet komfortem urządzona; gości sporo — oczywiście samych Słowaków; Madziara prawdziwego jedno chyba widmo śmierci gło-

¹ Por. *Nár. Noviny* z 12 września 1885

dowej byłoby w stanie — i to jeszcze pytanie — zapędzić do „Domu“; między gośćmi kręci się z wiedeńskim szykiem paru kelnerów we frakach i białych krawatkach. Wszystko pięknie, wonnie i składnie; co mniej składnie i co stanowi prawdziwie piętę Achillesową „Domu“ i niemało dochodów mu umniejsza, że restauratorowi nie wolno utrzymywać na składzie żadnych napojów. Chcesz przy obiedzie wypić szklanekę piwa, czekaj, póki łaskawy *Johann* lub *Heinrich* nie zechce się po nią pofatygować do najbliższej piwiarni; przyjdzie ci fantazyja stuknięcia się szklanczką wina z sympatycznym sąsiadem, na cześć polsko-słowackich sympatyj, proszę znowu usługowego Martinka lub Janiczka, żeby się przebiegł do najbliższej *Meranii* (Propinacyi) *rozličnich trunkov*.

— Ależ dla czegoż, — zwracam się do sąsiada, widocznie niecierpliwiającego się, że Imci pan Janiczek zbyt długo z wycieczki swej nie wraca — dla czegoż nie postaracie się o prawo sprzedawania napojów tutaj?

— Dla czego? Dobry sobie jesteś z tem pytaniem. Bo pozwolenia tego dać nam nie chcą i nie dadzą; przecież „Dom“ nasz „panslawistyczne“ gniazdo, a jeśli panslawistom można w czem dokuczyć, z jakiejże racyi sobie tej przyjemności odmówić? Próbowaliśmy do Pesztu apelować; na nic się nie zdało. Kiedy przyszedł zakaz sprzedawania w „Domu“ wina, piwa, tak nas to ubodło, że w pierwszej chwili wielu z nas dawało sobie słowo: „Nie wolno, to nie wolno; tu nam zakazują, to nigdzie pić nie będziemy!“ Długo naturalnie trwać ten strejk nie mógł; człowiek zmęczony po pracy potrzebuje i przywykł w kole przyjaciół czemś się orzeźwić: to też liczba strejkujących z dnia na dzień topniała, a po trzech mniej więcej miesiącach stopniała do zera. Dziś pijemy, ale za każdym razem, kiedy trzeba służącego po kieliszek wina na miasto wysłać, każdy z nas ma wrażenie, jakby go kto szpilką ukłuł, a usta mimowoli do przekleństwa na Węgrów się układają...

Po drugiej stronie, pięknym — ile pamiętam — przedsiönkiem od restauracyi oddzielone, kasyno słowackie; kasyno węgierskie znalazło gościnność w *Grand-Hôtel'u*: wieczorem potrzebujesz

tylko parę ulic przejść, z jednego hotelu do drugiego się spacerować, a znajdziesz w dwóch różnych, wrogich sobie światach: tam portret Kossutha, tu Dobrzańskiego; tam przysadkowaty wiceżupan opowiada o podkopaniu Słowaczyny przez panslawistyczne agitacye, tu wychudzony dziennikarz opowiada o madziarskich gwałtach; tam peszteńskie rządowe dzienniki, tu słowackie, czeskie, rosyjskie. Zbieram sobie, korzystając z chwilowej nieobecności wszystkich mych przewodników, na osobną kupkę ostatnie numera pism słowackich i przepatruję je z zaciekawieniem. Dwa najgłośniejsze: *Národné Noviny* i również trzy razy w tydzień wychodzące, co do objętości, formatu, jakby z *Nár. Novin* odfotografowane, rządowe *Slovenské Noviny*, poznałem już poprzednio. Także rządowego, także z funduszów „*Maticej*“ wydawanego dwutygodnika *Vlast a Svet*, do którego Słowacy w szczególności serdeczną żywią antypatyę, napróżno szukam, jak tu, tak w całym Martinie spotkać się z nim niepodobna. Z blado-zielonych swych okładek wyglądają bardzo poważnie *Slovenské Pohľady*, rozchodzące się, jak objaśnił mię później znany już nam ich redaktor, Józef Škultety, w mniej więcej 600 egzemplarzach.

— Nam chodzi o to — zwierzał mi się z nie-redaktorską szczerością — aby jak najwięcej Słowaków czytało, koniecznie czytało pisma słowackie. Niech od biedy czytają nawet *Vlast a Svet*, jeżeli darmo go mogą dostać, a na inny dziennik brak pieniędzy; byle czytali, byle przyzwyczaili się zaglądać do gazety, pisanej w ojczystym, słowackim języku. To w tej chwili najważniejsza dla nas, najbardziej piekąca kwestya. Dlatego nie wahamy się posyłać nasze *Pohľady*, gdzie tylko sądzimy, że znajdą chętne przyjęcie i na czytelnikach im nie zabraknie; zapłaci kto — bardzo pięknie; nie zapłaci — cóż robić? Źle dopiero i smutno, jeśli kto i czytać nie chce; a niestety, dużo takich, bo jeśli słowackie dziecko, pobywwszy w dzisiejszych szkołach, Madziarem z nich nie wyjdzie, to jedno cud Boży!

Obok zielonych, literacko-beletrystycznych *Pohľadów* — różowy, pedagogiczny miesięcznik *Dom a Škola*, redagowany w Ružomberok'u przez byłego nauczyciela Karola Salva, biedaka wy-

zrzuconego ze szkoły dla silnie zaakcentowanych narodowych przekonań. Dalej kościelne katolickie pisma: miesięcznie w dwóch arkuszowych zeszytach wychodząca: *Kazateľňa*; tyrnawskie, czterdziesty trzeci rok życia już sobie liczące *Katolicke Noviny*, i w Tyrnawie również wychodzący *Pútňík* (Wędrowiec) *sv. Vojtešský*. Ewangelicy jeden mają organ: *Cirkevné Listy*. Rolnictwu, przemysłowi poświęcony miesięcznik: *Obzor, časopis pre hospodarstvo, remeslo a domáci život*, z literackim dodatkiem: *Pod lipou*. Ze względu na liczbę prenumeratorów, sięgającą podobno do 4000, stoi najlepiej czysto ludowy, gockiem i czcionkami wytłaczany *Národní Hlásník* (Narodowy Strażnik); rozumnym układem, poważną liczbą korespondencyj ze wszech stron Słowaczyny, z miasteczek i z wiosek, znaczną stosunkowo liczbą anansów, a wreszcie i przypadającym właśnie w roku bieżącym dwudziestopięcioletnim jubileuszem użytecznego istnienia, przypomina on żywo szląskiego naszego *Katolika*. Są i wydawane w Pittsburgu: *Amer. Slovenské Noviny*; jest wreszcie, aby w dziennikarskim tym koncercie żadnego tonu nie brakło, satyryczno-humorystyczny, ilustrowany miesięcznik: *Černokňažník*, ciągnący wesoły swój — nie rękę oczywiście, czy z każdego punktu widzenia wesoły — żywot już rok siedemnasty. Ryciny w nim nie najświetniejsze; ostrze dowcipów zwraca się głównie przeciw Madziarom, dotyka z lekka Żydów, cyganów, pijaków; zmienia się czasem w kadzielnicę, roznoszącą wonne dymy na cześć północnych braci Słowian... Wszystko razem wzięwszy na wagę, *Černokňažník* nie jest nudniejszy, nie jest też zabawniejszy od o wiele większej części naszych pisemek, liczących się — jak nagłówek opiewa — do działu pism humorystycznych.

Z kasyna przechodzimy do biblioteki, zebranej przez „Maticę“ z niemałemi ofiarami; dziś — od lat 17 — stojącej bezużytecznie, „próchniejącej, gnijącej“, jak oprowadzający nas p. Hurban z łatwą do wyrozumienia goryczą się wyraża. Kto zajmowałby się dziejami, literaturą Słowaków, ten w tej bibliotece znajdzie wszystkie potrzebne materyały. W dwóch szafach mieszczą się stare księgi słowackie, a przynajmniej przez Słowaków pisane; pochodzą one w najznacniejszej mierze — jak wogóle

cały majątek, jak niemal wszystkie zbiory byłej „Macierzy“ — z darów, słowackich patriotów. Cały naród, każdy Słowak, poczuwający się do swej narodowości, uważa też te zbiory za swą własność; stąd nietrudno już się dorozumieć, jak na całej Słowaczynie zawrzało, kiedy przed kilkunastu laty rozeszła się wieść, że kustosz Szechenyowskiej biblioteki, Béla Majláth, wynosi tajemnie z narodowego tego skarbu grube pliki i paki. Niewyjaśniona to po dziś dzień dostatecznie historia; *Nár. Noviny*, które pierwsze napiętnowały Majlátha mianem złodzieja, nie odwołały podobno nigdy postawionego przez siebie twierdzenia; z drugiej znów strony głucho i cicho o tem, czy i o ile śmiała wyprawa peszteńskiego kustosa była podjętą na własną rękę partyzantką, czy też z góry obmyślaną i popartą. A jednak, zdawałoby się, w tego rodzaju drażliwych sprawach, wobec oskarżeń tak jawnie i śmiało postawionych, nie należałoby światła zbyt skąpić!

Na wstępie do muzeum, w pierwszej zaraz salce, witają nas biusty Komeńskiego i wyswobodziciela Serbii: Czarnego Jerzego — charakterystyczne bądź co bądź, dające do myślenia powitanie! „Muzeum nasze — uprzedza z góry p. Hurban — nie bogate; z innemi, z zagranicznymi, nie może się mierzyć; inaczej zresztą wyglądałoby, gdyby wolno nam było robić, co i jak chcemy; lecz i takie biedne, ubożuchne, bardzo nam drogie, i im ubożsi jesteśmy, tem cięższy nam żal, że i tę drobinę Nielitościwie nam zabierają“... Istotnie, biedne jeszcze to muzeum; znać, że wszystko działała tutaj ściśle prywatna inicjatywa, nie mająca do swego rozporządzenia tysięcy, setek, ale obok wielu najgorętszych chęci, zaledwie pojedyncze guldeny, mozolnie, z wolno kapiących cencików złożone. Najciekawszy i najbogatszy jest dział ubiorów z różnych okolic słowackich, przeróżnego rodzaju, barwy i nazwy: kapki, czepce, chusty w prześliczne nie raz i nadzwyczaj delikatne i pracowite hafty strojne; znacznie uboższy i do względnego nawet skompletowania bardzo daleki jest dział ubiorów z różnych krajów i prowincyj słowiańskich. Do wykopalisk, do ceramiki zastosować najlepiej przez biskupa Krasickiego przekazany „ryczywolski“ system. Pod niepozornym, cynowym dzbanuszkim czytam podpis, że był on własnością

króla Sobieskiego; kto wie, być może, że istotnie Sobieski miał w ręku ten dzbanuszek; a choćby go nie miał, niema się o co procesować. Obrazów, raczej obrazków, litografij i fotografij, rozwieszonych po ścianach, po stolikach rozrzuconych, niewiele; jeden zwraca mą uwagę: *Smútiace Polky*. W dawniejszych bodaj czasach musiał tu się obraz ten zabłąkać, który kiedyś, kiedyś na Słowaczyźnie bardzo był popularny, bo w licznych kopiach na probostwach, w gospodach, w prywatnych mieszkaniach po dziś dzień pokutuje.

Z przybytku dawnych pamiątek i sztuki do przybytku muz, z muzeum do teatralnej sali, do *divadla*, krok jeden; gdzieindziej w przenośnem tylko znaczeniu, tutaj w najrealniejszym. Sala dość ozdobnie zbudowana i dość obszerna, może wygodnie kilkuset widzów pomieścić; w czasie przedstawień szczerze podobno bywa napełnioną. Przedstawienia te wykonywane, jak w Martinie tak w paru jeszcze innych słowackich miasteczkach, wyłącznie przez amatorskie siły, zbyt częstemi być nie mogą; dobrze, jeśli mniej więcej raz na miesiąc uda się energicznym przedsiębiorcom zebrać odpowiednią liczbę ochotników: pań, panów i *slečných* (panien), należyście ich wyćwiczyć, i co niemniej ważna a konieczna, postarać się, aby każdy z owych ochotników otrzymał w podzięcie odpowiednią liczbę oklasków w teatrze, odpowiednią liczbę pochwał na następującej nieraz po przedstawieniu tańczącej zabawie; odpowiednią pochwalną wzmiankę w sprawozdaniach umieszczanych szkrupulatnie w słowackich dziennikach. Niemale, niełatwe do spełnienia zadanie; tak bodaj trudne, że wobec niego wybór sztuki, mającej być odegraną, schodzi nieraz widocznie na drugi plan. Inaczej przynajmniej wytłumaczyć sobie nie umiemy, dlaczego martinscy amatorowie, mając tytu i swoich własnych i wogóle słowiańskich dramaturgów, komedyopisarzów, w tym właśnie jednym kierunku sprzeniewierzają się słowiańskiej idei, i karmią, karmili przynajmniej dawniej zbyt często swych widzów lichemi przekładami z Kotzebuego, lichszemi jeszcze przeróbkami z romansów George Sand. Przecież właśnie na kurtynie, złożonej przez Czechów w darze „bratnim Słowakom“, widnieje z daleka wierszem, pendzlem tylekrotnie tu głoszony

i idealizowany słowiański symbol: lipowy liść, którego trzy odnogi, jak mi tu tłumaczą, wyobrażać mają trzy główne słowiańskie szczepy: rosyjski, polski, słowiańsko-zachodni (czeski, chorwacki, słoweński i t. d.).

Martińscy znajomi żałują, że pobyt mój u nich nie wypadł na połowę sierpnia, kiedy zwykło mieć miejsce walne, doroczne zgromadzenie stowarzyszenia *Živena*, jedynego, któremu na nieco szerszą skalę rozwijać się wolno. Prawda, że *Živena* nie jest męskim, ale kobiecym stowarzyszeniem; pomimo tego wszakże węgierska galanteria na ciężką narażona jest próbę, bo celem tego związku szerzyć między Słowakami oświatę, świadomość wysokiego swego powołania w rodzinie i ojczyźnie, miłość rodzinnego kraju, narodowe idee.

— Siłą rzeczy, — tłumaczy jeden ze świeżo poznanych słowackich przyjaciół — ponieważ nie mamy żadnej innej sposobności do zejścia się i naradzenia nad wspólnymi interesami, zgromadzenia *Živeny* zmieniają się w rodzaj narodowego wiecu, nabierają ważności, o której gdzieindziej i w innych warunkach mowiby być nie mogło.

— A któż zabronić wam może w konstytucyjnem państwie zwoływania osobnych wieców? Czemuż, kiedy mówicie, że macie, i macie istotnie tyle powodów do skarg, do żalów najsluszniejszych, czemuż nie apelujecie do Pesztu, do sejmu? Czemu miasto manifestów, zalecających wstrzymanie się od wyborów, nie rozwinięcie raczej jak najgorętszej i najszerszej agitacyi, aby wysłać do parlamentu choć paru, choć kilku waszych posłów, którzy ciąglem przypominaniem potrzeb waszych i żądań, wyjaśnianiem sytuacji, formowaliby opinię i ostatecznie musieli wywalczyć, wywalczyliby z pewnością, pewne co najmniej ulgi?

Słowak, z którym rozmawiałem, człowiek spokojny i, zdało mi się, stosunkowo bardzo mało przeciw Madziarom rozjątrzony, popatrzył na mnie, jakby chciał zapytać: „Czyś ty z jakiej gwiazdy na ziemię spadł?"; poczem dwoma słowami obalił bez miłosierdzia całą dopiero co z patosem wygłoszoną, przydługą argumentację:

— Miałbyś najzupełniejszą rację, gdyby nie pewien, dość

ważny szczegół, a mianowicie, że wybór posła czysto narodowego liczy się u nas absolutnie do rzędu niepodobieństw.

Kiedy pierwszy, kiedy nawet drugi i trzeci raz posłyszałem to tak apodyktycznie wyrzeczone twierdzenie, pomyślałem: Gruba, bardzo gruba przesada! Swoją drogą korciło mię: „Jak wytłumaczyć sobie abstynencyjny program przewodców słowackich; jak sobie wytłumaczyć, że narodowa partya słowacka, dość — niech mówią co chcą — i silna i rozgałęziona, zdobyć się nigdy nie mogła na przeprowadzenie choć w części pomyslnych dla siebie wyborów? Ostatecznie, po dłuższej rozwadze, pytając się na prawo i na lewo, nadstawiając ucha i na słowackie i na węgierskie wyjaśnienia, trzeba było sobie powiedzieć: „W twierdzeniu, które w pierwszej chwili niemożliwie przesadzonem się wydało, nie tak wiele znów przesady się mieści“. Cytowano mi przypadki, z wymienieniem nazwisk i miejscowości, w których władze rządowe pięć razy kasowały wybory, dlatego, że pięć razy, wbrew wszystkim prośbom i groźbom, z urny wychodził Słowak. Można dojść do celu: namową, palenką, pieniędzmi — to tem lepiej; nie można — od czegoż siła, od czegoż żandarmi? W Martinie wyruszył raz po prostu, nie wiem już pod jakim pretekstem, oddział wojska na opornych wyborców i bagnetami ich rozpędził. Żupan Szaszyński pisał bez ogródki: „W polityce idzie moc przed prawem...; przeciwko politycznemu wrogowi tak jak w wojnie wszystko jest dozwolone“ — i stosownie do tych zasad dawał jednemu z podległych sobie urzędników następującą instrukcję: „Postaraj się o dokładny spis oponentów, a na stu nie przypuszczaj do urny więcej nad dziesięciu: na tem wszystko zależy; komu ten sposób się nie spodoba, niechże sobie zdrów reklamuje“. Co do przekupstwa, to obrachowano, że wybór jednego posła kosztuje mniej więcej 10.000 złr. A jakie straszne pijatyki, jaka demoralizacya, bitki kończące się nieraz morderstwami! Możnaby o jednym tym przedmiocie gruby, a bardzo smutny tom napisać; ostatecznym wynikiem tego tomu musiałyby być charakterystyczne słowa, wyrzeczone do kilku księży przez jednego z wysokich urzędników węgierskich: „Po co wy się macie męczyć i trapić? Co wy dobrego zrobicie między ludem pod względem

obyczajowym przez dziesięć lat ciągłej pracy, to my w czasie wyborów, jak mignął, za jeden dzień zniszczymy; demoralizacyi, zaszczipionej przez nas w czasie wyborów, nie potraficie wyksięża, ilu was jest w Węgrzech, wykorzenieć ani przez dwadzieścia lat apostołskiej pracy!"

Późno w noc notować sobie trzeba było zebrane wrażenia i usłyszane szczegóły; nie dziw, że niezbyt miłym gościem były mi ranne, wnoszące całe pęki iskrzącego się złota, promienie słoneczne, że z pewnem oburzeniem powitałem towarzyszące im dźwięki kościelnych dzwonów, zmieszane z innemi jakimiś echami i odgłosami, które w pierwszej chwili — w pół we śnie, w pół na jawie — wydały mi się szumem z gór pędzącej rzeki. Niechęć, oburzenie, stopniały bez śladu, gdy stanąłem przed oknem i ogarnąłem spojrzeniem, tak wczoraj jeszcze brudny i cichy rynek. Teraz zalewała go i szumiała rzeka głów ludzkich; różnobarwne stroje Słowaczek, Słowaków odbijały od szarych namiotów, w kilka długich ulic symetrycznie wyciągniętych; odgłosy bębna, zachwalania i nawoływania kupujących, uderzania siekier i młotów ustawiających jeszcze namioty swe i stoliki, mieszały się, wspólnie z rżeniem koni, z dzikimi okrzykami licznie krążących cyganów, z płaczem i krzykiem półnagich cyganiąt, w odrębną, miłą widocznie dla słuchających, jarmarczną pieśń. Kiedy w godzinę może później przeciskałem się zwolna przez nagromadzone tłumy, jarmark doszedł już do zenitu swej świetności. Co tu jest, czego, kogo tu niema? Brudno-popielate mury *Grand-Hôtelu* zmieniły się w galerię rażących barwami, a czasem i tematami, obrazów i obrazków; pobożne przeważają, ale obok Madonn i Janów Chrzcicieli rozpierają się bez żenady zupełnie i aż do zbytku niepobożne. Nieco dalej kilka dziewczyn i dziewczątek przypatruje się z otwartymi ustami olbrzymim wieżom wszelkiego rodzaju stroików i materyałów na stroiki; z twarzy ich, z oczów, aż bucha pragnienie: Gdyby to, gdyby choć ten kapelusik, tę wstążeczkę kupić można! Poważny ojciec rodziny próbuje i dostosowuje do nogi niemniej poważną parę krypciów; żona jego tymczasem robi zapasy krup i mąki, nie zważając na córeczkę,

co za suknię ją targa i pożądliwie wskazuje rączką na długą gromadę prześlicznych lalek, cuda za pociągnięciem nitki dokazujących pajaców; na dwunastoletniego może synalka, co z drugiej strony ją ciągnie i wyperswadować usiłuje, że ten piękny, przepiękny czerwony koziczek strasznie tani i w domu wprost mu do życia niezbędny. Parę kroków dalej poważny żandarm z urzędową miną przesłuchuje zeznań obdartego cygana, a nie mogąc snąć przyjść do jasnego przekonania, po której stronie słuszność i prawda, zadawalnia się sumarycznem zaadministrowaniem — od wszelkiego przypadku — lekkiego napomnienia na cygańskich plecach grubą, żylastą swą dłonią. Cygan krzyczy, skarży się, świadczy się żoną i dziatkami; tymczasem nadpływa nowa ludzka fala i topi w swych głębiach obu aktorów krótkiej tej sceny...

Koło jedenastej wrząca jarmarczna rzeka przekształcać się nader szybko zaczyna w odrębne, spokojnie toczące się strumyki, w drobne jeziorka, które z kolei w drobniejsze jeszcze rozdzielały się, aż bez śladu zniknęły. Kilku tylko kupców pakuje jeszcze co prędzej niesprzedane towary i przenosi je na olbrzymie wozy; za chwilę i wozy te ruszają, zostawiając za sobą gęstą wstęgę pyłu, zostawiając na martińskim rynku, jako wspomnienie po dopiero co roztaczających się tu wspaniałościach, dużo błota, trochę śmieci... Niema się co dłużej namyslać, trzeba i mnie słowacką stolicę pożegnać; trzeba podążyć śladem tych kilkunastu wozów, skręcających na zachód, więc pewnie tam, gdzie i mnie droga wytknięta: do Trenczyńskiego komitatu.

Ks. Jan Badeni.



W OBRONIE WOLNEJ WOLI.

(L. Proal: LE CRIME ET LA PEINE. Paris. F. Alcan, editeur. 1892).

(Dokończenie).

Wiemy już, czym jest zbrodnia, według doktryn deterministycznych — pytanie, jak pojmują one karę i na czym ją opierają. Tej kwestyi poświęcona jest druga część dzieła Proala.

Determinizm, negując wolną wolę, a więc i winę, przeczy tem samem istnieniu odpowiedzialności moralnej i zrywa logiczny, na istocie rzeczy oparty związek pomiędzy przestępstwem a karą. Według niego, pojęcie tego związku wyrobiło się tylko z czasem, drogą cywilizacyjnej ewolucyi. Pierwotne społeczeństwa nie znały ani winy, ani kary, w dzisiejszem rozumieniu. Udowodnienia tej historycznej „prawdy“ podjął się Littré, apostoł francuskiego pozytywizmu, i *quod erat demonstrandum* — *demonstravit*, w książce swej *L'Origine de la peine*. Wywody jego przyjęli: dr. Lombroso w *L'uomo delinquente*, Lubock w *L'Origine de la civilisation*, dr. Le Bon w *L'homme et les sociétés*. Teorya Littrého (Rozdział XV.) da się streścić w tem, że pojęcie kary, jako odwetu moralnego za zbrodnię, nie istniało u pierwotnych społeczeństw: była ona tylko materyalnem odszkodowaniem pokrzywdzonego lub jego rodziny.

Dowodów dostarczyła etymologia wyrazów *ποινή*, *poena*, które według Littrého pierwotnie miały znaczyć tylko o d s z k o d o w a n i e. Zbrodnia nie uwłaczała bynajmniej swemu sprawcy,

ani w jego oczach, ani w oczach innych ludzi, zawiązywała ona tylko między sprawcą a poszkodowanym rodzaj obligatoryjnego stosunku, a kara była tylko świadczeniem, z tego stosunku wynikającym. Fakta, że u dawnych ludów nie spotykamy państwowego wymiaru kary, a organem sprawiedliwości jest sam poszkodowany bądź też jego rodzina, że na porządku dziennym jest zemsta i okup, fakta te przedstawiają się Littrému jako dowody, że w zbrodni nie widziano złamania przepisów moralności, ale jedynie wynikającą dla pokrzywdzonego szkodę.

Proal obala naprzód etymologiczne wywody Littrého: Pictet i Pott, wybitni badacze i znawcy sanskrytu, wywodzą *penā* i *poena* od sanskryckiego *punia*, którego rdzeniem jest *pu* (*punati*), *purificare* — o c z y ś c i ć. Istotnie, jak świadczą najstarsze pomniki ludzkiej myśli i mowy, zbrodnię uważano zawsze za plamę, a karę za oczyszczenie. Składano bogom oczyszczalne ofiary, uznając tem samem boskie, nadprzyrodzone źródło sprawiedliwości, a odpowiedzialność moralną przed bóstwem pojmowano jako fakt tej, jeśli nie większej, wagi, co odpowiedzialność prawną przed ludźmi.

Okup, składany pokrzywdzonemu, jest znacznie późniejszy od prawa zemsty¹, późniejszy nawet od prawa odwetu². Miał on nie tyle znaczenie odszkodowania, ile raczej ceny, za jaką pokrzywdzony, względnie jego rodzina, zrzekała się prawa odwetu. Że zaś nie państwo, ale rodzina poczuwała się do obowiązku wymierzania sprawiedliwości karnej, to tłumaczy się patryarchalnym ustrojem najdawniejszych społeczeństw, który oparty był na przemożnej, prawnopublicznej powadze rodziny. Sądy Boże, i pojedynki sądowe, są także objawem tej silnej u ludów pierwotnych wiary, że bóstwo nie może puścić zbrodni

¹ Zemsta polega na wymierzeniu przestępcy jakiegobądź dolegliwości czy szkody, któraby przewyższała dolegliwość lub szkodę przezeń sprawioną.

² Odwet polega na wymierzeniu przestępcy dolegliwości lub szkody równie ciężkiej, jak ta, którą on wyrządził. (Oko za oko, ząb za ząb). W historycznym rozwoju prawa, odwet jest zawsze późniejszym od zemsty: bo o wiele łatwiej jest wyrządzić przestępcy jakąkolwiek, byle większą dolegliwość od tej, jaką wyrządził, niż wymierzyć mu dolegliwość taką samą.

bezkarnie i nawet w tem życiu nie pozwoli tryumfować winnemu nad niewinnym. Daremnie więc kuszą się Littré i jego szkoła, o udowodnienie, jakoby istniała była kiedykolwiek odpowiedzialność prawna bez moralnej. Wszelkie prawodawstwo, chcąc umotywować władzę karania, musi koniecznie wyjść z tej zasady, że istnieje niezachwiany, na samej istocie rzeczy oparty związek pomiędzy winą a karą, i pomiędzy odpowiedzialnością moralną a prawną (Rozdział XVI).

Dlatego to we wszystkich prawodawstwach podlegają prawu karnemu tylko świadomie i dobrowolnie popełnione czyny. Nie można karać tego, kto nie jest winien, a winien jest tylko ten, kto jest odpowiedzialny, więc wolny. Dlatego też we wszystkich kodeksach karnych panuje jednomyślna zgoda, że przymus, czy to fizyczny czy moralny, uwalnia sprawcę od kary wobec prawa, bo uwalnia go od winy wobec sumienia. „Jeśli kara, powiada Blackston, wymierzona jest przeciw wybrykom woli, to słusznie nie podpadają karze czyny spowodowane gwałtownym przymusem“.

Levy-Bruhl wyprowadza stąd wniosek, że nie można karać przestępców, bo do zbrodni przymusiła ich namiętność. Tylko, że namiętność skłania wolę do złego, ale jej nie przymusza; namiętności oprzeć się można, a kto jej ustępuje — ustępuje dobrowolnie.

Obląkani wolni są zawsze od kary, nietylko dlatego, że utracili rozum, ale i dlatego, że „nie mają moralnej wolności“ (dr. Ball). Krafft-Elbing wyraża się, iż „prawo odnosi się tylko do wolnych obywateli, a obląkanie odejmuje wolną wolę“.

Nie chcąc niniejszego sprawozdania zbyt ciężko obciążać szczegółami, zaznaczamy tylko, że Proal obszernie roztrząsa kwestję psychiatrii sądowej i zajmuje się pytaniem, jakie stanowisko zająć powinno prawo karne wobec rozmaitych stopni — chorobliwych, lub tylko anormalnych stanów psychicznych oskarżonego. Jedne z nich, cięższe, uwalniają całkowicie od odpowiedzialności, inne, lżejsze, stanowią tylko łagodzącą okoliczność. Pomijamy ustępy poświęcone częściowemu oblądowi, alkoholizmowi, osłabieniu władz umysłowych — ale pokrótce chociaż

pragnęlibyśmy dotknąć sprawy somnambulizmu i hypnotyzmu w stosunku do prawa karnego — jako kwestyi najciekawszej może w tym rozdziale książki Proala.

U osób dotkniętych somnambulizmem histerycznym, różnić trzeba dwa stopnie świadomości: pierwszy występuje w stanie normalnym, w tak zwanym stanie pierwszego stopnia (*état prime*), drugi towarzyszy patologicznemu już stanowi drugiego stopnia (*état second*). Dwa te stany świadomości nie są ze sobą powiązane pamięcią. Przechodząc z jednego do drugiego, somnambul nie przypomina sobie żadnych szczegółów z poprzedniego. Czyny, spełnione przez osobę dotkniętą somnambulizmem, w stanie normalnym (*état prime*) mogą podlegać prawu karnemu, a występujące nawet w tym stanie objawy rozdrażnienia mogą stanowić okoliczność łagodzącą. Za to stan świadomości drugiego stopnia, czyni człowieka nieodpowiedzialnym za wszelkie postęпки, a to z powodu, że władze umysłowe, a więc i wola, są wtedy całkiem bierne.

Trudniejszą o wiele jest sprawa hypnotyzmu. Dzieje kryminalistyki nie podają wprawdzie ani jednego pewnego przypadku, gdzieby osoba zahypnotyzowana posłużyła hypnotyzerowi za narzędzie do spełnienia zbrodni — ale taki fakt jest, jak się zdaje, zupełnie możliwy, i dlatego nauka prawa karnego może już dzisiaj teoretycznie zastanawiać się nad tą kwestyą.

Zdaniem Proala, odpowiedzialność karna hypnotyzowanego zależy od nastroju jego woli przed zapadnięciem w hypnozę. I tak — jeśli hypnotyzowany zgodził się, lub nawet domagał, aby go zahypnotyzowano w celu zbrodniczym, wiedząc, że w stanie hypnotycznym posłuży za narzędzie przestępstwa, natenczas odpowiada karnie, jako sprawca; hypnotyzer zaś, jako podżegacz (*nb.* jeśli oprócz hypnotyzowania nie brał w zbrodni czynnego udziału, bo wtedy odpowiadałby karnie jako współsprawca).

Jeśli hypnotyzowany pozwala się hypnotyzować nie-lekarzowi, lub bez poważnej przyczyny, a w stanie hypnotycznym dopuści się przestępstwa (np. zabije kogoś), wtedy może być sądownie ścigany za nieumyślne przestępstwo (np. za nieumyślne odebranie życia); jeśli zaś zapadnie w sen hypnotyczny wbrew swej woli,

albo bez swojej wiedzy, to zupełnie nie może być pociągany do odpowiedzialności. Hypnotyzer w obu tych wypadkach powinien być karany jako sprawca zbrodni.

Widzimy, jak dzisiejsza nauka prawa karnego, przyjąwszy za rozumną podstawę wolność woli, znajduje w tym aksjomacie stałą i logiczną dyrektywę przy rozwiązywaniu nawet nader trudnych, bo hypotetycznych problemów. Przeciwnie teorie deterministyczne. Odrzucając wolną wolę, a więc i odpowiedzialność, tracą z pod nóg jedyną logiczną zasadę, na której oprzeć można władzę karania i gubią się w mroku sprzeczności i niekonsekwencji, nawet tam, gdzie idzie o najprostszy związek między przestępstwem a karą.

Udowodniwszy z jednej strony społeczeństwu, z drugiej zaś przestępcy, że nie więcej jest on winien zbrodni, jak garbaty — garbu, stanęli determiniści przed nierozwiązalną alternatywą: czy bezbronne społeczeństwo wydać na pastwę zbrodniarzom, czy też niewinnych zbrodniarzy na pastwę społeczeństwu. *Tertium non datur* — niektórzy determiniści jednak, wbrew logice, usiłują wynaleść tę trzecią pośrednią drogę, inni zaś, konsekwentniejsi, idą bądź w jednym, bądź w drugim skrajnym kierunku, aż do... *absurdum*.

W rozdziale XVII. Proal rozbiera stanowiska, jakie zajmują rozmaite deterministyczne szkoły wobec kary. I tak: doktorowie Benedick, Renard, Littré, Robin, Minsloff i Maudsley radzą społeczeństwu, by zrzekło się władzy karania, natomiast ostatni, dr. Maudsley, chciałby zastąpić więzienie zakładami dla obłąkanych, a procedurę karną zamienić na terapeutyczną. Dr. Lombroso, Garofolo, Ferri, Dally, Feré, Le Bon i t. d., przerazeni tego rodzaju bezkarnością, uważają, że należy nałożyć hamulec jednostkom szkodliwym, choć nieodpowiedzialnym. Instynkt społeczny tak bierze górę u tych panów nad sprawiedliwością i ludzkością, że żądają oni, żeby każde niebezpieczne indywiduum, nawet bez względu na wielkość zrządzonej szkody, usuwać w jakibądź sposób, przez skazanie czy to na śmierć, czy na dożywotnie więzienie. Różnica między zbrodniarzem a waryatem nie istnieje; każdego, kto wyrządził szkodę, trzeba więc zam-

knać na całe życie, lub zgładzić, nie wdając się w przestarzałe formułki metafizyczne o odpowiedzialności i poczytności.

Na cóż więc cała psychiatria, na co prawo?

Państwo niech rozpocznie ogólną rzeź winnych i niewinnych, to sposób najłatwiejszy i najprostszy.

Oto do czego dochodzi determinizm: jedni radzą zbrodniarzy leczyć razem z waryatami, drudzy waryatów tracić razem ze zbrodniarzami. Autorowie tych dwóch sprzecznych teoryj zasługują chyba na to, aby z nimi postąpiono według ich własnych projektów.

— Chciałbym widzieć sędziego, — woła Proal — któryby miał czoło powiedzieć oskarżonemu: „Wiem, że jesteś niewinny, bo nieodpowiedzialny, ale cię skazuję na więzienie, roboty dożywotnie lub śmierć, dla... dobra publicznego!”

Jak wspomnieliśmy poprzednio, są i tacy determiniści, którzy widząc monstrualne rezultaty, do jakich doszli ich najsłabsi współwyznawcy, próbują koniecznie pogodzić odpowiedzialność z determinizmem. Człowiek, nie będąc wolnym, jest naturalnie zmuszony do popełnienia przestępstwa, a jednak... jest odpowiedzialny. Kara jest słuszną, bo działa na umysł przestępcy i przymusza go na przyszłość do dobrego — tak jak poprzednio inne okoliczności przymusiły go do złego. Ten pośredni obóz reprezentują Fouillé, Mill, Herzen i wielu innych.

Zapominają oni jednak, że na to, aby kara działała dodatnio na przestępcę, musi być w jego własnem przekonaniu sprawiedliwą. Tymczasem kara tak pojęta, nie na odpowiedzialności moralnej oparta, sprawiedliwą nie jest, i sprawiedliwą w oczach zbrodniarza nie będzie, a w skutku wywoła u niego upór w złem, i chęć pomszczenia się na społeczeństwie. Więc może postrachem będzie działała ta kara? Tylko że wtedy o jej wysokości będzie rozstrzygał nie stopień winy, ale ta okoliczność, czy przestępca jest mniej lub więcej na bojaźń wrażliwy.

Na skrucę, ani poprawę, miejsca w tej doktrynie niema. Kara jest niesprawiedliwą, bo dotyka złoczyńcę nie jako skutek przestępstwa dokonanego, ale jedynie jako środek prewencyjny na przyszłość. Mąż, który zabił wiarołomną żonę, powinienby

wolnym być od kary tak długo, póki się znowu nie ożeni, bo przedtem nie może być obawy, że spełni on powtórne „żonobójstwo“.

Determinizm tego rodzaju, opierając karę jedynie na względach utylitarnych i pojmując ją jako hamulec przeciw popełnić się mającym zbrodniom, obala najsilniejszą zapórę przestępstwa: wyrzuty sumienia. Teorye takie tem samem demoralizują społeczeństwo w najwyższym stopniu, wyższym, niż nędza i ciemnota. Karać dla powstrzymania od zbrodni, a szerzyć deprawację, wyzwalając złe popędy z więzów sumienia, nie jestże to pracą Penelopy?

Inaczej próbuje wybrnąć z tego błędnego koła dr. Tarde. Odrzucając wolną wolę, żąda on, podobnie jak wyżej wspomniani determiniści, aby złoczyńca odpowiadał karnie — odpowiedzialność tę czyni on jednak zawisłą od dwóch warunków: od „identyczności osobistej“, i od „identyczności socyalnej“. Żeby to zrozumieć, trzeba wiedzieć, że Tarde pojmuje obłąkanie jako chorobę psychiczną, której znamieną cechą polega na tem, iż „ja“ waryata rozdwaja się. Jedno „ja“, pierwotne, zostaje w nim zdrowe, a na niem, jak nowotwór, wyrasta drugie „ja“, z temtem niezgodne. U przestępcy, zdaniem Tarde'a, niema tego rozdwajenia, i to różni go od waryata. Nie posiada on wprawdzie wolnej woli, ale powinien podlegać karze, bo podczas popełnienia zbrodni działało w nim to samo identyczne „ja“, które posiadał przed, i posiada po dokonaniu zbrodniczego czynu. Drugim warunkiem jest „identyczność socyalna“. Ponieważ niema stałych, absolutnych i ogólnych zasad moralnych, a każde społeczeństwo, w danem stadyum rozwoju, wytwarza sobie swoje własne, względne pojęcia etyczne, przeto człowiek, któryby nie podzielał pojęć etycznych społeczeństwa, w którym żyje, nie powinien podlegać karze za czyn, który jest skutkiem poglądów moralnych odmiennych, bądź spóźnionych, bądź wyprzedzających powszechnie przyjęte.

Jak widzimy, Lombroso chce, aby przestępcę podlegał wszelkim udręczeniom i mękom za to, że nie jest taki jak inni ludzie. Tarde przeciwnie, żąda bezkarności dla tych, którzy różnią

się od reszty społeczeństwa! *Wszelkie królestwo, przeciw sobie rozdzielone, będzie spustoszone.* (Łukasz XI., 17). Czy i pod tym względem stosują się do determinizmu te słowa Chrystusa?

Mniejsza o to, co się z determinizmem stanie; sama teoria Tarde'a nie wytrzymuje krytyki. Przypuśćmy, że istotnie rozdwojenie wewnętrzne jest znamioną cechą obłąkania; że ten, kto działa szkodliwie, a przytem zachowuje swoje „ja“ niezmiennie i całe, nie jest obłąkany. Czyż stąd wynika, że powinien karę ponieść? Działał bezwłasnowolnie, więc za co ma ponosić skutki swego czynu? A cóż począć z idyotą, który popełnił zbrodnię? Jego „ja“ ani na chwilę nie uległo rozdwojeniu, jest identyczne. A inny zarzut: gdzie dowód na to, czy „ja“ zbrodniarza było rozdwojone, czy też nie, podczas działania zbrodniczego? Co począć ze zbrodniarzem w razie, jeśli okaże skrucę? Tarde żąda, żeby go uwolniono od kary — ale gdzie dowód szczerości tej skrucy? A choćby była najszczerzą, to czyż sprawiedliwość ma stosować się do każdej, przelotnej nawet zmiany usposobienia? A identyczność społeczna — jakąż wygodną i szeroką otwiera ona bramę dla złoczyńców! Przecież trudno żądać takiej naiwności z ich strony, by się chcieli przyznać, że podzielają utarte, powszechnie przyjęte zasady etyczne. Każdy znajdzie na poczekaniu zasadę, czy całą teorię moralną, według której popełnił przestępstwo... Stosownie do wywodów Tarde'a, Europejczyk, który w koloniach zamorduje murzyna, miałby być wolnym od kary dlatego, że stan pojęć moralnych mordercy i ofiary są różne. Pytanie tylko, czy są różne? Sumienie każdego człowieka, bez różnicy do jakiego należałby społeczeństwa, piętnuje go swym głosem: Nie zabijaj!

Zaznaczywszy ogólnie stanowisko, jakie determinizm zajmuje wobec kwestyi kary, i na jakie, według tego, grupy się dzieli, przystępuje Proal do szczegółowego przeglądu i krytyki tych grup, a nasamprzód do grupy zwolenników d-ra Lombrosa (Rozdział XVIII.). Zdaniem antropologicznej szkoły karnej, prawo karania jest funkcją społeczną, mającą na celu pozbycie się wszelkich antyspołecznych czynników. Ustrój społeczny polega na wzajemnym doborze i przystosowaniu się do siebie

swych członków; ci z pomiędzy nich, którzy ani do jednego, ani do drugiego nie są zdolni wskutek zbrodniczych zbroczeń swej organizacyi fizycznej, ci uleść powinni zagładzie. Najlepszym do tego środkiem jest kara śmierci. Podlegać jej mają zbrodniarze, którzy okazali, że pozbawieni są zupełnie uczucia litości, bo defekt ten, zdaniem d-ra Garofola, czyni przestępcę niezdolnym na zawsze do przystosowania się społecznego. Zbrodniarz taki jest, jak żmija lub tygrys, z natury przeznaczony na szkodenie innym ludziom i dlatego trzeba się go pozbyć. Nazywa się to „oczyszczeniem“ (*épuration*) rasy ludzkiej.

W tem właśnie leży fałsz, bo celem kary śmierci jest nie „oczyszczanie rasy“, ale obrona społeczeństwa.

Similia ex similibus nascuntur: od zbrodniczych rodziców mogą dzieci w drodze spadku przejąć tylko zbrodniczą anomalię cielesną. To też dr. Thompson pierwszy, a za nim Boëns i Garofolo, występują z żądaniem, aby zbrodniarzom odbierano zdolność rodzenia potomstwa, a to za pomocą operacyi chirurgicznej. Nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe! Aby zbytęcej nie propagować rzeźni, mają zbrodniarze, którzy nie są wyrzuci z uczucia litości, ulegać deportacyi na czas nieograniczony, z pięcioletnim w dodatku nadzorem. W razie recydywy mają być wydalen i w okolice puste i bezludne. Innych, którzy nie objawiają zbrodniczego obłądu, ale tylko neurasteniczno-przestępcze znamiona, tych wyprawiać ma państwo do kolonij mało zamieszkanych, gdzieby znaleźć mogli bardziej odosobniony, a stosunkowo łatwy sposób do życia. Gdyby jednak neurastenia okazywała się uporczywą, wtedy nastąpić ma dalsza deportacya w okolice niemal pozbawione warunków bytu.

Teorya d-ra Lombrosa rozróżnia dwa jeszcze gatunki przestępców: złoczyńców od urodzenia, i złoczyńców wskutek sposobności. Dla tych ostatnich jest ona dziwnie pobłażliwą, zadowalnia się tylko odszkodowaniem wyrządzonej przez nich krzywdy.

Sędzia, zdaniem Lombrosa, nie powinien bawić się w takie mrzonki, jak okoliczności łagodzące. Za miarę przewinienia uznana być powinna mniejsza lub większa niezdolność przystosowania

się społecznego, a nie mniejszy lub większy stopień zboczenia złej woli, jak dotychczas. Jak stopniować ten antyspołeczny popęd zbrodniczy? Co do tego pytania są między zwolennikami antropologii kryminalnej zdania nader niezgodne. Ferri przyjmuje pięć klas: do pierwszej należeć mają zbrodniarze instynktowni, do drugiej zbrodniarze z namiętności, do trzeciej zbrodniarze wskutek sposobności, do czwartej nałogowi, a do ostatniej zbrodniarze z obłądu (kleptomania, pyromania i t. d.), zatem ludzie chorzy! Że jednak podstawą prawa karnego nie jest wola, ale szkodliwość przestępcy, więc obłąkani zamiast do szpitala, pójść mają na szafot.

Dr. Bianchi proponuje inną klasyfikację: do pierwszej klasy należeć będą złoczyńcy od urodzenia, do drugiej neuropaci, a do trzeciej tacy, którzy ani pod pierwszą ani pod drugą kategorię podciągnąć się nie dadzą. U Garofola kategorii takich jest tylko dwie: do pierwszej należą obłąkani i nieobłąkani, u których można wysledzić wyraźną anomalię fizyczną, usposabiającą do pewnego szczególnego rodzaju zbrodni; do drugiej, wszyscy tacy, u których nie można stwierdzić żadnej wybitnej anomalii, którzy jednak ulegają zewnętrznym okolicznościom, co wskazuje na silną predyspozycję zbrodniczą.

Zbytecznem byłoby rozводить się nad temi klasyfikacyami, które z zasady nie rozróżniają zbrodniarzy i obłąkanych. Trafnym jedynie jest podział na zbrodniarzy z nałogu, i wskutek sposobności — wszakże nie jest on wynalazkiem antropologów, bo zna go i uznaje *Code Civil*, podając przepisy odnośne do recydywistów.

Zbrodniarze nałogowi trudni są do poprawienia i przeważnie surowe kary działają na nich dodatnio; przeciwnie zbrodniarze wskutek sposobności, łatwo dają się na prostą naprowadzić drogę i to bez użycia zbyt surowych środków. W każdym razie nie wolno sądziemu dać za wygraną i zwątpić o możliwości poprawy, nawet u najgorszego nałogowca, tak jak tego żąda Lombroso, który z góry sprawę przesądza i o możliwości poprawy nie chce słyszeć u żadnych wogóle przestępców. Tymczasem wspomniane wyżej dzieło Apperta, dostarcza faktów

przeciwnych. Oto wyjątek z pisma, które wystosowali więźniowie zakładu karnego w Rochefort do p. Mercier, ustępującego z posady dyrektora więzienia: „Choćby człowiek był najbardziej winnym, pozostaje w nim zawsze coś z tych skarbów, które sama natura w umysłach ludzkich składa. Kto zamiast upokarzać nas i upadlać obelgami i nieludzkim postępowaniem, umie podnieść dusze nasze, ten rozbudzi w nich to, co im jest wrodzone. Tracimy w tobie takiego opiekuna i ojca!“ Dr. Lombroso zamyka oczy na tego rodzaju dowody i fakta, i zagłębiany w swej doktrynie, jak struś w piasku, apodyktycznie twierdzi, że nie dobrego zrobić się nie da z ludzi, którzy, jak każdy zbrodniarz, urodzili się już ze zbrodniczymi instynktami. Dr. Le Bon idzie dalej: żąda deportacyi na bezludne wyspy nie tylko zbrodniarzy samych, ale także ich potomstwa. I znowu życie zadaje kłam szarej teorii. Statystyki zakładów karnych w Mettray, Orgeville, w Paryżu, wykazują, że nie bardzo trudno poprawić młodocianych przestępców, a specyalne Towarzystwo pod wodzą swego założyciela p. Feliksa Voisin, zajmuje się zaciąganiem do armii lądowej i morskiej młodych przestępców, którzy już karę odsiedzieli: w r. 1877 na 673 młodych ludzi, zostających pod opieką i nadzorem Towarzystwa, niepoprawnych pozostało zaledwo 70, podczas gdy 228 wyrobiło się na wzorowych, reszta zaś na wcale dobrych żołnierzach. Cóż zrobiliby z nich antropologiczny determinizm, gdyby, na nieszczęście ludzkości, znalazł zastosowanie w prawodawstwie?

Szkoła d-ra Lombrosa obiecuje za to wielkie reformy i zaręcza za dobre dla społeczeństwa ich skutki. Cały dzisiejszy stan prawa i procesu karnego nie znajduje łaski, w obliczu tych panów, szczególnie zaś martwi ich instytucya sądów przysięgłych, którą oskarżają o miękkość, zmienność, nerwową wrażliwość, kapryśność i nieuctwo. Zarzutom tym przyznaje Proal częściową tylko słuszność. Przesada, z jaką je podnosi Lombroso, pochodzi stąd, że sądy przysięgłych są wytworem humanitarnej, swobodniejszej myśli, a antropologowie włoscy w swych drakońskich zapędach pragnęliby cofnąć prawo karne do poziomu pół-dzikiej, pół-uczonej srogości. Mimo istotnych usterek i wad, jest jednak

instytucja sądów przysięgłych bezsprzecznie lepszą od proponowanych przez szkołę włoską trybunałów antropologiczno-fizjologicznych. Zasiadać w nich mają sami lekarze, którzy orzekać będą, jaki w danym przypadku zachodzi rodzaj anomalii fizycznej i jakim udręczeniom, *pro publico bono*, uleść ma podsądny. Dziwnem jednak jest, dlaczego czekać aż przestępca wyrządzi społeczeństwu szkodę, jeśli się ma tak niezachwiane dowody obłądu zbrodniczego w ustroju fizycznym człowieka? Czyżby nie lepiej i nie logiczniej było uczynić go już przedtem nieszkodliwym, zanim się zdoła dopuścić wybryków?

Znacznie słuszniejsze i rozumniejsze są wywody Garofola przeciwko przedawnieniu kary, ulaskawieniu i prośbie o łaskę. Co do pierwszego, to sprzeciwia się ono, zdaniem Proala, poczuciu sprawiedliwości. Dlaczego szereg lat ma przytępiać ostrość kary? Co zaś do drugich instytucyj, jak ulaskawienie i prośba o łaskę, to otwierają one szeroką bramę dla licznych nadużyć, powagę wyroku sądowego podają w opinii publicznej w wątpliwość i rozzuchwalają złoczyńców. Rozwijająca się dopiero, świeża instytucja uwalniania warunkowego, mogłaby je natomiast doskonale zastąpić. Cóż słusznieszego, jak zawiesić wykonanie wyroku na pewien okres czasu, w przypadku, jeśli złoceńca dopiero pierwszy raz popełnił przestępstwo i to jeszcze w okolicznościach łagodzących. W razie poprawy kara może mu całkiem być odpuszczona, w przeciwnym wypadku pomnoży ona ciężar jego odpowiedzialności i kary za ponowne przewinienie. Ale antropologiczna szkoła kryminalistów podnosi przeciw tej nowej instytucji zajadle krzyki, dlatego tylko, że opiera się ona na idei poprawy zbrodniarza, co naturalnie stoi w sprzeczności z teoryami włoskiej szkoły.

Równie szczegółowy jest rozbiór i ocena deterministyczno-utylitarystycznego kierunku, w obronie którego walczą angielscy uczeni Bentham i J. Stuart Mill (Rozdział XIX.). Obaj są umysłami niezwykle potężnymi i głębokimi, a pomysły ich, o ile nieraz bardzo rażące ze stanowiska moralnego, o tyle w odniesieniu do prawodawstwa zawierają wiele szczegółów trafnych i rozumnych.

Prawdziwą jest zasada, z której wychodzą utylitaryści, że prawodawca powinien się liczyć z dobrem i korzyścią społeczeństwa, kara bowiem wymierzać się powinna tylko za czyny szkodliwe, a słuszną jest o ile jest pożyteczną. Za daleko jednak poszli obaj ci uczeni, bo aż do zaprzeczenia sprawiedliwości samej, a zastąpienia jej pożytecznością. Pojęcie sprawiedliwości powstało według nich dopiero skutkiem ustanowienia prawa. I w tem jest błąd, bo rzecz ma się wprost przeciwnie: nie sprawiedliwość jest wypływem prawa, ale prawo sprawiedliwości. Przestępstwo nie dlatego jest złem, że jest zabronione prawem, ale prawny zakaz zastosował prawodawca do przestępstwa dlatego właśnie, że jest ono złem. Gdyby ludzkość nawet nie tworzyła społeczeństwa, to i wtedy jeszcze postęпки jedne byłyby dobrami, a drugie złemi, o czem rozstrzyga sumienie. Prawo, potępiając złe, idzie w ślad za potępiającym głosem sumienia. Wprawdzie nie wszystko co jest moralnie złem, podlega karzącej władzy państwa, ale wszystko co jej podlega jest moralnie złe. Dlatego też nie sam stopień szkodliwości, ale zły zamiar przestępcy stanowi o wielkości zbrodni. Ilekroć władza ustawodawcza zapomina o tej prawdzie i samym stopniem szkodliwości mierzy wielkość przestępstwa, tylekroć okazuje się barbarzyńsko-surową i niesprawiedliwą. Wystarczy wspomnieć ustawę francuską z r. 1822, nakładającą karę śmierci za przekroczenie przepisów sanitarnych. Z punktu widzenia utylitarystycznego, byłaby ta ustawa słuszną: bo przekroczenie przepisów sanitarnych może stać się powodem choroby, a nawet śmierci większej liczby osób, niż morderstwo lub uszkodzenie ciała, na jednostce dokonane.

Konsekwencya żądałaby również odwetu formalnego. To też Bentham logicznie rozumując, dochodzi do żądania, aby fałszerzom podpisów przebijano prawą rękę narzędziem w kształcie pióra, potwarcom przedziurawiano język, fałszerzów monet piętnowano na czole pieczęcią w kształcie sfalszowanej monety, a gwałcicieli kobiet kastrowano. Jest to bardzo prymitywny wymiar kary, stosowany w pierwotnych społeczeństwach, które niezdolne były odmierzać równą, choć innego rodzaju karę, i przeto chwytały się formalnej, czysto zewnętrznej identyczności

kary i przestępstwa. Fakt historyczny, że z postępem czasu i cywilizacyi, szedł także równomiernie rozwój prawa karnego, posłużył Millowi za dowód przeciw istnieniu niezmiennej, odwiecznej sprawiedliwości moralnej. Dowód ten jednak niczego nie dowodzi. Sprawiedliwość jest niezmiennym, idealnym celem, prawo zaś jest dążeniem do urzeczywistnienia tego celu. W miarę jak ludzkość podnosi się cywilizacyjnie i dochodzi zwolna do coraz lepszego i jaśniejszego poznania tego ideału, zmieniają się i doskonałą środki i drogi jakimi do niego zdąża. Ale zmiany środków i sposobów dążenia nie dowodzą, żeby się zmieniał sam cel tego dążenia.

Bentham nazywa wprawdzie sprawiedliwość metafizyczną mrzonką, aczkolwiek sam nieraz mówi o prawie moralnem, o poczuciu sprawiedliwości i t. d. (*Traité des peines* t. I. p. 301); Mill również przyznaje, że sama przez się ustawa nie jest jeszcze żadnem kryterjum sprawiedliwości (*L'utilitarisme* p. 89). Obaj zapominają jednak później o tem, co sami powiedzieli poprzednio, i dowodzą, że cnota różni się od występku tem jedynie, że jest pożyteczną, a występki jest szkodliwy. Bentham proponuje nawet, aby z terminologii prawniczej usunąć zupełnie wyrazy takie, jak sprawiedliwość, moralność, dobry, zły; zastąpić zaś je trzeba określeniami: użyteczność, korzystny, pożytek; terminy te jednak nie wyrażają pojęcia nakazu i dlatego najlepiej byłoby używać słowa *convenable*. Mill sprzeciwia się temu, ale bynajmniej nie z zasadniczych względów. Wyrazy dotychczas używane podobają mu się dlatego, że mieści się w nich jego zdaniem delikatny odcień, wyrażający pragnienie represyi, którego to odcienia wyrazy godziwy, użyteczność nie oddają. Jak widzimy, zasadniczo godzą się dwaj angielscy utylitaryści na jedno. Teorya Milla jest tylko pogłębieniem i rozwinięciem poglądów Benthama.

Karę nazywa Mill „lekarstwem“, udzielaniem przestępcy, lekarstwem bolesnem, ale koniecznem. Jeśli tak, to nasuwa się pytanie, skąd społeczeństwo przychodzi do narzucania temu choremu swojej kuracyi? Przez gwałt kogoś leczyć — przez gwałt uszczęśliwiać? Przestępcę miałby prawo pięknie podziękować

za dobre chęci i łaskawą pamięć, a zrzec się dobrodziejstwa nieproszonego Eskulapa. Gdyby kara była lekarstwem moralnem, to jakieżby znaleźć mogła uzasadnienie kara śmierci, lub choćby tylko dożywotniego więzienia? Jakiż z jednej lub drugiej dla pacyenta pożytek? *Il faut le pendre pour lui apprendre à bien vivre!?*

Utylitaryści oświadczają, że nie tylko pożytek ukaranego, ale i korzyść społeczeństwa jest podstawą rozumną kary. Tutaj znowu inna zachodzi kwestya. Jakiem prawem społeczeństwo może poświęcać jednostkę dla swego dobra? Jakim sposobem prawo, którego zadaniem jest ochrona dóbr każdej jednostki i wszystkich razem, może dobro jednego obywatela poświęcać dla dobra innych? Życie, wolność, majątek ofiarować może dobrowolnie za innych tylko ten, do kogo one należą, ale poświęcenia tego wbrew jego woli, w jego zastępstwie, nikomu robić nie wolno. Czy ludzkość ma iść za faryzejskim głosem Kaifasza: *Pożytecznie jest, aby jeden człowiek umarł za lud.* (Jan XVIII., 14)?

Pożyteczność kary ma w prawie swoje doniosłe bardzo znaczenie. Celem kary, jak zauważył Grotius, jest pożyteczność, ale przyczyną kary może być tylko wina, a ta polega, jak stwierdziliśmy wielokrotnie, na spaceniu i nagięciu się wolnej woli do złego. Teoretyczne wywody Bentham'a i Milla zastosował do systemu karnego Herbert Spencer (Rozdział XX.). Zamiast wymierzania złochnicy dolegliwości, dotyczących jego życia lub wolności, pragnie on wprowadzić do kodeksu karnego odszkodowanie pieniężne. Jest to logiczny wynik utylitaryzmu. Jeśli niema bezwzględnie obowiązujących norm idealnej moralności a są tylko zmienne przepisy obowiązującej ustawy; jeśli niema dobrego i złego, tylko pożytek i szkoda — to ktoś, co przekroczył te przepisy i wyrządził drugiemu szkodę, powinien złożyć odpowiednie odszkodowanie, a tem samem już wszystkiemu zadowolonym.

Próby w tym kierunku pojawiają się jeszcze przed wystąpieniem Spencera: niemiecki filozof Schulz, rzucił pierwszy szkic teorii odszkodowania, żeby już nie wspomnieć Arystotelesa, u którego *implicite* znaleźć można takie same pojęcie kary. Ale

dopiero Spencer zbudował szczegółowo rozwiniętą teorię odszkodowania, która ostateczne uzupełnienie znalazła w pismach Fouillé'go.

O ile odszkodowanie zupełnie wystarcza, aby zadośćuczynić za bezprawie cywilne, o tyle niedostatecznem okazuje się tam, gdzie idzie o bezprawie kryminalne. Spencer miesza, a przynajmniej niejasno rozróżnia, te dwa rodzaje bezprawia, i to pierwszy zarzut, jaki można mu zrobić. Inne są cięższe. Zbrodnia nie tylko osobiście dotyka pokrzywdzonego, ale łamie i depcze porządek społeczny, i dlatego społeczeństwo ze swojej strony domagać się za nią musi czegoś więcej nad proste odszkodowanie. Jeśli się zaś stoi na stanowisku czystego utylitaryzmu, jak Spencer, to trzeba zdać sobie sprawę i z tego, że odszkodowanie samo nie będzie żadnym hamulcem dla złoczyńców. Cóż ryzykuje złodziej: albo się zdoła ukryć i czyn swój utaić, albo w najgorszym razie będzie musiał oddać rzecz skradzioną, względnie ekwiwalent za nią. A usiłowanie zbrodni? Chyba puścić je trzeba będzie bezkarnie, bo o odszkodowaniu mowy być nie może, tam gdzie niema jeszcze szkody. Co gorsza, jest przecież wiele zbrodni nie do odszkodowania. Jak odszkodować zabitego? albo rodzinę za morderstwo ojca? Jak odszkodować ciężkie uszkodzenie ciała, lub zgwałcenie kobiety? Dzisiejsze ustawodawstwo uważa odszkodowanie w tych wypadkach za rzecz drugorzędną; pierwsze miejsce zajmuje tu kara, która jest zadośćuczynieniem, danem pogwałconemu uczuciu sprawiedliwości.

Spencer sam przyznaje, że teoria jego w tych najcięższych wypadkach jest niedostateczną. Jednak w położeniu bez wyjścia znajduje się ona dopiero wobec przestępców niewypłacalnych, a raczej znajduje wyjście oburzające zmysł moralny do żywego. Zamożny zbrodniarz wypłaci należyte odszkodowanie, dla uboższego Spencer ma więzienie, w którym będzie on, o ile się da, odrabiał swą pracę odszkodowanie na korzyść pokrzywdzonego.

Pomijając już zarzut, że wyrażenie „o ile się da“ nie nie znaczy, pomijając zarzut drugi, że wysokość kary nie będzie zależała od samej wielkości szkody, ale od siły roboczej, zdol-

nienia do pracy, i innych warunków ubocznych — podniesiemy tylko bezecną niesprawiedliwość pomysłów Spencera:

Powlecż grzech złotem, a hartowna dzida
Sprawiedliwości pryśnie, nie zraniwszy —
Uzbrój go w łachman -- karzeł żdźbłem go zmoże.

(„Król Lear“. Akt IV.).

Jeśli tak czasem bywa, to wypadki tego rodzaju uważaliśmy dotychczas za niktzemne nadużycie godności i władzy sędziowskiej; w zasadzie wszyscy dotąd uznawali, że sprawiedliwość jedną ma być mierzona miarką bogaczom i nędzarzom. Ale budowanie systemu kar, na niegodziwości, to dopiero owoc nowożytnego racjonalizmu. „Tak wszelkie drzewo dobre, owoce dobre rodzi, a drzewo złe, owoce złe rodzi“. W naszym wieku, gdy kwestya socyalna stała groźna jak nigdy przed oczyma ludzkości, gdy podejmuje ją Głowa Kościoła, chcąc ją w chrześcijańskim rozwiązać duchu — teoria Spencera ze swoim pieniężnem odszkodowaniem dla bogatych, a więzieniem dla nędzarzy, jest śmiesznym archaizmem, cofającym się wstecz ku barbarzyńskim prawodawstwom, które inną miały karę dla szlachcica, a inną dla mieszczanina i chłopca. Równość nie jest znowu taką utopią, żeby nigdzie nie miała być zachowaną. Przynajmniej wobec sprawiedliwości w sądzie niechaj wszyscy równi będą, bez różnicy stanu i majątku, tak jak wobec Boga w kościele.

A jednak i ta, tak oburzająca doktryna, przynosi coś zdrowego i dobrego. Naprowadza ona Proala na pomysł rozszerzonego zastosowania kary pieniężnej, nie odszkodowania — ale wyraźnie kary, jako takiej, za przestępstwa wymierzone przeciw cudzej własności, a mianowicie dla przestępców pierwszy raz przed sądem stawających. Mogliby oni podlegać grzywnom, których wysokość musiałaby stosować się nie tylko do wysokości przestępstwa, ale i do stanu majątkowego przestępcy. Złoczyńcy niewypłacalni mieliby prawo pracą swoją, naturalnie na wolnej stopie, odrabiać grzywnę. W związku z tem proponuje Proal instytucję niezmiernej wagi, któraby miała równie dodatnie jak doniosłe znaczenie: karę wzajemnego odszkodowania na wypadek naruszenia własności. Byłoby to coś w rodzaju kasy ubez-

pieczeń od strat ogniowych lub gradowych. Pomysł ten nie jest własnością Proala. Pierwszy jego zarys wyszedł z głowy Bent-hama, a na rzymskim kongresie kryminalistów podnosili go Fio-retti i Garofolo.

Kasa ta stałaby w ścisłym związku z szerszem zastosowa-niem kary pieniężnej. Grzywny stopniowałoby się, jakśmy już nadmienili, nie tylko w stosunku do wielkości przewinienia, ale także w proporcji do dochodów przestępcy, tak, że często zda-rzałoby się, iż grzywna ściągnięta z majątnego zлочyńcy prze-wyższałaby znacznie wartość zrządzonej przezeń szkody, i na odwrót ubogi przestępca płaciłby nieraz karę pieniężną niewy-starczającą na odszkodowanie pokrzywdzonych. Wyrównanie tych różnic przez kompensacyę odbywałoby się właśnie za po-średnictwem kasy. W ten sposób możliwe byłoby do przepro-wadzenia odszkodowanie nawet w razie zupełnej niewypłacal-ności przestępcy, który byłby obowiązany do dotkliwego dlań w stosunku do winy, aczkolwiek w stosunku do zrządzonej szkody małego, odrobku. Normowanie wysokości grzywny nale-żałoby zostawić do uznania sędziego, naturalnie w granicach ustawą wskazanych.

Wracając jeszcze do teoryi odszkodowania Spencera, warto zaznaczyć, że sam jej twórca uważa ją za niewykonalną, jak na teraz, a to z powodu zbyt niskiego poziomu cywilizacyi euro-pejskiej. Zanim więc nastaną arkadyjskie stosunki i złote czasy, gdy postrach kary zbytęcznym się okaże, a dostatecznem bę-dzie proste odszkodowanie, dobrze uczynią dzisiejsze organa prawodawcze, przechodząc do porządku dziennego nad teoryą Spencera, a zachowując dotychczasowy system kar, oparty na represyi. Rzecz jasna, że zachowując go, powinny myśleć ciągle o poprawie jego braków, o udoskonaleniu zalet.

Na czem polega ten system dzisiejszy? Jakie są jego pod-stawy? Na te pytania odpowiada ostatni, XXI. rozdział książki Proala. Z uwag wypowiedzianych po drodze, przy rozbiorach i ocenach rozmaitych doktryn i teoryj, mógł sobie czytelnik wyrobić dość dokładne wyobrażenie o pojęciach naszego autora

w tym kierunku; poprzestaniemy przeto na zreasumowaniu tego, co się poprzednio mówiło.

Prawo karne ma na oku równocześnie pożytek społeczeństwa i wykonanie sprawiedliwości. Związek prawa karnego z idealnem ustawodawstwem moralnem, polega na związku odpowiedzialności prawnej z moralną. Tylko ten, kto winnym jest w obliczu moralności, może być poczytanym za winnego wobec prawa. To też karanie winnego jest nie tylko aktem obrony społecznej, ale przede wszystkim aktem sprawiedliwości, urzeczywistniającym zasadę *sum cuique tribuere*.

Z drugiej strony, aczkolwiek prawo w tak ścisłym pozostaje związku z moralnością, przecież identyfikować ich ze sobą nie można. Zakres prawa jest bowiem ciśniejszy od zakresu moralności. Do niej należy „rząd dusz“, jej podlegają nie tylko uczynki, ale myśli i zamiary, podczas gdy pod kompetencję prawa podpadają jedynie działania, i to tylko te, które wpływając ze złej woli sprawcy, naruszają dobra obwarowane prawną opieką społeczeństwa. Moralność wyższą jest ponad wszelkie względy utylitarne, z którymi liczyć musi się prawo. Stąd niezmiennosc przepisów moralnych obok ciągłej zmiany i rozwoju przepisów prawnych, te bowiem stosować się muszą do poziomu umysłowego i cywilizacyjnego ludności, do temperamentu i obyczajów narodowych, do klimatu, stanu ekonomicznego w danym kraju i t. d.

Zdając sobie tedy dokładnie sprawę z różnicy, zachodzącej pomiędzy sprawiedliwością a prawem, pamiętać trzeba ciągle, że rdzennym pierwiastkiem i niewzruszoną podstawą obojga jest wolna wola. Jak powiada Szekspir: „jestestwo nasze jest ogrodem, a nasza wola ogrodnikiem... zapuszczać ten ogród nie dbale, lub skrzętnie go uprawiać — może, i środki odpowiednie posiada, jedynie wola nasza“. („Otello“. Akt I, scena 3).

* * *

Tak przedstawia się w najgłówniejszych zarysach treść książki Proala. W szczegóły nie zapuszczaliśmy się zbytecznie,

by się w nich nie gubić; trzeba jednak było nieraz przykładowo przytoczyć choć niektóre szczegóły, by nie popaść w zannadto ogólnikowe traktowanie rzeczy. Każdemu, nietylko tym, którzy zajmują się filozofią prawa, ale wszystkim miłośnikom dobrych książek, radzimy tę wziąć do ręki. Zasługuje ona bowiem na bliższe poznanie. Niezbyt często nawet we Francyi zdarza się dzieło naukowe tak pięknie napisane. Składa się na to i szlachetna prostota i męska energia języka, lekkość i potoczność stylu, a miejscami porywający zapał wymowy i siła przekonania autora.

Wiemy, że ta ostatnia cecha książki Proala wywoła ze strony przeciwników zwykły w takich razach zarzut: pisałeś z upatrzonym już naprzód zamiarem; jesteś pisarzem chrześcijańskim, więc badałeś fakta przez szkła, które ci twoje religijne przekonanie z góry już nałożyło!

Być może. Tylko pozazdrościć możnaby tym panom ich słodkiej illuzyi, jakoby oni sami zasiadali do pracy naukowej bez wiadomego z góry rezultatu, bez uprzedzeń. Czy u nich przekonania osobiste nie wpływają na wyniki badań? Gdzie jest uczony, któryby jeszcze przed opracowaniem jakiejbądź kwestyi nie miał o niej żadnego zdania? Będzie ono niejasne, wytworzone intuicyjnie, ale będzie, i wpływ swój niemały wywrze. Dlaczego uczony materyalista, pozytywista lub determinista miałby wpływowi temu ulegać mniej, niż uczony z chrześcijańskiego obozu?

Trzeba być sceptykiem logicznym. Kto tak sceptycznie patrzy na istnienie Boga i duszy, moralności i sprawiedliwości, ten niech nie robi wyjątku dla ludzkiego rozumu. Chwiejne, wrażliwe, z góry się uprzedzające, w sądach stronnicze są, wbrew naszej chęci, umysły nasze. Chwytną prawdę za rąbek szaty i zerwać chcielibyśmy z niej okrycie — każdy ciągnie w swoją stronę, a prawda nie chce się mimo to ukazać w całej nagości naszemu rozumowi. Tymczasem panowie materyaliści i racjoniści bezstronność biorą w monopol. Oni tylko mają patent na nieuprzedzone śledzenie prawdy, oni jedni widują ją w całym blasku jej nagości, jak owi starcy biblijną Zuzannę w kąpieli. Jest w nich

jeszcze i to podobieństwo do owych starców, że zdania ich bywają niezgodne, a nawet wprost przeciwne. Gdyby ją byli widzieli rzeczywiście, to zgodniejsi byłiby pomiędzy sobą, bo prawda jest tylko jedna. Ale i u nich bywa zgoda — zgoda rozczulająca tam, gdzie idzie o wspólną kampanię przeciw chrześcijaństwu. Poważnieni na wszystkich innych punktach, na tym podają sobie kordyalnie ręce i do wspólnego ataku idą z zawziętością i werwą, która najlepiej świadczy, że ci tak chłodni i bezstronni badacze gorąco i żarliwie przywiązują się do swoich doktryn.

Po cóż się tedy wypierać? Po co pozować przed samymi sobą na jakieś nadludzkie, niemal abstrakcyjne istoty, wolne od osobistych zapatrywań, badające obojętnie i zimno, nieprzystępne słabostkom i sympatyom dla tego lub innego naukowego kierunku. Złudzenie, i nie więcej. Bo nie pomawiamy nikogo o brak sumienności i uczciwości: wszyscy piszą tak, jak prawdę rozumieją, ale rozumieją ją tak, jak pragną w skrytościach serca.

Więc zwątpić o rozumie i o nauce?

Nie, ale uznawać jeszcze coś więcej poza nauką i rozumem. Zdawać sobie sprawę z ułomności rozumu ludzkiego a niepełności ludzkiej wiedzy, i nie zaprzeczać apodyktycznym tonem wszystkiemu, czego rozumem pojąć, a nauką rozświecić nie można.

Bo ktoby chciał wszystkiego rozumem dochodzić,
Zginie, a nie potrafi w to ugodzić.

A na te rzeczy, nad naukę i rozum wyższe, potrzeba prostego serca i wiary.

L. Rydel.



CZY OBRAZ MATKI BOSKIEJ OSTROBRAMSKIEJ

JEST WSCHODNIEGO POCHODZENIA?

W gazecie *Wilenskiy Wiestnik* pojawiają się od czasu do czasu artykuły generała Tyrtowa pod ogólnym tytułem: „O prawosławnych wileńskich świątyniach dawnych i obecnie istniejących“. W numerze 81 z r. b. przyszła kolej na kaplicę Ostrobramską i cudowny w niej obraz Bogarodzicy.

Przed pojawieniem się tego artykułu obiegały już po Wilnie dwie monografie, w języku rosyjskim, poświęcone Ostrejbramie. Autorem pierwszej jest eks-ksiądz Kozłowski, który podobno chciał zostać *świaszczennikiem* i dlatego przyjął prawosławie; a gdy go to zawiodło, pracował czas jakiś, lecz nie długi, w bibliotece publicznej wileńskiej; następnie zawieruszył się gdzieś na prowincyi i przepadł bez wieści. Autorem drugiej monografii jest świaszczennik Sokołow, obecnie archirej brzeski.

Dotychczas nie zwracaliśmy uwagi na powyższe monografie, albowiem nie sprawiły one wrażenia wśród ludności katolickiej; o istnieniu ich nie wiedzano nawet lub wiedzieć nie chciano. Możemy zapewnić, że monografia Kozłowskiego była ignorowaną dlatego, iż autorem jej był człowiek moralnie upadły, nałogowy, więc nie budzący zaufania; przeciwnie, dawał on wymowne dowody, że do uczciwej pracy nie był zdolnym; i druga monografia pozostała bez wpływu, lecz dla innych zupełnie powodów; do osoby bowiem autora, jako do świaszczen-

nika, nikt pretensyi nie miał i nie ma, ale do jego roboty, której wiele brakuje, nietylko co do treści, jak niżej zobaczymy, lecz nawet co do formy. Proszę wyobrazić sobie dzieło ogromne, prawie 700 stronnice druku dużej ósemki obejmujące, a z tego na tekst wypada zaledwie 100 stronnice dużego druku, reszta na przypiski „petitem“. Tekst przeplatany wyjątkami z Pisma św., westchnieniami do Bogarodzicy, a nawet całemi modlitwami drukowanemi w języku starosławiańskim, dla ogółu niezrozumiałym. Dzieło więc tak ciężkiego kalibru, wśród szerszej publiczności nie może być i nie jest popularnem. Prócz tego, zapal autora — nie wchodzę w to czy szczery — z powodu tej ciężkiej formy, tak jakoś chłodno wygląda, że niejeden z czytelników może posądzić świaszczennika Sokołowa o udawanie, a może i o złą wolę. Otóż dla tych głównie powodów, panuje głuche milczenie w prasie polskiej o powyższych monografiach; podług nas, jest to najodpowiedniejsze stanowisko wobec podobnych wyrobów; krytyczne bowiem sprawozdanie mogłoby nadać im rozgłos, na który w żadnym wypadku nie zasługują.

Nie tak się rzecz ma z artykułem generała Tyrtowa, nie dlatego bynajmniej, abyśmy w nim dostrzegli coś wiarogodniejszego, umiejętniej pod względem literackim skreślonego, ale dlatego, że autor nie jest renegatem Kozłowskim, zasługującym na pogardę, ani świaszczennikiem Sokołowem, mało uzdolnionym pisarzem; lecz jako prezes Komisyi archeologicznej, obecnie zajmującej się urządzeniem Zjazdu archeologicznego w Wilnie, na rok przyszły, jest, a przynajmniej powinienby być uczonym w ogólności, a w szczególności dobrze przygotowanym pod względem historycznym i archeologicznym. Mamy więc do czynienia z człowiekiem, po którym należałoby się spodziewać naukowego traktowania rzeczy. Ważną jest i ta okoliczność, że artykuł jen. Tyrtowa przeniknął do publiczności, i pierwszą był dla niej wiadomością o Ostrejbramie, „podług nowych poglądów“; zrobiła też ta wiadomość wielkie wrażenie. Większość czytelników *Wiestnika* nie przypuszcza nawet, aby ludzie tak poważni jak generałowie, tak specyalnie uzdolnieni jak archeologowie, mogli się zniżać do kłamstwa; nie przypuszcza także, aby fakta stanowiące treść

powyższego artykułu, powstać mogły jedynie w fantazyi piszącego. Gdyśmy się starali niektórych przynajmniej czytelników *Wiestnika* wywieść z chwilowego, jak sądzimy, otumanienia, odpowiedzieli nam: jeżeli macie dowody, że generał Tyrtow blaguje, dlaczego milczycie, dlaczego nie zerwiecie maski nieuctwa lub złej woli, nie wyjaśnicie gdzie prawda a gdzie fałsz. Wyzwanie poniekąd słuszne; i dlatego bierzemy za pióro, żeby się z generałem Tyrtowem rozprawić, w szczególności z ostatnim jego artykułem.

Ubocznie zaznaczamy, co zresztą o rzeczy nic nie stanowi, że ten artykuł nic innego nie zawiera, tylko streszczenie pracy świąszczeniaka Sokołowa. Rzecz sama zaczyna się w ten sposób: gdy w. ks. litewski Olgierd w czasie swych wojennych wypraw na Tatarów, dotarł do Korsunia (Cherson) i zawładnąwszy nim, wywiózł stamtąd między innemi skarbami obraz Najświętszej Panny — za powrotem do Wilna obraz ten ofiarował małżonce swej Juliannie. Julianna na kilka lat przed swą śmiercią († 1392) św. obraz darowała mnichom prawosławnym do cerkwi Św. Trójcy, a ci umieścili go nad Ostrąbramą, gdzie dotychczas, lecz we władaniu katolików, pozostaje.

Z powyższego widzimy, że uczony archeolog wileński nie rozpoczyna swego studyum z punktu archeologicznego, ale oparł się wyłącznie na podaniach i legendach; a szkoda, archeologia bowiem jako nauka nie jest do pogardzenia; wyjaśnia ona bezstronnie te kwestye i przeróżne szczegóły, o których bywa zazwyczaj głucho w podaniach i legendach. My inną zupełnie pójdziemy drogą. Bezpośrednio zwracamy się do św. obrazu: niechaj ten nam odpowie na pytanie, kiedy powstał, czy ojczyzną jego jest Korsuń czy Wilno, wiek XIV. czy późniejszy. Kierujemy się zaś następującym pewnikiem: jeżeli obraz Ostrobramski przywieziony został z Chersonu w XIV. w., jak utrzymuje generał Tyrtow, w takim razie obraz ten powinien mieć wszystkie cechy tej epoki i tej miejscowości, z której pochodzi — a zatem powinien należeć do szkoły bizantyjskiej i być malowanym według sposobów przez tę szkołę i w tym czasie używanych.

Tą drogą dążąc do wyjaśnienia kwestyi naukowej, jaką

jest kwestya archeologiczna, nie będziemy potrzebowali uciekać się do wyszukiwania argumentów, nie mających z nauką nie wspólnego, jak to uczynił archeolog Tyrtow, który śledzi polsko-jezuicką intrygę, przez którą, jak utrzymuje, obraz prawosławny, może i przez św. Łukasza (!) malowany, stał się katolickim.

Rozpatrzmy się przedewszystkiem, jaką cechą odznaczały się obrazy szkoły bizantyjskiej w pierwszej połowie XIV. w.?

Obrazy Matki Boskiej, czy to z Chersonu, czy z Konstantynopola pochodzące, czy wogóle ze Wschodu sprowadzane, niewątpliwie należące do szkoły bizantyjskiej, miały właściwe sobie wybitne cechy. Przedewszystkiem szkoła bizantyjska nigdy nie dozwalała odstępować od ustalonych w niej raz na zawsze typów i form zewnętrznych, tak pod względem kompozycyi obrazów religijnych, jako co do kroju szat, i wogóle pod względem rysunku, farb i kolorów. Malowanie i upowszechnienie obrazów Matki Boskiej na Wschodzie, potężny otrzymało bodziec przez dogmatyczne orzeczenie soboru Efeskiego (r. 431), który uroczyście zatwierdził jej tytuł Bogarodzicy (Θεοτόκος). Z tego właśnie powodu obrazy pochodzące ze szkoły bizantyjskiej zawsze przedstawiają Matkę Bożą z Dzieciątkiem Jezus na ręku, odzianą w suknię błękitną, ze zwierzchnią szatą czerwoną, ze złotym kręgiem (*nimbus*) zamiast korony na głowie. Wyjątkowo tylko spotkać można obrazy Najświętszej Panny bez Dzieciątka Bożego, ale i te mają swą niezaprzeczną cechę wschodnią. Tego rodzaju obraz mozaikowy z XI. w. znajduje się w Kijowie, a litograficzna jego reprodukcya w Albumie wileńskim Wilczyńskiego. Jest to typowy obraz szkoły bizantyjskiej. Tło ma złociste, przedstawia Matkę Boską stojącą, z twarzą obróconą do widzów, ręce podniesione w górę jak do modlitwy. Błękitna suknia pokrywa całą postać aż do stóp, ściągnięta w biodrach białą opaską. Złoto-brzeżna chustka, biała, zwiesza się na przodzie z pod pasa. Zwierzchnia szata czerwono-złota ściśle pokrywa głowę, szyję i ramiona; a w gęstych i sutych fałdach pokrzyżowana, osłania piersi; stąd zaś w tył zgarnięta, spada w rodzaju płaszcza poniżej kolan. Owa suknia błękitna jest przeto odsłoniętą od łokci ku dłoniom na rękach i od piersi do stóp. Na wierzchołku głowy

i po obu stronach u piersi, niemal pod szyję, na owej szkarłatno-złocistej materii błyszczą trzy białe, nakształt gwiazdeczek, krzyżyki. Całą zaś głowę Bogarodzicy wieńczy zamiast korony, światło-złota, wążka, w kształcie pierścienia, obwódka (*nimbus*). W twarzy maluje się powaga i skupienie myśli.

Malarze bizantyjscy wogóle nie używali koron do zdobienia świętych obrazów, a natomiast malowali nimbusy. Użycie promieni, rozchodzących się od głowy, należy do czasów późniejszych, a i te nie miały prostych linii, lecz były pochylone lub spiętrzone. We wszystkim była rutyna, której przestąpić, jak zaznaczyliśmy, nie było wolno, ani w pozach, ani w ubiorach rąk i głowy, ani w kolorach draperyi. Suknia Matki Boskiej musiała być zawsze błękitna, a zwierzchni płaszcz czerwony; przepaska sukni biała; chustka spadająca z pod przepaski była też niezbędną.

Malowanie obrazów Bogarodzicy z Dzieciątkiem Jezus, w bizantyjskiej szkole, było, jakśmy wspomnieli, najpowszechniejszem. Tło obrazu zawsze złociste. Malowano na deskach (najczęściej cyprysowych) farbami rozproszanymi klejem, białkiem jajka, lub woskiem specjalnie przez wschodnich malarzy preparowanym; robiono podkładkę czyli grunt gipsem, rzadziej cienką powłoką substancji białego koloru; czasami napuszczano grunt klejem dla łatwiejszego wsiąkania farb. Freski na murze malowano farbami wodnemi. Zobaczmy teraz, jak się przedstawia obraz Najświętszej Panny Ostrobramskiej ?

Malowany jest olejno, na deskach całowych. Długości ma trzy łokcie i siedm cali, szerokości dwa łokcie i cali siedmnaście. Wykonany jest umiejętnie, wprawnie pod względem rysunku i lekko. Ma wszystkie cechy późniejszego stylu i charakteru zachodniego, tak pod względem wyboru rzeczy, jak układu i obrobienia technicznego. Rysunek, jak zaznaczyliśmy powyżej, swobodny i umiejętny. Oblicze Matki Boskiej wyraża pewien wdzięk, łagodność, skromność, pokorę, cierpliwość i miłosierdzie. Malowanie jest albo zupełnie bez gruntu, albo na bardzo lekkiej i cienko zagruntowanej powłoce. Farby kładziono szeroko, a w światłach nawet grubo, pendzlami szerścianami i dużemi. W cieniach

zaś i na twarzy kolory bardzo lekko są położone. *Braunrot*, czarno-siny, *terra de sienna* palona ¹, ugier ciemny, i blejwas — w półcieniach; czarny, blejwas, ugier jasny, *braunrot* — w światłach. Z tego wykazu farb widzimy, że kolory tu użyte są pospolite, tak zwane ziemne. Do barwy czerwonej służy minija ². Na twarzy Matki Boskiej w wielu miejscach przegląda z pod farb deska; tego na obrazach starodawnych, a nawet jeszcze w XIV. wieku, być nie mogło, gdyż wówczas kładziono tak w świetle jak w cieniach kolory pokrywające. Szyja osłoniąta jest białą chustką. Suknia malowana pasowo, z dodaniem *braunrotu*; rękawy żółte z malutkim obrębkim białym u końców; płaszcz granatowy ciemny (*berlinerblau* ³), z pomalowaną na żółto obwódka, a podszewka płaszcza zielona. Tło jest koloru brunatnego, w złożone promienie przyozdobione. Promienie te położone są złotem malarskim, co pozornie przypomina bizantyzm. Dodajemy, że tylko pozornie, albowiem i w szkole włoskiej ten sposób używania złota do ornamentowania był znany. Wiadomo, że i Rafael go używał, a ostatni raz w swej Dyspucie czyli Teologii.

Obecnie, oprócz twarzy i rąk skrzyżowanych, które, jak powiada jeden z dawnych historyków obrazu ⁴, grzesznika przyjmują i przytulają do macierzyńskiego łona, wszystkie inne części obrazu, jak: szaty i promienie otaczające głowę Najświętszej Panny, czyli gloria z koronami i aniołkami, są pokryte t. zw. sukienką czyli szatą metaliczną, w kwiaty wypukłe, czego na malowaniu naturalnie niema, a co jest zabytkiem bardzo niedawnych stosunkowo czasów, gdyż prawdopodobnie jest to robota gdańska ⁵.

¹ Nieznana do XIV. wieku. ² Podobnież. ³ Podobnież.

⁴ „Relacya... X. Hilaryona od S. Grzegorza“. Edycya 1823 r.

⁵ Gdy obraz Najświętszej Panny Ostrobramskiej zaczął zgromadzać tłumy pobożnych ze wszystkich stron kraju, Karmelici polecieli sztycharzowi wileńskiemu, Ksaweremu Karędze, wyrzeć na blasze wizerunek Najświętszej Panny, w takim kształcie, jak się wówczas (w XVIII. wieku) przedstawiał, bez sukni metalicznej. Obrazki te, wiernie podług oryginału kolorowane, szeroko się rozchodziły. Obrazek in 8^o, przedstawia bramę niebieską z dwiema wieżyczkami po bokach. Na wieżyczce lewej (od wi-

Wspomnieliśmy wyżej, że na obrazie Ostrobramskim są promienie malowane złotem, a ten sposób malowania nazwaliśmy pozornym bizantyzmem, gdyż był znany i szkole włoskiej. Ponieważ w niniejszej odpowiedzi na artykuł generała Tyrtowa, jego samego mam przeważnie na uwadze, przeto dla jego li tylko wiadomości dodaję, że: pierwszym ze znanych Europie malarzy, który się kształcił na bizantyjskiej metodzie malowania obrazów, był Giovanni Cimabue (1240—1300), a który, jak się Józef Kremer wyraża, był zarazem „pierwszym, który przewyciężył martwość malarstwa bizantyjskiego, cucąc życiem skołczałe jego postacie“. Użycie zaś farb olejnych, których nie znał Cimabue, pierwszy wprowadził do szkoły flamandzkiej Van Eyck (1366—1426) ¹.

dza) orzeł polski, na prawej pogoń. Pomiędzy orłem a dachem bramy napis: *Regina Regni Poloniae*; między dachem a pogonią: *Clypeus omnibus in te sperantib.* Na szczycie dachu wśród armatury: *Porta caeli*. Na tarczy pod wizerunkiem napis: „Istotne wyobraże nie Łaskami y Cuda mi słynącego Obrazu Najsświętszey Panny MARYI lokowanej na Ostrej-bramie w Wilnie przy kościele Wielebnych Oyców Karmelitów Bossych“.

Książd-odstępca Kozłowski w broszurce swej: *Исторія Иконы Остробрамскої Богородицы*. Москва 1874, na str. 63 pisze: „W r. 1829, kaplicę wspaniale ozdobiono, obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej oczyszczono, przyczem odnowił go znany polski malarz Kanut Rusiecki (Kirkor)“.

Kozłowski cytatami szafuje, ale ma tę ostrożność, że poprzestaje na przywiedzeniu li tylko autora (jak w tym wypadku), ani dzieła jego, ani stroniczy nie podaje. Jeszcze w tym wypadku mniejsza o to, boć prace Kirkora do r. 1874 ogłoszone mam u siebie i łatwo sprawdzić mogę; ale co zrobić z takim fantem, gdy Kozłowski, podawszy jakiś absurd, powołuje się w cytacie na „Wizerunki“? — proszę szukać w 60-ciu tomach!

Otóż w powyższem, to co podkreśliłem, jakkolwiek wzięte z Kirkora, nie znajduje się wcale w Kirkorze. Przejrzałem wszystko najdokładniej, nawet w smutnej pamięci „Albumie“, ofiarowanym Aleksandrowi II. w r. 1858, gdzie dużo o Ostrejbramie Kirkor pisał, ani wzmianki niema.

„Powiadają, pisze dalej Kozłowski, że kiedy zdjęto z obrazu sukienkę, to znaleziono na nim napis słowiański: „Честнѣйшую Херувимъ“. Obraz malowany jest w stylu bizantyjsko-rosyjskim. (Kraszewski, Ks. Roliewicz, Korotyński)“. — I w tym wypadku Kozłowski nadużył dobrej wiary wzmiankowanych autorów, albowiem wszyscy oni najprzykładniej milczą o owym napisie.

¹ Hotho, *Die Malerschule Huberts van Eyck*. 2 tomy. 1858. — Göring, *Geschichte der Malerei*. 1866. t. 240 i nast.

Historycy malarstwa rozmaicie mówią o sposobie malowania Perudżina, który był mistrzem Rafaela, a malował jeszcze białkiem, chociaż znał sposób użycia i farb olejnych¹.

Przedstawiwszy w najkrótszym zarysie cechy malarstwa bizantyjskiego, pytam się teraz uczonego historyka i archeologa,



WIZERUNEK NAJŚW. PANNY OSTROBRAMSKIEJ
BEZ OZDÓB ZŁOTYCH I SREBRNYCH.

czy obraz Ostrobramski odpowiada warunkom tej szkoły? Mnie się zdaje, że i najmniej biegły archeolog da przeczącą odpo-

¹ Dzisiejszej szkoły malarskiej rosyjskiej nie należy brać za jedno ze szkołą bizantyjską, gdyż tej ostatniej trzymano się w Rosji tylko do drugiej połowy XVIII. wieku.

wieść; a w takim razie obraz Ostrobramski nie może być pochodzenia wschodniego, nie może być z epoki oligierskiej. Wszystkie przeto dowodzenia generała Tyrtowa, wrzekomo oparte na podaniach, a także na źródłach piśmiennych i dokumentach drukowanych, w rodzaju np. monografii świąszczenika Sokołowa, nie wytrzymują najpobłażliwszej krytyki.

Do jakiej więc epoki należy obraz Ostrobramski?

Jeżeli uprzytomnimy sobie na chwilę to wszystko, cośmy powiedzieli opisując obraz Ostrobramski, odnajdziemy z łatwością w nim wszelkie znamiona szkoły włoskiej. Znawcę sztuki malarzkiej i jej historycznego pochodzenia, a których zdania zasięgaliśmy, dowodzą: że autorem tego obrazu jest zakonnik, albo człowiek świątobliwy, który się napatrzył na znakomite a religijnej treści obrazy szkoły włoskiej, lub też od biegłego znawcy tej szkoły był należycie pokierowanym. Skoro więc obraz Najświętszej Panny Ostrobramskiej, pod względem sztuki malarzkiej należycie badany, w żaden sposób nie daje się porównać ze szkołą i tradycją malarstwa bizantyjskiego, a przedstawia wszystkie cechy właściwe mistrzom religijnego malarstwa we Włoszech w XVI. w., toć naturalny i prosty stąd wniosek, iż obraz Ostrobramski nie mógł być malowanym nawet w pierwszej połowie XV. wieku. Pewność tego twierdzenia na tem najbardziej polega, iż do czasów Van Eycka użycie farb olejnych w malarstwie było nieznanem, a za czasów Rafaela i nawet jeszcze po nim malowano na deskach gipsem przyrządzonych, czego w Ostrobramskim obrazie dopatrzyć nie można. A zatem ten obraz sam przez się składa znawcom malarstwa niezbite dowody swego pochodzenia. Czemże się więc wobec tego pokaże cały szereg długich i bardzo naciąganych wywodów jen. Tyrtowa: jakoby on miał powstać w Chersonie, a istnieć i słynąć nawet z cudów w Wilnie, w XIV. już wieku, i posiadać wszystkie cechy pochodzenia wschodniego! Tu jeszcze dodam, że w kościele katedralnym św. Stanisława w Wilnie znajduje się obraz Pana Jezusa, niewątpliwie tego samego pędzla co i Najśw. Panny Ostrobramskiej. Co na to powiedzą uczeni prawosławni wileńscy, i na jakich podaniach czy źródłach pisanych oprą genezę tego obrazu?

Ogromne dzieło świaszczennika Sokołowa, skromna monografia Kozłowskiego, i jeszcze skromniejszy artykuł generała Tyrtowa, oparte są, jak na fundamencie, na tem twierdzeniu, że obraz Ostrobramski jest pochodzenia wschodniego, prawosławny, przez niegodną intrygę Karmelitów zabrany i na hańbę prawosławia dotychczas w posiadaniu łacinników pozostaje. Smutne te dzieje obrazu w niewoli, opisane są szeroko z właściwą werwą i niezachwianą pewnością siebie. Gdyśmy przez powyższe zestawienie wykazali, że łyzy krokodyły, jakie tak szczerze wzmiankowani autorowie wylewali, płynęły napróżno, zdawałoby się, że dalsze wywody z naszej strony są już zbyteczne. Takby należało się spodziewać — lecz w tem jedynie przypuszczeniu, że mamy sprawę z ludźmi dobrej woli, lub wreszcie z ludźmi uczonymi, którzy uznają za czarne co jest czarne, a za białe co białe; że zaś niestety takie przypuszczenie byłoby błędem i łudzeniem samego siebie, przeto zastanowimy się w dalszym ciągu nad kilku innemi pytaniami — na rozwiązanie których generał Tyrtow, jak niegdyś Aleksander Macedoński miecza, używa argumentów *sui generis*, wobec których nikomu już, jak przypuszcza, głosu podnosić nie wolno ¹. Zaczynamy od historyi powstania Ostrejbramy.

* * *

¹ Odpowiadając generałowi Tyrtowowi, wykazaliśmy, że obraz ten nie jest ani z XIV. wieku, ani pochodzenia wschodniego, bo malowany jest olejno przez malarza obznajmionego z tradycją szkoły włoskiej. Dziwna rzecz, że na to nie zwrócił nikt dotąd uwagi; wszakże w ten sposób dowodząc, wyjaśniłby od razu kwestyę sporną. Prawda, że kwestya ta powstała niedawno, bo po roku 1863. Przedtem nikomu na myśl nie przychodziło nawet, żeby obraz Ostrobramski kiedykolwiek należał do prawosławnych. Taki znawca dziejów kościelnych litewskich, jak Wojciech Kojalowicz, który dokładną podał wiadomość o wszystkich obrazach Matki Boskiej na Litwie pochodzenia wschodniego (*Miscellanea rerum ad statum Ecclesiasticum in Magno Lithuaniae Ducatu pertinentia*. Wilno 1650. 4^o, od str. 25), nic nie wspomina o tem. Kraszewski po dwakroć opisywał Ostrejbramę („Wilno“, II. 400; Wstęp do Ołtarzyka Ostrobramskiego I—XII), o pochodzeniu obrazu nic nie wspomina — przypuszcza tylko, że Karmelici w XVII. wieku obraz ten już znaleźli na bramie. Głębszy od Kraszewskiego znawca przeszłości historycznej Wilna, Michał Homolicki, badacz niezmiernie ścisły, który dochodził pilnie historycznego początku wileńskich cerkwi

Historyczny początek Ostrobramskiej kaplicy ściśle się łączy z epoką opasania miasta Wilna murem obronnym. Za panowania Aleksandra Jagiellończyka, dla którego Wilno było ulubioną stolicą, obwarowanie miasta za niezbędne było uznanem. Ponieważ w skarbcu brakło pieniędzy, urzędnicy królewscy opieszale koło tego chodzili. Biskup Wojciech Tabor, jak wszyscy dziejopisowie jemu to przyznają, czynnie się tem zajął; już to radą, już namową, wreszcie własną szkatułą. W r. 1497 staraniem jego wzniesiono mury i wały koło całego miasta, podług planu przez biskupa podanego. Pięć bram przytem urządzono: Miednicką, Rudnicką, Trocką, Wileńską i Zarzeczną; Zamkowa nie należała

i kościołów, również nie wystąpił z tą ciekawą historią! Nie można też pominąć niezmiernie kompetentnego badacza, głębokiego znawcy kronik i archiwów dyzuničkih i bazylińskich, Ignacego Stebelskiego, który w swem trzechtomowym dziele, wydanem w Wilnie w 1781 r. pod tyt.: „Dwa wielkie światła na horyzoncie połockim“ i t. d., nic nie wspomina o obrazie Ostrobramskim, a jednak nie pomija żadnego obrazu pochodzenia wschodniego, jeżeli te należały kiedykolwiek do cerkwi ruskiej. Nie potrzeba być nawet bardzo bystrym spostrzegaczem, aby zwrócić na to uwagę, że Stebelski o tak starożytnym obrazie Ostrobramskim, bo przez Olgierda z Chersonu przywiezionym i w XIV. wieku do cerkwi Ś. Trójcy ofiarowanym, tyle więc dla niej pamiątkowym i drogim dla Bazylianów ówczesnych — nie wspomina wcale. Więc ani w podaniach klasztornych, ani w opisach owych siedmdziesięciu autorów, którzy posłużyli mu za źródło przy układzie „Dwóch światła“, nic nie znalazł; boć niepodobna przypuszczać, aby ten klasztorny dziejopis o tym najdroższym dla swego zgromadzenia i najdawniejszym u Św. Trójcy obrazie Bogarodzicy, przez roztargnienie przemilczał — i do tego przemilczał w tym czasie, gdy bracia jego Bazylianie, według zapewnień świąszczeniaka Sokołowa (*Ostworótńaja Ikona*, wydanie drugie, str. 67—68), zacięty prowadzili spór z Karmelitami Bosymi, o prawo posiadania Ostrobramskiego obrazu Matki Boskiej, a spór ten miał być rozstrzygniętym aż w Rzymie, i to dopiero na początku XIX. wieku!

Podawszy, oprócz ks. Hilaryona, prawie wszystkich historyków obrazów wileńskich Bogarodzicy, pragnąłbym jeszcze uzupełnić ten spis wyjaśnieniem, że ks. Augustyn Lipnicki, oficyał-prałat katedry wileńskiej, napisał bardzo ważną monografię o Ostrejbramie, a w niej wypowiada te same sądy o pochodzeniu obrazu, na mocy badania samego obrazu. Praca ta, od kilku już lat gotowa do druku, z wielką stratą dla nauki pozostaje dotychczas w rękopisie, i długo zapewne przy dzisiejszych okolicznościach pozostanie; i dlatego to jedynie ośmielamy się ten nasz szkic nieudolny puścić w obieg, aby tymczasem oświecił umysły, przez ludzi zleż zacíniewane.

do miasta, lecz do załogi zamkowej¹. Dla nas szczególny interes przedstawia brama Miednicka, gdyż nad nią zbudowaną została kaplica Najświętszej Panny Ostrobramskiej. Nazywała się ta brama Miednicką dlatego, że pod nią przechodziła droga do starożytnego zamku wielkich książąt litewskich w Miednikach, o mil cztery od Wilna. Założenie tej bramy odbyło się z nadzwyczajną uroczystością, w przytomności wielkiego księcia Aleksandra i jego dworu, przez biskupa Wojciecha, otoczonego licznem gronem kapłanów, wśród nadzwyczajnego zgromadzenia wiernych, w poniedziałek po pierwszej niedzieli Wielkanocnej, w dzień św. Wojciecha, 23 kwietnia, który był i dniem imienin biskupa Tabora. Następných robót u bramy Miednickiej doglądał sam biskup Tabor; a gdy cały obwód miasta z bramami i basztami był gotów, znów je tenże biskup, pod wezwaniem Aniołów Stróżów, poświęcił².

Dopiero w roku 1505 wydano miastu przywilej na mury i bramy. Ten powiada: „mieszczanie nie chcieli iść na wojnę, lękając się nie zamkniętego za sobą zostawić miasta, aby go nieprzyjaciół nie ubiegł“. Ze względu na to, uwolniono ich od wszelkiej służby i ciężarów wojennych z warunkiem, aby się zaraz wzięli do murów, tak, aby każdy na swoim gruncie przypadającą część wymurował, a przynajmniej oparkanił. Wojewodzie polecono wyznaczyć miejsca, kędy mur iść miał, któremu jeśliby stawały na przeszkodzie domy, burzyć je kazano, „bo — powiedziano — lepsza szkoda jednego jak zguba wszystkich“³.

Brama Miednicka kosztem króla Zygmunta I. została przerobioną, podwyższoną i pięknie przyozdobioną. Już ku schyłkowi XVI. wieku zamianowano ją Qstrą (*Porta acialis*). Tę nazwę spotykamy po raz pierwszy w znanych urzędowych aktach pod rokiem 1594⁴. Przywilej króla Zygmunta I., dany w r. 1514

¹ Przyalgowski, „Żywoty biskupów wileńskich“. I. 80. — Naramowski, *Facies rerum sarmaticarum*. II. 353.

² Narbut, „Pomniejsze pisma historyczne“. Wilno 1856, str. 190—201.

³ Dubiński, „Zbiór praw, przywilejów Wilnowi nadanych“. Wilno 1788, fol., na str. 20.

⁴ „W znajomych nam źródłach, pisze Homolicki, nazwisko Ostrejbramy po raz pierwszy napotyka się pod rokiem 1594 (Księga I. wójtow-

księciu Konstantemu Ostrogskiemu na murowanie cerkwi Świętej Trójcy, znacznie oddalonej od bramy Ostrej¹ czyli Miednickiej, nie wyjaśnia wcale, aby był jaki stosunek zabudowań tej cerkwi do bramy, ostatecznie już ukończonej w r. 1508. Śledził już za tem uczony Homolicki, z mapą dawnych cerkwi wileńskich w rękę i ze źródłami z archiwum metropolitalnego unickiego, lecz do żadnych ważniejszych rezultatów nie doszedł, albowiem źródła te ledwie ubocznie wzmiankują o cerkwi Św. Trójcy. Jenerał Tyrtow utrzymuje (według swego zwyczaju gołosłownie), że przy Ostrejbramie była cerkiew św. Piotra, zależna od klasztoru Św. Trójcy, gdzie właśnie przed zbudowaniem bramy Miednickiej znajdować się miał cudowny obraz Najświętszej Panny, przeniesiony potem nad bramę. Ile w tem prawdy, zobaczmy niżej.

Kiedy innych dawnych bram miasta Wilna żaden ślad nie pozostał, to brama Miednicka, a później nazwana Ostrą, pozostała dotąd w pierwotnym stanie od r. 1508. Zbudowana jest ona umiejętnie, podług rysunków dobrych budowniczych, z cegły wielkiego formatu: długiej na 12 cali, na 5 cali szerokiej, a $3\frac{1}{2}$ grubej. Jest to czworościenna baszta równoboczna, składająca się z dwóch piętr, przedzielonych fryzem, wszystkie cztery strony obiegającym. Mury te mają grubości przeszło $3\frac{1}{4}$ łokcia, a ponad sklepieniem bramy tworzą jedną izbę, wynoszącą 13 łokci w kwadrat. Z prawej strony od miasta mieszczą się schody, wiodące na górę, wąziutkie, ciemne i kręte.

Że po zbudowaniu baszty nad bramą Miednicką wpuszczono w mur obraz nad bramą, o tem nie wątpimy, gdyż baszta w pier-

ska, str. 90—91, nr. 132). Może będzie i nieco wcześniejsze jeszcze. Przynajmniej ślady archiwalne monasteru Św. Trójcy wskazywać mają, że samo wzgórze, na którym w pierwszej połowie XIV. w. cerkiew ta była postawiona, niekiedy już wtenczas nazywano ostrym-końcem. Dzisiaj jednak (pisano to w r. 1842) „to narzeczenie właściwie służy tylko przedmieściu po tamtej stronie bramy leżącemu“. („Wizerunki i roztrząsania“, xxiv. 77, p. 1).

¹ Dubowicz Jan, „Hierarchia abo o Zwierzchności w cerkwi Bożej“. Lwów 1664. 4^o, 260. — Według Dubowicza, założycielem monasteru Św. Trójcy był Sylwester Wielkiewicz, pierwiej skarbný W. Ks. Lit. Od r. 1556 był metropolitą: za Zygmunta Augusta, metropolita kijowski ledwo czytać umiał.

wotnym stanie z r. 1508 przetrwała do dnia dzisiejszego i wyraźnie są ślady, że kiedyś obraz był wmurowany. Czy tym obrazem był dzisiejszy cudowny Najświętszej Panny Ostrobramskiej, nie pewnego powiedzieć nie możemy, dla braku odpowiednich źródeł¹.

Najdawniejszą i w swym rodzaju pewną wiadomość o tym obrazie mamy z „Relacyi“ ks. Hilaryona, Karmelity Bosego. Uczony i pobożny autor, definitor Karmelitów Bosych, przy kościele św. Teresy i Ostrejbramie od r. 1621 osiadłych, całą wiadomość do dziejów Ostrobramskiego obrazu i dzisiejszej jego kaplicy brał z historyj zakonnych konwentu wileńskiego, a napisał ją w r. 1761. Edycyi pierwotnej nie widzieliśmy; zdawać będziemy poniżej sprawę podług drugiej edycyi z r. 1823².

„Obraz Matki Boskiej od lat dziewięćdziesięciu trzech słynie cudami, — pisze ks. Hilaryon (a zatem pierwsze cuda zapisano w r. 1668) — ciąglą od pobożnego ludu czcigł otoczony“. Te cuda, ta cześć, jaką obraz był otoczony, skłoniły ks. Hilaryona

¹ Jenerał Tyrtow utrzymuje, że obyczaj umieszczania obrazów nad bramami miejskimi, a szczególnie obrazów Zwiastowania (?) Najświętszej Panny, jest odwiecznym, rosyjskim (!); a zatem, ponieważ ponad Ostrąbramą był obraz, więc ten, jako odpowiadający zwyczajowi tylko w Rosyi praktykowanemu, musiał być rosyjskim, prawosławnym. Nie potrzebujemy się wysilać, aby przekonać (!) uczonego jenerała, że i w innych miastach zachodniej Europy, jak np. u Krzyżaków, w Pradze, Krakowie i t. d. z podobnym, chwalebnym zwyczajem spotykać się można; powtóre, w tymże Wilnie na innych bramach, nie rosyjskiego zapewne pochodzenia, bo o tem nie wspomina jenerał w swej pracy, znajdowały się obrazy. I tak, w bramie Trockiej był wizerunek Bogarodzicy z Dzieciątkiem Bożem u łona; a gdy tę bramę burzono, obraz zdjęto. Przez wiele lat był ten obraz w kaplicy Dzieciątka Jezus: obecnie znajduje się w kościele katedralnym św. Stanisława w Wilnie.

² „Relacya o cudownym obrazie Najświętszej Maryi Panny, który w Wilnie na Ostrej-bramie przy kościele WW. OO. Bossych Zakonu Braci N. M. P. z Góry Karmelu pierwszy Obserwancy w onychże Possesyi od lat 93 będący nieustannie słynie cudami. Z Historyi Zakonnych Konwentu Wileńskiego tychże WW. OO. Karmelitów Bossych zebrana a przez X. Hilaryona od S. Grzegorza Karmelity Bossego prowincyi Litewskiej Definitora — R. 1761 wydana a staraniem X. Hilaryona od S. Raymunda Karmelity Bossego prowincyi Litewskiej Definitora do przedrukowania podana. Wilno w drukarni Dyecezalney. 1823⁴. (8^o, str. 146, 4).

do napisania „Relacyi“, w której zebrał to wszystko, co do jego czasów było wiadomem. W danej chwili nie interesują nas ani pobożne modlitwy, ani starodawne pieśni na cześć Najśw. Panny układane, ani wreszcie cuda, które do r. 1761 się zdarzyły; gdyż prowadząc polemikę z generałem Tyrtowem, te ciekawe a święte zabytki nie nadają się do naszego celu; notujemy natomiast główniejsze momenta z dziejów Ostrejbramy. „Co do początków i dawności tego cudownego obrazu, skądby się wziął i od którego czasu wierny lud swoje do niego nabożeństwo powziął, żadnej znikąd pewnej wiadomości nie mamy“. Księga historii konwentu „przez różne rewolucye i niepokoje zginęła“; mimo tego utrzymuje autor „Relacyi“, że „przed fundacją konwentu, po rok 1626, ten święty Obraz zupełnej czci i powinnego uszanowania nie miał, ale tylko pospolitym, oraz i przyzwolitym katolików sposobem był czczony i szanowany, jako inne, na jakimkolwiek miejscu (np. na innych bramach) znajdujące się obrazy cudami nie słynące“¹. To sprawozdanie Karmelity, o pierwiastkowych dziejach obrazu Ostrobramskiego, przyjęte zostało przez wszystkich naszych pisarzy za wiarogodne; generał Tyrtow zaś dowodzi, że obraz ten od najdawniejszych czasów stanowi własność prawosławnych, a przez Karmelitów od czasu osiedlenia się przy Ostrejbramie (1621—26) został przywłaszczonym. Według Tyrtowa, gdy w dniu 23 kwietnia 1498 wzniesiono basztę na bramie, wówczas na jej ścianie przygotowano miejsce dla ustawienia rzeczonego obrazu Najświętszej Panny, który po przeniesieniu z kaplicy (przy cerkwi św. Piotra), gdzie dotychczas pozostawał, umieszczony został na bramie pod szkłem. Z czasem prawosławni zobojętnieli ku temu obrazowi i nie stawiali energicznych przeszkód naporowi łacinników, a wskutek tego obraz przeszedł zupełnie w posiadanie Karmelitów. Dlaczego zaś zobojętnieli, to wyjaśnia Tyrtow w ten sposób: Gdy Helena, córka w. ks. Moskiewskiego, wyszła za mąż za Aleksandra Jagiellończyka, przybywszy do Wilna przywiozła z sobą

¹ „Relacya...“, str. 3.

obraz Matki Boskiej pendzla św. Łukasza¹, i obraz ten umieściła w soborze Preczysteńskim. Wobec takiego ważnego, bo z Moskwy sprowadzonego obrazu, mniejszą już prawosławni zwracali uwagę na Ostrobramski. Nie zrzekli się jednakże tytułu własności, dowodzi w dalszym ciągu Tyrtow, i chociaż parcie łacinników było silne, jednakże prawosławni mnisi klasztoru Św. Trójcy obraz ten utrzymywali w swoim posiadaniu przez cały wiek XVI., dopóki tak klasztor jak i cerkiew nie przeszły w posiadanie Unitów. Tak mówi generał Tyrtow. Szkoda tylko, że tak ważne wiadomości o początku i dalszych dziejach obrazu Ostrobramskiego, podaje nam nie cytując źródeł, skąd je zaczerpnął; gdyby to był zrobił, wówczas zrozumielibyśmy może, dlaczego ani Karmelici, ani tacy znawcy owych czasów, jak Kojalowicz i Stebelski, do tych źródeł trafić nie mogli, i dlatego milczą. Zrobiłby nauce wielką przysługę generał Tyrtow, gdyby zechciał wyjaśnić ten np. szczegół z dziejów Ostrejbramy: czemu przypisać należy tę szczególną sympatyę biskupa Tabora do prawosławnej ikony?

Widzieliśmy powyżej, że Tabor własną kieszenią przyczynił się do wzniesienia bramy i nad nią baszty; widzieliśmy, że z wielką uroczystością dopełnił poświęcenia; z drugiej strony opowiada p. Tyrtow, że edykt Kazimierza Jagiellończyka, uciskający prawosławie i prawosławnych, przez długie czasy był w pełnej sile; i po tem wszystkiem dowiadujemy się, że biskup katolicki przyzwala, aby w jego oczach, w czasie obrzędu poświęcenia lub później nieco (to nie zmienia istoty rzeczy), zawieszono na tej bramie obraz, który prawnie należał do cerkwi innego wyznania! Prawda, że Tyrtow o przyzwoleniu biskupa nie wspomina, ale sama logika dyktuje, że bez takiego pozwolenia w owym czasie nie mogliby prawosławni o czemś podobnem pomyśleć. Nie przeczę, że ta historia zawieszenia ikony, to drobny szczegół; mimo

¹ Między malarzami krąży legenda, że w średnich wiekach był malarz Jan Lucca, którego obrazy za utwory św. Łukasza Ewangelisty są brane. To bardzo prawdopodobne; przynajmniej łatwiej obecnie zrozumieć, dlaczego tyle obrazów św. Łukasza doszło naszych czasów.

to niezmiernie będziemy wdzięczni autorowi, jeżeli go zechce wyjaśnić.

Na potwierdzenie tego faktu, że obraz Ostrobramski w początkowych dziejach nie był uważany za cudowny, ks. Hilaryon powiada: „Obraz ten nie miał żadnej przystojnej kaplicy, ani przyzwoitej cudownym obrazom ozdoby, ale tylko na tym samym, na którym i teraz jest miejscu, do muru był nieco wpuszczony, z okiennicami czyli drzwiczkami, nie w zupełny kwadrat zrobionemi, od śnieżnych i dżdżystych nawałności obraz zakrywającemi. Przed nim był ganeczek bardzo szczupły, na którym gradusy proste i ciasne, ledwie tylko nabożnym ludziom do zapalenia, jeśli kto ofiarował lampy, wstęp czyniły“¹.

Powyższa relacya autora żyjącego w połowie XVIII. w., autora-spadkobiercy dziejowych podań swego klasztoru, zasługuje na zupełną wiarę. Autor, bliższy od nas historycznych źródeł miasta Wilna i Ostrejbramy, źródeł, których niemała część do nas nie doszła, piszący z taką prostotą i dokładnością, — bo nie chce tego podawać za pewność, czego w dokumentach klasztornych nie znalazł — taki autor był solą w oku dla najnowszych historyków wileńskich Ostrejbramy. Trzeba było coś zrobić, aby ks. Hilaryona uczynić nieszkodliwym, a jego „Relacyę“ pozbawić wartości.

Sposób uśmiercenia ks. Hilaryona, wynaleziony przez świaszczennika Sokołowa, jest wymownem świadectwem jego uzdolnienia na członka komisji śledczej; gdyby istotnie nim został, na zręczniejsze sposoby nie potrzebowałby się zdobywać: Kiedy w r. 1823 — opowiada obszernie świaszczennik Sokołow, a ja go streszczam do *minimum* — rząd zawiesił w Wilnie wszystkie stowarzyszenia polityczne, jak: Szubrawców, Promienistych, Filaretów, Filomatów — Karmelici Bosi, znając dobrze Rosyę i jej głęboką tolerancję religijną, napisali i ogłosili drukiem „Relacyę“ o cudownym obrazie Najświętszej Maryi Panny, a w niej pomieścili mnóstwo hymnów i pieśni do Bogarodzicy, w duchu polskiej propagandy. Równocześnie wspomina, że autorem „Relacyi“

¹ „Relacya...“, str. 4.

był głośny kaznodzieja Trynkowski¹. Dla nieznających dzieła Sokołowa dodam, że pomimo ogromnej liczby przypisków, niema ani jednego, odnoszącego się do „Relacyi” i jej autora, więc nie wiemy, skąd się dowiedział, że ks. Hilaryon nigdy nie egzystował, a jego „Relacya” została skomponowaną przez Karmelitów w r. 1823 w celu politycznej propagandy.

Wypada nam z kolei rzeczy opowiedzieć w kilku słowach o powstaniu klasztoru Karmelitów Bosych, kościoła św. Teresy i wreszcie o powstaniu kaplicy Ostrobramskiej.

W r. 1621 rajca wileński Ignacy Dubowicz wybudował klasztor Karmelitów Bosych w Wilnie². W pięć lat potem, tj. w r. 1626, Stefan Pac, podkanclerzy litewski, w sąsiedztwie klasztoru wznosił kościół św. Teresy. Część placów zajętych temi budowlami nabyta została od cerkwi Św. Ducha; tak, iż dawniej tamtędy przechodząca uliczka zniknęła³.

Okolo r. 1633 powstał spór między Karmelitami Bosymi a sąsiednim monasterem Św. Ducha, względem placu, przy kamienicy „Onichimowską” zwanej, który przez wspólną obu stron zgodę, na relacyjnych sądach królewskich 6 lipca 1633 r., został na zawsze umorzony. Odtąd już Karmelici Bosi, będąc w spokojnem posiadaniu swego klasztoru i kościoła św. Teresy, a przy nim Ostrobramskiej kaplicy z obrazem Najśw. Panny, pragnęli ostatecznie dokonać dzieła budowy kościoła przez uroczyste jego poświęcenie. Dzień 15 listopada 1654 przeznaczony został na konsekrację, a ceremonii tej dopełnił biskup wileński, Jerzy Tyszkiewicz. Przy tym kościele i Ostrejbranie Karmelici

¹ *Ostroworótńska Ikona*, wydanie 2-gie, str. 90—92.

² Naramowski, *Facies rerum...*, str. 252. — Kojalowicz, *Miscellanea...*, str. 103.

³ Kraszewski, „Wilno“, II. 412, przyp. 9. Zwracamy uwagę, że taka ważna kwestya, jak prawo własności, załatwioną została przez Kraszewskiego w sposób nie budzący zaufania. Poprzestaje bowiem autor na tem, co mu ustnie objaśnił Archimandryta, a nie stara się rozpatrzyć dokumentów, które w r. 1840 jeszcze były dostępne.

Bosi przetrwali aż do r. 1844; odtąd zarząd przeszedł w ręce świeckich proboszczów ¹.

Kościół św. Teresy architektury włoskiej, w kształcie prostokąta, jedna wieża murowana. Długości ma 51 łokci litewskich, szerokości 21. Dach wsparty na 8-miu, chór na 4-ech kamiennych arkadach. Facyata kościoła gustownej struktury, podstawa

¹ Tyrtow wiele miejsca poświęca (powtarzając za Sokołowem i innymi) tej historii; mówi mianowicie, że kościół św. Teresy wraz z kaplicą Ostrobramską powinien był jeszcze w r. 1832 przejść pod zawiadywanie duchowieństwa prawosławnego na skutek najwyższego ukazu. Polska partya w hierarchii rządowej przeinaczyła ten ukaz i zamiast dzisiejszego kościoła św. Teresy w Wilnie, kazano wydać karmelitańską kaplicę, znajdującą się poza rzeką Wilią, na prędcie zamianowaną kościołem św. Teresy. A był to niewielki, murowany kościółek zawilejski św. Józefa... Sprawa o wydanie Ostrobramskiego kościoła św. Teresy... ciągnęła się przez dwa lata, aż prawosławne duchowieństwo wyrzekło się ofiarowanego sobie kościółka św. Józefa. Ostrobramski klasztor Karmelitów Bosych w r. 1844 oddany był w ręce duchowieństwa prawosławnego, a kościół ich został w ręku księży... Kościół ten odtąd stracił miano kościoła św. Teresy, a otrzymał nazwę Najświętszej Panny Ostrobramskiej. — Na to należy odpowiedzieć; lecz czy to będzie miało jaką korzyść dla historii Wilna, mocno powątpiewam. Odpowiadam jednakże ze względu na polskich czytelników *Wileńskiego Wiestnika*, gdzie podobnego rodzaju artykuły, pojawiając się dość często, balamucą umysły nieznających historii miasta.

W Wilnie Karmelici tak Trzewiczkowi jak i Bosi, mieli w drugiej połowie XVIII. wieku pięć klasztorów. Najdawniejszymi w mieście byli Trzewiczkowi, a najstarszy ich klasztor był pod wezwaniem N. M. P. Śnieżnej, obok św. Jerzego, gdzie jest seminaryum katolickie duchowne; drugi ich klasztor do dziś dnia istniejący: Wszystkich Świętych. Karmelici Bosi do 1830 r. mieli w Wilnie trzy klasztory; z nich jeden żeński. Najdawniejszy Ostrobramski (1621). Fundatorowie kościoła św. Teresy, Pac z żoną, wzniesli kościół i klasztor św. Józefa dla Karmelitanek (w r. 1865 sprzedany z licytacji i rozebrany); i trzeci, najpóźniej założony klasztor na przedmieściu Rybaki, za rzeką Wilią, przy kościele św. Józefa i św. Teresy, fundowany przez Ogińskiego w r. 1702. Kościół ten miał trzy wejścia, cztery duże okna, trzy ołtarze: św. Teresy główny, a po bokach św. Józefa i Najświętszej Panny. Klasztor był drewniany, i w r. 1804 wyglądał na zbutwiały, a wcale nie obszerny. Mieszkało w nim dwóch zakonników, z których jeden, ks. Apolinary Podbipięta, zwał się kaznodzieją, definitorem i przeorem; a drugi, ks. Gierard Betrejko, pełnił inne obowiązki w kościele i klasztorze. Do klasztoru należał folwark, zabudowania gospodarskie i ogrody; była w nim niewielka biblioteka. („Opisanie stanu kościoła XX. Karmelitów Bosych, mieszkających za Wilią przy kościele św. Teresy,

pod sześciu pilastrami u dołu na 2 $\frac{1}{2}$ arszyny przez cały kościół szeroka; bazy i kapitele na kondygnacyi drugiej pod czterema pilastrami z kamienia i marmuru szwedzkiego. Budowa tego kościoła stanowi jeden z najcenniejszych pomników architektury krajowej wieku XVII. Sądząc po jaskrawych kontrastach czarnego i żółtawego marmuru, jakoteż po pilastrach doryckich i ko-

w czasie wizyty generalnej przez X. Ignacego Zienkowicza kanonika wileńskiego czynionej r. 1804⁴. Dokument ten znajduje się w archiwum kościoła św. Rafała na Śnipskach).

Kościół ten był konsekrowanym 1740 r. pod tytułem św. Teresy, i pod tem mianem był znany w urzędowych inwentarzach i wizytach.

Na mocy ukazu cesarskiego z dnia 19 lipca 1832 r. rządzący dycęzą biskup Kłagiewicz otrzymał z Kolegium rozporządzenie względem przeznaczonych do zamknięcia klasztorów. W spisie z Petersburga przysłanym znajdował się i kościół i klasztor św. Teresy za Wilią na Rybakach, dlatego że nie posiadał prawem oznaczonej liczby zakonników (ośmiu). Jak zaś w liczbie 190 klasztorów na kasatę skazanych znajdował się wyraźnie wymieniony „klasztor i kościół Karmelitów Bosych za Wilią na Rybakach“, tak też niemniej jasno w rzędzie zachowanych, czyli wolnych od kasaty klasztorów 113 zapisany był kościół św. Teresy przy Ostrejbranie i przy nim klasztor Karmelitów Bosych. Rozkaz Kolegium duchownego z 12 sierpnia 1832 r. nalegał też na biskupa Kłagiewicza o oddanie dwóch w Wilnie kościołów władzy świeckiej: św. Kazimierza w mieście i św. Teresy na Rybakach za Wilią. Gubernator Doppelmair odezwą do biskupa z 1 września 1832 r. nastawał o co najprędzcie oddanie mu kościoła św. Teresy za Wilią; biskup niezwłocznie odpowiedział, że gdy kościół św. Rafała, gdzie był urządzony skład rządowy, będzie oczyszczony, a parafialne nabożeństwo, które obecnie odprawia się w kościele św. Teresy, będzie mogło być tam odprawiane, natychmiast kościół św. Teresy wyda władzy świeckiej. Sprawa przeciągnęła się, gdyż generał-gubernator Dołgoruki nie dawał pozwolenia na otwarcie nabożeństwa w kościele św. Rafała. Kościół św. Teresy przeznaczono na cerkiew. Archirej miński, do którego należały cerkwie w Wilnie, rozkazywał dwa razy archimandrycie monasteru Św. Ducha przyjąć pod zarząd opróżniony po Karmelitach Bosych klasztor św. Teresy za Wilią — jednakże nim ten kościół przemieniono na cerkiew, runął w gruzy. Obecnie ta miejscowość należy do miasta.

Po roku 1863, gdy stare dzieje wydobyto na wierzch i stosownie je oświecono, jak o tem na początku wspomnieliśmy, gazeta petersburska *Nowoje Wremia* (1868, n-ra 91—104, 124) ogłosiła w szeregu artykułów całą tę historję, na zasadzie wizyt kościelnych, inwentarzy i dokumentów z lat 1832—35, przechowywanych w Kolegium duchownem petersburskiem: lecz artykuły te śnać nie trafiły do przekonania pp. Sokołowych, Kozłowskich i t. p., gdyż o nich milczą zawzięcie.

rynckich, dekorujących boki szczytu krzywizn i piramid, wreszcie konch na facyacie — budowa ta uchodzi słusznie za dzieło stylu Palladiusa. Ma też wielkie podobieństwo do kościoła Karmelitów na Piasku w Krakowie. Obok drzwi kościelnych, dwie kolumny granitowe polerowane, piedestały pod nimi także granitowe; bazy i kapitele z białego marmuru, ramowanie obszerne około drzwi kościelnych i około wszystkich okien; na froncie ganek, na drugiej kondygnacji facyaty i dwie piramidy, piedestały i galki pod nimi, dwa lichtarze, herb Paców z koroną i dwa wielkie fryzy kończące facyatę — są częścią z marmuru białego, częścią z kamienia i marmuru szwedzkiego. Od ulicy Ostrobramskiej kaplica Pana Jezusa, kosztem Pocięjów w r. 1783 wymurowana, z kopułą sklepioną, sztukateriami i herbem nad grobem Michała Pocięja, starosty rohaczewskiego, zewnątrz ozdobiona, u wierzchu zakończona mitrą z galką połączoną. Wewnątrz kaplica ma sztukaterię, wyobrażającą historię męki Chrystusa Pana. W ołtarzu głównym obraz św. Teresy; w bocznych: po prawej stronie św. Józefa, św. Michała Archaniola i św. Jana Nepomucena; po lewej: N. Panny Szkaplerznej, św. Jana od Krzyża, św. Piotra Apostoła, Opatrzności Boskiej w małej figurce, Pana Jezusa we framudze drewnianej wyłaczanej, snycerskiej roboty. W wieży murowanej, od ulicy Ostrobramskiej, urządzona dzwonnica ¹.

Mówiliśmy powyżej, że obraz Najśw. Panny, nad Ostrąbramą umieszczony, z cudów nie słynął w chwili przybycia do Wilna Karmelitów Bosych i zajęcia klasztoru i kościoła św. Teresy (1621 r.). Nie miał ten obraz żadnej kaplicy, a tylko był wpuszczony w mur i zasłonięty w czasie niepogody okiennicami. Nawet po r. 1626, gdy kościół św. Teresy już był ukończony, pomimo gorącej czci ku Matce Bożej, Opiekunki zakonu, i usiłowań ku pomnożeniu Jej chwały przed obrazem na Ostrejbramie, nie mieli jeszcze zakonnicy praw od miasta do zajęcia się przyozdobieniem obrazu i urządzenia właściwszego w tej bramie schronienia. Dopiero w roku 1671 ks. Karol od Św. Ducha

¹ Kirkor, „Przewodnik po Wilnie“. 1880, str. 173.

wymową i powszechną wziętością swoją to sprawił, iż obraz ten z miejsca gdzie się dotąd na Ostrejbramie znajdował, uroczyscie do kościoła św. Teresy został przeniesionym i umieszczonym w pierwszej kaplicy, po prawej stronie od wielkiego ołtarza. Zbierane odtąd na urządzenie kaplicy na Ostrejbramie składki, do których hojnie się przyczynili panowie deputaci głównego Trybunału litewskiego i liczni dobrodzieje, dozwoliły wnet wybudować na tejże Ostrejbramie kształtną kaplicę z drzewa, przyozdobioną wspaniałe w obrazy, malowidła i odpowiednie napisy; o czym świadczył posiadany przez ks. Hilaryona Inwentarz Ostrejbramy, spisany dnia 12 kwietnia 1706 r. Gdy kaplica nad Ostrąbramą zupełnie była ukończoną, obrano dzień niedzielny, w tymże jeszcze 1671 roku, na uroczyste wniesienie do niej obrazu Najśw. Panny Maryi. Przeniesienia dokonano z wielką uroczystością pod przewodnictwem biskupa wileńskiego, Aleksandra Sapiehy. Kazanie ks. Karola od Św. Ducha zakończyło uroczystość. Od tej chwili datuje się codzienne nabożeństwo w kaplicy Ostrobramskiej. W r. 1706 w czasie pożaru, święty obraz został przeniesiony do kościoła i pozostał w nim przez czas dłuższy. W dniu 26 maja 1715 r. skutkiem pożaru kaplica spłonęła, obraz uratowany został i do kościoła powtórnie wniesiony i umieszczony w wielkim ołtarzu. Wówczas to zaczęto odprawiać przed nim osobne nabożeństwo, które do dziś dnia przetrwało. Zarządzono składki na trwalszą budowę. Gdy się zebrały odpowiednie fundusze, do starożytnej z XV. wieku bramy Miednickiej przymurowano kaplicę, a ta z bramą utworzyła jakoby jedną całość. Po zupełnem urządzeniu kaplicy, która do dziś dnia przetrwała, przeniesiono cudowny obraz Najśw. Panny do nowej kaplicy, a od tej chwili pobożność ku Matce Bożej wśród ludności rozszerzyła się nie tylko poza obręb miasta, lecz nawet i całej prowincyi.

Dotychczas szliśmy za „Relacją“ ks. Hilaryona, który na tej właśnie chwili, powtórnego przeniesienia cudownego obrazu do nowej, murowanej kaplicy, relację swą przerwał. Odtąd nikt się nie zajmował dalszą historią kaplicy Ostrobramskiej. Nie wiemy nawet, czy te straszne pożary, jakie nawiedziły Wilno

w 1748 i 1749 r., a o których dokładną relację czytamy u Michała Balińskiego („Dawna Akademia Wileńska“, 461), dotknęły Ostrąbramę, czy nie. Nawet rok 1812 oszczędził kaplicę, choć zrujnował kościół św. Teresy. Przeor Przycki starannie odnawiając kościół ogromnie zniszczony, odnowił i kaplicę. Nadto po raz drugi odnowili Karmelici kaplicę w roku 1829. W tym czasie przymurowano kosztem prywatnej osoby krytą i oszkloną galeryę tuż przed Ostrąbramą, z lewej strony ulicy. Galerya ta zaopatrzona w ławki, przeznaczona jest dla modlących się i słuchających Mszy św. w kaplicy.

Gdy Karmelici Bosi po dwustu dwudziestu i kilku latach opuścili kościół św. Teresy i Ostrąbramę, drugi z kolei proboszcz tego miejsca, ks. Kazimierz Zaleski, znacznie się przyłożył do przyozdobienia i opatrzenia w nowe aparaty i sprzęty tak samego kościoła, jak i Ostrobramskiej kaplicy, a także zaprowadził w niej wzorowy porządek. Za czasów smutnej pamięci Piotra Żylińskiego administracja kaplicy Ostrobramskiej była jak najgorsza. Po nim dopiero czcigodny wyznawca, ks. arcybiskup Karol Hryniewiecki, zarządził odnowienie kaplicy. Pod umiejętnym kierunkiem prowadzona restauracja zostawiła nietkniętym i kształt zewnętrzny i urządzenie wewnętrzne, a tylko dodała kaplicy wspaniałości i artystycznego wdzięku.

Obecnie kaplica Ostrobramska tak się przedstawia: Tuż za kościołem św. Teresy, idąc od miasta, znajduje się brama sklepiona, nad którą zbudowana wspaniała kaplica w stylu Odrodzenia, z bardzo cenną dekoracją konturową czystego również renesansu na atyce kaplicy. Ścianę zewnętrzną stanowią trzy obszerne, oszklone okna; środkowe szersze, na dwie połowy się otwierające, po obu stronach pojedyncze węższe. Te się latem i w dni pogodne otwierają naościę, aby lud z ulicy widział cudowny obraz i kapłana odprawiającego Mszę św. Nad środkowym oknem i po bokach błyszczy ułożony z wielkich mosiężnych, wyłaczanych głosek napis (teraz łaciński): „Matko miłosierdzia! pod Twoją obronę uciekamy się!“ Ściana zewnętrzna, od ulicy, pomalowana na podobieństwo szarego marmuru. Kolumny jaśniejsze. Ściany boczne i tylna, słowem część w tyl

posunięta, pochodzą z r. 1508, jak to przedstawia rysunek powszechniony przez Narbuta w jego „Pismach pomniejszych“. Dziś nawet można się przekonać, iż Ostrobramska kaplica została przymurowana do Ostrobramskiej czyli Miednickiej bramy i w jedno z nią połączona.

Wchód do kaplicy przez klasztor, za czasów Karmelitów, był niedostępny dla niewiast z przyczyny klauzury zakonnej, a i mężczyźni nie zawsze i nie wszyscy tamtędy przechodzić mogli. Za pierwszego jeszcze proboszcza, kanonika Pacewicza, gdy część klasztoru do kościoła św. Teresy przyległa na mieszkanie była mu zostawioną (w r. 1844), niewiele osób dostawało się drogą już dozwoloną dla płci obojej, przez klasztorny korytarz i ogród, na schody do Ostrobramskiej kaplicy wiodące. W późniejszym zaś czasie, kiedy cały klasztor po-karmelicki z ogrodem i korytarzem przeszedł we władanie duchowieństwa prawosławnego, drogę ową zatarasowano, a wejście do kaplicy dzisiejsze jest albo z kościoła przez zakrystyę, albo wprost z ulicy na wązki korytarz, po schodach prowadzących na piętro, gdzie oprócz kaplicy znajduje się mała zakrystya. Drzwi żelazne oddzielają kaplicę od korytarza, ongi karmelitańskiego. Sama kaplica krótka a szeroka, ma od drzwi, umieszczonych w ścianie bocznej, do przeciwległego boku 15 łokci, między ścianą zaś frontową a tą, na której jest ołtarz, łokci 5. Sklepią trzema łukami, ma na wysokość od posadzki, w sklepieniach bocznych, do sufitu około 10 łokci. Środkowe zaś sklepienie na krzyż przerzucone, opiera się na dwu łukach bocznych, jest nieco wyższe i mieści w sobie ołtarz z obrazem Najświętszej Maryi Panny. Powyżej nad obrazem ukazuje się fryz w złożone floresy ozdobny, wystający, dosięgający sklepienia i stanowiący część najwyższą ołtarza. Ołtarz mieści się wśród czterech słupów korynckich, ze złożonemi kapitelami. Nad owym fryzem, wśród podnoszącego się w górę sklepienia, dają się widzieć kręgi obłoków z małemi główkami cherubinów, między którymi, wśród błyszczących promieni, jaśniejze złożona cyfra Imienia Maryi. Po obu zaś stronach takiego obłoczystego kręgu, na krawędziach wystającego fryzu, są umieszczone, w postaci siedzącej, dwa se-

rafiny nadobnie rączkami ukazujące przedmiot swego uwielbienia: „Imię Maryi“. Poniżej cyfry, a nad cudownym obrazem, zajmuje miejsce wizerunek Chrystusa Pana pastelowy (*Ecce Homo*), nowej a dobrej roboty, za szkłem, w srebrnej ramie. Obraz ten wsparty jest na obróconym rogami w górę srebrnym półksiężycu, i ma mniej więcej pół łokcia długości. Pomiędzy dwoma słupami, od prawej i lewej strony ołtarz zdobiącemi, stoją dwa wyzłacane, dobrze rzeźbione, pół naturalnej wielkości posągi św. Joachima i św. Anny, błogosławionych rodziców Przenajświętszej Dziewicy. Spód cudownego obrazu zamyka wielkich rozmiarów srebrny półksiężyc, końcami obrócony do góry, jak go przywykliśmy widzieć na obrazach Niepokalanego Poczęcia. Na ołtarzu srebrne świeczniki, połączone srebrnym łańcuchem, uzupełniają ozdobę. Owe zaś boczne ponad mensą ołtarza słupy, bazy i podstawy szczelnie pokrywają, rozmaitej postaci z pięknemi i budującemi napisami, wota złote lub złożone, a najczęściej srebrne, składane wskutek doznanych i ubłaganych za pośrednictwem Najświętszej Panny w tem miejscu łask Bożych. Po obu stronach ołtarza ustawione organy czarne z drzewa, w części matowe, a w części zaś polerowane, ze złożonemi arabeskami, wspaniale dopełniają całości prześlicznej kaplicy Ostrobramskiej, gdyż budowa tych organów, o sześciu frontowych oknach, jest należycie zastosowaną do architektury samej kaplicy. Sufit czyli sklepienie ma tło seledynowe jasne, na niem rzucone w gipsowej płaskorzeźbie lekkie, białe ornamenta symbolicznej natury. W środkowym z nich płonie Jakubowa lub Betleemska gwiazda. Po stronie posągu św. Anny ukazuje się dom Dawidowy lub może domek Maryi Loretński, uwieńczony palmą i winoroślą. Po stronie drugiej, która odpowiada posągowi św. Joachima, wystaje Arka przymierza, związana palmą i różdżką oliwną. Dwie w pośrodku sklepienia zwieszane wiązanki kwiatów, w ten sam sposób są zrobione, co i rzeźby na środkowym sklepieniu.

Antependyum, które pokrywa całą fałsz-marmurową mensę ołtarza, jest metaliczne, w złożonej ramie. Na czterech rogach ma główki cherubinów, a w środku w obłokach promieniejące Imię Maryi, przed którem z obu stron klęczą w adoracyi dwaj

Archaniołowie. Cała robota w płaskorzeźbie wykonana, wyraża cechę XVII. wieku.

Ściany kaplicy równe i gładkie, od dołu wysmienicie imitują w tablaturze malachit, obramowany cieniowanym szlakiem, na łokieć i pół wysokim. Od reszty ściany oddziela złota listewka, a dalej w górę zdobi ścianę imitacja marmuru białego, nazwana pisana (*grecco scritto*), układana z płyt dużego rozmiaru. Cała robota wykonana jest pendzlem, z nadaniem po wierzchu marmurowego połysku, co się na ogół bardzo dobrze przedstawia.

Kaplica jest oświetlona dużemi, u góry półkolistemi oknami; okna opatrzone od wewnątrz okiennicami. Na tych ostatnich dobrze są zachowane olejne malowidła; pierwsze, od wejścia do kaplicy, przedstawia św. Jana od Krzyża z krucyfiksem w prawej ręce; drugie, dalsze, wyobraża św. Teresę z sercem w lewej ręce. Są to patronowie zakonu Karmelitów, których strój mają na sobie. Tarcze atoli i napisy pod temi obrazami, niegdyś wyrte czy wymalowane, zupełnie się już zatarły.

Posadzka w kaplicy zrobiona jest z marmuru szwedzkiego ciemno-brunatnego i jasnego, w niewielkie płytki równo, symetrycznie ułożona, dobrze się trzyma. Wreszcie dodać należy, iż cała ta kaplica pod względem architektury, proporcji, linii, ornamentacji, sztuki rzeźbiarskiej i wogóle pod względem artystycznym dużo ma wdzięku i estetycznego smaku.

Wizerunki Ostrobramskiej kaplicy i cudownego obrazu Najświętszej Panny rozpowszechnione zostały przez Wilczyńskiego, który u Lemercier'a w Paryżu litografował je kilkakrotnie w różnych rozmiarach. Wizerunki Najśw. Panny, ryte przez Karęgę, bez sukni metalicznej, są dla nas ważne, jak wspominaliśmy powyżej, dlatego, że przy ich kolorowaniu trzymano się ściśle oryginalnych barw cudownego obrazu.

Nie możemy lepiej zakończyć niniejszego szkicu, jak powtarzając za Kraszewskim ¹:

¹ „Ołtarzyk Ostrobramski“. v—vi.

„Któż z nas nie zna tej łagodnej i pięknej twarzy Maryi Dziewicy z pełnem miłosierdzia i litości obliczem, która od kilku wieków patrzy na stare Giedyminowe Wilno i stoi na straży u bram jego ?

„Modliliśmy się do Niej w dzieciństwie, przyklękaliśmy przed Jej obrazem w młodości, a w wieku dojrzałym wracając do drogiej uczuć pierwszych, wiąże nas z tym wizerunkiem cudownym pobożność a razem i wspomnienia.

.

„W naszym kraju cześć Maryi, nadała szczególne charakterystyczne nabożeństwu oblicze. Nigdzie może nie była ona tak powszechną, tak wielką, tak z serca płynącą. Nie było domku, któryby nie miał obrazu Matki Bożej. Nie było piersi coby się nim nie uzbroiła; malowano go na chorągwiach, na zbrojach, wysadzano imię Maryi w ogrodach, poświęcano mu kościoły, a cudowne wizerunki rozsiane po kraju, zwabiały tysiące pobożnych pielgrzymów. Często miecz nawet, ten towarzysz całej przeszłości narodu, który Maryę obrał Królową swoją, miecz nawet, przeznaczony na obronę wiary i walkę z poganą, ozdobiony był złocistym obrazkiem naszej Pani. Pierwsza pieśń, w której się odezwał naród, senne otworzywszy oczy na światło niebieskie, poczyniała się od wyrazów *Boga-Rodzico!*

„U obrazów Matki Boskiej nietylko wota i lampy, ale najdroższe ofiary symbolizujące życia całego oddanie wisiały. Buławy, szable, sznury pereł, wieńce ślubne dziewic, dary monarchów, i co kto miał najdroższego wieszano. Pobożne ręce prababek naszych, na złocistem tle ornatów, wyszywały perłami i dyamentami to imię łaskawości i pośrednictwa. A! żaden bo może naród, tyle u Boga za grzechy swoje orędownictwa nie potrzebował!“

H. B.



HINDUIZM.

Hinduizmem nazywamy religię mieszkańców Indyj, która złączoną jest ścisłym węzłem z Wedyzmem. Hinduizm wyznają dzisiaj wszyscy tamtejsi krajowcy, bez względu na to, z jakiego pochodzą szczepu, jakim mówią językiem, jakikolwiek stan lub stanowisko zajmują w społeczeństwie. Do tego działu nie zaliczają się religie ludów zdziczałych, które żyją w różnych zakątkach Indyj, nie zalicza się też, rozumie się, ani mahometanizm, wyznawany przez wielką część Hindów, ani, tem bardziej, chrześcijanizm, który, choć powoli, zaczyna się szerzyć na półwyspie¹.

Hinduizm nie stanowi jednej, ściśle określonej doktryny, lecz jest zbiorem różnorodnych, niezliczonych sekt, które jednak

¹ Według spisu z r. 1891, ludność całych Indyj, włączając posiadłości angielskie w Burmie, wynosiła: 287,207.046;

z tych wyznających

Hinduizm	207,654.407
Mahometan	57,365.204
Chrześcijan	2,284.191
Dżajnow	1,416.109
Sikhów	1,907.836
Buddhystów	7,101.057
Parsów	89.887
Żydów	17.180
Oddających cześć zwierzętom *	9,302.083

* W statystyce oryginalnej stoi: *Animal Worshippers*; nazwa ta nie jest dokładna, ludy tu zaliczone oddają cześć różnym fetyzom.

łączy węzeł pokrewieństwa: wszystkie sekty hinduskie powołują się na Wedy, z nich usiłują wysnuwać swe dogmaty, a przynajmniej z nimi je nawiązywać. Rzeczywiście głównem tłem wszystkich sekt hinduskich jest Wedyzm; lecz ten Wedyzm, pod wpływem różnorodnych pojęć, przeobrażał się, przybierał barwy i kształty właściwe poszczególnym miejscowościom, rozrastał się i różniczkował w tysiączne odmiany. To co dziś, w naszych oczach, dzieje się w Indyach, dowodzi, że Hinduizm powstał ze szczepienia latorośli Wedyzmu na skarłowaciałych krzewach religii pramieszkańców półwyspu. Lecz nie Brahmani, jak dotąd twierdzono, dokonywali tych przeobrażeń; elastyczność pojęć wedyjskich ułatwiała je w szczególny sposób, ustrój społeczny przede wszystkim i usposobienie ludów, wśród których Aryowie osiedli w Indyach, były głównymi czynnikami sprawczymi przemian. Uczeni europejscy podzielają już dziś to zapatrywanie¹.

Trzystumilionowa blisko ludność Indyj w małej tylko części składa się z rzeczywistych Aryów, przeważna część należy do innych całkiem szczepów. Ta druga część ludności rozpada się również na dwa działy: jedna jest zhinduzowana, tj. przyjęła ogłade cywilizacyjną i wyznaje religię hinduską, druga żyje dotąd w stanie napół-dzikim, zachowała swe stare zwyczaje i obyczaje i wyznaje skrajny fetyszym, jednakże, choć powoli, hinduzuje się. Sir Alfred Lyall² zauważył już był „stopniowe brahmanizowanie się tuziemców, nie-Aryów, czyli plemion bezkastowych“; obecne badania potwierdzają i uzupełniają te spostrzeżenia.

H. H. Risley podaje³ bardzo ciekawe szczegóły o hinduzowaniu się napół-dziko żyjących plemion w Indyach; streszczamy tu jego pracę.

Jeżeli plemię napół-dzikie, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, bliższem zetknięciem się z cywilizacją dojdzie do lepszego

¹ „Quoique la caste sacerdote a pris une part très considérable dans le développement de ces religions, celles-ci n'ont pourtant jamais été, ni à l'origine, ni depuis, entièrement en sa dépendance“. Barth, *Op. cit.*, p. 94.

² *Asiatic Studies*, p. 102.

³ *The Study of Ethnology in India* w *Journ. of the Anthropol. Inst.*, Febr. 1891.

dobrobytu i podniesie nieco swój poziom umysłowy, wówczas stara się o ściślejsze zjednoczenie z Hindami. W tym celu wprowadzają sobie Brahmana, który układa ich rodowód, nawiązuje ich drzewo genealogiczne do jednego z bohaterów wedyjskich¹, poucza ich o bogach wedyjskich, których przyjmują za swoich, nie porzucając jednak dawnych². Tym sposobem całe to pokolenie tworzy nowy związek, zerwało faktycznie wszelkie węzły pokrewieństwa, które je łączyły z dawnym szczepem, utworzyło nową kastę, która choć co do pochodzenia aryjską nie jest, ma przynajmniej zewnętrzne jej kształty, nazwę i religię, a często i język. Wprawdzie z początku nie mogą wchodzić w związki małżeńskie z kastami czysto aryjskimi, ale z czasem, skoro przejdzie pamięć o ich pochodzeniu, i ta przeszkoda usuniętą bywa³.

Tak tedy każde pokolenie napół-dzikie, skoro wejdzie w skład ludności ucywilizowanej, stanowi nową kastę, a zarazem nową sektę, obok bożków hinduskich wyznaje bowiem swoich; niewiasty szczególnie, ponieważ, według zasad brahmanistycznych, nie bywają wtajemniczane w dogmaty religijne, pozostają wierne swym dawnym bożkom. Tak się dzieje dzisiaj; rzeczą jest ze wszech miar prawdopodobną, iż tak się działo dawniej, że taką jest geneza wszystkich dzisiejszych kast i sekt w Indjach. Synkretyzm hinduski, poczynawszy od najniedorzeczniej-

¹ „Największa część Kocz'ów, zamieszkujących Rangpore, przyjęła dziś nazwę *Radźbansi*, albo *Bhanga-Kszatryja*. Za swego przodka uważają Radzę Dazarath, ojca Ramy“. *Op. cit.*, str. 245.

² „W Zachodnim Bengalu pokolenia zamieszkujące Manbhum, Singbhum, Midnapore, Bankhara, należą do szczepu Bhumidź'ów, zatraciły swój dawniejszy język Mundari, mówią obecnie po bengalsku, wyznają bogów hinduskich obok swych dawniejszych, a nawet w niektórych miejscowościach kapłanami ich są Brahmani. Pokolenia te zachowały dotychczas swe dawne nazwy, lecz je powoli zatracają, w niedalekiej przyszłości znikną zupełnie i powstanie jedna, nowa kasta“. *Op. cit.*, str. 245, 246.

³ „After a generation or two their persistency obtains its rewards, and they intermarry, if not with pure Rajputs, at least with a superior order of manufactured Rajputs, whose promotion into the Brahmanical system dates for enough back for the steps by which it was gained to have been forgotten“. *Op. cit.*, p. 244.

szego fetyszyzmu, jakiemu hołdowały zdziczałe hordy, żyjące wśród gór i lasów, aż do najszczytniejszych prawd religii chrześcijańskiej, wchłonał w siebie pojęcia, obrzędy, zabobony i najwstrętniejsze praktyki, jakie napotkał wśród rozlicznych ludów półwyspu, i utworzył z nich nową religię, zwaną Hinduizmem¹.

Hinduizm, jaki wyznają dziś Hindowie, jest przedewszystkiem religią bałwochwalską i wielobożną, w gruncie jednak rzeczy oparty jest na jednobożności.

Hindus uznaje w bałwanie wyciosanym z kamienia, wyciętym z drzewa lub ulanym z kruszcu, nie symbol tylko, obraz, lecz rzeczywistego bożka, istotę nadziemską, której zawdzięcza swój byt, od której zależy jego teraźniejszość i przyszłość: temu bałwanowi składa ofiary i oddaje cześć boską.

Bałwany hinduskie są dwojakiego rodzaju, jedne naturalne, inne sztuczne. Do pierwszych należą głazy, które miały zstąpić wprost z nieba, nazywają je *Swajambhu*, tj. mające istnienie same w sobie: jedne z nich są białe, kwarcowate, napotykać się w łożysku Narbody i one są wcieleniem Siwy; inne czarne, zwyczajnie amonity, zowią się *Salagrama* i uchodzą za wcielenia Wisznu. Ten rodzaj bałwanów używany jest przy obrzędach domowych².

Bałwany sztuczne przedstawiają bożków bądź w ludzkiej postaci, bądź w symbolach. Taki bałwan, po wyjściu z rąk artysty, otrzymuje poświęcenie kapłańskie, zwane *Prana pratistha*, „ożywiające technienie“, i odtąd staje się bożkiem.

Nie ulega wątpliwości, że bałwochwalstwo wcisnęło się do Hinduizmu wraz z religiami pramieszkańców Indyj; bałwochwal-

¹ „Nie ulega żadnej wątpliwości, że wiele kształtów „Wielkiej Bogini“, a to samo można powiedzieć o Siwie i Wisznu, wziętych zostało żywcem przez Hinduizm z bóstw miejscowych: wiele bóstw, najbardziej krwiożerczych, zdaje się pochodzić z Indyj środkowych, a jedno z nich, Windhyawasini, co znaczy „mieszkaniec Windhyi“, wskazuje, iż było czczone w górach, gdzie pół wieku jeszcze temu, krwawe ofiary ludzkie należały do narodowego kultu Gondów, Kolów, Uraonów“. Barth, *Op. cit.*, p. 122.

² „They form an indispensable article in the sacra of the Hindus, and are used in propitiatory oblations to Vishnu, as well as in funeral and other ceremonies... Some are supposed to represent the gracious incarnations of Vishnu, and are then highly prized“. E. Balfour, *The Cyclopaedia of India*, vol. III, p. 497.

stwo było tak przeciwne pierwotnej religii Hindów, iż Brahmani, chcąc je zaszcześcić w Wedyzm, musieli wprowadzić nowe pojęcie, mianowicie „Awatarę“, zapożyczoną z chrystyanizmu i nakręconą do danego przypadku.

Hinduizm, pomimo swego bałwochwalstwa, jest jednak w zasadzie jednobożny, praktycznie zaś jest wielobożnym.

Każdy Hindus, przychodząc do pełnoletności, przyłącza się do jednej z sekt, przez odmówienie stosownej *Mantry*, hinduskiego „Credo“, wyznaje, iż wierzy w tego bożka, któremu sekta oddaje cześć, każda zaś sekta uznaje przedewszystkiem jednego bożka za Najwyższą Istotę; pod tym względem Hindowie wierni są zasadniczej myśli Prawedyzmu¹. Lecz Hindowie nie pozbyli się całkowicie wszechbożnych pojęć, które powstały i rozwielmożniły się w okresie przejściowym, i dlatego uznają, że bożkowie innych sekt są również rzeczywistymi bożkami, chętnie umieszczają ich w swych świątyniach i oddają im cześć boską; tym to sposobem religia Hindów staje się wielobożną.

Z dawnych wszechbożnych pojęć Hindowie odrzucili nieosobowość bóstwa: z małym wyjątkiem uczonych, Hindowie dzisiejsi nie utrzymują obecnie, że dusza po rozstaniu się z ciałem pogrążoną jest w otechłani Brahmy, gdzie zatracala swą indywidualność; wierzą w niebo i piekło, miejsca szczęśliwego i nieszczęśliwego pobytu po śmierci, choć nie przyznają wieczności tego ostatniego.

Geneza powstawania Hinduizmu musiała doprowadzić i rzeczywiście doprowadziła do tego, że religia w Indyach rozstrzeżyla się w niezliczone sekty: samo wymienienie ich nazwisk jest niemożliwe, nie wszystkie bowiem są znane, znane zaś zajęłyby bez potrzeby całe stronnice książki. Pomimo swej mnogości, sekty hinduskie do trojakiego typu sprowadzić się dadzą, mianowicie do *Wisznizmu*, *Siwizmu* i *Saktyzmu*, które odpowiadają nazwom bóstw: *Wisnu*, *Siwy* i *Sakti*.

¹ „Telle est cependant la puissance qu'exerce sur l'esprit humain le principe de l'unité, que l'idée d'un Être suprême, toujours plus ou moins voilée, ne se perd jamais tout à fait et se dégage quelquefois, comme par irradiations, du sein des nuages qui l'enveloppent“. Pictet, *Op. cit.*, v. III, p. 488.

Podział ten nie jest ścisły. Wiele sekt, zaliczonych do Siwaizmu, oddaje cześć Wisznu i Sakti; Wisznuici umieszczają Sakti obok swego uprzywilejowanego bożka, a wyznawcy Sakti składają hołdy tak Siwie jak i Wisznu. Co więcej, są sekty, nawet liczne, które żadnej z trzech wyżej wymienionych osobistości nie przyznają najwyższej powagi i znaczenia; antropomorficzne ich pojęcia zadawałniają się postaciami bardziej konkretnymi i swojskimi; mimo to jednak, ponieważ dawne hinduskie pojęcia stanowią tło ich doktryny, każda z tych sekt, stosownie do swych głównych znamion, da się pomieścić w jednym z wyżej wymienionych działów.

Nazwy Wisznu, Siwy i Sakti są stosunkowo nowożytnie, prawie całkiem nie są wspominane w najdawniejszych Wedach, a raczej w Mantrach, i nie miały tego znaczenia, jakie później przybrały; kult jednakże, zwłaszcza Siwy i Wisznu, jest bardzo stary ¹.

Według danych, jakie nam dostarczają źródła historyczne greckie i piśmiennictwo hinduskie, należy wnioskować, że na wiele wieków przed Chr. w Indyach istniały już dwa wielkie wyznania religijne, mianowicie Siwaizm i Wisznuizm; pierwszy wyznawany był przez ludy półwyspu zachodniego, drugi zaś przez ludy wschodniego półwyspu ². Megasthenes, a więc w III. wieku przed Chr., wspomina już o istnieniu tych sekt. *Dionysos*, tj. Siwa, czczony był przez górali, *Herakles* zaś, tj. Kryszna, był bogiem ludów, które zamieszkiwały doliny gangesowe.

Wyznawcy sekt hinduskich odróżniają się przedewszystkiem znamionami zewnętrznymi.

Siwaici smarują sobie na czole trzy poziome pręgi i posypują je popiołem; Wisznuici malują dwie pionowe pręgi od

¹ „Rzeczą jest prawdopodobną, pisze Barth, że na wiele wieków przed naszą erą, wielu Brahmanów brało udział w doktrynach i ofiarach obcych, mimo to zachowali jednak swe stare księgi i praktyki uświęcone podaniem“. *Op. cit.*, p. 56.

² „Nach den in dem vorhergehenden historischen Berichte vorgekommenen Erwähnungen der zwei grossen Volksgötter waltete die Anbetung Siwa's in den westlichen, die Wisznu's in den östlichen indischen Ländern vor“. Lassen, *Indische Alterth.*, II. B., S. 1088.

brwi ku włosom i łączą je pręgą poziomą, przechodzącą przez górną osadę nosa; pręgi te są trójkolorowe: białe, czerwone i żółte. Nadto Hindowie wypalają na różnych częściach swego ciała symbole bóstwa, które wyznają: Siwaici mają wyobrażone różne narzędzia mordercze Siwy, Lingaici symbol Lingi, Wisznuici muszlę, pałkę lub krąg słoneczny.

Tak Siwaici jak i Wisznuici używają rodzaju różańca. Sznurek nanizanych owoców z drzewa *Rudrakszu* (*Elaeocarpus Ganitrus*) noszą jako naszyjnik i na nim odmawiają modlitwy. Niektóre sekty siwaickie, miasto gałek z owoców, używają zębów z czaszek ludzkich.

Ażeby lepiej wtajemniczyć się w ducha religijnego Hindów, uwydatnić wciskanie się pogańskich religij pramieszkańców Indyj w łono Wedyzmu, przebieżemy bardziej szczegółowo główne typy Hinduizmu. Źródła, z których czerpać będziemy wiadomości o powstaniu, rozwoju i ostatecznem skryształizowaniu tych sekt, znajdują się w *Puranach* i *Tantrach* hinduskich, oraz w grunto-wnych dziełach etnologów, przedewszystkiem angielskich.

1) Wisznuizm.

Wisznuizm jest jedną z najdawniejszych sekt hinduskich, a bierze nazwę od bożka Wisznu.

Wisznu wspominany jest często w hymnach wedyjskich; według wszelkiego prawdopodobieństwa, jeden z odłamów ludu aryjskiego uznawał go za Najwyższą Istotę. To nasze przypuszczenie, któreśmy już poprzednio starali się uzasadnić, potwierdza się tem, że sekta dzisiejsza zwana Wisznuizmem w zasadzie jest jednobożną.

Wisznuici teoretycznie wierzą w jednego Boga osobowego, co więcej, pojęcia ich o Najwyższej Istocie są często tak wzniosłe, tyle mają w sobie piękna i prawdy, iż wprawiają w podziw pisarzy europejskich. Znajdujemy w *Wisznu-Purana* hymn do Wisznu, z którego przytaczamy tu ustęp¹:

¹ Ks. 1., 2; tłum. H. H. Wilson'a.

Bądź pozdrowion, najwyższy Panie, wszechpotężny Wisznu!
 Duszo świata, niezmienny,
 Święty, odwieczny, zawsze jeden w naturze swojej;
 Choć się objawiasz jako Brahma, Hari, Siwa,
 Stworzyciel, Zachowawca i Niszczyciel,
 Ty jesteś przyczyną ostatecznego uwolnienia.
 Kształt jego jest jeden, atoli mnogi; istota jego
 Jest jedna, jednakże różnorodna; pojedynczy, atoli przestworny;
 Poznawalny, a jednak nie do poznania;
 Rdzeniem jest świata, choć świat jest różnorodnym.
 Elementem jest świata, choć ten element jest mniejszym
 Od najmniejszej cząsteczki ziemskiej; przemieszkuje
 W każdej istocie, w każdym przedmiocie, atoli bez skalania;
 Ma byt wiekuisty i doskonałą mądrość.

Podobnych ustępów możnaby przytoczyć bardzo wiele i z innych Puranów wisznuickich, zwłaszcza zaś z poematu *Bhagawad-Gita*, który pod względem podniosłości pojęć i wysokiego nastroju religijnego stoi na szczycie wszystkich religijnych poematów hinduskich, a nawet godny jest zająć miejsce obok naszych „Ksiąg świętych“. Zapewne, teolog chrześcijański nie godziłby się na wszystkie zawarte tam orzeczenia, często byłby zmuszony „dystygować“ znaczenie wyrażań, jednakże większą część myśli i pojęć religijnych nietylko by uznał za prawowierne, lecz znalazłby je identycznymi z prawdami chrześcijańskimi¹.

Taka jest jedna strona Wisznuizmu, tłumaczy się zaś tem, że pisarze wisznuiccy z tego okresu wierni byli podaniom, przechowanym w Mantrach, a nadto pełnemi rękoma czerpali pojęcia, zdarzenia, niejednokrotnie nawet całe ustępy z naszego Pisma św. Lecz ten eklektyzm hinduski wytworzył i drugą stronę medalu — rozpasaną wielobożność i zupełne bałwochwalstwo.

¹ „And here, at the outset of an important part of our subject, I must declare my belief that Vaishnavism, notwithstanding the gross polytheistic superstitions and hideous idolatry to which it gives rise, is the only real religion of the Hindu peoples, and has more common ground with Christianity than any other form of non-Christian faith“. *Brahm. and Hind.*, p. 96.

W miarę, jak pokolenia tubylców wchodziły w skład społeczeństwa aryjskiego, które uznawało Wisznu za Najwyższą Istotę, bożkowie ich nabywali również prawa obywatelstwa. Wrota świątyni hinduskiej otwarte zostały na oścież. Każdy bożek takiego pokolenia miał tam wolny wstęp, zatrzymywał postać pod jaką był wyobrażany, zachowywał swój symbol, swoją nazwę, a nawet stary kult, przybierał jedynie barwy hinduskie. Odtąd był on Wisznu, nazwa jego miejscowa była tylko jego przydomkiem, bałwan jego był Awatarą Wisznu, odbierał zatem cześć boską, przy obrzędach śpiewano hymny wedyjskie, Brahmani sprawowali ofiary — słowem bożek pogański został zupełnie zhinduszowanym. Bożków rzeczywiście było tysiące, teoretycznie zaś był tylko jeden, Wisznu. To nam tłumaczy, dlaczego Wisznu nosi tysiące różnych nazwisk, przedstawiany bywa pod różnemi postaciami, otoczony mnogiemi i dziwaczniemi nieraz symbolami, które mają wyrażać jego atrybuty¹.

Wisznuizm jest najbardziej rozpowszechnioną sektą religijną w Indyach, ku czemu dopomaga mu jego natura plastyczna. Niema na świecie żadnej szkoły filozoficznej, żadnego pojęcia religijnego, któreby nie mogło wejść w elastyczne ramy Wisznuizmu. Na czele Wisznuizmu nie stoi żadna hierarchia duchowna, któraby przestrzegała jedności i czystości przekonań; Wisznuizm nie posiada też takiej księgi, jak Koran mahometański, na którą w razie sporu możnaby się powołać; prawda, że w każdej z tysięcznych sekt Wisznuizmu przewodniczy Guru, prawda, że liczne „Księgi święte“, zwane Puranami, zawierają doktryny wisznuickie, lecz te doktryny tak są elastyczne, iż każdy Guru tłumaczy je inaczej, według swego „widzi mi się“.

¹ Wisznu przedstawiany bywa często w postaci człowieka, mającego cztery ramiona; w każdej z czterech rąk dzierży osobny symbol, mianowicie koło lub kolisty oręż, muszlę, pałkę i kwiat lotusu. Opodal zwyczajnie umieszczony jest ptak mityczny *Garuda*. Wszystkie niemal bóstwa hinduskie mają swoje uprzywilejowane zwierzęta mityczne, i tak gęś lub łabędź towarzyszy Brahmie, byk Siwie, paw Skandzie, słoń Indrze, bawół Jamie, papuga Kamie, szczur Ganezie, baran Agni, ryba Warunie, tygrys Durdze, wąż Siwie i Wisznu. Z pomiędzy tysiąca przydomków Wisznu, najczęściej używany jest wyraz *Hari*.

Stąd pochodzi, że w Wisznuizmie spotykają się najsprzeczniesze doktryny i najdziwaczniejsze kultury: obok jednobozności, wielobozność, bałwochwalstwo posunięte jest do fetyszyzmu, umartwienie i ascetyzm idą w parze ze zmysłowością i wyuzdaną rozpustą. Nie było i niema w Indjach żadnego bóstwa, żadnej wybitniejszej postaci, którejby Wisznuizm nie przyjął do swego panteonu: Buddha zajmuje tam pierwszorzędne miejsce, bożkowie Siwaizmu i Saktyzmu zasiadają w tym Olympie, a nadto węże, ryby, ptaki, różne zwierzęta, drzewa, rośliny, głazy, wszelkie możliwe fetysze są tam przedmiotem czci i kultu¹. Nie koniec na tem — panteon wisznuicki powiększa się ciągle, przybierając do swego grona coraz to nowe postacie.

Każdy Guru, który za życia wiódł żywot ascetyczny, po śmierci uznanym jest za Awatarę Wisznu; lecz i ascetyzm nie jest konieczny; ktokolwiek za życia odznaczył się czemkolwiek, nauką, męstwem lub innym przymiotem wzbudzającym podziw wśród swego otoczenia, np. zuchwałemi napadami rozbójniczymi, zostaje Awatarą². Sami nawet Anglicy zostają bożkami Hindów. W Pandżabie istnieje sekta pod nazwą *Nikkal Sen*; czci ona generała angielskiego Nickolson'a, który w czasie buntu Sepojów dawał dowody nadzwyczajnego męstwa. W Oryssie powstała w ostatnich czasach sekta, oddająca cześć królowej angielskiej.

Wśród niezliczonych sekt wisznuickich, z których każda ma swą własną Awatarę, najsłynniejszą jest sekta oddająca cześć *Ramie*; jej zwolennicy zdobyli się na znakomity epiczny poemat, znany pod nazwą *Ramajany*, „Czyny Ramy“; najpopularniejszą jednak, a stąd najliczniejszą, jest sekta *Krysznitów*, oddająca cześć *Krysznie*.

Kto był Kryszna, nie wiadomo. Prawdopodobnie był to jakiś znakomity wódz, a sądząc z samej nazwy, która znaczy „czarny“,

¹ Panteon hinduski jest nieprzeliczony. Sir Monier podaje w przybliżeniu jego liczbę na 330 milionów.

² „It is well known that a certain tribe in India worship a notorious robber, whose deeds merit nothing but general execration. Another robber, who was hung at Trichinopoly, became as popular as a demon that children were constantly named after him.“ Sir Monier, *Brahm. and Hind.*, p. 260.

nie jest wykluczonem mniemanie, że był on wodzem czarnych pramieszkańców Indyj, lecz następnie został zhinduszowanym.

Kult Kryszny, według świadectw greckich, znany już był w III. w. przed Chr. Rzeczą jest wielce prawdopodobną, że ludy dorzeczy gangesowych, przed wtargnięciem Aryów, czcili już Krysznę jako bożka: pierwszorzędni znawcy piśmiennictwa hinduskiego, Lassen, Barth¹ i inni, podzielają to mniemanie; jednakże kult ten w całej pełni wystąpił dopiero około III. w. po Chr. W tym to właśnie czasie powstał słynny poemat *Bhagawad-Dżita*, o którym już mówiliśmy. Bhagawad-Dżita zajmuje się transcendentálną naturą Kryszny i podnosi tę postać do nadziemskich wyżyn. Kryszna, jako Awatara Wisznu, jest Najwyższą Istotą, jedyną, niezmierną, wszechmocną, wszechmiłościwą. Pojęcia o Bogu, zawarte w tem poemacie, stoją niemal na równi z pojęciami chrześcijańskimi, co zresztą nas nie dziwi, albowiem, jak widzieliśmy, były one zaczerpnięte z chrześcijanizmu. Te jednak pojęcia nie utrzymały się długo na swych szczytnych wyżynach; Kryszna, jako człowiek, nadawał się bardziej zmysłowym skłonnościom Hindów i dlatego poemat *Bhagawata-Purana* swą popularnością zepchnął na drugi plan Bhagawad-Dżita.

W Bhagawata-Purana występuje Kryszna jako książę wojowniczy Hindów: odważny, podstępny, stacza zwycięskie boje z nieprzyjaciółmi, wylany jest przytem na wszelkie zmysłowe uciechy. Opisy erotyczne zabaw Kryszny z *Gopi*, „pasterkami“, stanowią najbardziej nęcącą stronę dla Hindów². Jeżeli teraz weźmiemy na uwagę, że Kryszna jest Awatarą Wisznu, rzeczywistym bóstwem, czynności jego zatem i postęпки są uprawnione, a tem samem stają się zachętą i większą jeszcze podniecią naturalnych skłonności człowieka. W tem właśnie leży rozwiązanie

¹ „La religion de Vishnu serait la plus jeune, mais, comme celle de son rival, elle serait le résultat de l'adoption par les brâhmanes et de la fusion avec une de leurs vieilles divinités, de dieux populaires, dans le cas spécial de Krishna, d'un héros qui était probablement à l'origine la *Kula-dêvatâ*, le dieu ethnique de quelque puissante confédération de clans râjpoutes“. Barth, *Les relig. de l'Inde*, p. 100.

² Poemat erotyczny *Dżita-gowinda* jest ulubioną księgą Hindów.

całej zagadki rozstroju religijnego, rozwielenia pogaństwa i rozluźnienia obyczajów, które tak wybitnie występowały u ludów starożytnych, pomimo ich wysokiego szczebla kultury umysłowej.

Kult jednakże Kryszny, jak i całego niemal Wisznuizmu, nie przedstawia na zewnątrz nic takiego, co by raziło etyczne względy; podajemy tu opis obrzędu religijnego w świątyni Kryszny, według naocznego świadka:

„Posąg bożka Kryszny, pisze Williams¹, obudzony jest najprzód ze snu przez kapłana, który głośno wymawia jego imię. Następnie przynoszą naczynie z wodą do umycia, kąpią starannie bałwana i skrapiają wonnościami. Kapłan posługujący nabiera na palec pasty sandalowej, smaruje nią całego bałwana, twarz zaś jego maluje szafranem. Następują obłóczyny. Posąg przyodziany jest drogiemi materyami, błyszczącemi od złota i klejnotów, poczem okadzony jest kamforą i otoczony jarzącem światłem przy dźwięku małego dzwonka. Po tem przygotowaniu następują ofiary. Pierwsze danie złożone jest z kwiatów i liści „świętej“ rośliny *tulsi*, następnie zastawiają półmiski napelnione ryżem gotowanym i ocukrzonym; czasami podają różne ciasta. Po takim posiłku trzeba popić, w tym celu kapłan podaje do ust bałwana czarkę z wodą. Dla oczyszczenia ust po jedzeniu, podają *betel*. Na tem kończy się obrzęd. Kapłan pada czołem przed bałwanem, rozbiera go i układa na spoczynek do wieczora. Półmiski z ryżem i ciastami zabierają kapłani dla swego użytku, zwyczajnie za sowitą zapłatę rozdają z nich po trochu wiernym“.

Podobne obrzędy, z małemi zmianami, odbywają się we wszystkich świątyniach wisznuickich; głównem i charakterystycznym znamieniem wszystkich sekt wisznuickich jest to, że odrzucają wszelkie ofiary krwawe.

Kult tedy publiczny Wisznuitów jest nadzwyczaj prosty i krótki, lecz nie poprzestają na nim Hindowie. Każdy pobożny a zamożny Brahman z brzaskiem dnia rozpoczyna swe domowe

¹ *Brahm. and Hind.*, p. 144.

nabożeństwo, a kończy je o zachodzie słońca. Istnieją szczególne przepisy, wskazujące jak odprawiać potrzeba każdą czynność, jakie modlitwy przytem odmawiać. Zabobonne i śmieszne praktyki odgrywają tu wprawdzie największą rolę, jednakże trudno zaprzeczyć, żeby w tem wszystkiem nie przewodniczyła myśl głębsza. Hindus wyznaje Najwyższą Istotę, oddaje Jęj cześć, uznaje swą od Niej zależność, prosi o pomoc i pociechę. Ustęp wzięty z Rig-Wedy, zwany *Gajatri*, odmawiany bywa codziennie przez każdego Hindusa: „Zacznijmy rozmyślać o doskonałej chwale boskiego Życiodawcy, niech on raczy oświecić nasz rozum“. Poranne ceremonie domowe kończą się wezwaniem, które przypomina naszą modlitwę: „Chwała światu Brahmy, światu Rudry, światu Wisznu. Niech Jeden Najwyższy Pan świata będzie pochwalony tem mojem porannem nabożeństwem“. Jakże wielu chrześcijan stoi niżej pod tym względem od tych biednych pogan!

(Dok. nast.).

Ks. W. Zaborski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Rozmyślenia o życiu kapłańskim czyli Ascetyka kapłańska. Część pierwsza. Napisał ks. Józef Pelczar, dr. św. Teol. etc. Kraków 1892.

Literatura ascetyczna kwitła u nas w przeszłych wiekach nie mniej niż w krajach zachodnich. Mieliliśmy wielu słynnych i gruntywnych mistrzów doskonałości chrześcijańskiej. Obecnie wydaje się u nas dużo pobożnych książeczek, niemało też tłumaczeń; ale własnych dzieł ascetycznych, przyznać trzeba, pojawia się bardzo mało.

Autor jednego z tych rzadkich dzieł, tak powszechnie cenionego u nas „Życia duchownego“ (które w tym roku piątego doczekało się wydania), rozpoczyna nową, poważną pracę w tej dziedzinie, którą uważać możemy za uwieńczenie pierwszej: Ascetykę kapłańską.

Pierwsza część tego dzieła, którą obecnie mamy przed oczyma, zawiera najprzód określenie wysokiego powołania kapłanów i stopnia potrzebnej im świętości; następnie środki ogólne do tej doskonałości prowadzące, jak: współdziałanie z łaską, umartwienie, duch modlitwy, nabożeństwa i praktyki kapłanom odpowiednie. Druga część, której z upragnieniem wyglądamy, obejmować będzie szczegółowe cnoty i obowiązki kapłańskiego stanu.

Podana jest ta cała nauka w formie krótkich rozmyślań z preludjami i punktami. Zapytałby się można, czemu autor tę formę obrał, kiedy wiele z traktowanych przedmiotów więcej zdaje się nadawać do czytania, niż do rozmyślenia, a forma dydaktycznej rozprawy dałaby może dziełu więcej zaokrąglenia i skończoności. Przypuszczam, że kie-

rował się autor pewnemi względami praktycznemi; sądził zapewne, że ta książka łatwiej znajdzie przystęp do serca w chwilach, które sobie kapłani na rozmyślanie wyznaczili, kiedy są skupieni w obecności Bożej, aniżeli w innych chwilach dnia, w których niełatwo im się od interesów oderwać. Pod tym względem na wytrawnem zdaniu autora polegać można.

Co się tyczy treści tej ascezy, nie trzeba w niej szukać ani tego polotu, jaki znajduje się w każdym pisemku O. Semeneńki — i niektórych mniej szczęśliwych jego naśladowców; ani z drugiej strony tego, co bym nazwał semiracyonalizmem ascetycznym, co chcąc wrzekomo życie duchowne uprzystępnąć, obniża je prawie do poziomu wygodnego naturalizmu. W ascezie ks. prof. Pelczara jest ta zdrowa praktyczna miara, jakiej wzór dają np. pisma św. Liguorego. Wymaga on wiele od księży — bo też wiele od nich Bóg wymaga — a obniżenie tych wymagań byłoby błędem w duchownem prowadzeniu; ale nigdy nie stawia wymagań niedościgłych, tem mniej niezrozumiałych. Nie okazuje on w dali świecących gór, ale wskazuje tuż przed nami stromą ścieżkę doskonałości, która na te góry prowadzi; podaje środki przystępne, wiekową praktyką i powagą mistrzów życia duchownego uświęcone. Widać przytem, że czcigodny autor nie tylko wiele czytał ascetów, ale też przetrawił i przeżył ich naukę, i to nadaje jego radom szczególną powagę i wartość.

Jest to więc książka ze wszech miar pożyteczna, która niemniej-sze, spodziewamy się, będzie miała powodzenie jak „Życie duchowne“ — i niemniejsze duszom przyniesie korzyści.

Ks. M. Morawski.

Nowy dar Jezusa. Przez O. Honorata Kapucyna. Kraków 1892. (Mała 8-ka, str. 550).

Tym „Nowym darem“ jest nabożeństwo do Oblicza Pańskiego, mające za cel wynagradzanie, czyli niejako równoważenie bluźnierstw i publicznych zniewag Boga w naszym wieku.

Jest to cechą naszych czasów i naszej cywilizacji, iż niema dla niej nic świętego. Dzisiejsze godło, to sekularyzacja wszystkiego, co tylko dotychczas miano za święte. Co zaś nie może być zsekularyzowanym, jak Pan Bóg i Jego Kościół, to jest bluźnione i prześladowane, żeby ustąpiło z *saeculum* czyli z tegoczesnego świata. A że z Francji-to prawie każde tak dobro jak zło społeczne rozkrzewia się i rozlewa po całej Europie, z Europy zaś po całej ziemi, dlatego Fran-

cyę też obrał Pan Bóg, aby była rozsadnikiem tego nabożeństwa, jako lekarstwa na tę wielką chorobę społeczną naszego wieku; czcigodny zaś o. Honorat, zapoznając dokładniej polskie pobożne społeczeństwo z tym zbawiennym środkiem, niemałą oddaje mu posługę.

Treść książeczki rozpada się na trzy części: 1) „O wielkiem dziele wynagradzania“, 2) „O Darze Oblicza Pańskiego“, 3) „O Obliczu Przenajświętszem¹ jako Godle Czcii Wynagradzającej“.

Każda część ma trzy „Działy“, z których pierwszy zawiera historię i teorię rzeczy, drugi pobożne uwagi nad nią, trzeci stronę zewnętrzną i praktyczną. Każdy znów Dział obejmuje trzy „Rozdziały“ (z wyjątkiem dwóch obejmujących po sześć). Rozdziały nareszcie dzielą się na paragrafy w liczbie od 4—12.

Przy tak apriorycznym i szczegółowym podziale podnieść i podziwiać należy dziwną obfitość myśli czcig. autora. Z tego bowiem drobiazgowego rozkładu wynika, że tytuły pojedynczych paragrafów są bardzo blisko-znaczne, niekiedy synonimy. Tak np. części II. działu II. rozdziału III. § 3 nosi tytuł: „Fotografia Oblubieńca dusz naszych“, a zaraz § 4: „Portret Syna Króla Niebieskiego“; lub część III. dz. II. rozdz. IV. § 2: „Współbolenie z Obliczem Pańskim“, § 3: „Współczucie z Niem“, § 4: „Politowanie nad Niem“. Zdawałoby się więc, że chyba tylko parę słów i to błahych o każdym powiedzieć można, a tymczasem te słowa zajmują nieraz dwie i więcej kartek; a jakiej są siły, ten krótki wyjątek ze „Współbolenia“ niech nam pokaże:

Patrząc na zbolale Oblicze Pańskie, zdaje się słyszeć skargę Zbawiciela: *Jakiż pożytek ze Krwi mojej?* Rzeczywiście z boleścią wspominać sobie przychodzi, że gdy On przyszedł na ten świat z taką miłością, swoi Go nie przyjęli, świat Go nie poznał i dotąd Go nie poznaje. Że po takiej krwawej pracy i po tylu wiekach tak mało stosunkowo ludzi zna Go, a jeszcze mniej czcii Go i kocha; że chociaż tyle wycierpiał, aby wszystkich zbawił, tak wielu dobrowolnie potępia się i ginie na wieki. Że od własnego

¹ Na str. 344 czcigodny autor, opisując „rysy Przenajśw. Oblicza“, mówi, że na prawym policzku widać ślad uderzenia Malchusowego. Być może, iż tak jest w oryginale, ale na kopiach nie można dostrzedz różnicy między ranami prawego i lewego policzka, a w każdym razie ślad ten musiałby być chyba na lewym policzku, gdyż trudno przypuścić, aby żołnierz uderzył Pana Jezusa lewą ręką. Również nie mogliśmy dojrzyć „przygnięcia nosa“. Widać tam wprawdzie jaśniejszą smugę, ale takim sposobem właśnie wypukłe miejsca a nie wklęsłe na obrazach się oznaczają. Z drugiej strony „przygnięcie nosa“ w całej długości, kazałoby przypuszczać zgruchotanie kości nosowej, co by się znów sprzeciwiało proroctwu: *os non comminuetis ex eo.* (Jan XIX., 36).

ludu tyle doznaje wstrętnej obojętności i że żaden tyran nie ma tylu nieprzyjaciół, co ten Król miłości. Że domy Jego, które są domami modlitwy, czynią ludzi więzieniem dla Niego, w którym Go trzymają zamkniętego, krępując Go w udzielaniu łask nawiedzającym Go.

Największą według nas zasługą i zaletą tego dziełka jest, że wyjaśnia, jak wielkiej to wagi dla społeczeństwa sprawa wspólnego doświadczenia dobrych, za zniewagi wyrządzane Bogu w temże społeczeństwie przez złych (od str. 79—89).

Widać też na każdej niemal stronie wielką sympatyę czcig. autora do tego nabożeństwa. Chciałby je wywyższyć nad wszystkie inne; chociaż może właśnie skutek tej dążności czytelnik mniejsze odbiera wrażenie. Ale bo też dla synów św. Franciszka nabożeństwo do Przenajświętszego Oblicza nie może nie być szczególnie miłem! Wszakże ten święty Patryarcha na tyle wieków przed ogłoszeniem i zatwierdzeniem przez Kościół publicznej czci dla zbolalej Twarzy Zbawiciela, oparł na niej swe sławne błogosławieństwo: „Niech Pan ukaże ci swoje Oblicze... Niech Pan obróci Twarz swoją ku tobie“ i t. d. Ale za to czcigodny autor nabożeństwo do Serca Jezusowego zdaje się zbyt ograniczać, gdy mówi (str. 362), że „Boskie Serce Jezusa jest znakiem dotykalnym niezmiernej Jego miłości“ (jedynie) „w Przenajświętszym Sakramencie Ołtarza“. Czemuż nie ma być znakiem całej miłości Boga-Człowieka, z której nietylko Przenajświętszy Sakrament, ale i Męka i przyjęcie tego człowieczego Oblicza, i wszystko co tylko dla nas i dla Boga uczynił, wypłynęło?

Zdaje się także, iż czcig. autor zbyt wielkie znaczenie nadaje słowom objawienia, udzielonego siostrze Maryi od św. Piotra. Nie mają one bowiem większej powagi, jak każde inne, choć prawdziwe, ale prywatne objawienie; gdyż potwierdzenie i pochwalenie pewnego nabożeństwa przez Kościół nie jest jeszcze bynajmniej potwierdzeniem samego objawienia, które temuż nabożeństwu mogło dać początek.

Paragraf też 5 rozdziału i działu II. części III. powinienby być w następsem wydaniu inaczej zredagowany. Opisuje w nim czcig. autor boleść Chrystusa Pana z powodu smutku i opuszczenia wewnętrznego, ale czyni to w wyrazach, które bardzo łatwo mogą u mniej świadomych rzeczy wywołać fałszywe przekonanie, jakoby Pan Jezus nietylko zadośćuczynił za karę potępienia, ale i wycierpiał ją, coby się równało bluźnierstwu.

Język wogóle dobry, czysty, bez żadnych ...izmów, styl łatwy, niewymuszony, swym dziwnie serdecznym tonem chwyta za serce,

i dlatego może ten „Dar“ wybornie służyć jako czytanie duchowne, jednak nie dla wszystkich, ale tylko dla gruntownie wykształconych w wierze ¹.

Wkońcu dodać należy, iż dawniej jeszcze czcig. o. Honorat wydał bardzo obfity zbiór modlitw do Przenajświętszego Oblicza p. t.: „Nabożeństwo wynagradzające“ (*Réparatrice*) w Warszawie 1890 r., które znalazło wielkie uznanie i pokup. Na takież powodzenie i ten „Nowy Dar“ w zupełności zasługuje.

Ks. H. P.

Kazania i przemowy pasterskie do ludu wiejskiego. Napisał ks. *Karol Fischer*, proboszcz w Dobrzechowie. Tom I., obejmujący czas od I. Niedzieli Adwentu do Środy Popielcowej. Kraków 1892. Skład główny w księgarni L. Zwolińskiego i Sp. (8-ka, str. 373).

Gruntowny to, pożyteczny i praktyczny przyczynek do naszej literatury kaznodziejskiej. Pierwszy tom mamy przed oczyma; trzech obiecanych się spodziewamy; a sądząc po tym pierwszym, oczekujemy ich z upragnieniem.

Najgłówniejszą tych kazań zaletą jest doskonale utrafiiona pewna miara. A najprzód, ani zbyt proste ani zbyt wykwintne ze względu na słuchaczy. Zatytułowane są wprawdzie „do ludu wiejskiego“, i słusznie, bo zupełnie odpowiadają temu celowi, jednak i dla inteligencji bardzo pożywną zawierają strawę. Styl nie wyszukany, ale szlachetny, czysto polski, jasny a zwięzły, niekiedy nacechowany wzniosłą a rzewną prostotą, jak np. w kazaniu 1-szem na Matkę Boską Gromniczną.

Miara powtórę co do zastosowań. Za mało ich jest raczej, niż za wiele; i to dobrze, bo nie zagłuszają ani przytłumiają samego wykładu prawd wiary; gdzie zaś są, bardzo zręcznie i niespodzianie w samą rzecz się wplatają. Uczucie nie jest pominięte, ale też nie wyzyskiwane na efekt.

I jeszcze w jednej rzeczy ta miara autora występuje. Oto w kazaniu „o piekle“. Jest tam wyłożona czysta nauka Kościoła o tym dogmacie, bez jaskrawych, na wyobraźnię działających obrazów, a jednak rozum i wola silnie są pobudzone; i nie tylko chłopek, ale i oficyalista i kolator mają co posłuchać i nad czem się zastanowić.

¹ Jeszcze odpowiedniejszym byłby do tego celu, gdyby czcig. autor rzeczy urzędowe, jak: brewa, listy okólne, ustawy brackie i t. p. był umieścił w przypiskach, lub w osobnym dodatku, a nie w tekście jako rozdziały i paragrafy.

Niemniej wielką zaletą tych kazań jest umiejętność a przystępne dogmatyzowanie. A jakież to nieraz brak tego najważniejszego pierwiastku w naszych kazaniach czuć się daje! Tutaj jest go poddostatkiem: prawdziwe to „łamanie małych”¹ posilnego chleba słowa Bożego — nauki objawionej. Sumienne poczucie obowiązku i umiejętność karmienia swych owieczek, słowem nie swoim ale Bożem, wieje z każdego kazania, nauki, czy homilii.

Są też nadzwyczajnie praktyczne, zastosowane nietylko wogóle do potrzeb ludu, ale i do wymagań każdej pory roku kościelnego i gospodarskiego, jak np. nauka na Niedzielę I. Adwentu: „upomnienie parafian, by długie zimowe wieczory spędzali uczciwie i by na zbliżający się rok nowy starali się o dobre sługi, względnie¹ służby“. Jest też śmiałość pasterska w wykazywaniu prawdziwej karności kościelnej, choćby ona komuś wpływowemu nie była do smaku. Tak np. w tem samem kazaniu nauka o służeniu u Żydów.

Nie można też pominąć tego wielkiego przymiotu, że niema żadnej kompilacyi, znać, że wszystko własne; jest tylko doskonałe przyswojenie sobie zasad i źródeł, czyli teologii tak dogmatycznej jak moralnej.

Wybornie też autor korzysta z Pisma św., jużto wykładając jego teksty, już wplatając je w własną mowę; cytaty wierne podług Wujka. Również spolszczanie, tak nieraz trudne, tekstów Ojców św. bardzo dobrze wypada.

Jest także obfitość i rozmaitość materii. Najprzód pod względem formy, bo są kazania, homilie, nauki i przemówienia od ołtarza; powtóre pod względem treści: kazania czysto dogmatyczne, jak I. na Niepokalane Poczęcie (druga część może nawet trochę na tezę teologiczną zakrawa). Dydaktyczne: „o obowiązkach rodziców względem dzieci“, „o obowiązkach gospodarzy względem sług“ i wzajemnie. Moralizujące: „o wielkiej cenie duszy i jej zbawienia“, „o grzechu nieczystości“ i t. d. *De tempore*, jak o Adwencie, *De sanctis*, a przedewszystkiem o Matce Boskiej; i trzeba przyznać, że o Niej szan. autor ma co mówić; po

¹ Jest to przyjęty powszechnie u nas w Galicyi germanizm. Takich możnaby jeszcze dwa lub trzy wyszukać, jak: „wskazanem jest“ (str. 345, w. 14), „w szacie pojedynczej“ zamiast „pospolitej“ (str. 331, w. 7), „przez palce patrzeć“ zamiast „przez szpary“ (str. 356, w. 3), lub całkiem innego zwrotu w tem miejscu należałoby użyć: „chrześcijańsko-katolicki“ zamiast samo „katolicki“ albo samo „chrześcijański“ i t. d.: ale cóż to znaczy wobec całej książki, napisanej szczerem-polskim duchem i słowem.

cztery kazania na każde z dwóch Jej świąt w tym peryodzie roku kościelnego przypadających; o św. Janie Ew. i t. d.

Ogólne więc zdanie nietylko o tym tomie, ale, sądząc po sposobie pisania autora, i o następnych można wypowiedzieć: że te kazania, jakkolwiek przystępne dla ludu, nie zniżają się jednak do jego poziomu, lecz przeciwnie, lud podnoszą do swego, czyli w najlepszym tego słowa znaczeniu, kształcą go.

Ze strony też najpraktyczniejszej, tj. co do nabywania tych kazań przez szanowne Duchowieństwo parafialne, sądzymy, że najlepiej się autor urządził, wydając je po jednym tomie. Tak bowiem i sam może dokładniej je opracowywać — i nabycie ich uprzystępnia nawet dla mniej zamożnych.

To też jesteśmy pewni, że szan. autor nie będzie miał przyczyny skarżyć się na obojętność swych konfratrów względem tego tak sumiennego, tak rodzimo-polskiego swego trudu.

Ks. H. P.

Biblia wobec nowoczesnej krytyki i egzegezy. I. Racyonalizm biblijny. Opracował ks. A. Zaremba, Magister Nauk Teologicznych, prof. Pisma św. w Seminarjum Płockiem. Warszawa 1891. U Niemciery. Cena kop. 50. (W 8-ce, str. 125).

Niewielka ta książeczka przedstawia w historycznym następstwie, od początku naszego wieku, najrozmaitsze wysiłki czyli hipotezy racjonalistyczne, aby Pismu świętemu odjąć właśnie jego święty czyli nadprzyrodzony charakter.

Ciekawą tę nadzwyczaj historję burzenia Biblii jako takiej rozwija autor szczegółowo w 21 paragrafach. Z przeglądu ich tytułów¹ poznamy najlepiej treść dziełka; i tak: „Stosunek Natury do Biblii“, „Racyonalizm w Anglii“, „... we Francyi“, „... Niemczech“, „... Holandyi“, „Racyonalizm Polski“, „Naturalistyczny system tłumaczenia Biblii Eichhorna“, „Interpretacya historyczna Semlera“, „Akkomodacya moralna Kanta“, „Interpretacya psychologiczna Paulusa“, „Systemy mytycznego tłumaczenia Biblii“, jakoto: Straussa, Baura i jego szkoły Neotybingskiej, „Metoda eklektyczna Ewalda“, „Reuss, Wellhausen i ich krytyka wewnętrzną“... i t. d.

Przebiegając kartki tej książeczki — a czyta się ją szybko, bo

¹ Szkoda jednak, że są one tylko w spisie rzeczy wydrukowane, a na właściwych miejscach tylko znaki: § i liczby.

z werwą napisana — widać przesuwające się jak w kalejdoskopie systemaciki, bardzo nieraz dowcipne i zgrabne, mające służyć jako działa wielkiego i małego kalibru przeciwko wspaniałej twierdzy Objawienia pisanego. Ale też jak w kalejdoskopie rozpadają się one zaraz na niekształtne i bez wartości okruszki, skoro tylko zmienimy podmiotowy kąt widzenia autora tej lub owej teorii.

Jako próbkę obrazowości i żywości stylu szan. autora w rzeczy, zdawałoby się tak suchej, przytoczmy bez wielkiego wyboru początek § 17-go: „Z tego cośmy dotąd powiedzieli wypadałoby, że racjonalizm, jeśli nie zmarł zupełnie w ostatniej ćwiartce wieku, to przynajmniej dogorywa lub nędzny pcha żywot; bo ile to zmarnował talentu, ile bez pożytkułożył pracy? Jedne bowiem systemy drugim śmierć nielitościwie zadawały, jedne drugim pogrzeb i egzekwie wyprawiały, aż spracowawszy się nad zwłokami innych, same nareszcie na anemię logiki i podstawy kończyły: Eichhorn zbija Reimarusa, Paulus uśmierca Eichhorna, Strauss unicestwia Paulusa, Baur grzebie Straussa, a sam własną niemocą złożony umiera, zostawiając pogrzeb częścią Keim'owi, częścią Renanowi i innym“. Gdzieindziej, o polskim racjonalizmie biblijnym (bo jakżeby Polska nie miała naśladować w tem Francyi), tak się wyraża: „Teorię p. Radliński nie stworzył i na pewno nie stworzy, a w pracy swej trzyma się tego autora systemu, z którego swe głęboko bezpodstawne natchnienia czerpie“.

Wszędzie znać ogromne odczytanie w swoim przedmiocie i zamiłowanie w nim; a jasność i treściwość wykładu czyni to dziełko doskonałym przewodnikiem dla inteligentnych niespecjalistów w dziedzinie egzegezy. To też z prawdziwą niecierpliwością oczekujemy od szan. autora dalszego ciągu jego studyów, jak to liczba I. na tytule zdaje się zapowiadać.

Co do usterek, to odnoszą się one tylko do niektórych nienaturalnych lub cudzoziemskich zwrotów stylowych, mianowicie używa szan. autor niekiedy nieco przesadnych przekładni, np. „objawienie Staro i Nowego Testamentu... stanowią... dwie części będące... stopniowego rozwoju wyrazem myśli Bożej na ziemi“; prócz tego można dostrzedz kilka rusycyzmów. Nie to zresztą dziwnego, bo mając ustawicznie, choć z musu, do czynienia z tym językiem, mimowoli coś z niego przyswoi się pamięci. Jest także parę gallicyzmów: np. „inaczej robota racjonalistów byłaby ową Danaid“. Ale nawet pod tym względem, tj. co do stylu, zauważyć można postęp między początkiem a końcem dziełka. Pierwsza bo też to praca drukowana szan. autora;

a jeżeli pierwsza tak dobrze się przedstawia, to ten dział literatury polskiej słusznie może się spodziewać wielkich korzyści po następnych.

H. P.

Szpital Św. Ducha. Przez *d-ra Stanisława Tomkowicza*. Z 14 tablicami litograficznymi, 8 cynkotypami, oraz 2 chromotypami, podług oryginalnych zdjęć p. Jana Sas Zubrzyckiego i rysunków p. Karola Polityńskiego. Kraków. Drukarnia „Czasu”. 1892.

Wkrótce po hałaśliwym zburzeniu szpitala Św. Ducha, które zakończyło *via facti* epiczne walki około tych starych murów, pojawiła się piękna książka p. Tomkowicza o tymże pomniku.

Czytając ją, przypominałem sobie, co Milo odpisał Cynceronowi, otrzymawszy, już na wygnaniu, jego sławną obronę (*pro Milone*): „Gdybyś był taką mowę powiedział, nie jadłbym dziś tak dobrych ostryg w Marsylii”. — Może i książka p. Tomkowicza byłaby uratowała szpital Św. Ducha, gdyby była wyszła wcześniej — co, przypuszczam, było zamiarem autora; teraz służy mu ona za wspinały nekrolog.

W rzeczy samej niktyby się nie był spodziewał, że można z tych ruderów tyle ciekawych rzeczy wydobyć. Historia tego szpitala, wiążąca się z historią zakonu Hospitalitów Św. Ducha w Polsce, rzuca śliczne światło na dzieje miłosierdzia w naszym kraju, przedstawia interesujący rozwój i owocowanie tego krzewu zakonnego, już w XIII. w. przeszczepionego na naszą niwę. Z otłuczonych gzymsów i obramień wychodzą piękne i pełne stylu wzory architektoniczne, które i tak już bogaty skarbiec średniowiecznej sztuki krakowskiej pomnażają. Jasny i wdzięczny sposób opowiadania współzawodniczy wdziękiem z elegancją wydania i dobrem wykonaniem rycin.

Po przeczytaniu tej rzeczy, powinniśmy zapewne żałować sędziwej rudery, do której przylgnęły interesujące wspomnienia z naszej przeszłości; otóż właśnie nie żałujemy, bo zdaje nam się, że pod tym względem ta książka zastąpi rudere.

Podobno jest ona urywkiem większego dzieła, nad którym autor od dawna pracuje: „O domach krakowskich”. W każdym razie próba udała się znakomicie; a choć całość wiele jeszcze pracy zapewne kosztować będzie, niech autor pamięta, że i my profani, i historia sztuki i cywilizacji polskiej, tego pomnika z upragnieniem wyglądamy.

Ks. M. Morawski.

Nowa Biblioteka Uniwersalna. Rocznik V. i VI. Kraków. Nakład Księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej.

Kilkakrotnie już wspominaliśmy w naszym *Przeglądzie* o *Nowej Bibliotece Uniwersalnej*¹, a w notatkach tych godząc się najzupełniej na ogólny program wydawnictwa, musieliśmy jednak zawsze robić pewne zastrzeżenia co do paru drukowanych lub mających się drukować rozpraw; obecnie, od czasu gdy *Nowa Biblioteka* przeszła w ręce Spółki Wydawniczej Polskiej, sprawozdawca znajduje się w tem szczęśliwym położeniu, że o jakichkolwiek bądź zastrzeżeniach myśleć nie potrzebuje. Nowa serya, rozpoczęta z kwietniem 1891, wykazuje dziś już cały długi szereg rozpraw, książek, dzieł zawsze niemalej i prawdziwej, a nieraz pierwszorzędnej wartości; wykazuje oczywiście, że Redakcyja *Biblioteki* wie jasno do czego zdąża, a pragnąc ułatwić najszerszym kołom nabycie pożytecznych, dotąd niejednokrotnie za drogie pieniądze napróżno szukanych książek, daje nie tylko różnolity, nie tylko tani, ale co najważniejsza, dobry towar.

Aby o tem się przekonać, dość przytoczyć parę tytułów wydanych już książek; dość wymienić nazwiska ich autorów. Jakże np. nie przyklasnąć myśli zbiorowego wydania dzieł ks. Waleryana Kalinki, zwłaszcza tych wszystkich pism pomniejszych, które rozsypane w czterech tomach paryskich „Wiadomości polskich“, dla ogółu musiały być niedostępnym, ledwie, i to nie zawsze, ze słyszenia znanym mitem? A i ten kto do „Wiadomości“ się dostał, czyż mógł zawsze wiedzieć, domysleć się, które z regularnie niepodpisywanych tamże artykułików, wyszły właśnie z pod pióra przyszłego historyka „Czteroletniego sejmu“? Obok zbiorowych pism Kalinki, jakby dla przeprowadzenia paraleli między największym historykiem angielskim a polskim; dla ujawnienia, w czem ze sobą się schodzą, w czem różnią — położył p. Tarnowski wydobyte jeszcze z więziennej swej teki tłumaczenia „Szkiców i Rozpraw“ Macaulay'a. Z późniejszych już czasów pochodzą dwa szkice p. Tarnowskiego o Chopenie i Grottgerze, oba pełne zajmujących szczegółów, z pierwszej ręki otrzymanych. Dużo też ciekawych szczegółów w wydanych powtórnie, ale przez autora uzupełnionych i poprawionych: „Wspomnieniach o trzecim pułku ułanów byłego wojska polskiego“ przez L. Szumskiego; jak zwłaszcza w bardzo głośnych i nadzwyczaj swego czasu czytanych „Moich Wspomnieniach“ Aleksandra Jełowickiego.

¹ Por. zeszyt z lutego 1887, z marca i września 1888 r.

Na dział powieściowy, najsilniej współ z historycznym reprezentowany, składają się w nowej tej seryi: „Stefan Czarniecki“, przez Michała Czajkowskiego; prześliczna z pewnością, na jak najszerze rozpowszechnienie zasługująca „Madonna Busowiska“, przez Władysława Łozińskiego; wreszcie dwa odrębne szeregi szkiców jednego z najpłodniejszych powieściopisarzy dzisiejszej doby: Abgara Sołtana; pierwszy szereg grupuje się pod ogólnym tytułem: „Z pod carskiej imperyi“; drugi przedstawić ma w paru czy w kilku obrazkach życie galicyjskich Rusinów.

Czyż nie bogata to i nie dobrana treść? Czyż cena czterech reńskich za 12 zeszytów, z których każdy zawiera 10 arkuszków druku, nie jest istotnie bardzo niska i sama już nie zachęca do zaopatrzenia domowej biblioteczki w *Nową Bibliotekę Uniwersalną*?

B.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Ilios et Iliade. Par *Gaston Sortais S. J.* Paris. Bouillon. 1892. (P. 417).

Nie od dzisiaj istnieje i żywo interesuje nie samych tylko „homerowych“ specjalistów, cały szereg kwestyj odnoszących się do genialnego twórcy czy twórców Iliady i Odyssei; do czasu, w którym poematy te się zrodziły, sposobu w jaki powstały. Kwestyami temi zajmuje się i wymieniona w tytule najnowsza praca francuska o Homerze. Tytuł jej: *Ilios et Iliade* jest właściwie za obszerny, bo o samej Troi słyszymy tu stosunkowo niewiele; krótki rozdział I., materyi tej poświęcony, zawiera tylko najważniejsze wiadomości o Schliemannie i jego wykopaliskach i stanowi zaledwie szczupłe ramy do obszernej części drugiej, traktującej o Iliadzie. W części tej lwi udział przypadł kwestyi homerowej, która w ostatnich latach żywo zajęła Francuzów, podczas gdy w ojczyźnie filologii, w Niemczech, mniejsze dzisiaj budzi zajęcie¹. Z dwóch kwestyi tej poświęconych rozdziałów, pierwszy

¹ Dowodzi tego znaczna ilość dzieł, kwestyi tej poświęconych, która się ukazała w ostatnim czasie we Francyi. Początek dał J. M. M. Croiset przez swoją *Histoire de la littérature grecque*, t. I., (p. 81—208), Paris 1887; za nią poszły: M. G. Perrot, *La question homérique (Revue des Deux Mondes)*, 1887; — M. A. Bougot, *Etude sur l'Iliade d'Homère*, Paris 1888; — M. P. Gonnet, *La question homérique*, 1888.

traktuje o powstaniu Iliady, drugi zawiera próbę rekonstrukcyi pierwotnego poematu. W pierwszym, po historycznym rzucie oka na kwestyę homerową i wzmiance o powstawaniu epos ludowego, autor mówi o aoidach i ich wędrówkach, a potem przechodząc do Iliady wykazuje, że dadzą się w niej odróżnić dwa rodzaje przedstawienia: jeden żywy, szybki, podporządkowujący szczegóły pod całość, stopniujący efekty prosto a z siłą (jako przykład przytacza ks. XI., opisującą klęskę Achajów, i ks. XXII. Śmierć Hektora); drugi rodzaj rozwlekły, nie łączący wypadków ściśle, lecz je tylko zestawiający obok siebie lub zszywający z grubsza (przykład ks. II.—VII. przysięga Zeusa i pierwszy dzień bitwy). Jako przykłady takich opisów luźnych lub będących w sprzeczności z innemi miejscami przytacza dalej: pożegnanie Hektora z Andromachą (ks. VI.), o którym sądzi, że należy do trzeciego dnia bitwy, nie do pierwszego (jak w dzisiejszej Iliadzie), budowę muru (ks. VII.), Doloneję (ks. X.), polecenie dane przez Achilleśa Patrokłowski (ks. XI.), pośrednictwo Pozejdona (ks. XIII.—XV.), teomachią (ks. XXI.) i kilka pomniejszych. Na podstawie tego rozbioru wykazuje, że teorya ściślej jedności nie da się utrzymać.

Z pozostałych teoryj autor odrzuca teoryę pierwotnej wielości, a oświadcza się za teoryą pierwotnego jądra. Różni się jednak w tem od prawie ogólnie dziś przyjętej teoryi, że uważa tę pierwotną małą Iliadę, która została przez późniejsze dodatki rozszerzoną do dzisiejszej objętości, nie za jeden poemat, jedną całość, lecz za zbiór osobnych pieśni, wyśpiewanych wprawdzie przez tego samego poetę, lecz nie stanowiących całości organicznej, a połączonych jedynie logicznie przez wspólną legendę¹. Wśród późniejszych pieśni, wyróżnia pieśni rozwijające akcyę od pieśni i ustępów wiążących i łączących. Autor nie przyjmuje pierwotnego zamkniętego w sobie poematu dlatego, że pismo, powiada, było wówczas prawdopodobnie nieznanne, trudno zaś przypuścić, by pamięć mogła je zastąpić. A nawet choćbyśmy przypuścili, że pamięć owoczesna była o wiele trwalszą, to jednak nie potrafimy wskazać dostatecznej racyi do powstania tak wielkiego poematu w epoce, w której jeszcze nie było igrzysk panhelleńskich, a więc i sposobności brakowało do ogłoszenia tak wielkiego utworu w całości. Zresztą gdyby w dzisiejszej Iliadzie tkwił jakiś mniejszy, pierwotny, jednolity poemat, dałby się niezawodnie odszukać i wydzielić;

¹ Idzie on w tem zdaniu za Croiset'em, modyfikując tylko jego zapatrywania.

tymczasem usilne badania nie zdołały dotąd doprowadzić w tej kwestyi do porozumienia.

Nie potrzeba obszernie wykazywać, że zarzuty autora przeciw ogólnie przyjętej hipotezie są słabe i nie wytrzymują krytyki. Jeżeli poematu nie wygłaszano w całości, to jeszcze nie racya, by nie miał powstać. Że zaś z dzisiejszej Iliady, pierwotna nie da się ściśle wydzielić, również niczego nie dowodzi. Bo przecież poeci, którzy ów pierwotny poemat rozszerzali, nie byli prostymi rzemieślnikami, umiejacymi jedynie zszywać i łątać, nie byli tak tępymi, by dodatków nie potrafili zręcznie z dawniejszem połączyć. Że kontynuatorowie ci byli nieraz prawdziwymi artystami, dowodzi opis tarczy Achillesa. Podstawy więc, na których zapatrywanie swoje odrębne oparł autor, bardzo są kruche.

Wyłożywszy zdanie swoje o sposobie powstania dzisiejszej Iliady, autor usiłuje wydzielić z niej pierwotny rdzeń. Zalicza on do niego następujące pieśni: Klótnię Achillesa z Agamemnonem (ks. I.), Klęskę Achajów (XI.), Poselstwo do Achillesa (IX.), Patrokleję (koniec ks. XV. i część ks. XVI.), Bolesć Achillesa (XVIII.), Pojednanie (XIX.), Pożegnanie Hektora z Andromachą (VI.), Śmierć Hektora (koniec ks. XXI., XXII.), Wykup (XXIV.). Z tego rekonstruowanego przez autora poematu możnaby zapewne niejedno ująć, niejedno dodać; w ogólności jednak zdanie jego dosyć jest prawdopodobne. Bliżej w tę kwestyę wdawać się tu niepodobna.

Przekład tej rekonstruowanej Iliady wypełnia dalszy rozdział i zajmuje niemal połowę dzieła.

Następujący rozdział, zatytułowany: „Olimp homerowy“, mieści spostrzeżenia nad światem bogów Homera. Autor zarzuca poprzednikom, że przyjmując nawet pierwotny mniejszy poemat, w badaniach mitologicznych i estetycznych opierają się na wszystkich pieśniach bez różnicy, nie oddzielając partyj starszych od nowszych. By tego błędu uniknąć, bierze sam za podstawę swych uwag tylko te pieśni, które, zdaniem jego, stanowiły pierwotną Iliadę. W ten sposób usiłuje odtworzyć zapatrywania samego Homera.

Najważniejszym śladem pierwotnego monoteizmu, religii wyznawanej początkowo przez Greków podobnie jak przez wszystkie ludy, należące do szczepu aryjskiego, jest — zdaniem autora — „Przeznaczenie“ (*Moirai*), które stoi nawet ponad Zeusem. Na zdanie to zgodzić się trudno; *Moirai* jest abstrakcją późniejszą, powstałą już na gruncie greckim po rozdzieleniu się szczepu aryjskiego. Śladem jednego boga,

w którego cały ten wielki szczep wierzył, jest Zeus, bóg nieba, bo jego pojęcie i nazwa są wspólne kilku narodom indoeuropejskim. Pierwotny monoteizm przez pośredni stopień naturalizmu, tj. uwielbiania sił przyrody, przeszedł w antropomorfizm, który jest głównym charakterem politeizmu homerowego. Zoomorfizm, według autora, pozostawił także słabe ślady w Iliadzie. — Olimp Homera przypomina urządzeniem swoim urządzenia polityczne i prywatne achajskie: ma on także swego władcę, swą arystokrację i pospólstwo, bogowie posiadają te same przymioty i wady, co i ludzie. Pośrednictwo ich w walkach bohaterów nie zawsze wychodzi na korzyść poematu; częstokroć psuje ono wrażenie estetyczne i osłabia interes.

Wiele zajmujących uwag zawierają ostatnie rozdziały, poświęcone rozpatrywaniu Iliady ze strony estetycznej. W tym kierunku posiadają Francuzi, jak wiadomo, więcej delikatnego zmysłu, niż Niemcy. Wielkość Homera, powiada autor, polega na dwóch rzeczach: naturalności i podniosłości; rzeczywistość łączy się u niego w niedościgniony sposób z ideałem. Naturalność objawia się w zastosowaniu epitetów, metafor, porównań, opisywaniu za pomocą akcji, wreszcie obiektywności w przedstawieniu czynów i mów bohaterów. Trafny wybór tak przedmiotu jak i rysów dominujących z pominięciem podrzędnych, wypukłość, z jaką wszystko występuje przed nami, zręczne skupianie efektów (wykazane na opisie ucieczki Hektora), odpowiednia perspektywa w ugrupowaniu bohaterów na tle tłumu, dla którego ramy stanowi natura, wszystkie te zalety składają się na niezwykłą podniosłość i wielkość poematu Homera.

Połączenie ideału z rzeczywistością u Homera nigdzie nie jest tak widoczne, jak w charakterach głównych wykończonych postaci poematu: Achillesa, Hektora i Andromachy. Młodzieniec grecki, to natura dzika, a przecież tyle ma rysów porywających. Obrońca Troi pięknoscią duszy przewyższa wszystkie osoby Iliady. Andromacha, to ideał miłości małżeńskiej i czułości macierzyńskiej.

Najslabszą stronę dzieła stanowią jego dodatki. W pierwszym z nich, zatytułowanym: „Wędrówki helleńskie“, pokutuje jeszcze odwieczna hipoteza Ernesta Curtiusa o przybyciu Jończyków z Azji przez wyspy do Grecji, hipoteza, w którą dzisiaj prócz samego jej autora nikt nie wierzy. Dowody istnienia Trojan, wzięte z napisów egipskich (dod. II.: „Wojna trojańska“), są dzisiaj jeszcze niepewne i należałoby je na razie złożyć do komory zapasów, z których w danym razie kiedyś historia skorzystać może. W dodatku trzecim („Mi-

tomania“) opęda się autor przeciw zwolennikom t. zw. mitów słonecznych, widzącym w osobach Achillesa, Parysa, Patroklosa i t. d. personifikację zjawisk astronomicznych lub meteorologicznych.

Stanisław Witkowski.

Pombal. Sein Charakter und seine Politik, nach den Berichten der kaiserlichen Gesandten im geheimen Staatsarchiv zu Wien. Ein Beitrag zur Geschichte des Absolutismus. Von *Bernhard Dühr S. J.* Freiburg im Breisgau. Herder'sche Verlagsbuchhandlung. 1891. (Str. IV, 182).

Źródła archiwalne nieraz długo tają prawdę niepochlebną dla osób, o których piśmiennictwo roznosi po świecie jednogłośnie pochwały. Ale dziejowa prawda, choć na pozór leniwa do zemsty, pamięta o swoich prawach: dlatego nieraz już, na pozór przypadkiem, podsunęła broń na swoją obronę do rąk badacza, gotowego powstać przeciw błędom, choćby rozpowszechnionym.

Niedawno znalazła prawda historyczna takiego badacza w osobie ks. Duhra, kiedy tenże przeszukiwał po różnych archiwach źródła do swojego dzieła *Jesuiten-Fabeln*, wspomnianego w przeszłorocznym zeszycie *Przeglądu* z maja. Czyniąc poszukiwania w cesarskiem archiwum w Wiedniu, spotkał niespodziewanie zbiór listów, pisanych przez posłów austriackich przy dworze portugalskim. Z listów tych, dotąd nieznanych, odtworzył ks. Dühr sławnego męża portugalskiego, Pombala, w nowem zupełnie świetle. Podrzędni pisarze nieśmiało podnosili ciężkie zarzuty przeciw Pombalowi, ale nie wpłynęły przez to na sąd ogólny. Listy austriackich posłów dobitnie potwierdziły teraz zarzuty samowoli Pombala. Ks. D., uderzony nowem światłem, pilnie roztrząsał powagę pisarzy, którzy rozpowszechnili pochlebny dla Pombala sąd w dziejach; wkońcu spostrzegł, że ci pisarze wierzyli świadectwom, złożonym przez Pombala o sobie samym w pismach, w których nie brak namacalnych błędów, albo powtarzali słowa Smitha, płatnego sekretarza u marszałka Saldanki, którego dziadem był Pombal; albo nakoniec czerpali poglądy o Pombalu z dzieła jego zwolennika gorliwego, Santaremy. Widok tych źródeł zachwiał wiarę ks. D. w powagę utartych pochwał dla wrzekomo znakomitego Portugalczyka.

Przeciwnie, źródła złożone w wiedeńskich archiwach mogą posłużyć do rzetelnej charakterystyki Pombala. Odkrywają jego ujemne strony, ale nie pochodzą od jego przeciwników; wiele listów wyszło nawet z pod pióra blizkich jego znajomych i życzliwych: hr. Starhem-

berga, hr. Khewenuellera, hr. Welsperga i innych świadków, nie podejrzanych o to, żeby, z niechęci albo nieznamomości stosunków, posyłał na dwór Maryi Teresy zmyślane potwarze na Pombala. Sama żona Pombala utorowała im drogę do dobrych z nim stosunków, jako ich rodaczka, z domu hrabianka Daun.

O stosunkach tych świadczą sami posłowie. Hr. Khewenueller w wielu listach opisuje, jak na poufalej stopie stoi z obojgiem margrabstwem Pombalami: nie potrzebuje czekać na ich zaprosiny, żeby bywać u nich na obiadach, świadczy im drobne usługi przyjacielskie i wzajemnie przyjmuje je od nich i t. d. Inny poseł, von Kail, ma w każdej chwili wolny wstęp na ich pokoje. Von Lebzelttern opisuje, jaką przyjemność sprawił Pombalowi, kiedy od cesarzowej przyniósł dla margrabiny zaprosiny na matkę chrzestną swojego dziecka, i inne szczegóły zażyłej przyjaźni. Na takich świadkach oparł ks. D. swoją pracę, i tylko mimochodem potrąca o inne źródła, które potwierdzają jego opis.

Z tych świadectw ks. D. nie opuścił nic przychylnego dla Pombala, choć oczywiście nie mógł dosłownie powtarzać tysięcy listów: musiał opuścić szczegóły mniej ważne.

W ten sposób występuje na widownię smutny, czarny obraz Pombala. Samowolny to rządcą Portugalii, który naraził dobrobyt kraju i przemysł na straty niepowetowane, wystawił na niebezpieczeństwo dostatki najzamożniejszych rodzin, doprowadził wojsko do nędznego stanu, nie szanował osobistej wolności obywateli i deptał ich prawa, nie umiał podnieść poziomu oświaty, wciągnął nawet państwa w burzliwe zatargi z Głową Kościoła — na koniec upadł, znienawidzony przez tych, których na pastwę nędzy oddała jego duma, chciwość i mściwość popędliwego okrutnika.

Ledwo ten nowy obraz Pombala wyszedł z pod pióra autora, zaraz wystąpił na jaw uparty brak samodzielnego sądu u zwolenników starych poglądów. Niemiecka prasa wolnomyślna nie umiała sobie inaczej wyjaśnić czarnego obrazu, jak tylko domysłem, że jego autor, uprzedzoną ręką, przy wyborze barw odkładał na bok jasne, a umyślnie wyszukiwał ponurych. Zarzut znalazł odprawę w piśmie *Literatur-Blatt der Leo-Gesellschaft*; ale trudno przekonać ludzi wiernych zasadzie, że samodzielny badacz dziejów musi oszukiwać albo błędzić, jeżeli odrzuca poglądy uświęcone tradycją. Niemcy nie odwołali zarzutu; przytwórzyło im polskie *Muzeum*¹, twierdząc, że „D. cytuje z sprawozdań

¹ Rocznik VIII., str. 478.

tych, tylko to, co dla Pombala jest niekorzystne, natomiast pomija wszystkie miejsca, które na Pombala rzucają dodatnie światło. W ten sposób powstała jednostronna ujemna charakterystyka tego męża stanu. Czy bezimienny recenzent zna archiwalne zbiory, na podstawie których ks. Duhur pracę swą oparł? czy je gruntownie przestudyował? Jeżeli tak — w co, niech daruje, wierzyć niełatwo — nie mamy oczywiście nic innego do odpowiedzenia, tylko to, że o rzetelności ks. Duhura coś innego wie, coś innego tendencyjnie pisze; ale jeżeli i zbiorów tych nie zna i może nawet, jak z tonu całej notatki wnioskowaćby należało, o samejże książce ks. Duhura dowiedział się tylko z niemieckiego jakiegoś „jednostronnego“ czasopisma — jakże odważa się kompromitować poważny organ nauczycielski tak lekko i chyba nie z naukowego stanowiska uczynionym zarzutem?

Ks. K. Czajkowski.



Z pism czasowych.

Iskra. List za književnost i umjetnost. Zadar 1892. Godina II.

Rok ubiegły zaznaczył się w dziennikarstwie chorwackiem powstaniem kilku nowych i wiele obiecujących organów prasy. Jeden z nich, to jest *Crvena Hrvatska*, oceniliśmy już niedawno temu¹, dzisiaj zaś zamierzamy zapoznać czytelników *Przeglądu* z rówieśnicą jej *Iskrą*, wykrzesaną na bruku zadarskim, chociaż w zupełnie odrębnych warunkach i okolicznościach.

*Udar nadje iskrę u kamenu, bez njega bi u kam očajala*² — oto słowa wzięte za motto przez czasopismo, zajmujące nas obecnie, a wyjęte z poematu *Gorski Vienac*, czarnogórskiego księcia i poety Piotra Negusza. Rzeczywiście dwutygodnik powyższy, poświęcony niemal wyłącznie kwestyom literackim, dąży do tego, by się stać motorem, któryby odrętwiałemu piśmienniczemu ruchowi w Dalmacyi nowe pozyskał siły i anemicznej poniekąd literaturze współczesnej na tamtejszym gruncie zdrowszą nadał barwę. Czasopismo, taką ożywioną tendencją,

¹ Porównaj *Przegląd Powszechny* z lipca r. 1892, str. 129.

² Uderzenie wywołuje iskrę z kamienia, bez niego bowiem drzemałaby w głazie.

może stanowić prawdziwą epokę w rozwoju ojczystego piśmiennictwa i cenne oddać usługi, jeżeli naturalnie oprze się na niewzruszonych podstawach religii i narodowości, i zamiast schlebzać chwilowym upodobaniom ogółu, potrafi uszlachetniać smak jego, oraz wpajać zamiłowanie istotnego, nieśmiertelnego piękna.

Jakże się *Iskra* z tego wywiązuje? Na zawartość jej składają się przeważnie szkice z historii piśmiennictwa i cywilizacyi, monografie i oceny literackie, niekiedy opisy dalmackich miejscowości lub zabytków, a wreszcie poezye i powieści. Wśród niezbyt licznych, ale starannie opracowanych artykułów poważniejszej treści, spotykanych w łamach tego czasopisma, pierwszeństwo przyznać należy pięknej pracy Jakсы Čedomila pod tytułem *Talijanski Roman* (Powieść włoska). Jest to szkic z historii beletrystyki we Włoszech, oparty na sumiennych i gruntownych studyach. Odmalowawszy pobieżnie tło historyczne pomiędzy latami 1789—1815, które tak smutny w dziejach tego kraju stanowiły okres, autor zaznacza, że jedyne wówczas źródło odrodzenia się i podźwignięcia włoskiego narodu spoczywało w literaturze. Jako pierwszych pracowników ówczesnych na polu piśmiennictwa, którzy zapragnęli obudzić swych rodaków z moralnego letargu i kształcić ich ducha za pomocą dobrych książek, wymienia Goldoni'ego, Alfieri'ego i Parini'ego. Obok nich stawia także Monti'ego, chociaż nie podziela bynajmniej jego zapatrywań. Dłużej nieco zastanawia się nad postacią Hugona Foscolo i jego powieścią *Jacopo Ortis*, która mu największy zjednała rozgłos. Sąd o tym autorze wypadł niezbyt korzystnie, Čedomil bowiem upatruje w nim zagorzałego klasyka starej doby, zamiłowanego do zbytku w greckich i rzymskich mitach, a zapominającego niemal zupełnie o prawdach chrystyanizmu. Nie odmawia mu wszakże niepospolitego talentu, jak również szerokiego, chociaż nieco mglistego poglądu na świat i życie. Natomiast zbyt pobłażliwie ocenia najwybitniejszy jego utwór, którego bohaterowi, Jakubowi Ortis, kazano być drugim Wertherem, na włoski grunt przesadzonym. Trudno się zgodzić na zdanie autora, gdy rozgrzesza najzupełniej Foscola z tego, że samobójstwem swego bohatera chciał wpoić w młodzież to przekonanie, iż nie mogąc żyć w wolnej ojczyźnie, lepiej samemu śmierć sobie zadać, niż wieść nędzną egzystencję w podbitym przez wroga kraju. W chwili upadku swego narodu, poeta lub pisarz stojący na świeczniku, na którego oczy wszystkich ziomeków są zwrócone, może i powinien boleć serdecznie nad niedolą ojczyzny, lecz nie ma prawa odbierać rodakom wiary w lepszą przyszłość i poić ich jadem rozpacz i zwątpienia.

Natomiast bardzo trafnem wydaje nam się to, co autor mówi o Leopardi'm, oraz jego krańcowym, beznadziejnym pesymizmie. „Żyjąc wśród ciągłych smutków i rozczarowań, poeta ten z bólu czerpał natchnienie, a zidentyfikowawszy smutny swój żywot z życiem całego świata, przestał wierzyć w dobro i szczęście, nazwał nadzieję głupotą, snem Opatrzność i postęp, ojczyznę jarzmem, a Boga tyranem. Dlatego też chociaż Leopardi wywarł wpływ doniosły, wpływ ten jednak nie był dodatnim, ale w wysokim stopniu ujemnym. Starego zburzył on wiele, ale nowego na to miejsce nie postawił nie“.

Potem Čedomil zaznacza cechy romantycznej szkoły we Włoszech i walki jej z klasykami. I tutaj tło historyczne należycie zostało uwzględnione. Ciekawem między innemi jest to, co autor głosi o stanie trzech główniejszych ognisk oświaty we Włoszech między rokiem 1815 a 1848, tj. Medyolanu, Florencyi i Neapolu. „W Lombardyi i Piemoncie — mówi — po roku 1821 zapanował nastrój religijny i dlatego też szkoła lombardzko-piemoncka szukała natchnienia w wierze, filozofię zaś swą czerpała z religii i stosunku jej do dziejów. Na czele tej szkoły stali Manzoni, Gioberti i Balbo. Dodatnią stroną wpływu tych pisarzy na rodaków były prawdziwie katolickie zasady, zawsze i wszędzie przez nich głoszone, ujemną zaś to, że kazali narodowi oczekiwać biernie pomocy z nieba, zapominając, iż niebo wspiera tych tylko, którzy sami sobie starają się dopomódz. W Toskanii, dzięki pomysłniejszym warunkom politycznej egzystencji, objawiała się, obok głębokiej wiary, energia i ufność we własne siły, najwybitniejszymi zaś pisarzami florenckimi w owej dobie byli: Niccolini, Giusti i Guerazzi. W Neapolu wreszcie Rosetti i Poerio trzeźwili Włochów z uśpienia, ucząc ich, jak słodko umierać za ojczyznę, ale prąd neapolitański nie na wiele zdał się Włochom, z powodu surowej burbońskiej politycy, która Neapolitańczyków od innych mieszkańców Apenińskiego półwyspu chińskim odgraniczyła murem“.

Nawiasem mówiąc, walka klasyków z romantykami we Włoszech przywodzi na pamięć takż sam okres przejściowy w literaturze polskiej przed Mickiewiczem. Postacie Osińskiego, Felińskiego, obu Dmochowskich jak żywe stają przed oczyma. W tym właśnie roku (1818), w którym w Polsce ukazała się znakomita rozprawa Brodzińskiego o klasycyzmie i romantyzmie, w północnych Włoszech zaczęło wychodzić pierwsze czasopismo, wydawane przez romantyków czystej wody, pod tytułem *Il Conciliatore*. Głównymi jego współpracownikami byli: Berchet, Pellico, Secchi, Visconti, Sismondi, Romagnosi i t. d. Wkrótce

jednak po swem założeniu, czasopismo to zaczęło się wdzierać w zakres polityki, co spowodowało jego upadek. Sztandar przez nie opuszczony podjęła „Antologia“, nieubłagana antagonistka wydawnictwa pod tytułem *Biblioteca Italiana*, które było organem klasyków włoskich z poetą Monti'm na czele.

Jak u nas Mickiewicz, tak we Włoszech Manzoni odniósł stanowcze zwycięstwo nad strupieszalym klasycyzmem. Biografii jego i utworom, a zwłaszcza słynnej powieści: *I promessi Sposi*, poświęca autor nader obszerną wzmiankę. Pomijamy ją jednak, ponieważ zawiera rzeczy znane po większej części naszemu społeczeństwu, przed kilkudziesięciu bowiem, a nawet kilkunastu jeszcze laty, *Narzeczeni* albo *Oblubieńcy Medyolańscy* cieszyli się u nas stosunkowo znaczną popularnością. Z autorów, w których dziełach wpływ Manzoni'ego wyraźnie się przebija, najbardziej wyczerpująco traktowani są: Grossi, Rossini, Cantù, Tommasseo i d'Azeglio. Słowami ostrej nagany piętnuje dalej autor dzieła Antoniego Ranieri, którego pesymistyczne poglądy przypisuje przyjaźni z Leopardi'm. Wreszcie znajdujemy sympatyczną sylwetkę hr. Katarzyny Percoto, księdza Józefa Tigri, zasłużonego pisarza i wydawcy ludowych pieśni tokańskich (*Canti popolari toscani*), i Carcana, o którym autor wyraża się z najwyższem uznaniem, jako o gorliwym katoliku w słowie i czynie.

Tutaj przerywa się tok zajmującej tej pracy, to jednak, cośmy dotąd o niej powiedzieli, pozwala dostatecznie ocenić jej wartość.

Treści do drugiej obszernej monografii, przez *Iskrę* ogłoszonej, dostarczyło piśmiennictwo chorwackie z XVI. w., a mianowicie utwory jednego z wybitniejszych jego przedstawicieli, Lučića ze Spletu. W artykule tym, noszącym tytuł *Lučićeve pisni ljuvene*, p. Kasandrić analizuje skrupulatnie wszystkie erotyczne wiersze tego pieśniarza, porównywa je z utworami ówczesnych dubrownickich poetów, Menčetića i Držića, oraz uwydatnia wpływ Petrarke z jednej, a ludowej chorwackiej poezji z drugiej strony. Wiele pięknych cytat z Lučića i Petrarke urozmaica tę ocenę.

Artykuł *Leputi Primorca* jest udatną przeróbką pracy pod tyt.: *Le sol et le climat de la Grèce, leurs rapports avec le caractère de sa civilisation et de son art*, ogłoszonej w lutym zeszłego roku w *Rerue de deux Mondes*. Praca ta wykazuje, o ile położenie geograficzne, grunt, koloryt nieba, klimat i bogactwa przyrody wpłynęły na cywilizacyjny rozwój i artystyczną twórczość Greków. Wiele poglądów francuskiego autora starał się p. Primorac poprzeć danemi, zaczerpniętymi

z ojczyzny swej Dalmacyi, i te właśnie ustępy są bodaj najciekawsze. Tak np. na poparcie hipotezy, że każdy kraj wydaje pewien odrębny, sobie tylko właściwy gatunek ludzi, przytacza podanie chorwackie o Ivanie Antičiću Zalem, nieustraszonym bohaterze ludowym, z zakresu wojen tureckich, który wówczas właśnie największem odznaczał się męstwem, gdy walczył na rodzinnej ziemi. Podanie to dziś jeszcze krąży w ustach ludu z okolic Makarskiej i przypomina nieco, zdaniem autora, mit grecki o Anteusie, synu Posejdonu i Westy, który zwykle przed walką uderzał nogą w ziemię, a matka ziemia dodawała mu odwagi.

P. Grgur-Urlić Ivanović w pełnym wdzięku szkicu z podróży, pod tytułem *Doli-gori Krkom* (Na dolnej i górnej Kerce), przenosi nas na brzegi najpiękniejszej dalmackiej rzeki, opisując kolejno leżące nad nią miejscowości. Najlepiej mu się udał opis wodospadu Manojlovca, oraz starożytnych zwałisk Bani-kuli i Burnu, czyli Trajan-gradu. Do obu tych zabytków przeszłości przywiązane są podania ludowe, mniej lub więcej zgodne z historyczną prawdą. Bani-kula, zwana także „Czuczewską gradiną“, należała niegdyś do banowej Kninu, Lackiej, która poległa w walce z Bośniakami, w pobliżu tej warowni, ciało zaś jej zostało wrzucone do sąsiedniego wąwozu, przezwanego odtąd Babadolskim. Następnie Bani-kula przeszła w ręce rodziny Nelepićów, dokument zaś z roku 1421, dotyczący sprzedaży pewnej części ich dóbr, stanowi nader cenny zabytek głągolicznego pisma. W roku 1522 Bani-kula została zdobytą i zniszczoną przez Turków. Takie muż losowi, tylko znacznie wcześniej i z rąk innych wrogów, uległ też sąsiedni gród Burnu, zwany inaczej Trajan-gradem, o którym lud dalmacki opowiada sobie co następuje:

*Bio silni i mogući car Trajan, ovaj sjedio u Solinu i u Trajan-gradu, kod Krke. Vojevao slavno na narode preko Bosne i Neretve. Neprijatelji ga se bojali, a još više njegovi doglavnici. Neki divlji narod udario iznenada na Trajan-grad, poplienio sva bogastva, srušio i razorio grad. Car Trajan bježeći, da spasi život, udario na vratolom Krke i tu zaglavio. I danas odjekuje tužni glas cara Trajanu iz jezera Brljena, a na Okrutu položili u sjajnu grobu njegov mać i kalpak. Odtada i gradu preko Krke ostao davni spomen Trajan-gradu cara Trajana*¹.

¹ Był niegdyś silny i potężny cesarz Trajan, który mieszkał w Solinie lub w Trajan-grodzie nad Kerką. Toczył on sławne boje z narodami z Bośni i Neretwy. Nieprzyjacielem go się bali, podwładni zaś jeszcze bar-

Tyle nam mówi tradycya ludowa, niezbyt zresztą zgodna z historyą. Nie da się jednak zaprzeczyć, że poszukiwania archeologiczne, uwieńczone odgrzebaniem wielu monet, ozdób architektonicznych, szczątków rzeźb, jak również kamieni z odpowiedniami napisami, nasunęły uczonym domysł, że w miejscu tem rzeczywiście pomiędzy rokiem 198 a 217 po Chr. wzniesiony został warowny gród, bądź przez cesarza Trajana, bądź przez następcę jego Antonina. Ślady dawnej świetności kazały się domyślać, że Rzymianie łożyli nader wiele na upiększenie tego miasta, które następnie w połowie VI. w. najeźdźcy lud Obotrytów zamienił w kupę gruzów. Mówiąc o starożytnościach dalmackich, wymienić też wypada artykuł p. Vida Vuletića Vukasovića, pod tytułem *Stećci i Staro-bosanske nekropole u Bosni, Hercegovini i Dalmaciji* (Nagrobki i staro-bośniackie cmentarze w Bośni, Hercegowinie i Dalmacji). Dowiadujemy się zeń, że w wielu miejscowościach tych krain istnieją dawne cmentarzyska, zawierające olbrzymie głazy w kształcie czworoboku lub krzyża, opatrzone napisami w chorwackim języku. Parę tych napisów przytacza autor dosłownie z zachowaniem ich ortografii, dodając, że są to po większej części grobowce południowo-słowiańskich rycerzy *bez straha i mahane — sans peur et sans reproche*, poległych w obronie wiary przeciw adeptom islamu.

Tenże sam autor w niewielkiej pracy, zatytułowanej *Dubrovački zbornik turskih sevdalinki* (Dubrownicki zbiór pieśni tureckich), utrzymuje, że Dubrownik był jednym z pierwszych miast w Słowiańszczyźnie, gdzie się zajęto zbieraniem zabytków poezyi ludowej. Już w r. 1697 ogłoszono tam *Zbirku srpskih narodnih umotvorjina*, starszym zaś jeszcze jest zbiorek piosnek tureckich, wydanych w r. 1657 przez Dubrowniczanina Miho Martelini. Zebranie tej antologii niewiele przedstawiało mu trudności, dzięki stosunkom politycznym i handlowym, utrzymywanym z Osmanlisami przez dubrownicką rzeczpospolitą. Już sobór bazylejski pozwolił mieszkańcom Dubrowniku wchodzić z innowiercami w stosunki tej natury. Odpowiedni dekret wręczono wówczas przedstawicielowi tego miasta, *ferventi sollicitudine dilecti Ecclesiae filii Jo-*

dziej. Pewnego razu jakiś obcy naród uderzył niespodzianie na gród Trajana, złupił wszystkie skarby, miasto zaś zniszczył i zburzył. Cesarz Trajan w ucieczce szukając ocalenia, natrafił na wodospad Kerki i utracił tam życie. Dziś jeszcze z głębi Brleńskiego jeziora odzywa się posępny głos cesarza, którego miecz i kołpak złożono na Okrucie we wspaniałym grobowcu. Stąd też i ruinom miasta nad Kerką pozostała dawna nazwa grodu cesarza Trajana.

vannis Stoici de Ragusio, ordinis fratrum praedicatorum, magistri in theologia, jak głosił powyższy dokument. Pozwolenie to potwierdzili następnie papież Paweł II., Innocenty VIII., Adryan VI. i Klemens VII., zachęcając zarazem Dubrowniczán, aby się starali wpłynąć na nawrócenie się niewiernych. Nic też dziwnego, że obywatele rzeczypospolitej, poznawszy język turecki, zaczęli się także troszczyć o plody poetyckiej fantazyi muzułmanów, i w chwilach wolnych od politycznych lub handlowych negocyacyj, skrętnie je zapisywali. W taki sposób utworzyła się wiazanka piosnek, wydana przez Marteliniego i ozdobiona portretem poety Jovana Gundulića, zdjętym prawdopodobnie z natury, co mówiąc nawiasem, największą bodaj temu zbiorowi w oczach Chorwatów nadaje wartość.

Ciekawym też jest artykuł d-ra J. Aranza o najdawniejszych osadach słowiańskich w południowych Włoszech, noszący tytuł: *Okle su došle južnoslavanske naseobine u južnu Italiju*. Autor, opierając się głównie na *Сборнику италянскихъ архивъ*¹ Makuszewa i *Commissiones et relationes Venetae* Ljubičeva z r. 1525, dowodzi, że pierwsi wychodźcy chorwaccy już w XII. wieku zaciągnęli się na służbę księcia d'Anjou, poczem wielu z nich pozostało we Włoszech. Najsilniejszy jednak prąd emigracyjny obudził się zwłaszcza w Dalmacyi podczas tureckiego najazdu. Dziś jeszcze w pewnym zakątku południowych Włoch, zwanym Masola, istnieje kilka wiosek zaludnionych przez 5000 Słowian, którzy mówią narzeczem ikawskiem i wcale się z tubylcami nie asymilują.

Otośmy się załatwili z poważniejszym inwentarzem *Iskry*. Nie wiele tego, to prawda, ale każdy chyba przyzna, że to co jest, jest dobre, pouczające i ciekawe. Do działu tego zaliczyć jeszcze można liczne oceny utworów chorwackich pisarzy, świeżo wyszłych z pod prasy. Z najnowszych płodów piśmiennictw obcych niewiele *Iskra* dla siebie czerpie materiału, widać jednak, iż nie stanowią one dla niej *terra incognita*. Pożytek z przyjemnością swoich czytelników łączy to czasopismo za pomocą licznych utworów z dziedziny poezyi i beletrystyki. Pierwsze rekrutują się z ładnych ulotnych wierszyków Sundečića, Milakovića, Kriletića, Katalinića-Jeretova i t. p., oraz z udatnych przekładów cudzoziemskich poetów. Rubrykę beletrystyczną, z wyjątkiem paru nowelek, przełożonych z francuskiego, zapelniają niemal wyłącznie narodowi pisarze. Kriletić w powiastce *Talina prarda* (sprawa Talego), maluje w sposób wielce sympatyczny charakter i życie dal-

¹ *Sborniku italjanskich archiv.*

mackich wieśniaków. Włodzimierz Trsatski za bohaterkę swej powieści *Moć ljubavi* (Potęga uczucia), wybrał biedne ociemniałe dziewczę, którego kalectwo wynagrodził Stwórca pięknymi przymiotami duszy. Katalinić-Jeretov w pełnych wdzięku nowelkach *Tragedija*, *Drama*, *Komedija*, szkicuje plastycznie dodatnie i ujemne strony średniej klasy swego społeczeństwa. Bardzo też ładną jest pewna odrębna gałąź nowelistyki, uprawiana przez współpracowników *Iskry*, a nosząca nazwę *Slik*, czyli obrazków. Są to, rzecz można, fotografie z natury, chwytające jeden tylko fakt życiowy, jeden moment egzystencji ludzkiej, a retuszowane z prawdziwym artyzmem. Najpiękniejsza z tych *Slik*, nosi tytuł *Za ljesom* (Za trumną). Stary wieśniak, odprowadzający jedynego syna na miejsce wiecznego spoczynku, oto postać odtworzona przez autora z nader głębokim i żywym *sens du réel*.

Dobiegając do końca naszej pracy, musimy jeszcze rzucić okiem na oryginalny artykuł Radića, pod tytułem *Sudbina knjige* (Los książki). Autor w sposób dowcipny zastanawia się nad dziejami książki dawniej i teraz. „Cztery wieki temu — twierdzi — brak książek tamował szerzenie się oświaty, dziś zbyteczna ich obfitość stanowi zapórę dla prawdziwej wiedzy. Biblioteka złożona z jakiej setki tomów (a któż jej dziś nie ma?), była rzadkością, a nawet księgozbiór paryski, liczący dzisiaj około miliona tomów, w chwili swego założenia, za Karola V., miał ich zaledwie dwadzieścia. Od lat 450, tj. od wynalezienia druku, wyszło z pod prasy przeszło sto milionów książek. Jest to prawdziwy potop, nader niebezpieczny dla ludzkości“. Ale i same książki niewiele na tem zyskały. Zbyt może pesymistycznie twierdzi p. Radić, że większa część tych, którzy je drukują, sprzedają, czytają, krytykują, nie rozumie ich wcale, a nawet nie zawsze poszczycić się tem mogą ci, co je napisali. Dawniej zresztą książki daleko bardziej były szanowane, dzisiaj zaś często nazajutrz po przeczytaniu, a jeszcze częściej przed rozcięciem kartek, dzieci je szarpią, kucharki biorą pod placki, kupcy używają na zawijanie śledzi, a wreszcie w najlepszym razie stają się one pastwą dla myszy i szczurów.

Słusznie autor dalej utrzymuje, że obrona prawdy zwykle daleko mniej wymaga pisania, niż poparcie fałszu. Jakże wymownie przekonują nas o tem przykład naszego Zbawiciela, który całą swą Boską naukę, zdolną jedynie uszczęśliwić ludzkość, przekazał ustnie, nie pozostawiawszy na piśmie ani jednego wiersza! Wszyscy zaś razem wzięci Apostołowie i uczniowie Pana Jezusa nie napisali tyle w celu rozkrzewienia Ewangelii, ile napisał Luter, kasząc się o zepsucie Bożego dzieła,

tak, że nawet jego adepci, nie mogąc dać sobie rady z 1135 rozprawami jego mniejszej lub większej objętości, zarzucali mu nieraz tę *Vielschreiberei*.

Dowcipną też jest uwaga, że wiele bibliotek stanowi prawdziwe stajnie Augiasza, wielce więc pożądanym byłby nowy Herkules, co by się podjął ich oczyszczenia... „Na wielkiej tebańskiej bibliotece — dodaje p. Radić — mieścił się napis: *Psiches iatreion* — lecznica duszy. Ponieważ zaś lekarstwa często składają się z trucizn, napis ten nadawałby się wybornie do wielu księgarń współczesnych, mieszczących niekiedy tyle moralnej trucizny... Pewien kalif — czytamy tam jeszcze — spalił bibliotekę Aleksandryjską, i tego mu ludzkość darować nie może. Szkoda, że dzisiaj nie znajdzie się ktoś, co by spalił przynajmniej połowę lichych książek, przechodzących z rąk do rąk, bo i Pan Bóg i ludzie z pewnością mu przebaczyli“.

Zresztą autor nie jest absolutnym przeciwnikiem drukowanej bibli, owszem uznaje wszelkie rodzaje pożytku, jaki przynieść ona może, a nawet sięga tak daleko, że przytacza fakta, w których książka stała się opatrznosciowem narzędziem ludzkiego ocalenia. Tutaj na wzmiankę zasługuje szczegół o jenerale Henryku Dąbrowskim, który w jednej z bitew omal nie zginął od nieprzyjacielskiej kuli, gdyby ta ostatnia nie uwięzła w szylerowskim Wallensteinie, którego sławny ten wódz nosił zawsze na piersiach pod mundurem. Szkoda tylko, że autor nie wymienia miejsca i roku, w jakim bitwa ta stoczona została, ani też źródła, z którego wiadomość powyższą zaczerpnął.

Trafne swe uwagi kończy p. Radić, upominając pewien gatunek rycerzy pióra, aby pisali raczej mało a dobrze, niż dużo a lichy, i ilustruje tę radę mnóstwem cytat ze starożytnych oraz nowożytnych pisarzy, poczynawszy od Cyserona i Horacego, a kończąc na jednym z wybitniejszych autorów francuskich XVIII. wieku, który wobec pewnego wydawcy, naglącego o nowe prace, usprawiedliwiał się tem, iż *on ne va pas à la posterité avec un si lourd bagage*.

Ostatnią tę radę szanownego autora *Iskra* gorliwie w praktyce zastosowuje, podając swym czytelnikom niezbyt obfitą, ale zdrową, duchową strawę. Na niezwykłą jej stosunkowo poczytność w Dalmacyi wpływa też bardzo przystępna cena, wynosząca 3 zlr. rocznie, co na arkuszowy dwutygodnik nie jest wcale drogo. Czyżby i u nas nie było pożądanem popularne czasopismo niewielkich rozmiarów, redagowane w pocziwym kierunku, a tańsze od istniejących obecnie, któreby mogło się znaleźć w każdym, nawet mniej zamożnym domu?

Tytus Sopotzko.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Uchwały wolnomularskiego konwentu w Paryżu. — Chrzty „cywilne“. — Nowe okólniki przeciw Jezuitom. — Manifest „Związku Ewangelickiego“. — Wyznania Stoeckera. — Ks. Franco o zjednoczeniu Kościoła wschodniego z zachodnim. — Portugalskie Centrum.

UCHWAŁY
WOLNOMULAR-
SKIEGO
KONWENTU. Przyzwyczajeni jesteśmy do smutnych wiadomości z Francji; ostatnie tygodnie nie różniły się w tym względzie od innych, chyba tem, że wrogie Kościołowi żywiły, przerażone z dnia na dzień widoczniejszym postępem papieskiej idei pojednawczej, lękając się utraty zajmowanych przez lat tyle stanowisk, ze zdwojoną energią biorą się do walki, nie szczędzą starań, aby rozszerzyć przepaść, którą Papież zapelnąć usiłuje. Wyrazem tych rozpaczliwych, rzecby można, wysiłków, są uchwały powzięte przez zebrany świeżo w Paryżu wolnomularski konwent. Oto najgłówniejsze i najbardziej charakterystyczne z tych uchwał:

Konwent potępia i wyrzeka się wolnomularzów, biorących udział w zgromadzeniach wyborczych, którzy oddali swe głosy za udzielaniem subsydjów na cele kościelne.

Domaga się, czego wielu członków od dawna już sobie życzyło, aby wszyscy należący do rady naszego związku zobowiązali się pisemnie, że polecą cywilnie się pogrzebać.

Wreszcie wyraża życzenie, aby na przyszłość członkowie loży, kandydujący o godność poselską, zobowiązywali się własnoręcznym, wolnomularskim podpisem, że głosować będą za reformami, niezbędnymi do przeprowadzenia ostatecznej ewolucji rzeczypospolitej, a mianowicie za rozłączeniem państwa od Kościoła, zniesieniem budżetu wyznań, zniesieniem ambasady na dworze watykańskim.

Wymowny ten sam z siebie program rozszerzyli i uzupełnili, nie szczędząc barw w oczy bijących, mowcy występujący przy pożegnalnym bankiecie. — Największą uwagę zwróciła mowa niejakiego p. Dequaire, ponieważ, jak zaręczają paryskie dzienniki, zawiera ona przewodnie idee całej radykalno-masońskiej partii:

Kiedy ostatni zwolennicy upadłych rządów postępują o krok jeden ku rzeczypospolitej, to rzecz naturalna, aby i republikanie posunęli się o krok jeden ku prawdziwej rzeczypospolitej. Kiedy kto żyw we Francji nazywać się zaczyna republikaninem, to rzecz naturalna, że w kraju naszym utworzyć się musi stronnictwo, walczące za prawdziwą rzeczpospolitą, której hasłem, głośno wzniesionem w tym naszym konwencie z 1892 r., jest i będzie jawny i szczerzy antyklerykalizm, świecki, na liberalnych podstawach oparty socjalizm.

W szczególności, do praktycznych punktów przechodząc: szkoła pozostać musi neutralną; państwo nie ma się nadal przyczyniać do subwencyonowania kultów ze swego budżetu. Samo zniesienie budżetu wyznań nie wystarcza jeszcze do przeprowadzenia właściwego rozłączenia Kościoła od państwa; nadto zniknąć muszą wszelkie odznaki religijne z naszych sądów, z naszych dróg publicznych; państwo nie powinno łożyć na utrzymywanie lokalów, przeznaczonych na obrzędy religijne, na utrzymywanie kapelanów równie w liceach, jak na okrętach; nie powinno oddawać swych gmachów, chyba drogą licytacji, na służbę tego lub owego wyznania.

Słowem, laicyzacya rozpoczęta na terenie szkolnym posuwać się musi bez ustanku naprzód, dotykając kolejno wszystkiego, co wchodzi w zakres służby publicznej; w ten jedynie sposób dojdziemy do zupełnej neutralności, poza której granicami rozpościera się wszechwładnie faworytyzm i niesprawiedliwość.

Kilku bardziej naiwnych członków masońskiego zgromadzenia, na pierwszym miejscu posłowie do parlamentu: Lombard

i Ferd. Fauvre, wystąpili, wysuwając naprzód oportunistyczne względy, z pewnemi zarzutami przeciw temu planowi; przeważająca większość zakrzyzczała ich i zmusiła do wystąpienia z „Naczelnej Rady“. Zarzut, że wolnomularstwo na mocy swych ustaw nie powinno zajmować się polityką, przyjęto śmiechem, i istotnie tego rodzaju zabawny anachronizm na śmiech tylko zasługiwał. Przecież, jak stwierdza *le Journal des Débats*, „na dziesięć łóż masonskich, ośm przynajmniej zasługuje w całej pełni na nazwę komitetów wyborczych; wolnomularstwo pędzi wszędzie całą siłą pary na drodze politycznej; dotąd wszyscy o tem wiedzieli, ale sami masoni wstydzieli się przyznawać do rzeczy aż nadto powszechnie znanej; trzeba było raz wreszcie i na ten krok się zdecydować, i obecnie się zdecydowano... W każdym razie uchwały W. Wschodu Francuskiego są groźbą wymierzoną przeciw uspokojeniu umysłów i sumień; ci, którzy je powzięli, nie kryli się zresztą bynajmniej ze swemi zamiarami. Papież woła: Pokój! — im wypadło zawołać: Wojna!“

CHRYZTY CYWILNE. — Niestety! wojna ta, przez lożę nakazana, na całej linii się toczy. Śmierć najohydniejszego może w tym wieku bluźniercy, Renana, posłużyła rządowi za sposobność do całego szeregu manifestacyj skierowanych przeciw Bogu i religii; państwo nie żałowało kosztów na pogrzeb autora „Życia Jezusa“; wojsko, najwyżsi dostojnicy wystąpili urzędowo na tym pogrzebie; stosunkowo najuczciwiej zachował się lud paryski, przypatrujący się z ciekawością, ale bez najmniejszego istotnego udziału teatralnemu temu widowisku. Inną, niemniej wstrętną komedią, wprowadzoną w Paryżu po pogrzebach i małżeństwach cywilnych, są „chrzty cywilne“. Pierwsza taka błazeńska farsa odegrała się w Saint-Denis w obecności około stu osób. Wysłuchały one najprzód bombastycznej przemowy mera, a następnie urzędowego protokołu, który zacytować warto, bo wykazuje nacznie, do jakiego stopnia obłądu doprowadzić może antyrelijna zaciekłość ludzi, uważających siebie i przez innych uważanych za rozumnych, za wykształconych:

Pierwszego *vendémiaire* (23 września) roku 101 Rzeczypospolitej francuskiej, w domu należącym do gminy, przede mną, A. Monneret'em, prezesem stowarzyszenia chrztów cywilnych, stanęli z jednej strony obywatele Lhomme, ojciec i matka dziecka, którzy przedłożyli nam białetyn urodzin dziecka Juliusza Ludwika Lhomme, z drugiej zaś strony stanęli obywatel Henryk Lhomme i obywatelka Emma Morel. Obywatel i obywatelka Lhomme, pragnąc na teraz i na przyszłość uwolnić swe dziecko od opieki kościelnej, a jednocześnie pragnąc mu zapewnić drugą, przybraną rodzinę, na przypadek gdyby zmarli przedtem, nim nowonarodzone dziecko będzie w stanie samo własnym swym potrzebom zapobiegać, polecają je troskliwosci obywateli Henryka Lhomme i Emmy Morel. Wymienieni powyżej obywatele biorą na siebie, w imię ludzkości, moralne, uroczyste zobowiązanie się, że w miarę swych środków opiekować się będą tem dzieckiem w razie gdyby mu rodziców zabrakło, i obiecują wychować je w miłości pracy i wolności; nadto przyrzekają zaszcześcić w niem uczucia braterstwa, aby zrobić zeń dobrego obywatela i dobrego republikanina.

NOWE
OKÓLNIKI.

Nie dość na „cywilnych“ chrztach i pogrzebach, na zlaicyzowanych szkołach i szpitalach; trzeba przeszkodzić i w zarodku zdusić wszelką przeciwną katolicką akcyę. Najbardziej kłuje w oczy zaciętych wrogów religii ciągle zwiększanie się liczby uczniów uczęszczających do szkół wolnych, a odpowiednie topnienie liczby studentów w szkołach publicznych. Wedle urzędowej statystyki, szkoły publiczne utraciły w czterech latach, od 1886 do 1890 r., 99.556 dzieci, natomiast szkoły wolne, utrzymywane przez osoby prywatne i przez różne zgromadzenia kościelne, zyskały 104.214 dzieci. Jak położyć tamę temu prądowi, wydającemu tak niepochlebne świadectwo nowemu, szkolnemu prawodawstwu, a tem samem i prawodawcom? Odpowiedź prosta, choć dziwnie licująca z ciągłemi deklamacjami o idealnej erze wolności dla wszystkich: należy ostrzej i bezwzględniej wykonywać słynne dekreta z 1880 r. przeciw zakonom, rozpędzić ponownie nauczycieli-zakonników — gdy nauczycieli nie stanie, to i szkół nie będzie. Istotnie prefekci rozesłali już okólniki do wszystkich katolickich zakładów wychowawczych, zagrażając całą surowością prawa, jeżeliby w któ-

rym z tych zakładów mieszkało więcej niż trzech zakonników, zwłaszcza Jezuitów.

Nikt chyba — pisze *le Journal des Débats*, zacytowawszy te nowe okólniki — nie posądzi nas o stronnictwo dla Jezuitów; niejednokrotnie walczyliśmy z ich tendencjami, metoda, propagandą, i po dziś dzień nie przestajemy ich uważać za wcieloną sprzeczność z nowoczesnym duchem; ale nie zaliczamy się do tych, którzy sądzą, że wolno im znieść i usunąć wszystko co się im nie podoba, dlatego że się im nie podoba, a braki lub niedostateczność prawa zastępują siłą administracyjną... Jezuita umieją — nie przeczymy tego wcale — zgrabnie brać się do rzeczy, lecz dla czegoż i my nie moglibyśmy złożyć dowodów równej zgrabności? Czy może środków potrzebnych nam brak? Czy uniwersytet, na który tyle łożymy, nie czuje się na siłach do podjęcia walki? Wreszcie, jeżeli dają nam w czem pożyteczne przykłady i lepiej od nas z zadania się wywiązują, któż nam broni naśladować ich, prześcignąć, lepiej od nich robić?... W Jezuitach tyle przynajmniej w każdym razie jest dobrego, że za pośrednictwem rozumnej konkurencji pobudzili nas do niejednego dobrego; prawda, nieszczęściem, że i do niejednego złego, ale w tem już nie w nich winą leży, bo wystarcza sam fakt ich istnienia, aby od czasu do czasu rząd do waryacyi doprowadzić... Zresztą, po co brać na siebie smutne miano prześladowcy, kiedy korzyść z tego mała, lub żadna? Trudno o coś bezpłodniejszego, jak cała historia dekretów z 1880 r. Jeżeli wola, można wrócić do literalnego wykonywania tych dekretów; rezultat z pewnością innym nie będzie, tj. nie będzie żadnego rezultatu. Wprawi się w kłopot, dokuczy kilku osobom; zaniepokoi się kilka sumień, zamąci kilka umysłów; będzie wyglądać, że się ma niemałego stracha, i będzie się robić co można, żeby innym stracha napędzić; a nazajutrz, rzeczy pójdą wczorajszym trybem: w państwowych liceach nie zjawi się ani jeden uczeń więcej, w kongreganistowskich ani jeden mniej. Do czegoż zatem ostatecznie dojdziemy? Do okazania raz jeszcze publicznie i z całą pompą naszej niemocy.

MANIFEST
ZWIAZKU EWAN-
GELICKIEGO.

W zupełnie podobnym tonie i opierając się na podobnych racjach przemówił świeżo za powrotem Jezuitów do Niemiec uczony protestant niemiecki, dr. Maksymilian Oberbreyer, który na seryo biorąc wolność i tolerancję, nie pierwszy już raz kruszy lancę za „niesłusznie spo-

twarzonymi“ banitami. Piękny to przykład, tem piękniejszy, że dziś zwłaszcza, wobec wciąż rosnącej fali niechęci i uprzedzeń protestanckich względem katolików, świadczy o niemałym hartie duszy i na nic się nie oglądającym zamiłowaniu sprawiedliwości. Główna, smutna zasługa w żywieniu tej niechęci przypada w udziale „Ewangelickiemu Związкови“, który z godną lepszej sprawy wytrwałością i energią nie pomija żadnej sposobności, gdy chodzi o podjudzanie i podburzanie przeciw katolikom. Świetny przebieg obrad kongresu mogunckiego w szczególny sposób zirytował „Prezydyum Ewangelickiego Związku, założonego dla obrony niemiecko-protestanckich interesów“ — i jakby dla pokazania, jak dalece różni się taktyka i broń katolików a fanatycznych protestantów, pobudził je do wydania manifestu, dyszącego nienawiścią względem Rzymu, a zatem względem całego katolickiego Kościoła:

Katolicy — czytamy w tym manifestie — cieszą się w Niemczech dla swych przekonań religijnych jak najdalej idącym uznaniem i tolerancją; zapewnia im ją nie tylko prawo, ale i usposobienie protestanckiej ludności. Lecz taki stan rzeczy zadowolnić nie może rzymskich zachcianek. Rzymski Kościół wtedy jedynie mianuje się „wolnym“, kiedy sam panuje; zowie się „prześladowanym i sromotnie pokrzywdzonym“, kiedy państwo ogranicza go w szrankach, których domaga się boskie powołanie samegoż państwa i wzgląd na inaczej wierzących. Ileż państwo tym zachciankom się podda, tyleż pewnym być można, że Kościół katolicki postawi nowe, i znowu nowe, wciąż dalej idące żądania. W ten sposób uwiecznia się niepokój w Niemczech. Pod tarczą religii, posługując się zgrabnie politycznymi stronnictwami, dąży Rzym do urzeczywistnienia swych planów, do zapanowania nad światem, nie troszcząc się wcale, czy nie naraża przez to wewnętrznego pokoju ludów na najgroźniejsze niebezpieczeństwa, na ruinę... Zdawaćby się mogło, że dziś i rzymscy katolicy niemieccy przejrzeć наконец powinni i przekonać się, do jakich celów dąży, jak nieczystymi środkami posługuje się ultramontańska, równie państwowa, jak kościelna polityka; że przerazić się winni, patrząc na niegodne więzy, co więcej, na kajdany, nałożone sumieniom przez panującą dziś wszechwładnie w ich Kościele jezuicką partję... Dla nas ewangelików są mogunckie wypadki napomnieniem i zachętą, abyśmy bardziej jeszcze stanowczo niż dotąd stali przy

słowie Bożem, z którego Kościół nasz się zrodził. Wiara w niewidzialnego króla i pośrednika Chrystusa, który nie szuka ziemskich korzyści i nie pokłada nadziei w świeckich środkach: oto jedyny nasz, lecz zwycięski oręż w walce przeciw wszelkim rzymskim zaczepkom. Ta wiara jest zwycięstwem pokonywającym świat, choćby świat ten ukrywał się pod postacią ześwieczzonego Kościoła.

Prawdziwie, niemało należało mieć odwagi do wystąpienia z tego rodzaju deklamacją, gdy wie się i widzi — a niepodobna chyba przypuścić, aby „Związek Ewangelicki“ nie wiedział i nie widział — jaki rozkładowy proces odbywa się obecnie w łonie protestantyzmu, jakie w nim prądy nurtują i zyskują przewagę. Dziś liczna już dosyć szkoła występuje otwarcie za usunięciem symbolu apostołskiego, jako nie dającego się pogodzić z najnowszymi wynikami wiedzy. Protestancy teolodzy na Uniwersytecie Berlińskim wysłali ze swego grona osobną deputację do profesora Harnacka, upraszając go o użycie swego wpływu w tym kierunku i projektując zorganizowanie między studentami różnych uniwersytetów olbrzymiej petycji do Najwyższej Rady Ewangelickiej, w której domagaliby się urzędowego wykreślenia „Składu Apostołskiego“ z rzędu liturgicznych modlitw. Profesor Harnack odradził deputacji zrobienia tego kroku, jako nie mającego na razie widoków powodzenia. „To wszakże, dodał, nie powinno was bynajmniej odwieść od bliższego i głębszego badania treści i wartości symbolu apostołskiego, aby go następnie, gdy nadejdą pomyślniejsze okoliczności, albo zupełnie usunąć z nabożeństw liturgicznych, albo też zostawić każdej gminie wolność, jak się ma w tej sprawie zachować, lub wreszcie aby go zastąpić bardziej do dzisiejszych czasów zastosowanym formularzem wiary ewangelickiej“.

WYZNANIA
STOECKERA.

Trudno o brutalniejsze wyznanie zupełnej niewiary; a co najsmutniejsza, wyznanie to nie jest wcale odosobnionym faktem, ale tylko bardziej w oczy bijącym symptodem między coraz szerszymi warstwami szerzących się przekonań. Słynny kaznodzieja dworski Stoecker przyznaje to i wiele jeszcze innych ciemnych stron dzisiejszego protestantyzmu w re-

dagowanej przez siebie *Deutsche Evangelische Kirchenzeitung*, w artykule ogłoszonym właśnie z powodu protestu „Ewangelickiego Związku“ przeciw uchwałom kongresu mogunckiego. Odpowiadając na pytanie, skąd pochodzi przewaga Rzymu w krajach niemieckich, pisze bez ogródek:

Choć protestantami jesteśmy, uznać nam należy to, co jest dobrego w Kościele rzymskim, a zwalczać co jest złego w protestantyzmie. Rzym jest wolny, my związani; Rzym jednością silny, my rozproszeni; Rzym ma karność i naukową i kościelną, my o jakiejś karności nie wiemy. Rzymowi pochlebiają i czezą go; nami gardzą i nikt nas nie kocha. Bo Rzym usiłuje chrześcijaństwo wprowadzić, przeniknąć niem życie publiczne; my, z małemi wyjątkami, stawiamy ewangelię jak najdalej od spraw politycznych i społecznych, i sądzimy, że zbawienie Kościoła leży w niemieszaniu się religii do polityki, podczas gdy mieszanie się polityki w sprawy kościelne leży na porządku dziennym. Jak i przez co Kościół ewangelicki może wpływ pozyskać? Czy wyłącznie przez zwalczanie Rzymu? Z pewnością nie; tem bardziej, jeśli za sojusznika dostaćby miał protestancki liberalizm, który może nas tylko skompromitować. W chwili walki — okazało się to przy wniosku o reformie szkół ludowych — mamy najsroźszego wroga we własnym obozie. Tu ma „Związek Ewangelicki“ przed sobą istotnie wielkie zadanie. Niechże postara się o przekonanie protestanckich liberałów, że stanowisko, jakie zajęli odnośnie do różnych wyznań, równa się samobójczemu obłądowi. Dopóki własne dzieci reformacyi będą reformacyę zwalczać, nie może Kościół ewangelicki spodziewać się ani wpływu wśród ludu, ani zwycięstwa nad nieprzyjaciółmi reformacyi. Rzym w ten sposób najwięcej zyskuje, a potęgę jego nie doznaje uszczerbku.

Na obradującym w Genui w pierwszej połowie października, dziesiątym kongresie katolików włoskich, wystąpił ks. Mikołaj Franco, kapłan greckiego obrządku, z długą mową, o niejednokrotnie już na francuskich i belgijskich kongresach poruszanej przez siebie sprawie zjednoczenia Kościoła wschodniego z zachodnim. Ks. Franco usiłował przedewszystkiem wykazać, że między obu kościołami nie leży bynajmniej zbyt głęboka przepaść dogmatyczna, i że jeżeli głę-

KS. FRANCO
O UNII KOŚCIOŁA
WSCHODNIEGO
Z ZACHODNIM.

boką się wydaje, to wyłącznie dzięki nieustannym usiłowaniom schyzmatyków teologów; następnie udowadniał, że sameż te usiłowania płyną zazwyczaj raczej z politycznych niż religijnych źródeł. Któż najlepiej, z największą nadzieją pomyślnego skutku mógłby z jednej strony usiłowania te zwalczyć; z drugiej istniejącą przepaść zapełnić, i wystawić most łączący Wschód z Zachodem? Nie kto inny, tylko — zawsze oczywiście zdaniem księdza Franco — katolickie Włochy, które mając u siebie kler i ludność obu obrządków, stojąc niejako na granicy między wschodnim a zachodnim światem, najlepiej sprostać są w stanie wielkiemu, choć trudnemu zadaniu. Jak sobie mowca praktycznie i w szczegółach wyobraża tę włosko-katolicką akcję? Głuche o tem milczenie; prawda też, że praktyczny taki plan niełatwym był do nakreślenia. W każdym razie i teoretyczne zwracanie uwagi na kwestyę tak niezmiernej doniosłości nie jest bez znaczenia i pożytku; najprzód grunt trzeba obrobić, później dopiero myśleć o siejbie, a gdy Bóg pobłogosławi, o żniwie.

PORTUGALSKIE
CENTRUM.

W Portugalii zaczynają katolicy krzątać się koło utworzenia wyraźnie i dobitnie katolickiego stronnictwa politycznego na wzór niemieckiego Centrum. Inicytywa w tej mierze wyszła z Koimbry, a sądząc po dotychczasowych głosach prasy portugalskiej, liczyć może na istotne powodzenie. „Pójdziemy bez wahania — zaręcza koimbryjski wpływowy organ *A Ordem* — i bez najmniejszej obawy za tworzącym się dziś Centrem, bo nie chodzi tu o stronnictwo, o interesa polityczne, ale o wybór szczerze katolickich deputowanych, którzy broniliby w parlamencie religii i ojczyzny, nie dając się pokierować na fałszywe tory, mniejsza o to, jakiego gatunku i rodzaju, uprzedzeniami politycznymi. Wszak niema dziś nikogo, ktoby nie przyznał, że dla katolików jest koniecznem zająć czynne stanowisko w polityce swego kraju, aby zapewnić chrześcijański charakter jego instytucyom, prawodawstwu i administracyi. W dniu, w którym otwarcie wystąpimy do walki za naszą sprawę, za sprawę religii i ojczyzny, w tym dniu odniesiemy tem samem zwycięstwo, bo kraj nasz jest katolickim, bo

postradał wszelką wiarę w istniejące dziś i ucierające się pomiędzy sobą stronnictwa. Bóg pobłogosławi naszym usiłowaniom, jak pobłogosławił pracom katolików niemieckich i belgijskich“.

Ks. Jan Badeni.

Lord-Major Londynu, katolik.

Niedawno miał miejsce w stolicy Anglii wypadek, który poruszył nie tylko opinię w całej W. Brytanii, ale, powiedzieć można w całym świecie, a na przyszłość nader ważne mieć może i z pewnością mieć będzie następstwa; wypadkiem tym wybór katolika na londyńskiego Lorda-Majora. Od trzech z górą wieków dostojenstwo to, najwyższe w Londynie, dzierżyli stale protestanci; a kto przed niewiele jeszcze laty postawiłby śmiało kandydaturę katolika, naraziłby się tylko tem samem na śmiech i szyderstwo. Obecnie, gdy w lipcu b. r. zbliżał się dzień wyboru, oczekiwano go z tem większą niecierpliwością i ciekawością, że najpoważniejszym kandydatem był katolik, Jakub Stuart-Knill, którego zasługom i zdolnościom nikt pierwszeństwa nie mógł odmówić. Protestanci, z tej wróżby niezadowoleni, zażądali od Dawida Evansa, dotychczasowego Lorda-Majora, żeby od domniemanego następcy swojego dostał odpowiedź na dwa pytania:

1) Jeżeli pan będziesz wybranym na Lorda-Majora, czy będziesz utrzymywał kapelana z kościoła rządowego dla siebie, zgodnie ze starożytnym zwyczajem?

2) Czy będziesz słuchał nabożeństw i kazań w kościołach, zatwierdzonych przez rząd, w dniach tradycją uświęconych?

W listownej odpowiedzi na te pytania p. Stuart-Knill oddał słuszne pochwały londyńskiej radzie miejskiej za to, że według odwiecznego zwyczaju, z Lordem-Majorem na czele występuje na uroczystych nabożeństwach. Uważa ten zwyczaj za rękojmię błogosławieństwa Bożego na przyszłość i trwałą obronę stanowiska, które zajmuje Londyn. Dalej podnosi stanowisko samego Lorda-Majora, od którego wymaga, żeby był w swoim rodzaju rycerzem *sans peur et reproche*. Stąd wnosi, że tak katolik, jak innowierca, jeżeli ma godnie piastować szacowny urząd Lorda-Majora, powinien strzedz bogobojnych zwyczajów przedstawicieli miasta, a jeżeli sam nie może wypełnić którego z obowiązków swojego urzędu, powinien zachować ustawę ceremoniału, który temu

dostojnikowi w takim razie przypisuje wyznaczać zastępcę. Taki wypadek zachodzi, kiedy Lord-Major nie należy do wyznania, w którego kościele odprawia Rada miejska uroczyste nabożeństwo. Jeżeli tysiące katolików, np. słudzy, guwernantki, rzucają obowiązki i posady dobrze płatne, żeby nie uczęszczać do zborów z rodzinami, od których zależą: na jakąż naganę zasłużyłby Lord-Major, gdyby bał się odmówić udziału w nabożeństwie, odprawianem w kościele wyznania obcego? Jeżeli między poprzednimi Lordami-Majorami bywali wyznawcy innych sekt, niż *High Church*, a mimo to do zborów tego wyznania uczęszczali na nabożeństwo, w takim razie nie chce p. St.-Kn. twierdzić, że takie ich ustępstwo dla odwiecznego zwyczaju nie mogło być postępkem szczerym i prawym u różnych wyznawców sekt anglikańskiego protestantyzmu, ale sam na to jedno kładzie nacisk, że to ustępstwo u katolika musi być dwulicową obłudą; dlatego oświadcza, że ani nie zamierza osobiście uczęszczać na nabożeństwa do zborów episkopalnych, tylko wysyłać tam będzie w swoim imieniu zastępcę, ani osobiście nie przyjmie posługi pastora anglikańskiego, chociaż dla potrzeb członków rady tego wyznania gotów utrzymywać ich pastora, ale z własnego majątku opłaci posadę kapelana katolickiego dla siebie.

Nadszedł dzień wyboru. Gęste tłumy zapełniły ratusz. Oklaski i świsty wtórowały woźnemu, kiedy ten w rzędzie kandydatów na Lorda-Majora wymienił nazwisko katolika. Jeden z obecnych wywołał niezwyklego kandydata na środek: niezadowolniony jego pisemną, chociaż stanowczą odpowiedzią na pytania p. Evansa, zażądał ustnej odpowiedzi. Zapytany wyszedł na środek; oklaski katolików zatrzęsły salą. Piskiem i świstem witany przez przeciwników, powtórzył każde pytanie, na które katolicy zawczasu odpowiadali okrzykiem: *No!*; dał na każde tę samą krótką odpowiedź: *No!* i węzłowato wyluszczył, że daje odpowiedź odmowną, jako katolik. Przewodniczący z biedą utrzymywał podczas jego mowy porządek w sali, pełnej wrzawy, pochwalnych wykrzykników, pogróżek, głosów pojedynczych: „Słuchajcie! Oho! Dzielna odpowiedź! Precz z papieżnictwem!” Wyborcy przeszli do innej sali i po półgodzinnej naradzie ogłosili prawnie wybranym Lordem-Majorem Jakuba Stuarta-Knilla. Ten podziękował mową, której już nikt nie rozumiał: wszystkich ogłuszał zgiełk, jaki bez przerwy panował.

Wrzawę powtórzyły dzienniki; ale najpoważniejsze, chociaż protestanckie, wyrażają gorące pochwały dla jawnego wyznawcy Wiary Powszechnej. Jego odpowiedź nazywa *Times* męską i dzielną, i ostrzega

Londyńczyków, żeby nie stawiali oporu temu wyborowi, bo inaczej na najwyższy urząd u siebie będą musieli wysadzić kontrkandydata Żyda, byle nie mieć katolika. W każdym razie — mówi *Times* — nie mieliby Lordem-Majorem swojego współwyznawcy ci dziwaczni szermierze protestantyzmu, którym wystarcza, jeżeli innowierca obiecuje na zewnątrz postępować, jakby należał do episkopalnego wyznania. Za czasów Shylocka Żyd gotów był kuńczyć z chrześcijanami, rozmawiać z nimi, przestawać z nimi, *and so following*, ale nie myślał z nimi ani jeść, pić, ani modlić się. Dziś jest gotów do większych ustępstw, i niektórzy chrześcijanie w Londynie zdaje się, że wierzą, iż sprawa wiary na tem zyskała. Winszować można starozakonnym, że zasłużyli na taki szacunek w Londynie, ale nie można poczytywać nikomu za wielką zasługę, jeżeli uczęszcza na nabożeństwa obcego wyznania. — Niemniej stanowczo wyraża swój pogląd *The Daily Telegraph*, przyznając, że p. Knill musiał urósć w oczach wszystkich ludzi sumiennych, odkąd zajął otwarcie stanowisko katolickie. Kilkadziesiąt lat temu możnaby jeszcze rozumieć ostry spór w podobnym wypadku, ale dziś takiego rodzaju waśń musi prawdopodobnie przynajmniej zadziwiać. Cały nasz postęp w życiu społecznem tchnie duchem zgody. Fanatyzm, który nie cierpi przeciwnego zdania ani w zakresie naukowym ani w dziedzinie przekonań religijnych, należał dawniej do naszego systemu; doświadczyliśmy, iż hojnie obdarzał nas obłudnikami, a nawet tamował rozwój państwowy. Ciekawi jesteśmy, czy pod koniec XIX. wieku obywatelskie stanowisko p. Knilla ma cierpieć na tem, że wiernie spełnia obowiązki swojego sumienia. — *The Pall Mall Gazette* dodaje z przekąsem uwagę, że według utartego przysłowia, typowego anglikanina trzeba szukać w Lordzie-Majorze Londynu, a ustępujący Lord-Major potwierdził prawdę tego przysłowia, kiedy chciał, żeby jego następca zachował zwyczaje protestanckie, choćby został katolikiem w duszy: religijną gorliwość anglikanina zadowolni całkiem katolik, który zajmie dwulicowe stanowisko, byle nie naruszyć pozorów. Czyż rozsądny cudzoziemiec nie dostrzeże w tem dowodu, że istotnie episkopalne wyznanie stanowi tylko powierzchowną formę i togę nietykalnej powagi (*a dook of respectability*), i że słusznie jakiś dowcipniś nazwał modlitwę anglikanina najohydniejszą rzeczą pod słońcem? — Dalej idzie *The St. James Gazette*, i nazywa brakiem rozumu pytania, któremi ustępujący Lord-Major zmusił p. Knilla do tego, żeby otwarcie wyznał zasady czysto katolickie. Odpowiedź tego ostatniego zawiera uczciwą i prawą odmowę obłudy, zażądaną bezrozumnie. — Nakoniec *The Daily*

Chronicle mówi: „Nie rościmy sobie prawa do bliższej znajomości z tajemniczą etykietą, jaka osłania święty urząd prezydenta Londynu, ale przy świetle, które posiada nasz rozum, nazywamy pytania, zadane p. Knillovi, prostem grubiaństwem. Kto nie może być prezydentem, nie powinien zasiadać do rady miejskiej w Londynie, a na ratuszu trzeba wywiesić napis: *No Popery*. Swoją odpowiedzią dowiódł p. Knill, że godnie wypełni obowiązki swojego urzędu. Z naszej strony spodziewamy się, że p. Knill znajdzie sposobną chwilę, żeby do jednego obiadu zaprosić arcybiskupa z Westminsteru i anglikańskich biskupów“.

Tak — przyznać trzeba, że nie tylko charakterystycznie, ale rozumnie i uczciwie — dzienniki protestanckie wyrażają swój pogląd na burzę, wywołaną przeciwko jawnemu i odważnemu wyznawcy swej wiary.

W kraju Mashona.

Wyprawa do afrykańskich pól złotych.

Gdy mocno przesadzone, temci bardziej kuszące wieści z południowo-afrykańskich pól złotych doszły do Kalifornii, wielu ludzi awanturniczych postanowiło szczęścia tam szukać i puściło się w niebezpieczną i długą podróż do Afryki po złote runo. Pomiędzy nimi znajdował się także młody inżynier, który przez pewien czas zajmował posadę rysownika w jednej z hut żelaznych w San Francisco. W r. 1889 udał się do południowej Afryki, a na dniu 12 stycznia b. r. wysłał list do brata inżyniera, przebywającego tutaj w San Francisco, opisując mu swą do złotych krajów przeprawę. Z listu tego dowiadujemy się o okropnych trudach, na jakie był narażony, o śmierci wielu z jego współtowarzyszy i o niegodziwym klimacie Mashonalandu. Z opisu jego widać, że podróż morską ze San Francisco do przylądka Dobrej Nadziei, pomimo tak znacznej odległości, jest przyjemną wycieczką tylko, w porównaniu z drogą lądową, jaką następnie odbyć trzeba do złotych raf w Matabelelandzie i w Mashonalandzie. Tuż przed wyruszeniem wyprawy do złotych pól inżynier wysłał krótką o tem do brata wiadomość. List ten, opatrzony stemplem pocztowym z Johannesburgu w republice południowo-afrykańskiej Transvaalu, nosił na sobie datę 16 listopada 1890 r. W liście tym powiada: „Zrezygnowałem z miejscy rezydenta-inżyniera, aby udać się z wyprawą w głąb kraju. Wyprawa nasza wyruszy niebawem.“

„Nie było naszym zamiarem wyruszyć stąd przed styczniem, ale po odebraniu dobrych wiadomości od naszych prospektorów postanowiliśmy nie zwlekać już dłużej i wyruszyć natychmiast, choć pora deszczowa nadchodzi. Celem naszej wyprawy jest kraina Barotse, na północ od rzeki Zambezy położona, a około 1200 angielskich mil od Johannesburgu oddległa. Podróż zajmie nam około trzy miesiące czasu. Trzydzieści osłów jucznych dźwigać będzie przybory potrzebne do drogi, jak: żywność, artykuły handlowe, tak potrzebne w każdym zetknięciu się z krajowcami, np.: perkal, perły szklane, drut i t. p., następnie narzędzia górnicze, jak: kilofy, motyki, piły, siekiery, świdy górnicze, proch i kule. Mamy także konia wierzchowego ze sobą, ale ten długo nam służyć pewnie nie będzie. Uzbrojenie nasze składa się z trzech karabinów, trzech rewolwerów i jednej strzelby. Osły kosztują nas sztuka w sztukę po 25 dolarów, a amunicja 500“.

Drugi list, datowany z fortu Salisbury z terytorium Mashonalandu w południowej Afryce z dnia 12 stycznia b. r., przybył z początkiem maja do San Francisco. Różnicę między nadziejami młodego tego inżyniera a okrutną rzeczywistością najlepiej odmaluje Wam jego własne opowiadanie, podajemy tedy dosłownie wyjątek z jego listu:

„Puściłem się w drogę z Johannesburgu do Mashonalandu na dniu 29 listopada 1890 r. Wyprawa nasza składała się z czterech mężczyzn, a mianowicie z inżyniera C. W. S—, mającego za sobą sześć lat doświadczenia w kopalniach południowo-afrykańskich, z dwóch Irlandczyków, z tych jeden nazwiskiem Gaynor, bardzo porządny i przyzwyczajony człowiek, drugi zaś nazwiskiem O'Flynn, nieszczególny, i ze mnie. Rzeczy nasze dźwigało 40 osłów, każdy po 100 funtów, a żywność, którą zabraliśmy z sobą, starczyć nam miała wedle naszego obliczenia na 18 miesięcy. Mieliliśmy także z sobą konia wierzchowego i dwóch negrów. Koń padł nam na 500 mil od Johannesburgu, w miejscowości Tuli zwanej, i to w dzień po sprzedaniu go pewnemu oficerowi, zanim jednak tenże objął go w posiadanie. Niema lekarstwa na tę chorobę końską i zaledwie jeden na sto ją przetrzymuje, ale wtedy wielką wartość reprezentuje i solonym *salted* się nazywa. O osłach panuje powszechne mniemanie, iż tej chorobie nie podlegają, co nie jest prawdą, gdyż straciliśmy jednego wskutek niej. Woły zapadają na choroby płucne. Sądzę, że dodawać tu nie potrzebuję, iż Afryka nie byłaby Afryką, gdyby tu nie było pełno febr i dysenteryj.

„Podróż, podjęta przez nas w niewłaściwej porze roku, była tak straszliwą, że niepodobna opisać jej okropności; ale każdy myślał tylko

o tem, aby jak najprędzej dostać się do Nowego Eldorado. Wielu, jak my, wybrało się pieszo z osłami jucznymi lub z wozami ciągnionymi przez woły. Często w drodze napotykalismy na wozy opuszczone i na szkielety lub świeże ściierwa bydła, które wyzdychało. Lecz straszliwsze wrażenie sprawiała wielka ilość ludzi, która zginęła marnie w tej wyprawie po złote runo. Co kilka mil napotykalismy na świeże groby, świeże mogiły. Mówilem tu z ludźmi, którzy objechali świat cały i zaprawieni byli do trudów podróży, i wszyscy zgodzili się na to, że wyprawa ta, podjęta w deszczowej porze roku, była najgorszą, w jakiej kiedykolwiek w życiu udział brali. Z blizkich moich znajomych nie mniej jak dwunastu zmarło w tej drodze. Jam tu, to prawda, ale siwizna na mej głowie dowodem tego, com przeszedł i com przecierpiał.

„Przecięciowo posuwaliśmy się 15 mil naprzód na dobę, kiedy było podobna iść naprzód, ale często wypadało obozować całemi dniami i tygodniami nad brzegami wezbranych rzek i strumieni, i czekać aż wody opadną. Pożywienie nasze w czasie drogi 500-milowej stanowiła *poois*, tj. polewka z kukurydzianej mąki, chleb i kawa; trzy razy na dzień jedliśmy te same potrawy, nie oglądając masła ani mięsa. W czasie tej pierwszej części podróży naszej przebyliśmy następujące rzeki: Elaud, Crocodile albo Limpopo, Marico, Notwane, Sirorume, Lot-sau, Machloposi, Seruli, Maclousti, a niedaleko fortu Tuli przekroczyliśmy rzekę Schaschi. Niektóre z tych rzek gwałtowny prąd mają. Rzeczy nasze przeprawialiśmy kilka razy przez wodę na tratwach, ale nieraz trzeba nam było wodę wpław przebywać i dźwigać zapasy na głowach naszych. Rzeka Schaschi jest około 500 jardów szeroka, bardzo głęboka i bardzo rwąca; dwanaście razy musieliśmy się przez nią przeprawiać, zanim osły nasze z zapasami stanęły na drugim jej brzegu.

„Nad rzeką Marico spotkaliśmy wyprawę z dziesięciu ludzi złożoną. Tu jeden z nich zawrócił napowrót do Johannesburgu, czterech umarło, a czterech życie uniosło, ale z tych dwóch zdrowie sobie trudami podróży zrujnowawszy, musiało następnie do Johannesburgu powrócić. W Tuli, O'Flynn i Gaynor opuścili nas. S— i ja postanowiliśmy zatrzymać się tu dni kilka, aby ponaprawiać to, co się było zepsuło w czasie drogi. Podczas tego zajęcia obaj Kafrowie zbiegli nam. Dotąd podróż nasza, choć twarda, znośną była jeszcze w porównaniu z tem, co nas czekało. Po dwudniowym pobycie w Tuli, S— zachorował na febrę. Bardzo był słaby i prawie cały czas w malignie. Pielęgnowałem go dzień i noc, doglądałem osłów i strzelałem ptaki, aby mieć dla chorego towarzysza świeże mięso. Nie wytrzymałem je-

dnak długo, bo i mnie choroba wnet z nóg zwała. Dostałem febrę, przeziębwszy się w nocy. Obaj bylibyśmy marnie tu zginęli, gdyby nie opieka i pomoc dwóch kolonistów, nazwiskiem Morris, którzy nad rzeką się zatrzymali, czekając, aż jej wody opadną. Leżeliśmy obozem naprzeciwko fortu Tuli. Gdy febra mnie opuściła, pomagałem Morrisom przepędzić woły ich na drugą stronę rzeki, która tymczasem była znacznie opadła. Trzeba było rzekę wpław przebywać. Trzymając się wołu za ogon, przepędzaliśmy go na drugą stronę rzeki, ale z powrotem płynąć musieliśmy bez żadnej pomocy i z następnym wołem podobnie postępować.

„W czasie jednej przeprawy przez rzekę miałem rzeczy na głowie, a w jednej kieszeni ubrania list z pieniędzmi dla S—, który dlań odebrałem na poczcie w Tuli. Osłabionego przez febrę, woda mię uniosła. Dwa razy zniknąłem pod powierzchnią wody i byłbym niewątpliwie utonął, gdyby nie pomoc jednego z Morrisów, który widząc mnie w niebezpieczeństwie, do wody się rzucił i tonącego wyratował. Dzieśięć tygodni obozowaliśmy nad rzeką Schaschi, a wyruszywszy, znowu musieliśmy następnie przeprować się przez Umzengwani, Buli, Manetsi, Secudi, Totlive, Umfuli i Hunyani.

„Do fortu Salisbury przybyliśmy dnia 16 czerwca 1891 roku, w siedm miesięcy po wyruszeniu z Johannesburgu, ale w jakimże stanie opłakany! S—, który leżał cały czas w gorączce na wozie, musiał pójść wprost do szpitala wojskowego, gdzie przepędził pięć tygodni, chorując na febrę i dysenterję. I ja nabawiłem się tych samych chorób; przez sześć tygodni łóżka nie opuszczałem, a doktor powiedział mi, że jestem przepełniony malaryą.

„Gdyśmy przyszli nieco do zdrowia, wyruszyliśmy wraz z dwoma Amerykanami dnia 19 sierpnia na „prospektowanie“. Mieliśmy razem dziewięć osłów z pakunkami ze sobą. Puściliśmy się w południowo-zachodnim kierunku do gór Hartley, na 80 mil odległych, a następnie zwróciliśmy się w dół rzeki Umfuli na też samą odległość, „prospektując“ czas cały, i tam na ośm mil od rzeki Umfuli wytknęliśmy dla siebie kilka klemów górniczych. Zdaje się, że pierwszymi byliśmy prospektorami w tych stronach i spodziewam się, że klemy nasze fortunę nam przyniosą. Tak żyły kwarcowe, jakoteż i górotwory, w których występują, dobrze są rozwinięte. Górotwory, w których rały kwarcowe się znachodzą, z łupków się składają. Napotykalśmy na stare zroby górnicze, ślady przemysłu górniczego prawdopodobnie po dawnych Fenicyanach albo Persach. Napotykalśmy też często na ruiny budowli, wzniesionych ongi przez te ludy. Żyły kwarcowe złotodajne odbudo-

wywano tu „na odkrywkę” w rodzaju kamieniołomów, nie zapuszczając się nigdy głębiej nad 20 stóp. Wcięcia te w żyłach kwarcowych wypełnione są po części ziemią i złomami skał; w niektórych miejscach wyrosły w nich wielkie drzewa. Śmietankę sprzątnęli dawni ci górnicy, co nas tu przed wiekami wyprzedzili, ale dosyć jeszcze złota pozostało w większej głębokości, które nietrudno będzie wydobyć z pomocą nowoczesnych przyrządów i metod. Zdaje się, że starzy do robót górniczych używali tu niewolników; gdzieniegdzie napotykalismy na płytkie szyby, w których po wydobyciu ziemi znachodziliśmy węgiel drzewny. Węgla używano do kalcynowania (kruszenia za pomocą ognia) twardego kwarcu żył, który następnie wodą polany pękał i kruszył się. Sposób ten używania ognia do łamania i kruszenia skał zastępował u starych miejsce dzisiejszej roboty świdrowo-strzelanej. W pobliżu starych zrobów napotkać zawsze można na bryły i odłamki kwarcu, który sproszkowany i następnie płukany wodą, ślady złota rodzimego w takiej pokazuje ilości, że je i gołem okiem doskonale widzieć można. Napotykalismy też na setki ton kwarcu, wydobyte z raf kwarcowych, a następnie, jak się zdaje, nagłe opuszczone.

„W miejsce stalowych moździerzy i stęp do kruszenia kwarcu starzy ci górnicy używali moździerzy kamiennych. Kamienie te w środku wydrążone, miały średnicy 12—18 cali. W środku ich albo w pobliżu znachodziliśmy tłuczki kamienne. Widziałem okazy niezmiernie bogatego kwarcu, nawskróś złotem przerosłego, a bogata kompania *Erskine-Gouley* jest w posiadaniu sąsiadujących z nami klemów. W głębokości 30 stóp chodnikiem poprzecznym przecięli żyłę i napotkali na kruszec, który tylko z trudnością kruszyć się daje, tyle w nim złota rodzimego w postaci małych nugatów.

„Każdy tu przybywający uzyskać może za opłatą szylinga pozwolenie do „prospektowania”. Pozwolenie takie upoważnia do objęcia w posiadanie dziesięciu klemów kwarcowych, z których każdy na 150 stóp długi i 400 szeroki, w długości swej pokrywać powinien wychodnię żyły; klem taki zabezpiecza odbudowę żyły aż do nieskończonej głębokości. Oprócz tego pozwolenie do „prospektowania” upoważnia do zajęcia jednego klemu „placerowego” czyli napływowego (składającego się ze zwirów złotodajnych), powierzchni 22.500 stóp kwadratowych. W dni dziesięć od chwili zajęcia klemu trzeba zarejestrować prawo posiadania w biurze komisarza górniczego odnośnego obwodu, a w przeciągu czterech miesięcy winno się zbadać rafę kwarcową aż do głębokości 30 stóp, za pomocą szybu pochyłego w żyłę samej, albo też za

pomocą szybu pionowego, wydrążonego obok żyły, z którego dna w głębokości 30 stóp należy przeciąć żyłę za pomocą chodnika poprzecznego. Po dokonaniu tej prawem przepisanej pracy, następują ze strony komisaryatu oględziny górnicze i wydanie świadectwa z dokonanych oględzin. Każdy mężczyzna przybywający do tego kraju podpisać musi deklarację, że w razie potrzeby bronić go będzie. W ten to sposób każdy od razu zostaje *bürgerem*. Niedawno temu sformowano tu pułk ochotników, do którego należę. Uzbrojenie nasze składa się z karabina repe-tyerowego, z rewolweru i pałasza.

„Życie tu bardzo drogie; ale gdy kolej nadbrzeżna wybudowana zostanie, żyć tu będziemy tak tanio, jak w Cape Town. Mr. Van Lann z Londynu podjął się budowy linii kolejowej z Mapandas, portu nad rzeką Pungine, do fortu Salisbury. Począwszy od Mapandas, rzeka spławna się staje aż do morza, a w Beira, mieście portowem na wschodnim wybrzeżu w portugalskich posiadłościach, przystań jest wyborna. Regularnie teraz parowce zawijają do Bairy i do Cape Town. Wszyscy tu spodziewają się świetnych czasów, skoro pora sucha nadejdzie. Nie podlega to najmniejszej wątpliwości, że kraina ta jest w złoto bogatą i że pola złote bardzo są rozległe. Co najmniej znajduje się tu ośm wielkich pól złotodajnych, a drzewa, wody i rąk do pracy jest pod dostatkiem. Wielu tu ludzi siedzi bez pracy, czekając aż pora deszczowa minie. Ja znalazłem pracę i jutro ją rozpoczynam. Szczęśliwym się nazwać mogę, że ją znalazłem; pobierać będę miesięcznie 8 funtów szterlingów (40 dolarów); niewiele to, co prawda, ale gdy sposobności do zarobku niema wcale obecnie, dobrze, że i tę robotę znalazłem.

„Towarzysz mój S—, który poprzednio był dyrektorem kopalni w Johannesburgu z pensją roczną 6000 dolarów, jest obecnie pomocnikiem przewoźnika na promie nad rzeką Hunyani; ale tu każdy jakiegokolwiek bądź pracy się ima, byle na życie zarobić“.

W załączeniu do listu inżyniera znajdował się numer *Heralda Mashonańdzkiego* i *Times'u Zambezańskiego*. Gazety te ręką pisane, odbijane były następnie za pomocą mimeografu i zawierają w sobie krom drobnych ogłoszeń wiadomości miejscowe, przeważnie treści górniczej.

Modest Maryański.

Korespondencya Redakcyi.

Odnośnie do artykułu: **Po sprawie Medveya**, umieszczonego w poprzednim numerze, otrzymujemy następujące pismo:

Przewielebny Księżę Redaktorze!

Na podstawie § 19 ust. z 17 grudnia 1862 nr. 6 Dz. u. p. z r. 1863 mam zaszczyt prosić o zamieszczenie w listopadowym zeszycie *Przeglądu Powszechnego* następującego sprostowania:

W zeszycie 10 *Przeglądu Powszechnego*, tom XXXVI., nr. 106 w artykule pod tyt.: „W sprawie Medveya“, omawia autor moją obronę w procesie Dr. Medveya przed sądem przysięgłych we Lwowie wygłoszoną, przy czem cytuję zdanie, przeze mnie w owym procesie rzekomo wypowiedziane, mylnie i niezgodnie z rzeczywistością, co się zapewne mylną informacją, z pism codziennych czerpaną, da wytłumaczyć.

Mianowicie twierdzi szan. autor, iż miałem powiedzieć: „że dawniej kobieta w niższych klasach była bydlęciem, w wyższych aniołem, dziś jest kobietą (!!)“ — a dalej: „historia mówi o człowieku, który był, polityka o człowieku, który jest — a moralność (!) o człowieku, który będzie“.

Mam zaszczyt sprostować niniejszem, iż powiedziałem: „dawniej kobieta w niższych klasach była bydlęciem, w wyższych aniołem, dziś jest człowiekiem, za czyny swoje w zupełności odpowiedzialnym, a przeto nie można jej już, jakby rzecz martwą lub stworzenie bezrozumne, nawet z jej wolą — uprowadzać.

Powiedziałem dalej:

„Historia opisuje człowieka, jakim był, polityka mówi o człowieku, który jest — a etyka przedstawia nam ideał człowieka, którego dotąd na świecie nie było, którego też jeszcze nie ma, ale którego można dopiero ukształtować, jeżeli Kościół i szkoła spełnią w tej mierze swoje wysokie cywilizacyjne posłannictwo. Nie sądźcie jednak — Panowie — Medveya miarą przyszłości i t. d.“

Jakkolwiek to ściśle do sprostowania, mierząc rzecz §§ ustawy prasowej, nie należy, to sądzę jednak, iż Przewielebny Książę Redaktor, którego znakomitą wiedzę i doświadczenie zawsze wysoko cenić się nauczyłem, — zmieni może nieco zdanie swoje o tej mojej obronie, która ma być tak bardzo niemoralną, jeżeli zaznaczę, iż źródła tragedyi procesowej szukałem w wychowaniu pani Brodzkiej, której charakterystykę w słowach: „kobieta bez dogmatu“ — zamknąłem.

Racz Przewielebny Książę Redaktor przyjąć wyrazy wysokiego poważania.

Dr. Michał Grek.

Niezależnie od paragrafów uważamy za obowiązek umieścić w całości to sprostowanie, które w rzeczy samej zbliża się cokolwiek do pojęć etycznych, jakich nasze pismo broni. Cytowaliśmy podług tekstu mowy, podanego przez *Przegląd* lwowski z 11 września, sądząc, że ten tekst jest dosłowny, ponieważ podany był od początku do końca *oratione directa*.

Redakcyja.

ZŁE MIŁOSIERDZIE.

Pod hasłem dobroczynności stało się świadectwo ubóstwa w Galicyi najsilniejszym patentem, który wrota do wszystkiego otwiera i z którym nic innego, a najmniej talent nie może współzawodniczyć.

MICHAŁ BOBRZYŃSKI: „W obronie talentu“.

Wystawmy sobie kraj jakiś ukonstytuowany na miłosierdziu, jako zasadzie społeczno-państwowej. Jak taki kraj będzie wyglądał? Oczywiście, że jednostki najnędzniejsze, najbardziej wzbudzające litość, będą tam miały prawnie uprzywilejowane stanowisko; świadectwo ubóstwa będzie tam najpoczytniejszem ze świadectw — daleko skuteczniejszym do otwierania wszelkich drzwi, do zdobywania wszelkich posad, niż świadectwa uzdolnienia, nauki i moralności. W takim kraju płaszczenie się i żebranie, zamiast pracy i energii, będą zapewniały zwycięstwo w walce życia. Już dziecko w szkole przekona się, że więcej zrobi płaczem, niż pilnością. Jeżeli tylko jest biedne, to już bez względu na pracę i talent zwolnione będzie od dydaktrum i przyjęte do szkół. To samo ubóstwo zasłaniać je będzie potem, gdy, czy w nauce czy w postępowaniu, nie dopisze szkolnym wymaganiom. W wyższych klasach ta pozycja prawem ubóstwa zdobyta stanie się o tyle mocniejszą, że jeśli żał było biedne dziecko z pierwszych klas oddalić, to jeszcze bardziej żał będzie złamać już rozpoczęty zawód naukowy i kilka lat pracy nad książką udaremnić. Ten sam wzgląd w podwojach uniwersytetu jeszcze mocniejszym się stanie. I tak cała fala miernoty i nędzy umy-

słowej i moralnej, przysłonięta płaszczykiem nędzy materyjalnej, wpływać będzie nieustannie z najniższych warstw do sfer przewodnich i rządzących. I tu znowu zasada miłosierdzia, którą uważamy w naszej urojonej krainie za podstawę społecznego ustroju, będzie musiała o wszystkim rozstrzygać. Pensye, stanowiska, urzędy publiczne uchodzić muszą w takim kraju za rzecz przynależną potrzebniejszym; zasobniejsi, gdy spróbują wcisnąć się w te sfery, uchodzić będą za intruzów, którzy chleb drugim niepotrzebnie odbierają. Nawet w wymiarze sprawiedliwości idea miłosierdzia będzie rozstrzygała, i świadectwo ubóstwa jeszcze nie straci swego znaczenia. Jak w średniowiecznym społeczeństwie, na feudalizmie opartem, szlachcic był wyjęty z pod pospolitych jurydykcyj i pewnym karom nie podlegał, tak w naszym urojonem państwie miłosierdzia biedny będzie miał prawo do pewnej bezkarności, a kto w dodatku ma żonę i dzieci, temu już... bardzo wiele uchodzić będzie.

W rezultacie, łatwo to zrozumieć, zamiast tej selekcji normalnej, która się odbywa w zdrowym organizmie społecznym, prowadząc najtęższe elementa do góry, ku centrom społecznego życia, a gorsze strącając — odbywać się będzie koniecznie w takim kraju selekcya odwrotna, podnosząca ku górze, do ośrodków, masę jednostek lichych, a tamująca przystęp tęższym i zdolniejszym.

Czy taki organizm może być zdrowy? czy może prosperować?

Czytelnik może pomyślał, że o Galicyi mówię; — ja przecież mówię o kraju urojonym; ale przyznać sobie musimy, że u nas, choć nie jest tak źle, jednak trochę z tego zła grasuje; a jest to zarazka tak zjadliwa, że mała jej ilość wystarcza, by zdrowiu społeczeństwa zagrażać i do rozkładu je prowadzić — jeżeli się ono wczas nie opatrzy i nie pocźnie reagować. Już w r. 1884 podniósł głos o tym przedmiocie prof. Bobrzyński, w znakomitym artykule p. t. „W obronie talentu“¹ — i nie można powiedzieć, żeby ten głos był przebrzmiał bez skutku. Kraj się

¹ *Przegląd Polski*, styczeń 1884.

nad nim zastanowił. Później jeszcze wybiło się na widownię kilku dzielnych ludzi, którzy poczęli więcej niż pisać, bo działać przeciwko złemu, ku sprostowaniu naszej selekcji społecznej. Wszechwładztwo systemu miłosierdzia zostało już zachwiane. Dzisiaj, rzecz można, rzeczy lepiej stoją pod tym względem, niż kiedy prof. Bobrzyński pisał swój artykuł.

Stąd jednak nie wynika bynajmniej, że już niema o co się troszczyć. Za pióro w szczególności dlatego biorę, że upatruję źródło, choć częściowe, złego w błędnych o moralnej powinności wyobrażeniach, bardzo u nas rozpowszechnionych, nawet między porządnymi ludźmi. W takich warunkach, rzucenie pierwszego światła na tę sprawę, uwydatnienie pewnych zasad etycznych, przyczynić się może rzeczywiście do poprawienia stosunków.

Skąd pochodzi u nas takie wybijanie tego szczególnego miłosierdzia? W części zapewne z poczciwej i szlachetnej strony naszej natury. Jest u nas skłonność do czynienia drugim dobrze; niema tyle wyrachowanego egoizmu, co w niektórych innych narodach. Ta skłonność jednak nie jest jeszcze cnotą; cnotą jest dopiero wtedy, gdy się dostraja do całego moralnego porządku, gdy zgodna jest ze sprawiedliwością, gdy dobro ogółu przenosi nad dobro jednostek — słowem, gdy jest *charitas bene ordinata*. W przeciwnym razie ta skłonność jest tylko ślepym instynktem, który zarówno do złych jak do dobrych następstw prowadzić może.

Lecz obok tej poczciwej, i ujemna strona naszego charakteru daje się tu we znaki. Jest w nas pewna miękkość, lenistwo do czynu, mało dobrze zrozumianej ambicji — i, co za tem idzie, zbytnia pobłażliwość dla podobnych wad, które naokoło siebie spotykamy. Nie lubimy, co prawda, słuchać, ale też rozkazywać nie umiemy, tem mniej wymagać punktualnego wykonania; a skarcić podwładnego, który nie pełni swego obowiązku, tyle nas kosztuje — czy to z dobroci czy z miękkości charakteru naszego — że wolimy o tem nie wiedzieć, i łatwo

się na tym punkcie z własnym obowiązkiem rozmijamy. — Dziwujemy się czasem chłopu wschodniej Galicyi, który żadnej roboty przyjąć nie chce na akord, choćby trzy razy tyle mógł zarobić, i woli za dwie lub trzy szóstki dziennie pracować, byleby miał płacę od dnia zapewnioną i możność próżniaczenia — a nie spostrzegamy, że taki sam system zarobku jest u nas we wszystkich warstwach bardzo rozpowszechniony. Zamiast rzucać się w zawody, w których energia, talent, wartość osobista zwycięża, zamiast brać się śmiało do prac, które bogactwo narodu pomnożyć mogą, wszystko u nas garnie się do urzędów, do posad (oby jeszcze w celu odznaczenia się w usłudze kraju!), wyciąga rękę do kasy publicznej, nie zniechęca się ciżbą, czekaniem o głodzie przez całe lata — byle wkońcu osiągnąć pensyę lichą i posuwać się potem po drabinie awansu, usypiającym tempem starszeństwa. Jedni prawie medycy obierają zawód, w którym własne siły i przymioty osobiste torują drogę; a i ci już coraz więcej zaczynają myśleć o mnożeniu posad publicznych: profesorów, lekarzy gminnych i t. p. Skarży się nasza młodzież, że ciasno w kraju — a ileż w tym kraju nieużytków! Ciasno jest doprawdy w kierunku, w którym ona patrzy; rozdawcy urzędów utyskują, że na najlichszą posadę, która się otwiera, krocie kandydatów „ukwalifikowanych“ się podają; a tymczasem nieliczni przedsiębiorczy ludzie, którzy mają do rozdania stanowiska produktywne, skarżą się, że trudno o ludzi fachowo wykształconych. Nie widzi nasza młodzież, że jeżeli w kraju ciasno, to jeszcze świat szeroki poza krajem. Wiele i za wiele emigruje polskiego ludu, gnanego głodem, nie mającego innych przewodników prócz niesumiennych agentów; — ale mało emigruje inteligencji — mało i prawie nie tej młodzieży, zasobnej w odwagę do walki życiowej i w wszechstronne lub fachowe wykształcenie, którego tyle dalszych krain łaknie. Czy taka młodzież, zdobywszy majątek, wracałaby po jakimś czasie do kraju, czy nawet zostawałaby na obczyźnie, przynosząc rozproszonej tam Polonii ten pierwiastek wyższego wykształcenia, którego brak obecnie bardzo się tam czuć daje — w każdym razie więcej przysłużyłaby się ona narodowi, aniżeli tu, wyczekując o głodzie

posad. Nie oskarżam tu w szczególności naszej młodzieży; owszem uznaję w dorastającym pokoleniu pewien wzrost żywotności; ale biorę wogóle ten stan rzeczy jako objaw duchowego nastroju naszego społeczeństwa. Społeczeństwo, nie umiejące ocenić tej pracy energicznej, która rzuca się naprzód i zdobywa, skłonne jest do równouprawniania z nią lenistwa; a kiedy idzie o dzielenie zysków i rozdawanie stanowisk, nie patrzy, kto więcej zdobył lub zdobyć zdołał, ale kto więcej potrzebuje.

Jest jeszcze jeden szczegół naszej narodowej psychologii, przez okoliczności głównie wyrobiony, który do tego systemu złego miłosierdzia niemało się przyczynia. Pozbawieni własnej korony, przez długi czas od wszelkich władz uciskani, straciliśmy, albo raczej nie wyrobiliśmy w sobie poczucia solidarności państwowej. Jakkolwiek wielki udział w rządach dzisiaj bierzemy, jakkolwiek organa, które państwo u nas przedstawiają, są kością z kości naszej, zawsze jeszcze w państwie widzimy coś obcego, jeżeli nie wrogiego; zawsze skorsi jesteśmy i za coś lepszego uważamy, przysłużyć się jednostce, niż przysłużyć się ogółowi; szkodenie zaś państwu i dobru powszechnemu uważamy za mniejszy grzech niż szkodenie jednostce. Więc też bez skrupułu, dla przysłużenia się tej jednostce, popychamy ją na stanowiska, do których jest ze względu na dobro publiczne najniezdadniejsza; bez skrupułu zasłaniamy jednostkę przed karzącym ramieniem władzy, nie pytając wcale o to, czy to karzenie nie jest słuszne, i czy to zło, przez nas ocalone, nie będzie dalej grasować na zgubę społeczeństwa. Słowem, ile razy interes jednostki w sprzeczności staje z interesem ogółu, skłonni jesteśmy do podania ręki jednostce.

Takimi przyczynami wytłumaczyć sobie możemy psychologicznie fakt, że owo złe zrozumiane miłosierdzie u nas grasuje; ale mimo tłumacheń, skutki tego faktu są niemniej opłakane. Fatalnie w organizmie naszego społeczeństwa odbywać się musi owa selekcya odwrotna, która wszystkiemu co lichsze, co leniwe,

co mniej ambitne, daje więcej szans wydobycia się na wierzch, niż temu co tęższe i szlachetniejsze.

Patrzmy, jak się to dzieje od najniższych szczebli.

W Niemczech, we Francyi, mimo całego demokratyzmu, nie posyłają synów do szkół średnich, jak tylko względnie zamożniejsze rodziny. Znajdzie się tam na ławce i syn szewca i syn chłopca; ale ten szewc ma już poważny kapitalik, jeśli nie kamienicę, a ten chłop posiada kilkadziesiąt morgów gruntu z odpowiednim remanentem. Proletaryat tam ciśnie się wyłącznie do szkół ludowych. U nas spostrzeżono, że właśnie gospodarz zamożniejszy, posiadający kilkanaście morgów, rzadziej myśli o wysłaniu syna do gimnazjum; on go potrzebuje do pracy w roli i ma co mu zostawić. Ale gospodarz na jednym zagonie, jakich wielu u nas, ale komornik, który oprócz pięciu palców wiele dzieci posiada, o niczem nie myśli, tylko o wyforowaniu tych dzieci do gimnazjum, bo to mu ostatecznie taniej przyjdzie niż chować je w domu i do szkoły wiejskiej posyłać. „Wodziarka“ z miasteczka, która żyje z tego, że Żydom wodę nosi, a ma chłopaka, z którym nie wie co zrobić, mówi mu: „idź do szkół, będziesz księdzem“ — rozumie się: abyś matkę utrzymywał.

I ten chłopak idzie do najbliższego miasta — i z nim wielu innych idzie, bo kraj nasz ubogi, i wiele w nim dzieci, z którymi rodzice nie wiedzą co robić. Niesie on całe swoje mienie w chusteczce — za pazuchą, co ma najdroższego: świadectwo ubóstwa od wójta lub proboszcza... Ha! jeżeli się temu chłopcu świeci w oczach, jeżeli mu się coś tli w sercu, jeżeli słowem pokazuje jakimkolwiek sposobem wybitniejsze zdolności, to niech opadają przed nim wszelkie zapory, niech społeczeństwo robi wszystko co w jego mocy, aby taką jednostkę do wyższych sfer wprowadzić. Każdy, kto takiemu dziecku poda rękę i pociągnie je w górę, znakomicie się krajowi przysłuży. Ale czy nasz synek wodziarki jest takim? Co do zdolności umysłowych, przypuszczam że dziecko proletaryatu ma takie same szanse posiadania ich, jak dziecko klas wyższych; ale co do uczuć i charakteru szanse nie są równe. Nie powołuję się na żadną hipotezę duchowej dziedziczności, o którąby można się spierać; ale powołuję się

na prosty fakt, że dziecko, które miało jakie takie ognisko domowe — choćby pod strzechą — wynieść z niego mogło cokolwiek ciepła, cokolwiek wychowania serca; dziecko zaś, które jedynie na ulicy albo na wygonie rośnie, pozbawione było tej nieocenionej pomocy. Pierwsze, nawet w ciągu nauk, przez listy, odwiedziny, wakacje, zachowuje najczęściej z tem ogniskiem kontakt, i ani spostrzega, jak to wpływa na rozwój jego serca, często i na uzupełnienie jego wykształcenia. Drugie, ma wiele szans wyrósć dziko, na człowieka uczzonego a niewykształconego, z głową nabitą a sercem pustem, lub też pełnem goryczy i niskich uczuć. Sfery szkolne, które w tej chwili wiele myślą o sprawie wychowania, konstatują, że szkoła bez pomocy domowego ogniska wychować nie może. Źle jest, mówią, my przecież wszystko robimy co możemy, niechże dom uczyni resztę — taka jest między innemi treść wstępnego artykułu w październikowym *Muzeum*. Bardzo dobrze! tylko gdzież jest ten dom, który ma wychowywać? nie jestże notorycznem, że ogromna część galicyjskich studentów domu wcale nie ma, albo ma taki, od którego żadnego wychowawczego wpływu otrzymać nie może? Stąd wynika logicznie, że ogromna część studentów galicyjskich znajduje się w niemożności otrzymania potrzebnego wychowania. Wśród tej liczby znajdują się natury tak szlachetne, że same w sobie wyrobią nie tylko podniosłość, ale i delikatność uczuć, a nawet wdzięk form odgadną. Szarganie się po zaułkach nędzy nie skala ich, ale wyszlifuje jak drogie kamienie. Niejednemu takiemu znam. Ale te szczęśliwe okazy nie znoszą reguły: że dziecko bez domu ma mniej szans wyjścia na człowieka niż dziecko z domowym ogniskiem.

Nasz zwykły, jak mówią, „przeciętny“ chłopak — do którego wracam — idący do gimnazjum z tobołkiem w chustce i świadectwem ubóstwa w zanadrzu, nie jest ani geniuszem ani nadzwyczajnym charakterem; z reguły nie inteligencya mu patrzy z oczu, ale wynędznienie, głód. Trzeba by się nad nim zlitować i dać mu chleba, następnie wyuczyć go sposobu zarabiania na chleb. Tymczasem z litości, zamiast chleba, dadzą mu naukę łaciny. Egzamin wstępny mu ułatwią — bo jest biedny,

gdyby nie był uwolniony od dydaktrum, nie mógłby się uczyć. Wprawdzie na to jest dydaktrum, żeby przetrzebić tłum wstępujących do gimnazyów, i z warstw najuboższych tylko znakomitsze indywidua, które się w egzaminie odznaczają, przepuścić; ale na to jest znowu miłosierdzie, aby temu doborowi zapobiedz. Miłosierdzie też pomoże naszemu chłopcu utrzymać się w miasteczku bez niczego. On umie zresztą prosić i umie żyć z powietrza. Mieszkać potrafi z pół tuzinem kolegów w ciasnym kącie izdebki stróża, lub biednego rzemieślnika; uczyć się potrafi ze strzępów jednej książki z nimi; a kiedy się pokaże w szkole, że z takiej nauki mało pożytku, on potrafi się wyprosić i wyklamać; jego stan nawpół żebraczy do tego go wprawia. Może i profesor, który najwięcej narzeka na zbyt ni napływ takich dzieci, nad nim jednak się zmiłuje i przyjdzie mu w pomoc.

Skoro zaś nasz chłopiec parę klas przebieduje, już pocznie dawać korepetycye, przepisywać, wysługiwać się różnemi sposobami. A może mu się uda zdobyć małe stypendyum — jest ich przecież tyle dla szkół galicyjskich! Stypendyum to będzie za małym, aby mógł zjeść do sytości i spokojnie się uczyć, ale będzie dosyć duże, aby nauk nie zarzucał. Im więcej zaś klas przebędzie, tem trudniej zdecydują się na odmówienie mu promocyi, na odebranie stypendyum, choćby do pewnego stopnia na to zasłużył, bo jakżeż się nie ulitować nad przebyta wśród takiej biedy pracą? — I tak świadectwo ubóstwa, ze wsi przyniesione, będzie go coraz dalej i wyżej protegować — aż do matury i aż do wszechnicy. Profesor uniwersytecki narzekać będzie głośno na profesorów gimnazyalnych, że przepuścili materyał tak surowy, tak mało wykształcony; powie że takie liche indywiduum należało od pierwszej klasy usunąć (może właśnie nauczyciel pierwszej klasy, przepuszczając biedaka, liczył na to, że go wyżej zatrzymają). Ale teraz, mówi sobie profesor uniwersytetu, po tylu latach znojów, u progu pożądanej kariery, trudno odebrać człowiekowi ten kawałek chleba, na który długo i ciężko pracował. Jakżeż tu się nie ulitować?

I nasz młodzieniec wypłynie nakoniec na wierzch, na jakąś posadę płatną, w ustroju, który go już mechanicznie, bez

dalszych wysiłen z jego strony, posuwać będzie naprzód „porządkiem starszeństwa“ — wypłynie zaś na tę posadę, nie siłą zdolności, ani żadnych wybitniejszych przymiotów umysłu albo serca, ale siłą swego świadectwa ubóstwa, żebraniny, dzięki miękości i źle zrozumianemu miłosierdziu otaczającego społeczeństwa. Takich okazji w Galicyi wypłynęło już wiele, a cisną się ku temu szczęściu całe chmary kandydatów po gimnazyach, zwłaszcza prowincjonalnych. I ciżba ta wciąż rośnie. Od r. 1880 do 1890 ludność Galicyi pomnożyła się o 11%, a liczba uczniów szkół średnich wzmożła się o 40%. Rozumie się, że ten nadmierny napływ najuboższych warstw do gimnazyów nie dobrego krajowi nie wróży. Pomnażają się wskutek tego ekonomiczne ciężary, które choć się rozkładają na całe państwo, niemniej jednak i nasz kraj przyciskają. Produkuje się przytem daleko więcej inteligencyi, niż jej kraj spożytkować może. Mnóstwo młodych ludzi, wyuczonych, wypatentowanych, a czekających o głodzie posad od państwa, coraz gwałtowniej o miejsca się dobija. Liczba posad płatnych, i tak już wielka, pod tym naciskiem jeszcze się powiększa — co już jest dla dobrze zrozumianej ekonomii i dobrego rządu kraju wcale niekorzystnem — a ponieważ i tak ubiegającym się o miejsca nastarczyć nie można, więc rozdają się posady bezpłatne. Zamiast urządzić u wstępu swoich biur jakieś konkursy, jakieś przetaki, któreby z tego mnóstwa same najdzielniejsze indywidua przypuszczały, państwo ustanawia posady, które tylko nadzieją głodną usta zapychają, a z których później dostają się na posady płatne ci, co najdłużej głód przetrzymać umieją. Jest to rodzaj konkursu głodowego; i bardzo to wygląda na wyzyskiwanie zbytniej podaży pracy umysłowej przez wielkiego chlebowawcę — co ani dla tych robotników, rozumie się, ani dla interesów państwa korzystnem być nie może.

Ale i suma tych wszystkich płatnych i bezpłatnych posad rządowych nie dorównywa i dorównać nie może fali wciąż rosnącej, jaką szkoły przelewają w życie publiczne. Co czeka tych bardzo licznych młodych ludzi, dla których absolutnie miejsca nie stanie? Bieda — może większa niż ta, która ich ze wsi wy-

gnała, i niż ta, z którą walczyli w szkołach, ciesząc się nadzieją posad. Bieda ich czeka, bo do pługu nie wrócą, do rzemiosła ręki nie przyłożą; szkoły średnie wyrobiły w nich aspiracye, które im pracę wyłącznie ręczną uczynią wstrętną. Słyszę, że w Niemczech maturzyści z chłopskich rodzin wracają do ojcowskiej zagrody, i potem w jednym ręku trzymają pług, a w drugim Wirgilego. Nie sądzę, żeby nawet w Niemczech takie bukoliki były zupełnie na porządku dziennym; w Niemczech jednak, oprócz filozoficznego temperamentu narodu, jest to wielkie ułatwienie, że taki chłop ze szkół wracający znajduje pod swoją strzechą pewien dostatek i komfort, nie mniejszy jak u nas w urzędniczej familii. Ale żeby maturzysta wracał gospodarować na pół-mordze i jeść chleb z otrębami, jak się to dzieje w rodzinach wielkiej części naszych studentów, to jest, już nie bukolika, ale utopia, której w rachubę wciągać nie można. Nie pójdą też tacy za granicę, bo są za mało wykształceni, obce języki znają tylko z książki. Zostaną więc w kraju, wyczekując, jak długo będą mogli, posad urzędniczych; o nich wkońcu zwątpiwszy, rozbijając się będą o miejsca i obowiązki niższego rzędu, publiczne czy prywatne. Już przed dziesięcioma laty opowiadał mi pewien członek Wydziału krajowego, że mając do obsadzenia nędzną posadę pisarza przy jakimś browarze, z pensją 600 złr., ogłosił konkurs, i podało się między innymi 80-ciu inżynierów patentowanych! Dziś liczba czekających musi być znacznie większa — a co będzie jutro? I ci, którzy osiągną takie posady, będą całe życie niezadowoleni, bo czuć będą niewspółmierność między swem jakimś takim wykształceniem a pracą i otoczeniem. Ci zaś, dla których i takich miejsc nie starczy, będą jeszcze tamtym zazdrościć szczęścia. Jedni i drudzy będą wykojejeni — *des déclassés* — będą mieli żądze i poniekąd potrzeby przechodzące ich możność i produkcyjną siłę kraju — będą narażeni na wszelkie stąd wynikające pokusy. Ostatecznie będą wodą na młyn socjalizmu. Nie brak jeszcze u nas naiwnych, którym się zdaje, że oświata szkolna jest panaceum przeciw wszelkiemu złemu, a w szczególności przeciwko socjalizmowi. Inaczej sądzą *experti in arte*, przywódcy socjalizmu. Nie zapomnę

zdania, które wyczytałem w pismach sławnego komunisty Bianqui. Przeprowadźcie wszystkich, mówi, przez wyższe szkoły, a już nie mamy co robić: socjalizm jest dokonany.

Wiem, że ta pletora inteligencji i to przepełnienie gimnazjów z innych też przyczyn pochodzą. Skarżą się na nie sąsiednie kraje podobnie jak my; ale czy gdziekolwiek indziej to chorobliwe przepełnienie jest tak wielkie, jak u nas? Jeżeli porównamy Galicyę z innemi krajami Cislitawii pod względem liczby uczniów szkół średnich (gimnazjów i realnych) w stosunku do liczby mieszkańców, znajdziemy, że Galicya jedno z ostatnich miejsc zajmuje. Podczas kiedy Czechy na 10.000 ludności mają 38 studentów (szkół średnich), Morawia 41, Śląsk 42, to Galicya przychodzi z liczbą studentów 22, zaraz po Styryi mającej 25, a przed Dalmacyą, która liczy 20¹. Ale kwestya nadmierności napływu, o którym mówimy, od czego innego zależy: od stosunku liczby studentów, nie do ludności, ale do bogactwa kraju; boć oczywiście kraj w miarę swego bogactwa, produkcji, przemysłu, potrafi więcej lub mniej sił inteligentnych spożytkować i odpowiednio utrzymać. Z tego punktu widzenia, jeżeli prawdziwe są cyfry przez autora „Nędzy Galicyi“ o naszej produkcji zebrane, nawet z poprawkami profesorów Kleczyńskiego i Pilata, to wypadłoby, że Galicya jest kilkanaście, może kilkadziesiąt razy uboższa, niż np. Czechy, procent zaś studentów, jak widzieliśmy, ma tylko półtora razu większy. To porównanie dalej prowadzone przywiodłoby nas najprawdopodobniej do wniosku, że Galicya w stosunku do swej produkcji bez porównania więcej szkoły średnie obsyła, niż przeciętnie inne kraje. Ale każdemu, kto ze statystyką trochę obeznany, wiadomo, że obliczenie produkcji lub wogóle bogactwa danego kraju jest rzeczą bardzo trudną, a może i niewykonalną. Nie wdając się więc w to obliczenie, przypatrzmy się przynajmniej niektórym podatkom, które choć przybliżone o zamożności kra-

¹ Liczbę uczniów szkół średnich w poszczególnych krajach obliczyłem według *Jahrbuch des höheren Unterrichtswesens in Oesterreich*, Neubauer und Divis. Wien 1892.

jów dadzą nam wyobrażenie. Zestawiając podatki bezpośrednie pojedynczych krajów koronnych z ich frekwencją szkolną, do takiego dochodzimy rezultatu:

Ludność, płacąca milion złr. bezpośrednich podatków, wysłała do szkół średnich¹:

— w Austrii Dolnej	uczniów	414
— w Austrii Górnej z Salcburgiem. „		526
— w Styryi	„	568
— w Czechach	„	842
— na Morawii	„	845
— w Krainie i Karyntyi.	„	934
— na Pograniczu	„	959
— w Galicyi	„	1234
— na Szląsku	„	1473
— w Dalmacyi	„	1492
— w Tyrolu	„	1624
— na Bukowinie	„	1962

Galicya więc już tu występuje jako jeden z krajów najczęściej do szkół średnich posyłających. Cztery kraje zdają się iść jeszcze dalej, ale zauważyć trzeba, że podatek, na którym to porównanie opieramy, obejmuje źródła bogactw, z których Galicya więcej płaci a mniej od innych zyskuje. I tak Galicyanin płaci podatku gruntowego z hektaru 0·63 centów, podczas gdy Tyrolczyk płaci tylko 0·42, Bukowińczyk 0·38, Dalmatyniec 0·23; a tymczasem pewnie Tyrolczyk więcej z morgi wydobędzie niż Galicyanin, Bukowińczyk niewiele mniej.

Jeżeli zaś nie całość podatku dochodowego, ale sam podatek zarobkowy weźmiemy pod rozagę, to najprzód uderzy nas fakt, że Galicyanin najmniej z całej Austrii zarabia. Płaci zarobkowego tylko 0·13; Dalmatyniec już 0·15, Szlązak 0·44, Czech i Morawianin 0·54. Zestawiając cyfry tego podatku z frekwencją szkolną, znajdziemy już w Galicyi wyższą stosunkowo

¹ Wszystkie te i następne cyfry obliczone są na podstawie danych statystycznych z *Oesterreichische Statistik*, herausgegeben von der k. k. Central-Commission. Band XXII, Wien 1890 — głównie z tablic na str. VIII, zeszyt 1.

frekwencyę niż w samej Dalmacyi, a pięć razy większą niż w szczęśliwszych krajach, jak Austria Górna, Dolna i Saleburg. Z jeszcze większymi frekwencyami występują: Bukowina, Tyrol i Pogranicze; lecz co do tych dwóch ostatnich podejrzewam, że zachodzi w nich jakaś szczególna okoliczność, mnie nieznana, która te nadzwyczajne liczby tłumaczy¹. Ale cokolwiekbądź, skonstatowaliśmy, że pośród krajów, narzekających ogólnie na pletorę inteligencji i przepełnienie gimnazyów, Galicya należy do najchorszych, do najbardziej oddalonych od idealnej równowagi między produkcją i spożytkowaniem inteligencji; a przyczynę tego szczególną upatruję w naszym złem miłosierdziu, które biedaków do szkół średnich garnie bez wyboru, bez względu na dobro kraju i na ich własne dobro.

A po szkołach, w samem życiu publicznem, czy żadnego już nie ma u nas pola to nieszczęśliwe miłosierdzie? W niektórych innych krajach, jak w Anglii, w Szwajcaryi, społeczeństwo samo się rządzi i o własnych siłach żyje; pierwiastek urzędniczy, przez państwo płatny, liczebnie jest szczupły i podrzędną gra rolę. U nas pole inicjatywy prywatnej w życiu publicznem jest względnie bardzo ciasne, ochota do niej jeszcze mniejsza, a pierwiastek urzędniczy — liczący w swem łonie nie tylko organa administracyi, ale i sądownictwo, i niemało przemysłów, i szkolnictwo męskie i żeńskie, od ludowych szkółek aż do uniwersytetów — obejmuje całe życie społeczeństwa, myśli za nie i prawie całą jego duszę stanowi. Rzucając okiem na zebraną inteligencyę w któremkolwiek z naszych miast prowincjonalnych, czy to w teatrze czy na odczycie, uderzonym się jest dwiema rzeczami: że tej inteligencji tak wiele, i że się składa tak wyłącznie z urzędników, z ludzi opłacanych przez rząd.

¹ Warto też zauważyć, że co do szkół przemysłowych stosunek jest zupełnie odwrócony. Galicya, która co do ludności stanowi przeszło ćwierć, bo 27⁰/₁₀₀ Cislitawii, posiada tych szkół 21, a jest ich 580. W liczbie uczniów tych szkół, Galicyanie przedstawiają 4³/₄⁰/₁₀₀, Czesi 39 i t. d. W szkołach handlowych uczniowie galicyjscy stanowią 1⁰/₁₀₀ (*sic!*).

Z tego powodu tak niezmiernie żywotną jest dla naszego społeczeństwa kwestya: jak się ten świat urzędniczy rekrutuje i rozwija. Otóż co do rekrutacyi, widzieliśmy, jak szkodliwie na nią wpływa nasze miłosierdzie, foretujące po szkołach element żebrzący. Trudno zaś przypuścić, aby tenże sam czynnik, tak wkończony w obyczaj społeczeństwa, nie oddziałował dalej na życie i rozwój urzędniczego świata. Żywioty, które doń weszły drogą czekania i żebraniny — a takie żywioty w danym stanie rzeczy muszą być dość liczne — trudno, by nie wnosiły ze sobą i nie szerzyły swojego typu, swoich idei. A jakież to być mogą idee takiemu żywiołowi właściwe? Czy idea poświęcenia się dla społeczeństwa? czy pomysły o ulepszeniu jego bytu?

Przedewszystkiem ludzie tej sorty, dotarłszy do urzędowego stanowiska, jako do mety po długiej gonitwie za chlebem, uważają je za zasłużony spoczynek; a kiedy ich kto z góry nagli do pracy, widzą w nim napastnika, mają wrażenie, że im się krzywda czyni; pracują, czasem dużo, ale tą pracą martwą, która nie biegnie do celu, nie wybiera najkrótszej do niego drogi, pracą źle zbudowanej maszyny, która więcej zużywa ciepła, niż pracy wydaje. — Dalej, uważają oni konsekwentnie swe stanowisko za swoją własność, należącą się im ściśle za ich zasługi (tj. za tyle lat służby), a więc istniejącą na ich korzyść; *in bonum proprietarii*; a więc też — co najlogiczniej z tego wypływa — społeczeństwo, którem w swych zakresach zawiadują, uważają za egzystujące dla nich. Sposób ich postępowania ze społeczeństwem, nawet sposób mówienia, najwyraźniej to przekonanie przejawia. — Z tego znów logicznie wypływa wyobrażenie, że posuwanie się po szczeblach skali urzędniczej koleją starszeństwa jest jedynie sprawiedliwym systemem. Rzecz jasna, że każde uwzględnienie w pewnych razach zdolności, charakteru, wyjątkowej pracy, wychodziłoby z przypuszczenia, że urzędy istnieją dla dobra społeczeństwa; ale w przypuszczeniu odwrotnem, którego oni się trzymają, takie względy są oczywiście krzywda niczem nieuzasadnioną. Jak zgubne zaś dla społeczeństwa następstwa wynikają z bezwzględ-

dnego przeprowadzenia zasady kolejności — o tem wolę odesłać do wybornej rozprawy p. Bobrzyńskiego¹.

Z tym systemem awansu podług starszeństwa, godzi się jakoś w umyśle tych ludzi protekcyja na stosunkach osobistych pokrewieństwa lub przyjaźni oparta. — Na pozór jest w tem

¹ „W obronie talentu“ (*Przegląd Polski*, styczeń 1884). Autor przytoczywszy wiązkę faktów, tak z nich wnioskuję:

„Chciejmyż teraz fakta owe ocenić i nad następstwami ich bliżej się zastanowić. Stwierdzić tu musimy przedewszystkiem, że w przyjęciu zasady kolejności nie odgrywa żadnej roli sprawiedliwość, lecz że dyktuje ją dobroczynność z ujmą sprawiedliwości. Tam, gdzie talent i praca wcale nie wążą na szali zasług, gdzie żadnego nie dają pierwszeństwa, tam dzieje się jednostkom ciągła i nieustanna krzywda.

„Gorzej jeszcze z interesem państwa. Kto kiedykolwiek zetknął się z urzędem publicznym, ten wie, czem dla państwa i społeczeństwa jest urzędnik zdolny, wykształcony i pracowity, jak w jego rękach najgorsza ustawa staje się znośną, mierna dobrodziejstwem, jak jeden działa za trzech, za dziesięciu. I przeciwnie, urzędnik miernych zdolności, niewykształcony lub leniwy, psuje najlepsze ustawy i staje się zawadą w biurze, klęską dla społeczeństwa. Otóż tam, gdzie w przyjmowaniu młodych sił urzędniczych niema żadnego lub prawie żadnego wyboru i względu na talent i pracę, tam służba publiczna dla braku znakomitych sił nie może spełnić swojego zadania.

„Pomijanie talentu i pracy przy awansach odbija się zresztą niekorzystnie na najlepszych jednostkach i od większego wyteżenia je odwołuje, daje się uczuwać nawet o wiele niżej, bo już w ciągu studyów uniwersyteckich. Przykrem staje się tu położenie profesora, który nie może uczniowi wykazać korzyści jego pracy, który stoi bezsilny wobec argumentu, że nauka w służbie publicznej do niczego nie prowadzi. Tak więc zasada kolejności bezwzględnie wykonywana jest w następstwach swoich przyczyną umysłowej korupcyi.

„Nareszcie nic innego, jak ta zasada, wywołuje taki nadmierny wpływ niepowołanych do służby publicznej. Dziś każdy wie, że bez zdolności, bez głębszej wiedzy, bez usilnej pracy z czasem posadę płatną uzyska i na niej złotym krokiem będzie się dalej posuwał. Dla umysłów słabszych, pozbawionych większej ambicji i woli, jest to prawdziwe żniwo, garną się też do niego tłumnie, kiedy ludzie prawdziwie zdolni i ambitni od służby publicznej w takich warunkach coraz częściej zbiegają.

„Odmienmy zatem jak najrychlej szkodliwą zasadę. Zamiast uwzględnić ubóstwo jednostek, uwzględnijmy ich talent i pracę, a wszystko się zmieni. Ustanie zbyteczna konkurencja, źródło urzędniczej biedy, podniesie się cały poziom wykształcenia, zwiększy energia pracy, a żywiły mniej do służby publicznej sposobne poszukają sobie zawczasu innego, korzystniejszego dla nich i dla ogółu zajęcia i pracy“.

sprzeczność, ale w gruncie i to się wywiązuje z idei, że stanowiska urzędowe są własnością *in bonum habentis*, a nie zawiadowaniem *in bonum publicum*. Można przecież dawać ze swego majątku komu się chce, a naturalną jest rzeczą, że najprzód daje się najbliższym.

Z tego też stanowiska wynika pojmowanie wszystkich wogóle urzędów publicznych, jako przynależności ludzi, którzy ich do życia potrzebują. Każdy zatem młody człowiek, który posiada jakiś majątek, a chce służyć krajowi, jest w oczach tych ludzi intruzem, który w cudze się wdziera. Po coś tu wszedł — mówi mu wiele ócz i łokci — kiedy masz z czego żyć? I słusznie: jeżeli urząd publiczny jest w pierwszym rzędzie kawałkiem chleba dla posiadacza, to kto się oń stara, będąc w dostatku, ten odbiera chleb drugim, tak samo jak człowiek z dukatami w kieszeni, któryby stanął między dziadami u drzwi kościoła. Stąd młodzi ludzie zamożniejsi znajdują się nieraz między młotem a kowadłem: jeżeli nie wstępują do służby publicznej, mówią im, że nie nie robią dla kraju — jeżeli wstępują, spotyka ich zarzut i traktowanie, jakoby drugim chleb zabierali. I te sprzeczne zarzuty, co dziwniejsza, nieraz z tych samych ust na nich padają.

Idee powyższe są, jak każdy widzi, logicznie między sobą powiązane, z jednej koncepcji życia publicznego wypływają. A jak silny jest ów żywioł przez złe miłosierdzie wychodowany, który te idee pielęgnuje, tego dowodzi pewna dla nich wyrozumiałość, w naszym społeczeństwie rozpowszechniona. Mało kto się im dziwi i mało kto na nie się oburza.

Jeszcze jedna idea, może najzgubniejsza, z powyższemi się wiąże i w społeczeństwie naszym grasuje: bezkarność z miłosierdzia. Od czasu nawoływań Skargi, stało się prawie komunalem, a jednak prawdą być nie przestało, że nie niema gorszego dla społeczeństwa, jak bezkarność. Przestępstwa, nawet wielkie, w służbie publicznej prawie żadnej nie przynoszą szkody, jeżeli za nimi idzie kara; brak kary każde społeczeństwo moralnie i nawet materyalnie rujnuje, rozkłada, niszczy. W dawne

Polsce bezkarność pochodziła z bezsilności władzy, i doprowadziła do tego, co Skarga przepowiedział. Dziś pochodzi ona ze złego miłosierdzia — a Boże zachowaj nas od tego, ku czemu prowadzi. Z tego zła w pewnej mierze zdajemy sobie sprawę, narzekamy na nie; — ale chcę na to zwrócić uwagę, jak niemal wszyscy, od góry do dołu społeczeństwa, przykładamy do niego rękę. Do wspomnianej co dopiero idei: że społeczeństwo jest dla urzędów — z czego szeroka wypływa tolerancya dla uchybień w służbie publicznej — przyłącza się ze strony samego społeczeństwa to usposobienie antypaństwowe, to poczytywanie władzy za obcą i wrogą, stawanie po stronie jednostki w jej kolizjach z interesem ogółu — czego genezę starałem się wytłumaczyć na początku tej rozprawy. Gdy do tego dodamy jeszcze naszą miękkość charakteru, trudno się zdobywającą na czyn wcale niemily skarżenia lub karania; a wkońcu nasze miłosierdzie, rozczulające się nad łzami jednostki, bez pytania czy to rozczulenie nie wytoczy więcej łez społeczeństwu — to dopiero będziemy mieli wyobrażenie o korzeniach, jakie bezkarność w nas zapuściła. U góry zachowuje się system niedochodzenia, póki nie przychodzi oskarżenie; u dołu panuje zabobon, że skarżenie się u władz na nadużycia niższych organów jest czynem nieszlachetnym. Pochwałą zwierzchnika jest, mówić o nim, że „nikomu nie szkodzi“ — co znaczy, że nic nie karci — więc wszystkim szkodzi. Ubóstwo, długi, są wyższym tytułem do bezkarności: bo „cóżby biedak począł, gdyby miejsce postradał“? A kiedy kto ma jeszcze żonę i dzieci, wtedy już niema tak wielkiej winy, do której zagłuszenia ten wzgląd nie posłużyłby w danym razie.

Gdyby to jeszcze ludzie źli przykładali rękę do zasłaniania występku, z którym czują jakąś duchową solidarność — byłoby to bardzo smutne, ale zrozumiałe. Liczba złych jest zresztą zawsze szczupłą. Lecz to zwykle ludzie najpoczeiwszi, najsumienniejsi, którzy tego rodzaju miłosierdzie czynią. Ileżto razy słyszałem z ust takich ludzi, i to wobec grubych zawinień: Jakże mam szkodzić (jest to typowe u nas słowo, oznaczające wymiar sprawiedliwości), jakżeż mam szkodzić temu człowiekowi, kiedy

on ma żonę i dzieci? I ta okoliczność, że ktoś ma żonę i dzieci, służy mu za egidę, pod którą może bezkarnie wielu żonom łyzy wyciskać i wiele dzieci krzywdzić i społeczeństwo demoralizować... Ludzie są ludźmi, zawsze potrzebują nad sobą karności — bo ci, którzy w każdym przypadku za sumieniem idą, nie są nigdy, w żadnej warstwie i w żadnym kraju, wszystkością, ale zawsze tylko częścią.

Obraz, który mi się pod piórem skreślił, może czarno wygląda; — istotnie chciałem tylko czarny punkt wskazać i na groźne jego następstwa zwrócić uwagę. Nic przykrzejszego spotkałby mię nie mogło, jak mylne zrozumienie rzuconych tu myśli: jakobyem występował przeciw miłosierdziu, albo zaprzeczał wartości ludzi z klasy ubogiej pochodzących. Starałem się przecież jak najwyraźniej powiedzieć: Ubogiemu dziecku, dlatego samego że ubogie, dajmy chleba, a nie gramatykę łacińską, uczmy je na chleb zarabiać, pomnażając produkcję kraju; odznaczającemu się zaś talentem i charakterem, czy on w karmazyn czy w łachmany odziany, otwierajmy wrota do najwyższych studyów i stanowisk — i takiemu, gdy ubogi jest, żadnej prywatnej ni publicznej nie żałujmy pomocy.

Również dalekim jestem od czarnego poglądu na społeczeństwo nasze. Wiem, że we wszystkich prawie kierunkach, o których wspomniałem, jakiś ferment odrodzenia zaczyna się w naszym kraju pojawiać. W tych wszystkich sferach szkół niższych i wyższych, i na różnych polach służby publicznej, znać pracę dzielnych jednostek, z wszelkich warstw społeczeństwa pochodzących, które nie tylko poświęcają się dla dobra publicznego, ale też doskonale rozumieją, czego to dobro wymaga, i z masy pnącej się ku górze sortują jak mogą najzdrowsze elementy. Znam wyższych profesorów, którzy ze łzą w oku i z rozdarciem serca odmawiają dyplomu nawet starszym i rodziną obciążonym suplentom, kiedy sądzą, że tego wymaga prawo i dobro kraju. W rozmaitych gałęziach służby publicznej widzę indywidualia znakomite, które wyłamują się z rutyny, umieją wy-

magać od podwładnych i karać, a czystością charakteru i przodowaniem w pracy do szacunku przymuszają. Wiem wreszcie, że na najwyższych w kraju stanowiskach, administracyjnych, szkolnych, skarbowych, stanęło kilku mężów wyższej miary, którzy cenią zdolność wyżej od lat służbowych, a wartość moralną jeszcze wyżej od zdolności, i robią wszystko co mogą dla podniesienia tętna życia w naszym kraju i wyleczenia go z tej właśnie niemocy, o której piszę.

Ale jest to choroba, w rodzaju skrzepu w żyłach, dla której uleczenia trzeba dłuższego czasu i trzeba współdziałania, reakcyi samego organizmu.

Zło zagnieździło się, jak widzieliśmy, aż w sumieniach, w błędnych wyobrażeniach o obowiązkach życia publicznego. Trzeba więc przedewszystkiem, żeby się sprostowały te pojęcia i objaśniły sumienia. Trzeba, żeby wiedziano, co znaczy *charitas ordinata*, porządek w miłości, który wyżej cenić i miłować każe dobro publiczne, niżej prywatne. Święta jest dobroczynność — ale ze swego; święta jest litość dla jednostki — ale kiedy ta litość dzieje się z krzywdą dobra ogółu, nie jest już ona cnotą, lecz przewrotnością, nie zasługuje już na żadną cześć, lecz na naganą i karę. Jest to także pewnego rodzaju prywatna, przenosząca swoje osobiste sentymenta ponad obowiązki względem dobra publicznego. Trzeba, żeby wszyscy, którzy są z jakiegokolwiek tytułu w służbie publicznej, rozumieli tę prostą zasadę, sformułowaną zarówno przez Arystotelesa, jak przez Ewangelię i św. Tomasza: że tem się właśnie różni król od pana czyli właściciela, iż ten ostatni posiada na swój pożytek, i dlatego może zrobić co chce ze swoją własnością; król zaś i, rozumie się, wszystkie organa władzy państwowej istnieją dla dobra ogółu, nie są panami, ale tylko szafarzami wspólnych dóbr i interesów społeczeństwa; więc nie wolno im się powodować czemkolwiek innym w zakresie swych urzędów, jak względem na dobro publiczne. Więc kiedy ubogi uczeń błaga ich o promocyę, na którą nie zasłużył, kiedy kandydat do urzędu z żoną i dziećmi żebrze o świadectwo lub o posadę, do której nie jest uzdolniony — to mogą z litości nad ich nędzą dać im z własnego pugilaresa, je-

żeli ich na to stać; ale w żaden sposób nie mogą dać im z li-
tości promocyi, posady, awansu: bo to nie jest ich własność, ale
rzecz publiczna, którą jedynie w interesie publiczności szafować
się godzi. I kiedy to czynią, nie dobry uczynek, ale niesprawie-
dliwość czynią. Więc też kiedy człowiek, który się sprzeniewie-
rzył, który przewrotne zdradził popędy, błaga ich o zatajenie
swej winy, kiedy zastawia się żoną i dziećmi, mogą jeśli chcą
folgować swej dobroczynności, wesprzeć tę żonę i te dzieci
z własnej kieszeni; ale przebaczyć winnemu z uczucia litości,
bez względu na interes społeczeństwa, w żaden sposób nie mogą:
bo nie są panami, tylko szafarzami karności, bo krzywda przez
winowajcę nie im, ale społeczeństwu wyrządzoną została.

Są to pojęcia etyki elementarne — a jednak dziwna rzecz,
jak dalece bywają u nas zapoznane i jak wielu najzacniejszych
ludzi działa podług dyktaminów wręcz przeciwnych, w mnie-
maniu, że dobrze działa. A niema niebezpieczniejszych ludzi od
tych, którzy mają błąd w sumieniu, którzy czynią złe, z prze-
konaniem, że dobrze czynią. Historia najlepiej o tem poucza.
Trzeba więc przedewszystkiem, jak powiedziałem, sumienia nasze
w tym względzie rektyfikować.

Przydałyby się nam obok tego pewne instytucye, dążące
do przeprowadzenia, gdzie to możliwe, przedmiotowej selekcji
talentów. U wrót każdej karyery, przez państwo opłacanej, jest
i zawsze będzie napływ większy niż możliwa liczba posad. Musi
więc jakimś sposobem odbywać się przebieranie między tymi
którzy zdobędą miejsce, a tymi co zostaną na bruku. Otóż gdyby
zamiast systemu czekania, kto dłużej wytrzyma, przede drzwiami
lub na posadzie bezpłatnej — jak się to u nas dzieje — uży-
wany był, gdzie się da zastosować, system konkursu, wynik tego
przebierania byłby zupełnie inny. Przez konkurs tu rozumiem
nie to co się u nas praktykuje: że ubiegający się o pewną po-
sadę podają prośby z dołączeniem świadectw, a ktoś dowolnie
między nimi wybiera — ale rozumiem pewną próbę, pewien
egzamin, tak urządzony, żeby najzdolniejsi i najlepiej przygoto-
wani zdobywali pierwszeństwo, a tem samem z prawa wchodzili
na pożądane posady — podczas gdy reszta współzawodniczących,

wiedząc że nie ma po co napróżno u tych drzwi czekać, szukałaby gdzieindziej odpowiedniejszego swym zdolnościom chleba. Tak we Francyi najwyższe szkoły państwowe, prowadzące od razu na wysoko płatne stanowiska, ograniczają liczbę swych uczniów stosownie do liczby posad, jakie kraj dać może. Ubiegają się o przyjęcie tysiące młodzieży — rozstrzyga ścisły egzamin; profesorowie, nieznający kandydatów, sortują ich wypracowania i lokują je w porządku wartości. Pierwszych dwustu (lub ilu tam szkoła przyjmuje) od razu otrzymuje wstęp i ma już zapewnioną przyszłość; inni, nie tracąc czasu na próżnem czekaniu, idą szukać przystępniejszych dla siebie stanowisk. — Dlaczegoż, pytam, takie lub tym podobne urządzenia, dające palmę pracy i talentowi, zachęcające do wysiłków tych, którzy się czują na siłach, a odstręczające już z daleka niezdolnych i opieszłych — dlaczegoż, mówię, u nas podobne urządzenia, choć w niektórych gałęziach służby publicznej, istniećby nie mogły?

A do szkół, czy nie możnaby trochę tego pierwiastku konkursowego wprowadzić?

Mamy wiele stypendyów dla uczącej się młodzieży; stypendya te często tylko pomagają tej selekcji odwrotnej, na którą się skarżymy, bo przyciągają ubogich do szkół, niedosyć względu mając na ich uzdolnienie; a są przytem za małe, aby uwolnić stypendystę od troski o życie i pozwolić mu oddawać się swobodnie nauce. Już nieraz poruszono szczęśliwą myśl, żeby małe stypendya łączyć, konferując dwa lub trzy jednemu uczniowi. Byłoby to niezawodnie bardzo korzystnem, ale dodałoby potrzeba i to postanowienie, żeby między kandydatami do stypendyum, w myśl fundacyi ukwalifikowanymi, rozstrzygał wzgląd na talent i zdobyte wykształcenie, i żeby warunkiem zachowania tegoż stypendyum przez dalsze lata było utrzymywanie się na pewnej wyżynie naukowej. Z tego względu zniesienie tak zwanej „lokacyi“ w gimnazyach przedstawia się jako niekorzystne. — Ale głównie ci, którzy mają możność i wolę fundowania stypendyów, uważać na to powinni, w układaniu swych fundacyj, aby ich wspańiałomyślna dobroczynność wychodziła na dobre krajowi, rekrutując jego inteligencyę nie z lichych, ale

z cięższych żywiołów. Niech idą za swą szlachetną myślą: podania ręki ubogim, aby im umożliwić wyższe nauki; ale niech pamiętają, że tych ubogich jest wiele w naszym kraju; komu z nich ma przypaść to dobrodziejstwo, niech rozstrzyga obiektywnie ich zdolność, stwierdzona o ile możliwości konkursem. Niech to będzie w akcie fundacyi zawarowaniem; niech zastrzeżone będzie wymaganie, aby stypendysta trwał nieprzerwanie w dobrym postępie naukowym i dobrem prowadzeniu się. A ponieważ doświadczenie uczy, że pomiędzy trzynastym a piętnastym rokiem zmienia się często charakter, i głowa, która zdawała się zdolną w niższych klasach, w wyższych okazuje się niezdatną: pożądanemby było postanowienie, aby w przejściu z niższego gimnazjum do wyższego nowy egzamin lub raczej nowy konkurs decydował, czy stypendyum zostanie przy tymże uczniu, albo czy się dostanie zdatniejszemu.

Takie instytucye przyczynić się mogą niewątpliwie do prostowania zwichniętej selekcyi społecznej. Ale ważniejszym jeszcze i skuteczniejszym od nich jest osobiste działanie w tym duchu wszystkich ludzi dobrej woli. Każdy na swem stanowisku reagować powinien przeciwko złemu miłosierdziu, przykładając rękę do hamowania tego pędu najlichszych elementów ku górze siłą żebraniny, a pomagając do wybicia się ile możliwości elementom zdolniejszym i godniejszym. Obywatel wiejski, mieszczanin, który chce poratować ubogie dziecko, niechże pamięta, że więcej się przysłuży i krajowi i temu dziecku, gdy je do czego innego skieruje niż do gimnazjum — chyba że w niem coś innego upatrzy, oprócz jego ubóstwa i łez. Nauczyciel klas niższych, który egzamin wstępny odbiera lub promocyę daje, niech nie liczy na to, że nieudolne indywiduum w wyższych klasach zatrzymają; a profesor klas wyższych niech się tem nie wymawia przed sobą, że to indywiduum w niższych przepuszczono: bo każdy jest odpowiedzialny za tę jedną furtkę, której straż powierzyło mu społeczeństwo. Niech w różnych zakresach służby publicznej, każdy który się rządzi sumieniem — a takich, Bogu dzięki, mimo wspomnianych niedostatków, jest u nas bardzo wielu — niech każdy, mówię, który się rządzi sumieniem, za-

stosuje to sumienie nietylko do swych prywatnych stosunków, nietylko do codziennych obowiązków służbowych, ale też do spraw jeszcze ważniejszych, jakimi są: promocyje, awansy, pilnowanie i karcenie nadużyć — a z pewnością pierwiastki złe ulegną temu parciu, selekcyja w ustroju społecznym pocznie się odbywać w kierunku dodatnim i zdrowym, wydobywając na wierzch dzielniejsze inteligencyi charaktery — i aż się zadziwimy, widząc jak wiele dobrego kryło się w łonie naszego społeczeństwa.

Ks. Maryan Morawski.



NA SŁOWACZYZNIE.

WRAŻENIA Z PODRÓŻY.

(Dokończenie).

III.

Trenczyńskie Cieplice dobrze w Polsce znane i Polacy też dobrze w Cieplicach tych znani, powiedziałbym: cenieni, gdyby nie wątpliwość, czy tej czei raczej do ich w portmonetki opatrzonych kieszeni odnieśćby nie należało? Wstąpić tu, nie wstąpić?... Wstąpmy choć na parę godzin, mówię sobie, nie przypuszczając oczywiście, że od północy do trzeciej zrana przyjdzie mi na małej stacyjce przypatrywać się pięknościom obdrapanej poczekalni i spacerować po niej wzdłuż i wszerz, czekając cierpliwie, rychło-li kąpielowy omnibus zbierze z rozmaitych pociągów dostateczną liczbę gości. A może — któż wie? — chodziło przemysłnemu woźnicy o to, aby Trenczyn przedstawił się przybywającym od razu jak najwspanialej, nie w cieniach nocy, lecz w czarodziejskiem oświeceniu wschodzącego słońca? Jeśli istotnie taki miał zamiar, to w wysokim stopniu rozwiniętego estetycznego uczucia niepodobna mu odmówić: mimo nieprzespanej nocy, mimo, że obok ciebie napół-pijany żołnierz śpiewa, klóci się z widzialnemi i niewidzialnemi istotami i szkaradnym tytoniem powietrze zatruwa — pierś się podnosi i wciąga w siebie ranne, rosą, młodością pachnące wonie, oko nasycić się nie może delikatną grą światła, malujących okoliczne góry i lasy w naj-

cudniejsze desenie; wyobraźnia domalowuje je sobie piękniejsze, gdzieś tam nad górami.

Więszego i szerszego rozgłosu nabrał *Tepla-Trencsin* dopiero w czwartym, w piątym dziesiątku bieżącego stulecia, a mianowicie od chwili, w której z rąk węgierskiego magnata Illés-házego przeszedł na własność przemysłnego barona Jerzego Sina. Liczba gości rosła odtąd stale; w r. 1884 wynosiła już 3190; w roku 1891 doszła do 4311. A tego roku? Jesteśmy dopiero w pierwszych dniach czerwca, na samym początku urzędowego sezonu, niepodobna przeto kusić się o postawienie matematycznie ścisłego horoskopu; wszakże, jak zaręcza od długich lat rezydujący tu komisarz rządowy, p. Śmiałowski (z węgierska: Szmiálovsky), sezon zapowiada się świetnie, i źleby było, gdyby ogólna cyfra kuracjuszków i bawiących w Trenczynie turystów nie dochodziła do 5000. P. Śmiałowski jest blizkim krewnym tak na mnie łaskawych gospodarzów z Rajecz; podobnie też jak oni przyjmuje Polaka jak brata; po trzech minutach milej polskiej pogawędki, zaprasza do siebie z więcej niż polską gościnnością na mieszkanie. Żałuję, że zbyt krótki czas, przeznaczony na pobyt w Trenczynie, nie pozwala mi korzystać z tak uprzejmego zaproszenia; natomiast pewny już, że cierpliwości nadużywać mi wolno, pytam o stosunki, o Polaków w tutejszych Cieplicach bawiących. Po, a może i obok Mehadii zajmuje Trenczyn pierwsze miejsce między węgierskimi zdrojowiskami. Polaków — choć kąpielowa lista wykazuje dopiero 303 gości — zjechała już i tego roku dość spora gromadka ze wszystkich trzech zaborów; niech pogoda się ustali, niech słońce wysuszy ścieżki i drożyny prześlicznego a olbrzymiego parku, zawita ich tu znacznie więcej. Czekają na nich stale w Trenczynie ordynujący dr. Filipkiewicz; czekają rozłożone w zbytłownej czytelni polskie dzienniki: *Czas*, *N. Reforma*, *Gazeta Narodowa*, *Kuryer Warszawski*, *Dziennik Poznański*; czeka, do wejścia, do wynajęcia taniego a wygodnego pomieszkania zaprasza wymalowany na jednej z głównych will, z szalonym rozpędem w tonie Elstry skaczący książę Józef Poniatowski; czeka też w zacisznej ustroni parkowej mały obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej,

pobożną jakąś polską ręką do drzewa przybity... Czy też obrazek ten, bardzo skromny, a tak jakoś — gdy niespodzianie go przed sobą ujrzysz — do serca przemawiający, tyle wzniecający uczuć, wywołujący wspomnień, czy też znany polskim rodzinom, goszczącym w Trenczynie?

Gdybyś skądinał nie wiedział, że Trenczyńskie Cieplice leżą na Słowaczyźnie, tutaj łatwo mógłbyś się o tem wcale nie dowiedzieć. Najbardziej rozpowszechnionym językiem jest niemiecki; w urzędowych aktach i napisach spotykasz się z węgierskim; w parku, w *kurhanzowych* (za wyrażenie przepraszam i o podanie właściwego upraszam) salach, dolatują cię czasem dźwięki polsko-francuskie, rzadziej rumuńskie; po słowacku rozmówisz się tylko — jeśli *notabene* pierwszy rozmówić się zechcesz — z niewielu stałymi tutejszymi mieszkańcami i ze służbą. Byłem ciekawym, czy też w czytelni znajdę choć jeden słowacki dzienniczek; przerzuciłem stopy niemieckich, węgierskich, francuskich, polskich; słowackiego — może to przypadek — w żaden sposób nie zdołałem upolować, i nie dziwiłbym się, gdyby niejeden z trenczyńskich gości wyjechał stąd z przekonaniem, że Słowacy nie w języku swym nie drukują i nie drukowali. Dla mniejszego ciekawego, jak wyglądają, jak ludzie bawią się i nudzą w międzynarodowych kąpielach, dla pragnącego na pierwszym miejscu zapoznać się z Słowaczyzną, z Słowakami, niema tu co dłużej popasać. Wleczże się, wleczże prędzej miły omiibusie, abyśmy znowu — jak niejeden, nie pierwszy raz w tej niedługiej wycieczce mi się wydarzyło — na pociąg się nie spóźnili; abyśmy dziś wieczorem stanęli niechybnie w stolicy trenczyńskiego komitatu, w wolnem, królewskim mieście Trenczynie!

Z daleka widne, nad całą okolicą królujące, groźne dziś jeszcze w swem opuszczeniu: ruiny trenczyńskiego zamczyska. Do zamkowej góry przytuliło się miasteczko, z drugiej strony zamknięte szumiącymi wodami Wagu; miasteczko porządne, dość nawet rozległe, ale którego kamienice i kamieniczki, wobec naprzeciw wznoszących się, przygniatających je swym ogromem ruin, wyglądają jakby z kart dla zabawki budowane. Ileżto zmiennych kolei przeszło, ilu dziejowym wypadkom przypa-

trzyło się to miasto, ten zamek, słynne w niedługich dziejach Słowaczyny: ich kolebka, ich grób zarazem! Tu — jeśli wierzyć starym podaniom — toczył pod koniec IX. stulecia krwawe boje Świętopelk, król Wielkiej Morawii; tędy dawniej, dawniej jeszcze przechodziły zwycięskie rzymskie legiony, przelatowały niepowstrzymanym pędem dzikie hordy Hunów, Gepidów, Awarów; stąd szedł na zwycięskie walki legendowy bohater słowacki, Mateusz Czak, niezawisły niemal zupełnie „trenczyński książę“. Czak marzył o utworzeniu osobnego słowackiego królestwa, i przez krótki czas (1275—1319) zdawało się, że marzenia te w rzeczywistość przejdą; że „pan Wagu i Tatr“ — jak go zwie poezya — stanie się historycznym założycielem królestwa Wagu i Tatr. Ze śmiercią Czaka marzenia te rozwiały się w nicość, rozwiały się bezpowrotnie; w Trenczynie zatknęli już bez oporu swe sztandary węgierscy królowie; olbrzymi zamek rozbrzmiał weselnymi okrzykami koronowanych i niekoronowanych gości z Niemiec, Czech, Polski, Morawii, podejmowanych hojnie przez polskiego i węgierskiego króla Ludwika. Niedługo później król Zygmunt oddał Trenczyn ulubionemu wojewodzie Ściborowi. Polski rycerz przybrał sobie również tradycyjną nazwę „pana Wagu i Tatr“, lecz królowi wierny, nie myślał bynajmniej o wybiciu się z pod jego władzy; przeciwnie, bronił jej po bohatersku w licznych walkach z Turkami, rozszerzał i ubezpieczał ściągając kolonistów, zakładając nowe wsie i miasteczka, budując obronne zamki. Wspaniałe ruiny zamkowe, w leżącym nieco na południe od Trenczyna, w mnogie a ciekawe legendy bogatym Beczkowie, uprzytomniają po dziś dzień pamięć i zasługi Ściбора.

Trenczyński zamek tymczasem nie stał pustką. Po Ściborach gościli w nim i gospodarzyli kolejno: druga żona króla Zygmunta, Barbara z Cylei, cesarzowa Elżbieta, ambitny Giskra z Brandysa, król Maciej Korwin, buńczuczni Zapolyowie. Szczęk oręża z brzękiem puharów zmieszany, brzmiał coraz rozgłośniej; sława, raczej może rozgłos, rzuciły na Trenczyn najjaskrawsze promienie za dni Zapolyów, lecz były to już promienie zachodzącego słońca. W pierwszych dziesiątkach XVI. wieku wojska cesarza Ferdynanda spaliły pewną część zamku; r. 1663 oblegli

go Turcy; w trzydzieści lat później wojska Rakoczego, po pięcioletniem oblężeniu, zdobyły miasto szturmem, zamku zdobyć nie zdołały; dopiero czego ludzie nie potrafili, tego dokonał straszny pożar w 1790, zmieniając olbrzymie, ze skał jakby wyrosłe, zamczysko w olbrzymią ruinę.

Stoję na rzuconym nad przepaścią kawale starego muru i słuchając opowiadań, legend, wspomnień i żalów starej przewodniczki, Słowaczki, patrzę na dzisiejszy Trenczyn u stóp mych rozłożony, porównywan go z tą średniowieczną magnacką siedzibą: tu gniazdo orłów, tam gniazdeczko wróblów! Nawet największy i nie tylko relatywnie wielki jezuicki klasztor, dziś przemieniony w pijarskie gimnazjum, tak stąd mikroskopijnie wygląda, że zdawałoby ci się, niech z zamkowej góry silniejszy wiecher zawieje, a z fundamentów go wyrwie, w powietrze uniesie. Obok gimnazjum wznosi się kościół w zwykłym, „jezuickim“ stylu zbudowany przez ostrzyhomskiego arcybiskupa, Jerzego Lippay, w połowie XVII. w. Piękna to dziś jeszcze, choć gwałtownie już gruntownej restauracyi się domagająca świątynia; na każdym kroku pokazuje, dla kogo była budowana, kto w niej długie lata zarządzał. Cały sufit pokryty medalionami męczenników z jezuickiego zakonu; boczne ołtarze poświęcone św. Ignacemu i Alojzemu; w głównym, wspaniały obraz św. Franciszka Ksawerego, szczególnego patrona Trenczyna, cudownego zwłaszcza jego opiekuna w czasie strasznej zarazy, grasującej tu w pierwszych latach zeszłego stulecia. Za rynkiem, za zamykającą go średniowieczną bramą, przypominającą nieco naszą bramę Floryańską, znów wielki, ale nowocześnie już klasztor, z miłym, czysto i starannie utrzymanym kościółkiem: to — objaśnia przewodniczka — klasztor i szpital Szarytek, sprowadzonych nie tak dawno temu, dzięki zabiegom doktora-żyda. Dalej, dalej jeszcze, na samym krańcu miasta, znów mała kapliczka; poza nią, za sztachetami, dojrzysz, przez dobre szkła powiększające, gromadkę cyganiat, goniących natarczywie za uciekającym przechodniem; dojrzysz, jak za rzuconym w górę pieniążkiem pędzą na wyścigi, z większym bodaj zapalem od „Kusego“ i „Sokoła“, biją

się o zdobycz i niosą ją z tryumfem do szatry, stąd, z daleka, ludzaco do psiej budy podobnej.

— Chodźcie Panie — prosi Słowaczka i przedpotopowemi kluczami pobrzakuje — chodźcie same ruiny obejrzeć!

Czy też dawni królewscy burgrabiowie, prowadząc temi salami, krużgankami dostojnych gości z świata całego, przypuszczali, że za wieków parę honory robić tu będzie uboga, obłożona wieśniaczka, że z jej dopiero pomocą będzie mógł przechodzić rozpoznać i w myśli sobie dokreślić, do czego sale te służyły? Tu była zamkowa kaplica; tam ciągnęły się długim rzędem stajnie; za niemi wieża głodowa z podziemnym lochem, do którego strącano winowajców na śmierć głodową skazanych; tędy przechód na zamkowy podwórzec, zajęty w posiadanie przez kamienie, zielsko, i oby zielsko tylko i kamienie!; dalej znów ślady bram, baszt, podwórców, krużganków, sklepionych niegdyś galeryj.

— Jakże nie żalić się? — pyta Ludwik Štúr w „bohater-skiej pieśni“: *Matúš z Trenčína*:

Jest nad czem płakać!

Na ziemi ojców z dawna, ah! z dawna czas dla nas straszny, okrutny;
Gdzie przedtem piękne stały pałace, nędzne tam stoją chałupy:

Naród, którego sława szła światem, teraz skowany w niewoli:

Któż ten szczęśliwy, co mu dni jego, dni dawnej sławy powróci?

Jedna tylko w skale wykuta, przerażającej głębokości studnia, przetrwała zmienne koleje losów; rzucony w tę przepaść kawał zapalonego smolnego łuczywa oświeca niekończące, zdawałoby się, przestrzenie, aż wreszcie niknie w kryształowej toni, ledwie że okiem dającej się dosięgnąć. Do studni tej przywiązanych jest kilka ciekawych podań, półbajecznych legend, a każda z nich znowu znalazła już swego i to nie jednego poetę, odbiła się głosem echem w ludowej pieśni. Daleko nie szukając, mieszkający tuż pod Trenczyнем słowacki poeta, ksiądz Marcin Mednianski, poświęcił piękną baladę tej „studni niewidzianej, studni w twardej skale głęboko ciosanej“.

A gdyby też — od opisującej poezji do opisującego poety myślą przechodząc — poetę w własnym jego *home* zobaczyć?

Jeszcze p. Śmiałowski w Rajecz zachęcał mię gorąco, abym, znajdując się w Trenczynie, zboczył do obok leżącego Istebnika i nie minął gościnnego dachu „wielkiego mojego i dawnego przyjaciela, a wielkiego też przyjaciela Polski i Polaków, księdza Mednianskiego!“ Co tu długo namyslać się? Do Istebnika jedna tylko stacya kolejną, ze stacyi poczeiwi ludzie drogę przez pola wskazują — na prawo, na lewo, zawsze, niestety, „najkrótszą“, a zatem w praktyce najdłuższą i najmozolniejszą; lecz ostatecznie i „najkrótsza“ droga koniec jakiś mieć musi, i oto, przeszedłszy długą ulicę domków i chałupek, stoję przed bramą, za którą domek słowackiego poety się kryje; pukam, dobijam się rękami i parasolem, oznajmiam jak mogę najtubalniejším głosem swe przybycie: po polsku, po niemiecku, po łacinie, wreszcie w rozpacz rzucam w powietrze jakąś mieszaninę słowiańskich dźwięków, które wedle najszczerzego mego zamiaru miały do słowackich być zbliżone... W paru oknach pokazały się głowy kobiece, z paru zagrodeń wybiegły psy lekko poszczekując i naradzając się, co cudzoziemcowi ofiarować: wojnę czy pokój; z poza paru drzwi wyjrzało, to naprzód postępując, to znów szybko się cofając, kilkoro rozciekawionych dzieciaków... Próbuję parlamentować, języka zasięgnąć, wreszcie pół na słowa, pół na migi dowiaduję się, że sam gospodarz pracuje prawdopodobnie koło pszczoł w pasiece w głębi ogrodu położonej, a że w dodatku trochę na uszy cierpiący, więc choćbym piersi zerwał, nie przyda się to na wiele; a prócz gospodarza niema w tej chwili najprawdopodobniej żywej duszy w całym domu. Miła, arcypoetyczna sytuacja! Gdybyż choć, skracając sobie czas oczekiwania, warto było obejrzyć dokoła rozrzucone chałupki! ale, Bogiem a prawdą, niema co wiele oglądać; kto do jednej kiedy wszedł, kto zna zresztą nasze polskie, góralskie klitki, słomą kryte, z dwoma izdebkami: białą i czarną, i niewiele od tej ostatniej różną sienią, ten zna i słowacką chatę. Cóż zatem robić?... Na smętne to, nie pierwszy raz postawione i zbyt długo bez odpowiedzi zostające pytanie, odpowiada wreszcie zgrzyt kluczków w bramie; jeszcze chwila, a już ściska mię serdecznie, po słowiańsku, dość wysoki, tęgı mężczyzna, który sześćdzie-

siatkę nie dziś musiał przekroczyć; niewiele wypytuje, kogo wita i co w dom sprowadza, a cieszy się tylko, że o „starym Mednianskim“ ludzie pamiętają: gość w dom, Bóg w dom.

Powitania powtarzają się, szeroka dłoń, nosząca jeszcze widoczne ślady ulubionej pracy w ogrodzie, wyciąga się do powtórnego, serdeczniejszego uścisku, gdy ks. Mednianski dowiaduje się, że ma przed sobą Polaka. „Wyście nasi bracia — wynurza się i czerwony fez z głowy zdejmując, zawzięcie proch i ziemię z długiego surduta nim strzepując — tak! wy nasi bracia i jak braci was kochamy. I ja byłem w Krakowie, a jak mię tam przyjmowano, a jak goszczono... Dość dawno już temu; byłem wtedy proboszczem w Beczkowie, ot! tu niedaleko; dziś podałem się na emeryturę i tu cicho sobie siedzę przy moich drzewkach i przy moich pszczołkach; człowiek starzeje się, ale da Pan Bóg, jeszcze muszę się kiedy do was, do Krakowa wybrać“...

Niedługi pobyt w Krakowie, w czerwcu 1884 r., wyrzył się słowackiemu bardowi głęboko w sercu, i widocznie najmiłszymi głoskami w niem się wypisał. Wieczorem — do ślicznego saloniku, oddanego w zupełne posiadanie polskiemu przybyszowi — przyniósł mi poeta wszystkie skrzętnie z tej wycieczki chowane pamiątki, kronikarskie wzmianki w krakowskich gazetach o przybyciu „miłego gościa“; odwijał, pokazywał jakby cenne relikwie, z pewną nietajoną dumą, z powiedziecby można naiwnem, gdyby nie było tak niewinnem, tak, wszystko razem zważywszy, rozrzucającem zadowoleniem. Mednianski opisał następnie w *Słowenskich Pohľadach* swój *vylet* do „polskich Aten i polskiego Olimpu“; z każdego wiersza tego opisu — czy kiedy spaceruje po „grubom Rynku“, opowiada zaznajomienie się z Grzegorzewskim, Ossowskim, Tarnowskim, lub huczne przyjęcie w „Kole literackiem“ — z każdego wiersza, z każdego ustępu tryska dla nas prawdziwa cześć, najserdeczniejsza życzliwość. A nie w Krakowie, tem mniej w rok później dopiero, gdy warszawski *Tygodnik Ilustrowany* umieścił portret i krótką notatkę o słowackim poecie, życzliwość ta się zrodziła. Dawno przedtem słał w swych

wierszach gorące pozdrowienia, ze szczerą miłością swą zwierzał się *Bratom Poliakom*¹:

Ku Wiśle, ku Wiśle
 Lećcie dumek tony,
 Gdzie moich współbraci
 Słodka mowa dzwoni.
 Do braci Polaków,
 Gdzie Karpat wybrana,
 Gdzie ta najmilejsza
 Wisła ukochana.
 Pozdrówcie mi Poznań,
 Kraków, Lwów, Warszawę,
 Gdzie mój pobratymiec
 Spuszcza oczy łzawe.
 Powiedzcie tam dziatwie
 Niech ducha nie traci,
 Powiedzcie jak kocham
 Piosnki moich braci.
 Powiedzcie, że z duszy
 Kocham dziatwę całą,
 Tę, z ludów słowiańskich
 Najmilszą, wspaniałą.

Z tatrzańskiej lipiny
 Moc Boża i siła
 Ponad brzegiem Wisły
 Gałązkę wsadziła.
 Gałązka urosła
 W drzewo ulubione:
 Za to Tatry drogie
 Bądźcie pozdrowione!
 Od Wagu do Wisły
 Płynicie dumek roje,
 Powitajcie w Polsce
 Przyjaciół moje!
 Ku Wiśle, ku Wiśle
 Lećcie piosnek tony,
 Złóżcie pocałunek
 Na czole wybranej.
 I tę polską dziatwę
 Witajcie serdecznie:
 O Boże! błogosław
 Nam i Polsce wiecznie!

Przerzucając dwa eleganckie tomiki poezyj *Dušana Savy Pepkina* — jak brzmi literacki pseudonim Mednianskiego — można z ręką na sercu przywótórzyć danemu przez poetę zapewnieniu: „Kocha piosnki naszych braci“. Ileż-bo tu odnajdujemy dobrych znajomych, najlepszych od dziecinnych lat przyjaciół! Obok Mickiewiczowskich: „Renegata“, „Noclegu“, „Śmierci pułkownika“, kilka wierszów Goszczyńskiego, Brodzińskiego, Zaleskiego; kilka razy wzięte *motto* z Garczyńskiego, a zwłaszcza, nie wiem z jakiej właściwie racyi tak specjalnie uhonorowanego, Smacznińskiego; wreszcie kilka wierszyków Krasickiego. Jeden najkrótszy, najbardziej znany, zacytujemy, żeby się przypatrzeć, jak nasz Krasicki, jak nasi poeci wyglądają w słowackiej szacie:

¹ Wiersz ten cytujemy w tłumaczeniu p. Melanii Parczewskiej, umieszczonem w *Dzienniku Poznańskim* z 13 kwietnia 1884.

Na Michala ¹.

Pane Michale,
Znaś dokonále
Že voždy l'udia,
Čo deň sa trúdia.
Tých zlosť zaslepi,
Tých zisk zasklepi,
Tých sláva vábi:
Tých závist zehabi:
Či kladú čísla,
Či nič nemyslia,
Trebárs zle v svete
Jednak žit chcete;
Či sa ho sprostít?
Trpeť, nie zlostiť:
Bo ktož bez „ale“?
Pane Michale!

Panie Michale,
Wiesz doskonale,
W codziennym trudzie,
Co to są ludzie.
Tych złość zaślepia,
Tych zysk zasklepia,
Tych sława ludzi,
Tych zazdrość budzi:
Ci nadto kreśla,
Ci nic nie myślą...
Więc źle na świecie?
Żyjem w nim przecie.
Więc się wynosić?
Zostać i znosić:
Bo któż bez ale
Panie Michale?

Po kolacyi, po oryginalnym „paprykasie“, którego nazwę starałem się, ile mogłem, wiernie sobie spamiętać, lecz „treści jego polski nie pojmie żołądek“; po narodowych „brindzowych haluškach“ (mówiąc bardziej zrozumiale i bez omówień: kłuseczkach ze serem); przy szklaneczkach napelnionych złotym płynem, pochodzącym z winnicy, którą przed chwilą zwiedzaliśmy: śpiewa, recytuje sam gospodarz, towarzystwem, wspomnieniami ożywiony, przeróżne słowackie piosnki i piosenki; wtóruje mu młody, może dwudziestoletni siostrzeniec, Madziar w każdej kropelce krwi, Madziar z przekonania i nazwiska: *Zsámbe kréthy Gusztav*.

Wielki i piękny skarbiec tych słowackich ludowych pieśni! Od dawna rozbrzmiewały one, z pokolenia pokoleniu podawane, na brzegach Wagu, na karpackich halach, i hen daleko, daleko: w Czechach, w Polsce dalej, nad morzem Czarnem, czasami aż nad Eufratem i nad Nilem, dokąd zachodzili za zarobkiem: tren-czyńscy druciarze; przemysłni wędrowni kramarze, znani dobrze od dawien dawna w Polsce pod nazwą „Węgrów“; „pytlkarze“, zaopatrujący młyny całych Węgier pytlami swego wyrobu; „boro-

¹ *Poesie Dušana Savy Pepkina*. Svazok II. Turč. Sv. Martin. 1876. Str. 206.

wiczkarze“, handlujący słynną wódką, od której sami się nazwali; „obrazarze“, „bryndziarze“, szklarze, olejkarze — i któż ich wszystkich wyliczyć potrafi? Każde pokolenie przekształcało, zdobiło lub szpeciło różnemi dodatkami przekazane sobie tradycją piosenki; niejedna pewnie bezpowrotnie zginęła; dopiero w ostatnich latach, kilku „przyjaciół słowackich śpiewów“ zajęło się gorliwie zbieraniem tych rozproszonych, czasami w proch już startych, w mnóstwie lichego kwarcu kryjących się jeśli nie brył, to bryłek prawdziwego złota. Dwanaście lat temu, r. 1880 wyszedł pierwszy zeszyt podjętego na wielką skalę, nutami podsłuchanemi od samychże wiejskich śpiewaków opatrzonego, wydawnictwa p. t.: *Slovenské Spevy*; w tej chwili gotowe już są trzy zeszyty drugiego tomu, a sądząc po energii, z jaką obecny wydawca, Karol Ruppeldt, do pracy się bierze, i dalsze nie każą na siebie zbyt długo czekać. Trzeba słyszeć samego wydawcę, z ilu trudnościami wciąż walczyć musi, do jakich uciekać się wybiegów, aby ułoić tekst i nutę niejednej, „sobie nie innym“ śpiewanej piosneczki; co za tryumf za to i pociecha, kiedy wreszcie łowy szczęśliwie się udały!

Z piosenek tych, zawsze prostych, często serdecznych i rzuwanych, często znów żartobliwych, wesołych, nieraz dość rubasznych, ledwie parę razy istotnie gorszących, odtworzyć sobie można całe życie Słowaka; widać w nich jak w zwierciadle jego marzenia, pragnienia, długie miesiące chłodu i głodu, znacznie krótsze wesela. Obok częstych a czułych gruchań do różnowłosych i różno-ocznych Marienczek, Mariszek, Aniczek; obok stosunkowo bardzo niewielu patryotycznych narzekañ, występują na pierwszy plan mniej poetyczne westchnienia — do hałušek, do wina, do najwyższego, niedościgniętego ideału: pięknych „čižmičkův“ (bucików). Młodego parobka piosnka napomina:

Nie pij chłopcze! nie pij wody,
Z tego tylko doznasz szkody:
Ale napijno się wina,
Zczerwieniejesz jak kalina!

Co prawda, nie zawsze owo picie wina najpiękniej i najidealniej się kończy; oto np. żywemi barwami odmalowana scena z codziennego życia:

Nie przysła mi moja żona, nie przysła mi z miasta,
 Aż kogutki zaśpiewały;
 Przepiła mi buty i prześcieradło,
 Przepiła czapkę, przepiła i sadło.
 A ja chwycił moją żonę, jak włóczę, tak włóczę
 Za włosy po ziemi:
 Gdzie moje buty, gdzie prześcieradło,
 Gdzie moja czapka, gdzie sadło?

Kiedyindziej żywo przypominają się nasze polskie śpiewki:

Tańcowały burak z banią,
 A pasternak cup, cup za nią:
 Cybula się zaś dziwuje,
 Co ta ćwikła dokazuje!

Nie brak też i poważniejszych, smętnych, rzewnych, a w najlepszym słowa znaczeniu poetycznych odgłosów:

Zahuczały góry, zahuczały lasy,
 Ah! gdzieżeście poszły mej młodości czasy.
 Mej młodości czasy nie zażyły krasy,
 Mej młodości lata nie zażyły świata.
 Młodość moja, młodość, poszłaś mi na marność,
 Poszłaś ku marności, dla mej niedbałości.
 Młodość moja, młodość, takem cię utracił,
 Jakoby kamyczek był do wody wrzucił.
 Jeszcze ten kamyczek w wodzie się obraca,
 Ale moja młodość nigdy nie powraca.

Głodny Słowak na przednowku prosi naiwnie:

Boże mój, Boże z wysokiego nieba,
 Kiedyś mi dał zęby, dajże mi i chleba!

O sąsiedniej Polsce, o Polakach mało co wie gminna pieśń słowacka; jeden tylko Kraków żywiej i częściej porusza ludową fantazję, która — co dziwniejsza — łączy go regularnie z wzlatującym nad murami jego sokołem. Cudowny ten ptak:

Leciał, leciał, zaleciał,
 Aż nad Kraków doleciał.
 Siadł se tam na ryneczku,
 Na czerwonym domeczku,
 Tak wesoło zaśpiewał,
 Aż się Kraków tam zebrał,
 A wszyscy Krakowianie
 Popadli w dziwowanie.

Można — komu chęć i wola, kto np. musiałby naprędce napisać do jakiej gazety przydłuższy artykuł wstępny — można nadawać tak tej, jak innym krakowskim piosneczkom, jak przejętym od nas licznym, a często i dowcipnym „Krakowiakom“, głębsze, alegoryczne znaczenie, snuć z nich długi łańcuch różnego rodzaju konsekwencji; w ożywionem istebnickiem kółku, w którym naprzemian coraz inne, na coraz inny ton nastrojone płynęły piosneczki, nie zdaje mi się, aby kto poddawał je zbyt głęboko idącej analizie. Po słowackich śpiewkach przyszła kolej na polskie hymny. Młody Zsámbechréthy zagrał „Boże coś Polskę“ i urywek z „Krakowiaków i Górali“, a w bezpośrednim następstwie: „Koszuta pieśń pożegnalną“.

— My Węgrzy — mówił z naciskiem — dobrze znamy wasze patryotyczne pieśni. „Boże coś Polskę“, prześliczną pieśń „O czwartym regimencie“, śpiewaliśmy wszyscy w szkołach po węgiersku z niesłychanym entuzjazmem. A spytaj się ksiądz, czy Słowacy, czy młodsza, pansławistyczna generacya, kiedy je dziś śpiewa? Swoją drogą, Słowacy poczciwy lud, szkoda tylko, że ich balamucą...

I z uśmiechem, wskazując na mnie, na siebie samego i na poważnego wujaszka, zacytował słowackie przysłowie:

Polak, Węgier a Słowak,
To tylko dobry wojak!

Pół godziny, w najpiękniejsze romantyczne widoki bogatej drogi, nad brzegami rwiącego i szumiącego Wagu, doprowadza nas do stóp stromej skały, na której wznoszą się opuszczone od stu lat ruiny kościoła i przylegającego doń niegdyś klasztoru. To słynna na Słowaczyźnie cała „Skalka“, cel corocznych wycieczek i zachwytów trenczyńskich gości; cel pobożnych pielgrzymek okolicznego ludu, prawdziwe sokołe gniazdo, któremu natura nie odmówiła żadnego wdzięku, na którym historia mnogie, w dawne, bardzo dawne wieki sięgające, wyryła wspomnienia. Przez długi, kilkakrotnie zaginający się, wązki korytarzyk, w skałę ręką przyrody wykuty, dochodzimy przy świetle kaganków do podziemnej kaplicy, przerobionej z jaskini, w której

za czasów króla św. Szczepana modlili się i pokutowali polscy pustelnicy, Zoerard czyli Żórawek i uczeń jego Benedykt.

Pierwszy zrodzony w Opatowcu, był „stanu wiejskiego — jak Skarga nasz, tłumacząc Maura, biskupa pięciokościelnego, o nim pisze¹ — ale darów Bożych wysokich i wielkich pełen... Umyślił pustelniczy żywot wieść. Jakoż obrawszy sobie jedno miejsce puste i od ludzkiego towarzystwa dalekie, z wielkiem nabożeństwem i udręczeniem ciała swego tam mieszkał, łaski tylko i chwały Bożej szukając — tak jako mi uczeń jego Benedykt powiadał... Po pracy jego dziennej taki był odpoczynek nocny, który nie mógł się zwać odpoczynkiem, ale raczej strudzeniem. Miał pień jeden trzcina ostrą wokół ostrożony i na nim siedząc odpoczywał w nocy, a jeśli się we śnie na którą stronę pochylił, na ostrą trzcinę padłszy i na niej się zraniwszy, obudzić się musiał... Tak był ku służbie Bożej gorący, iż czasu na spaniu tracić nie chciał i swoje ludzkie usposobienie anielskiemu, ile być mogło, przyrównując, nieustawajacem pieniem chwalić chciał Stworzyciela swego... To mam z tego Benedykta, ucznia jego, który po nim przez trzy lata ciasny żywot, na wzór mistrza swego wiodąc: od rozbójników, którzy mniemali, aby wiele pieniędzy u niego naleść mogli, nad rzekę Wagę zaprowadzony, zamordowany jest. Ciała jego długo szukano: naleść się nie mogło; aż gdy obaczono, iż orzeł u onego brzegu nad Wagą, jakoby czego strzegąc, przez rok cały siedział, puścili na dno jednego człowieka, który całe, tak jakoby świeżo umarłe ciało znalazł...

„Mniemałem — kończy Skarga swe opowiadanie zwykłym „obrokiem duchownym“ — aby o tym Świętym swojej krwi Polacy nie wiedzieli; ale gdy tenże żywot jego znalazł w Legendach krakowskich, poznałem pilność i nabożeństwo przodków naszych ku Świętym Bożym — z którego też naśladowanie ich tak wielkich cnót pochodziło. Boże! daj i nam ich śladem chodzić!”

¹ „Żywoty Świętych“. 6 maja. Żywot św. Jędrzeja, Polaka, pustelnika, Żórawkiem nazwanego.

Jakaż lepsza, Bogu miłsza modlitwa płynąć może z serca przed umieszczonym w dawnej jaskini posągim modlącego się pustelnika, jak ta Skargowska!? Mimowoli uginają się kolana w tym przybytku, głoszącym zwycięstwo duszy nad ciałem; serce żywiej w piersi bije; oko, spoglądając przez wązki, forteczny otwór na pieniające się pod skałami nurty Wagu, wyżej myśl prowadzi, tam, dokąd przed tysiącem lat szły stąd myśli świętych naszych przodków; wyobraźnia maluje i przeprowadza przed wzrokiem duszy długą procesję pustelników, mnichów, kapłanów, którzy tu przez szereg wieków wznosili ręce do Boga w pokornej modlitwie, tu hartowali się do przyszłych znojów dla Boga, stąd szli na bohaterskie, apostołskie wyprawy. Po pustelnikach przyszli Benedyktyni, wykarczowali puszcę, założyli wokoło mnóstwo po dziś dzień kwitnących, samą nazwą założycieli swoich przypominających osad; po Benedyktynach, już za czasów Maryi Teresy, zagościli tu na krótki czas Jezuici; po Jezuitach, w czasie ogólnej kasaty zakonu wypędzonych, zajęły Skalkę na niepodzielną własność: zniszczenie, ruiny. Każdy z kolejnych właścicieli zostawił po sobie ślady: pustelnicy, wyłobione w skałach groty; Benedyktyni, potężne zwaliska klasztoru i świątyni; Jezuici, zakonne swe godła, silnie ze sterczącymi, z wałącymi się murami spojone; znakiem szerzącego się dziś zniszczenia, przelatujące nad głowami zwiedzających nietoperze. Jest i inny jeszcze, drobny, ale charakterystyczny znak, że tradycje zagłębionych w stare łacińskie księgi Benedyktynów, cyceironskim językiem przemawiających Jezuitów, nie od dziś stąd, z całej okolicy ulecieć musiały: w jednej z kaplic leży na stoliku otwarta księga do wpisywania nazwisk zwiedzających, a na tytułowej jej kartce wielkimi, zdobnymi głoskami wypisany tytuł: *Nomina peregrinatorum!* (*sic!*). Biedne duchy mieszkających tu niegdyś wykwinnych humanistów, klasyków, profesorów łaciny, czyż nie błedniecie przed tą wciskającą się bezkarnie na groby wasze węgiersko-kulinarną łaciną?

Dosyć już tych ruin, ruin klasztorów, ruin pałaców, zamków, któremi cała Słowaczyna, jak nie wiem czy inny jaki kraj

na świecie, zasiana! „Patrz na te ruiny — mówi mi na pół ze łzami słowacki patryota, wskazując przez wagonowe okno na malujący się w oddali na zielonem tle gór i lasów cały szereg ściętych do połowy wież, obdrapanych, wałących się ścian — patrz! czytaj! to historia naszego kraju!“... Aż serce się ścisnęło, tak wszędzie tu najcudniejszemi barwami błyszczy dzieło rąk Bożych — przyroda; a wszystkie dzieła rąk ludzkich smutnemi tylko plamami, w dzisiejszem swem zniszczeniu, na tym Bożym obrazie; a ludzie z wyciśniętym smutkiem na obliczach, z żalem w sercu, skargami na ustach, wzajemnie siebie ranią i kaleczą. Tak wszędzie. W sercu Słowaczyny: w Martinie, Trenczynie, Mikulaszu, Rużombork'u; jak na jej zachodnich i wschodnich kresach: w słowackim Rzymie: Tyrnawie, jak w Preszburgu, w Koszycach, jak w Preszowie — żałobna piosenka z żalów, skarg złożona, wciąż o uszy ci się obija; smętną swą nutą za serce targa...

Dobrze ci tu powinno było być: ludzie życzliwi otwierali naościę swe domy, rozszerzające się cudem słowiańskiej gościnności; kraj prześliczny poił oko, ucho, duszę nieziemską jakąś harmonią linii i barw, melodyjną muzyką z gór płynących wichrów, szumiących na górach lasów, pod górami strumyków... Pięknie tu, o! jak pięknie; a przecież gdyś zajechał na stację w Orłowie, a galicyjsko-węgierski Żyd wita cię polsko-niemieckim szwargotem, swobodniej oddychasz... Tu — za galicyjską granicą, którą za chwilę przejedziesz — zapewne nie wszystko lekko i wesoło; ale bądź co bądź wielkim trzebaby być pesymistą, aby nie przyznać, że ogólnie mówiąc, i lżej i — nawet przy dźwiękach żydowskiego szwargotu — weselej...

Ks. Jan Badeni.

NOWY ŻYWOT CHRYSTUSA.

(Le Père Didon de l'Orde des Frères Prêcheurs: JÉSUS CHRIST. Paris. Librairie Plon. 1891. 2 vol.).

Już rok dawno minął, gdy wyszła we Francyi książka, która od razu wiele nabrała rozgłosu. Jedno jej wydanie następowało po drugim, a wszystkie poważniejsze czasopisma umieszczały jej recenzye. Mam przed sobą egzemplarz tej książki z 22-go tysiąca, a sprowadzony był rychło po ukazaniu się jej. Dziś liczba ta niezmiernie się zwiększyła, bo nawet wyszły nowe wydania popularne i tanie. Tłumaczono ją na wszystkie języki, a w Polsce równocześnie kilka przekładów wychodzić zaczęło¹. Rozgłos tej książki jest tem dziwniejszy, że jest bardzo poważnej, a nawet religijnej treści, jest to bowiem żywot Jezusa Chrystusa, O. Didona.

¹ Przekład polski ks. biskupa Kossowskiego, niedawno temu wykonany i wydany staraniem firmy Gebethnera i Wolffa, odznacza się znakomitymi przymiotami pióra dostojnego autora. Pośród tego mnóstwa tłumaczeń, lichych formą a treścią szkodliwych, jakimi nas Warszawa zarzuca, dziwnie odbijają prace ks. biskupa. Wybiera on zawsze dzieła większej wartości, a w przekładzie umie, jak mało kto z polskich tłumaczy, uwolnić się od wpływu obcego tekstu, pisać czysto i płynnie, tak iż się zapomina o tem, że to tłumaczenie, a przytem myśl i logiczny pochod oryginału oddawać daleko wierniej, niż inne dosłowne przekłady, w których styl i frazeologia obcego autora ustawicznie przegłąda. O. Didon nic nie traci w tej nowej szacie. *(Przyp. Redakcyi.)*

Trudniej nam jeszcze zrozumieć to niezwykle powodzenie książki w naszym kraju; gdy się ją bowiem przeczyta, wrażenie przez nas odniesione, chociaż silne, zaprawne jest jakimś głuchym a głębokim bólem. Ból ten stąd zapewne pochodzi, że społeczeństwa, niegdyś sobie duchowo tak bliskie, jak francuskie i nasze, tak daleko się już dziś rozbiegły, iż się wzajem ledwie zrozumieć mogą. Trzeba dziś już z naszej strony osobnej pracy umysłu, długiego zastanowienia się, medytacyi prawie, aby odgadnąć te pojęcia i prądy, które w dzisiejszej Francyi są źródłem sukcesu mnóstwa książek, a także i tej książki Didona. Jest w Kursie literatury słowiańskiej Mickiewicza, wśród mnóstwa genialnych ustępów, i ta nadzwyczaj trafna a głęboka uwaga, że Francya, z wielu różnorodnych złożona plemion, wspólnem wiekowym życiem katolickiem do niezwyklej doprowadzona jedności duchowej i politycznej, w miarę jak to życie ustawać będzie, napowrót na swe składowe części rozpadać się zacznie. Jedność bowiem ducha, z miłości płynąca, nie jest naturalną własnością ludzkości, i owszem, naturalnem jest jej nieporozumienie i nienawiść, a tylko wyższy boży pierwiastek chrześcijański zdolny jest odnieść tryumf nad temi rozkładowymi pierwiastkami natury ludzkiej. To, co we Francyi, przez tyle wieków silnie zjednoczonej, zarysowuje się dopiero, to wśród narodów i warstw społecznych w Europie dokonywa się daleko wyraźniej; — coraz mniej się rozumieją — nienawidzą coraz bardziej. Ale pominąwszy nienawiść polityczną i społeczną, która do świata naukowego nie powinna nawet znaleźć wstępu, nieporozumienie coraz głębsze duchowe pomiędzy narodami i społeczeństwami tej samej cywilizacyi chrześcijańskiej, jest faktem widocznym a nieznosnie bolesnym, tragicznym nawet, bo zdaje się, że na tej drodze musi się wkońcu dojść do ostatecznego rozkładu i barbarzyństwa. Od tej myśli trudno się uwolnić, czytając książkę Didona, i stąd ten ciągły ból i niesmak, który do spokojnego osądzenia książki przeszkadza.

Od czasu „Życia Jezusa“ Renana wyszedł już we Francyi cały szereg żywotów Chrystusa Pana, zaczawszy od Veuil-

lota, a skończywszy na ks. Bougaud, i ostatnio na ks. Fretté¹; wszystkie są nam zrozumialsze i miłsze, niż książka O. Didona, żaden z nich jednak nie miał tego znaczenia i rozgłosu. W takim żywocie ks. Bougaud'a np. jest, zdaje się, zebrane wszystko, co może rozwiać, naukowo płytkie i sprzeczne ze sobą a tylko stylistycznie subtelne i znakomite wymysły zmarłego niedawno Renana i naukowo dużo od niego poważniejszych współzawodników jego w Niemczech. Jest tam cały szereg argumentów, które zdrowemu rozsądkowi wykazują wyraźnie bóstwo Chrystusa Pana i boską instytucję Kościoła. Jest ciepło i prostota, i szybkie jakieś tempo pomijające drobnostki i szczegóły mniej ważne. Przeciwnie, u O. Didona jest pochód powolny, zmęczony jakiś i nierówny, zdaje się, że autor dźwiga jakiś ciężar przechodzący jego siły, że jest preokupowany czemś, co nie wchodzi w cel jego drogi, nieraz drobnostka go zatrzymuje, nieraz zatacza wielkie koło, by dojść tam, gdzie jeden krok zawieść go może, a po dziesięć razy pokazuje palcem to, co aż kłuje w oczy swą oczywistością. Ale po przeczytaniu tych dwóch żywotów czuje się doskonale, że ks. Bougaud pisze dla katolików, aby ich umocnić w wierze i dać im argumenta przeciw jej wrogom, a O. Didon pisze dla akatolików, dla tych, którzy poza prawdziwą wiarą i Kościołem z dobrą wolą i w dobrej jednak wierze szukają prawdy. I ta nierówność pochodzenia jego płynie cała z tego źródła. Ten niezmierny ciężar, który go tłoczy, to ciężar niewiary naszej epoki, a ta preokupacja, to pamięć o tem mnóstwie dusz zwątpiałych, które zbawić trzeba, te zataczania się i to uwzględnianie drobnostek, to troskliwość głęboko młującej duszy, by nie zgasić dymiącego jeszcze knotu i nadłamaną trzciny do reszty nie złamać, by się stosować do słabości, do uprzedzeń, do pomyłek tych umysłów, do których się przemawia. Dzieło O. Didona jest więc dziełem apostołstwa na zewnątrz, jest aktem wysokiej cnoty, jest w całym tego słowa

¹ L'Abbé Em. Bougaud: *Le Christianisme et les temps présents*. Tome deuxième: *Jésus Christ*. Paris. Libr. Poussielgue frères. 1884. 5 vol. — L'Abbé S. E. Fretté du Clergé de Paris: *Notre Seigneur Jésus Christ sa vie et ses enseignements*.

znaczeniu dobrym uczynkiem, i to stanowi największą jego wartość. Takie zaś założenie dzieła wymagało z natury rzeczy, aby autor zapoznał się z obecnymi prądami duchowymi i z całą naukową metodą tych, dla których pisał, a więc przedewszystkiem swego narodu, a to właśnie tłumaczy nam, dlaczego ta książka mniej odpowiada nam, a ma takie powodzenie we Francyi.

Byłoby zapewne niezmiernie pożądaną rzeczą, żeby książka taka, tak ogólnie ludzkiego znaczenia, nie dla jednego narodu i nie dla jednej epoki była pisana, ale to znowu z natury rzeczy nie jest możliwe. Tylko prawda jest jedna zawsze i dla wszystkich, fałsz zaś ciągle się zmienia i jedynie tej różnorodności swojej trwałość swą zawdzięcza. Nie jest on więc nigdy ten sam w rozmaitych blizkich sobie czasach, w rozmaitych graniczących ze sobą społeczeństwach i narodach, ale przechodzi powoli z miejsca na miejsce, a w pojedynczych krajach powtarza się wtedy dopiero, gdy już dość minęło czasu, aby był zapomniany i by mógł za coś zupełnie nowego uchodzić. Kto więc chce tak jak O. Didon, aby książka jego miała praktyczną doniosłość, wydała rezultat, ten musi pisać do umysłów sfalszowanych swojej epoki, swego społeczeństwa, z pominięciem tego, co się kiedyindziej działo, gdzieindziej dzieje. Większa zaś lub mniejsza uniwersalność takiego dzieła zależy od tego, czy społeczeństwo, do którego mówi, w błędach swoich mniej lub więcej łączy się z błędami innych społeczeństw i narodów; a że (chcielibyśmy prawie powiedzieć: „na szczęście“) tak jest, że z jednej strony Francya przerabia dziś błędy Niemców, których naukowość jej imponuje, a błędy z Francyi zawsze jeszcze, jako rzecz mody, rozchodzą się szeroko po krajach słowiańskich, więc i książka O. Didona nietylko dla Francuzów, ale, choć w dużo mniejszym stopniu, i dla całego europejskiego społeczeństwa ma znaczenie.

Dodamy jeszcze do ogólnej charakterystyki dzieła, że autor nietylko nie ma pisarskiego geniuszu, ale brak mu nawet dość wybitnego talentu. Nikt mu z tego zarzutu czynić nie może, bo tylko wolę sądzić nam wolno, a ta jest u autora niezwykłą siłą swoją i dobrocią. Oddał on całe życie swoje nauce, podróżom po Ziemi świętej i rozmyślaniu — oddał wszystkie

skarby gorąco miłującego serca, by swego dzieła dokonać. Dlaczego Bóg nie pobudził do takiego dzieła talentu nierównie potężniejszego, to Jego tajemnica. Może właśnie ta właściwość dzisiejszego naukowego życia, że opiera się ono nie na kilku genialnych jednostkach, ale na mnóstwie drobnych badaczy, najczęściej bardzo miernych — może ta właściwość wymagała właśnie, aby to dzieło bardziej powolną i mrówczą pracą, niż genialnym talentem stworzone zostało.

Jednym z najpotężniejszych prądów obecnych, a może stanowczo najpotężniejszym, jest realizm; obejmuje on tak szerokie światy, że w każdym z nich nabiera innego znaczenia i dlatego tak określić go trudno. Czem innym jest realizm w sztuce, czem innym w życiu, czem innym w historii, a jeszcze i w sztuce, i w życiu i w historii każda jednostka inaczej pojmować go może. W każdym jednak objawie swoim i w każdym sposobie pojmowania oznacza on zawsze dążenie do rzeczywistości i prawdy, do odróżnienia i oddzielenia tego co jest, od tego czego nie ma. W tem najwyższym pojęciu swoim realizm jest niezmiernie zdrową reakcją przeciw idealistycznej filozofii, przeciw sztucznemu życiu i niesprawiedliwościom społecznym XVIII. wieku, przeciw konwencyonalnej sztuce, przeciw naciągniętej do jakiegoś z góry powziętego systemu stronnicej historii. Realizm wtedy dopiero schodzi na błędne drogi i staje się fałszem, gdy się myli co do rzeczywistości jakiegoś bytu, gdy uważa za istniejące rzeczy, których nie ma, lub gdy przeczy istnienie tych, które są. To drugie, pewna ekskluzywność i ciasnota w przyznaniu bytu rzeczom, które są, jest dzisiaj głównem źródłem naukowych błędów i pomyłek. Nie każde bowiem istnienie jest nam jednakowo oczywiste. Są rzeczy, na które codziennie oczyma naszymi patrzymy i których dotykamy, i o których istnieniu żaden zdrowy rozsądek nie wątpi. Są inne, które mamy tylko ze świadectwa innych ludzi: takimi są wszystkie fakta historyczne, a nawet większa część faktów przyrodniczych, których z własnego doświadczenia nie znamy. Są nareszcie inne prawdy, które dopiero całym szeregiem dowodów wykazać można:

takimi są wszystkie relacye między ilościami matematycznymi, lub istnienie Boga, duszy, przyszłego życia i t. d. Otóż zdarzają się ludzie, którzy albo dlatego, że nie mieli czasu zapoznać się z temi dowodzeniami, albo że, mniej mając talentu, nie mogli ich zrozumieć, albo że byli zbyt leniwi, albo że istnienie niektórych rzeczy było im niewygodne, woła istnieniom takim przeczyć jedynie dlatego, że nie podpadają pod zmysły i nie mają zwykłej codziennej oczywistości. Takich ludzi jest nawet dziś dość dużo, i ci są powodem, że materyalizm stał się cechą naszych czasów i jakby powłoką naszego społeczeństwa. Mówię: powłoką, bo wśród nas wiara w Boga i w nieśmiertelność duszy jest jeszcze powszechna, a tylko brak dostatecznych wiadomości i lenistwo, i chęć uniknięcia wszelkiej walki sprawia, że się przed materyalistycznymi ogólnikami uchylamy, że je nawet powtarzamy i że one na nieszczęście wsiakają coraz głębiej w umysły. Dziś jednak jeszcze obok krzykliwych propagatorów tych ogólników i obok wydawców tuzinkowych dziełek „popularyzujących naukę“, znajdujemy u nas nierównie liczniejszy zastęp ludzi prawdziwej nauki i wiedzy, którzy szczerze i sumiennie szukają prawdy.

Szczególnie na polu historycznym, realistyczny kierunek wielkie i dodatnie bardzo przyniósł rezultaty. Już z początkiem tego wieku ludzie uczeni rozmaitych krajów, chociaż akatolicy, poczęli badać sumiennie dokumenta i bezstronniejsze wydawać sądy o papieżach i Kościele, czem się prawdzie i Kościołowi niezmiernie przysłużyli. Przyszli oni bowiem do przekonania, że prawa krytyki historycznej lub historyczna metoda musi być jedna dla wszystkich kwestyj i czasów, że nie godzi się mieć dwóch miar i dwóch wag, wedle tego, czy się starożytną, czy chrześcijańską obrabia epokę, i na tej drodze rzeczywiście w przeciągu pół wieku sztuka oddzielania prawdziwych faktów od fałszywych, a nawet sztuka odgadywania prawdziwych motywów działania do wielkiej doszła doskonałości. Ale i w historii materyalizm stawiał się nieraz na miejscu dobrze zrozumianego realizmu, wykluczając z historii wszelki wyższy pierwiastek, wszystko to, co w motywach działania nie było interesem do-
czesnym, a bardziej jeszcze wszelką interwencję Boga.

Że z takiego traktowania historii najgorzej musiał wyjść najdonioślejszy fakt historyczny, tj. żywot Chrystusa Pana, łatwo pojąć. Tu, gdzie wszystko jest cudem, rezultat stawał się usiłowaniu wręcz przeciwny, i drobnostkowa a ciasna gorliwość sfałszowanego umysłu o to, by w żywocie Pana Jezusa wszystko było realistyczną prawdą, sprawiała, że wszystko stawało się fałszem. Historyk tak piszący, gdy z jednej strony wynosił P. Jezusa jako człowieka ponad wszystkich ludzi, a z drugiej podawał w wątpliwość prawdę Jego słów i cudów, przyłączał się całą duszą swoją do tego tłumu pospółstwa i żołnierzy, którzy, kłaniając się Jezusowi, policzkowali Go i plwali w oblicze Jego. Gdy do podobnych usiłowań w dobrej podjętych wierze przyłączyły się dzieła wyraźnie złej wiary, jak Renana i wielu innych, zrozumiemy, co w mnóstwie dusz chrześcijańskich stać się musiało z postacią Boga-Człowieka, i jakie wskutek tego wogóle w duszach tych musiało powstać zamieszanie. Postawienie więc tej Boskiej postaci w historii takie, jaką była w istocie, jest dla ludzkości dzisiaj rzeczą pierwszorzędną wagi, i nie dziwnego, że katolicy pisarze idą o to w zawody.

Jeżeli dla każdego, piszącego bezstronnie historię ludzkości, żywot Chrystusa Pana i Jego działanie musi być pierwszorzędnym i najważniejszym historycznym faktem, tem bardziej nam katolikom chodzić musi o jak najprawdziwsze zarysowanie tej Boskiej postaci, gdy ona ma dla nas i dla ludzkości całej nie tylko historyczne, ale i religijne znaczenie. Ale właśnie to, że postać Chrystusa Pana ma charakter religijny i nadnaturalny, a w porządku naturalnym jest tak rzeczywistą i realną, iż żaden najzagorzalszy materyalista zaprzeczyć jej istnienia nie może, a i to także, że kto pozna i uzna Chrystusa Pana w całej prawdzie, musi przyjąć na siebie obowiązki częstokroć twarde — to właśnie sprawia, że żadną osobistością historyczną nie zajmowano się nigdy tak bardzo i tak szczegółowo, jak Chrystusem Panem, że żadne dokumenta historyczne nie były tak drobnostkowo i uważnie, a także częstokroć tak stronniczo i namiętnie badane jak te, które są źródłem tego Boskiego żywota. Gdyby o jakimkolwiek bohaterze starożytnym lub cesarzu średniowie-

cznym doszła nas dziesiąta część nierównie mniej wiarogodnych dokumentów jak te, które mamy dziś o Chrystusie Panu, już dawnobyśmy się na wszystkie szczegóły jego żywota zgodzili. Ale tu przedmiot jest tak ważny, że gdziekolwiek dała się wsunąć jakaś wątpliwość o autentyczności, interpolacyi lub pomyłce, pewno jak najobficiej wyzyskana została przez akatolickich pisarzy. Ale w ślad za nimi szli pisarze katoliccy, a często i akatolicy innego obozu, i ilekroć zarzut okazywał się bezpodstawny, a miał na celu obalenie prawdy, tylekroć zwycięsko odparty zostawał. Ta polemika historyczna o Chrystusa Pana ma swoją historię tak dawną, jak dawne jest chrześcijaństwo, i jest nawet ze strony niechrześcijan wyraźnem świadectwem, oddaniem wyższemu posłannictwu Jezusa, jest prawdziwą chlubą chrześcijańskiej nauki, a zarazem ona przyczyniła się głównie do wyrobienia się i udoskonalenia dzisiejszej naukowej, historycznej metody.

Jeżeli historyczne przedstawienie postaci Chrystusa Pana ma dla niedowiarków tę trudność, że cały żywot Jego jest cudowny i boski, to dla wierzących i pobożnych chrześcijan trudność jest inna, a i tę nieprzyjaciele katolicyzmu doskonale wyzyskać umieją. Chrystus Pan jest dla nas przedewszystkiem istotą nadziemską, wychodzącą ze zwykłych warunków tego świata, a więc i ze zwykłych warunków historycznej krytyki, do której tylko przymuszeni wziąć się musimy. Choćby najpoważniejsza ale zimna naukowa analiza działania i słów Chrystusowych, ma nieraz pozór nieuszanowania, prawie bluźnierstwa, niezmiernie, pobożną duszę raniący. Tylko wysoki stopień kultury może podobne wrażenie zrównoważyć. Krytycy więc nieprzyjaźni Kościołowi, znając tę wrażliwość naszą, i przyjmując jako niezaprzeczony fakt ogólne mniemanie katolików o konieczności innego traktowania Chrystusa Pana w historii, niż zwykłych historycznych postaci, przenoszą tę różnicę traktowania tam, gdzie im wygodniej, na pole historycznych źródeł, stawiając wobec dokumentów, dotyczących P. Jezusa, wymagania niemożliwe, przy których żaden dokument historyczny ostać się nie może. Innym znowu razem pobożne przekonanie katolików o nadziemskim i mistycznym charakterze P. Jezusa naginają błędnie

w ten sposób, że to, co w żywocie Jego jest cudownem i świętem, przedstawiają jako mit, jako cudowną legendę, za piękną, aby była rzeczywistą. Tak z jednej strony czyniąc niby zadość wymaganiom słusznym delikatnego uczucia pobożności, z drugiej strony przedmiot rzeczywisty tego uczucia fałszują. Jedyna na to rada była w tem, aby i pisarze katoliccy z wyżyn swoich zeszli na ziemię i z większym realizmem postać Chrystusa Pana przedstawiać zaczęli:

Bo słuchajmy i zważmy u siebie,
Że według Bożego rozkazu:
Kto nie dotknął ziemi ni razu,
Ten nigdy nie może być w niebie.

Opatrzność sama widocznie czuwała nad tem, gdy w początkach tego wieku wzbudziła w Kościele ubogą pasterkę, Katarzynę Emmerich, która mękę Pańską i wiele szczegółów z żywota Pana Jezusa i Matki Najświętszej, jako widzenia swoje nadzwyczaj żywo i realistycznie opowiadała. A chociaż opowiadania te, później spisywane, niejednej uległy zmianie i ani dogmatycznej ani naukowej nie mogą mieć powagi, to jednak przyniosły one tę wielką korzyść, że sprowadziły w wielu duszach postać Chrystusa Pana z krainy mitów na pole rzeczywistości, że go ukazały w sposób nadzwyczaj żywy i barwny działającego na pozór jako jeden z nas na tym świecie, wśród ludzi takich jak my, i że dowiodły dla wielu sfalszowanych umysłów możliwości realnego istnienia tak świętej Postaci. Miały także te wizye niezmiernie ożywczy wpływ na religijne malarstwo, a nawet wywołały pewien nowy zupełnie w nim kierunek, którego „Święty tydzień“ Delaroche'a jest może najdoskonalszym, a bardzo niepospolitym objawem.

Wizye Katarzyny Emmerich były w kierunku poznania Chrystusa Pana tem, czem sekcyja trupów na medycynie w celu poznania budowy ciała ludzkiego. Na pozór raziły one i niszczyły najdelikatniejsze uczucia, oswajały z pewnego rodzaju zuchwałością, były nawet może czasem dla słabszych dusz zgorzseniem, ale w gruncie wiodły do rzeczywistości i do dna rzeczy, z wielkim dla ludzkości pożytkiem. To uboczne działanie pewnego

pogrubiania uczuć tem mniej przedstawiało niebezpieczeństwa, że te uczucia były częstokroć wypielęgowane w sztucznej, jan-senistowskiej, chłodnej, lub protestanckiej pedantycznej atmosferze wieczystego *shoking*, nie zaś zdrowem i prawdziwem uczuciem. Przyzwyczajeni widzieć pył na nogach i szatach Chrystusa Pana, chodzącego z miejsca na miejsce, a zmęczenie i pot na Jego obliczu, nie wahalśmy się pójść dalej, i popatrzeć w oczy wszystkim cynicznym i bluźnierczym zagadnieniom przeciwników naszych: czy Ewangelisci pisali prawdę, czy Pan Jezus ją mówił, czy cuda Jego były rzeczywiste, czy może tylko zwodził nimi lud ciemny i t. p., a popatrzyliśmy śmiało na te i tym podobne wątpliwości w tym celu, aby je raz na zawsze zwycięsko odeprzeć. Książka O. Didona jest dziś ostatniem słowem na tej drodze.

Budowa książki jest znakomita. Autor całe działanie Chrystusa Pana za żywota Jego na tym świecie rozdziela na dwie epoki, Galilejską i Judzką, które mają wiele między sobą analogii, a obie kończą się pozornie zupełnym upadkiem idei Chrystusowej, zupełnem pobiciem Jego mesyanizmu. W Galilei ludność gorąca a prosta lgnie od razu do nauki i do osoby Chrystusa, zaczyna nawet wierzyć, że On jest obiecany Mesyaszem, ale o tym Mesyaszu ma już przez szkołę faryzejską zupełnie sfalszowane pojęcie. Chce mieć w nim potężnego władcę, który wybawi lud żydowski z niewoli rzymskiej i odda mu panowanie nad całym światem. To też gdy po nakarmieniu cudownem na puszczy entuzjazm galilejskiego ludu do najwyższego dochodzi stopnia, chce go tenże obwołać królem. Chrystus Pan wtedy na razie usuwa się, a potem nad jeziorem Tyberyadzkim tłumaczy ludowi prawdziwą ideę mesyańską, jako duchową, mającą cel pozaziemski, mówi mu wyraźnie, iż On jest obiecany Mesyaszem, żąda od niego zupełnej wiary i obiecuje dać mu ciało swoje za pokarm, a krew swą za napój. Lud wtedy powoli rozchodzi się i zupełnie opuszcza Jezusa. „Ani wymowa, — powiada autor — ani mądrość, ani cuda, ani dobroć, ani bezustanne objawy Ducha, którego Jezus jest pełen, nie mogło zwyciężyć uporu zatwardziałego ludu. Zachwyca się nauką i przyklaskuje

jej, ciekawy jest cudów i nigdy nie ma ich dosyć, ale trwa w niepokucie i w niewierze. Gdy trzeba orzec ostatecznie i wybrać między Ewangelią a starymi przesądami, między nowym prawem Mesjasza a tradycjami narodowymi, staje oporem i odwraca się i trwa dalej w niewoli przesądów i tradycji. Zamiast iść za Jezusem, chce żeby Jezus siedł za nim¹. Jezus zostaje sam z Apostołami, i w Galilei, po ludzku mówiąc, sprawa na zawsze stracona.

W Judei powtarza się ta sama rzecz w warunkach bardzo odmiennych, więc też co do szczegółów z odmiennym wynikiem. Życie Judei było wtedy skoncentrowane w Jeruzalem, gdzie zgromadzona była cała arystokracja rodowa i umysłowa i cała władza kapłańska i państwowa, a wszystkie te czynniki były z góry Chrystusowi przeciwne. Lud zaś ciągle waha się pomiędzy wpływem tych czynników narodowych, a nauką i cudami Chrystusa. I tu znowu entuzjazm ludowy przemaga na chwilę, Chrystus Pan w tryumfie wprowadzony do Jeruzalem i obwołany Mesjaszem zdaje się zwyciężać. Ale gdy znowu nie czyni, co by odpowiadało fałszywym pojęciom narodu o Mesjaszu, gdy nie staje na czele ludu, aby rozpocząć walkę z Rzymianami o polityczną niepodległość narodu, ale o jakimś powszechnem i duchowem mówi królestwie, choć i tu wyraźnie i wielokrotnie powtarza, iż jest Mesjaszem, lud mu już nie wierzy, entuzjazm jego upada, a kapłani i faryzeusze mają zupełnie wolne ręce do dokonania największej zbrodni na świecie, zabójstwa Boga-Człowieka. I tym razem, po ludzku mówiąc, sprawa stracona już wszędzie i na zawsze.

To postawienie obok siebie dwóch żydowskich społeczeństw, galilejskiego i judzkiego, z całą znajomością różnic ich i odcieni, które doskonale tłumaczą odmienny stosunek ich do nauki i działania Jezusa, jest znakomicie przeprowadzone, żywe, do najwyższego stopnia realistyczne. Rzeczywiście opatrnością jest to, że epoka, w której Chrystus Pan żył, zostawiła po sobie najobfitsze i najsilniejsze ślady na długie wieki. Jest to

¹ Tom I., str. 431.

epoka wysokiej kultury rzymskiej, a odradzającej się greckiej, która na Egipt i na Żydów ma wpływ przeważny. Pism z owych czasów jest niezmiernie wiele, a że późniejsza polemika chrześcijan z poganami i Żydami zmuszała obie strony do powoływania się na te pisma i do porównywania i komentowania ich, przeto zachowało się ich bardzo wiele aż do dzisiaj, choćby w ułamkach, a skutkiem nowoczesnych prac historycznych niezaprzeczenie żadna epoka starożytności nie jest nam tak jasna, tak zbadana we wszystkich szczegółach, jak ta właśnie. Bo trzeba było, aby początki tej religii i tego Kościoła, który jest jedynie prawdziwym, były zupełnie wyraźne i jasne, by światło Boże nie wylańiało się, tak jak wszelkie światło ziemskie, z ciemności nocnej i z mgły porannej, ale od razu na tle pełnego światła ziemskiego cudownie zajaśniało.

Wiele jednak trzeba było lat pracy, wczytywania się i rozmyślenia, aby te wszystkie wiadomości w jednym zgromadzić umyśle, aby je ułożyć w harmonijną całość i stworzyć z nich to tło znakomite, które jest na dnie książki O. Didona. Bardzo rozumna była myśl uczonego zakonnika, że mozolną tę i długą umysłową pracę odbywał w samejże Ziemi świętej, w otoczeniu tej przyrody, tych krajobrazów, tych gór i jezior, tych dróg i wsi i miasteczek, przez które Chrystus Pan przechodził, wśród których żył, gdzie nauczał i czynił cuda. Ten element był konieczny do zupełności, do ostatecznej syntezy tego tła niezrównanego, pomógł on z pewnością autorowi do zrozumienia niejednego wypadku, i do opisanie go z tym realizmem pełnym uroku i barwności, który zniwala czytelnika, i przekonywa go zupełnie. Autor jednak nie poprzestaje na pełnym prawdy opisie wypadków. Jemu chodzi głównie o wyniki dogmatyczne, to też przeprowadza on przez dzieło swoje studium głębokie, psychologiczne, nadzwyczaj przekonujące, a tem jest porównanie geniuszu ludzkiego, jaki widzimy w wielu historycznych jednostkach, z duchem, który widny jest w słowach i w całym działaniu Chrystusa. Porównanie to powiada nam, raczej krzyczy, zawsze to samo, że duch Chrystusa, to nie geniusz ludzki, to nawet jakoby zupełna jego antyteza, to duch

nieskończenie wyższy wiedzą, siłą, pokojem, to prawdziwie Duch Boży. Przeprowadzenie to jest tem doskonalsze, że autor, choć od początku Bóstwo Chrystusa Pana afirmuje, jednak zrazu niewiele o niem mówi, że nawet nieraz w sposobie wyrażenia się robi takie koncesye racjonalistom dzisiejszym, iż duszom pobożnym wrażenie sprawia rażące, i trzeba pewnego czasu, ażeby się z tem oswoić. Z góry ufać możemy, że książka, która ma aprobatę tylu biskupów, zgodną wogóle będzie z nauką wiary, ale jednak gdy w pierwszych rozdziałach znajdujemy niejednokrotnie wyrażenie, że Chrystus Pan „czuł w sobie Ducha Bożego“, lub czytamy, że jako dziecko „od ojca i matki nauczył się czytać Pismo św.“, lub że później jako młodzieniec przychodził często do synagogi i siadywał przed Torą, by się modlić i rozmyślać nad słowami Pisma św.¹ — to trudno nie doznać jakiegoś niemilego i prawie niepokojącego wrażenia². Wyrażenia te jednak rychło ustają, a przeciwstawienie postaci Chrystusa Pana najbogaciej przez Boga udarowanym jednostkom

¹ T. I., str. 82 i nast.

² Nie chcemy podejmować na tem miejscu teologicznej polemiki z autorem; zdaje nam się jednak, że trochę daleko się posuwa w przypuszczaniu pewnego rozwoju w duszy Chrystusowej. Przypomnieć sobie trzeba, że według nauki katolickiej dusza ludzka Chrystusa miała od pierwszej chwili swego istnienia nie tylko intuicyę Bóstwa, ale też doskonałą wiedzę wlaną (*scientiam infusam*), tak że Chrystus w życiu ziemskim nie nabywał żadnej wiedzy, tylko w zetknięciu z otoczeniem eksperymentalnie postrzegał, co już z góry wiedział. Kiedy heretycy Agnoici, gałąź Eutychianów, przypuszczali w Chrystusie, jako w człowieku, pewną ignorancję, Ojcowie Kościoła stanowczo przeciwko nim występowali; twierdzili, że dusza Chrystusowa miała od pierwszej swej chwili pełny rozwój wiedzy i doskonałości, a teksty Pisma pozornie przeciwne, jak ten, że *Jezus się pomnażał w mądrości i w latach, i w łasce...* (Łuk. II., 52), tłumaczyli zupełnie inaczej: mianowicie, że Chrystus zewnątrznie swą mądrość stopniowo objawiał, podobnie jak wschodzące słońce stopniowo swój blask ukazuje. W szczególności przypuszczenie autora, że Chrystus uczył się czytać i Pisma św., nie mało nas zadziwia, gdyż nie możemy go pogodzić z tekstem Ewangelii: *Dziwowali się Żydowie mówiąc: jakoż ten Pismo umie, gdyż się nie uczył?* (Jan VII., 15). Wprawdzie jest to tylko głos Żydów słuchających Chrystusa, ale z niego widać, że było notorycznem, iż Chrystus żadnej od ludzi nauki nie odbierał, i Ewangelista tę notoryczność przytacza jako nowy dowód nadprzyrodzonego pochodzenia Jego nauki.

ludzkim przemienia się w każdym nieuprzedzonym umyśle w przeświadczenie, które przez całą książkę płynie jak strumień szeroki, że Chrystus Pan jest Bogiem. Wszystkie wypadki życia Chrystusowego, wszystkie słowa Jego i cuda na to tylko służą, by tę prawdę w duszy czytającego obudzić, i ją w niej utrwalić.

Nietylko Bóstwo Chrystusa Pana, ale także cały stosunek człowieka do Boga na polu nadnaturalnem, jest w książce Dydona obrobiony szczegółowo, tak ze swej strony dogmatycznej jak i moralnej. I w ten sposób przeprowadzona jest w tej książce szczegółowa i zwycięska walka z naturalizmem, z tą doktryną ciasną a zarozumiałą, która cały porządek nadnaturalny ze świata i z ludzkości usuwa, bo nie ma ochoty, lub nie jest w stanie go zrozumieć. A niema wątpliwości, że to, co dziś umysłem kulturowanym i uczonym szczególnie przeszkadza do przyjęcia prawdy Bożej, to właśnie naturalizm, to tendencya przyjęcia tego tylko za pewne, co zrozumieć i skonstatować możemy w objawach codziennego życia, co możemy podciągnąć i podporządkować pod ogólne i stałe prawa natury. W tym powszechnym dziś umysłowym kierunku jest, jak w każdym wielkim fałszu, ukryty cały szereg błędów logicznych. Jest najprzód błędne koło w tem, że bez powodu i dowodu wyklucza się z góry mnóstwo faktów stwierdzonych świadectwem niezbitem, aby jakiemuś prawu naturalnemu nadać znaczenie absolutnej niezmienności, a potem na podstawie absolutnej niezmienności tego prawa dowodzi się niemożliwości owych wykluczonych faktów. Jest dalej sofizmat w tem, że się stawia z góry zasadę zupełnie słuszną przyjęcia za pewne tego tylko, co albo jest oczywiste albo dowiedzione, a potem nie wspominając nawet o tem, że nietylko twierdzenie dodatnie, ale i ujemne, jeżeli nie jest oczywiste, wymaga dowodu, przyjmuje się bez dowodów jako pewny cały szereg twierdzeń ujemnych, jak np. niema cudów, niema prorocत्व, niema Boga i t. d. Autor, stając wysoko ponad te wszystkie naukowe naiwności i dzieciństwa, w przedmowie swojej znakomicie je opisuje i tłumaczy:

„Zbyt wyłączone uprawianie umiejętności ścisłych i przyrodniczych pograżyło umysły ludzkie w materji; zaczęto żądać

od sił materyalnych wytłumaczenia wszystkiego, zaczęto powoli uważać 'za nieistniejące to wszystko, co jest poza nimi; a gdy czyniąc zadość absolutnej potrzebie wyższych umysłów, doprowadzenia wszystkiego do jedności, szukano ostatecznego pryncypium, które panuje nad przyrodą i ludzkością, zamiast znaleźć je ponad ludzkością i przyrodą, szukano go po omacku w ich wnętrzu. Stąd pozytywizm, materyalizm, panteizm, które ciążą mniej lub więcej nad wielką liczbą umysłów, oddających się nauczaniu innych, a ich tajna łączność porywa bezwiednie tłumy. Te trzy systemy tworzą rodzaj atmosfery, w której poruszają się i którą oddychają ludzie naszego wieku i naszego kraju¹.

A w innym miejscu: „Czy istnieją cuda czy nie? Mówią mi, że są niemożliwe, że wszystkie cuda to legendy i mity, które istnieją rzeczywiście jedynie w wyobraźni tych, którzy je wymyślają w łatwowierności, albo w oszukaństwie tych, którzy o nich mówią... Ludzkość nie zna... cudów.

„Jest to odpowiedź panteisty, materyalisty lub pozytywisty, i wedle ich systemów zupełnie jest logiczna. Ale to nie jest odpowiedź człowieka. Czy panteizm jest dowiedziony? Czy materyalizm jest prawdą? Czy pozytywizm jest nieomylną regułą sądzenia? Jeżeli te systemy są mylne a wyznawcy ich są w błędzie, jak to zresztą łatwo wykazać można, co warta ich odpowiedź? A dla tego, kto tych systemów nie przyjmuje, cóż znaczy ich dogmat o niemożliwości cudów?

„Jest w tem zresztą obraza godności ludzkiej i brak uszanowania, jaki się każdemu świadkowi należy; wszystkie te systemy bowiem są zmuszone uważać za oszukańców lub głupców tych wszystkich, którzy solennie i z całą powagą opowiadali o cudach, na jakie patrzyli... Krytyka tak pojęta nie zasługuje nawet na to miano, jest to fałszywa waga, która zawsze szuka tego, co jej używa.

„Zapytuję więc o krytykę rozum zdrowy i nieuprzedzony. Cud jest to zdarzenie, które się dokonywa poza prawami przy-

¹ Tom I., str. LI.

rody przez działanie sił wyższych, a nawet tej siły, która stwarzając przyrodę, prawa jej nadała.

„Czy rozum może dowieść, że taka siła nie istnieje i że nie jest ani rozumna ani wolna? A jeżeli taka siła istnieje, czy rozum może dowieść, że jest niezdolna wmieszać się w wypadki ludzkie lub w wypływające jedno z drugich zjawiska wszechświata?...

„Nigdy, pamiętajmy to dobrze, w żadnej epoce, w żadnej szkole, w żadnym systemie podobne twierdzenia dowiedzionymi nie były. Na dowód taki wieki już czekamy. Kto i jak go wyprowadzi, gdy nie istnieje on absolutnie? Wielcy geniusze, zbuntowani przeciw Bogu, szukają go, i nie znajdują, i poprzestać muszą na systematycznym przeczeniu; ale czemu oni uporczywie przeczą w imię jakiegoś systemu, to my zatwierdzamy w imię zdrowego rozumu. Systemy zmieniają się, a zdrowy rozum nie zmienia się nigdy“¹.

To stanowisko wzniosłe, szlachetne, szerokie i proste zachowuje autor w całej książce, we wszystkich ustępach, w których zdarzenia ewangeliczne tłumaczy lub dalsze z nich wyciąga wnioski, w których analizuje naturę ludzką lub stosunek jej do Boga przedstawia, w których postulaty zdrowego rozumu człowieka lub fałszywe mniemania przeciwników odpiera. Stąd w książce tej mnóstwo rozsianych pereł zdrowej myśli ludzkiej i mnóstwo szlachetnych porywów woli gorącej, które wartość jej niezmiernie podnoszą.

A jednak tu znowu powtórzyć musimy, że książka nie jest z wielkim pisana talentem, i że to jest powodem, dla którego niedość mile się czyta, i że te liczne błyski ducha, które się w niej znajdują, nie od razu robią wrażenie. W tym klejnocie drogie kamienie na drobne pokruszone kawałki, tej samej wszystkie prawie wielkości, jednakowo poprawne, przedstawiają jakby wielki kosztowny plaster, w którym wartości ich rozróżnić nie można, bo nie znać organizmu, nie znać artystycznej miary. Rzeźbiarz gdy dzieło swoje skomponuje w glinie, daje robotnikom bryłę

¹ T. I., str. LXIX.

marmuru, żeby mu je według modelu wiernie odtworzyli. Ale nie poprzestaje na tem. Gdy marmur wyszedł z rąk robotników, wtedy znowu sam bierze dłuto w rękę i wykończa je tak, że cała tego dzieła powłoka nosi ślad mistrzowskiej jego faktury i ręki. O. Didon, wielki myśliciel, dzieło swoje znakomicie skomponował w glinie, w najgłówniejszych zarysach ugrupował doskonale; ale powierzchnię, z którą się bezpośrednio stykamy, pokrył uderzeniami dłuta zbyt jednostajnymi, bez głębszego artyzmu, tak że ona i wrażenie całości osłabia. A osłabia tem bardziej, że w dziele rzeźbiarskiem widzimy najprzód całość, a potem, zbliżając się coraz bardziej, rozpoznajemy szczegóły: w dziele literackiem zaś przez szczegóły i części poznawane jedne po drugich, dochodzimy do utworzenia sobie całości; chyba że autor sam pamięta o tem, by nam z góry tę całość zarysować, i w tem właśnie leży talent jego i artyzm, którego brak w tej książce czuć nam się daje. Zdaje się, że autor porwany i zajęty treścią, niesłychanie wysoką, swego dzieła, nie ma możności o szczegółach pamiętać, że ogranicza się tylko na komentowaniu słów i wypadków, w Boskich księgach zawartych, nie bacząc na to, że forma tych komentarzy jest mniej więcej zawsze ta sama, a treść ich nieraz bardzo do siebie podobna, tak iż ciągle powtarzać się zdaje. Zbyt często autor pojedyncze zdarzenia uzasadnia pewnem ich stereotypowem rozogólnieniem. Gdy np. da nam jakiś rys przewrotności faryzeuszów, następny ustęp zacznie od słów: „Tak to zawsze umysł ludzki gdy się stanie przewrotnym...“, a gdy w jakimś zdarzeniu widoczna jest zmienność ludu: „tak to zawsze lud“ i t. d. Nam Polakom ta forma jest tem wstrętniejszą, że przypomina nam mimowoli ten klasyczny frazes: „Są chwile w życiu ludzkim...“, na tych samych mniej więcej podstawach zbudowany. To wrażenie powtarzania potęguje się i tem jeszcze, że autor nieraz każe Chrystusowi Panu mówić lub czynić to samo w rozmaitych miejscach i chwilach Jego życia. Rzecz to zupełnie dozwolona, i nawet prawdopodobnem jest bardzo, że niektóre przypowieści i nauki Chrystus Pan kilka razy powtarzał, tak jak i niektóre cuda, że wspomnę tylko o cudownem pomnożeniu chleba; nie-

mniej jednak ten sposób przedstawiania przeszkadza bardzo do utworzenia artystycznej całości.

A jednak są tam ustępy wspaniałe. Koniec epoki galilejskiej, to co autor nazywa: „Kryzys mesyańska w Galilei“¹, jest znakomicie przedstawiony, jak niemniej i koniec epoki judzkiej: „Niepowodzenie ostateczne Jezusa“². Śliczny także i niezmiernie głęboko przemyślany jest rozdział o „powołaniu Jezusa“³.

Ale gdy to piszę, ciągle niepokoi mnie myśl, czy taka krytyka formy, gdy chodzi o żywot Pana Jezusa, jest sprawiedliwą i słuszną. Bo ta postać Boża tak się od wszystkich innych odróżnia, tak we wszystkim ma wyjątkowe znaczenie, że i pisanie żywota jej innym musi ulegać prawom, niż pisanie każdej innej książki. Bo najprzód sam przedmiot, który jest tej książki treścią, tak przewyższa wszystko inne i tak porywa, że mimo-woli pisząc, zapomina się o formie. A nadto ten żywot spisany jest już od dawna przez czterech historyków współczesnych, i to spisany pod natchnieniem Ducha Św., można powiedzieć, dyktowany przez samego Boga. Te cztery książki znowu nie-tylko przewyższają wszystkie inne treścią, ale mają też dziwną prostotę i oryginalność formy. Przytem są powszechnie znane, bardziej niż wszystkie inne książki na świecie, znane tak, że większość ludzi chrześcijańskiego świata całe ustępy ich umie na pamięć. A jednak ktokolwiek pisze żywot Pana Jezusa, musi te ustępy, tak różną formą od tego co się dziś pisze, a tak podniosłe treścią i tak doskonale znane, umieścić w książce, i umieścić tak, żeby z nią szarmonizowały się i stanowiły jedną całość; by to, co autor dodaje z innych źródeł lub od siebie, nie wyglądało blado i banalnie, ale cała książka stała się jednolitem artystycznym dziełem. Kto to potrafi?

To też dziękować tylko potrzeba znakomitemu autorowi za to co uczynił, za to, że postać Pana Jezusa niezmienną, nieumniejszoną i niesfałszowaną, ale taką jaką rzeczywiście była, postawił w historii z całym realizmem i prawdą; że Zbawiciela

¹ T. I., ks. III., rozdz. IX.

² T. II., ks. V., rozdz. II.

³ T. I., ks. I., rozdz. VI.

postawił wśród tego społeczeństwa i wśród tych warunków i prądów, jakie wtedy były, nie zmieniając ani jednego choćby najdrobniejszego szczegółu Jego żywota, przez Pismo św. podanego; że Go postawił wobec wymagań dzisiejszej historycznej krytyki, nie zmieniając jej zasad, i owszem, posługując się niemi. Jest to czyn ważny i wielki. Czy równie wielkie będą jego skutki?

Tych nie trzeba sobie przeceniać, ani stąd, że będą niewielkie, brać miarę do osądzenia wartości dzieła. Plon z siejby nie od samego zależy ziarna, ale i od gruntu, na który pada. A grunt ten był zawsze niewdzięczny, a dziś może bardziej niż kiedykolwiek. Temu lat blisko dwa tysiące, nie książka ukazała się pisząca o Panu Jezusie, ale ukazał się sam Pan Jezus, Pan i Zbawiciel, a choć chwilowo był przyjęty z entuzjazmem, wiemy, czego ostatecznie doznał od ludzi. Przyszły potem wieki, które zdawały się być zupełnym tryumfem myśli Chrystusowej i Jego świętego Kościoła na świecie. I dziwiłby się trzeba, żeby było inaczej, bo myśl ta wspaniała i wielka odpowiadała i do dziś dnia odpowiada na wszystkie zagadnienia, jakie w ludzkości były, są i być mogą, daje lekarstwo na wszystkie cierpienia i bóle, godzi wszystkie przeciwieństwa, a chociaż przechodzi wszelki umysł ludzki, tak że nigdy człowiek nie byłby w stanie wytworzyć systemu tak pełnego, tak potężnej i doskonałej całości, odpowiada jednak wszystkim pragnieniom i potrzebom duszy jego. Świat inteligentny za mało zwraca uwagi na to, jak to wszystko, co wydał z siebie duch ludzki, drobnem i karłowatym jest wobec prawd czterech Ewangelij. Moralność pogańska, nie ta którą poganie praktykowali, ale ta którą najwięksi ich myśliciele geniuszem swoim z natury rzeczy wysnuli, jest wobec moralności chrześcijańskiej nieraz wprost potworną. A to co filozofowie pogańscy „bajali“ o Bogu i o naszym do Niego stosunku, jakżeż biednie wygląda wobec naszego katechizmu. A nawet na tem polu, gdzie już umysł ludzki nie przykuwa się do rzeczywistości, szukając prawdy, ale gdzie posługując się wyobraźnią nie ma zdaje się granicy w tworzeniu ideałów, i tam geniusz ludzki stworzył Achillesów i Hektorów, a nawet zaludnił Olimp bogami

i półbogami; ale gdzież wśród tych postaci choćby jedna, któraby choć z daleka zbliżała się do postaci Chrystusa: Boga, który się stał człowiekiem, i stał się na to, by swem życiem całą ludzkość oświecić, a śmiercią ją zbawić. A to nie twórcyobraźni, to rzeczywistość; i jakże się jej oprzeć! Więc nie dziwnego, że kiedyś myśl chrześcijańska zwyciężyła na świecie, dziwnem jest to tylko, że świat ją dziś znowu z pośród siebie wypiera, dziwna jest ta wytrwałość, z jaką to czyni, i że tylu jest ludzi, niepospolitych nawet umysłem, którzy tak łatwo do tej niegodnej pracy zaprzędz się dają.

Temu lat sześćdziesiąt, poeta francuski, wielki talentem, ale styрани niemoralnem życiem i zbolący zwątpieniem¹, wołał do Pana Boga, aby się ulitował nad ludźmi, i ukazał się widocznie oczom ich. Nie ulega wątpliwości, że w owym czasie było wiele dusz, które tak samo czuły i tego samego pragnęły. I przypuśćmy, że Bóg wysłuchałby ich prośby, i żeby się nam dziś ukazał tak, iż moglibyśmy nań patrzeć i dotykać go rękoma, jak to czynili Apostołowie, i żeby znowu zatwierdził to wszystko co kiedykolwiek objawił i w Kościele swoim złożył. Czyby to wystarczyło na długo? Czy ludzie, którzyby się narodzili w sto lat po nas, wierzyliby jeszcze świadectwu naszemu? Jeżeliby wierzyli, to dlaczegoż nie wierzą świadectwu tych, którzy żyli z P. Jezusem — a jeżeliby nie wierzyli, to po cóż miałby się Bóg ukazywać? Niema doprawdy usprawiedliwienia dla niedowiarstwa.

Ks. Eustachy Skrochowski.

¹ Alfred de Musset, *L'espoir en Dieu*.

HINDUIZM.

1) Wisnuizm.

(Dokończenie).

Awatara w Wisnuizmie odgrywa ważną rolę. Wisnu wciela się w Krysznę, Ramę, w różnych Guru, w zwierzęta, a nawet może się wcielić w „Księgę“. W Indyach istnieje sekta, znana pod nazwą sekty *Sikhów*, która czci taką Awatarę.

Sekta *Sikhów* powstała w Pandżabie w XV. w. i w ciągu kilku następnych wieków wytworzyła nowe społeczeństwo, naród niejako, który dziś pod tą nazwą jest znanym. Kabir, Nanak i inni założyciele tej sekty zamierzali pogodzić religijne pojęcia Hindów z pojęciami Mahometan, wśród których mieszkali. Przyjęli jednobożne pojęcia tych ostatnich, znieśli bałwochwalskie posągi bogów i różnice kastowe, nie zdolali jednak przeprowadzić zjednoczenia z Islamem. Co więcej, przyczyny natury politycznej sprawiły, iż władcy mahometańscy Lahory, głównie zaś cesarz Aurangzib, postanowili mieczem wytępić *Sikhów*. Długie i krwawe toczyły się walki, które ostatecznie przyczyniły się do wyrobienia jednolitego i wojowniczego ludu *Sikhów*.

Sikhowie stanowią dziś osobny naród i mają swą własną religię. Wyznają jednobożność. Bogiem ich jest Wisnu pod przydomkiem Hari. Pojęcia ich teologiczno-filozoficzne mają tło wszechbożne, oddają mianowicie cześć boską swej „świętej księdze“ *Granth*.

Granth, albo jak się często używa, *Adi-Granth*, tj. „Księga“ albo „pierwsza Księga“, pisana jest starym językiem Hindui, tak nazwanym przez tłumacza tej księgi, prof. Trumpp'a. Księga zawiera dogmata i sentencje ascetyczne pierwszych założycieli sekty: obok wielu wzniosłych myśli, zawiera jeszcze więcej niedorzecznych bajan¹.

Sir Monier Williams zwiedził jedną z najwspanialszych świątyń, jakie Sikhowie posiadają w Pandżabie, mianowicie „Złota świątynię“ w Amritsar, w pobliżu Lahory.

Świątynia w Amritsar przypomina nieco, tak swą budowę zewnętrzną jak i wewnętrznem urządzeniem, meczety muzułmańskie. Nie szczędzono tam wydatków: gmach z marmuru, dachy złożone, drzwi z litego srebra, bogato cyzelowane; wnętrze trochę puste, nie jest zdobne żadnemi posągami ani obrazami. W środku świątyni wznosi się rodzaj tronu, nad nim baldachin, na tronie leży księga *Granth*. „Dokoła tronu, pisze Williams², siedzą Sikhowie, przewodniczy im Guru, który niskim tonem śpiewa ustępy z księgi, inni wtórują mu przy dźwięku instrumentów muzycznych. Przestrzeń wolna między kołem siedzących Sikhów a tronem, na którym spoczywa *Granth*, jest przeznaczona na dary. Każdy z wchodzących do świątyni Sikhów bije najprzód pokłony przed *Granth*'em i Guru, następnie składa na ofiarę kwiaty, zboże lub datek pieniężny. Niema w świątyni żadnych posągów, lecz sam *Granth* jest rzeczywistem bóstwem. Owinięty w kosztowne makaty spoczywa na tronie; baldachin lśni się od złota i drogich kamieni, sprawiony był przez Randžit Sinh'a za 50 tysięcy rupi. *Granth* uważany jest za rzeczywistego bożka; w ciągu dnia oddają mu cześć boską, wieczorem przenoszony bywa do innej świątyni, gdzie przepędza noc na złotem łożu“.

¹ „To say that it contains many noble thoughts is as true as to say that it abounds in much silly twaddle and inane repetition“. *Brahm. and Hind.*, p. 170.

² *Brahm. and Hind.*, p. 175.

Sikhowie stanowią jeszcze dziś pokaźną ludność, liczą ich około dwu milionów, lecz łączność ich religijna rozluźnia się coraz bardziej. Jeden z wykształconych Sikhów, zapytany przez Williamsa o stanie sekty, taką dał mu odpowiedź: „Zaczynamy powoli powracać do naszych dawnych zwyczajów. Nasz pierwszy Guru zniósł kastowość i zakazał oddawać cześć bałwanom. Lecz nasz dziesiąty Guru był szczerym Hindusem i swym przykładem zachęcił do praktyk hinduskich; większa część Sikhów, zamieszkujących dziś Pandżab, zachowuje kastowość, noszą święte sznury Brahmanów, obchodzą uroczystości hinduskie, zachowują ich zwyczaje (Śraddha), a nawet składają ofiary bałwanom w świątyniach hinduskich“¹.

Wspomnieliśmy wyżej, że w Wisnuizmie każdy Guru jest niezawisłym tłumaczem „Credo“ wisnuickiego; skoro zaś jaki Guru z powodu nauki i niepospolitych przymiotów otrzymuje tytuł *Aczarya*, wówczas uważany jest za Awatarę jeżeli nie Wisnu, to przynajmniej Kryszny, i odtąd jego nauczanie staje się nową doktryną, zwolennicy jego zawiązują się w stowarzyszenie i tworzą nową sektę. Kubek w kubek jak w anglikańskiej Wielkiej Brytanii. Takich *Aczaryów* w Wisnuizmie było wielu; do wybitniejszych, którzy żyli w XV. i XVI. w., należą: Ramanudża, Madhwa, Wallabha i Czaitanya; żyjący zaś w naszym już wieku, Ram Mohun Roy i Keszab Czandra Sen, zasługują na szczególniejszą wzmiankę.

Reformatorzy wisnuiccy dążyli przedewszystkiem do zwrócenia swych współwyznawców na drogę jednobożności, i to jest charakterystycznym znamieniem Wisnuizmu; w wywodach swych jednak i wnioskach różnili się między sobą, a zdarzało się czasem, iż rozchodzili się w kierunkach wprost przeciwnych.

Ramanudża przyjmuje trzy odwieczne pierwiastki: *Iśwara*, Najwyższą Istotę, *Cit*, duszę osobistą, i *A-cit*, świat. Po śmierci dusza nie traci swej osobistości, choć się łączy z Najwyższą Istotą. Madhwa przyznaje tylko dwa pierwiastki, Najwyższą Istotę i duszę ludzką. Świat nie został stworzonym, lecz uczynionym

¹ *Brahm. and Hind.*, p. 178.

i uporządkowanym z materji odwiecznie istniejącej. Obydwaj reformatorzy trzymali się szkoły Sankhya. Sekta, utworzona przez Wallabha, skłania się bardziej do Wedantyzmu, utrzymuje identyczność duszy ludzkiej i Ducha Najwyższego. Ponieważ ciało ludzkie jest częścią Najwyższego, nie należy go umartwiać. Uczniowie jego rozszerzyli to pojęcie i doszli do ostatnich granic epikureizmu. Wallabhowie oddają cześć Wisznu, pod postacią Bala-Kryszny, z epoki jego młodocianego wieku. Na podstawie bajecznych legend, zamieszczonych w Puranach, które opisują różne erotyczne przygody Kryszny z Gopi, czciciele Bala-Kryszny naśladowają w obrzędach swoje bóstwo. Następcy Wallabhy używają dziś tytułu *Maha-radżów*. O praktykach ohydnych tej sekty mówiliśmy już poprzednio. Natomiast sekta Czaitanya należy do najsurowszych i zbliża się do Jogizmu. Czaitanya nauczał, iż główną dążnością czcicieli Kryszny, który jest Awatarą Wisznu, ma być ścisła z nim łączność na tej ziemi; zjednoczenie to nabywa się za pomocą zatapiania się w jego bóstwie, unicestwienia swej indywidualności i wyrzucenia się z samopoznania: stan zachwycenia ma być stanem normalnym zwolenników tej sekty.

Wszyscy dawniejsi reformatorzy wisznuicy, jakkolwiek w zasadzie bronili pojęć jednobożnych, w praktyce jednak robili ustępstwa ludowi: ezoretyczne ich wykłady były jednobożne, egzoretyczne zaś dozwalały praktyk wielobożnych; w naszych dopiero czasach powstał reformatorzy, którzy już bez żadnych zastrzeżeń i bez żadnych ustępstw głoszą jedność Najwyższej Istoty.

Ram Mohun Roy żył z końcem ostatniego stulecia i w początkach niniejszego, należał do wysokiej kasty Brahmanów, a wyznawał Wisznuizm.

W młodocianym już wieku bałwochwalstwo jego współwyznawców budziło w nim wstrętne uczucie; ażeby zdać sobie sprawę ze swej religii, począł badać „Księgi święte“ Hindów w ich oryginalnym języku. Gruntowne badania Wedów i Upaniszad wskazywały mu, iż najdawniejsi jego przodkowie wyznawali jednobożność, wielobożność zaś i bałwochwalstwo były późniejszymi wtętami. Wówczas wystąpił publicznie. W pismach,

wydawanych w Kalkucie, w języku Bengali, wykazywał z jednej strony, że religia dzisiejsza Hindów zesła z prawej drogi i stała się stekiem najniedorzeczniejszych baśni i najwstrętniejszych praktyk, z drugiej zaś, że religia pierwotna Hindów była jedno-bożną. Dowody swoje opierał na wyjątkach z „Ksiąg świętych“, na Wedancie i orzeczeniach najznakomitszych myślicieli hinduskich. Ram Mohun Roy nie poprzestał na dowodach wedyjskich; obdarzony niepospolitym talentem, przyswoił sobie języki, jakimi były pisane księgi religijne innych ludów, i w krótkim czasie zapoznał się z Koranem arabskim, Trypitaką buddhyjską i Biblią hebrajską, wreszcie znając dobrze język angielski, wtajemniczył się w piśmiennictwo europejskie.

Badania innych religij utwierdziły go w przekonaniu, iż jeden jest Bóg; stąd wywodził, że religia pierwotna Hindów była prawdziwą i do niej usiłował nawrócić swych ziomków.

Nauką swą i wymową Ram Mohun Roy pozyskał wielu zwolenników wśród uczonych Brahmanów i założył stowarzyszenie pod nazwą *Brahma-Sabha*, tj. „wyznawców (jednego) Boga“. Raz na tydzień w ich świątyni odbywało się nabożeństwo, podczas którego czytano ustępy z Wed i Upaniszad, śpiewano hymny wedyjskie i psalmy Dawidowe. Świątynia nie była przyozdobiona żadnemi posagami ani obrazami, któreby mogły przypominać lub pobudzać do bałwochwalstwa; każdy Hindus, do jakiegokolwiek należałby sekty, mógł brać udział w nabożeństwie, w kazaniach zaś, które zwyczajnie były głoszone, wykluczone były wszelkie wycieczki przeciw dogmatom i obrzędom innych religij. Pomimo takiej tolerancji, liczba uczestników nie wzrastała się bardzo, lud nie brał udziału całkiem w tym ruchu religijnym. Ciekawą jest jednak rzeczą, że Ram Mohun Roy znalazł jednego zwolennika w klerze anglikańskim: pastor, nazwiskiem Adam, przyłączył się do sekty reformatora hinduskiego, a z tego powodu dzienniki angielskie nazywały tego osobliwego konwertytę „drugim upadłym Adamem“.

Ram Mohun Roy występował również bardzo gorliwie przeciw niektórym okrutnym obrzędom religii Hindów, mianowicie przeciw *Sati*, tj. paleniu żywcem wdowy przy zwłokach męża,

i jego jest w tem największa zasługa, iż rząd angielski zniósł ten barbarzyński zwyczaj w r. 1829.

Po śmierci Ram Mohun Roy w roku 1833 następcą jego w Brahma-Sabha obrany został Debendra-nath Tagore, który postępował w duchu i wedle wskazówek swego mistrza i rozpowszechnił nieco narodową religię hinduską. Oprócz Kalkuty, w wielu innych miejscowościach Indyj powstały *Brahma-Samadź*, na wzór kalkuckiej; liczebność ich jednak i znaczenie były bardzo małe. Wogóle kościół narodowy hinduski nie wywołał w szerszych kołach zapалу, na jaki liczyli reformatorzy, a skoro w tym kościele powstały przewidziane rozdwojenia, nie mogło już być mowy o jego wzroście.

Keszab Czandra Sen, pomocnik Debendra-nath w Brahma-Samadź, niezadowolniony był ze zbyt konserwatywnych zasad kościoła narodowego. Ram Mohun Roy i jego następcy starali się jedynie nawrócić swych ziomeków do pierwotnej religii przodków, występowali przeciw bałwochwalstwu, lecz nie naruszali wielu zwyczajów i obrządków hinduskich, które w zasadzie odnosiły się do pojęć wielobożnych. Keszab, który otrzymał całkiem europejskie wykształcenie w Uniwersytecie Kalkuckim, postanowił zerwać zupełnie ze zwyczajami tchnącemi pogaństwem i zamierzał postawić społeczeństwo hinduskie na stopie cywilizacji zachodniej.

Przedewszystkiem Keszab postanowił znieść zwyczaj małoletniego małżeństwa, pełne zabobonów obrzędy ślubne, dalej zakaz wstępowania w powtórne związki wdowom, wreszcie kastowość. Zamiar wykorzenienia tych zwyczajów, z którymi od wieków zrosli się Hindowie, nawet wśród zwolenników kościoła narodowego wywołał oburzenie, młodzi jednak jego członkowie wzięli stronę Keszaba, który zerwał z Debendra-nath, i w r. 1868 utworzył nowe stowarzyszenie, pod nazwą *Bharata - warsziya Brahma-Samadź*. Podajemy tu, według Williamsa ¹, główne punkta doktryny, sformułowanej przez Keszaba:

¹ *Brahm. and Hind.*, p. 503.

Bóg jest pierwszą przyczyną wszechświata. Stworzył on dobrowolnie wszystko z niczego i wszystko utrzymuje. Jest on duchem, nie materią. Jest on doskonały, nieskończony, wszechmocny, najmiłsierniejszy i wszechświąty. Jest on naszym Ojcem, Panem, Królem i Zbawicielem.

Dusza jest nieśmiertelna. Śmierć jest tylko rozkładem ciała. Niema nowego narodzenia po śmierci; przyszłe życie jest dalszym tylko ciągiem i rozwojem teraźniejszego. Ludzie, którzy obecnie żyją, są tylko zarodkiem tych, jakimi będą później.

Prawdziwe Pismo (tj. Księgi święte) jest dwojakiego rodzaju, Księga przyrody i przyrodzone pojęcia wlane w duszę. Mądrość, moc i miłosierdzie Stworzyciela wypisane są we wszechświecie. Pojęcia nieśmiertelności i śmiertelności są głęboko wyryte w duszy każdego człowieka.

Bóg sam nigdy nie zstąpił na ziemię i nie wcielał się. Jego boskość objawia się w każdym człowieku, w niektórych zaś ludziach przeźroczej. Mojżesz, Jezus Chrystus, Mahomet, Nanak, Czaitanya i inni wielcy nauczyciele, ukazywali się w różnych czasach, i wielkie dobrodziejstwa wyświadczyli ludzkości. Należy się im ogólna wdzięczność i miłość.

Religia Brahmy jest różną od wszystkich innych religij; jednakże zawiera ona istotę wszystkich. Nie jest ona wrogą dla innych religij. Przyjmuje z nich to, co uznaje za prawdę. Opartą jest ona na naturze człowieka, a stąd jest wieczną i powszechną. Nie zacieśnia się ona ani czasem ani miejscem.

Cała ludzkość jest jednym bratnim społeczeństwem. Religia Brahmy nie uznaje różnicy między wysoką a niską kastą. Celem tej religii jest ujęcie całej ludzkości w więzy jednej rodziny.

Obowiązki są trojakiego rodzaju: 1. Obowiązki względem Boga, jakimi są: wiara w Boga, okazywanie mu miłości i służenie mu; 2. Obowiązki względem innych, takimi są: prawdomówność, sprawiedliwość, wdzięczność, praca około pomyślności całej ludzkości; 3. Obowiązki względem zwierząt i innych niższych stworzeń, te zaś są: dobroćliwie z nimi obchodzenie się.

Każdy grzesznik, wcześniej lub później, musi odpokutować za swe grzechy. Człowiek powinien starać się o swój postęp duchowny i świątobliwość różnemi środkami, mianowicie: oddawać cześć Bogu, podbijać swe namiętności, pokutować, rozpamiętywać naturę, czytać dobre książki, unikać złego towarzystwa, prowadzić życie pustelnicze.

Zbawienie polega na tem, że dusza, pozbywszy się ciała, które jest rdzeniem zepsucia, zaczyna rozwijać się duchowo. Ten rozwój trwać będzie przez całą wieczność, a dusza stawać się będzie coraz więcej boską i szczęśliwą w Tym, który jest źródłem nieskończonej świętości i szczęścia.

Nowa doktryna, jakkolwiek w zasadzie hinduska, była ułożoną na modłę teistycznej doktryny Zachodu, sucha, zimna, nie pociągała ku sobie Hindów; Keszab postanowił zwrócić ją na inne tory.

Około 1879 r. Keszab ogłasza się prorokiem, posłannikiem Boga, oznajmia, iż w różnych czasach objawili mu się św. Jan Chrzciciel, św. Paweł i nawet sam Pan nasz Jezus Chrystus, i użyzyli mu stosownych wskazówek do jego posłannictwa; wreszcie grozi karami Najwyższego tym, którzy się nie przyłączają do jego kościoła. W roku 1883 wydaje list pasterski do wszystkich ludów; podajemy go tu w całości według dokumentu angielskiego¹:

Keszab Czandra Sen, sługa boży, powołany na apostoła kościoła *Widhana*, który jest w świętem mieście Kalkucie, metropolii Ardżawarta, do wszystkich wielkich narodów świata, do wszystkich głównych sekt religijnych Wschodu i Zachodu; do zwolenników Mojżesza, Jezusa, Buddhy, Konfucjusza, Zoroastra, Mahometa, Nanaka, do różnych gałęzi kościoła hinduskiego; do wszystkich świętych i mędrców, biskupów i starszych, kapłanów i misjonarzy; niech łaska będzie z wami i pokój wiekuisty. Ponieważ rozterki i waśnie, rozdziały i nieprzyjaźnie panują w rodzinie naszego Ojca, sprawując gorycze i nieszczęścia, nieczystość i niesprawiedliwości, a nawet wojnę, mordy i przelew krwi; ponieważ to podburzanie brata przeciw bratu i siostry przeciw siostrze w imię religii było źródłem złego i samo w sobie jest grzechem przeciw Bogu i człowiekowi — podobają się Bogu zesłać na ten świat posłannictwo pokoju i miłości, harmonii i zgody. Dzięki nieograniczonemu miłosierdziu, z pomiędzy wszystkich ludów świata, ten *Widhana* na Wschodzie wybrany został, by nieść świadectwo wszystkim ludom tej ziemi. To mówi Pan: „Brzydzą się sekciarstwem, nie znoszą nienawiści między bracią. Żądam miłości i jedności, dzieci moje

¹ *Times of India*, 12 stycznia 1883 r.

mają stanowić jedność, jakom ja jest jeden. Słuchaj ludu mój, jedna jest muzyka, choć wiele jest instrumentów; jedno ciało, choć wiele członków; jeden duch, choć wiele różnych darów; jedna krew, choć wiele narodów. Błogosławieni są pokój czyniący, którzy jednoczą różnice i ustalają pokój, dobrą wolę i braterstwo“. Te słowa powiedział nam Pan nasz i Bóg. Jego nowa ewangelia, jaką nam objawił, jest ewangelia, niezmierniej radości. W kościele nowo założonym wszyscy prorocy i wszystkie Pisma zlewają się w przepyszną syntezę. Tę świętą nowinę miłościwy Ojciec rozkazał nam głosić wszystkim narodom: istoty jednej krwi muszą mieć jedną wiarę i weselić się w jednym Panu. Wówczas ustaną wszelkie rozterki, mówi Pan, i pokój zapanuje na ziemi. Wzywam was tedy pokornie, bracia, do przyjęcia tego nowego przykazania powszechnej miłości. Precz wszelka nienawiść, kochajcie się wzajemnie, zlećcie się w jedność w duchu i prawdzie, tak jak Ojciec jest jeden. Odrzucajcie błędy i skażenia gdziekolwiek one się znajdują, lecz nie miejcie w nienawiści Pisma, proroka i kościoła. Wyrzeczcie się wszelkich zabobonów i błędów, niewierności i niedowiarstwa, występku i zmysłowości, bądźcie czystymi i doskonałymi. Gromadźcie mądrości Wschodu i Zachodu, bierzcie przykłady ze świętych wszystkich czasów. Wówczas gorliwa pobożność, szczere zjednoczenie, gorąca filantropia, ścisła sprawiedliwość i wzniosła czystość najświętszych ludzi, będzie waszym udziałem. Przedewszystkiem, miłujcie się nawzajem, unicestwiając różnice powszechnem braterstwem. Drodzy bracia, przyjmijcie naszą miłość i dajcie nam nawzajem waszą, obyśmy wszyscy jednym sercem obchodzili pojawienie się Widhana, ojcostwo Boga i braterstwo człowieka.

Samozwańcze roszczenia Keszaba wywołały skutek wprost przeciwny zamierzonemu: list jego w Europie, a raczej w Anglii gdzie był głównie znanym, poniżył autora w opinii ogółu; w Indjach, z wyjątkiem małego kółka zwolenników, którzy go z tego powodu uznali za Awatarę Wisznu, rozjątrzył jeszcze bardziej Brahmanów, a nie doszedł ani do ludu hinduskiego, a tem bardziej do innych ludów. Zawód był zupełny. Niebawem też, bo w roku następnym, 1884, i sam reformator zakończył swój żywot doczesny.

Jakkolwiek Keszabie nie wiodło się na polu reformacji religijnej, natomiast jego wpływowe stanowisko, jakie umiał pozyskać u rządu, przyczyniło się do zniesienia wielu czasem

uświęconych zwyczajów, które utrudniały społeczeństwu hinduskiemu rozwój cywilizacyjny.

Reforma Wisnuizmu nie powiodła się. Reformatorzy byli mężami niepospolitych talentów, mieli naukę i wpływowe stanowisko, a jednakże próżne ich były zabiegi i prace, ludu nie nawrócili, lecz utworzyli nowe sekty, które zwiększyły tylko liczbę dawniejszych¹. Nas chrześcijan nie dziwi to bynajmniej. My wiemy, że jedynie skuteczna reforma Wisnuizmu nastąpi wówczas, kiedy rzeczywiście wcielony Bóg, Pan nasz Jezus Chrystus, zajmie w Indjach miejsce Wisnu i jego rzekomych Awatar.

Zanim zakończymy przegląd Wisnuizmu, jedna tu nastrocza się uwaga, która nas doprowadzi do odsłonięcia rąbka z tajemniczej przeszłości Indyj.

Różnice, jakie zachodzą między sektami wisnuickimi, są często tak nikłe, iż trzeba być nader biegłym, by je uchwycić, co więcej, trudno często na razie orzec, do jakiego działu Hinduizmu należy dana sekta, synkretyzm bowiem hinduski przyswoił sobie wszystkich bogów — jedynym kamieniem probierczym jest kult. Charakterystyczną cechą kultu wisnuickiego jest bezkrwawość, i tem się głównie różni od dawniejszego Siwaizmu i dzisiejszego Saktyzmu. Jeżeli wszyscy, mniej więcej, Hindowie wierzą w przechodzenie dusz, dla Wisnuitów jest to dogmatem zasadniczym: za grzech poczytują sobie pozbawienie życia najdrobniejszej nawet istoty, a w swych kultach ofiarnych wykluczają żertwy krwawe. Otóż jeżeli przypomnimy sobie, że głównym dogmatem Buddyzmu było przechodzenie dusz, że Buddhyści okazywali zawsze wielką względność dla wszelkiej istoty żyjącej i nie dopuszczali w swych obrzędach krwawych ofiar; dalej, jeżeli zauważymy, iż Buddhyści pierwsi w Indjach znieśli kastowość, do czego dążyli wszyscy reformatorowie Wisnuizmu; co więcej, że wiek X. naszej ery jest epoką rozpowszechnienia

¹ Barth doskonale charakteryzuje skutki reformy w Indjach: „Leur histoire commune est un perpétuel et affligeant recommencement: au début, un effort vigoureux et de hautes visées, suivis bientôt d'une irrémédiable décadence; comme résultat final, une secte et une superstition de plus“. *Op. cit.*, p. 54.

Wisnuizmu, a zarazem upadku Buddhyzmu w Indyach; nakoniec, że w krajach, w których niegdyś panował wszechwładnie Buddhyzm, dziś widzimy tylko zwolenników wisznuickich — możemy słusznie wywnioskować, że Buddhyzm został wchłonięty przez Wisnuizm. To przypuszczenie tłumaczy nam jedynie, jak dotąd, nierozwiązalną zagadkę zniknięcia Buddhyzmu w Indyach.

Ks. W. Zaborski.



Z ŻYCIA SYBIRSKIEGO PROBOSZCZA.

(Dokończenie).

Sad p. Wasiewickiego drobną jest próbką cywilizujących usiłowań ziomków naszych na Syberyi. A oto znów opis wzo-rowej fermy, urządzonej u stóp Altaju przez innego Polaka.

„Po dziesięcioletniej podróży po swojej parafii — pisze ks. Gromadzki — powróciłem szczęśliwie do Tomsku. Prócz zmęczenia fizycznego, Bogu dzięki, zdrow jestem. Z Bijska wy-jechawszy wózkiem, przebyłem sto wiorst, i następnie zatrzyma-łem się w Bułuchcie między górami Altajskimi, na fermie pana Matkiewicza, rodaka naszego, doktora medycyny i inspektora zarządu lekarskiego w tomskiej gubernii. P. Matkiewicz z ama-torstwa trudni się gospodarstwem, uprawia pszczelnictwo, stara się rozpowszechnić chów bydła chołmogórskiego i holender-skiego, którego już liczne posiada okazy. Hoduje on i chińską rasę, wielce się różniącą od innych. Krowy chińskie nie mają rogów, ogon jak u konia, sierść tak długa, że aż po ziemi się ciągnie; nie ryczą, ale chrapią jak trzoda chlewna. Jedni utrzymują, że mleko od tych krów jest wodniste, inni twierdzą przeciwnie, że dobre i tłuste jak śmietanka, tylko że go bywa niewiele. Mięso natomiast o wiele smaczniejsze niż zwy-śla wołowina.

„P. Matkiewicz wiedzieć musi najlepiej z rachunków wła-snych, czy jest jaka korzyść w prowadzeniu gospodarstwa wzo-rowego u podnóża Altaju. Zwiedzając owe góry, przyszedłem

jednak do wniosku, iż dogodniej byłoby posunąć ku południowi podobną fermę, np. opodal rzeki Koksy, gdzie i położenie bardzo malownicze i klimat łagodny, śniegu mało, a zima nierównie krótsza. Bydło, pasąc się swobodnie na *sołoncach* (miejscach słonych), nie potrzebuje zapasu paszy, a wskutek cieplejszego powietrza, i pszczoły tam lepiej się hodują. Ważną gałęzią dochodu w tej części Altaju jest hodowanie moralów (*elephas moralis*) czyli górskich jeleni, których rogi bardzo są popłatne. Z nich bowiem Chińczycy wydostają purpurową masę, używaną przez foluszników do zabarwiania materyj i farbowania różnych przedmiotów, a dostarczającą nadto medycynie pobudzającego lekarstwa. Co wiosna każdy właściciel zwierzyńca wyławia wszystkich samców i odpilowuje im rogi, które w ciągu roku na nowo odrastają. Za funt rogów, z zawartą w nich farbą, Chińczycy płacą do 10 rubli. Para takich rogów dochodzi nieraz do ceny dwustu rubli, a pewien włościanin ze wsi Ujmonu, posiadający do ośmdziesiąt sztuk moralów w swoim zwierzyńcu pomiędzy górami, w jednym tylko roku 1887 wziął 4500 rubli za same rogi. Otrzymał on już dwa złote medale nagrody i zachęty za umiejętne hodowanie tych cennych zwierząt, chociaż prawdziwie po barbarzyńsku się z nimi obchodzi. Nie posiada on nawet należytej piły do odrzynania co wiosna kosztownych rogów, zwykłą piłą od drzewa je odcina, co przyczynia bólu przeciwnym jeleniom, powoduje obfity wpływ krwi i sprowadza na jakiś czas znaczne osłabienie. Dla umniejszenia cierpień tych biednych zwierząt, radziłem mu sprowadzić chirurgiczną pilkę, jakiej używają przy amputacjach, lecz chciwy właściciel zawałał się, słysząc, iż kosztowałaby kilkadziesiąt rubli. Pomimo że morale tak znacznego przysparzają dochodu, mieszkańcy tych okolic dla mięsa i skóry tępią je niemiłosiernie, tak dalece, iż dziś już w dzikim stanie rzadko tylko spotkać je można, chyba gdzie w niedostępnych górach i skałach.

„Z Bułuchty, fermy p. Matkiewicza, 26 lipca wyjechałem konno górami przez wieś Ujmon ku chińskiej granicy, dla niesienia pomocy religijnej moim współwyznawcom. Droga prowadzi nad rzeką Koksą, i niezwykle jest malownicza, różnaitością

i pięknoscią widoków; powietrze tak czyste i lekkie, że wciąż do zachwytów człowieka pobudza. Trzeba jednak mocne mieć nerwy, aby spokojnie przebywać te przepaściste urwiska, zwłaszcza jadąc brzegiem t. zw. Siniego Jaru, ciągnącego się przez sześć wiorst. Przed dziesięcioma laty była tu tylko wązka ścieżka na pochyłości góry, dziś wytknięto niby kołową drogę, ale trudno się obyć bez trwogi i strachu, znajdując się na niej. Lud tych górskich okolic bywa zamożny, lecz nie zna wystawności“.

* * *

Oczywiście nie brak przygód pielgrzymującemu ustawicznie po nieprzejrzanych obszarach swej parafii pasterzowi. Rozczytując się w ich opisie, wciąż na myśli stawają słowa z listu św. Pawła do Koryntyan. Podobnie bowiem jak Apostoł narodów, tak i apostoł Syberyi znajduje się „w drogach częstokroć, w niebezpieczeństwach rzek, w niebezpieczeństwach rozbójników, w niebezpieczeństwach na pustyni, w niebezpieczeństwach od poganów, w pracy i w kłopotcie, w niespaniu częstem, w głodzie i w pragnieniu, w zimnie i nagości“. Oto np. opis nocnej wycieczki do jednej wioski, z miasta Kaimska, w styczniu 1873 roku, z opowiadania ks. Gromadzkiego spisany, jak gdyby to nie on, lecz trzecia jakaś osoba podobne przechodziła próby:

Jedzie nasz misyonarz do odległej sybirskiej osady, gdzie jedną ma tylko owieczkę, oczywiście jakiegoś wygnańca, którego należy pójlić Sakramentami śś. i słowem pociechy ukrzepić. Siedzi na saniach, zaprzężonych w trzy konie szpicą, to jest jeden za drugim. Na pierwszym koniu siedzi kałmuk, na koźle drugi, za misyonarzem tuli się chłopiec, który mu zwykle do Mszy św. usługuje. Zimno jest straszne, mrok zapada, wiatr sybirski wieje a wieje. A tu step pokryty śniegiem, niby całunem, gdzie okiem sięgniesz, pusta równina, nigdzie pagórek ni żadna najmniejsza nierówność oka nie zatrzymuje.

Po długiej walce z mroźnym wichrem, po częstem wysiadaniu celem domacania się drogi lub wydobywania sań z ukrytych pod śniegiem parowów — nareszcie i ludzie i konie z siłą opadają, niepodobna już jechać dalej, i pytamy woźnicy: — Więc

co? — Ha, przenocujemy tu gdzie stoimy. — To umrzemy z zimna.' — Może i umrzemy, ale może też Bóg da, że dotrzemy do świtu.

Niema innej rady. Stało się wśród białego stepu, czekając, co prędzej nadejdzie — świt-li czy śmierć. Upływa godzina jedna i druga, wiatr zabójczy dmie ciągle. Ksiądz, który raz po raz bada swych ludzi, spostrzega, iż skostnieli i chyba nie dożyją już ranka. — Ha, mówi do siebie, jestem lepiej ubrany, nie przemokłem jak oni ciąglem wysiadaniem w śnieg. Usadawia tedy ludzi swoich na własnem miejscu w saniach, gdzie są lepiej od wichru zasłonięci, sam zaś staje obok sani i dalej czeka. Znów kilka godzin upływa, wiatr sybirski dmie ciągle. — Życie tam jeszcze? pyta ksiądz raz po raz ludzi swoich. — Żyją, lecz teraz jemu samemu śmierć w oczy zagląda. Wiatr go przewiał, czuje, że nie dożyje ranka. — Pójdę sam pieszo, powiada do ludzi, może Pan Bóg da, że się dowlokę do jakich mieszkań ludzkich, tu dla mnie śmierć pewna. — Każe sobie tylko mniej więcej wskazać kierunek wsi, do której jechał. Odległość oceniali prawdopodobnie na kilkanaście wiorst. Idzie więc nasz misyonarz sam wśród nocy, co chwila zapada się w śniegu i przewraca. Ogromne futro ciężarem swym go przygniata, dobywa ostatnich sił, ale koniec końcem, siły te szybko się wyczerpują. Pot go oblewa, futro, rękawice zamieniają się w bryły lodu, które go kaleczą. Senność złowroga go opanowuje, rozumie dobrze, co to znaczy, raz jeszcze ostatnie zbiera siły, zaczyna mieć halucynacye, widzi przed sobą jakieś pałace, jakieś zastawy... Aż nareszcie nic już nie widzi, nic nie wie o sobie...

Budzi się na łóżku, otoczony życzliwemi a zalanemi łzami twarzami. Bóg, dla którego służby się poświęcił, czuwał nad nim widocznie. O świcie z tej właśnie wsi wyjeżdżał chłop za własnym interesem; nagle wśród stepu widzi coś czerniącego się w oddali na śniegu. — Wieczorem tedy powracać będę, mówi do siebie, to zobaczę, co też to tam leży. — Coś go jednak tknęło, podjechał więc, i znalazł człowieka na pozór zmarznętego — co nie nowina w tamtych stronach. Włożywszy mu je-

dnak rękę pod pachę, domacał się trochę ciepła, zaczem wedle miejscowych przepisów, włożył go na sanie i zawiózł do wójta. — A co tam wieziecie? pyta go ktoś przy wjeździe do wioski. — Człowieka na stepie znalazłem. — Pytający podchodzi z ciekawością. — Dla Boga! woła przerażony, wszakże to jest mój ksiądz. — Była to właśnie ta jedna owieczka, której misyonarz przybywał szukać w tej puszczy. Zabrano oczywiście księdza do chaty owego parafianina, który wraz z żoną i dziećmi wszelkich dołożył starań, aby go przywrócić do życia.

Pierwszą myślą powracającego do przytomności kapłana było kazać szukać swoich ludzi. Ale już mieszkańcy osady sami się byli domyślili, że musiał mieć towarzyszków, i znaleźli ich też nieruchomych w tem samym miejscu, gdzie przenocowali. Jeden z tych nieszczęśliwych już nie żył, drugi nazajutrz umarł, chłopiec tylko co księdzu usługiwał został przy życiu, ale obie ręce na zawsze odmroził.

* * *

Nie jedyny to raz ks. Gromadzki tak opatrnościowym sposobem uszedł niebezpieczeństwa sybirskiej zamieci. Jeszcze w Omsku w 1869 r. na podobną wystawiony był próbę. Powołano go nagle do chorej kobiety, mieszkającej o 150 wiorst od Omska. Mimo ostrzeżeń, aby nie jechać z powodu trwającej od rana zawieruchy, puścił się w drogę końmi pocztowymi. Próbowano go zatrzymać i pogrzebem na ów dzień naznaczonym. — Nieboszczyk może poczekać, konający nie czeka, odparł stanowczo, a wprowadziwszy trumnę do kościoła i ustawiwszy ją na katafalku, odroczył do dnia następnego żałobne nabożeństwo i pochowanie.

„Wszyscy na mnie patrzeli — pisze — jak na półgłówka, zważywszy na groźną nie pogodę. Ja tymczasem poruciłem się Boskiej Opatrzności, a zachęcony świętością sprawy, skoro tu zbawienie jednej duszy w grę wchodziło, puściłem się w drogę w Imię Boże.

„Trzy ręce konie unosiły mnie po białej równinie, zamieć nie pozwalała mi ich widzieć, sanie tymczasem kołysały się niby

na balwanach morskich, staczając się w przepaście wytworzone wśród olbrzymich zasp śnieżnych, ażeby znów się w górę wydobywać. Wicher zrywał oślepiające tumany śniegu. Niebawem pocztylion, zwracając się ku mnie, oświadczył, że nie wie już zgola gdzie się znajduje, ani dokąd zmierza. I pochylił smutno głowę, a gdym mu wyrzucił, że lepiej byłoby zaciąć konie i szukać drogi wyjścia, aniżeli poddawać się zwątpieniu, odparł: — Mam żonę i dzieci, których podobno nie zobaczę więcej! — Ta jego rozpacz i mnie się udzieliła. Usiłowałem się uspokoić zdaniem się na wolę Bożą, i zapytałem, jak długo konie wytrzymać jeszcze mogą? — Najlepsze to w Omsku rumaki, nie wiedzą co zmęczenie. — Czy znają tę drogę? — I owszem, kupione bowiem zostały na stacyi, do której zdążamy. — A sam często tędy przejeżdżałeś? — Och, nieraz, ale nigdy w zamieć podobną! Psa nawet dziś na dwór nie wypuściłem.

„Schylił powtórnie głowę w bezradnem zwątpieniu. A wicher sybirski dał tymczasem z rosnącą wściekłością, wyjąc i płacząc złowrogo. Owinałem pocztyliona w kożuch, wdziałem i na siebie „koszmę“, rodzaj płaszcza utkanego z wełny owiec i włosia końskiego, który nieocenioną bywa zachroną od wiatru i słoty, zwłaszcza podczas *buranu*, jak tam nazywają śnieżną zawieruchę. — Czyś się kiedy zabłąkał na stepie? pytam dalej pocztyliona. — Nigdy, ale też nigdy podobnego nie pamiętam buranu. Nieraz, gdy mi wicher dokuczył, zaciąłem konie, sam układłszy się na dnie sani, a one mnie same unosiły do domu. Ale dziś tak wiatr straszy i wyje, jakby głosem wisielca lub duchów piekielnych!

„Czy wierzysz w Boga? spytałem. — Wierzę! — Czy ufasz w Jego Opatrzności? — Ufam. — Żałuj tedy za grzechy swoje, uder się w piersi i mów pacierz za mną.

„Kiedyśmy skończyli wspólną modlitwę, jemszczyk zapytał: — A teraz cóż pocniemy? nie zostaje nam, jak tu umierać! — Jedź, zawołałem żywo, jedź w imię Boże! — Zaciął konie, które nas szalonym uniosły pędem. Wtem daleki głos dzwonu obił się o moje uszy. — Musi wieś być blisko, jedź, jedź co żywo! — Owszem, zły to znak dla nas, odkąd przesta-

liśmy cześć wschodzące słońce, już nie umiemy rozemnać prawdziwego od złudnego dźwięku dzwonów. — Zaufaj Bogu, rozkazałem stanowczo, i jedź dalej. — Wtem wiatr z innej powiał strony, wyraźniejsze przynosząc nam dźwięki. — Wszakże to dzwonią! — Zadzwonią niebawem, ale po naszej śmierci, powtarzał przerażony jemszczyk, z nerwowym śmiechem, który mnie przeszedł mrowiem. — Konie zmęczone nie mogły już tak szybko postępować naprzód. Pocztylion wciąż jedną zawodził skargę, wspominając żonę i dzieci, a i mnie stopniowo ogarniał smutek nieprzejrany. — Tu więc umrzeć mi przyjdzie! zdala od wszystkich, których kocham, bez innego pogrzebu, nad śniegu całun i skargę wiatru. — Łzy mimowolnie stoczyły mi się po twarzy. Przyznaję się do nich ze wstydem, ponieważ święte moje powołanie nakazuje gardzić śmiercią, gdy chodzi o zbawienie bliźniego.

„Wtem konie stanęły jak wryte. Jemszczyk uderzył je najałką. Daremnie; spięły się, lecz ani kroku naprzód nie postąpiły. Pocztylion bez litości jał smagać biedne rumaki. Zerwały się nareszcie, aby skoczyć, pocztylion krzyknął: Już po nas! Wezwałem świętych imion Zbawiciela i Jego Matki, i nie wiem co się dalej stało. Zdało mi się tylko, że spadam z niezmiernej wysokości w przepaść bezdenną — i w istocie, powstawszy z miękkiego śniegu, który mnie od rozbicia ocalił, ujrzałem za sobą wysoką, niby ścianę śnieżną, ściętą prostopadle, co nie pozwalało myśleć o wydostaniu się na jej powierzchnię. Zrozumiałem teraz, czemu konie ruszyć z miejsca nie chciały. Z największym wysileniem udało mi się wydobyć z zasy, w której się zaryłem, i przybliżyłem się do szlochającego opodal jemszczyka: — Nie warto się już męczyć ani wysilać, kiedy tu nam umierać pisano. Trzeba nam się położyć i zasnąć! — I oto zaczął się żegnać jak przed spoczynkiem. Spróbowałem jeszcze namówić go do czynnych usiłowań, aby sanki naprawić doraźnie, i konie leżące z porwanym zaprzęgiem jako tako do dyszła założyć. Co chwila ustawał i dawał się zwyciężać senności śmiertelnej. Mróz wzmagął się i ziębił coraz dotkliwiej. Nareszcie potrafilśmy ruszyć z miejsca. Konie atoli już nie były w stanie tak szybko jak poprzednio biec. Wypadało je nielitościwie batem popędzać. Tymczasem

jemszczyk popadał w stan coraz większego osłupienia. Darmo go budziłem i własnem ogrzewałem technieniem: — Dajcie mi już umrzeć w spokoju, powtarzał sennie. — I ja też tracić począłem nadzieję, i ducha mego polecałem Bogu, mniemając iż mój towarzysz już nie żyje, a oraz i moja ostatnia wybiła godzina. Wtem stanęły mi w pamięci słowa psalmisty: *In te Domine speravi non confundar in aeternum*. I oto konie jęły wspinać się po stromym pagórku, z którego wicher zmiotł był śnieg leżący grubo gdzieindziej. Nagle te same dźwięki dalekich dzwonów, które już dwukrotnie zasłyszałem, wyraźniej o moje ucho uderzyły. Zwyczajem w tym kraju jest dzwonić w czasie śnieżnej zamieci, aby podróżnym wskazać kierunek.

„Udało mi się przebudzić usypiającego pocztyliona, i w pół godziny, około jedenastej w nocy, stanęliśmy w jakiejś wiosce. Zawierucha ustawała powoli, i gwiazdy na wyiskrzonem ukazały się niebie. Zmieniłem konie, które teraz bez przeszkody mnie poniosły do celu; o 6-tej z rana znalazłem się w chacie, do której dążyłem. Wytchnąwszy nieco, zająłem się przygotowaniami do Mszy św. Uboga rodzina, dla której przybyłem, dostarczyła czego mogła na ustawienie i ozdobę ołtarza, wizerunek Ukrzyżowanego, obraz Chrystusa w ogrodzie Oliwnym, dwa lichtarze ze świecami. Przybrawszy się w szaty kapłańskie, rozpocząłem Przenajświętszą Ofiarę. Mnóstwo uczuć i myśli cisnęło mi się do serca i głowy. Zebrania chrześcijan w pierwszych wiekach żywo mi na pamięci stawały. Chora staruszka, która mnie powołała, na widok księdza i ołtarza wzniesionego w domu swoim po dwunastu latach głodu duchownego, zaczęła wołać: „Ponieście mnie do ołtarza, do stóp Ojca mego, tam pragnę ducha wyzionać“. W czasie Mszy św. obfite lałem łzy wzruszenia i radości, że mi danem było nieść pociechę tym nieszczęśliwym. Leżąc blisko ołtarza staruszka szlochała i modliła się głośno do końca Przenajświętszej Ofiary. Trudno opisać, com doznał w owych chwilach. Po Mszy św. uwydattiła mi się nędza tych biednych ludzi. Gdybym posiadał skarby świata, nie byłbym ich pożałował, aby im ulgi nieco przynieść. Niestety! miałem tylko dziesięć rubli przy sobie, kwotę zbyt małą, aby tylu niedostatkom

zaradzić. Ledwo się mogłem opędzić żywym objawom wdzięczności całej rodziny, i przyspieszyłem odjazd, a wyruszywszy stamtąd o wpół do 9-tej z rana, już o wpół do 5-tej po południu znalazłem się w Omsku“.

* *

Nie same jednak śnieżne zamiecie mnożą niebezpieczeństwa sybirskiej podróży. Odsłaniają się i inne pod stopami i piórem apostołskiego pielgrzyma. Oto np. opis spotkania się na drodze z niedźwiedziem.

„Dopełniwszy religijnych obowiązków w mieście Kuźniecku, gdzie się znajduje kilkunastu katolików w służbie kupców miejscowych, podążyłem do miasta Bijska przez góry Aksumajskie czyli Białej wody, *ak* bowiem znaczy po tatarsku biały, *su* woda. Przejazd przez te góry tak jest malowniczy, że nie potrzeba jechać do Szwajcaryi, aby się wspanialszemi napawać widokami. Góry to dość wysokie, nieraz całą wiorstę przychodzi po nich się drapać, aby się przez skały wydostać na drugą stronę, porośniętą cudownym lasem cedrowym i jodłowym. Trakt wiedzie wśród najpysznieszej niby alei; tylko że po obu stronach nieraz błakają się niedźwiedzie. Noc była jasna, księżycowa, gdy przejechawszy rzekę Czaryż, zapuściliśmy się w głąb lasu porastającego na stromej i wysokiej górze. Dopędzamy pocztę, która przed nami opuściła była stację. — Czego oni tam stoją, zamiast jechać dalej? pytam jemszczyka. — *Wierno zwier nie puskajet* (niedźwiedź nie puszcza), odpowiada zagadniony. — Co ty durzysz głowę jakimś tam niedźwiedziem? zapytaj ich po co stoją; niech ruszają dalej. — To proszę patrzeć. — Wychylałem głowę z powózki i patrzę przed siebie, aż tu na drodze coś czernieje, niby kopka siana. — Czy to ma być niedźwiedź? — To on, odpowiada jemszczyk. — Objechać go? — Niech Pan Bóg broni, rzuci się, to nas, wszystkich rozszarpie. — Czy długo on tak lega na drodze? — Czasami pół godziny, a czasami i więcej. — Miła perspektywa! Konie chrapia, ale stoją jak wryte. Czekamy cierpliwie. Po kwadransie niedźwiedź powstał na tylne łapy, zaryczał aż się liście zatrzęsły, i poszedł w las. Kiedyśmy posłyszeli, że się coraz bar-

dziej od nas oddala, ruszyliśmy z miejsca, oglądając się czy nie goni za nami, a kiedyśmy przyjechali do następnej stacji, to poczytliion, biały jak papier, jeszcze nie mógł przemówić i słowa. Była to samica z dwojgiem małych i piastunem. Piastun jest to starszy niedźwiadek, chodzący z matką i dopomagający jej nianaczyć młodsze swoje rodzeństwo. Małe niedźwiadki posłyszawszy turkot i dzwonki, ze strachu powylażyły na drzewa, a matka z piastunem stanęła na drodze, odstraszać rykiem każdego, coby się chciał zbliżyć lub minąć. Rzadko się zdarzają wypadki, aby niedźwiedź jadących powozem napastował. Raniony dopiero rzuca się na człowieka i rozszarpać gotów w kawałki. Znajdowano ludzkie trupy z oderwanemi rękoma, tak ogromną posiada siłę“...

* * *

„Powróciwszy do Tomska — czytamy w innem znów sprawozdaniu — przed Różańcową r. z. z letniej wycieczki po górach Altajskich, w listopadzie powołany zostałem depeszą telegraficzną do obłożnie chorego w mieście Bijsku, o 500 z górą wiorst od Tomska oddalonego, u podnóża gór Altajskich. Pędziłem dzień i noc jak najspieszniej, by chorego zastać jeszcze przy życiu, a jednak zaledwie piątego dnia zdołałem stanąć na miejscu.

„Na sto wiorst przed Bijskiem, wyjechawszy o zmroku ze stacji pocztowej, nie mogliśmy już trafić do następnej, skutkiem buranu czyli śnieżnej zamieci. Szczęśliwie o północy dotarliśmy do jakiejś wioski i tam zanocowali. Nie tak lękałem się o siebie, bo i ciepło byłem odziany, i niejedną noc już spędziłem w polu, ile o mego woźnicę, który nocleg w stepie gotówby życiem przypłacić. Na drugi dzień, przybywszy do stacji, zastałem tam powózkę z podróżnymi, odnalezioną w stepie i zasypaną śniegiem. Oczywiście, nie obyło się bez ofiar.

„Tego samego dnia wieczorem przyjechałem do Bijska i odetchnąłem swobodniej, zastawszy chorego, dzięki Bogu, jeszcze przy życiu. Następnego dnia po odprawieniu Mszy św. opatrzyłem go śś. Sakramentami, które chory przyjął z wielką

pobożnością i rozczuleniem. Po dwóch dniach pobytu już miałem wracać do Tomsku, gdy spostrzegłem, że chory ma się gorzej, oddychał ciężko, niebawem rozpoczęła się agonja; nie odstąpiłem go tedy, dopóki Bogu ducha nie oddał.

Posłuchajmy innej znów opowieści:

„Było to w r. 1877. W połowie maja przybyłem do miasta Bijska i zastałem mego parafianina, d-ra Michałowskiego, lekarza bijskiego okręgu, wybierającego się w podróż przez góry Altajskie ku granicom Państwa Niebieskiego. Ponieważ i mnie tym traktem wypadało jechać do rządowej kopalni złota, zwanej „Zyryanowski Rudnik“, przeto uradowany, że w tej ciężkiej i trudnej podróży mieć będę doświadczonego i dobrego towarzysza, poczyniłem najspieszniej przygotowania do drogi.

„Z Bijska na wózkach wyjechaliśmy do wsi Ujmonu (*uj* by-dło, *mon* dolina), położonej w górach Altaju. Ostatnia to wieś z drogą kołową, skąd już ku zyryanowskiej kopalni trzeba jechać konno aż do wioski „Białej Biereli“, skąd jeszcze trzysta wiorst drogi pozostaje do zrobienia, aby stanąć w owej kopalni. Podróż na koniu przez góry dla tych, co nie są do konnej jazdy przyzwyczajeni, męczącą jest i uciążliwą nad wyraz, szczególnie gdy wypada zjeżdżać na dół z gór stromych i niebezpiecznych. Siła obowiązku jedynie zmusza wolę do panowania nad nerwami i zachowania przytomności umysłu koniecznej, aby utrzymać się na koniu. P. Michałowski w całym Altaju słynął z wytrzymałości w konnej jeździe. Nieraz w jednym dniu coraz to innego dosiadając konia, robił po sto kilkadziesiąt wiorst. Zaczny ten człowiek, pełen serca i uczynności, umarł temu kilka lat na suchoty, zostawiając po sobie żonę i kilkoro dzieci.

„Cztery dni jechaliśmy z Ujmonu do Białej Biereli; pod opieką takiego towarzysza jechało się nie tylko bezpiecznie, lecz i wesoło. Wierzchołki gór pokryte bywają jeszcze w maju głębokim śniegiem, który w miarę roztopów wypełnia rzeczki i strumienie, przez które wbród, a nieraz i wpław musieliśmy się przeprawiać. Na popasy i noclegi wybieraliśmy stosownie ku temu miejsca, pod skałą lub cedrem. Minęliśmy górę Białuchę, naj-

wyższy szczyt Ałtaju, z pod której wypływa rzeka Katuń. Ta ostatnia łącząc się z rzeką Biją, tworzy jedną z wielkich rzek sybirskich, Ob⁴.

Tej przeprawie przez Katuń ks. Gromadzki osobny znów poświęca opis.

Karawana, zmierzająca do Zyryanowskiego Rudnika, dość była liczna; okrom księdza i d-ra Michałowskiego, znajdował się w niej felczer, czterech ludzi i siedm koni, bo w górach konno tylko można podróżować.

„Jechaliśmy ku południowym krańcom mojej olbrzymiej parafii, aż pod góry Ałtajskie. Było to w maju; na dolinach już dość ciepło, w górach zimno przenikliwe. Wtem wezbrana rzeka zagradza nam drogę. Na Syberyi, jak w puszczech Ameryki, trzeba rzeki przebywać własnym przemysłem. To też zbiliśmy naprędce tratwę, ale koni żadną miarą na niej umieścić nie było można, wszystkie zaś nasze ramiona zaledwie wystarczały do walczenia z gwałtownym prądem rzeki. Rada w radę, puszczaemy konie wpław, sami robimy się do koszuli, żeby było lżej pracować, a odzież i pakunki układamy w jeden kłęb i owijamy wołokami, aby je uchronić od zamoczenia. Wiosłujemy co sił stanie. Konie, snadź obyte z podobnego rodzaju przeprawami, dobiły się szczęśliwie drugiego brzegu i szczypały na nim spokojnie trawę. Nas silny prąd uniósł spory kawał wzdłuż rzeki, ostatecznie jednak i my lądujemy. W chwili jednak, gdy wyskakujemy na brzeg, jednemu z nas, który przytrzymał tratwę, wyrывa się lina z ręki. Tratwa uchodzi, unosząc jednego z przewodników wraz z bagażami, żywnością i odzieżą wszystkich. Nasi ludzie żegnają się i biją pokłony za duszę porwanego Fiodora, bo wiedzą, że na blizkich porohach musi zginąć. Rzeka węzem się wije, na jej zakrętach nieszczęśliwy pokazuje się jeszcze raz i drugi, i ostatecznie znika bezpowrotnie.

„Co teraz począć? czem się posilić i ogrzać? w co się ubrać? w miejscu, gdzie nic znaleźć niepodobna; trzeba będzie umrzeć niechybnie z głodu i chłodu. Niema innej rady, jeno wgramolić się na konie w tym tak lekkim naszym stroju i puścić się przez góry do pierwotnego celu naszej wyprawy. Droga

długa, góry jeszcze się ciągną, więc zimno nas czeka; nie można na to liczyć, abyśmy żywi mogli dojechać. Jedna jest tylko nadzieja ocalenia życia: może po drodze spotkamy kałmuków pasących konie.

„Gdy jedna tylko pozostaje szansa, niema się co namyslać. Schwytawszy więc konie, wsiadamy i ruszamy w góry. Po jakimś czasie czuję, iż mię już zimno nawskróś przenika, bo nogi często o śnieg zaczepiają; jeszcze chwila, a zsunę się z konia. Wtem dolatuje mię głos: *Kryczicie: sława Bohu!* (krzyczcie: chwała Bogu!) — *dymok uwidjeł!* (dymek ujrzałem). Był to głos przewodnika jadącego naprzód. Zapomnieliśmy o zimnie, i ze wszystkich piersi wyrwał się silny okrzyk: *Sława Bohu!* Zdobywamy się wszyscy na ostatnie wysiłki i po chwili znajdujemy się wśród koczowiska kałmuków, którzy nas gościnnie przyjmują, biorą do ognia, posilają i posyłają do wsi po odzież dla nas. A ponieważ nasza karawana miała charakter urzędowy, więc doktor (który choć w koszuli, ale czapkę z gwiazdką zachował) kazał zarazem, aby urząd gmienny wysłał konnych na poszukiwanie tratwy z Fiodorem. Wysłali natychmiast jednych na poszukiwanie, a drugich z potrzebnymi rzeczami dla nas. Po kilku godzinach patrzymy, aż tu jadą jedni i drudzy, i Fiodor z nimi. Czy nie dziwna Opatrzność Boska? Fiodor bowiem, którego tratwa uniosła, tak zręcznie kierował sterem do tratwy przytwierdzonego, że przy jakimś zakręcie uderzył o brzeg i nie tylko sam wyskoczył, ale i pakunki ocalił. Tak więc znaleźliśmy się znów wszyscy razem i ubrali się w swoje własne suknie“.

* * *

Nieraz epizod, składający się w odrębną całość, przeplata opowiadania zacnego sybirskiego proboszcza. Oto jeden z nich, bardzo wzruszający, a tem dziwniejszy, że bohaterami jego byli: Żyd i nihilistka. Było to w r. 1876 czy 1877, kiedy agitacje nihilistyczne wywołały były silną ze strony rządu represyę. Rewizye, śledztwa, aresztowania, zsyłania na Sybir powtarzały się każdodziennie. Smutne te sceny rozgrywały się głównie po większych miastach rosyjskich; lecz i polskie miasta, zalane napły-

wem rosyjskiej kolonizacji, a mianowicie Warszawa, odczuć musiały obecność spiskowców i następującej w ich ślad reakcji. W ogólności społeczeństwo polskie trzymało się daleko od obcych sobie aspiracji; mimo to jednak zdarzało się, iż pojedyncze jednostki, wychowane w szkołach rosyjskich bez wiary i tradycji przodków, ulegały prądowi nihilistycznemu. Do tych nieszczęśliwych należała niejaka panna Tychowska, którą aresztowano i osadzono w cytadeli warszawskiej. Tu poznała się z pewnym młodym izraelitą, p. Poznańskim, podobnież wmieszanym w knowania partii przewrotu. Zawiazana w smutnym gmachu więziennym znajomość, miała o całym ich życiu rozstrzygnąć. Pokochali się i dozgonną sobie przyrzekli miłość. Ale jak się tu pobrać, gdy ona katoliczka, on zaś niechrześcijanin? Czegóż jednak silne przywiązanie nie potrafi dokonać? Poznański zaczyna się uczyć katechizmu — pod wpływem nihilistki! — i wkońcu postanawia zostać chrześcijaninem. Nie tak to jednak łatwo, jakby się nam zdawać mogło. Okrom bowiem mocnej a nieprzymuszonej woli ze strony nawracającego się, i zezwolenia Kościoła, potrzebnem jest w Rosyi upoważnienie Jego Ekscelencyi ministra spraw wewnętrznych. Bez takiego upoważnienia naraziłby się każdy duchowny, katolicki czy protestancki, jednym słowem każdy przedstawiciel którego z „zagranicznych wyznań“, jak opiewa rosyjskie prawo, na ciężkie kary ze strony rządu, gdyby na własną rękę ośmielił się ochrzcić chociażby umierającego Żyda lub wyznawcę Koranu. Uwięziony izraelita zakolał tedy do ministra o takie pozwolenie. Odpowiedź nie nadchodziła, a tymczasem zapadł wyrok, skazujący Poznańskiego na wywiezienie do wschodniej Syberyi, w okolice Irkucka, jego zaś narzeczoną do Kainska, miejscowości o parę tysięcy kilometrów bliższej cywilizowanego świata. Wyrok natychmiast został wyegzekwowany i młoda para znalazła się w drodze ku dalekiemu wygnaniu, zrazu wspólnie odbywając podróż.

W Moskwie konwój ich dłużej się zatrzymał. Skorzystał z tego Poznański, aby się zgłosić do miejscowego katolickiego proboszcza, i znów do ministra kołatać. Daremnie! odpowiedzi doczekać się nie mógł, a już w dalszą wybierać się im drogę kazano.

Ciężko i coraz ciężej było naszym wygnańcom. Czekala ich naj-srozsza kara, a jedyny promyk świetlany, rozświecający dla nich śnieżne Syberyi przestrzenie, nadzieja wspólności niedoli, coraz słabiej błyskał przed nimi. Węzła łączącego na całe życie, na smutki i radości, żadną miarą zaciągnąć nie było podobna. Aż do Tomska im razem jechać wypadało, stamtąd drogi ich rozejść się miały w dwie wręcz przeciwne a dalekie strony. Gdyby była jego żoną, prawo dozwoliłoby jej pójść za mężem. Ale czy im się uda pobrać przed chwilą ostatecznego rozłączenia? Za przybyciem do Tomska zgłosili się znów do ks. Gromadzkiego. Wzruszony ich niedolą i rozpaczą, zajął się gorliwie sprawą tych nieszczęśliwych i na swoją rękę zatelegrafował do ministra; jednak i tym razem napróżno. Tymczasem dzieje nieszczęśliwej pary doszły do wiadomości gubernatora tomskiego, Miercałowa, człowieka rzadkiej poczciwości. — Wogóle, ze świadectw ks. Gromadzkiego możnaby wnosić, iż co Rosya posiada najlepszego i najzaśniejszego, urzęduje w Syberyi, podczas gdy ku zachodowi wysuwają się szumcwy tylko i męty społeczne olbrzymiego caratu. Wszakże tenże sam Miercałow, wchodząc w opłakane położenie katolików sybirskich, pozbawionych możności regularnego zaspakajania potrzeb religijnych, dla wielkiego rozruczenia w różnych stronach tej bezbrzeżnej przestrzeni, czynił rządowi poważne przedstawienia o naznaczenie jeszcze dwóch kapłanów dla tomskiej gubernii, z którychby jeden rezydował w Kainську, drugi zaś w Maryjsku. — Poczciwy tedy gubernator całem sercem zajął się sprawą narzeczonych i od siebie także do Petersburga zatelegrafował. Nikt już wprawdzie nie wątpił, że pozwolenie nadejdzie, wszelako bez niego żadnych zgoda kroków uczynić nie było podobna. Tymczasem chwila naznaczona na wyjazd biednego Izraelity nadeszła. Zrozpaczony i smutny, pożegnał się z narzeczoną. Zdawało się, iż ich ludzie rozdzielili na zawsze. Ale Pan Bóg dobry na niebie, ludzie dobrzy na ziemi, których nigdy nie zabraknie, czuwali nad nieszczęśliwymi. W kilka dni po wyjeździe Poznańskiego z Tomska, nadeszło oczekiwane pozwolenie. Ale cóż, kiedy nowe trudności stawały na przeszkodzie! Porządek biurokratyczny wymagał, aby panna Tychowska

odwiezioną była na koszt skarbu do Kaińska, przeznaczonego jej miejsca wygnania. Stamtąd mogła wprawdzie podać prośbę o przeniesienie na wschód, ale kosztu podróży w towarzystwie dwóch żandarmów, wypadłoby jej opłacić z własnej kieszeni. Dalej Poznański musiałby na swój koszt sprowadzić katolickiego kapłana. Okrom zwłok nieuniknionych, potrzeba było co najmniej 1500 rubli na poniesienie wszystkich tych wydatków, tymczasem oboje narzeczeni byli biedni. Bolesć panny T. wzbudzała w Tomsku ogólne współczucie. Zostawała jedna, jedyna droga pogodzenia wszystkich trudności, ta atoli zależała od dobrej woli gubernatora i od poświęcenia się ks. Gromadzkiego. Gubernator bowiem mógł powierzyć pannę Tychowską księdzu, zaopatrzyć ich w potrzebne papiery, pozwolić im dopędzić wygnańca, i na którymkolwiek etapie na poczekaniu ochrzcić go i dać ślub. Pora była dla takiej podróży jak najmniej odpowiednia: noce długie, błoto, ślota, chłód przejmujący, drogi okropne. Należało zaś jechać bardzo pospiesznie, chcąc dopędzić konwój wygnańczy. Zacny kapłan nie zląkł się uciążliwej podróży, gdy mu gubernator zaproponował odwiedzić pannę Tychowską narzeczonemu. Zaczęto się wybierać w drogę. Pocziwy Miercałow zaopatrzył wygnankę w ciepłe koce i poduszki, oraz w zapasy żywności; aby zaś jej ułatwić ciężką podróż, przydał nawet kozaka, który miał przyspieszać jazdę przez częstą i szybką zmianę koni.

Ruszyli tedy, mimo oplakanego stanu dróg. Silny i zdrów kozak wyznawał na popasach, iż gdyby nie wódka, nie przeżyłby zmęczenia. Cóż dopiero dziać się musiało z naszymi podróżnymi? Proboszcz tomski, zaprawiony do takiej jazdy i trudów, jeszcze jako tako znosił biedę, ale panna Tychowska niebawem zaniemogła, i ledwie dawała oznaki życia. Na popasach kozak ją wynosił i wnosił napowrót do powózki. — Czy nie umrze tylko nasza panna? — pytał raz po raz księdza, podobnież zaleknionego stanem towarzyszek. Ilekroć jednak odzywał się z propozycją odpoczynku, odpowiadała stale, ledwo dosłyszalnym głosem: „Jedźmy dalej!“ Zaczem jechali, i piątego dnia dogнали wygnańców. Konwojujący ich major i kapitan nadziwić się nie

mogli gubernatorowi, że politycznie skompromitowaną osobę powierzyć się odważył, nie żandarmeryi, lecz opiece katolickiego kapłana. Fakt jednak nie dawał się zaprzeczyć, a pismo gubernatora było jasne. Sprzeciwić mu się nie było podobna. Pozwolili tedy na wszystko. Poznański został ochrzczony, panna Tychowska się wypowiedziała; nie należała ona bowiem do skrajnych nihilistycznych odcieni, odrzucających wiarę i rodzinę; oboje przyjęli Komunię św., a wkońcu ks. Gromadzki pobłogosławił ich związek. Spełniwszy podjęte zadanie, wrócił do Tom-ska, a nowożeńcy po dwudniowym na etapie odpoczynku, z łaski żandarmów im udzielonym, ruszyli na miejsce swego przeznaczenia. Była nihilistka ma być bardzo pocziwą i zacną żoną.

* * *

Tomsk jest głównem miejscem rozsyłki w różne strony Syberyi. Przybywają doń koleją żelazną i łodziami więziennemi skazańcy całemi masami, których tu dopiero klasyfikują i dalej pędzą. Stąd centralne więzienie w Tomsku, oraz przydzielony do niego szpital, osobne mieć musi znaczenie i rozmiary. Znane nam są tameczne stosunki z przerażających opisów Kennana. Ks. Gromadzki niemniej ponure kreśli obrazy owej kaźni, którą samiż cesarscy urzędnicy nazywają niedogodnem nawet dla psów mieszkaniem!

Do Tomska więc, jakeśmy powiedzieli, spędzają skaza-nych na Sybir prawie z całej Rosyi. Tam ich rozdzielają na partye i wysyłają na miejsce osiedlenia lub katorgi. Jedne partye, złożone ze stu, stu pięćdziesięciu i dwustu ludzi, nadchodzą, inne zaś wychodzą, dwa razy w tydzień. W ciągu jednego lata przesunie się przez Tomsk w ten sposób do 13.000 skazańców. Każdy z nich zostaje w miejscowem więzieniu od jednego do czterech tygodni. Przybywają prawie z całej Rosyi; wyjątek bowiem stanowią wysyłani morzem z Odessy na wyspę Sachalin wygnańcy, których ma tam być około 12.000.

Otóż owo tymczasowe więzienie, zbudowane z drzewa, tak jest przesiąknięte wyziewami tyfusu, że rzadki bywa przecho-dzień, któryby uszedł zarazy. Ks. Gromadzki i doktor Orzeszko,

którzy tę próbę czyli tyfus już cztery razy przechodzili, są od niej obecnie po trochu zabezpieczeni. A co tam za nadzwyczajne bywają tej choroby odmiany! Jest tyfus żółty, w którym człowiek wygląda niby obsypany szafranem, a skóra tak twardnieje, iż jak w drewno pukać w nią można; jest tyfus czarny, w którym występują po całym ciele czarne krosty, zamieniające się we wrzody; jest tyfus gnijący, w którym ciało się rozkłada. Wszystko to jednak byłoby znośniejszym, gdyby nie niesłychana ciasnota. Samo więzienie zbudowane jest na ośmset ludzi, kiedy tymczasem do dwóch tysięcy w niem stale przebywa. Lazaret więzienny posiada łóżek, bielizny, pościeli i t. d. na 40 do 60 chorych, a bywa ich po 450, zaczętem 400 musi leżeć na ziemi, pod ścianami, jeden przy drugim, jak śledzie. Środek tylko sali jest wolny. Zamiast poduszek, głowę opierają na zwiniętym lazaretowym szlafroku, a drugim się nakrywają. Bielizny, już tem słowem oznaczyć niepodobna; jest to raczej czernizna, z białemi, ruchomemi plamkami, od łożącego po niej robactwa.

Rząd wprawdzie uznaje potrzebę powiększenia tak lazaretu, jak i całej turmy, ale tylko w teorii. A może też się lęka, aby fundusz na to wyłożony nie wpłynął do kieszeni czynowników. I słusznie. Na każdego chorego jest 30 kopiejek przeznaczonych na samo życie, bez lekarstw. Miejscowy lekarz, najzacieńszy dr. Orzeszko, były zesłaniec, upomina się wprawdzie, ażeby chorym dawano co potrzeba, ale cóż jeden przeciw wszystkim podola? — Następuje wizyta lekarska. Dr. Orzeszko, człowiek już w szóstym krzyżyku, otyły, na kolanach musi chorych obchodzić, podobnie, jak lud nasz obchodzi ołtarze w czasie odpustu. Można, a raczej nie można sobie wystawić, jaka tam jest atmosfera. Dezynfekcyonowanie do niczego już nie prowadzi ani pomaga. To też doktor, obszedłszy na klęczkach z dziesięciu chorych, wstaje aby się wyprostować, ale w tem błednieje, chwieje się i pada zemdlony, skutkiem zgęszczonego powietrza. Wynoszą go, trzeźwią, przychodzi do siebie. „Gdzież to ja jestem? — ha, to wizyta”. Wizyta, i to jeszcze nie skończona. Wraca więc doktor na salę, i ta sama historia powtarza się czasem po trzykroć!

Trafi się wprawdzie niekiedy, że nie zemdleje ani razu, ale zawsze powraca do domu, do żony i dzieci, wybladły i osłabiony. A wizytacja lazaretu odbywa się codziennie!

Inna znów scena z księdzem, kiedy go chory wezwie — tej bowiem pociechy nie odmawiają nieszczęśliwym aresztantom. Ksiądz już nie pielgrzymuje na kolanach dokoła sali, bo ma tylko jednego lub kilku chorych do zaopatrzenia, ale za to musi niemal bić czołem o ziemię, aby penitenta wysłuchać spowiedzi. Tyle bowiem tylko jest miejsca między jednym chorym a drugim, że można między nimi uklęknąć, przysunąć ucho do głowy leżącego na ziemi biedaka i tak go spowiadać. Drugi tymczasem obok leżący, nieraz w gorączce pluje księdzu na plecy i głowę, a czasem i wymiotuje. Nic dziwnego, iż w takich chwilach człowiek musi wspominać na miłość i pokorę Zbawiciela względem ludzi, inaczej nie można by się zdobyć na podobne słuchanie spowiedzi. Komunię św. niekiedy się daje wprost z bursy wiszącej na szyi, częściej wszakże bywa ustawiony u nóg chorego stolik nakryty i w dwie świece woskowe zaopatrzony.

Lecz nie tu koniec nędzy więziennej. Wielu skazanych na osiedlenie mają z sobą żony i dzieci. Dzieci bywają jakoś wytrzymałsze na tyfus, nieraz więc rodzice umierają, a czworo piskląt, niezdolnych ocenić grozy swego położenia, zostaje! Zarząd więzienny w takim razie oddaje sieroty do prawosławnego przytułku, w którym i z religią i z polskością na zawsze pożegnać się muszą. Władze chętnieby takie dzieci powierzały jakiej katolickiej rodzinie lub zakładowi. Ale gdzież ich szukać? Polaków i tak jest tam niewiele, a ci co są, bywają niezamożni, najczęściej zaś w służbie niepozwalającej im zajmować się wychowaniem dzieci.

„Ja — pisze ks. Gromadzki — choć w rozpacz wpadam na myśl zguby tych sierot, ratować ich nie jestem w stanie, bo musiałbym chyba fundusze niezbędne do wykonywania mego obowiązku pasterskiego poświęcić na założenie takiego przytułku. Od lat dwunastu wołam wprawdzie gdzie mogę, ale głos mój słabo się rozchodzi, ginie wśród przestrzeni dzielącej mnie od serc litościwych. Utrzymuję wprawdzie szkółkę śpiewu, bo tylko taką

rząd toleruje, ale to nie ochronka; a do tego z największym tylko wysiłkiem mogę na nią łożyć. Otynkowanie i ozdobienie kościoła na przyjazd Cesarzewicza, obciążyło mnie długiem na sześćset rubli. Taki przytułek wymagałby od sześciu do dziesięciu tysięcy kapitału zakładowego, o utrzymanie zaś jakoby się Pan Bóg postarał.

„Próbowałem umieszczać takie sieroty po domach i płacić od nich miesięcznie, ale się okazało, że pieniądze, które sobie od ust odejmowałem, bywały na co innego obracane, a dzieci pozostawały głodne i zaniedbane.

„Taki przytułek jedną jeszcze ważną oddaćby mógł przysługę“... Tu ks. Gromadzki opisuje praktykę sybirską przenoszenia chorego z chaty do chaty, o której wspomnieliśmy wyżej, ale ją tu powtórzymy jego własnymi słowami: „Prawo nakazuje odwozić bezrodzinnnych chorych do miasta i płacić za nich w szpitalu. Otóż, aby uniknąć i odwożenia do miasta, często na setki wiorst dalekiego, i innych kosztów, zdobywają się na następną sztuczkę. Dziś bierze go jeden mieszkaniec do siebie, jutro drugi, pojutrze trzeci, i tak biedny chory musi wędrować w kółko po całej wsi, dopóki nie umrze. W zimie śmierć następuje prędko, bo przenoszenie chorego przy 40 stopniach mrozu musi ją przyspieszyć. Tacy osamotnieni, bezrodzinni, są to najczęściej Polacy. Zawołano mię raz do takiego chorego z Sakramentami śś. Wchodzę, aliści on leży przy drzwiach, i całe to czterdziesto-stopniowe zimno, co tak bezczelnie, jak mówi w Szki-cach swoich Szymański, wciska się do izby za każdym uchyle-niem drzwi, bucha wprost na umierającego. Z pewnością takiemu choremu nie dadzą pierwszego w izbie miejsca. Czasem jest on owrzodziały, czasem przykrą woń wydaje, czasem bywa i nie-cierpliwy, więc go biją aby cicho leżał. Szczęściem miałem przy sobie kilka rubli, więc je dałem gospodarzowi, aby tego właśnie biedaka nie obnosił już więcej po wsi. Jakoś we dwa tygodnie później umarł. Otóż gdyby istniał jaki taki przytułek, możnaby doń sprowadzać i ściągać takich bezdomnych nędzarzów“.

Wspomniany z takim uznaniem przez ks. Gromadzkiego dr. Orzeszko, wzbudził był i szacunek Kennana, który mu nie

szczędzi słów pochlebnego świadectwa. Ks. Gromadzki również go podziwia. „Niema takiej nędzy, mówi, gdzieby on nie zajrzał, choćby na czworakach się czołgając i rozdając wszystko co zarabia“. Ale też imię jego, wielkiego po całej Syberyi zażywa miru. Raz wyszedł on ze strzelbą do lasu na cietrzewie; wtem zjawia się czterech ludzi, kłaniając się nisko „panu doktorowi“. — Skądże mnie znacie? pyta Orzeszko. — Wyznają, iż są zbiegami z katorgi, nie lękają się jednak tej tajemnicy mu powierzyć, bo on ich obrońcą i dobrodziejem, on ich leczył w lazarecie więziennym. — „Pańskie imię szanowane na całym trakcie od Petersburga do Amuru. Może Pan naszych usług potrzebuje?“ — Nie, odpowiada doktor, i pyta ich, dlaczego się sami wystawiają na nędzne życie *brodźgów*. — „Żądza swobody wszystko zwycięża. Tylko brak tytoniu strasznie dokucza“. Doktor w ich ręce wypróżnił swój kapciuch, i tak się skończyło spotkanie, dla kogoś innego śmiercią grożące.

* * *

Radzi są w Syberyi gościom z Zachodu, radowano się osobliwie jednemu z nich, który snując w naszym *Przeglądzie* swe wspomnienia podróże, nie omieszką zapewne opisać nam i pobytu swego w Tomsku i znajomości z ks. Gromadzkim, ten zaś w przydłuższym liście folguje uczuciu radości z powitania rodaka: „Drugi tydzień jak pożegnał się z Tomskiem polski podróżnik, książę Paweł Sapieha, syn księcia Adama z Krasiczyna. Książę Paweł, objechawszy prawie cały świat, stanął w Tomsku 3 września 1889 roku. Po drodze zatrzymywał się w Cejlonie, w Adenie, w Singapurze, zwiedził Japonię, część Chin, przejechał konno Mongolię, i przez Kjachtę, Irkuck przybył do Tomska.

„Młody książę, robiąc tę podróż w celu naukowym, cheiwie wszystkim się interesuje, i o wszystko pyta; podczas tego wjazdu po Syberyi, Japonii, archipelagu Lu-Kiu, gdzie z ogromną okazałością był podejmowany przez najwyższe władze, badał szczegóły życia prywatnego i publicznego, oraz kulturę miejscową krajów, przez które przejeżdżał, robiąc swoje uwagi i notatki.

„Rzadki ten gość, opuszczając Tomsk, zostawił po sobie miłe wspomnienie, nie tylko między naszą kolonią, lecz i u tych, z którymi miał zręczność choć przez chwilę obcować.

„Prostota i skromność, wobec wysokiej nauki, jaką posiada, i towarzyskiego położenia, wytworne wychowanie, uprzejmość dla każdego, jednały mu serca wszystkich. W czasie swojej bytności w Tomsku, ani jednego dnia nie opuścił Mszy św., pobożnością, przykładnem zachowaniem się w kościele innych budował. Błogosławione te matki, co tak wychowują dzieci swoje, dlatego i syn z największą czcią i rzewnością wspominał zacnych rodziców swoich. Dom pp. Bulubaszów, gubernatora tomskiego, otwarty dla naszego podróżnika, gdzie tak serdecznie był przyjmowany, zrobił na księciu głębokie, dodatnie wrażenie. Rodziny pp. Orzeszków i pp. Zaleskich były dla naszego gościa jakby domami jego krewnych.

„Bawiąc w Tomsku dni dziesięć, książę Paweł zwiedził uniwersytet, gimnazya, dobroczynne zakłady i więzienia. W bibliotece uniwersyteckiej, którą dlań bibliotekarz, p. Kuźniecowa, gościnnie otworzył, książę spotkał się z książkami należącymi niegdyś do rodziny Sapiehów i Mniszczów. Dzieła te przeszły do Tomska, jako darowizna z cesarskiej, publicznej w Petersburgu biblioteki i z ogromnego księgozbioru hr. Strogonowa. Książę Sapieha zastał też w Tomsku dwóch starców: dymisyonowanego majora Szostakowskiego, i podoficera Candla, towarzyszków broni z 1831 r. księcia Romana Sanguszkę, tobołskiego piechotnego batalionu żołnierzy, gdzie książę Roman lat parę jako żołdat zostawał na służbie.

„Podróżnik nasz, zrobiwszy spory zapas książek, traktujących o Syberyi, odjechał do Europy, z nadzieją zwiedzenia raz jeszcze, da Bóg, tego kraju, by poznać Sajańskie i Altajskie góry, gdzie wiele znaleźć można rzeczy zajmujących dla nauki i dla oka“.

Młody książę nie był wyjątkowym tych kresów gościem. „Syberya — pisze ks. Gromadzki — z każdym rokiem budzi w Europie większą ciekawość i zajęcie. Niemal co roku, od oceanu Atlantyckiego do Spokojnego, przejeżdża to Francuz,

to Anglik, to Niemiec, to Szwed, w celu poznania Syberyi pod względem kulturowym, geograficznym, etnograficznym, topograficznym. Anglia dla swoich produktów usiłuje torować sobie drogę przez ocean Lodowaty do ujścia rzek Obu i Jeniseju, lecz ryzykowna ta podróż nie zawsze bywa uwieńczoną pomyślnym skutkiem.

„Parę razy z ujścia Obu przychodziły do Tomska towary angielskie i niemieckie, kilka zaś lat temu p. Wiggins, kapitan statku angielskiego, przedarł się przez ocean Lodowaty, i stanął ze swoim parowcem na rzece Jeniseju, zbywając przywiezione towary w mieście Jenisejsku. Po większej jednak części, odważni podróżnicy albo cofali się wobec gór lodowatych, albo ginęli w głębiach Oceanu. Przedsiębiorczy jednak syn Albionu nie traci ducha, i traktuje z rządem rosyjskim o *porto-franco* dla swych towarów, przewiezionych przez Ocean północny. Jeżeli uda się Anglikowi utorować drogę przez morze Lodowate do ujścia rzek Obu i Jeniseju, kultura w Syberyi o wiele się podniesie“.

* *

Zakończmy te szkice odgłosem głodu, nawiedzającego w ciągu bieżącej zimy i te kresowe części olbrzymiego cesarstwa. W jesieni 1891 roku, ks. Gromadzki donosi znajomym, że wstąpiwszy do Częstochowy i Żytomierza, dla odwiedzenia obu matek swoich, Niebieskiej i ziemskiej, udał się do Petersburga, aby chodzić za sprawami swego kościoła. Następnie przez Moskwę, Złotoust, spieszył do Jekaterynburga i Tiumentiu, skąd jeszcze czekało go 1500 wiorst na saniach bardzo niewesołej drogi, „bo wskutek strasznego niedostatku chleba i siana, mieszkańcy rozbiegli się po świecie. Gdzie było 300 domów gospodarzy, zostało tylko 15 do 20. Z braku paszy zarzynano konie dla skóry, skutkiem czego trzeba było płacić w niektórych miejscowościach 20 kop. za wiorstę, i to nie zawsze można było dostać koni. Zdechłych koni po drodze bardzo wiele. W kurgańskim okręgu, tobolskiej gubernii, szarańcza wszystko zniszczyła, w iszymskim, jałutorowskim, tiukalińskim, posucha spa-

liła wszelkie posiewy i trawę, dlatego w tych miejscowościach wóz siana płaci się 16 rubli, kiedy w czasie urodzajnym kosztuje 15 do 30 kop.

„Wyjechawszy z Jekaterynburga, zatrzymałem się w Talicy, w domu pp. Paklewskich, i tam przepędziłem święta Bożego Narodzenia, nie bez pożytku duchownego dla siebie i kolonii moich współwyznawców, a ołtarz składany niemałą w tej mierze oddał usługę, bo chociaż z Permu przyjeżdża tu kapłan, nie pamiętają, by podczas świąt Bożego Narodzenia mieli nabożeństwo. W tym samym domu, gdzie miałem wygodę, jakiej nie mogę mieć u siebie, zachorowałem na influencę, i za to Bogu dziękuję, bo żebym zachorował na stacyi pocztowej, pewniebym umarł. Przy takich wygodach i dogładzie wyskrobałem się.

„Z Talicy na drugi dzień po Nowym Roku odjechałem do Tiumeniu, gdzie na mnie czekali zebrani katolicy. W Tiumeniu musiałem zabawić więcej tygodnia, wypowiadałem przeszło sto osób, ochrzciłem troje dzieci, opatrzyłem Sakramentami dwu chorych, i dalej w drogę do Jałutorowska. Zatrzymawszy się w domu zarządcy pp. Paklewskich, wypowiadałem czterdzieści osób, ochrzciłem troje dzieci, i wyruszyłem do Iszymu: tu także wypowiadałem do sześćdziesięciu osób — i do Tiukalińska. W Tiukalińsku ze czterdzieści osób było do spowiedzi, ochrzciłem jedno dziecko, opatrzyłem śś. Sakramentami jedną osobę — i stąd wprost do Omska; tu zabawiłem więcej nad tydzień: po pierwsze, miałem tu załatwić sprawy kościelne, po drugie odwiedzić starych swoich parafian; po trzecie, obejrzeć kościół, który przed dwudziestu dwu laty zakładałem, i dziesięć lat przy nim pracowałem; a te drzewa, co obecnie z kościołem się równają, własnymi rękami sadziłem; po czwarte, pomodlić się za tych dawnych moich parafian, których dusze już na tamtym świecie.

„Z Omska przez Spas, Kaińsk wracałem do Tomska i wszędzie załatwiałem religijne potrzeby. Podczas mojej podróży mrozy dochodziły do 40 stopni R.; niekiedy trzeba było jechać dzień i noc, otóż nocą chłód dawał się czuć ostro. W Tomsku zmian wielkich nie zastałem, ale widzieć się daje moja nieobecność. Pomaleńku przychodzę do porządku: obrazy Najśw. Panny Nieu-

stającej Pomocy i Dobrej Rady już są na widoku w prześlicznych złożonych ramach na ścianach naszego kościoła; ogłoszę uroczyste poświęcenie tych obrazów, zawiesimy lampy przed nimi, i w kornej modlitwie błagać będziemy o nieustającą pomoc i dobrą radę w potrzebach życia naszego, bo one są wielkie; a wy kochani moi Dobrodzieje i Przyjaciele, wraz z Siostrami św. Karmelu, wspierajcie nas modłami świętymi, bo jesteśmy sierotami opuszczonemi, bo jesteśmy biedni! Roboty dużo, gdzie nie spojrzę, gdziekolwiek przejeżdżałem, wszędzie daje się czuć brak i środków materyalnych i posługi duchownej. Wydalę się z Tomsku, to życie nasze nie tak idzie, jakbym chciał — siedzę w mieście, w prowincyi potrzeby wołają mojej obecności, choć rozerwij się na kawałki; obok tego z każdym groszem trzeba się liczyć tak ściśle, tak akuratanie, by wszędzie wystarczyło! Nabożeństwo Wielkopostne wprowadziłem z przynależną okazałością, kazanie i podczas Sumy i podczas Nieszporów, Gorzkie Żale śpiewamy z wystawieniem Najśw. Sakramentu, poczem procesya po kościele; aż dusza raduje się, kiedy bywa ciasno w świątyni.

„Módlcie się, ażeby duch ku chwale Bożej nie ostygł“.

Powtórzyliśmy w całości list powyższy, ponieważ zdawał nam się streszczać wymownie pasterskie dni i zajęcia sybirskiego proboszcza. Do tych prostych a tyle znaczących słów żadnego nie trzeba komentarza, same one mówią i wołają do serc czytelników rodaków i współwyznawców o pomoc i poparcie kościoła, dla polskiej na Syberyi parafii!

Pomoc ta nie na samej polega jałmużnie, nie ogranicza się na materyalnych, acz tyle pożądaných datkach. Zainteresowanie się serdeczne tą cząstką winnicy Pańskiej, łączność z kresowym katolicyzmem i polskością posterunkiem, wspólność dążeń i modlitwy, wielką stać się może dźwignią dla tych wywołanych i zapomnianych. Żebrał tego modlitewnego sojuszu zacny ksiądz Gromadzki, proboszcz tomski; żebrał go przed laty gorliwy irkucki pleban, ks. Krzysztof Szvernicky, którego listy odnalazły się w sybirskim archiwum czynnej opiekunki wygnańców, ś. p. Róży Sobańskiej. Część onych listów przed kilkunastu laty

ogłosił *Przegląd Polski*. Powtarza w nich ksiądz Szvernicky, że pracującemu na Syberji przedewszystkiem żelaznego potrzeba zdrowia, i opisuje przygody podobne tym, które za ks. Gromadzkiem z jego osobistych przytoczyliśmy doświadczeń. A zarazem błaga wciąż o modlitwy, pisząc, że „Syberja jest pod każdym względem Syberja, nietylko pod względem fizycznym, lecz i moralnym. Człowiek wstąpiwszy w obszary syberyjskie, z uczuciami religii i najlepszymi chęciami na przyszłość, powoli, stopniami, czuje się słabszym i ozięblejším; oschłość i nieszczęsna obojętność wciska się do duszy i serca; nakoniec owionięty tchem powszechnej obojętności ducha czasu i miejscowości, krzepnie, twardnieje i zaskorupia się w zatwardziałości. Okropny jest wtedy stan moralny człowieka, a tem bardziej kapłana misjonarza w Syberji! Nikt nad nim nie czuwa, nikt nie przestrzega. Przed nikim a nikim, prócz sumienia uspięnego, nie czuje się odpowiedzialnym; przestrzeń bowiem tak ogromna tamuje skargi, jakieby mogły dojść do władzy duchownej. Módlcie się bracia za braci swoich w Syberji! Jaką pobożność serca, jaką świętość ducha posiadać ma ten, co ma udzielać siłę Boską, utwierdzającą w wierze, której może niejeden sam w sobie nie ma! Z jak czystem ciałem, spokojnem sumieniem i potężną wiarą powinien przystępować do źródła czystej wody, którą ma posilić i ożywić chwiejące się katolików dusze! Nie opuszczajcie nas w codziennych modłach, proście Boga o podtrzymanie nas w św. gorliwości ewangelicznej!”

Listy księdza Szvernickyego świadczą, że już przed półwiekiem blisko rozpoczęto te same co dziś rokowania o utworzenie Sybirskiego wikaryatu apostolskiego i o udzielenie władzy bierzmowania, którą posiadali niegdyś Jezuici, czego przy kościele irkuckim pozostały ślady. W tej pożółklej korespondencji znajdujemy początki kilku świątyń katolickich, zakładanych na Syberji przez żarliwszych kapłanów. Powyższy ustęp przytoczyliśmy, aby wskazać jedną jeszcze trudną stronę ciężkiego życia misjonarskiego na Syberji: brak podniety i opieki duchowej, osierocenie i opuszczenie, wiodące słabszych do ostudzenia się i oziębłości w służbie Bożej. Tem wspanialszy przy-

kład takiego ks. Gromadzkiego, który snadź gorącą mieć musi duszę, skoro długie osamotnienie i pobyt w Syberyi nie wyczerpały w nim żaru miłości Bożej i miłości bliźniego, które i w inne przelewa serca. Rozczytując się w zapiskach sybirskich kapłanów, raz w raz w pamięci stawają słowa psalmu, pełne obietnic Pańskich: *Którzy sięją ze łzami, będą żąć z radością. Idąc szli i płakali rozsiewając nasienia swoje; ale wracając się przyjdą z weselem niosąc snopy swoje*¹. Kto wie, jakie żniwo na sybirskich dojrzeje śniegach, kto odgadnie ile z tych luźnych kłosek urosnie snopów, byle tylko siewców podobnych zacnemu proboszczowi tomskiemu tym obszarom nie zbrakło?

A zarazem inna jeszcze myśl ciśnie się do głowy i duszę przenika. Francya, stara chrześcijańska Francya, czemu jeszcze stoi wśród wszelkiego rodzaju zepsucia, jakie stamtąd na cały świat się rozlewa? Oto ofiarnością swych wiernych, i poświęceniem swych misyonarzy. Wewnętrzne rozterki nie przerywają ani umniejszają tego prądu poświęcenia, zadatku życia, rękoi przyszłości. I przed nami otworzyły się dwa pola apostolskiej działalności, na przeciwnych świata kończynach. Misye wśród wygnańców w Syberyi, misye wśród dobrowolnych wychodźców do północnej i południowej Ameryki. Utrzymanie i rozkrzewianie wiary na śnieżnych Północy przestrzeniach, na świeżym gruncie Nowego Świata, w naszym po części znajduje się ręku, od nas wymaga daniny ofiar, w jałmużnie i ludziach. Misyonarze zaiste są tą solą ziemi, która całe społeczności od zepsucia i zagłady chroni. Szczęśliwe narody, które ich z pomiędzy siebie wydają! nie zgina, dopóki prawdzie dostarczać będą głosicieli i szermierzy.

M.

¹ Ps. CXXV. 5, 6.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

O stosunku kapitału do pracy. Zapatrywania stronnictwa liberalnego, socjalistycznego i katolickiego na kwestyę socyalną. *Ks. dr. Adam Kopyciński.* Tarnów 1891. Nakł. autora. (8-ka, str. VII, 194).

Ks. dr. Kopyciński zadał sobie trudną pracę: postanowił zreasumować poglądy gruntownych socyologów dla użytku tych, którzy sami nie mogą rozpatrzyć się w kwestyi socyalnej. Oczywiście wielką zasługę zebrał wobec czytelników, którzy bez jego rozprawy mogliby uleźć namowom socyalnych demokratów. Jeszcze większe pochwały mogłyby spotkać ks. d-ra K., gdyby częściej przytaczał własne słowa autorów, których poglądy streszcza, bo czytelnik uprzedzony mógłby wątpić, czy zawsze socyalizm tak czarno wygląda, jak autor maluje. W najpotworniejszych zasadach socyalizmu ks. dr. K. w samej rzeczy nie poprzestaje na swoich własnych słowach, ale przywołuje autorów socyalistycznych, którzy bez ogródki rzucają w oczy czytelnikowi wyznania bezbożne i nieuczciwe. Ale w niektórych ocenach osób i szkół socyalistycznych skorzystałaby rozprawa, gdyby ks. dr. K. mniej usuwał autorów z przed oka czytelnikowi. Także zyskałaby ta rozprawa, gdyby ks. dr. K. mniej bezwzględnie był potępił, a bardziej szczegółowo wymienił zasady, których bronią pisarze poważni i otwarci chrześcijanie, choć na sprawę socyalną patrzą się ze stanowiska innego, niż autor. Prawda, że ci pisarze używają niebezpiecznych słów: *laissez faire, laissez passer*, ale wiedzą, że nie można każdemu pozwalać na wszelkie wybryki z krzywdą bliźniego, nie głoszą, że trzeba puszczać

plazem wszystkie zdzierstwa i oszustwa. Usuwają się tylko od udziału w takim prawodawstwie, jakie przemocą zmuszałoby ludzi do oszczędności, gospodarności i innych cnót społecznych, ale zamierzają zarówno bronić zasad chrześcijańskich, jak wolności obywatelskiej, i obiecują, że kiedy miłość chrześcijańska przesiąknie wszystkie urządzenia, układy i umowy dobrowolnie zawierane, wtenczas ustawodawstwo świeckie nie będzie potrzebowało siłą zmuszać społeczeństwa do zachodów o dobrobyt.

Zwolennicy tego poglądu, jak np. Périn, Joly, Haussonville i t. d. nie nakłaniają chrześcijan, ani nawet kapłanów do bezczynności, ale naglą ich do pracy nad polepszeniem dobrobytu na drodze inicjatywy prywatnej, stowarzyszeń, dzieł miłosiernych, instytucyj wzajemnej pomocy, w duchu chrześcijańskiej miłości: odwodzą ich tylko od ustawodawstwa w tym kierunku, w przekonaniu, że środki ustawodawcze i przymus państwowy nie są zdolne przynosić na tem polu pożądanych owoców. Nie mamy bynajmniej zamiaru przyznawać słuszności temu kierunkowi, chcemy tylko zaznaczyć, że szanowny autor prawie wcale nie uwzględnił tego kierunku, tylu poważnych liczącego pisarzy.

Przeciwnie, nic lepszego nie można wymagać od sposobu, w jaki ks. dr. K. odpowiada socyalistom, którzy chcą nas przekonać, że pierwotni chrześcijanie stanowili społeczeństwo na ich modłę. Zaczepiony na tem polu, zmuszony wyjaśniać różne ustępy z ksiąg Starego i Nowego Zakonu, ks. dr. K. rozwija taki zapas wiedzy, wyjaśnia i uzasadnia swoje poglądy tak głęboko, że trudno czytelnikowi nie zrozumieć, jak opacznie spoglądają socjaliści na nasze księgi święte, kiedy z nich chcą wydostać oręż do walki o swoje zasady.

Równie trudno pominąć milczeniem ustęp pod napisem „Bóg a człowiek“. Z całej cennej rozprawy może najpiękniejszy ten ustęp, pisany ze spokojnym polotem, prawie z zapalem, ale poważnym, roztacza bogactwo jędrnych myśli wyłuszczonych przejrzyście, przebiega szerokie pole spostrzeżeń i uwag zaczerpniętych z Patrologii katolickiej i filozofii, z piśmiennictwa naukowego i literatury różnych narodów: słowem, streszcza skarby chrześcijańskich pojęć o Bogu, o człowieku, o stosunkach stworzenia do Stwórcy.

Następny rozdział dowodzi, że ks. dr. K. zarówno umie władać piórem, kiedy chce podnieść serce czytelnika, jak kiedy musi streszczać główne pojęcia i najważniejsze zasady suchego prawa. W tym rozdziale z matematyczną ścisłością podaje czytelnikowi określenia haseł, któremi socyalizm zwoluje pod czerwoną chorągiew dobrodusznych i biednych

robotników. Sam ten rozdział stanowi wielką zaletę tej rozprawy i świadczy o pracy autora.

Kończy ks. dr. K. swoje dziełko przeglądem pomysłów, jakimi katolicy usiłują załatwić kwestyę społeczną. Tu znowu możnaby przedstawić objawy daleko liczniejsze tej troski, którą mają katolicy pisarze o dolę robotnika. Ks. dr. K. prawie wyłącznie wspomina katolików, zwanych chrześcijańskimi socyalistami. Wzbogaciłaby książkę wzmianka o prądach innych, np. w Ameryce, gdzie także katolicy pisarze bronią różnych poglądów, choć wogóle tam ani socyalizm nie bardzo tchnie duchem chrześcijańskim, ani chrześcijanie nie bardzo sprzyjają socyalizmowi.

Szkoda także wielka, że ks. dr. K. nie rozebrał encyklik Leona XIII., o którego naukę toczą ze sobą ostre spory zwolennicy ks. biskupa Kettelera, do których należy ks. dr. K., i ich przeciwnicy.

Jednem słowem można streścić pochwały książki ks. d-ra K.: podniosła kwestyę najżywotniejszą naszego czasu i rzuciła na nią światło, jakiego społeczeństwo nasze potrzebowało.

Ks. K. C.

Mathiae Casimiri Sarbiewski e Societate Jesu Poloni poemata omnia.

Editio omnium quae adhuc prodierant longe plenissima. Staraviesiae, typis et sumptibus Collegii S. J. 1892. (W 8-ce, stron LXIV i 624).

Liczne wydania Sarbiewskiego tak się dziś wyczerpały, że odnaleźć po księgarniach egzemplarz jego poezyj, należy do prawdziwych rzadkości. Nic też dziwnego, że ogół ludzi wykształconych ma o Sarbiewskim bardzo mgliste pojęcia, i że prawdziwi nawet badacze naszej literatury znają go przeważnie tylko z tłumaczeń Kondratowicza, które pomimo gładkiej i ujmującej formy nietylko daleko odbiegają od oryginału, ale nawet raz po raz grzeszą grubym niezrozumieniem łaciny. Dotkliwemu temu brakowi chciał zaradzić ks. Tomasz Wall, profesor studyów klasycznych w Starowiejskim kolegium Tow. Jez., i zabrał się do nowego wydania Sarbiewskiego. Wydanie to przed paru miesiącami wyszło z prywatnej drukarni Starowiejskiego kolegium; na pierwszy rzut oka przedstawia się co do objętości bardzo poważnie, pod względem zaś formy i druku wcale gustownie — i choćby nie przynosiło innego pożytku nad ten, że umożliwia szerszym kołom zapoznanie się ze sławnym poetą naszym, już każdy miłośnik literatury przyznaćby musiał, że to prawdziwa zasługa.

Ale praca ks. Walla ma jeszcze tę wielką zaletę, że jest pierwszym wydaniem kompletnem. Wydawca zebrał wszystkie t. zw. pośmiertne wiersze poety, rozrzucone dotychczas po wydaniach, bardzo nieraz rzadkich i mało komu dostępnych; oprócz rzeczy drukowanych wyzyskał wszystkie znane i w najświeższych nawet czasach odnalezione manuskrypta, wiele wierszy po raz pierwszy drukiem ogłosił. Po wstępie, skreślającym genezę tej edycji, podaje życiorys poety, ułożony porządkiem lat (str. I—XX), najobszerniejszy z istniejących dotychczas, wolny od błędów stale powtarzanych, a wzbogacony niejednym nowym szczegółem, zaczerpniętym z archiwów. Następuje obszerna i wyczerpująca bibliografia (str. XXI—LXIV). Tekst poezyj Sarbiewskiego ciągnie się od str. 1 do 538. Znajdują się w nim naprzód, jak zwykle, *Lyricorum libri quatuor* i *Liber epodon*. Potem *poesis posthuma*; zawiera ona, jak i w dawniejszych wydaniach, *Silviludia*, a następnie *Miscellanea*. Nazwą tą objął wydawca wiersze i poemata, dotychczas rozrzucone i mało znane, jakoteż pierwsze przedruki z rękopisów. Ostatni dział stanowi księga epigramatów, w dwójnasób prawie powiększona wierszami po raz pierwszy ogłoszonymi z tak zwanego kodeksu Bielowskiego; ogólna liczba epigramatów wzrosła w tem wydaniu do cyfry 265. Zamykają wydanie obszerne dodatki krytyczne p. t.: *Corrigenda* i *Loci variantes* (str. 539—572), jakoteż wcale pokaźny, samodzielnie opracowany *index* czyli słowniczek historyczny i geograficzny nazw, które w Sarbiewskim co krok się spotyka. Słowniczek ten każdemu czytelnikowi się przyda, a dla cudzoziemców jest niezbędny (str. 573—624).

Czy i o ile wewnętrzna wartość tego wydania czyni zadość wymaganiom dzisiejszej krytyki naukowej? Z tego punktu niejedno zarzucić można. Naprzód uderza niejednorodność całej tej pracy. Wiele tekstów podanych bez zastrzeżenia w środku książki bywa potem zaprzeczanych lub odmienianych bądź we wstępie, bądź w końcowych dodatkach — nawet całe ody spotykają się z tym losem. Słowem, sam tekst Sarbiewskiego wydaje się drukowanym bez krytyki, a znowu w dodatkach niemalże zasób umiejętnej krytyki występuje. Sprzeczność ta, która skądinąd trudnaby była do pojęcia, tłumaczy się bardzo naturalnie przez historię powstania tej edycji.

Wydawca z zupełną szczerością opowiada we wstępie (str. IV i V), że zabrał się do pracy ze względów czysto praktycznych; po prostu chciał pomnożyć liczbę egzemplarzy dla użytku kolegium i zaczął w tym celu przedrukowywać wydanie strasburskie z roku 1803. W miarę jednak, jak praca postępowała, rozpatrywał się coraz więcej

w przedmiocie, odkrywał rzeczy nowe, a zachęcony powodzeniem, rozpoczął na większą skalę poszukiwania i studia krytyczne. Wśród tych studyów poznał, że wiele rzeczy w tekście wydania już wydrukowanych należałoby zmienić, niektóre opuścić, inne ściślej poddać analizie; ale na to już było za późno, robota drukarska zbliżała się ku końcowi. Cały więc materiał krytyczny umieścił osobno na końcu, opatrzył w odpowiednie odnośniki, uzupełniając w ten przynajmniej sposób braki wydania.

Te uzupełnienia, jakkolwiek pracowite, nie całkiem czynią jeszcze zadość wymaganiom krytyki. Tekstu ostatecznie wydawca nie ustalił, a było to potrzebnem. W wielu wierszach, zwłaszcza należących do działu *poesis posthuma*, napotykamy po dawniejszych wydaniach liczne różnice i warianty, czasem nawet lekce fałszywe i nie mające sensu. Z tem wszystkiem należało zrobić porządek.

Dodajmy jeszcze i to, że co do autentyczności niektórych wierszy Sarbiewskiemu przypisanych, powstać muszą w czytelniku pewne podejrzenia. Dowody przytoczone są słabe; sam zaś styl tych wierszy, ciężki i nieudatny, jakoteż wszelki brak polotu, poważną budzą wątpliwość, czy utwory te przypisać można nawet początkującemu poecie. Jest to w każdym razie kwestya, którąby należało bliżej jeszcze zbadać. Samo podobieństwo pewnych zwrotów i wyrażeń, a nawet tożsamość całych zdań, nie dowodzi jeszcze autentyczności; równie dobrze może dowodzić nieudolnego naśladownictwa lub literackiego plagiatu.

Oprócz tych głównych zarzutów, wytknąć można starowiejskiemu wydaniu kilka mniejszych usterek. Szkoda np., że w książce tego rodzaju nie wprowadził wydawca nowej pisowni łacińskiej; nadto i sam język łaciński, którym zresztą dobrze włada ks. Wall, mógłby być więcej zwięzły a miejscami więcej klasyczny. Brak wreszcie temu wydaniu spisu rzeczy, co bardzo utrudnia oryentowanie się w tak obszernym i różnorodnym materiale.

Niedostatki te, które z obowiązku krytyka konstatujemy, tłumaczą się, jak każdy widzi, sposobem, w jaki ta praca powstała i rosła pod ręką. A jednak mimo tych niedostatków przynosi ona nauce i samej nawet krytyce tekstu wiele cennych nabytków.

Na dziesięciu prawie stronicach dodatku (str. 539—548) zebrał ks. Wall kilkaset wariantów, powstałych z zestawienia paru ważniejszych wydań: kolońskiego z r. 1625, wileńskiego z r. 1628 i wileńskiego z r. 1757 (Naruszewicza); uwzględnił różnice dwóch rękopisów zawierających *Aureum saeculum*, a w wierszach o Krzyżu, nie tak

dawno ogłoszonych przez p. Krystyniackiego, poprawił sporą część błędnych lekcyj; wedle rękopisu przechowywanego w bibl. Ossol. (por. *Corrigenda* str. 539—540).

Zebrał on też wiele materyałów do krytycznej oceny talentu i poezyj Sarbiewskiego. Jest dzisiaj rzeczą naukowo dowiedzioną, że Sarbiewski wielką część swych wierszy znacznie przerobił. Początkowo holdował on panegiryzmowi i pisał w tym duchu; później, kiedy wyznawać począł ideał horacyański, rzeczy w pierwszej epoce napisane zarzucał, albo też przerabiał, dzielił i inaczej układał.

Ten zwrot w życiu poety dokonał się w latach 1623 i 1624 i wskutek tego pierwsze wydanie kolońskie, ogłoszone dopiero w r. 1625, nie daje nam pojęcia, jakim był Sarbiewski w pierwszych latach swej poetycznej twórczości. Chcąc się o tem przekonać, trzeba sięgnąć dalej, do rękopisów i do pierwszych publikacyj ulotnych, okolicznościowych, powstałych w Krożach i Wilnie. Otóż ks. Wallowi po wielu staraniach udało się dotrzeć do tych wszystkich tajników. Wyzyskał on nadzwyczaj cenne zapiski p. Windakiewicza, zwłaszcza bardzo charakterystyczną kompozycję, pod tytułem: *Porticus honoris* (str. 554—565); wygrzebał i zbadał rzeczy tak mało znane, a wiele jednak rzucające światła, jak *Hymenodora*, *Sacra lithothesis*, *Pompa nuptialis*, *Elegia itineraria*; wyszperał aż w Paryżu poemat drukowany bezimiennie, o którym nikt nie wiedział, pod tyt. *Ferdinandi II. Herculis Germanici Trophaeum* (str. 566—568) i to wszystko zebrał razem, obok siebie zestawił — tak, że dziś po raz pierwszy jesteśmy w stanie zbadać gruntownie okres panegiryczny w twórczości Sarbiewskiego.

Większą jeszcze zasługą ks. Walla jest bardzo sumiennie opracowana bibliografia Sarbiewskiego. Pierwszy on wniósł światło w ten chaos, o którym chodziły dotąd najsprzeczniejsze wieści. Co do liczby wydań i co do lat ich pojawienia się, ani na ks. Brownie, ani na p. Estreicherze nie można było polegać. Ks. Wall podaje spis edycji pewny i przytacza na to dowody; wylicza on wprawdzie niektóre wydania, których nie widział i bliżej nie poznał, ale przytacza je jako niepewne, a co najważniejsza, przytacza takich wydań niewiele; wszystkie inne albo na własne oczy oglądał, albo zna je z opisów umyślnie dla jego użytku sporządzonych; wszędzie też podaje biblioteki krajowe i zagraniczne, w których te wydania każdy oglądać może. (Str. XXIV, przypisek). Takich wydań pewnych jest przeszło czterdzieści, nie licząc w to publikacyj okolicznościowych, ulotnych, bezimennych, które wyprzedziły najstarsze wydanie kolońskie, a o których dopiero co była

mowa. Oprócz wydań podaje ks. Wall wykaz i opis dokładny prozajicznych dzieł Sarbiewskiego, przechowywanych w rękopisach (str. XLVII), wymienia liczne tłumaczenia wierszy jego w różnych językach (str. LIII), wreszcie przytacza prace i rozprawy naukowe o Sarbiewskim, z różnych epok i literatur wyjęte (str. LVI).

Wszystko to razem wzięwszy, praca ks. Walla nie jest wprawdzie ostatnim wyrazem umiejętnej krytyki, jest jednak pierwszym, a zarazem wielkim krokiem ku temu celowi, i materyał do tego potrzebny w znacznej części nagromadza. Dziś, aby zrobić doskonale wydanie, nie potrzeba już wiele szukać; dosyć ten materyał uporządkować i wyzyskać, do czego sam szanowny wydawca najlepiej nam się zdaje przygotowany¹.

Ks. Wł. Piątkiewicz.

Editiones academiae litterarum Cracoviensis. Bibliotheca auctorum polonorum. — Orichoviana. Opera inedita et epistolae Stanislai Orzechowski. 1543—1565. Vol. 1. Edidit *dr. Joseph Korzeniowski*. Cracoviae. Typis ephemeridum „Czas“ Fr. Kluczycki et soc. 1891. (XXVIII. 740).

Orzechowski, ta zagadka charakteru, który umiał razem zasługiwać na gniew reformatorów za obronę papieństwa i na kary kościelne za ducha reformatorskiego, — Orzechowski, ta mieszanina sprzeczności, która umiała łączyć zapal gorącej miłości ojczyzny z rozkładowym wpływem na jej ustrój, — Orzechowski doczekał się zbiorowego wydania swoich pism dotąd niedrukowanych i ciekawych listów. Pierwszy tom tego wydania dostarcza wiele materyału dla badacza wewnętrznych stosunków Polski w środku XVI. stulecia, a więcej jeszcze osnowy do badań psychologicznych nad przebiegiem burzliwej walki, którą stoczyła ze sobą zagmatwana dusza nieszczęśliwego kanonika przemyskiego. Walka przeciwko bezżeństwu księży w łacińskim obrządku miotła nim przez długie lata, goryczą zaprawiała jego pióro w pismach do najżyźniejszych przyjaciół, listami namiętными a pisanemi z wymową godną lepszej sprawy, zasypywała biskupów, nuncyuszów, kardynałów, papieża, uczestników soboru trydenckiego: nakoniec uciechła przed uczuciem, którego nikt nie przewidywałby pierwiej, przed głęboką uległością dla praw kościelnych i władzy papieskiej. Koleje tej walki wyrrywają z pod pióra Orzechowskiemu przez długi czas bolesną skargę; potem skołatane serce

¹ Skład całego nakładu wyłącznie u wydawcy: Starawieś, poczta Brzozów.
(*Przyp. Red.*).

zaczyna tęsknić za równowagą; wracają jeszcze na jego usta hasła rozstrojowe, ale zaczyna coraz wyraźniej świtać jutrzeńka spokoju. Kto zechce przeczytać tę książkę, ten może z pożytkiem śledzić tory, po których życie miało człowiekiem zbłąkanym, ale prawdopodobnie zwróconym na dobrą drogę u kresu zawikłanej wędrówki po manowcach.

Ks. K. C.

Przegląd dziejów c. k. gimnazjum wadowickiego. Z powodu 25 rocznicy istnienia zakładu napisał *dr. Antoni Karbowiak*. W Wadowicach. Nakładem funduszu naukowego. 1892. (Str. 64, z dwiema tablicami).

Z hasłem oświaty na ustach występuje przed światem tylu ludzi, że w tem mnóstwie niełatwo rozróżnić szczerých krzewicieli światła pomiędzy głosicielami zasad zdrowych, ale w ich ustach płonnych, bo nie popartych czynem. Dlatego przysługę wyświadcza społeczeństwu, kto pokazuje, w czyich ustach hasło oświaty nie brzmiało tylko dźwiękiem czczego słowa, ale stanowiło pobudkę do wytrwałej pracy, której owoce wykarmiły już prawie całe pokolenie. Z tego powodu zasługuje na uwagę praca d-ra A. K., który przedstawia, jak gmina wadowicka nie poprzestała na płonnych naradach i dobrych chęciach, ale w skrzętnych zachodach póty nie szczędziła kosztów i mozołów, aż założyła za poparciem państwa szkołę średnie, które obchodziły niedawno dwudziestopięciolecie istnienia. Autor zbyt skromnie zarzuca swojej pracy, że „powinna była pozostać jeszcze w tece“. W tece nie powinna pozostawać praca, choć sucha, ale zdolna zachęcić inne miasta do współzawodnictwa z Wadowicami. Tem lepiej może, że autor nie miał czasu dać literackiej pozłoty książeczce, która teraz nagim widokiem cyfr i dat, przedmiotów szkolnych i rozkładem godzin, nakoniec spisem cenniejszych osobistości, które w tem gimnazjum zasiadały na katedrach i ławach szkolnych, przedstawia krótko i dobitnie pomyślny rozwój jednego z młodszych zakładów naukowych.

J. R.

Zatarg JMCI Pana Łukasza Konopki z miastem Toruniem. Kartka archiwalna (1742—1756). Przez *Aleksandra Kraushara*. Kraków. Gebethner i Spółka. 1892.

Kartka ta — jak autor ją nazywa — dla badaczów, a wogóle dla wszystkich bliżej interesujących się dziejami naszego sądownictwa, nie jest bez głębszego interesu. Przedstawiony tu spór butnego szlachcica,

a raczej może trybunału koronnego, z miastem Toruniem, spór bogaty w dramatyczne i awanturnicze przygody; rzuca światło na ówczesne stosunki sądowe, wyjaśnia właściwy stosunek „małej rzeczypospolitej“ toruńskiej do wielkiej rzeczypospolitej polskiej. W tem tkwi właściwa wartość bardzo dokładnego opisu sprawy skądinąd nie tak znów ważnej. Długie cytaty współczesnych wyroków, odezw, referatów nużą nieco czytelnika nie-specjalistę, a jak nam się przynajmniej zdaje, można je było bez żadnej szkody dla rzeczy, jeśli nie opuścić, to bardzo przykrócić. Być może, że wtedy broszura zmieniałaby się w cieniutką broszurkę; ale pytanie, czy to właśnie dla samejże pracy i dla jej poczytności lepiejby nie było?



Z piśmiennictwa zagranicznego.

Le socialisme chrétien. *Henri Joly.* Paris. Hachette et Cie. 1892. (VI, 336).

Coraz głośniej zaczynają warstwy robocze narzekać na brak chleba, nawet w krajach żyznych i gospodarnych. Wątpi o tem chyba taki potentat finansowy, jak ten, który niedawno miał twierdzić, że „nie a nie nie wierzy w istnienie ruchu robotniczego“. Prócz takich wyjątków, całe społeczeństwo widzi niebezpieczny ruch, i myśli jak zapobiedz przewrotowi.

Z tą myślą wielu spogląda na chrześcijaństwo, ale nie wszyscy jednakowo wzywają je na pomoc. Jedni radzą, żeby Kościół stanął na czele zamachu na obecny ustrój społeczny. Drudzy zapewniają, że wpływ Kościoła czysto duchowy wystarczy do równowagi stosunków i zażegna niebezpieczeństwo.

W tym sporze wielu pisarzy wzięło udział przez głębokie rozprawy, w których badają, jaka praca nad zmianą stosunków odpowiada duchowi chrześcijańskiemu i zasadom Kościoła. Od uczonych wywodów jaśniej przemawia do ogółu uchwytny obraz stanowiska, na którym w przeciągu wieków stał Kościół wobec szerzycieli hasła, podobnych do głosów dzisiejszego socjalizmu. Książka p. J. daje taki obraz, zebrany z różnych wypadków zaszłych w przebiegu dziejów Kościoła.

Sposób, w jaki autor tworzy ten obraz, musi wywołać zarzuty ze strony wielu czytelników.

Ani przedmiotu rozprawy nie określa autor od początku, tylko dopiero w drugiej połowie sporej książki dokładnie wyraża, o czym pisze; ani stanowiska własnego nie zaznacza sam, tylko pod koniec daje je czytelnikowi odgadnąć.

I jednego, i drugiego nie pochwałą czytelnicy, jeżeli nie lubią stać przed zamaskowanym autorem, który nie mówi od razu, dokąd steruje, przez pół książki prawie nie zdaje sprawy z treści wytycznego pojęcia i przewodniej myśli, nie zapowiada, w co mają czytelnicy wierzyć, co odrzucić, tylko każe im wpatrywać się w zagadkowy bieg wypadków i nawał szczegółów i samym śledzić ich tok, żeby samodzielnie wyrobić pogląd na dzieje i wydać własny sąd, czy wszystko prawda, co mniemał dotychczas.

Mimo zarzutów ze strony wielu może czytelników, nie na nagane, ale na pochwałę zasługuje p. J. za to, że obrał ten sposób.

Gdzie powszechnie panuje niechęć do zdobyczy dedukcyi, tam niewielu uprzedzonych przekona pisarz, jeżeli do umiejętnej wyprawy na zdobycz prawdy nie wybierze drogi indukcyjnej. Dlatego pan Joly w rozprawie o pytaniach zawitych, jakich pełno w socyalizmie, nie chce z góry zaczepiać niczyich poglądów, tylko sięga do źródła, którego świadectwo nie zależy od dzisiejszych sporów: opisuje dziejowe wypadki, na których czytelnik zdoła samodzielnie spostrzedz objawy odrębnego prądu pośród różnych zamieszek społecznych, sam zanalizuje te szczegóły, odkryje w nich znamiona wspólne, zbierze ich treść i zwiąże ją w jedno pojęcie ogólne, określi to pojęcie oznakami nie dowolnie wybranymi, ale podanymi przez wiedzę, nazwie je socyalizmem, i dopiero z tego stanowiska zejdzie na drogę rozbioru pojęcia wyprowadzonego z wiadomości uchwytnych, żeby zbierać plony dedukcyi w dalszych rozdziałach.

Z tym zamiarem otwiera p. J. przed okiem czytelnika księgę dziejów od chwili, w której Kościół wystąpił na widownię świata, a narody przedstawiały widok takiej nędzy, w jakiej już niema kwestyi socyalnej. Porusza tę kwestyę dziś jeszcze chrześcijańskie pokolenie, w obronnej walce przeciw wzrastającej fali nędzy, podczas gdy społeczeństwo pogańskie nie poruszało wcale gordyjskiego węzła tej kwestyi: przecinało ją niewolnictwem.

Duchowny wpływ, główne dzieło chrystyanizmu, przeobraził pojęcia i uszlachetnił serca; wpływ na równowagę stosunków doczesnych,

drugie dzieło chrześcijaństwa, przywrócił człowiekowi pierwotne stanowisko i prawa.

O ten drugi wpływ chrześcijaństwa toczą dziś spory socjologowie: jedni widzą w nim dzieło ducha zgodnego z hasłami przewrotu społecznego, inni zaprzeczają temu stanowczo.

Autor przytacza najprzód zasady, odziedziczone przez chrześcijaństwo z ksiąg Starego Przymierza. W nich widzą niektórzy pisarze, np. Renan, „program pewnego rodzaju socjalizmu teokratycznego, który wytwarza solidarność, ignoruje jednostki“. Z tego powodu rozbioru tych zasad nie opuszcza p. J. i przyznaje, że równowagę społeczną w narodzie żydowskim utrzymywał Stary Zakon przepisami, które zaledwie łagodzą jarzmo, w jakim ginęli poganie, a nie dają zupełnej wolności obywatelskiej, bo tylko wieczystą niewolę znoszą, nakładają podatki w pierwotnej postaci dziesięcin, zmuszają do jałmużny, krępują wolną sprzedaż rodowych majątków i t. d. Ale przytem pokazuje p. J., że chrześcijaństwo nie odziedziczyło po Starem Przymierzu obowiązków, które należały do obrzędów i ustroju społeczeństwa żydowskiego; dostało w spuściźnie część swojej nauki wiary i obyczajów, a w tej spuściźnie podnosi p. J. obronę jednostek w biblijnej zasadzie, która nad wszystkim góruje, że praca zdobywa prawa, a zarobek należy do robotnika, i jako jego własność, jemu ma służyć do woli. Ale czyż chrześcijaństwo także tej zasady nie zaliczyło do przepisów właściwych Staremu Przymierz, i czy nie prowadziło wiernych do ustroju państwa podług zasad socjalistów dzisiejszych?

Przypisują to zwyczajom pierwotnych chrześcijan socjaliści dzisiejsi, i nie umieją inaczej wyjaśnić olbrzymiego dzieła, dokonanego przez chrześcijaństwo, jak tylko domysłem, że Kościół dążył do władzy nad światem przez zamach na prawo osobistej własności, przepisując, żeby duchowieństwo część dochodów oddawało ubogim, wprowadzając zasadę własności wspólnej, zarządzając, żeby majętni składali dobra przed urzędnikami, którzy mieli dzielić je między wiernych, sięgając naukę, którą potem długo zbierali jego pisarze i mowcy: że każdy bogacz albo przez kradzież zebrał majątek, albo odziedziczył po złodzieju, że nie z przyrodzonego zakonu wypływa prawo do osobistej własności, ani ust chrześcijańskich niegodne te zimne słowa „moje“ i „twoje“. Stąd wniosek, że Kościół powinien dziś wrócić do pierwotnego ducha, stanąć na czele ruchu przeciw dzisiejszemu ustrojowi społeczeństwa, zaktknąć na obradach sejmowych chorągiew opozycji, wydrzeć rządowi zdobycze ustawodawstwa i wybudować nowe królestwo sprawiedliwości.

Na te zarzuty i wnioski z nich, trudno dać lepszą odprawę od pana J. Zaczyna od uwagi, że jeżeli początkowy Kościół tchnął zasadami socjalistycznymi, to musiał dążyć do zagłady własności osobistej, jak dążył do zagłady niewolnictwa i zniósł je ostatecznie, bez przewrotów, nawet bez zatargu z rządami. Jakąż napaść na własność osobistą widać w dziejach Kościoła?

W odpowiedzi autor najprzód przebiega krokami wielkimi, ale pewnymi, pierwszą dobę chrześcijaństwa i przedstawia przewodnią myśl Kościoła w przełomie stosunków, którego dokonał przy rozgromie pogaństwa. Potem przechodzi autor drogę rozwoju pojęć i poglądów w dziełach Ojców, szczególnie wschodnich, najgłośniej oskarżanych o zasady socjalistyczne, i z pochodnią ich nauki zachodzi na ścieżki, któremi błędzili średniowieczni marzyciele. Tu znacznie zwalnia kroku: szlakiem ubitym przez św. Tomasza i jego uczniów, choć nie zawsze przekonany o ich powadze, przechodzi na pole walki wyznaniowej, która w XVI. w. także sprawą społeczną wichrzyła; krok za krokiem śledzi po krętych drogach pochód coraz nowych obozów i staje na koniec nad bezdrożem, na które pchnął narody zamęt pojęć z 89-go r.

Na tle tylu wieków pokazuje autor zjawiska różnych porywów myśli ludzkiej, która szukała równowagi społecznej, przywodzi hasła różnych zastępów, rozpatruje ich zdobycze i liczy marne wysiłki, które zawiodły nadzieje i nie uciszyły skarg; w toku tych wypadków nie spuszcza z oka przewodniej myśli chrześcijańskiej, w nawale zasad wykrywa zasadnicze stanowisko Kościoła, nieprzychylnie prądom burzycielskim, rozwija stałe znamię socjalizmu, pokazuje jego szkołę i kończy dokładnem określeniem jego pojęcia.

Socjalistą jest, ktokolwiek nakłada na przedstawicieli władzy urząd nadzorców nad wytworem, obrotem, podziałem i użytkiem bogactw. Tego nadzoru żądać można w różnych stopniach. Pośród socjalistów jeden bić będzie głównie na wolność pracy, i zażąda, żeby państwo wydało szczegółowe rozporządzenia dla każdego zawodu; inny zmierzać będzie głównie do bezpłatnego udzielania kapitału, albo do rodzaju przymusowej ugody między kapitałem i pracą, do ustawy, która odmówi słuszości uroszczeniom, żeby kapitał, tak zwany „martwy“, mógł być wydawnym, to jest ten, którego właściciel nie wyzyskuje własną pracą. Inny zażąda, żeby ustawy wyznaczyły *minimum* zapłaty i jej stosunek do potrzeb człowieka młodego albo wiekowego, bezżennego albo żonatego. Inni ograniczą używanie bogactw przez podatki na przedmioty zbytku, szczególnie przez progresyę podatku. Nakoniec ponad

tych wszystkich socyalistów wyżej sięga socyalizm zupełny, socyalista radykalny, który tego wszystkiego wymaga za jednym zamachem.

Z określenia takiego korzysta druga część książki, w której autor bada stanowisko i ruchy stronnictw teraźniejszych, wyrzuca niektórym, że na łonie chrześcijaństwa chcą pieścić mrzonki przyproszone zasadami, do których nikogo nie zachęcał nigdy Kościół; przechodzi do encykliki Leona XIII., czyta w niej własne zdania i wyniki swoich dedukcyj i kończy wnioskiem, że po wyrokach Leona XIII., dawanych raz po raz, nie można już przystać na zgodę chrześcijaństwa z socyalizmem, na istnienie socyalizmu chrześcijańskiego.

Słowem zajął autor stanowisko niezgodne z wywodami stronnictwa, które żąda od Kościoła najprzód rozkazu, żeby wierni zabezpieczyli każdej rodzinie i nawet jednostce stosowny dobrobyt, i to w imię obowiązków sprawiedliwości, a nie tylko z pobudek miłosierdzia; wymaga dalej to stronnictwo wyroku, potępiającego bogactwa, nie używanego wyłącznie na zapomogi dla biednych; nakoniec woła to stronnictwo, żeby Kościół nie poprzestał na ogólnym pewniku, że społeczeństwo powinno dążyć do równowagi dochodów z pracą, ale żeby wytknął szczegółowemi wskazówkami dokładną drogę, po której ród ludzki ma dążyć do krainy zupełnej sprawiedliwości; żeby nałożył rządowi księgę ustaw, podług której przedstawiciele władzy z bronią w ręku wymoga na poddanych sprawiedliwy podział bogactw, wbrew prawom, na których spoczywa obecna gospodarka państw, wbrew podwalinom chrześcijańskiego ładu, wbrew głosom podnoszonym w obronie osobistej wolności obywateli.

Czegóż żąda sam autor w imieniu nędzarzy, którzy po pracowności życia giną w niedostatku, dzięki ustalonym stosunkom?

Wraz ze stronnictwem zachowawczem żąda autor, żeby Kościół w zgodzie z rządami i z udziałem ich powagi szedł z nimi ręką w rękę na pole pracy duchownej, wpływał na umysły i serca, rozwijał pojęcia rzetelne i sprawiedliwe zasady, krzewił ducha wzajemnej a dobrowolnej pomocy zgodnych stanów i warstw — a bez rządowego przymusu samo społeczeństwo, zdaniem tego stronnictwa, odzyska równowagę i zapewni dobrobyt swoim członkom pracowitym.

W ostatnim ustępie swojej książki streszcza autor ten pogląd i kończy wnioskiem, że: „Ten, który w encyklice *Immortale Dei* z namysłem przypomniał zasadę św. Augustyna: „człowiek nie może wierzyć, jeżeli dobrowolnie nie chce“, i dodał: „Kościół ma zwyczaj jak najtróskliwiej czuwać nad tem, żeby nikt pod naciskiem przymusu

i mimo własnych chęci nie przyjmował wiary powszechnej — ten także nie zechce, żebyśmy usiłowali wyrobić ludzi rozsądnych, oszczędnych i równych mimo ich woli. Nawołuje na drogę stowarzyszeń, ale stowarzyszeń wolnych; tam leży miejsce zborne, do którego można zwrócić i tam zespolić siły aż za często rozpraszane. W jednym ustępie niniejszej rozprawy zarzucaliśmy wszystkim odcieniom socjalizmu, że marzą ciągle o równości pozornej, o zgodzie udanej i wymuszonej, o ustroju narzuconym. Ale i to przyznać trzeba, że bywają nierówności pozorne, niezgody udane i wymuszone, rozstroje i rozkłady narzucane przez władzę nieopatrzna albo samowolna. Przeciwno takiemu stanowi powinni wszyscy obrońcy wiary i wolności zgodnie stanąć do walki. Niech więc krzewiciele społecznego dzieła chrześcijaństwa w tę stronę spoglądają. Niech bronią wolności własnego wyznania i swoich zakładów. Niech żądają wolnych zgromadzeń, a potępiają prawa samowolne i wyjątkowe, które je krępują. Niech zdobywają dla swoich towarzystw dobroczynnych udział w prawach, których nikt nie odmawia ani nie skąpi uigdy większym przedsiębiorstwom finansowym, spółkom przemysłowym, bankom międzynarodowym albo krajowym. Zamiast zwiększać bez przerwy wpływ państwa, żeby potem żądać podziału dóbr, sprzecznego z duchem ewangelii i przeznaczonego na pogardliwą odmowę, niech usiłują zjednać powagę własnym zakładom. Niech podniosą te, na które padły ciosy niesprawiedliwe, niech bronią tych, którym grozi niebezpieczeństwo, niech usiłują najpierwej podnosić nachylone do upadku, a które najczęściej upadają, dzięki tylko nieuctwu albo pogardzie dla prawdziwych potrzeb życia społecznego. Czyż przez to schodzimy już może na liberalizm chrześcijański? Jeżeli słowo tutaj ma wywołać sprzeczkę, opuśćmy je i powiedzmy: przez to schodzimy na chrześcijaństwo i nic więcej, na samą treść chrześcijaństwa, wydobytą z pod ciężkiej szaty uczonych rozpraw, niezależną od przywar przeszłych pokoleń, nieskażoną mrzonkami i sporami współczesnej chwili: to chrześcijaństwo zostawione na stanowisku, przekazane przez jednolity ciąg podania, od Biblii i Ojców Kościoła, aż do ostatniej encykliki Leona XIII.“.

Ks. K. Czaykowski.

Les vrais riches. *François Coppée.* Paris. Alphonse Lemerre. 1892.

Po skrajnych zboczeniach naturalizmu, w literaturze czy sztuce, coraz wyraźniej przejawia się dziś we Francji ruch zwrotny ku odbiegającym ideałom, żądza wyrwania się z błota i wydźwignięcia z kału,

w jakim się do niedawna nurzali mistrze realizmu. Owszem, im grubsze były niedostatki smaku i zmysłu moralnego, tem widoczniejszy odskok i chęć odrodzenia się w czystszych źródłach. Nie dziw, iż poeci pragną uczestniczyć, a bodaj hetmanić w tak chlubnym i dodatniem przedsięwzięciu. Zaczem i p. Coppée zstąpił w szranki powieściowe z tak wonnym w swej przedziwnej i przezystej prostocie kwiatkiem, iż nie wahamy się postawić ową marną prozę obok, a bodaj i ponad niejedne jego poetyczne utwory, o przemęczonej formie i mętnem nieraz natchnieniu. Waryant to na błogosławieństwo ewangeliczne: *Beati pauperes*, wypisane epigrafem na czele książki.

Dwa niedługie opowiadania złożyły się na niniejszy tomik. W pierwszym: *On rend l'Argent*, autor przedstawia nam nieprawdopodobne dzieje zbiegłego bankiera, który tknięty zgryzotami sumienia, a więcej jeszcze obawą, aby dziecku swemu skażonego nie zostawić nazwiska, postanawia zwrócić pokrzywdzonym wszystko, co niegdyś w swej haniebnej pochłonął ruinie. Po amerykańsku przybywa on na kilka zaledwie godzin do Paryża i powierza pocziwemu staremu księdzu główne kwoty należące się czterem najznacniejszym upadłej firmy wierzycielom. Noc to wilijna, wieczór Bożego Narodzenia, ksiądz w samotnej izbie rozmyślał właśnie nad sposobem przyniesienia nieco ulgi i radości świątecznej dawnym parafianom z najuboższej części stolicy — gdy wtem niespodziane odwiedziny wzbogaconego w Ameryce magnata, najśmielsze jego marzenia spełnić gotowe, hojnem wynagrodzeniem za podjęte trudy. Puszcza się tedy pocziwy księżyna na objazd wskazanych sobie czterech interesantów, w drodze myśli już, jak niespodzianej pomysłności stanie się zwiastunem, wnosząc dostatek w przybytek nędzy i rozpaczy. Tymczasem całkiem inne czekają go wrażenia. Najprzód zachodzi do młodzieńca, którego mu były bankier przedstawił jako skończony typ rozczochanego i samozwańczego geniuszu, — aż tu zastaje umytego i uczesanego, a przedewszystkiem bardzo umysłowo zrównoważonego pracownika, który sobie zrobił imię i wyrobił stanowisko, dzięki sumiennym i codziennym trudom. Cieszy się on z odzyskanej fortuny, ale wyznaje księdzu, że poniesiona niegdyś strata majątkowa stała się dla niego źródłem odrodzenia duchowego, że zbiegły bankier ostatecznie okazał się dlań dobroczyńcą. Poprzednio bowiem bawił się tylko piórem, nasłuchiwał pochlebstw co niemiara i chłonał kadzidła, których nie szczędzono utalentowanemu młodzieńcowi, dopóki miał czem raczyć tłuszcę rzekomych wielbicieli. Bieda wykrzesła zeń ogień święty rzetelnej pracy i talentu, oduczyła od łatwych powodzeń

i marnych zabaw. Spieszy więc ksiądz ku innym progom, do starej panny, skwaszonej i schorzałej, której się znaczniejsza jeszcze suma należy. Zastaje tymczasem obraz zdrowia i swobody, poznać nie może scharakteryzowanej mu klientki byłego bankiera. Ona sama tłumaczy zagadkę. Po utracie ojca żyła dla siebie tylko i o sobie wyłącznie myślała, opanowali ją doktorzy, a obawy o własne zdrowie zaprzętnęły jedynie. W samą porę nastąpiła katastrofa. Z utratą mienia otworzyła mały pensjonat, żyje dziś dla drugih, odmładza się wśród ukochanej dziatwy, i jeżeli obecnie cieszy się z odzyskania fortuny, to w znacznej części dla tych małuczkich, którzy w jej sercu zbudzili uśpione macierzyństwo i nauczyli zapominać o sobie. Więc i tutaj katastrofa finansowa obróciła się na dobre.

Ale czyż tak do końca jednakie doświadczenia czekają pocziwego wysłańca? Zachodzi on teraz do budowniczego — wielkiego hulaki, jak mu powiedział gość z Ameryki. Wypadek zrząda, iż właśnie zastaje młodego małżonka wśród najwyższego niepokoju o żonę, która niebawem ma go synem obdarzyć. Dla tego nowonarodzonego, dla młodej matki raduje się głównie ze zwrotu pieniędzy, chociaż gotówby spalić amerykański przekaz półmilionowy, gdyby tą ofiarą okupić życie i bezpieczeństwo dziecka i żony. Ale i on błogosławi katastrofie, która go przed kilkoma laty zubożyła. Inaczej byłby młodość przemarnował, a tak od razu miał się pracy i zdobył sobie najlepszą towarzyszkę życia, rodzinne szczęście i domowe życie. — Nareszcie kończy pocziwy ksiądz swą pielgrzymkę, wstępując do bogatego markiza, któremu cały milion zwraca. W pałacu bal, gwar wielkoświatowy, ledwo nasz ksiądz docisnąć się może. Markiz przyjmuje go w bibliotece, z chłodem wykwintnym i wyniosłym, topniejącym, gdy się dowiaduje, z czem doń nieznany kapłan przychodzi. — Za późno! za późno! jęczy z rozpaczą, i wraz opowiada księdzu, jak po utracie majątku, niezdolny z twardym pogodzić się losem, sprzedał imię przodków i klejnot rodowy za dwanaście milionów żydówki, córki znanego szachraja, i shańbił się związkiem, który mu niepowrotnie odjął szacunek uczciwych ludzi. Ten jeden klnie sprawcę nieszczęścia, ten jeden nie daje księdzu żadnej dziesięciny dla jego ubogich. Wracając do domu, zacny kapłan cieszy się zebranymi w ciągu wieczoru dowodami, iż najlepsze dary życia: sława, zdrowie, miłość, szczęście, dobre imię, nie dadzą się za pieniądze kupić, i że kwiat uczucia najczęściej na gruncie biedy wyrasta bujnie i woniejże szczęściem dokoła.

Drugie opowiadanie nie ustępuje pierwszemu: *La cure de misère*, kuracya nędzy, przedstawia nam młodzieńca, który najcięższe przechodzi próby, chodząc w kieracie twardej służby i niedostatku. Nigdy mu się bezbarwność życia i smutek przyszłości nie ujawniły wyraźniej, jak w pewnym dniu zimowym, który wszystkie jego biedy zaostrzył. Aż tu dowiaduje się nagle, iż wygrał wielki los na loteryi. Cokolwiek później się stanie, zamyśla najprzód użyć tych wszystkich rozkoszy życia, których nie zaznał wśród trudnych początków. Przez rok cały, jak głodny, pije z każdej czary, kosztuje z każdego owocu, następuje szybki przesyt i znużenie. Czemże się orzeźwić i uleczyć? postanawia dobrowolnie się skazać na kilkudniowy powrót do dawnych życia warunków i spróbować mocy leczniczej biedy. Wraca wtedy do dawnego mieszkania, do dawnych zajęć, niby pod pozorem zakładu. Aż oto jedna doba już wystarcza, aby kuracyi dokonać, aby mu wskazać wyższość powinności nad używaniem, aby mu dać zakosztować najszczytniejszych rozkoszy obowiązku, pracy, wyrzeczenia i poświęcenia. Nie opowiemy tu szczegółów owej zbawczej metody ocalenia, odsyłając czytelników do tej ślicznej książki, na którą talent autora rzuca czar poezyi, a z której wieje zdrowy kierunek, działając hartująco i pokrzepiająco. Niechby nam więcej podobnych książek dostarczała Francya, a dawne jej międzynarodowe posłannictwo odzyskałoby rychło swą uszlachetniającą przewagę.

M.

Entwicklungslehre und Darwinismus. Eine kritische Darstellung der modernen Entwicklungslehre und ihrer Erklärungsversuche mit besonderer Berücksichtigung der Stellung des Menschen in der Natur. Gemeinfasslich geschildert von *Otto Hamann*. Jena. Costenoble. 1892. (Mit 16 Abbildungen).

Kiedy przed kilkunastu laty wypowiedziano na jednym zjeździe przyrodników zdanie, że na stu zoologów 99-ciu jest za nauką Darwina, nikt nie podniósł przeciwko temu głosu. Obecnie ze świecą prawdziwie trzeba szukać przyrodnika, co by w mniejszej lub większej mierze nie lgnął do ewolucyi, atoli z drugiej strony nie znajdziemy może dwu wybitniejszych i głębszych przyrodników, którzyby tak samo ewolucyę pojmowali i tak samo ją tłumaczyli. Jeśli na czem, to na teorii samej odbija się dobitnie zasada ewolucyi. W rzeczy samej bowiem teoria rozwojowa postępuje gorączkowo naprzód, z dniem każdym w odnowionej występuje szacie, to zwolna, to nagle przerzuca się

w najrozmaitsze fazy — i kto wie, czy jaki ustrój przyrody przeszedł tyle stadiów rozwoju w ciągu lat tysięcy, ile teoria ewolucji w ostatnich kilku dziesiątkach. Od pamiętnego w dziejach ewolucji roku 1859 mieliśmy, prócz lamarkizmu i darwinizmu, „teorię migracji“ (*Migrations-theorie*) Wagnera, „nagły rozwój“ (*sprungweise Entwicklung*) Köllikera, „zasadę doskonalenia się“ (*Vervollkommungsprincip*) Nägeli'ego, „ciągłość zarodku“ (*Continuität des Keimplasmas*) Weismanna, „teorię krzyżowania się“ (*Kreuzungs- oder Vermischungstheorie*) Kerner'a, i t. d., i t. d. Nie trzeba się też bardzo dziwić tej różnicy zapatrywań. Idea ewolucji w ogólności i w oderwaniu rozważana, nie przedstawia prawie żadnych trudności (jeśli się tylko nie przyjmuje skoku od wegetacji do czucia, od czucia do rozumu), owszem wabi i pociąga umysł, bo odzwierciedla w sobie jedność z różnaitością, bo wiąże w całość całe szeregi faktów, które bez tego luźnemi się nam zdają — atoli konkretnie, w rzeczywistości, w szczegółach napotyka prawie zawsze na niepokonane trudności. Stąd wiele prób wytłumaczenia ewolucji, a wszystkie niemal noszą na sobie tę ogólną cechę. A przecież mimo tej wielkiej różnaitości, konsekwentnie i niepewności zdań i opinii, w rozległej tej sieci hipotez ewolucyjnych prąd darwinizmu jest najsilniejszy, który do ostatnich czasów podsycany i zasilany był przez wielu przyrodników, a i obecnie nurtuje głęboko zwłaszcza w umysłach tych, dla których najwyższą powagą i ostatnią instancją nieomyłności naukowej są książki Häckel'a i Büchner'a. Przeciwno temu prądowi, co faktycznie nie zadawalnia się samą teorią, ale wydziera sercom młodocianym najdroższe i najświętsze skarby, występowało wielu mężów z różnych obozów — odpowiadano im nie bardzo uczenie, że albo są katolikami, albo przyrodnikami starego kroju.

Otto Hamann jest przyrodnikiem młodszej daty, nie jest również katolikiem, o ile z książki jego wnosić można, kształcony na podręcznikach i dziełach wyznania darwinistowskiego, słuchał wykładów przeziąkniętych dogmatami nowej doktryny — i nieraz obijało mu się o uszy, że stanowisko takiego Baera np. względem darwinizmu tłumaczy się jego starością, że i sam Newton czytywał Biblię w podeszłym wieku. Nie mówiono mu tylko, że zapatrywania Baera nie były inszemi w męskim wieku, i że Newton odkrywał zawsze głowę, kiedy tylko imię Boga wymawiał (p. 177).

Prąd jednak darwinizmu nie zmógł autora, nie wydarł mu z piersi miłości prawdy i zapału w szukaniu teje, w umyśle zostawił mu jeszcze zimną rozprawę i logiczność dedukcyj. Darwinizm w przekonaniu

autora, to tylko zjawisko przejściowe, podtrzymywane i w całokształt naukowy 'sklecone przez niemieckich koryfeuszów. Zaiste podziwienią godne przekonanie przyrodnika na schyłku XIX. stulecia! Nie zawadzi zjawisku temu bliżej się przypatrzeć.

Co skłania naszego przyrodnika do powyższego sądu?

Nie myślimy tu wchodzić w szczegółowe rozbieranie polemiki autora przeciw darwinizmowi — pod wielu bowiem względami jest ona powtórzeniem zarzutów, które już nieraz podniesiono. Powtórzenie to jednak w odnowionej szacie, ubrane w wiele szczegółów nowszych, wyszłych po części z samej szkoły darwinistowskiej, wypada zaznaczyć, przebija zeń bowiem trzeźwość myśli, nastrój poważny, przypominający nieraz rozprawy i mowy przyrodnicze K. E. Baera.

Autor wykazuje najpierw, że dowody, jakie się na poparcie darwinizmu przywodzi, nie są przekonujące. Rozbiera więc z osobna fakty paleontologiczne, embryologiczne i morfologiczne, przy wszystkich zaś wyprowadza ten wniosek, że niema nigdzie w przyrodzie ani nie było przejścia od typu do typu, od klasy do klasy, od rzędu do rzędu. Ani paleontologia, ani embryologia, ani porównawcza morfologia nie wykazują form przejściowych. Nie pomija też autor owych „klasycznych form przejściowych“, jakie się obecnie w każdej zoologii znajdują, jak np. żachwy (*ascidiae*), niślimki (*amphioxus lanceolatus*), *peripatusa* i innych, przy których znowu dowodnie wykazuje, że uważanie ich za formy przejściowe pochodzi jedynie z niezrozumienia budowy lub z naciągami zupełnie dowolnych.

Tym sposobem usuwa darwinizmowi z pod nóg wszelką podstawę w rzeczywistości. Lecz nie dosyć na tem. Pokazuje, że i samo darwinistowskie tłumaczenie ewolucyi chroma pod tylu względami, iż nauka nie może go przyjąć na seryo.

Darwinizm, jak to czytelnikom *Przeglądu* dobrze wiadomo, przyjmuje powstawanie wyższych ustrojów z niższych, przez t. zw. dobór naturalny. Czynniki, jakie się na ten dobór składają, są: zmienność, walka o byt, dziedziczność. Z temi łączą się jeszcze pewne pierwiastki pomocnicze, jak: przystosowanie, dobór płciowy i korrelacya wzrostu. Autor znowu przystępuje do każdego czynnika z osobna, zagląda mu śmiało w oczy, a następnie uzasadnia kolejno, że albo owe czynniki, o ile są w przyrodzie, służą jedynie do utrzymania stałości form i zachowania ich przed degeneracyą, albo że się nawzajem wykluczają, albo wreszcie, że gdyby istniały tak samo w przyrodzie, jak w fantazyi darwinistów, spowodowałyby prędzej wymarcie form, niż ich ewolucyę.

Atoli autor nie poprzestaje na samem przeczeniu; wywracając gmach jeden na słabych podwalinach wzniesiony, zakłada fundamenta pod drugi, silniejszy; tamując energicznie rozrukany prąd darwinizmu, stara się z przezornością jednocześnie o wykopanie nowego koryta, któremby prąd ów mógł bez szkody a z korzyścią potoczyć fale swoje. Dodatnia ta strona książki Hamanna występuje więcej na drugim planie, do pewnego stopnia ukrywa się między wierszami, może jednak jest bardziej zajmująca i charakterystyczna od części pierwszej.

Autor, choć antydarwinista, jest ewolucjonistą.

Jak więc Hamann pojmuje ewolucję? Przedewszystkiem podnieść należy, że autor nie narzuca dogmatycznie przypuszczenia swego, jak to zwykli czynić darwiniści, i że nie przypisuje mu żadnego innego znaczenia, jak pewnej spekulacji rozumowej. Myśl przewodnia autora opiera się na danych z embryologii i paleontologii. Z embryologii pokazuje się, że rozwój osobnika postępuje od ogólniejszych do szczególnych rzeczy. Najpierw występuje w ogólnych konturach typ, następnie klasa, rząd i t. d. Z paleontologii widać, że już w okresie palajozoicznym wszystkie typy zwierzęce miały swoich przedstawicieli, że więc pierwsze pojawienie się ustrojów zwierzęcych przypada na okres archaiczny, w którym mamy również wiele skał prawdopodobnie pochodzenia organicznego. Tym sposobem ewolucja Hamanna zaczyna się w okresie archaicznym i postępuje od ogółów do szczegółów, jak się to zaraz wyjaśni.

Zanim przystąpimy do rozprowadzenia samej hipotezy, zwrócić musimy uwagę na jedną rzecz, którą w dalszym toku z Hamannem suponować będziemy. Ponieważ niema żadnych faktów przemawiających za tem, żeby gatunki powstawały przez sumowanie bardzo małych zmian, autor przyjmuje inny sposób ewolucyi, mianowicie t. zw. nagły rozwój. Hamann przypuszcza więc, że ewolucja nie postępowała naprzód, jak u darwinistów, zwolna a ciągle i bezprzerwanie, lecz z przerwami a nagle, tj. że były pewne okresy, w których rozwój następował bardzo szybko z jednego stopnia na drugi, po tych zaś przychodziły długie czasy zastoju w ewolucyi, a więc stałości form. Okres historyczny, to już zupełny zastój w rozwoju ustrojowym. Przypuszczenie zaś tej ewolucyi, przerywanej a naglej, nie jest bez podstawy. Przemawiają za nią najpierw znane powszechnie zjawiska przeobrażenia, jakoteż zjawiska rodozmianu czyli przeródtwa. Przeobrażenie widzimy np. na owadach i żabach, przeródtwo zaś najwybitniej występuje między insemi u pasorzytnych robaków i chełbij rozmaitych. W jednym i dru-

gim razie widoczna rzecz, że rozwój z jednego stopnia na drugi nie odbywa się zwolna, ale nagle przeskakuje niejako stopnie pośrednie. Prócz tych zjawisk powszechnych, przytacza Hamann wiele szczegółowych faktów, które tego samego dowodzą. Przytoczymy choć jeden przykład. Badacz rosyjski Szmankiemir wykazał, że raczek żyjący w wodach słodkich, zwany *Branchipus stagnalis*, jest tylko odmianą raczka żyjącego w ropach i jeziorach słonych: *Artemia salina*. Rozcieńczając bowiem wodę słoną, w której żyła *Artemia salina*, przekonał się, że kiedy woda była już słodka, *Artemia* zmieniła się od razu i przyjęła własności *Branchipus stagnalis*. Inne przykłady wykazują również, że zwierzęta postawione w warunkach nadzwyczaj dla siebie niekorzystnych, nie umierają ani też nie zaczynają zwolna po darwinistowsku się przystosowywać, ale szybko i nagle zmieniają celowo swój ustrój, do czego widocznie zdolność wewnętrzną posiadały.

Jakżeż więc na tych zasadach tłumaczyć się ewolucya?

Punkt wyjścia dla ewolucyi ustrojów stanowi pramaterya rozwoju organicznego, którą możemy nazwać protoplazmą. Ta ustaliła się najpierw w pierwotniakach (*Protozoa*), jednokomórkowych, mikroskopicznie drobnych zwierzątkach. Protozoa wykazują pewien plan, myśl organizacyjną, według której przystosowane są do życia w pewnym zakresie sobie właściwym, tak iż wcale nie mogą wyjść poza swój typ, lecz tylko w obrębie swego typu mają zdolność do pewnej zmienności.

Prócz pierwotniaków istniały jeszcze istoty, co nie przystosowały się do pewnej tylko zamkniętej sfery, ale zatrzymały zdolność do dalszej ewolucyi. Formy te musiały mieć możność rozwinięcia z siebie rozmaitych pierwiastków organizacyjnych. Z tych więc form rozwinęły się nagle wskutek wewnętrznego popędu jeszcze w czasie archaicznym główne formy typowe, podobnie jak w okresach następnych spotykamy nagle pojawienia się form podtypowych.

Tym sposobem otrzymujemy formy zasadnicze typów zwierzęcych. I te formy miały zapewne jakieś cechy odrębne, a prócz tego zdolność rozwoju w kierunku własnego typu. Typy budowy prostszej rozwinęły się prędzej, typy zaś o strukturze doskonalszej i zawikłańszej potrzebowały więcej czasu. Jamochłony więc dwuwarstwowe (*Coelenterata*) rozwinęły się najprawdopodobniej zaraz po protozoach. Później dopiero rozwinęły się szkarłupnie (*Echinodermata*), robaki (*Vermes*) i inne typy bezkręgowo o ustrojeniu wyższem. Formy zaś zasadnicze, z których miały się rozwinąć zwierzęta kręgowo, potrzebowały najdłuższego czasu do ewolucyi swojego typu. Z tych form zasadniczych

kręgowców, pewne przystosowały się najzupełniej do życia w wodzie i nie postąpiły wiele wyżej od formy podstawowej (ryby) — inne zaś nie poprzestały na tym stopniu doskonałości ustrojowej, ale rozwijając się w rozmaitych kierunkach, wytworzyły formy zasadnicze płazów, gadów i ptaków. Kiedy tak różne formy pierwotne zatrzymują się na rozmaitych szczeblach niejako swego rozwoju i dalej wcale nie postępują, spotykamy inne formy, co idąc za jakimś popędem a parciem wewnętrznym, dochodzą do stadyum, które je już charakteryzuje jako zwierzęta ssące. Owe formy zasadnicze ssące, występujące obecnie z cechami kręgowców i ssawców, kiedy jako ustroje dwuwarstwowe zamieszkiwały wody, choć były na zewnątrz podobne do form, co się utrwały jako jamochłony, to jednak różniły się od nich tak dalece, jak niebo od ziemi. W ich bowiem wnętrzu drzemały siły, które pozwalały im wzbić się do wysokości ssawca (p. 144).

Z form zasadniczych ssących wytworzyły się przez szczególne przystosowania rozmaite rzędy ssawców. Żadna z tych form nie mogła być punktem wyjścia w rozwoju człowieka. Wszystkie bowiem zamknęły się w pewnym kółku, z którego wyżej postąpić nie mogą. Tylko owa forma zasadnicza, co nie dając początku żadnemu rządowi, bezprzerwnie pracowała nad tem, aby się stać człowiekiem (*stetig zur Menschwerdung hinarbeitete*), a więc posiadała zdolność rozwinięcia kiedyś najwyższych własności duchowych, może być, zdaniem Hamanna, uważana za bezpośredniego przodka człowieka.

Taką jest w zarysie hipoteza Hamanna.

Co sądzić o tej hipotezie? Zdaje się nam lepszą aniżeli darwinizm. Albowiem zostaje w większej zgodzie z faktami embryologii, a nawet paleontologii, nie potrzebuje opierać się na naciąganych i bezpodstawnych homologiach morfologicznych, ani powoływać się na wymarzone formy przejściowe między typami, gromadami i t. d. Prócz tego wiąże się ściśle z celowością, unika zatem przypadku Darwina i innych szkopułów, na jakie dobór naturalny jest wystawiony. — Atoli ma też swoje trudności. Najpierw nasuwa się każdemu pytanie, czemu owe formy zasadnicze nie wyginęły, zanim doszły do odpowiedniej doskonałości. Na to odpowiada autor, że owe przekształcenia form zasadniczych nie odbywały się w niezmiernie długich okresach czasu, ale prędko i stopniowo, że rozwój zmieniał się kolejno z zastojem. Jak każdy widzi, odpowiedź niezupełnie jest wystarczającą, albowiem owe formy np. kręgowców, żyjąc w jakimś okresie zastojowym, nie były doń całkowicie przystosowane — w ostatnim bowiem razie nie byłyby

zdolne, według samego przypuszczenia autora, do dalszej ewolucyi. Dalsza trudność, co się mimowoli nastrecza, jest, że nie mamy wcale żadnych skamielin lub resztek form zasadniczych. Autor zasłania się tem, że formy zasadnicze są niejako w stanie zarodkowym, nadto że musiały być w niewielkiej ilości, że zatem przypadkowo tylko mogłyby ich szczątki utrzymać się aż do naszych czasów. Lecz mniejsza o to; chętnie przyznajemy autorowi, że w rozwoju osobnikowym widoczny jest postęp od formy ogólniejszej do szczegółowej, ale w rozwoju szczepowym nie znajdujemy nigdzie form ogólnych, lecz tylko szczegółowe, indywidualne, przystosowane jak najlepiej do odpowiedniego sobie środowiska. Moznaby więc do pewnego stopnia autorowi zarzucić, że tak samo jak nie widzimy z nim w przyrodzie form przejściowych, nie widzimy też form ogólnych. — Nadto autor chce utrzymać w oddzielności typy królestwa zwierzęcego, gromady, rzędy — i słusznie. A w rzeczywistości łączy je wszystkie ostatecznie, tylko że połączenie to wtył przesuwu, do swej praprotoplazmy. Wogóle ta pierwotna materia organiczna, naszem zdaniem, autorowi nie udała się. O wiele lepiej byłoby przyjąć od razu jakieś formy zasadnicze, jako dane. Albowiem owa praprotoplazma autora albo była we wszystkich swoich częściach jednakowa, albo też w różnych częściach była wyposażona różnorodnymi siłami i własnościami. W drugim przypuszczeniu mamy właściwie od razu formy zasadnicze typowe, *respective* klasowe, a tem samem i oddzielność typów. Autor zdaje się przyjmując pierwsze przypuszczenie, i dlatego przeciwko niemu występujemy. W takim bowiem razie od przypadku zależeć będzie, czy owa pierwotna materia ustali się w tem miejscu jako protozoon, w owem jako forma typowa jamochłonów, tam jako forma kręgowca i t. d. To samo dotyczy formy zasadniczej ludzkiej. Autor powstaje wprawdzie bardzo ostro przeciwko darwinistom, że człowieka łączą ze zwierzęciem, iż go od małpy wywodzą, uznaje przepaść ogromną między człowiekiem a zwierzęciem i brak wszelkiego pomostu między nimi — a jednak do pewnego stopnia sam wiąże człowieka z łańcuchem ustrojów zwierzęcych. Powstajemy przeciwko autorowi z tego zwłaszcza powodu, że nie dość ściśle się wyrażając, zdaje się wyprowadzać z owej formy zasadniczej ludzkiej nie tylko organizm człowieka, ale i ducha ludzkiego. Mimo to jednak autor nie ma nic wspólnego pod tym względem z darwinizmem. Zresztą trudności nasze nie wywracają wcale hipotezy Hamanna i nie ta jest ich dążność.

Ostatecznie powiedzieć musimy, że teoria Hamanna jest wielkim

postępem w kwestyi ewolucyi. Podczas kiedy Darwin i jego zwolennicy, a nawet t. zw. filozof ewolucjonizmu Herbert Spencer, opierają swoje tłumaczenie rozwoju istotnie na przypadku, bo ich rzekome prawa niczem innem nie są tylko pewnem zszeregowaniem przypadków, i stąd wpadają w niezgodność z naturą, zaprzeczając jej widocznej celowości, i w kontradykcyę filozoficzną, przypuszczając, że z tego co jest mniej doskonałe wyłania się coś doskonalszego, że więc skutek przetrasta przyczynę — to najnowszy kierunek myśli, któremu Hamann daje wyraz, objawia to głębsze filozoficzne poczucie, że przed aktualnością musi być stan potencjonalny, że wszystko to co się przez ewolucyę urzeczywistnia, musiało tać się wewnątrznie w zarodzie, tak że ewolucya jest tylko dojściem do celu pierwiastków, które do niego dążyły. I tak wraca myśl do celowości i do wymagania równości między przyczyną a skutkiem. Jeżeli wogóle teoria ewolucyi ma przyszłość w nauce, to w każdym razie bliższą będzie hipotezy Hamanna niż hipotezy Darwina.

J. N.

De la Douleur. Par *Mgr. Bougaud*, évêque de Laval. Paris. Poussielgue.

Autor przedziwnego żywota św. Moniki, którym tyle płaczących matek ukoił, snadź posiadał klucz do serc smutnych i znękanych, snadź zdobył tajemnicę pociechy, skoro z pomnikowego dzieła: *Le christianisme et les temps présents*, zmuszony był prośbami czytelników wykroić ustęp składający się na niniejszy tomik, podręcznik dla tych, którzy cierpią. Zaraz na wstępie odzywa się słusznie, iż w ciężkich życia chwilach i próbach ludzie zgoła ulgi nie przynoszą, owszem, nie raz cichej i oniemialej boleści są natrętnymi, a natomiast książka lepszym stawa się towarzyszem w osamotnieniu osobistej Golgoty. Taki to kordyał tajemny doświadczony lekarz dusz zgotować próbuje w książeczce rozpadającej się na trzy rozdziały, z których pierwszy tłumaczy nam nadprzyrodzone przyczyny i skutki cierpienia, drugi traktuje o pociechach zawartych w krzyżu, trzeci o wiekuistych opowiada nam nadziejach. Dołączony rozdział czwarty jest raczej epizodem z kapłańskiego zawodu, opowiadanie w rodzaju *Récit d'une soeur*, przedstawiające nam, co wiara żywa, co religia czyni z doczesnych nieszczęść, jak ziemską Kalwaryą w Tabor przedzierzgnąć się gotowa, w cudownem przemienieniu smutków naszych i bólów, pod wpływem światła Bożego i miłości Bożej. — „Karą życia bez Boga, powiada autor, jest w następstwie cierpienie bez pociechy. Wiara nietylko do nieba nas

wiedzie, nie tylko nas uświęca, lecz nadto skuteczną niesie pomoc i pociechę w ciężkich życia kolejach“.

Niepodobna streścić książeczki aż nadto treściwej w swych szczupłych rozmiarach. Wystarczy główne wytknąć jej zalety. Pięknie autor charakteryzuje zadanie cierpienia udoskonalającego duszę, rzeźbieniem nieśmiertelnego jej podobieństwa, odrywającego nas od ziemi, w której inaczej gotowibyśmy się zakorzenieć i zadomowić. Wiara nie sprzeciwia się łzom, słusznego nie potępia żalu. Biskup z Laval wspomina łyżę Zbawiciela, uronione nad śmiercią Łazarza, przytacza słowa ze *Stabat Mater*, dowodzące, że Marya pod krzyżem płakała: *Juxta crucem lacrimosa*, wspomina serdeczne wyrazy żalu św. Augustyna po stracie przyjaciela i matki, oraz innych Świętych Pańskich, tem nam droższych i bliższych, że żywiej odczuwali ziemskie miłości i straty, że w nich doskonałość nie stępiała gorącości uczucia, lecz owszem, wydolikowaniem i uszlachetnieniem takowych potęgowała moc ukochania. A wraz, rozdziałem pełnym najśodszych nadziei, autor opiera na Objawieniu i tradycji pewność, że ziemskie węzły nie rozrywają się śmiercią, lecz oblekają się w zagrobową nieśmiertelność. Mnoży on ku temu dowody, czerpiąc w skarbnicy modlitw kościelnych, a dodając i słuszną uwagę, iż samo Świętych obcowanie i tklive nabożeństwo do pojedynczych patronów utwierdza nas w nadziei oglądania i rozpoznawania w niebie tych, których osobną czcią wyróżnialiśmy na ziemi, i bliższych i droższych spotkamy w ziemi żyjących, tam sobie naznaczając ostateczne spotkanie. Niepodobna bowiem mniemać, aby związane w krótkim życiu miłości, poświęcenia, przyjaźnie, na tak przelotne chwile doczesnej pielgrzymki miały budzić w duszy najgłębsze i najwyższe wzruszenia.

Tu autor zwraca się do tych nieszczęśliwszych, którzy utraciwszy swoich drogich, nie mieli ulgi ostatniej pojednania ich z Bogiem, nie doczekali pociech religii przy bezbożnym na pozór końcu, i stąd wątpią w swej rozpacz o zagrobowem spotkaniu. Ale i tym biednym niniejsza książeczka usiłuje nieść ukojenie wspomnieniem tajemniczych dróg Bożych, cudów łaski, rozstrzygającej nieraz w ostatnim życia momencie, dla patrzących niedościgłych, dla obecnych nieodgadnionych, a rozgrywających się między duszą i miłosierdziem Boga, który nie chce śmierci grzesznika. Za dni naszych słuszną jest więcej niż kiedykolwiek opowiadać ludziom o zmiłowaniu i ukojeniu, bo smutne przeznaczenia nasienia Adamowego jeszcze się poniekąd zmroczyły skomplikowaniem poszczególnych nieszczęść, pojedynczych boleści. Szcze-

śliwy, kogo proste, zwykłe dotknie nieszczęście! tyle ich bywa nadzwyczajnych, powikłanych, a tem samem cięższych stokroć do zniesienia. Pewien lekarz współczesny mawiał, iż w naszej epoce dwie trzecie ludzi umiera ze smutku i zgryzoty. Statystyka to nietylko śmiertelności, lecz i ochrzęściniania społecznego. Kto wierzy, kto kocha Boga i Jemu jak Ojcu dobremu zaufa, ten tem samem cierpieć umie, a cierpi nie jak ci, którzy pociechy nie mają i nadziei nie znają.

Drobna książeczka ks. Bougaud dla niejednej duszy znękaney przyniesie kordyał ożywczy, a nietylko w nieszczęściu i żałobie łagodzącą na rany serdeczne położy rękę, lecz i w okresie pochylenia się dnia ku zachodowi, w szarym końcu lat późniejszych, w mgłę sędziwości, rozjaśni dni wygnania i próby chrześcijańskim rozwiązaniem zagadki życia i cierpienia.

M.

Z prasy prawosławno-rosyjskiej.

Archijerej Leoncyusz na Podolu i w Warszawie. — Budowa nowych cerkwi w Królestwie i tendencyjne utyskiwania na brak takowych. — Odpust w Budziatyczach. — Uroczystość cerkiewna w Chełmie d. 20 września w roku minionym i bieżącym. — 25-letni jubileusz seminarium duchownego w Chełmie. — Potrzeby religijne katolików i prawosławnych na Wołyniu, według opinij urzędowych. — Aspiracye zełotów prawosławnych z okazji 900-letniej rocznicy założenia biskupstwa włodzimierskiego. — Zabór klasztoru i kościoła OO. Reformatów w Dederkałach. — Zwiniecie parafij katolickich w Annopolu i Ostrogu. — Działalność hr. A. Błudowej na Wołyniu. — Apostazya Czechów na Podolu i w Nowej Rosyi. — Metropolita kijowski Platon i jego stosunki z Polakami. — „Zapiski“ A. Sołtanowskiego. — Ludność Kijowa podług wyznań.

Jeden z najczynniejszych dostojników Cerkwi prawosławnej w ziemiach polskich, archijerej chełmsko-warszawski Leoncyusz, opuścił niedawno swe dotychczasowe stanowisko, aby zająć tron metropolitalny w Moskwie. Przez lat trzynaście zarządzał on sprawami tej eparchii prawosławnej, najdalej na zachód wysuniętej, a samo przypomnienie najwybitniejszych momentów z archijerejskiej działalności Leoncyusza wystarczy nam za dowód, że powołanie go na wyższe stanowisko kościelne w Rosyi właściwej jest okolicznością pomyślną nietylko dla reszty „upartych“ unitów, lecz także i dla katolików obrządku łacińskiego. Obecny archijerej chełmsko-warszawski, Flawian, nie zdoła go zastąpić pod mnogimi względami. Niechęć tego ostatniego do księży eks-unickich galicyjskiego pochodzenia — czego wyrazem było przenie-

sienie najgorliwszego z nich, Łukasza Cybika, z Warszawy do Radomia — może mieć nawet swe dobre następstwa, ostudząc nieco sympatyę naszych moskalofilów dla zakordonowej schizmy.

Zanim Leoncyusz przybył do Warszawy, już poprzednio, jako władca podolski, występował wrogo przeciwko katolicyzmowi i narodowości polskiej, korzystając w tym względzie w całej pełni z poparcia miejscowych władz administracyjnych i z prądów panujących w petersburskich sferach decydujących. W eparchii podolskiej zajmował się władca Leoncyusz przedewszystkiem rozwojem szkół duchownych, które znalazł w nader smutnym stanie. W Kamieńcu założył dyecezyalną szkołę żeńską, a w Tulczynie, w szkole tejże kategorii, przeprowadził gruntowną reformę. On pierwszy na Podolu zaczął tworzyć szkoły cerkiewno-parafialne, o wybitnym kierunku prawosławno-rosyjskim. W roku 1865 zorganizował w Kamieńcu Podolskim dyecezyalny komitet historyczno-statystyczny, którego głównem zadaniem — zbierać dowody i przechowywać zabytki przeszłości rzekomo rosyjskiej tego kraju.

Łatwo możnaby jeszcze tłumaczyć, a w niektórych razach uznać nawet użyteczność jego działalności w zakresie kościelnym i oświaty na Podolu, gdyby nie inicjatywa i czynny udział w aktach ucisku Kościoła katolickiego. Na usilne przedstawienia i nalegania Leoncyusza rząd przystąpił do zwinienia podolskiej rzymsko-katolickiej dyecezyi wraz z seminaryum duchownem i do kasaty kilkunastu parafij katolickich. Jeden zaś z kościołów katolickich w Kamieńcu, wskutek jego starań zamieniono na katedrę prawosławną.

Z Podola przybył Leoncyusz przed laty trzynastu do Warszawy w godności archijereja chełmsko-warszawskiego. Na tem stanowisku okazał się nieubłagany wrogiem katolików obrządku unickiego. Natychmiast po przybyciu do Warszawy przyjął na łono Cerkwi prawosławnej warszawską unicką parafię, której cerkiew zamieniono na prawosławną, pod nazwą *Uspenia*. Z jego inicjatywy powstał w Leśnej żeński monaster prawosławny wraz z ochronką, do której przyjmowano dziewczęta z okolicznych wsi unickich. W Chełmie i Zamościu zorganizował bractwa prawosławne, które miały być wskrzeszeniem dawnych bractw, istniejących w tych miastach. Przy katedrze prawosławnej w Warszawie założono, w myśl propozycji Leoncyusza, bractwo Św. Trójcy, polujące na dzieci z małżeństw mieszanych i wychowujące je w duchu prawosławnym. Naturalnie, że w zreformowanym przezeń seminaryum chełmskiem i w warszawskiej szkole eparchialnej starał się zaszczerpić i podtrzymywać ducha prozelityzmu i nienawiści ku katolicyzmowi i narodowości polskiej.

W jego działalności kilkunastoletniej w Królestwie Polskiem nie wiedzieć, gdzie się kończył hierarcha prawosławny, a zaczynał *diejatelj* rosyjski.

Nic więc dziwnego, że duchowieństwo schyzmatyckie w Królestwie, chcąc uczcić jego 13-letnie rządy eparchią chełmsko-warszawską, postanowiło utworzyć z dobrowolnych składek fundusz, celem założenia i utrzymywania w Warszawie wzorowej szkoły cerkiewno-parafialnej imienia Leoncyusza, obecnie już metropolity moskiewsko-kołomeńskiego.

O potrzeby religijne ludności prawosławnej w Królestwie troszczy się rząd niezmordowanie. Pomimo, że tylko w trzech powiatach gubernii lubelskiej: tomaszowskim, hrubieszowskim i chełmskim, ludność eks-unicka stanowi słabą większość, wynoszącą od 41%—59% mieszkańców, w samym Lublinie, oprócz soboru, mają prawosławni jeszcze trzy mniejsze cerkwie. Również troskliwosci doznaje i gubernia siedlecka. Z sumy pół miliona rubli, asygnowanej stale od r. 1887 na budowę nowych cerkwi w Królestwie, zbudowano z kamienia w minionym roku 5 nowych cerkwi w gubernii lubelskiej, a 8 w siedleckiej. Koszta na budowę tych 13 cerkwi, wraz z ich wewnętrznem urządzeniem, wyniosły 390.000 rubli. Oprócz tego z gruntu przebudowano 7 cerkwi, a 48 uległo większej lub mniejszej restauracyi. Do początków roku 1892 ogólna ilość cerkwi prawosławnych w chełmsko-warszawskiej eparchii dochodziła 300. Przeważna ich część dotąd jeszcze nie różni się zbyt wiele w stylu od typowych cerkiewek unickich, a tylko w powiatach tomaszewskim i biłgorajskim wznoszą się cebulowate kopuły bizantyjskie.

Gdzie kilku lub kilkunastu Rosyanom, na jakimś partykularzu w Królestwie, zabraknie cerkwi, tam znajdzie się wnet lokal w jednym z gmachów rządowych, a stowarzyszenia prawosławno rosyjskie lub osoby prywatne spieszą z pomocą i powstają tymczasowe kaplice. W ten sposób powstała cerkiewka w lokalu zarządu powiatowego w Węgrowie, konsekrowana w kwietniu roku bieżącego. A pomimo to skarżą się nieustannie korespondenci z Królestwa do dzienników rosyjskich, popierających system obecny, na brak tam cerkwi, na zaniebdanie potrzeb religijno-moralnych, rozproszonych po całym kraju Rosyan. Niedawno *Warszawskij Dniownik* narzekał, — a narzekania jego powtórzyły inne dzienniki rosyjskie — że wielu Rosyan opuszcza dla braku cerkwi Królestwo Polskie, a dzieci ich, nie mając własnych domów modlitwy, uczęszczają do kościołów, odwykają zwolna od mowy rosyjskiej i wkońcu stają się Polakami. Wszystko to się mówi i pisze, celem pobudzenia rządu do asygnowania coraz to większych sum na

budowę cerkwi w guberniach polskich, czego domaga się nieustannie ober-prokurator św. Synodu, Pobiedonoscew, a w czem robił mu trudności były minister finansów Wyszniegradzkij.

W tych razach, gdzie Rosyanie nie potrzebują udawać lub ukrywać istotnego stanu rzeczy, notują z emfazą postępy prawosławia. Korespondent *Warszaw. Dniwnika*, przybywszy z Hrubieszowa na odpust cerkiewny do wsi Budziatycz, podnosi liczny udział w tej uroczystości włościan ruskich, zarówno z Chełmskiego, jak i z sąsiedniego Wołynia. Bractwo św. Włodzimierza, istniejące w mieście Włodzimierzu na Wołyniu, urządziło w Budziatyczach sprzedaż książek i broszur treści religijno-moralnej, krzyżyków, ikon, lamp przed obrazy i t. p. Korespondenta cieszyło niepomniernie, że pomiędzy obrzędami religijnymi ludności eks-unickiej z Wołynia i z Chełmskiego nie dostrzegł żadnej różnicy, pomimo że Wołyń „święcił“ 50-letni jubileusz przejścia na prawosławie, a Chełm — dopiero 15-letni. Że żadnej prawie różnicy w tym względzie niema, o tem i my nie wątpimy: prawosławie najczystszej wody, importowane z Wielkiej Rosyi, nie zdołało tak rychło zetrzeć całkowicie cech lokalnych w obrzędach i zwyczajach; natomiast podejrzujemy mocno prawdziwość wizyj korespondenta urzędowego dziennika, iż na prazniku w Budziatyczach „bladły obrazy Wołynia i Chełmszczyzny, a w całej pełni występowała przed nim jedyna święta Ruś“.

Natomiast w roku bieżącym stanowczo się nie udał praznik w Chełmie, w dniu Narodzenia Najśw. Panny Maryi d. 20 września (8 st. st.), gdzie istnieje cudowny obraz, będący niegdyś przedmiotem osobliwszej czci ze strony króla Jana Kazimierza, a do dziś dnia czczony zarówno przez „upartych“ unitów, jak i przez eks-unicką ludność dawnej dyecezyi chełmskiej i sąsiednich gubernij litewsko-ruskich. Pod żadnym jednak względem Rosyanie nie mogą napływu w dniu tym ludności ruskiej do Chełma uważać za tryumf prawosławia. Pomimo zmian zaszłych tam w latach ostatnich, gromadziło się po dawnemu w dniu Narodzenia Naśw. Panny Maryi od 15 do 20 tysięcy ludu z Chełmskiego, Podlasia, Wołynia i gubernii grodzieńskiej. Na tę uroczystość przybywali w początkach, po zaprowadzeniu schyzmy, rosyjscy dostojnicy cywilni i wojskowi i wyższa hierarchia prawosławna dyecezyi chełmsko-warszawskiej. W roku bieżącym generał-gubernator warszawski zakazał, z powodu epidemii w gubernii lubelskiej, pielgrzymek do Chełma. Naczelnicy stacyj kolejowych otrzymali nakaz niewydawania biletów do Chełma w dniach 19 i 20 września. Z tego powodu piel-

grzymów przybyło mało, a na popach znać było wielkie przygnębienie. Z dostojników cywilnych był tylko gubernator lubelski, a nawet nie przybył oczekiwany tam z Petersburga archijerej chełmsko-warszawski Flawian.

W roku minionym prawosławne seminaryum duchowne w Chełmie obchodziło 25-letni jubileusz swego „odrodzenia“, to znaczy zmo-skwiczenia, a co za tem wkrótce poszło, i — sprawosławnienia. Pop A. S. Budiłowicz słauił rozwój chełmskiego duchownego seminaryum, zwąc je „pochodnią religijnej i narodowej oświaty“, której „blask rzu-cać może światło prawdy i na ruski naród poza granicami państwa“. Odrodzenie seminaryum chełmskiego zaczyna się — w mniemaniu ini-cyatorów tego obchodu — od roku 1866, tj. od wywiezienia zacnego ks. biskupa Kalińskiego, a powierzenia rządów dyecezyi chełmskiej intruzowi ks. Wojcickiemu. Ten przy pomocy przybyszów galicyjskich zreformował seminaryum w ten sposób, iż zachwiał się w niem rygor, upadły dobre dotąd obyczaje, a pod względem naukowym dbano tylko o naukę języka rosyjskiego, nie troszcząc się bynajmniej o inne przed-mioty. Seminaryum duchowne chełmskie, zaliczane przedtem do wzoro-wych zakładów tej kategorii, zeszło obecnie na poziom zwykłych se-minaryów prawosławnych, których obrazy kreślił po mistrzowsku znany pisarz rosyjski Pomiałowskij (*Oczerki bursy*). Ze sprawozdania o stanie seminaryum chełmskiego, odczytanego w dniu obchodu jubileuszowego, dowiadujemy się, że liczba wychowañców tegoż wynosiła 114; ukoń-czyło kursa 8, a z nich trzech wysłano dla dalszych studyów do aka-demij duchownych: kijowskiej, moskiewskiej i petersburskiej.

Od ziemi Chełmskiej przejdźmy do sąsiedniego Wołynia, zespo-lonego tak licznemi z nią węzłami. W czasach ostatnich w żadnej czę-ści dawnej Polski nie dokładał rząd tak wielkich usiłowań, w celu za-tarcia wszelkich śladów religijnej i narodowo-cywilizacyjnej przeszłości, jak w gubernii wołyńskiej. Smutna zasługa spotęgowanej akcyi w tym kierunku należy się bezsprzecznie gubernatorowi, E. Jankowskiemu, niedawno zmarłemu gwałtowną śmiercią w Warszawie, w drodze za granicę. Urzędowy organ gubernialny *Wołyni* dzwonił nieustannie na to kazanie i starał się — oczywista najobłudniej — wykazywać rzekome pokrzywdzenie prawosławnych w tym „od wieków prawosławnym“ kraju, a faworyzowanie katolików. Według obliczenia tegoż dziennika, ludność prawosławna na Wołyniu wynosi 1,722.148 dusz, posiadają-cych 1830 cerkwi, a więc na każdą cerkiew przypada 941 prawosła-wnych. Z tej ogólnej liczby jest 1579 cerkwi drewnianych, a 251

murowanych. Niektóre z nich — skarżył się *Wołyni* — są tak małe, że nie może się tam pomieścić więcej jak trzysta osób. Katolicy — zdaniem organu gubernialnego — mają być w daleko lepszym położeniu. Na 193.142 mieszkańców wyznania katolickiego jest 245 kościołów, a więc na każdy z nich przypada 788 katolików. Przy obliczeniu powyższemu organ gubernialny pomija obłudnie jedną okoliczność: w liczbie 245 domów Bożych jest tylko 109 kościołów, a 136 kaplic, najczęściej prywatnych, w których nie setki, lecz dziesiątki pobożnych mogą się tylko pomieścić. Wobec podobnej okoliczności, nieuwzględnionej przez redakcyę *Wołynia*, jak się przedstawiają daty statystyczne i kto tam jest stroną pokrzywdzoną?

W roku bieżącym prawosławnej ludności Wołynia polecił św. Synod obchodzić 900-letnią rocznicę założenia biskupstwa włodzimierskiego. Głównem ogniskiem tych wołyńskich cerkiewno-urzędowych obchodów były procesye i nabożeństwa w dawnej stolicy eparchii, we Włodzimierzu. Przy tej sposobności jeden z kaznodziei wypowiedział mowę, w której dosyć obszernie traktował dzieje Wołynia i potrafił tendencyjnie o jego stosunki współczesne. Pomiedzy klęskami, jakie w przeszłości kraj ten dotknęły, wymienił: walki dzielnicowych książąt, „okrutne jarzmo tatarskie“ i „niemniej okrutne i trudne do zniesienia prześladowania ze strony Polaków i Jezuitów“. W następstwie tego podwójnego ucisku, szlachta ruska Wołynia porzuciła wiarę swych ojców (oczywiście prawosławną!) i przechodziła na katolicyzm. Tutaj mówca wyliczył cały szereg znanych rodzin magnackich i szlacheckich, które niegdyś istotnie lub tylko przypuszczalnie należały do Kościoła wschodniego, „a niektóre z nich — ciągnął dalej kaznodzieja — jak Ostrogscy, Czetwertyńscy, Radziwiłłowie, Sanguszkowie i t. d., znane były jako gorliwe w wyznawaniu prawosławia“. Sens moralny tego przypomnienia był ten, aby wyżej wymienione rodziny, biorąc asumpt z 900-letniej rocznicy utworzenia episkopii włodzimierskiej, „przypominały swe pochodzenie“ i — czego kaznodzieja nie dopowiedział — przeszły zapewne na prawosławie.

Wobec podobnych usposobień rządu i kleru prawosławnego nic dziwnego, że jeden po drugim spadają ciosy na nasz Kościół. W Dederkałach Wielkich, w powiecie krzemienieckim, zamknięto kościół i klasztor OO. Reformatów. Wieś Dederkały była w XVI. w. własnością rodziny Dederkalskich. Tutaj posiadał później swą część także J. J. Dederko, pierwszy biskup miński. Przy klasztorze OO. Reformatów był kościół pod wezwaniem św. Krzyża, słynny z dorocznych odpustów na

Podwyższenie św. Krzyża, na które zbierali się pobożni z najdalszych stron Wołynia. Do r. 1863 mieli OO. Reformaci nawet nowicyat w Dederkałach. Obecnie zwinęto klasztor i kościół zamknięto. Wrażenie, jakie nowy ten akt „tolerancyi“ rządu rosyjskiego wywarł na ludności katolickiej, wolimy opowiedzieć wymownemi słowy korespondenta *Przeglądu lwowskiego*. „Dnia 19 lipca b. r., w niedzielę, odbyła się tam smutna i wzruszająca ceremonia — ostatnia msza święta w tych murach od wieków na chwałę Boga poświęconych; a najlepszym dowodem, jak lud katolicki szczerze i głęboko przywiązany jest do wiary św., były tłumy, które pomimo pory żniw już na parę dni przedtem płynęły z modlitwą, aby się jeszcze po raz ostatni tam wypowiadać. Bardzo wielu wypowiadanych odejść musiało bez komunii, bo zabrakło komunikan-tów. Księża, którzy życie całe w tym klasztorze przebyli, dziś wygnani, skazani na tułactwo, spowiadając wiernych, często odwracać się musieli od penitentów, aby otrzeć łzy cisnące się do oczu. Czci-godny gwardyan ksiądz Bogusz, celebrując sumę, niejednokrotnie musiał się zatrzymywać, bo mu łzy głos tłumily, a w całym kościele słyhać było jęki i łkania. Wyglądało to na mszę w mieście oblężo-nem, jakby lada chwila wpaść miał nieprzyjaciel i nie dać dokończyć nabożeństwa. Skończyła się suma; zanosząc się od płaczu, wyszedł tłum z kościoła, który zamknięto i przyłożono pieczęcie“.

Miasto Ostróg i parafię tejże nazwy pozbawia rząd również ko-ścioła, nie dając zezwolenia na odbudowanie go po ostatnim pożarze przed paru laty. Spalił się wówczas sobór prawosławny prawie całko-wicie, a tylko dach na kościele farnym katolickim. Sobór prawosławny wnet odbudowano kosztem rządu, a na restaurację kościoła katoli-ckiego dotąd nie zezwolono pod pozorem, iż na tem miejscu stała nie-gdyś cerkiew, według jednych *Piatnicka*, a według innych — *Uszenia Przeczystej Bogarodzicy*. I jedno i drugie twierdzenie autorów rosyj-skich jest mylnem. Cerkiew *Piatnicka* znajdowała się niewątpliwie na przedmieściu Bielmaż, a nie tam, gdzie stał kościół farny przed pożar-em. Na temat, czy na tem miejscu stała cerkiew *Uszenia Przeczystej Bogarodzicy* lub czy wogóle była tam cerkiew, wywiązała się polemika historyczna, w której udział wzięła i prasa polska (*Kraj*, *Tygodnik Ka-tolicki*). Znany ze swej germanofobii publicysta Liprandi, piszący pod pseudonimem „Wołyńca“, twierdzi w swej korespondencji do *Moskow. Wiedomości*, iż kościół farny w Ostrogu był dawniej cerkwią *Uszenia*, fun-dowaną jakoby w r. 1442 przez kniazia Teodora Ostrogskiego, a zabraną dyzunitom dopiero w XVII. w. przez Annę z Ostrogskich Chodkiewiczową.

Mylnem jest zdanie tych, którzy powiadają (*Kraj*), jakoby sam fundator cerkwi *Uszenia* Teodor, syn Daniela, Ostrogski, policzony w poczet błogosławionych Kościoła wschodniego, oddał ją OO. Dominikanom, wskutek próśb metropolity kijowskiego Izydora; ale też z drugiej strony najmniejszych dowodów piśmiennych nie ma ani p. Wołyniec, ani inni piszący o tej kwestyi Rosyanie, iż kościół farny był niegdyś cerkwią; iż w Ostrogu wogóle istniała kiedykolwiek cerkiew *Uszenia Przczystej Bogarodzicy*. Najbliższym prawdy jest — zdaniem naszym — pan J. Krz. w monografii Ostroga, drukowanej w „Słowniku Geograficznym“ (t. VII., str. 683), twierdząc, iż kościół farny był pierwotnie śpichlerzem murowanym, który książę Eljasz na Ostrogu, ożeniwszy się z Beatą z Kościelca, kasztelanką wojnicką, katoliczką, przerobił na kościół i osadził przy nim w r. 1540 dwóch Dominikanów. Z tem twierdzeniem pana J. Krz., jakkolwiek nieopartem przez powołanie się na odnośne źródła, zgadza się i ks. dr. Knapiński w swym obszernym, poświęconym tej kwestyi artykule w *Tygodniku Katolickim*.

W gruncie jednak rzeczy w pozbawieniu parafii katolickiej, liczącej 6000 dusz, kościoła parafialnego w Ostrogu szukać należy zupełnie innych pobudek, które też odsłania nam p. Wołyniec z naiwną otwartością, graniczącą z cynizmem. Oto obok kościoła katolickiego stoi tam cerkiew. Prawosławni — powiada — w drodze do cerkwi, usłyszawszy w kościele muzykę, wstępowali do kościoła z początku z ciekawości, potem z przyzwyczajenia, a wkońcu dostawali się pod wpływ księży!

Wielkiej również krzywdy doznali katolicy parafii annopolskiej, którą zwinięto w listopadzie 1891 roku. Liczyła ona 1264 wiernych. Miasteczko Annopol (dawniej wieś Glinniki) zawdzięcza swój rozwój Antoniemu Prus Jabłonowskiemu, który na cześć drugiej swej żony, Anny z Czapliców, nazwał wieś Glinniki Annopolem i przemienił ją na miasto. Istniał tam już, przed nadaniem przywileju na miasto, drewniany kościół parafialny św. Ducha, fundowany w r. 1752, który spłonął dopiero przed laty kilkunastu. Odtąd odprawiało się nabożeństwo w kaplicy cmentarnej. Syn zaś założyciela miasteczka Annopola, również imieniem Antoni, wojewoda poznański, począł budować kościół murowany, ale go nie dokończył. Szlachta okoliczna starała się niejednokrotnie o pozwolenie dokończenia budowy, ale starania te skutku nie odnosiły. Nareszcie, w końcu roku zeszłego, zwinięto parafię, a kaplicę cmentarną zamknięto, z powodu jakoby złego stanu tej ostatniej, grożącego zawaleniem się.

Jak we wszystkim, co się tyczy naszego położenia, tak i w sprawie parafii annopolskiej, przedstawiciele władzy rządowej nie przebiegają w środkach i walczą kłamstwem. Między innemi przyczynami katasu tej parafii powiedziano, że w miasteczku było tylko 83 katolików, a pominięto milczeniem, iż do tej parafii należy 1264 dusz. Przytoczyliśmy powyżej ubolewania czasopisma *Wołyń*, iż na każdą cerkiew prawosławną na Wołyniu przypada 941 dusz, a tymczasem znoszą kaplicę parafialną w Annopolu, gdzie modliło się półtora raza tyle katolików, i każą im udawać się do Sławuty, do której należy 1623 wiernych, lub odsyłają do niewielkiego kościółka w Krzywiniu, zaledwie mogącego pomieścić swych własnych 723 parafian!

Sprawę parafii annopolskiej poruszył jeden z katolickich dzienników francuskich, ale wnet posypały się do innych dzienników francuskich sprostowania i wyjaśnienia i oczywiście znalazły tam gościnne przyjęcie, jak wszystko, co pochodzi od przyjaciół najświeższej daty.

W prasie rosyjskiej błakała się ostatniemi czasy wieść, jakoby poruszono projekt uwolnienia wszelkich podań i alegatów, odnoszących się do budowy nowych świątyń wszystkich wyznań chrześcijańskich, od stempla i innych podobnych należytości skarbowych. Cóż po podobnej uldze, jeżeli katolikom w ziemiach zabranych kościołów ani kaplic w wielu razach budować nie pozwalają, a stare ze względów bezpieczeństwa zamykają lub burzą, sprzedawszy, jak to miało miejsce w Annopolu, rozebrany materyał żydom.

W roku bieżącym zmarła w Petersburgu słynna zelantka prawosławia, hrabianka Antonina Błudowa, która szczególnie umiłowała, na swój oczywiście sposób, nasz Wołyń i dlatego, mówiąc o sprawach kościelnych tego kraju, należy się jej wspomnienie. Zmarła, jako dama dworu carowej Maryi Aleksandrowny, wywierała pośrednio pewien wpływ i na Aleksandra II., w duchu ultra-narodowym i schyzmatyckim. Za jej inicjatywą, a przy poparciu niedawno zmarłego ministra spraw wewnętrznych, D. A. Tołstoja, powstało w Ostrogu, w r. 1864, bractwo śś. Cyryla i Metodego, które za główny cel swego istnienia wzięło — „wzmacnianie prawosławia i narodowości rosyjskiej na Wołyniu“. Przy jej materyalnej i moralnej pomocy kościół niegdyś OO. Kapucynów zamieniono na cerkiew bracką; w klasztorze zaś po-kapucyńskim umieszczono: seminarjum nauczycielskie, progimnazjum męskie, szkołę żeńską, szpital i gospodę dla prawosławnych, ochronkę dla rannych żołnierzy i ich rodzin.

Spuścizna literacka hrabiny A. Błudowej, o ile odnosi się do

Wołyńia, składa się z prac następujących: *Putieszestwie w Ostrog* („Podróż do Ostroga“. Petersburg, 1868), *Wspominania o Poczajewskiej Ławrze* („Wspomnienia o Ławrze Poczajowskiej“. Czasopismo *Strannik*. R. 1868, księga 11), *Piat' miesiacew na Wołyni* („Pięć miesięcy na Wołyniu“. Peters. 1868), *Skazanie o prepodobnom Feodorie, kniazie Ostrożskom* („Opowiadanie o błogosławionym księciu Teodorze Ostrogskim“. *Strannik*. R. 1871, księga 2). Najwięcej jednak wiadomości o stosunkach wogóle polskich, a specjalnie wołyńskich, znajduje się w jej *Wspominaniach i Zapiskach*, drukowanych w czasopiśmie *Zaria* („Zorza“. R. 1871, księga 2) i w czasopiśmie *Russkij Archiw* (w latach 1872—1889).

Przechodząc do sąsiednich ziem ruskich, zanotować winniśmy przede wszystkim szybkie przechodzenie osiadłych tam Czechów na prawosławie. Osada Czechówka, w powiecie bałckim, w gubernii podolskiej, założona przez przybyszów czeskich na gruntach wsi Emilówki, przeszła w maju 1891 r. na prawosławie. Liczba apostatów wynosi 49 dusz. Statystyka przejść na prawosławie w r. 1890 przedstawia się na Podolu w sposób następujący: katolików 56 (przeważnie Czechów), protestantów 3, żydów 14, a razkolników tylko 2 (a jest ich w gubernii podolskiej 17.683). Pomimo że sztundystów liczy statystyka rządowa 421 dusz, osiadłych przeważnie w powiatach bałckim i lityńskim, to jednak żaden z nich nie wrócił tam na łono prawosławia. Widać, że Cerkiew urzędowa w ziemiach naszych ma najwięcej szczęścia do — braci Czechów!

Z podobnymże objawem spotykamy się i w tak zwanej Nowej Rosyi, gdzie propagandą prawosławną pomiędzy kolonistami czeskimi zajmuje się pop Włodzimierz Haufmann, również Czech z pochodzenia. W okolicy Noworosyjska (Ekatirinosławia) mieszka w kilku wsiach już od dwudziestu trzech lat wielu katolików-Czechów, którzy dosyć wiernie trzymali się dotąd wiary ojców. Od lat ośmiu dopiero zaczęto wśród nich propagandę prawosławia. Prawie każdego roku przystępowało po kilku do Kościoła urzędowego. Dnia 31 grudnia st. st. 1891 r. naraz przyjęło prawosławie 17 najzamożniejszych z pośród osadników czeskich, wskutek wzmocnionej agitacji wspomnianego wyżej popa-rene-gata, Włodz. Haufmanna. Przykład ich skutkował. W końcu stycznia roku bieżącego przystąpiło do schyzmy jeszcze 9 osób, a wkrótce i reszta osadników czeskich koło Ekatirinosławia pójdzie niechybnie za ich przykładem.

Prawosławie stara się wszelkiemi sposoby tworzyć prozelitów

kosztem innych wyznań; natomiast sztunda tworzy ich kosztem prawosławia. Przypuszczenie nasze (wypowiedziane w artykule o sztundzie w zeszycie styczniowym *Przeglądu Powszechnego*), iż pierwiastek protestancki w sztundzie pierwszej lub później sprowadzi jej rozkład, zaczyna się już sprawdzać. Z łona sztundy starej wyszła już nowa sztunda na Ukrainie polskiej (w gub. kijow.) o tendencji komunistycznej, o czem bardzo ciekawe szczegóły znajdujemy w artykułach pana Skworcowa w *Moskow. Wiedomościach*. „Sekciarze — pisze p. Skworcow — wyprzedali cały swój inwentarz domowy i ptactwo z tego powodu, że używać obecnie zwierząt do pracy grzechem jest; dawniej nimi pracowano, ale dziś należy je uwolnić od pracy, ponieważ i nas wszystkich (sekciarzy) Pan Bóg i Zbawiciel świata uwolnił w swej łaskawości od wszelkich trosk i trudów“.

Przykazania chłystowskie względem umartwienia ciała znajdują w czasach ostatnich coraz większy posłuch u nowosztundystów. W wielu okolicach zachowują oni posty nadzwyczaj ścisłe: jedzą raz tylko w ciągu doby i to tylko potrawy roślinne. W tych razach okazują stałość niezwykłą, a nawet dzieci wstrzymują się od jedzenia. Wskutek tego, pomimo całkowitej nieczynności, stan zdrowia nowosztundystów nadzwyczaj lichy i sterany. Wszędzie widzieć można bladość i znużenie na twarzach tych ludzi. Wyprzedali sekciarze i resztę swego mienia — wszystko, co „na te czasy“ — jak się wyrażają — jest w ich przekonaniu zbędne i niepotrzebne, nie robiąc wyjątku dla kozuchów, narzędzi rolniczych i rękodzielniczych i zapasów zboża. Zbóż jarych wcale nie zasiewali.

W pierwszych trzech lub czterech miesiącach od powstania nowosztundyzmu sekciarze wiedli rodzaj życia epikurejski; zadanie ich krótkiego — jak twierdzili — życia polegać powinno na przyjemnościach i rozkoszach, które się osiąga używaniem słodkich, smacznych pokarmów i napojów (choćby gorących napojów nie używają), wyzwoleniem się od wszelkiej pracy i bogatym strojem. W początkach istnienia sekty, dopokąd wyznawcy jej nie zubożeli, w każdej chacie sekciarskiej można było widzieć chleb pszenny, cukier, herbatę, mleko i mięso. „Gdyśmy po raz pierwszy — pisze p. Skworcow — zwiedzali osady nowosztundystów, znajdowaliśmy sekciarzy ubranych podług ostatniej mody. Pewna gmina sekciarska nabyła na jarmarku u żydów modnych garniturów za 140 rubli“.

Z licznych wspomnień o zmarłym niedawno metropolicie kijowskim Platonie, najwięcej obudzić może interesu w czytelniku polskim

wspomnienie, umieszczone w *Warszaw. Dnienniku*. Autor jego stara się dowieść, że katolicy i Polacy zawsze okazywali wiele szacunku i przyjaźni dla tego dostojnika Kościoła prawosławnego. Gdy w roku 1843 odbywała się w Wilnie *chirotonia* Platona na godność władzyki, wileński marszałek gubernialny (Polak) i biskup rzymsko-katolicki Cywiński dawali na cześć jego wielkie obiady i wnosili toasty na jego zdrowie. W następnym zaś roku, podczas wizytacyi kanonicznej eparchii litewskiej, władzykę przyjmowano biciem w dzwony w kościołach katolickich i nabożeństwami, a księża zapraszali go na obiady. Nietylko biskup Cywiński, ale i inni biskupi katoliccy zostawali jakoby z Platonem w dobrych stosunkach, jak np. Dmuchowski i Żyliński, a tyraspolski biskup Kann, będąc jeszcze przeorem klasztoru w Rydze, okazywał mu cześć niezwykłą i częstokroć prosił go o arcypasterskie błogosławieństwo. Zmarły przed dwoma laty metropolita mohilewski Gintowt okazywać miał wiele przyjaźni Platonowi i wyrażać ją w sposób podobny, jak to czynili władzykowie prawosławni. Jeżeli fakta powyższe, przytoczone przez bezimiennego autora, są prawdziwemi, to wyznać należy, że metropolita kijowski za tyle dowodów przyjaźni nie odpłacał się ani delikatnością, ani taktem w swym stosunku do katolików, jak to najwymowniej okazał podczas ostatniej wizytacyi metropolii kijowskiej, wdzierając się do kościoła katolickiego w miasteczku Korysteszu, w powiecie radomyskim gubernii kijowskiej, a tem samem stawiając ówczesnego biskupa łucko-żytomierskiego, a obecnego metropolitę mohilewskiego, w nader przykrem położeniu.

Niezmiernie zajmującym jest fragment „Zapisków“ A. Sołtanowskiego, umieszczony w majowym zeszycie *Kijewskiej Stariny*, a przedstawiający nam obraz Kijowa w czwartym i piątym dziesięcioleciu naszego wieku. Przytaczamy na tem miejscu dwa z nich wyjątki, z których pierwszy poświęcony uniwersytetowi kijowskiemu, a drugi — szkołom średnim Wołynia, Podola i Ukrainy. „Słuchacze uniwersytetu kijowskiego — pisze A. Sołtanowskij — od początku istnienia tegoż byli w większości Polakami z kraju południowo- i północno-zachodniego lub spolszczonymi synami urzędników rosyjskich z tychże miejscowości. Mniejszość stanowili Małorusini. Polszczenie Rosyan w tych krajach doszło do tego stopnia, iż nietylko w tych domach, gdzie matkami i paniami domu były katoliczki-szlachcianki, lecz nawet w rodzinach przybyłych z Małej Rusi lub Rosyi językiem potocznym był język polski; służba wyznania prawosławnego również mówiła tylko po polsku. Damy wyznania prawosławnego częściej chodziły do kościoła, jak do

cerkwi. W miastach, nawet po wsiach, gdzie dosyć dużo było katolików, prawosławne, wyszedłszy zamaż za katolików, zaczynały uczęszczać do kościołów; dzieci z takich małżeństw, nie zważając na prawo, chrzczono w kościołach. Pan polski i ksiądz polski tworzyli siłę, przed którą, z powodu dezorganizacji, głupoty lub interesu, ugiął się cały rosyjski świat urzędniczy. Przytem, nawet po rokосу 1830—31 roku, wszystkie wpływowe stanowiska w różnych gałęziach służby publicznej były przepełnione Polakami, wsuniętymi na te stanowiska przez panów, według z góry dobrze obmyślanego planu. Celem otrzymania posad rządowych lub awansów, Rosyanie również musieli szukać protekcji panów, którą zaszczycano tylko „dobrze myślących“. Rosyjskie prawosławne duchowieństwo było w pogardzie; panowie i urzędnicy, polscy i rosyjscy, żartowali sobie z jego ubóstwa, ciemnoty i chciwości, z jego chłopskości. Wyznać należy, że w kraju północno- i południowo-zachodnim urzędnicy wogóle — a w ich liczbie i pochodzenia rosyjskiego — przyczynili się niemało do przygotowania powstania 1863 r.“.

W dalszym ciągu pisze autor tych interesujących „Zapisków“, że polszenie się młodzieży na Wołyniu, Podolu i Ukrainie zaczynało się już w niższych szkołach i gimnazyach, które i po roku 1831 pozostawały przeważnie w rękach polskich. „Nietylko uczniowie w szkole pomiędzy sobą, — czytamy w „Zapiskach“ A. Sołtanowskiego — lecz i z nauczycielami rozmawiali wyłącznie po polsku, chociaż wykład odbywał się podług podręczników rosyjskich, a języka polskiego, jako odrębnego przedmiotu, nie wykładano wcale (wprowadzono go we wszystkich zakładach naukowych tylko przed powstaniem roku 1863, wskutek starań generał-gubernatora księcia Wasilczikowa). Na stancyach uczniowskich, utrzymywanych przez nauczycieli Polaków i osoby prywatne, używano w rozmowie wyłącznie tylko języka polskiego. Dozorcami większych stancji prywatnych byli wychowawcy byłego uniwersytetu wileńskiego i liceum krzemienieckiego. Wszystko to byli ludzie, posiadający istotnie wiedzę i wykształcenie. Wszyscy oni uczestniczyli w powstaniu roku 1831 i wychowywali młodzież w duchu patryotyczno-polskim. I nauczyciele, i repetytorowie, i uczniowie-Polacy odzywali się z pogardą o wszystkim, co rosyjskie i prawosławne, a wszystkich Rosyan nazywali *mużykami*“.

Kiedy władza szkolna spostrzegła wkońcu, jakie mogą stąd wyniknąć następstwa, zaczęła na posady nauczycielskie mianować wychowawców prawosławnych seminarjów duchownych; pomimo tego — według świadectwa p. Sołtanowskiego — „polonizacya trwała i przy

rosyjskich seminaryjnych rządach, a język polski aż do roku 1863 nie przestał być jedynym językiem potocznym młodzieży szkolnej i w obrębie zakładów naukowych i na stancyach. Niektórzy słuchacze uniwersytetu wyznania prawosławnego łączyli się daleko chętniej z kółkami słuchaczy narodowości polskiej, chociaż nieustannie zaprzątniętych myślą o wyzwoleniu Polski, lecz po większej części zachowujących się przyzwoicie, regularnie uczęszczających na wykłady i gorliwie zajmujących się nauką, niż z kółkami swych współwierców i jedноплеmieńców zadnieprskich lub popowiczów“.

Od tych stosunków kijowskich z przed trzech dziesięcioleci przejdźmy do dzisiejszych. Nie mając danych do nakreślenia uczuć, usposobień i aspiracyj tamecznej ludności polskiej, podamy tylko najnowsze, suche daty statystyczne. Ogólna liczba mieszkańców Kijowa wynosi obecnie 183.640 głów. Według wyznań ludność tego miasta dzieli się w sposób następujący: katolików 18.871, prawosławnych 144.070, razkolników 1135, protestantów obu wyznań 2375, żydów 16.691, innych wyznań 498. Stosunki wyznaniowe Kijowa wyrażają się zatem w następujących procentach: katolików 10.4⁰/₀, prawosławnych 78.1⁰/₀, razkolników 0.6⁰/₀, protestantów 1.4⁰/₀, żydów 9.1⁰/₀, innych wyznań 0.4⁰/₀.

A. Szarłowski.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Nowe węgierskie ministerium. — Oświadczenia Pulszky'ego. — Znak Krzyża świętego w szkołach wiedeńskich. — Interpelacye Karlona i hr. Hohenwarta w kwestyi szkolnej. — Skład Apostolski, a prof. Harnack. — Dwa kongresy hiszpańskie. — Stan Kościoła w Costa-Rica.

NOWE WĘ-
GERSKIE
MINISTERIUM.

Hasła wojenne, rzucone przed paru miesiącami na głośnym zjeździe kalwińskim w Komornie, nie przestają się odtąd groźnem echem rozlegać po całych Węgrzech; stały się, jak od pierwszej chwili przewidzieć nie było trudno, smutną przegrywką do toczącej się już obecnie na całej linii walki z katolickim Kościołem. Żądane od dawna i popierane przez rządowe liberalne stronnictwo prawa o równouprawnieniu Żydów co do małżeństw i przelaniu na państwo obowiązku prowadzenia metryk, zostaną niezadługo zawotowane bez silniejszego bodaj oporu z jakiegobądź strony; właściwym przedmiotem boju jest wysunięty naprzód przez skrajne stronnictwa projekt obowiązkowych małżeństw cywilnych. Projekt ten, mącący do samego dna panujące obecnie stosunki, wywołał silne rozdwojenie w łonie partyi rządowej, owszem w samymże ministerium Szaparego; tak silne, że ostatecznie wprowadzić ono musiało dymisyę całego gabinetu. Szapary, przyznający się bądź co bądź jawnie do katolickich zasad, oświadczył

stanowczo, że pod żadnym warunkiem podjąć się nie może złożenia nowego ministeryum; wskutek tego niełatwe to zadanie przypadło w udziale dotychczasowemu ministrowi finansów, d-rowi Aleksandrowi Wekerle. Jakie właściwe jego plany, jakie usposobienie? Zbyt różnorodne krążą o tem wersye, aby można dziś już dać na to pytanie jasną odpowiedź. Do r. 1872 należał Wekerle do loży wolnomularskiej; następnie wystąpił z niej i brał nieraz ostentacyjnie udział w katolickich uroczystościach. Czy — jeśli nawet najlepsząby miał wolę — potrafi opanować i do ładu jakiegoś doprowadzić z dnia na dzień wzmagający się chaos; czy potrafi powstrzymać kalwińskie zapędy? Dziś energiczne usiłowania te, mogące liczyć nie tylko na ostateczną sankcję, ale na szczerą przychylność Korony, mające za sobą niechybne poparcie Izby magnatów, otworzyłyby może jeszcze drogę do zwycięstwa; inna, a smutna kwestya, dokąd zajdą Węgry, i pod względem kościelnym i państwowym, jeżeli nie powstrzymają się w tym coraz szybszym pędzie — same nie wiedzą dokąd, to pewna tylko, że na dół i na dół!

OŚWIADCZENIA Istotnie w całej tej kampanii uderza dziwna zacie-
PULSZKY'EGO. kłość i ślepotą, która przeraża nie samych wyłącznie

katolików, lecz i najzaciętszych, ale z czasem i okolicznościami rachujących się wrogów katolicyzmu. Wysłuszony Wielki Mistrz węgierskiego wolnomularstwa, Franciszek Pulszky, uznał za niezbędne sam chwycić za pióro, aby przestrzedz swych współziomków przed przepaścią, którą sami pod nogami sobie kopią:

„Obowiązkowe małżeństwo cywilne, upaństwowienie metryk, zniesienie utrwalonych praw przysługujących szczęściu różnym wyznaniom, ważność i trwałość małżeństwa, skodyfikowanie jednakowo dla wszystkich brzmiącej ustawy regulującej stosunki rodzinne — nie da się w żaden sposób przeprowadzić przez jedno proste głosowanie w parlamencie. Z jednej strony stoi twardo papistowska większość Izby magnatów, która opiera się na Watykanie i może na pewno rachować na agitację niższego duchowieństwa, na rozfanatyzowanie, za jego pośrednictwem, warstw niewykształconych. Z drugiej strony, protestan-

ckie ortodoksyjnie usposobione duchowieństwo ani myśli zgodzić się na odstąpienie państwu pewnej części autonomicznych swych praw. Do tego i wskutek tego dołącza się powątpiewanie Korony, czy podjęte próby gruntownego rozwiązania kościelnopolitycznych kwestyj, bardziej jeszcze umysłów nie rozjątrzą. I nad tem też zastanowićby się należało, czy małżeństwo cywilne i upaństwowienie metryk, choćby nawet dało się przeprowadzić bez zbytnich trudności w miastach i wielkich gminach Alfoeldu (węgierskiej równiny) i zeszłoby tam może ostatecznie do rzędu pieniężnej kwestyi; czy w całych Górnych Węgrzech i w Siedmiogrodzie, gdzie w małych gminach słowackich, ruskich i wołoskich nikt zazwyczaj pisać nie umie, prócz księdza, dziedzica i jego rządcy — państwo nie poszukiwałoby napróżno niezbędnych organów do dawania ślubów cywilnych i prowadzenia metryk rządowych? Z pewnością w połowie kraju chodzi tu nie tylko o kwestyę pieniężną, ale też o kwestyę należytego wykształcenia i zrozumienia rzeczy. Wobec takich trudności, rozumiemy wybornie, jak krytycznem jest położenie, i wcalebyśmy się nie dziwili, gdyby i teraz dojść nie miało do radykalnego rozwiązania tej sprawy“.

INTERPELACYE
KARLONA
I HOHENWARTA.

W Izbie wiedeńskiej wnieśli hr. Hohenwart i poseł Karlon dwie ważne interpelacje, rzucające ciekawe światło na szkolnictwo austriackie, na prądy w niem nurtujące. Interpelacya Karlona przypomina memoriał przedłożony ministeryum 30 stycznia 1888 r. przez cały austriacki episkopat, tudzież następne akty odnoszące się do konieczności zaprowadzenia szkół wyznaniowych, i zapytuje, dlaczego rząd memoriałów tych i aktów dotychczas nawet pod rozwagę nie wziął, czy i kiedy zamyśla wreszcie uwzględnić żądania całej katolickiej ludności? Hr. Hohenwart ograniczył się w swej interpelacyi do jednego, ale bardzo charakterystycznego wypadku, z dziedziny szkolnictwa, który w ostatnich tygodniach żywo poruszył prasę i opinię. Wiedeńska okręgowa Rada szkolna wydała jeszcze zeszłego roku rozporządzenie, mocą którego dozwolono katolickim dzieciom rozpoczynać naukę od cichego przeżegna-

nia się; natomiast — wrzekomo z tolerancyjnych pobudek — zakazano głośno się żegnać. Rozporządzenie to błąkało się przez kilkanaście miesięcy po rozmaitych biurach, aż wreszcie w październiku b. r. zostało ostatecznie ogłoszone. Namiestnik dolno-austryacki zawiesił wprawdzie na razie wykonanie tego reskryptu; niemniej jednak, jak hr. Hohenwart w interpelacji swej się wyraził, cały ten pożałowania godny wypadek, za który nikt przyjąć na siebie nie chce odpowiedzialności, wymagał niezbędnie dokładniejszego wyjaśnienia. „Jeżeli szkoła, — czytamy w interpelacji — której zadaniem ma być religijno-obyczajowe wychowanie dzieci, zakazuje im głośno wyznawać tajemnicę Trójcy Przenajświętszej, a wyznanie takie uważa za coś nieodpowiedniego — to rzecz naturalna, iż ludność chrześcijańska czuć się musi do najwyższego stopnia oburzoną na tego rodzaju niesłychany zwłaszcza z takiej strony napad, wymierzony nie tylko przeciw wierze katolickiej, ale wogóle przeciw każdemu chrześcijańskiemu wyznaniu; rzecz naturalna, że domaga się gwałtownie wystarczającego zaspokojenia“.

Zaspokojenia tego udzielił minister oświaty na jednej z najbliższych sesyj parlamentarnych. Tylko przez nieporozumienie został ogłoszonym odnośny reskrypt, który ani nie był zbadanym, ani tem mniej nie otrzymał potwierdzenia wszystkich powołanych do tego czynników. Właśnie dlatego namiestnik natychmiast go zawiesił. „Co się mnie tyczy, — zakończył minister Gautsch swe oklaskami przyjęte oświadczenie — to nie waham się złożyć zapewnienia, że korzystając z przysługujących mi praw najwyższego nadzoru, nie dopuszczę nigdy żadnego rozporządzenia, które mogłoby w jakibądź sposób obrazić uczucia religijne katolickiej ludności“. Piękne i wszelkiej pochwały godne słowa piszą o tej odpowiedzi dzienniki katolickie; ale co właściwie znaczą i dokąd sięgają, tego dopiero dowiemy się przy odpowiedzi — jeżeli wogóle rząd odpowiedzieć się zdecyduje — na dotyczącą nie jednego, przypadkiem i bardziej wyrażnie na jaw wyszłego symptomu, lecz samego jądra choroby — na interpelację Karlona.

PROFESOR
HARNACK.

Prawowierni protestanci uspokoić się dotąd nie mogą z powodu skierowanych przeciw „Składowi Apostolskiemu“ oświadczeń profesora berlińskiego Harnacka, a bardziej jeszcze z powodu olimpijskiego spokoju, z jakim kierujące sfery berlińskie oświadczenia te przyjęły. Największe nadzieje pokładano w samym cesarzu, w religijnem jego usposobieniu; ludzono się, że korzystając z wittenbergskich uroczystości, na które zgromadzić się mieli wszyscy najgłośniejsi przedstawiciele i obrońcy lutersko-protestanckiej idei, podniesie głos oburzenia przeciw nowym poganom, kompromitującym wyznawców „czystej ewangelii“. Tymczasem cesarz, konsekwentniejszy snąc od innych zwolennik zasad luterskich, nie tylko nie oświadczył się ani jednym słowem przeciw Harnackowi, ale, powiedziećby raczej można, że wzniósł kielich na cześć głoszonych przezeń teoryj. „Nie zapominajmy — wołał — że w kwestyach wiary przymusu być nie może; że wyłącznie wolne przekonanie o wszystkim tu rozstrzyga“. Stosownie do tej zasady, Harnack pozostaje i nadal profesorem protestanckiej teologii w Berlinie i udowadnia swym słuchaczom, że wolno im wprawdzie wierzyć albo nie wierzyć artykułom zawartym w Składzie Apostolskim, ale że jego zdaniem bynajmniej wierzyć im nie powinni. A przecież — jak melancholijnie o tej sprawie wyraża się *Kreuzzeitung* — „ze Składem Apostolskim stoi i upada zorganizowany kościół ewangelicki. Jeżeli świadomość ta w masach żyć przestała, a obudzić jej nie jesteśmy w stanie; natenczas kościół ewangelicki nie może sobie nadal rościć prawa do równorzędnego stanowiska z Kościołem katolickim“.

DWA KONGRESY
HISZPAŃSKIE.

Dwa kongresy odbyły się niemal jednocześnie w Hiszpanii: kongres wolnomularski w Madrycie, i katolicki w Sewilli. Masoni, a w znaczniejszej jeszcze części, zaimprovizowane, jak się zdaje, w ostatniej chwili dla zapelnienia zbyt wielu wolnych miejsc, masonki hiszpańskie, zgromadzili się w jednym z teatrów i zawotowali: wyzwolenie ludzi z pod władzy Kościoła, petycę o zaprowadzenie szkoły ściśle bezwyznaniowej, wreszcie protest przeciw utrzymywaniu duchowień-

stwa z kasy państwowej. Obrady burzliwe od pierwszej chwili, przeszły niebawem wszelkie możliwe i niemożliwe granice, tak że rząd musiał przystąpić do rozwiązania kongresu. — Wobec tej parady, której sami wolnomularze na seryo nie brali, stanęły w tem piękniejszym świetle poważne obrady wiecu sewilskiego. W wiecu brało udział około 4000, między nimi 500 biskupów i księży; a czytając długie spisy mowców i znakomitszych uczestników, śmiało powiedzieć można, że nie brakło ani jednego, bardziej wybitnego katolika. Cechą charakterystyczną tego kongresu były liczne, uczone wykłady głównie z dziedziny teologicznej i filozoficznej; ale i praktyczne, wprost i bezpośrednio z życiem mające związek kwestye nie zostały pominięte. Tak np. biskup z Malagi, Spinola, mówiąc o obowiązkach katolików w czasach dzisiejszych, zachęcał gorąco do żywego udziału w politycznem życiu, w szczególności w wyborach, od których bądź co bądź losy Kościoła tak bardzo dziś są zawisłe. Duran y Bas zastanawiał się nad dzisiejszym stanem kwestyi socyalnej w Hiszpanii. Najwięcej wszakże mów i rezolucyj odnosiło się do kwestyi rzymskiej, do zapewnienia Papieżowi tak niezbędnej w dzisiejszych okolicznościach pomocy materyalnej. Wyraz uczuć swych w tym kierunku dali katolicy hiszpańscy w uchwalonym jednomyślnie adresie do Papieża, a protestującym w tak silnych wyrazach przeciw „bezecnej niewoli, w której rewolucyjna bezbożność więzi Ojca Chrześcijaństwa“, że rzymskie katolickie dzienniki nie były nawet w stanie, z obawy konfiskaty, podać adresu tego w całości.

Już po pierwszych telegraficznych depeszach o przebiegu obrad w Sewilli, dzienniki włoskie uderzyły na alarm. Organ Giolittiego, *Diritto*, wyraził najwyższe zdziwienie, w jaki sposób rząd Canovasa ścierpieć mógł tego rodzaju publiczne napaści na zaprzyjaźnione państwo włoskie. Silniej wystąpiła jeszcze *Riforma*: „Rząd madrycki poczuwać się winien do ścisłego obowiązku powstrzymywania manifestacyj, których tolerancya oznacza niepoczucie się do zachowywania najprostszych międzynarodowych powinności, jakie na nim ciąży i których zachowania od nas również się domaga. P. Canovas rozwiązał kongres

wolnomyślicieli, chociaż tenże nie obraził żadnego z mocarstw, z któremi Hiszpania utrzymuje przyjazne stosunki; tem mniej wolno mu zostać obojętnym względem manifestacyj, nie mających nic wspólnego z religią, a noszących na sobie oczywisty charakter polityczny“.

Nacisk na gabinet madrycki musiał być silnym i nie na samych tylko artykułach dziennikarskich się ograniczać, kiedy spowodował go do ogłoszenia dyplomatycznej noty, mającej na celu ułagodzić włoskie gniewy. „Kongres sewilski, — tłumaczył się Canovas — był zebraniem prywatnem, a jako taki stał pod opieką wolnomyślnych ustaw hiszpańskich i nikt nie miał prawa mu przeszkodzić. Żaden z urzędników lub dygnitarzy państwowych nie brał w nim udziału; stąd też państwo w żadnej mierze odpowiadać nie może za powzięte na nim uchwały. Wedle pierwotnego planu, dwór królewski nie miał się znajdować w Sewilli w czasie obrad kongresu; wykonaniu tego planu przeszkodziła choroba młodocianego króla, ale pomimo tego, dwór jako taki trzymał się z daleka od kongresu. Królowa zaprosiła wprawdzie do siebie na obiad 22 obecnych biskupów; ale zaprosiła ich nie jako członków kongresu, lecz jako dygnitarzów kościelnych“.

Tłumaczenie to oczywiście nie zadowolniło nikogo. Jedni obwiniali je o brak męskiej odwagi; drudzy dopatrywali w niem ukrytą gryzącą ironię; jeszcze inni pytali, czemu rząd włoski, tak skory do wyrażenia swego niezadowolenia wobec Hiszpanii, ignoruje dyplomatycznie podobne uchwały kongresów niemieckich, austriackich, amerykańskich? Czy wszyscy, po części, racyi nie mieli?

COSTA-RICA.

W rzeczypospolitej Costa-Rica wybuchła w r. 1884, za prezydentury Fernandez, straszna walka przeciw Kościołowi. Zasłużony biskup Bernard Thiel, rodem Niemiec i czternastu Jezuitów, zostało bez sądu, prostym administracyjnym dekretem, wyrzuconych poza granice państwa; nauka religii, znowu jednym pociągnięciem pióra, skasowana we wszystkich szkołach utrzymywanych przez państwo. Nowy prezydent

wybrany w r. 1889 Józef Rodriguez, innych trzymał się zasad od swego poprzednika, a nie mogąc otrzymać od kongresu zniesienia barbarzyńskich praw, wydał na własną rękę dekret, mocą którego we wszystkich szkołach wykładaną ma być religia, i wszystkie dzieci obojga płci mają obowiązek na wykład ten uczęszczać, chyba by rodzice lub opiekunowie którego z nich pisemnie przeciw temu zaprotestowali. Trudno, zdawałoby się, o liberalniejsze rozporządzenie; tymczasem środkowo-amerykańscy poganie i wolnomularze podnieśli przeciw niemu jednomyślny okrzyk zgrozy, a Rodrigueza okrzyknęli najsroższym tyranem, jaki kiedykolwiek istniał od założenia świata. Ponieważ kongres trwał ciągle w dawnych swych zapatrywaniach, przeto prezydent go rozwiązał. W manifestcie, wydanym dnia pierwszego września, do narodu, usprawiedliwia się z tego kroku, powołując się na obrane przez siebie hasło: *Salus populi suprema lex esto!* Cały prawie naród, z wyjątkiem garstki niepoprawnych agitatorów, głośno przyklaskuje tym energicznym krokom, i gdyby tylko o rzeczywistą „wolę ludu“ chodziło, nie mogłoby być na chwilę wątpliwości, przy kim ostatecznie pozostanie palma zwycięstwa.

Ks. Jan Badeni.

Ze świata nauk, odkryć i wynalazków.

Podobieństwo ochronne w królestwie zwierzęcem. — Psy bez mózgu wielkiego. — Bakterie i tępienie myszy. — Metal XX-go stulecia.

Zauważono w ostatnich czasach, że pewne formy zwierzęce zgadzają się pod względem barwy i kształtów ciała z przedmiotami otoczenia, w którym się obracają. Zjawisko to nazwano podobieństwem ochronnem albo też „mimicry“ w szerszem znaczeniu¹. O ciekawem tem i dla wielu zagadkowym zjawisku czytamy i słyszymy zazwyczaj,

¹ Właściwe mimicry polega na naśladowaniu istot obdarzonych ruchem, podczas gdy podobieństwo ochronne zasadza się na kopiowaniu rzeczy martwych.

że występuje tylko miejscami, nie zaś ogólnie, że pojawia się głównie i normalnie w krajach tropicznych, a u nas tylko wyjątkowo.

Przeciwno temu mniemaniu wystąpił Feliks Plateau. W lutym b. r. miał odczyt na posiedzeniu Brukselskiej Akademii umiejętności, w którym stara się udowodnić, że zjawisko podobieństwa ochronnego jest ogólne, że i w naszej strefie spotykamy na każdym kroku fakty, które tropicznym w niczem nie ustępują. Przytaczamy w krótkości kilka szczegółów z rozprawy p. Plateau, bo tem samem zapoznamy czytelników z nową stroną zwierzęcego życia.

Natura zwierzęca jest ustawiczną szkołą przebiegłości i chytrłości. W dzień jasny i pod zasłoną nocy zwierzęta walczą między sobą, aby głód zaspokoić lub zabezpieczyć los swego potomstwa. W tych zaś potyczkach za broń im służą nie tylko kły i pazury, nie tylko ostre szczęki i żądła jadowite, a środki ochronne nie ograniczają się tylko na grubych pancerzach, szorstkich kolczugach lub wydzielaniu smrodliwych cieczy; wszystkie formy używają mniej lub więcej rozmaitych sztuczek i podstępów, które im ułatwiają albo schwytywanie łupu, albo ucieczkę przed wrogiem.

Zwierzęta zwodzą się nawzajem przez barwę i krój ubioru, przez szczególne ułożenie ciała w spoczynku, przez ruch właściwy albo lot w powietrzu. Takich, co przybierają zabarwienie listowia, mamy całe krocie; wiele okrywa się płaszczem mającym kolor muru, przywdziewa na się barwę matową skał nagich, kory drzewnej, piasku. Jedne długie, cienkie, sztywne, przepędzają część życia swego nieruchomo, naśladując kawałeczek drzewa lub pnia; inne, co są zmuszone ratować się ucieczką, naśladują w dziwny sposób liść suchy wiatrem unoszony; liczne są wreszcie zwierzęta, co żadnej broni nie mając, pożyczają sobie kostiumów od tych, które natura wyposażyla w straszną broń. Węże nieszkodliwe mają wygląd jadowitych, najniewinniejsze muchy miewają na sobie pasy naprzemian czarne i żółte, które są charakterystycznymi dla osowatych, boleśnie kłujących.

Kto jednak z tej strony chce badać i poznać życie zwierzęce, temu nie wystarczy zamknąć się w jakimś zbiorze zoologicznym lub entomologicznym, ani ślęczyć nad rycinami atlasów i książek, bo tam zawsze zwierzęta wyjęte są niejako z ram, jakie im przyroda przeznaczyła; ale musi rzecz tę studyować w wolnej naturze, zajrzeć jej w oko i serce, i stamtąd czytać. Dlatego też p. Plateau prowadzi nas na morze, na puszcze, a wreszcie do lasu.

Pomijamy bardzo ciekawe zjawiska tego ochronnego podobień-

stwa u zwierząt żyjących na wybrzeżach mórz i w puszczach europejskich, jako rzecz mniej nas dotyczącą, a wchodzimy od razu do lasu.

Jesteśmy np. na przechadzce w lesie i chodzimy głównie drożynami; cóż nas uderza? Las prawie opuszczony od swoich doskonalszych mieszkańców: kilka much, kilka błonkówek, bardzo mała liczba motyli przelatuje z kwiatka na kwiatek, co rosną przy ścieżce leśnej, od czasu do czasu ptaszyna jaka poprzód oczy przeleci — oto i wszystko.

Lecz nie leńmy się, a zwyczajem entomologów wejźmy odważnie w gąszcze, uderzajmy w gałęzie i krzaki — całe legiony najrozmaitszych zwierzątek podnoszą się na wszystkie strony i w odległości dziesięciu kroków znowu znikają z oczu.

Gdzie były te istoty, co się obecnie na chwilę pokazały? Czy pod trawą lub na spodniej stronie liści? W ten sposób kryje się szczupła tylko garstka zwierzątek. Największa część leżała nieruchomo na górnej powierzchni liści, na gałęziach, żdźbłach traw, pniach drzew i krzewów. Atoli nie spostrzegliśmy ich wcale — bo wszystkie użyły nieświadomie swego ochronnego podobieństwa i z powodu kształtów i barw swoich złąły się z podłożem.

Przytoczmy kilka przykładów. Motyle przepędzają najdłuższą część życia swego w stadium gąsienicy. Największa zaś część gąsienic jest koloru zielonego lub brunatnego i trzyma się za dnia na gałęziach drzew. A i między doskonałymi motylami, zwłaszcza ćmami i tak zwanymi miernikowcami (*Geometrida*), znajdujemy wiele form, które wskutek swojej pięknie zielonej barwy mieszają się najzupełniej z liśćmi. I między szarańczakami zdarzają się formy zielone. Któż np. zaręczy, że pozna siedzącego w trawie pasikonika, jeśli się tenże nie rusza?

Inne znowu istoty przyjęły zabarwienie kory drzew lub suchych liści. Niezliczone np. mnóstwo owadów naszych okolic odznacza się barwą szarą, a w rozmaitych pozycjach naśladuje wybornie to maleńkie drzazgi drzewne, to uschłe i gładkie, to uschłe i zmarszczone liście, to znowu suche owoce lub owe miryady drobniotkich gałązek, co mchy nasze pokrywają i zwieszają się na pajęczynach. Ileżto małych motylków można wziąć za plewy traw lub igły jodłowe?

Zaczniemy dokładnie i uważnie badać powierzchnię pni drzew, a zobaczymy, ile tam zamaskowanych członkonogów siedzi. Na pniach okrytych siwymi porostami napotkamy rozmaite ćmy takiegoż koloru, które się zupełnie z niemi zlewają. Taka zaś np. *Halia Vavaria L.* nie potrzebuje nawet mieć obok siebie porostów, skoro się bowiem roz-

plaszczy na murze lub skale, lub też korze nagiej, wygląda zupełnie jak wiązka strzępków jakiego porostu. Na pninach natrafimy również na gasienice drobnych motyli, które przechadzają się w różne strony *incognito*. bo okryte są albo drobnymi kawałeczkami żdźbeł, albo okrucami suchych liści, kory i porostów¹.

Tak można iść bez końca. Tych kilka uwag i przykładów wystarczy, żeby mieć jakieś pojęcie o różnaitości życia zwierzęcego, z punktu widzenia podobizn ochronnych.

Przechodzimy do równie ciekawych zjawisk biologicznych, jakie możemy wywołać u zwierząt sztucznemi warunkami życia. Do takich w pierwszym rzędzie należy zachowanie się zwierząt wyższych po wycięciu mniejszej lub większej części mózgowia. Do niedawna uważano za rzecz niemożliwą, aby pies mógł żyć bez mózgu wielkiego, który jest według dzisiejszego stanu nauki właściwem siedliskiem świadomości. Tymczasem profesorowi Fr. Goltzowi udała się operacja na trzech psach do tego stopnia pomyślnie, że wszystkie przez dłuższy czas nie zdechły. Pierwszy żył 51 dni po wycięciu półkul mózgu wielkiego, drugi 92 dni, trzeciego Goltz zabił w stanie zdrowym po 18 miesiącach bezmózgowego życia. Podajemy kilka notatek o tym ostatnim².

Zajrzyjmy do jego klatki na kilka dni przedtem nim go pan Goltz zabije. Pies śpi — poznajemy to po zupełnie rytmicznem oddychaniu. Lecz możemy go łatwo obudzić, podobnie jak psa w normalnych warunkach, tylko musimy użyć bodźców silniejszych. Jeśli użyjemy w tym celu jakiego hulaśliwego instrumentu, to pies trze się łapą po uchu, jakby chciał je zatkać; jeśli go uchwycimy za skórę, to zaraz wyraźnie warczy; jeśli zaś chcemy go z klatki wyciągnąć, to dostaje jakiegoś szału, wyje i kąsa naokoło. Wsadzony do klatki, uspakaja się i chodzi po klatce, najczęściej w kółko, i to w prawą stronę. Jeśli przez dłuższy czas nie dostał pożywienia, ruchy te są bardzo żywe.

Przez rozmaite więc działania na zmysły można naszego psa obudzić. Lecz jakże się zachowuje w tym stanie jawu względem oddziaływających na zmysły bodźców?

Jeśli się go naciska w jakim miejscu, to różnemi głosami okazuje niezadowolnienie. W miarę wzrastania silniejszego działania bodźca,

¹ *Naturwiss. Rundschau*, 1892, pag. 520 sq.

² *Der Hund ohne Grosshirn*, von Prof. Fr. Goltz. *Pflüger's Archiv für Physiologie*, t. 51, p. 570 sq.

warczy, skowyczy, wyje. Wycie jego gniewliwe nie różni się wcale od wycia psa zwyczajnego. Stara się zarazem od ręki uwolnić, nawet kąsa, atoli nie może trafić w rękę przy kasanii, tylko kłapie zębami w powietrzu. Nie ma zatem zdolności, aby znaleźć właściwe miejsce bólu, choć porusza mięśniami zupełnie celowo. Najlepszy dowód tego ostatniego, że kiedy miał jedną nogę skaleczoną, chodził na trzech, boć przecież wtedy inaczej musiał poruszać nogami, niż kiedy używał wszystkich. Podobnie na bodziec temperatury reaguje ruchami zupełnie celowymi.

A więc zmysł dotyku nasz pies posiada, tylko nieco przytępiony.

Szczególnie uwagi godna rzecz, że naszemu psu bez mózgu wielkiego brak zupełny wyrazu radości. Głaskanie w najrozmaitszy sposób jest dlań zupełnie obojętne; również głuchy jest na wszelkie pieśszoty. Podobnie gdy go chcemy nastraszyć gwałtownym krzykiem lub łoskotem, zachowuje się obojętnie. Nie jest jednak zupełnie głuchy, tak samo jak nie jest zupełnie ślepy; na rażące światło np. zamyka oczy i odwraca się, choć z drugiej strony nie widzi zawał, jakie mu w klatce porobiono.

Ma też z pewnością zmysł smaku. Zdolny jest bowiem najpierw jeść i pić samodzielnie, jeśli mu się daje po kawałku mięsa z mlekiem; mięso gorzkie, np. umoczone w roztworze chininy — bierze wprowadzie w pysk, zaczyna gryźć, ale wkrótce wypłuka. Podane pożywienie pies, o którym mowa, sam chwycił, żuł i polykał celowo, choć go nie umiał wyszukać. Można było nadto zauważyć, że pamięci najprawdopodobniej nie miał.

Dotychczas przyjmowano, że ssawiec bez mózgu wielkiego nie może ani jeść ani pić, że nie może czuć, że nie może głosu wydawać. Następnie upatrywali uczeni w zwojach mózgu wielkiego osobne centra do różnych czynności, jakoteż rozróżniano rozmaite sfery, jak słuchową, czuciową i t. d. Prof. Goltz, opierając się na tych faktach, występuje ostro przeciw owym centrom, a wogóle przeciw teorii lokalizacji mózgowej. Choć z drugiej strony fakty opisane, jakkolwiek prawdziwe, może niekoniecznie obalą w całości dzisiejsze teorie fizyologiczne, dotyczące osobnych części mózgowia ludzkiego i zwierzęcego.

Lecz przejdźmy od tych teoretycznych rzeczy do bardziej praktycznych. Jeśli obecnie słyszymy co o bakterjach, to mimowoli przychodzi nam na myśl jakiś wróg nieznany i czyhający na nas — tak jakoś dwie te idee sprzegły się razem w naszych umysłach. I w rzeczy samej z dniem każdym nowe miliardy niewidzialnych golem okiem

nieprzyjaciół występują przeciwko człowiekowi, a zawsze z innej nie spodzianej napadają go strony. To grypa, to cholera, to stara choć zawsze nieublagana gruźlica, to inne legiony chorób *minorum gentium*. A jednak bakterye są i przyjaciółmi człowieka, służą mu w wielu razach i świadczą od wieków mnóstwo dobrodziejstw. A jakichże dopiero korzyści, jakiej posługi spodziewać się po nich należy, jeśli człowiek, poznawszy zdolności ich i potęgę, wprzęgnie je w rydwan swego postępu i zacznie używać obok energii cieplnej lub elektrycznej, również energii życiowej tych drobnych ustrojów!

Nie należy tracić nadziei, że może w niedalekiej przyszłości bakterye będą nie tylko usuwały nam z przed oczu wszelkie resztki trupów zwierzęcych i roślinnych, nie tylko będą kwasily ogórki, kapustę i mleko, ale nadto znajdą o wiele obszerniejsze zastosowanie w lecznictwie i gospodarstwie naszym. Za ilustrację tego może posłużyć następujący przykład.

W latach 1889 i 1890 wybuchła zaraza na myszy w higienicznym zakładzie greifswaldzkim. Zwrócił na tę rzecz uwagę pan F. Löffler i poddał ją gruntownemu zbadaniu. Pokazało się, że zaraza pochodzi od specyficznego lasecznika i jest chorobą tyfusową, że szerzy się bardzo łatwo i prędko, bo myszy żyjące zjadają nieżywe. Bezpośrednie doświadczenia wykazały bowiem, że przenoszenie zarazy następuje w przewodzie pokarmowym po zjedzeniu padliny lub innych pokarmów napuszczonych płynem, zawierającym kultury lasecznika mysiego. Doświadczenie to czysto bakteryologiczne zyskało ogólniejsze znaczenie przez to, że, jak dalsze próby udowodniły, lasecznik specyficzny myszy domowej zaraza jedynie mysz polną, nie ima się zaś wcale zwierząt domowych lub zwierząt tępiących myszy. Stąd wyciągnął pan Löffler praktyczny wniosek, że kultur tego lasecznika można skutecznie używać do tępienia myszy polnych, które nieraz stanowią prawdziwą plagę rolnika.

Niedługo p. Löffler potrzebował czekać na wypróbowanie na większą skalę swego wniosku teoretycznego. W marcu b. r. dzienniki doniosły, że dolina Tessalska nawiedzona jest przez myszy, że całe żniwo jest zagrożone. Rząd grecki wyznaczył osobną komisję, która się miała zająć wytepieniem tej plagi. Zalewano wodą, zatrutowano siarką, jednak wszystko to nie wystarczało. W tej potrzebie rząd grecki zaprosił p. Löfflera, by użył lasecznika swego w Tessalii. W kwietniu wyruszył p. Löffler z asystentem swoim i pewnym zapasem kultur do Grecyi. Tutaj wyhodował w większej ilości laseczników, kulturami jego

napawał kawałeczki chleba i kazał je wkładać w dziury i chodniki mysie. Wynik był nadzwyczaj pomyślny. Już po kilku dniach rozeszła się wieść, że chleb włożony znikał; w dziewięć zaś dni po pierwszej próbie nastąpiła kilkudniowa przerwa w pustoszeniu pól, nie było widać świeżo wykopanych dziur, natomiast pokazało się wiele myszy nieżywych lub napół-żywych, z wyraźnemi objawami tyfusu. Tak więc p. Löffler opuścił Tessalię z tem słusznem przekonaniem, że projekt jego przeszedł zwycięsko próbę praktyczną, co jeszcze później stwierdziły najzupełniej zawiadomienia telegraficzne i listowne prezydenta wspomnianego komitetu¹.

Pewniejszą, bo bliższą przyszłość niż bakterye, ma przed sobą *aluminium*, po polsku glinem zwane.

„Metal XX. wieku“, jak się dzisiaj często o aluminium wyrażają, znany był już na początku naszego stulecia. Sławny chemik Wöhler otrzymał glin po raz pierwszy r. 1827 działaniem sodu metalicznego na chlorek glinowy. Pierwsze wystąpienie glinu było bardzo skromne i ciche. Był to proszek białawy, który dopiero w r. 1845 udało się Wöhlerowi zbić w małe kuleczki. Metodzie Wöhlera nadał zastosowanie fabryczne Deville, który też zaczął natychmiast wyrabiać z glinu rozmaite drobne przedmioty. Wówczas atoli glin był bardzo drogi, droższy nawet od złota, bo do otrzymania jednego kilogramu glinu potrzebował Deville trzy razy tyle sodu metalicznego, którego kilogram kosztował 2000 franków. Usilną pracą nad ulepszeniem metody otrzymywania doszedł Deville do tego, że cena glinu spadła niżej od srebra.

W ostatnich dziesiątkach naszego wieku elektryczność zaczęła swe panowanie wszechwładne, a elektrotechnika do wielkiej doszła doskonałości. Niedługo też trzeba było czekać na zastosowanie jej w otrzymywaniu rozmaitych metali. W pierwszym rzędzie dotyczyło to glinu. Wielu elektrotechników podało różne metody elektrolityczne, któremi można glin z ziemi glinowej otrzymywać.

Od kilku lat największa fabryka glinu jest w Neuhausen nad Renem; zasilą ona glinem całą środkową Europę. Kilogram glinu w tej fabryce kosztuje 16 marek, objętościowo zatem tańszy jest glin od niklu, cyny, a tylko 18% droższy jest od miedzi. Wygląd zewnętrzny glinu znany jest zapewne czytelnikom; barwą i połyskiem bardzo przypomina srebro. Ma tę wyższość nad innemi metalami, że jest od nich

¹ *Naturwiss. Rundschau*, 1892, p. 272 i p. 451.

o wiele lżejszy, posiada bowiem ciężar właściwy 2,60—2,70, a przytem jest bardzo ciągliwy i klepalny. Punkt topliwości glinu najrozmaiciej dotychczas podawano w granicach 600°—800°, w najnowszych podręcznikach można znaleźć zazwyczaj temperaturę 700°; tymczasem według świeżo dokonanych badań Pionchon'a, topi się glin w ciepłocie 625°. Na szczególną uwagę zasługuje to, że podług tychże badań topnienie glinu bardzo się długo przygotowywa, mianowicie zaczyna się już w ciepłocie 580°, kończy się zaś topić w ciepłocie 628°. Również t. zw. ciepło utajone topnienia glinu nie tylko przewyższa wszystkie metale, ale równa się pod tym względem wodzie, tj. wynosi 80 kaloryj¹.

Lekkość glinu, podobieństwo do srebra, wytrzymałość na działanie powietrza nawet wilgotnego, następnie własności zbliżające go niemal do stali, sprawiają, że glin znajduje coraz szersze rozpowszechnienie w wyrobach najrozmaitszych przedmiotów, i że rokują mu wielkie nadzieje na przyszłość. Czy kiedy parowce prujące fale oceanów będą z aluminium wyrabiane — niewiadomo; w każdym razie na jeziorze Zurychskim jachty glinowe już i teraz pływają.

Zachodzi bardzo praktyczne pytanie, czy można bezpiecznie używać glinu na naczynia kuchenne i stołowe. Własności fizyczne przemawiałyby bardzo za tem; lecz tego niedosyć; trzeba koniecznie zbadać, jak on się zachowuje wobec płynów, które miałyby się przechowywać w takich naczyniach. Zabrał się do tego lekarz sztabowy Lübbert i aptekarz Roscher. Wypadek ich badań był dla glinu bardzo niepomysłny. Wykluczili bowiem użycie glinu do przechowywania wszelkich cieczy.

Ponieważ jednak obaj ci badacze nie byli właściwymi chemikami, a nadto ich metody badań nie były bez zarzutu, pp. Lange i Schneid w Zurychu podjęli rzecz tę na nowo i doszli do wiele pomyślniejszych rezultatów. W swoich metodach badania brali oni pod rozbiór przypadki praktyczne i wykonywali doświadczenia z największą starannością i sumiennością.

Następujące zestawienie rzecz tę najlepiej wyjaśni. Mamy w niem podaną w miligramach stratę ciężaru blachy glinowej, o powierzchni 100 cm², po sześciu dniach próby:

Zwykłe wino czerwone	2,84
Zwykłe wino białe	3,27
Wódka	1,08

¹ Podług badań I. Pionchon'a, *Comptes rendus*, 1892, t. cxv., p. 162.

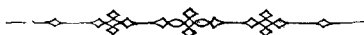
Czysty alkohol 50%	0,61
Kwas octowy 5%	3,85
Kwas octowy 1%	4,38
Kwas mlekowy 5%	4,77
Kawa	0,50
Herbata	0, 0
Piwo	0, 0
Roztwór karbolowy 5%	0,23
Roztwór karbolowy 1%	0,49

Z przeglądu tego widać, że działanie kawy, piwa, herbaty na glin równa się prawie zeru, że również wódka i czysty alkohol 50% niemal wcale nie oddziałują. Za to działanie płynów kwaśnych (wino, mleko kwaśne, soki owocowe i t. d.) mogłoby się na pierwszy rzut oka wydawać dość znacznem, choć w rzeczy samej nie jest silniejsze, aniżeli oddziaływanie tychże płynów na inne metale. Zresztą połączeń glinowych, zwłaszcza w tak małej ilości, jak wogóle gliny, nie można uważać za truciznę, jak się to rzecz ma np. z solami ołowiu. A zatem można najspokojniej używać naczyń i nakryć stołowych z glinu; są one piękniejsze, lepsze, lżejsze i bezpieczniejsze niż miedziane i cynowe¹.

Atoli większe może znaczenie niż sam glin mają stopy glinowe. Glin mianowicie wyszczególnia się tem, że się stapia prawie ze wszystkimi metalami, a nieraz bardzo małe dodatki glinu znacznie polepszają własności danego metalu. Jeśli bowiem glin wchodzi do jakiegoś stopu, to zachowuje w nim swoje dobre przymioty. Pierwsze miejsce zajmuje bezsprzecznie stop glinu z miedzią czyli t. zw. bronz glinowy. Ma on wytrzymałość najlepszej stali, a przytem ciągłość niesłychaną i nigdy nie śniedzieje. Jeśli nie sam glin, to z wszelką pewnością bronz glinowy można uważać za metal XX. stulecia.

J. N.

¹ *Darf Aluminiummetall zu Küchen- und Speisegeräten verwandt werden?*
Von Dr. Alois Wurm. *Natur u. Offenbarung*, 1892, p. 552 sq.



SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

Stronnica.

Z ŻYCIA CHRZEŚCJAŃSKIEGO ŻOŁNIERZA. Przez <i>ks. Jana Gnatowskiego</i>	1
DZISIEJSZY SOCYALIZM WOBEC ŚWIATŁA ROZUMU. VI. Socyalistyczna teoria wartości. Przez <i>ks. Antoniego Langera T. J.</i>	20
NA SŁOWACZYŹNIE. Wrażenia z podróży. Przez <i>ks. Jana Badeniego T. J.</i>	33 184 336
SEKCIARSTWO W ROSYI. Przez <i>A. Szarlowskiego</i> (dok.)	55
W OBRONIE WOLNEJ WOLI. Przez <i>L. Rydla</i>	71 208
Z ŻYCIA SYBIRSKIEGO PROBOSZCZA. Przez <i>M.</i>	161 383
CZY OBRAZ MATKI BOSKIEJ OSTROBBAMSKIEJ JEST WSCHODNIEGO POCHODZENIA? Przez <i>H. B.</i>	229
HINDUIZM. 1) Wisznuizm. Przez <i>ks. W. Zaborskiego T. J.</i>	256 372
ZŁE MIŁOSIERDZIE. Przez <i>ks. Maryana Morawskiego T. J.</i>	313
NOWY ŻYWOT CHRYSTUSA. Przez <i>ks. Eustachego Skrochowskiego</i>	352

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa krajowego:

BIBLIOGRAFIA HISTORII POLSKIEJ. Wspólnie z d-r'em Henrykiem Sawczyńskim i Członkami Kółka historycznego uczniów Uniwersytetu lwow. zebrał i ułożył dr. Ludwik Finkel. Część I. (<i>Dr. K. Krotoski</i>)	89
WIZERUNEK RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ. Eug... Heleniusz. 2 tomy. (<i>Ks. K. C.</i>)	92
„BIBLIOTEKA PISARZÓW POLSKICH“: 1. Postępek prawa czartowskiego przeciw narodowi ludzkiemu. 1570. Wydał dr. Artur Benis. — 2. Jakóba Górskiego: Rada Pańska. Wydał dr. Wiktor Czermak. (<i>J. P.</i>)	93
ŻYCIE ŚW. ALOJZEGO GONZAGI T. J. Według najdawniejszej włoskiej biografii O. W. Cepari T. J., opracowane przez ks. Fr. Schroedera S. J. (<i>Ks. Antoni Boc T. J.</i>)	93
BŁOGOSŁAWIONA KINGA, Jej żywot i dzieła. W sześćsetną rocznicę śmierci, skreślił O. Czesław Bogdalski, Bernardyn	95
CHRONOLOGICO-HISTORICA INTRODUCTIO IN NOVUM TESTAMENTUM, exarata et edita a d-re Tito Myszkowski	96
ROZMYŚLANIA O ŻYCIU KAPŁAŃSKIM czyli Ascetyka kapłańska. Część pierwsza. Napisał ks. Józef Pelczar, dr. św. Teologii etc. (<i>Ks. M. Morawski T. J.</i>)	269
NOWY DAR JEZUSA. Przez O. Honorata Kapucyna. (<i>Ks. H. P.</i>)	270
KAZANIA I PRZEMOWY PASTERSKIE DO LUDU WIEJSKIEGO. Napisał ks. Karol Fischer, proboszcz w Dobrzechowie. Tom I., obejmujący czas od I. Niedzieli Adwentu do Środy Popielcowej. (<i>Ks. H. P.</i>)	273
BIBLIA WOBEC NOWOCZESNEJ KRYTYKI I EGZEGEZY. I. Racyonalizm biblijny. Opracował ks. A. Zaremba, Magister Nauk Teologicznych, prof. Pisma św. w Seminarium Płockiem. (<i>H. P.</i>)	275
SZPITAL ŚW. DUCHA. Przez d-ra Stanisława Tomkowicza. (<i>Ks. M. Morawski T. J.</i>)	277
NOWA BIBLIOTEKA UNIwersALNA. Rocznik V. i VI. (<i>B.</i>)	278
O STOSUNKU KAPITAŁU DO PRACY. Zapatrywania stronnictwa liberalnego, socjalistycznego i katolickiego na kwestyę socylną. Ks. dr. Adam Kopyciński. (<i>Ks. K. C.</i>)	410
MATHIAE CASIMIRI SARBIEWSKI E SOCIETATE JESU POLONI POEMATATA OMNIA. Editio omnium quae adhuc prodierant longe plenissima. (<i>Ks. Wł. Piłkiewicz T. J.</i>)	412
EDITIONES ACADEMIAE LITTERARUM CRACOVENSIS. BIBLIOTHECA AUCTORUM POLONORUM. — ORICHOVIANA. Opera inedita et epistolae Stanislai Orzechowski. 1543—1566. Vol. 1. Editit dr. Joseph Korzeniowski. (<i>Ks. K. C.</i>)	416
PRZEGLĄD DZIEJÓW C. K. GIMNAZJUM WADOWICKIEGO. Z powodu 25 rocznicy istnienia zakładu napisał dr. Antoni Karboviak. (<i>J. R.</i>)	417
ZATARG JMCI PANA ŁUKASZA KONOPKI Z MIASTEM TORUNIEM. Kartka archiwalna (1742—1756). Przez Aleksandra Kraushara	417

Z piśmiennictwa zagranicznego:

LA DÉBÂCLE. Par Emile Zola. (<i>Ks. M. Morawski T. J.</i>)	97
FASTI MARIANI Sive Calendarium festorum Sanctae Mariae Virginis Deiparae, memoriis historicis illustratum. Auctore F. G. Holweck Sacerdote Archidioecesis S. Ludovici Americanae. Cum approbatione Revmi Archiep. Friburg. (<i>H. P.</i>)	105
LE DEVOIR PRÉSENT. Par Paul Desjardins. (<i>N.</i>)	106
LA RUSSIE. Impressions — Portraits — Paysages. Par Armand Silvestre. Illustrations de Henri Lanos	111
ILIOS ET ILIADE. Par Gaston Sortais S. J. (<i>Stanisław Witkowski</i>)	279
POMBAL. SEIN CHARAKTER UND SEINE POLITIK, nach den Berichten der kaiserlichen Gesandten im geheimen Staatsarchiv zu Wien. Ein Beitrag zur Geschichte des Absolutismus. Von Bernhard Dühr S. J. (<i>Ks. K. Czaykowski T. J.</i>)	283
LE SOCIALISME CHRÉTIEN. Henri Joly. (<i>Ks. K. Czaykowski T. J.</i>)	418
LES VRAIS RICHES. François Coppée. (<i>M.</i>)	423
ENTWICKLUNGSLEHRE UND DARWINISMUS. Eine kritische Darstellung der modernen Entwicklungslehre und ihrer Erklärungsversuche mit besonderer Berücksichtigung der Stellung des Menschen in der Natur. Gemeinfasslich geschildert von Otto Hamann. (<i>J. N.</i>)	426
DE LA DOULEUR. Par Mgr. Bougaud, évêque de Laval. (<i>M.</i>) .	433
Z PRASY PRAWOSŁAWNO-ROSYJSKIEJ. (<i>A. Szarlowski</i>)	435

Z pism czasowych:

ISKRA. List za književnost i umjetnost. Zadar 1892. Godina II. (<i>Tytus Sopotzko</i>)	285
--	-----

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

PAŹDZIERNIK.

GŁOSY Z HISZPANII I NOWEGO ŚWIATA w 400-letnią rocznicę Krzysztofa Kolumba. Przez <i>T. W.</i>	114
SPRAWY KOŚCIOŁA: Kongresy katolickie w Moguncyi i Lublanie. — Węgiersko-kalwińskie hece. — Rozwój Kościoła w Norwegii. — Encyklika o Różańcu. Przez <i>ks. Jana Badeniego T. J.</i>	130
Z POD GÓR KRUSZCOWYCH. Wrażenia z podróży. III. (dok.) Przez <i>Tytusa Sopotzke</i>	139
PO SPRAWIE MEDWEYA. Przez <i>ks. M. Morawskiego T. J.</i>	154

LISTOPAD.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Uchwały wolnomularskiego konwentu w Paryżu. — Chrzty „cywilne“. — Nowe okólniki przeciw Jezuitom. — Manifest „Związku Ewangelickiego“. — Wy-

znania Stoeckera. — Ks. Franco o zjednoczeniu Kościoła wschodniego z zachodnim. — Portugalskie Centrum. Przez <i>ks. Jana Badeniego T. J.</i>	294
LORD-MAJOR LONDYNU, KATOLIK. Przez <i>K. C.</i>	303
W KRAJU MASHONA. Wyprawa do afrykańskich pól złotych. Przez <i>Modesta Maryńskiego</i>	306

GRUDZIEŃ.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Nowe węgierskie ministeryum. — Oświad- czenia Pulszky'ego. — Znak Krzyża św. w szkołach wie- deńskich. — Interpelacye Karlona i hr. Hohenwarta w kwestyi szkolnej. — Skład Apostolski, a prof. Harnack. Dwa kongresy hiszpańskie. — Stan Kościoła w Costa- Rica. Przez <i>ks. Jana Badeniego T. J.</i>	449
ZE ŚWIATA NAUK, ODKRYĆ I WYNAŁAZKÓW: Podobieństwo ochronne w królestwie zwierzęcem. — Psy bez mózgu wielkiego. — Bakterye i tępienie myszy. — Metal XX. stulecia. Przez <i>J. N.</i>	456
KORESPONDENCYA REDAKCYI	312

